

SCIENCE FICTION POLECA NAJLEPSZĄ POLSKĄ FANTASTYKĘ

# MŁODE WILKI POLSKIEJ FANTASTYKI



RAFAŁ DĘBSKI  
MACIEJ GUZEK  
WOJCIECH SZYDA  
AGNIESZKA HAŁAS  
SEBASTIAN UZNAŃSKI  
WIESŁAW GWIAZDOWSKI

TOM PIERWSZY  
MISTRZOWIE FANTASY

ALISE

MŁODE WILKI  
POLSKIEJ FANTASTYKI

Tom pierwszy:

MISTRZOWIE FANTASY

Ares 2

2003

# SPIS TREŚCI

KARTA TYTUŁOWA

AGNIESZKA HAŁAS GAD I SŁUGA ZIEMI

ZŁO W DOLINIE

WYSŁANNIK

SZLAK

ŚWIĄTYNIA

W JASKINI GADA

OSTATNIE FIGURY WZORU

ZNAK

MACIEJ GUZEK ZŁOTO GÓR SZARYCH

PROLOG

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

EPILOG.

RAFAŁ DĘBSKI ŁZY NEMESIS

WIESŁAW GWIAZDOWSKI MUFGAR

WOJCIECH SZYDA NÓŻ

ŚWIAT W CIENIU ŚWIATA PROLOG O ZMIERZCHU

DWAJ PROROCY

ONI

WSCHÓD SŁOŃCA  
DROGA  
SAMI  
SERCE ŚWIATA  
BAJKA  
ZABIĆ WSZYSTKICH LUDZI  
GŁUPI SEN NOC WSPOMNIEŃ  
WTEDY I TERAZ  
TANIEC ŚMIERCI  
PRAWDA I FAŁSZ  
PRAWDA I FAŁSZ (II)  
KONIEC ŚWIATA  
MARTWA NATURA  
EPILOG: PIEŚŃ POD PIEŚNIAMI

SEBASTIAN UZNAŃSKI ZAGUBIONA DUSZA

# Agnieszka Hałas

## GAD I SŁUGA ZIEMI

*The breath of wind beneath my beating wings  
Is slowly dying down...  
Yet raging its final blow!  
As it crumbles down... my castle in the air...  
The relieving words of farewell and my earthly Hell...  
(Sentenced Farewell)*

## Zło w dolinie

Dym dostrzegli po raz pierwszy ze szczytu połoniny. Szeroka siwa smuga wyrastała znad czarnej gęstwiny lasu, odcinając się wyraźnie na tle przejrzystego błękitu.

- Wioska? - rzuciła z nadzieją w głosie Naikiru.

Levayden zmrużył oczy, oceniając odległość.

- Miła, może dwie... Nie, za blisko. To musi być jakaś pojedyncza sadyba albo obóz węglarzy.

- Idziemy tam?

- No pewnie. Słońce już się chyli ku zachodowi. Miło byłoby dla odmiany przenocować pod dachem, nie sądzisz?

Naikiru krzywiąc się przeczesła ręką krótkie brązowe włosy. Z daleka można ją było wziąć za chłopca: nosiła męski strój, wygodniejszy w podróży. Kubrak i luźne spodnie zszarzały od pyłu. Wyglądała na zmęczoną.

- A do tego zamku, o którym tyle mi nabajałeś, daleko jeszcze?

- Cztery czy pięć dni. Nie wiem na pewno. Dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz odwiedzałem te strony. Ale w Gleyarvaigh nikt dziś nie mieszka, Naikiru. To ruina.

- Czemu?

- Przecież już ci mówiłem. A może nie? Dżuma szalała w Górach Ciszy, kiedy byłaś o, takim smykiem. Nie oszczędzała ani wieśniaków, ani możnych. Zmarł wtedy baron, zmarła jego małżonka i większość służby... Ci, którzy ocaleli, uciekli precz. Mówiono wręcz o ciężącej na zamku klątwie... Kiedy zaraza wygasła, hultajstwo, co się klątw nie boi, doszczętnie splądrowało Gleyarvaigh. Nie ma tam już nic ciekawego, tylko kamienie i nietoperze.

- To kiedyś było tam więcej do oglądania? W tak ubogiej okolicy?

- Nie wiesz, co mówisz, kozo! Stary baron był panem nie tylko z tytułu. Jego dziad i ojciec nazwozili łupów z wojen, a on pomnożył te dobra umiejętnym gospodarowaniem. Gleyarvaigh było siedzibą godną książąt! Cztery wieże, fosa, zwodzony most; a wewnątrz bez liku korytarzy, komnat... Wszystko kapiące od złota... Oho, uśmiechasz się? Myślisz, że ubarwiam niecznie? Mylisz się! Doskonale pamiętam, jak ten zamek wyglądał za czasów największej świetności. Występowałem tam... hm, kiedyż to było? Na rok czy dwa przed tym, jak srebrni magowie wszczęli wojnę z Nedgvarem.

- Prawie czterdzieści lat temu! Nie wiedziałam, że jesteś aż taki stary.

- Milcz, kozo... O czym to ja mówiłem? A, tak. O mojej pierwszej i ostatniej wizycie w Gleyarvaigh. To był piękny dzień, Naikiru. Syn barona żenił się w samo Święto Wiosny. Przywiózł sobie narzeczoną aż z Wysp Śpiewu, piękną jak kwiat, o czarnych włosach i oczach. Pochlebcy, i nie tylko, mówili o niej: Róża. Naprawdę nazywała się jakoś dziwnie... nie Una, ale podobnie... Unea chyba? Tak, Unea. Dźwięczne imię, choć barbarzyńskie. Pasowało do niej. Ech, huczne mieli weselisko...

- I ty tam byłeś, miód i wino piłeś, po brodzie ciekło, w gębie nic nie zostało... - Naikiru ze śmiechem uchyliła się przed kuksańcem, którego wymierzył jej Levayden.

- Żebyś wiedziała, dziewczyno. Byłem tam, słuchałem, jak gra orkiestra, podziwiałem kosztowne szaty biesiadników, jadłem wykwintne potrawy i piłem najlepsze talmeńskie wino. A kiedy przyszła kolej na mój występ, Opowiedziałem nowożeńcom najpiękniejsze historie, jakie zna nasz cech... Zaś oni w nagrodę ofiarowali mi... to. - Levayden rozsznurował pod szyją wytarty kaftan, wydobył wisior na cienkim łańcuszku; w sercu, misternie splecionym z cienkich błyszczących drucików, tkwił pojedynczy kamień o kaboszonowym szlifie. Naikiru westchnęła, zaskoczona. Dobrze znała ten wisior, ale jakoś nigdy nie poświęcała mu szczególnej uwagi. Teraz przyglądając się

z bliska dostrzegła, że kruszec to prawdziwe czerwone złoto, a to, co weń wprawiono, bynajmniej nie jest barwionym szkiełkiem. Kiedy Levayden obrócił wisior w palcach, wewnątrz klejnotu roziskrzył się zielony ogień.

- Szmaragd? Prawdziwy?

Opowiadający skinął głową.

- Sporo wart, tak twierdzą jubilerzy, ale pierwszej będę się żywił plewami i trawą, niż go sprzedam. To królewski dar. Przechowam go dla moich wnuków...

- O ile się jakichś dochowasz, bo na razie się na to nie zanosz - mruknęła dziewczyna, ale przezornie uczyniła to półgłosem, tak że Levayden niczego nie usłyszał. Akurat ten żart mógłby mu nie przypaść do gustu.

Levaydenowi szło na szósty krzyżyk; mimo to trzymał się krzepko i chodził wyprostowany jak struna. Długie szpakowate włosy okalały pociągłą, suchą twarz, która przy każdym uśmiechu pokrywała się siatką zmarszczek. Swój brunatny płaszcz spinał przy szyi prostą żelazną agrafą. Nie dorobił się majątku na swoich Opowieściach. Nigdy nie przywiązywał wagi do spraw materialnych. Był też zaprzysięgłym starym kawalerem. Wędrowali razem od dobrych ośmiu lat i Naikiru mogłaby przysiąc, że przez cały ten czas nie widziała u jego boku żadnej kobiety. Ona sama się rzecz jasna nie liczyła. Traktował ją jak córkę.

Ścieżka opuściła grzbiet połoniny. Przyszło im teraz schodzić stromym, trawiastym zboczem, usianym gdzieś młodymi świerczkami i kępami buczyny. Mokra po wczorajszym deszczu ziemia usuwała się spod nóg, trzeba było uważać, żeby nie zjechać niekontrolowanym ślizgiem w dół, dlatego na jakiś czas przestali rozmawiać.

Słońce zniżało się coraz bardziej, cienie stawały się dłuższe. W krzakach lirycznie zatirlikał jakiś ptak. Stromizna skończyła się. Weszli do lasu; ogarnął ich półmrok, pachnący igliwem i grzybami.



- Czujesz? - spytał nagle Opowiadający.

Naikiru kiwnęła głową. Z wiatrem do ich nozdrzy doleciała wyraźna nuta spalenizny.

- Musi już niedaleko - zatarł ręce Levayden. - Ech, w samą porę! W gardle mi zaschło, napiłbym się. Choćby i tego nieudolnie udającego piwo mętu, który warzą z tutejszego owsa.

- Nieładnie pachnie ten dym - zmarszczyła nos dziewczyna. - Jakby pogorzeliem...

- Mówiłem, to pewnie węglarze.

- Czy ja wiem? To kiepskie miejsce na wypał. Popatrz, naokoło same świerki. Coś mi tu nie gra... Może zawrócimy?

- Też pomysł! Lada chwila będzie ciemno. Chodź, chodź, nie wydziwiaj. Tam, gdzie jest dym, jest i ogień, a na ogniu, dam głowę, warzy się strawa.

Bór rzedł. Pomiedzy drzewami padały ukośne czerwone promienie słońca. W ich świetle Naikiru pierwsza ujrzała to, czego się obawiała. Chwyła Levaydena za ramię, ściągając go ze ścieżki. Oboje przykucnęli w sięgających wyżej pasa paprociach.

- Przed nami poręba, a na porębie spalona chata - uprzedziła gniewne pytanie towarzysza. - Ze zgliszcz wciąż się dymi, a ludzi ani śladu. Psiakrew, źle mi to pachnie. Wynośmy się stąd!

- Nie tak prędko! Trzeba sprawdzić, co tam się stało. Ja pójdę. Poczekaj tu.

Zanim zdążyła zaprotestować, Levayden podniósł się i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku poręby. Naikiru patrzyła za nim z niepokojem.

Usiana ściętymi pniakami polana była szeroka, zarośnięta po brzegach gęstwiną pokrzyw i dzikich malin. Z rumowiska zwęglonych belek u jej najdalszego krańca wznosił się w niebo dym - ten sam, który dostrzegli z grzbietu połoniny. Pożar osmalił otaczające zarośla. Tylko dzięki

wiosennym ulewom, które przesycały wszystko wilgocią, nie zajął się las.

Levayden był w połowie drogi przez polanę, kiedy nagle krzyknął, okręcił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Naikiru również o mało nie krzyknęła. W porę zatkąła usta ręką, padając płasko w paprocie. Ocalała w ten sposób życie.

Z krzaków po przeciwnej stronie poręby, z trzaskiem łamanych gałązek wychynął olbrzymi czarny kształt. Załopotwały, wzbijając kurz i zeschnięte liście, potężne nietoperze skrzydła; błysnęły okrutne, żółte oczy...

Naikiru dostrzegła to wszystko w ułamku sekundy, zanim - półprzytomna z przerażenia - wtuliła twarz w ściółkę. Usłyszała ryk bestii i zdławiony, urwany skowyt Levaydena. Uderzył w nią prąd powietrza, kiedy potwór zerwał się do lotu, by w okamgnieniu zniknąć ponad wierzchołkami świerków.

Zapadła martwa cisza.

Długo trwało, zanim dziewczyna odważyła się wstać.

- Smok! - wymamrotała, dygocąc od stóp do głów. - Na Otchłań... Ale przecież smoków nie ma...

Zmusiła się, żeby zejść na porębę. Nie zostało tam nic - nawet skrawek odzieży, nawet plamka krwi. Nic, co wskazywałoby, jaki los spotkał jej towarzysza.

Szloch wzbierał jej w gardle. Zdławiła go.

Była sama. Zmierzchało.

Uciekać? Ale dokąd? Czy potwór wróci? Może jest ich tu więcej? W pierwszym odruchu chciała czym prędzej ruszać w kierunku, z którego przybyli. Powstrzymała ją obawa przed błakaniem się na oślepie w ciemnościach, a także myśl o Levaydenie. Może nie zginął... Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większą zyskiwała pewność, że potwór nie pożarł go, lecz uniósł żywego - tylko dokąd? I dlaczego? Wyobrażenia od razu podsunęła dziewczynie kilka możliwych wytłumaczeń, każde bardziej nieprawdopodobne od poprzedniego. Naikiru siłą odsunęła od

siebie te myśli. Teraz ważne było jedno - przeczekać noc.

Postanowiła nie oddalać się zanadto od poręby ze spaloną chatą. W końcu smok zniszczył tu już wszystko, co było do zniszczenia, więc po co miałyby wracać? Dopóki resztki dziennego światła na to pozwalały, nazbierała w zaroślach gałęzi i chrustu. Rozpaliła ognisko nie na samej polanie, lecz w lesie: w głębokim, obrośniętym krzakami wykrocie. Postanowiła czuwać - na wszelki wypadek. Wątpiła zresztą czy dałaby radę zasnąć. Wyjęła z plecaka suchary i ser, ale musiała je schować z powrotem; nie była w stanie jeść. W manierce zostało mało wody, nie odważyła się jednak ruszyć na poszukiwanie strumienia.

Nad koronami świerków mrugały gwiazdy. Niebo z fioletowo-niebieskiego stało się czarne. Wśród ciszy posępnie zahukał puszczyk. Coś szurało w zaroślach; raz czy drugi błysnęły tam oczy jakiegoś zwierzątka. Puszczyk zahukał znowu. Naikiru szczelniej otuliła się płaszczem. Powieki zaczynały jej trochę ciążyć.

Nagle w oddali zabrzmiało przeciągłe wycie. Powtórzyło się po chwili - znacznie bliżej. Dorzuciła do ognia. Doprawdy, wolałaby w tej chwili nie być sama. Wyjęła swój krótki sztylet i przesunęła kciukiem po ostrzu.

Ponura wilcza pieśń rozbrzmiewała teraz w regularnych odstępach czasu, raz głośniej, raz ciszej, dolatując z różnych stron. Wilki boją się ognia. Wilki boją się ognia, powtarzała sobie Naikiru, zaciskając zęby. Naszykowała na wszelki wypadek solidny kij. Same wilki nie przerażały jej aż tak bardzo, nie wiosną i nie w tych stronach - lasy Gór Cisy obfitowały wszak w zwierzynę. Przypomniały jej się jednak powtarzane przez wieśniaków bajania o wałęsających się po puszczy monstrach rodem z Otchłani, łasych na ludzkie mięso. Przed oczami ponownie stanął jej gigantyczny czarny jaszczur o nietoperzowych skrzydłach. Co jeszcze mogło się gnieździć w tych borach? Młaki, zwodziasze, martwce? Jędze o żelaznych zębach?

Las znowu ożył wyciem, dobiegającym ze wszystkich stron naraz

Naikiru mocniej ścisnęła w rękę kij. Wydało jej się, że w zaroślach dostrzega dwoje świecących ślepi. Wrzasnęła, tupiąc nogą. Ślepi zniknęły, ale nie na długo. Zaszleściło. Jeden... dwa.. trzy szare cienie pojawiły się na skraju wykrotu, spoglądając w dół. Przełknęła ślinę czując, że krew odpływa jej z twarzy. Wrzasnęła jeszcze głośniej. Chwyliła płonącą żagiew, zamachała nią groźnie. Wilki boją się ognia. Na Otchłań! Te tutaj najwyraźniej się nie bały. Stały bez ruchu, popatrując na nią złośliwie, zupełnie jakby na coś czekały. Na przykład na sygnał do ataku.

Naraz coś puszystego i białego potężnym susem przesadziło krawędź wykrotu, lądując z gracją o krok od dziewczyny. Naikiru krzyknęła, bardziej z zaskoczenia niż ze strachu. Widziała już, że to nie wilk.

Stworzenie budową ciała przypominało rysia, ale było odeń sporo większe i białe jak śnieg - bez jednej ciemniejszej cętki. Zielone latarnie oczu spojrzały na nią przenikliwie. Naikiru uświadomiła sobie, że nie ma do czynienia ze zwykłym zwierzęciem.

- *Zostań tam.*

Rozkaz zabrzmiał w jej głowie głośno i wyraźnie. Dziewczyna posłusznie cofnęła się aż pod ścianę wykrotu.

Stworzenie zwróciło się teraz w stronę wilków. Sierść na jego grzbiecie zjeżyła się, ogon rytmicznie uderzał o boki. Naikiru wstrzymała oddech. Po nieskończonej długiej chwili wilki zaczęły się powoli wycofywać, aż zniknęły w mroku. Biały ryś parsknął jakby z pogardą.

- Oho, co my tu mamy? - odezwał się nagle basowy głos. Pobrzmiwała w nim drwina. - Jest dzielny obrońca, a gdzież się podziała ta, której zamierza bronić?

Z ciemności wyłonił się mężczyzna. Na jego widok Naikiru poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Wysoki i barczysty, miał na sobie podzwaniającą przy każdym kroku kolczugę, nagolenniki i pas zdobiony złotymi guzami. Wilczy łeb z wyszczerzonymi kłami służył mu za hełm; z

ramion zwieszała się peleryna z wilczych futer, podbita szkarłatną tkaniną. Szyję chroniła najeżona kolcami żelazna obroża. Spod hełmu opadały długie, skołtunione czarne włosy. Grubo ciosaną śniadą twarz pokrywały zygzaki tatuażu. W ręku dzierżył miecz o ciemnej, pozbawionej połysku, jakby osmolonej klindze.

- Och, teraz cię widzę... Nie ruszaj się, owieczko. - W jego oczach pełgały czerwone ogniki. - Dostanę cię, jakim Wilczarz!

Biały ryś zasyczał niby wąż, kładąc uszy płasko. Naikiru znów usłyszała w głowie jego głos, czy raczej przekaz myślowy: - *Jeszcze się pokaże, kto dostanie kogo. Zmierz się wpierw ze mną, plugawcze!*

Wilczarz zaśmiał się chrapliwie. Bez ostrzeżenia zamachnął się mieczem. Białe stworzenie uskoczyło, a potem szybko jak błyskawica zaatakowało, obalając wojownika na ziemię. W tej samej chwili dziewczyna przeraźliwie krzyknęła. Z zarośli wyroiło się całe stado wilków i wszystkie naraz rzuciły się w wir walki. Na dnie wykrotu zakotłowało się; rozległo się mrozące krew w żyłach warczenie, kłapanie zębami, wściekły syk, prychanie i charkot. Zdeptane ognisko zgasło. Naikiru uznała, że to najlepszy moment, żeby wziąć nogi za pas.

Nie uciekła daleko. Tuż przed nią wyrósł znienacka Wilczarz. To niemożliwe!, pomyślała rozpaczliwie, a w następnej sekundzie już szamotała się w jego uścisku. Wojownik potrząsnął nią jak szmacianą kukiełką.

- Umknąć chciałaś? Nie tak prędko! Chodź, chodź, owieczko. Zobaczysz, jak kończą moi wrogowie!

Chociaż próbowała się opierać, powlókł ją z powrotem w kierunku wykrotu, w którym panowała teraz złowróżbna cisza. Żadnego ruchu w ciemnościach... Wilczarz coś wymamrotał i wdeptane w ziemię węgle na powrót buchnęły płomieniem, oświetlając straszliwą scenę.

Krew. Mnóstwo krwi, jak w rzeźni. W lepkiej kałuży piętrzyły się zwłoki sześciu czy siedmiu wilków. Ale biały ryś umierał. Jego gęste futro

w stu miejscach plamiła posoka. Wnętrznosci wylewały się z rozszarpanego brzucha. Zakończone potężnymi pazurami łapy drapały ziemię. Wilczarz zaśmiał się. Brutalnie kopnął bezwładne ciało. Zamglone, gasnące zielone ślepie otwały się odrobinę szerzej, z pyska wyrwał się cichy skowyt. Naikiru poczuła falę ślepej wściekłości.

- Zostaw go!!! - zawyła. Szarpnęła się, próbując przełamać uchwyt prześladowcy. Wilczarz, wciąż się śmiejąc, zdzielił ją w twarz pięścią w nabijanej ćwiekami rękawicy. Zobaczyła gwiazdy.

- Nie krzyczysz? - zasyczał, tarmosząc ją za kark jak szczenię. - Nie bolało? Chcesz jeszcze?

Usiłowała się uchylić; bez powodzenia. Zamachnął się i uderzył jeszcze raz. Krzyknęła. Czuła na policzku krew; ćwieki rozcięły skórę.

- To dopiero początek zabawy - oznajmił wojownik, szczerząc zęby.

Skępował ręce Naikiru za plecami, jej własnym paskiem. Z mroku obserwowało ich kilkanaście par świecących ślepi. Ocalałe wilki znów zgromadziły się wokół swego pana, czekając na rozkazy.

- Pilnujcie jej! - rzucił Wilczarz. - Niech się nie waży ruszyć na krok. Stój spokojnie, owieczko, inaczej moje pieski gotowe odgryźć ci nóżkę!

Sztyletem pospiesznie nakreślił na ziemi krąg. Na jego obwodzie wypisał tajemnicze znaki. Naikiru mimo przerażenia zachowała dość przytomności umysłu, żeby zauważyć, iż wojownik mocno kuleje. Spod kolczugi spływała krew, plamiąc błyszczący nagolennik. Został ranny w udo. Czy poważnie? Chyba nie.

Ciałem białego stworzenia wstrząsnął ostatni, konwulsyjny dreszcz. Wydało jej się, że na skraju świadomości słyszy szept: - *Shay... Żegnaj... Spo... tkamy się w innym kró... lestwie...*

Światełko pełgające w zielonych ślepiach zagasło.

Skończywszy rysować krąg, Wilczarz pochylił się nad nią. Naikiru zeszywniała. Jego straszliwe oczy wyglądały, jakby wewnątrz nich szalała Otchłań - czerwone czerwienią płynnej lawy, ze źrenicami niby

czarne szczelinki. Teraz wiem, co czuje ptak, gdy patrzy na niego wąż, przemknęło jej przez myśl. Mężczyzna ujął ją za ramiona. Pogładził po policzku.

- Słaba z ciebie żyła - mruknął z niesmakiem. - Zanadto się strachasz... Ale ja sobie poradzę. Twoja młoda krew uleczy moją ranę, owieczko. Nie opieraj się! Unieś główkę. O, właśnie... Nie odwracaj wzroku! Patrz na mnie! Lubię, kiedy patrzycie...

Chwytał ją jedną ręką za włosy i odciągnął głowę daleko do tyłu. Jego oblicze zniecka zafalowało, przemieniając się w płaski, pokryty łuskami pysk. Zamigotały wydłużone, igłowate kły; pomiędzy nimi poruszył się rozwidlony język. Naikiru zaszamotała się rozpaczliwie; na próżno. Kątem oka dostrzegła, że symbole kręgu zaczynają się jarzyć rubinowo Wilki jak na komendę zawyły, wznosząc łby.

Samego ukąszenia prawie nie poczuła. Było tak, jakby lodowato zimny prąd uderzył z wielką siłą w jej ciało, odbierając oddech. Ból nadszedł w chwilę później - szarpiący, potworny. Nie mogła się poruszyć ani złapać tchu. Tonęła...

Wpatrzone w nią oczy Wilczarza wydawały się palić skórę żywym ogniem.

Umieram, zdążyła pomyśleć. Potem ogarnęła ją czerń.

# Wyśłannik

Przytomność wracała powoli. Naikiru jęknęła, usiłując rozewrzeć sklezione powieki. Bolały ją wszystkie kości, czuła się tak, jakby całe ciało było jednym wielkim sińcem. Leżała przykryta czymś szorstkim i ciężkim; w nozdrzach wiercił zapach dymu, owczej wełny i suszących się ziół. Szyję miała grubo omotaną płótnem. Opatrunek zeszywniał od zaschniętej krwi.

Ostrożnie uniosła się na łokciach, zaciskając zęby, kiedy ten drobny ruch spowodował falę mdłości. W mroku pełgał słaby czerwony poblask; węgle żarzyły się w prymitywnym palenisku. Dym uchodził na zewnątrz przez szpary w strzesze. Z poczerniałych ścian zwieszały się pęczki ziela. Znajdowała się w jakiejś ubogiej chacie albo szałasie pasterskim.

Spróbowała zwlec się z pośłania, ale źle obliczyła siły i z powrotem opadła na wznak. Przeraziło ją że jest aż taka słaba. Jakim cudem nie zginęła z rąk wilczego pana? Kto ją uratował?

Za ścianą rozbrzmiewały głosy. Nadstawiła uszu. Dwóch mężczyzn - starszy i młodszy - spierało się o coś, ale nie zdołała rozróżnić słów. Po chwili zamilkli.

Ktoś odchylił wiszącą u wejścia zasłonę ze skór. W smudze światła zamajaczyła przygarbiona postać. Wsparty na kosturze starzec w połatanej sukmanie i olbrzymiej baraniej czapie, niosący naczynie z parującą zawartością przez ramię przewiesił naręcz lnianych szmat.

- Zbudzili się, a? - spytał jowialnie. - To i dobrze, bo jużem stracha o ciebie miał. Jak cię zowią młódko?

- Naikiru - wymamrotała; wargi były jak z drewna.

- Jam jest Dziecioł. Pokaż no się, niech zerknę, jak dzisiaj wyglądasz? Oj, gębusia cała w sińcach... Nic to, do wesela się zgoi.

Naikiru, nieco wystraszona, obmacała twarz, posykując, kiedy palce



natrafiły na opuchliznę i zdartą skórę - pamiątkę po uderzeniu ćwiekowaną rękawicą. Starzec przelał tymczasem część płynu z miski do kubeczka, po czym pomógł dziewczynie usiąść.

- Pij, ino pomału, cobyś się nie zadławiła. Krwie ci ubyło, a od tego napoju świeżej przybędzie.

Płyn był ciepły i lekko kwaskowaty. Napar z owoców głogu i czegoś jeszcze, czego nie rozpoznała. Dopiero po pierwszym łyku poczuła, jak bardzo była spragniona, i chciwie wychyliła resztę.

Starzec przyglądał się jej uważnie. Był wiekowy, lecz nie zgrzybiały; czarne oczy, osadzone głęboko w bliźniaczych gniazdach zmarszczek, iskrzyły się bystro. Pocięta bruzdami twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w ciemnym drewnie; obwisłe wąsy były białe jak mleko. Na szyi nosił dziwaczny naszyjnik z nanizanych na rzemyki zębów i kawałków kości. Znachor. Mam szczęście, pomyślała, że zna się na swojej robocie.

- Skąd się tu wzięłam? - spytała.

- Z lasu cię przynieśli. Bez ducha w krzaczkach leżałaś. Mało brakowało... No, dość gadania. Trza ci opatrunek zmienić.

Delikatnie odwinął zakrwawione bandaże i zmarszczył brwi.

- Napuchło. Znaczy, jątrzy się. - Cmoknął językiem. - Nic to. Nagotowałem chleba z pajęczyną. Wnetki wyjdzie z ciebie czemier. Nie minie tydzień, a tańcować będziesz... Tera zapiecze, ale ino ciut. Zewrzyj zęby.

Przemył szyję dziewczyny tym samym wywarem, którym ją poił, po czym obłożył ranki spleśniałym, ugniecionym chlebem i ponownie zabandażował. Stłuczenia na twarzy posmarował nalewką z arniki.

- No, nie wierć mi się, wierciuszku, ino śpij - pogroził jej żartobliwie palcem. - Makowym sokiem cię napoiłem, tylko patrzeć, jak ślipia zamkniesz. Najlepsza to driakiew, sen.

Poprawił jej przykrycie i odszedł, postukując kosturem. Naikiru posłusznie zamknęła oczy. Słyszała, jak znachor krząta się po chacie,

mamrocząc i brząkając naczyniami. Dźwięki oddalały się, zamazywały... Stopniowo pograżyła się w nieświadomości.

Kiedy znowu się zbudziła, w palenisku wesoło trzaskał ogień, do którego snadź niedawno dołożono drew. W kociołku nad ogniem bulgotało coś rozsiewającego ostrą woń dziegciu. Zasłona u wejścia była odsunięta, drzwi otwarte na oścież; na zewnątrz gwiazdy mrugały na granatowym niebie. Naikiru odrzuciła ciężką derkę. Czuła się dużo silniejsza. Krzywiąc się pomacała szyję. Bolało, ale nie tak strasznie. Rozejrzała się za swoim ubraniem. Leżało w nogach pośłania, starannie złożone. Przy okazji dostrzegła, że umeblowanie chatki jest dość skromne - koślawy stół, ława, zydel z ułamaną nogą, wysłana skórą prycza, na której zapewne sypiał starzec. Jej pościelono wprost na polepie, ale dzięki derce i baranicom nie czuła chłodu. Koszulę miała wilgotną od potu. Przydałoby się umyć.

Usiadła. Dopiero teraz zauważyła, że nie jest sama. Ktoś siedział za stołem w rogu izby, dokąd nie docierał blask płomieni.

- Jak długo spałam? - spytała, sądząc, że to starzec.

- Dzień, noc i dzień, odkąd cię tu przyniesiono.

Drgnęła. To nie był Dziecioł. Odruchowo zaciągnęła koszulę na piersiach.

- Nie wstawaj, dziewczyno, zrobisz sobie krzywdę. Leż spokojnie. Miał cichy, matowy głos. Mówił z akcentem, zniekształcając słowa. Nie wieśniak. Podróżny?

- Kim jesteś?

- Mam na imię Shay. Dlaczego wstajesz? Nie wygłupiaj się, nie jesteś jeszcze zdrowa. Dziecioł mówił...

- Czuję się dobrze.

Odwrócił wzrok, kiedy się ubierała. Gdy się schyliła, znowu zakręciło jej się w głowie, więc zrezygnowała z zakładania butów. Boso obeszała izbę, zaglądając we wszystkie kąty.

- Czego szukasz? Wody czy lustra?

- Nie chcę słyszeć o lustrach, dopóki nie zawrę bliższej znajomości z wodą - sarknęła.

- Na podwórku jest studnia.

Kiedy wróciła z mokrymi włosami, czując się znacznie lepiej, Shay kroił chleb.

- Dziękuję zszedł do wsi, wróci dopiero jutro - wyjaśnił, podając dziewczynie grubą kromkę. - Przysuń tu niebieski garnek, jest w nim zsiadłe mleko. I zamieszaj ten okropny wywar w kociołku, to musi się tak gotować do rana.

Jedząc, popatrywała na niego ciekawie. Shay. Dziwne imię. Szczupły, wręcz chudy, wyglądał na zaledwie parę lat starszego od niej. Wędrowny czeladnik? Jego odzienie było spłowiałe i zniszczone. Ale wyrażał się jak ktoś, kto uczęszczał do szkół. I ten trudny do umiejscowienia obcy akcent, z jakim mówił, diabelnie ją intrygował. Może poszukiwacz przygód - jakiś zubożały szlachecki syn... Tak, to nawet pasowało.

Ogorzała twarz o prostym nosie i wąskich, zaciętych ustach. Skąpy zarost. Krótko ostrzyżone ciemne włosy, gęste jak sierść. Odnotowała to wszystko ze spostrzegawczością właściwą Opowiadającym i spuściła głowę, zanim Shay zauważył jej spojrzenie.

Milczenie przedłużało się. Przerwał je młodzieniec: - Nie jesteś tutejsza, Naikiru. Prawda?

- Prawda.

- Tak też sądziliśmy. - Nagle sposepniał. - Skąd, na litość Boską, wzięłaś się w lesie?

- Podróżowałam... z ojcem. Napadnięto nas... - Przełknęła ślinę.

Przecież nie powiem mu prawdy, zawahała się. Nie uwierzy mi. Smok... wilki.. biały ryś...

Shay przyglądał się jej przenikliwie i nie do końca przyjaźnie.

- Więc to za ciebie oddał życie Tivonne - powiedział wolno, bardziej

do siebie niż do niej. - Niech to czart! Kim ty jesteś, Naikiru?

- A kimże mogę być? - odcięła się, nagle zagniewana. - Nikim!

- Nikim? - Zaśmiał się sucho. - Przeżyłaś spotkanie z Wilczarzem! Chcę wiedzieć, jak ci się to udało... i dlaczego mój przyjaciel zginął, broniąc cię.

Odwrócił głowę, przygryzając wargi. Naikiru powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem. Koło paleniska, przewieszony przez sznur, suszył się ciemnozielony płaszcz. Wyprano go, ale nie dość dokładnie; na suknie wciąż było widać brunatne plamy.

- Krew?... - spytała cicho.

- Tivonne'a. - Powiedział to zimno, nie patrząc na nią. - Tamtego wieczoru wyruszył jak zwykle na polowanie. Mogę tylko zgadywać, jak wszystko się rozegrało. Jednego nie mogę zrozumieć - czemu podjął walkę w twojej obronie? Przeciwno Wilczarzowi i całej jego sforcie?

- Mnie o to pytasz? Myślisz, że ja cokolwiek wiem?

- Tobie udało się przeżyć. - Jego głos przypominał lód. - Tivonne zginął, a ty po dwóch dniach zaczynasz wracać do zdrowia. Nie mogę tego pojąć! Leżałaś tam, w zaroślach, blada jak trup... leciałaś mi przez ręce, gdy cię podniosłem... Potem przyszła gorączka, przez kilkanaście godzin rzucałaś się w malignie, nawet Dziećcioł sądził, że już po tobie. Ale obudziłaś się i, dalibóg, nie wyglądasz, jakby spieszyło ci się do grobu.

Wzruszyła tylko ramionami.

- Ty mnie znalazłeś... w lesie?

- Ja. - Westchnął ciężko. - Chcesz wiedzieć, jak to było? Opowiem ci. W środku nocy w mojej głowie nagle zabrzmiał krzyk. Straszny, niepodobny do niczego. Rozbrzmiewał tylko przez moment, potem umilkł i więcej już go nie słyszałem. Od razu wiedziałem, że to Tivonne, że wezwał mnie ostatkiem sił, umierając... Zbudziłem Dziećcioła i ruszyliśmy z pochodniami na poszukiwanie. Świtało, gdy znaleźliśmy cię obok zwłok Tivonne'a. Naokoło leżały trupy wilków. Ty leżałaś jak martwa, ze śladami na gardle, które bardziej przypominały ukąszenia

węza niż wilka. Zgaduję, że Wilczarz próbował z ciebie wyssać życie. Nie wiem tylko, czemu nie dokończył dzieła. To nie my mu przeszkodziliśmy, bo oddalił się na długo przed naszym nadejściem. Wiem, że został ranny: jego krew wypaliła na ziemi czarne ślady, które rozpoznałbym wszędzie. Sęk w tym, że Wilczarz nigdy nie porzuca swoich ofiar, jeśli kołacze się w nich chociaż isierka życia! Musiał mieć jakiś szczególny powód, żeby cię nie zabijać. Jaki?

- Jedno wytłumaczenie mogę ci podsunąć od ręki - zgrzytnęła zębami.

- Jesteś dorosły, pomyśl. Żywe dziewczęta są pod pewnymi względami ciekawsze od martwych, tyle że tym razem zabrakło mu czasu na zabawę, albo przeszkadzała rana.. Ot i cała zagadka.

- Jeśli tak, nawet nie wiesz, jakie miałaś szczęście. Widywałem pozostałości jego... zabaw. - Shay potrząsnął głową głos mu się na moment zmienił. - Teraz coś mi wyjaśnij, Naikiru. Gdzie twój ojciec? Tylko nie kłam! Sama powiedziałaś, że podróżowałaś z ojcem. Co się stało? Czy to wilki?...

- Niezupełnie. - Uniosła głowę. - Mogę ci powiedzieć dokładnie, jak było. Ale obawiam się, że mi nie uwierzysz.

- To się okaże. Mów.

Trochę się jękając, opowiedziała o wszystkim, co wydarzyło się od chwili, gdy ona i Levayden dostrzegli ze szczytu połoniny dym. Kiedy doszła do momentu, w którym na porębie pojawił się czarny gad, głos jej się załamał. Shay obserwował ją z trudnym do określenia wyrazem twarzy. Nie odezwał się ani słowem. Poczekał cierpliwie, aż dziewczyna uspokoje się na tyle, żeby móc kontynuować.

Gdy relacjonowała, jak zginął Tivonne, jego kamienny spokój przysł.

- Jeden przeciwko całej zgrai wilków, tak? - warknął, zaciskając pięści.

- A ty próbowałaś uciec? Zostawiając go?!

- A co, twoim zdaniem, powinnam była zrobić?! - odkrzyknęła, rozzłoszczona nie na żarty. - Niech to szlag! Czy ja mam kły? Pazury?

Może wyglądam na golema-zabójcę?! Sam spróbuj stawić czoło zgrai wilków, mając za całą broń kawałek kija i ośmiocalowy sztylecik! Stawiam dukaty przeciwko grochowinom, że zachowałeś się tak samo jak ja!

- W porządku. Przepraszam. Oczywiście, masz rację. - Shay uniósł dłonie, powstrzymując potok jej wypowiedzi. - Zrozum, Naikiru, ja wciąż nie mogę pojąć... nie mieści mi się w głowie... dlaczego Tivonne stanął w twojej obronie. Dlaczego tak kompletnie głupio, bez sensu... Bo przecież musiał sobie zdawać sprawę...

- Może właśnie nie? Może z początku sądził, tak jak ja, że wilków jest tylko garstka?

- Wykluczone. Nie znałaś Tivonne'a. Na pewno wiedział dokładnie, ilu ma przeciwników łatwo się ukryć przed wzrokiem człowieka, ale przed węchem rysia trudniej. Już prędzej uwierzę, że to pragnienie, by za wszelką cenę dopaść Wilczarza, odebrało mu rozsądek. Mamy... mieliśmy... zadawnione porachunki z Wilczarzem, ale to długa historia, nie będę się w nią teraz wgłębiał. Tyle ci powiem: przyjdzie taki dzień, kiedy Wilczarz zapłaci mi z nawiązką za wszystkie swoje zbrodnie. - Shay zacisnął pięści tak mocno, że dał się słyszeć chrzęst knykci. - Przysięgam!

- O coś cię zapytam, Shay. Mogę? - Naikiru zebrała się w końcu na odwagę. - Ty też nie pochodzisz z Gór Ciszy. Nie myśl, że nie zauważyłam. Nie jestem głucha ani ślepa. Przybyliście z Tivonne'em w te strony, żeby się rozprawić z Wilczarzem? Jesteś łowcą nagród?

- Tobie się nie będę tłumaczył. Ani z tego, kim jestem, ani z tego, po co tu jestem. - Wstał gwałtownie, aż zadzwoniły naczynia na stole.

Naikiru też się zerwała.

- Dokąd idziesz? A niech cię! Zaczekaj! - Zastąpiła mu drogę, opierając ręce na biodrach. Shay na próżno usiłował ją wyminąć. Okazał się niższy, niż sądziła; mogła popatrzeć mu w oczy nie zadzierając głowy.

Były ciemne jak bagienna woda. Niespokojne oczy, uparcie umykające

spojrzeniem w bok.

- Zachowaj sobie swoje tajemnice, nie jestem ciekawa! Ja chcę tylko wiedzieć, co tu jest, psiakrew, grane! Kto porwał mojego ojca? Na pewno to wiesz! Nie wierzę, że nie!

- Nic nie wiedzieliście, idąc tu? - odpowiedział pytaniem Shay. - Nie słyszeliście po wsiach żadnych plotek? Nie ostrzeżono was?

- Nie miał nas kto ostrzec! Od tygodnia wędrowaliśmy lasami, nie spotykając żywej duszy. Shay, odpowiedz mi! - Chwycała go za rękę; zaskoczony, bezskutecznie usiłował się wyrwać. - O co w tym wszystkim chodzi? Na Otchłań! Kim lub czym był ten czarny gad? Jakie jeszcze zło, poza Wilczarzem i jego sforą, gnieździ się w tych przeklętych górach?!

Na zewnątrz, gdzieś bardzo daleko, odezwało się znajome, posępne wycie. Shay z powrotem usiadł na ławie, przygarbił się jak ktoś, kto dźwiga na barkach ciężar.

- Mormeac. - Kiedy padło to imię, Naikiru odniosła wrażenie, że cienie w izbie zgęstniały. - On i Wilczarz są ulepieni z tej samej gliny. Władają teraz zamkiem Gleyarvaigh... o ile można to nazwać władaniem. Gnieźdzą się w ruinach niby dzikie bestie: księżę ciemności i jego wierny uczeń.

- Mormeac - powtórzyła wolno dziewczyna. - W mowie magów to znaczy: ten, który szczuje zmory...

- Znasz mowę magów?

Poniewczasie ugryzła się w język.

- Tylko kilka słów. Mój ojciec był Opowiadającym. Nauczył mnie tego i owego.

Shay kiwnął głową. Trudno powiedzieć, czy jej uwierzył, ale nie zadawał dalszych pytań.

- Dawno temu Mormeac i Wilczarz byli zwykłymi ludźmi - kontynuował przerwany wątek. - Potem przebudziła się w nich czarna moc i stali się ka-ira, skażonymi magami. Przybyli tu z odległych stron, wyjęci spod prawa, ścigani. Znaleźli schronienie w opuszczonym

zamczysku... Teraz kpią sobie ze sprawiedliwości. Takich jak oni tępi się wszak we wszystkich Siedmiu Krainach, zgodnie z nakazem Świętej Księgi, bowiem naruszają Ekwilibrium... to znaczy, równowagę świata...

- Wiem, co to takiego Ekwilibrium, nie musisz mi robić wykładu. Słyszałam o czarnej i srebrnej magii. Wyjaśnij mi co innego. Czy ten Mormeac ma na swoje usługi olbrzymiego latającego jaszczura?

- Nie. On sam potrafi przybierać postać dowolnego zwierzęcia, a ma sentyment do gadów. Jak większość ka-ira zresztą. Nieprzypadkowo mówi się o nich: żmije, potomstwo pradawnego Węża... Wiem, o co za chwilę zapytasz, Naikiru, więc odpowiem zawczasu. Tak, Mormeac pod postacią latającego jaszczura pali chaty i napada na ludzi.

- Po co? Jaki ma w tym cel?

- Kto to może wiedzieć? Celem i sensem istnienia ka-ira jest czynienie zła. Na wszelkie możliwe sposoby. Mormeac dąży, zdaje się, do tego, żeby wioski wokół Gleyarvaigh doszczętnie się wyludniły, a nie wiadomo, jakimi jeszcze sztuczkami zabawia się po kryjomu. Nocami nad zamczyskiem widać z daleka łunę. Może zamierza tam wyhodować armię podobnych do siebie potworów i przejąć władzę nad całymi Górąmi Cisy. Kto wie?

Naikiru potarła czoło.

- Uczono mnie swego czasu, że na południu, nad Zatoką Snów, istnieje potężny zakon srebrnych magów...

- Elita.

- Właśnie, Elita. Oni zajmują się pilnowaniem Ekwilibrium. Dlaczego do tej pory nie zrobili porządku z tym całym Mormeacem? Czy nie wiedzą, co tu się dzieje?

- Mormeac ukrywał się latami, póki jego czerń nie stała się tak silna, że srebro w jego otoczeniu gaśnie jak zdmuchnięta świeca. Srebrni magowie nie są w stanie go pokonać, nie są w stanie nawet zbliżyć się do niego. Nie, jeśli jest jakaś nadzieja, to nie w czarach Elity... Hola,



dziewczyno, ty się dobrze czujesz?

- W miarę.
- Cała drzysz. Chcesz moją kurtkę?
- Nie trzeba.

W oddali wilki wyły coraz głośniej. Shay zatrzasnął drzwi chaty i zaciągnął zasłonę. Unosząca się z kociołka woń przybrała na sile. Naikiru otarła nadgarstkiem perlący się na czole pot.

- Co oznaczają te miłe dźwięki? Wilczarz znowu wyruszył na łowy?

- Owszem. Przed świtem będą kolejne ofiary. Dla tutejszych ludzi to nic nowego. Odkąd zło załęgło się w Gleyarvaigh, nie ma nocy, żeby ktoś nie postradał życia. Jak podczas zarazy. Wilczarz poluje na tych, którzy nie zdążyli przed zmierzchem schronić się w czterech ścianach... A na tych, co w porę pochowali się po domach, Mormeac ma inne sposoby.

- Zmory.

- Jakbyś zgadła. Zmory. Wstrętne nocne stworzenia, przed którymi nie chronią amulety ani żelazo. Potrafią się wśliznąć przez komin, szparę pod drzwiami, ba - nawet przez dziurkę od klucza. Zsyłają choroby, majaczenia, porywają dzieci...

- Po co?

- Podobno Mormeac eksperymentuje na nich. A może po prostu poi się ich krwią jak w strasznej baśni... Nie wiem. Obaj z Wilczarzem są siebie warci, z tą różnicą że Mormeac włada dziesięciokrotnie większą mocą.

- Dlaczego Dzieciół zszedł do wsi? - spytała Naikiru lekko drżącym głosem. I usłyszała to, czego się spodziewała.

- Służki Mormeaca nawiedziły wczoraj dwa domostwa. Zabrały niemowlę. Kilkoro ludzi gorączkuje; nie wiadomo czy dożyją świtu. Dzieciół zna różne maści i zamawiania, ale zwalczać czarną moc ziołami to jak kruszyć słomką skały. Współczuję mu.

- Wieśniacy tak po prostu, obojętnie, dają się gnębić? Nie próbowano...

- Dziecko z ciebie. Oczywiście, że próbowano. Byli już tacy, co się

wyprawiali do Gleyarvaigh. Młodzi śmiałkowie z wioski, wędrowni zabijacy, nawet jeden egzorcysta.. Nikt nie wrócił.

- Może potrzeba żołnierzy. Całej armii.

- Czyjej? Księcia? Nie rozśmieszaj mnie. Książę mieszka w swoim białym zamku daleko stąd i figę go obchodzą jakieś Góry Ciszy. Ot, jeszcze jedna nazwa na mapie.

- No to może pewnego dnia bogowie tupną nogą i powiedzą: dość. Zjawi się tu jakiś bohater, jak ze starych ballad, i zaprowadzi porządek...

- Może... - Młodzieniec zamilkł, pogrążając się w myślach.

Naikiru oparła głowę na rękach. Nie czuła się dobrze Wstrząsały ją dreszcze; w szyi pulsował coraz silniejszy ból, jakby nałożono jej obrozę z cierni. Pobladła. Shay zauważył to.

- Kładź się. Musisz odpocząć. Porozmawiamy jutro



Dzięcioł wrócił dopiero nazajutrz o zmierzchu, zmęczony i zrezygnowany.

- Pomarli - uprzedził z goryczą pytanie, które zamierzali mu zadać. - Pomarli wszyscy. I Liszka, i Orzech, i Trzcina, kowalów córka, i młody Sarna, i stara Gzegzółkowa... Nic żem poradzić nie mógł. We wsi teraz wielgi płacz, a na czarnym zamku, dumam, wielgie świętowanie. Bodajby Otchłań pochłoneła Mormeaca i jego sługi... Tfu! - Splunął. - Daj mi jakiej strawy, Shay, bom od wczoraj nic w ustach nie miał.

- Niepodobna dłużej zwlekać - powiedział cicho Shay, gdy starzec skończył jeść. - Mormeac coraz bardziej się rozzuchwała, a każda uśmiercona ofiara powiększa jego siły. Nie mam wyboru. Teraz albo nigdy.

- Prawyś. Tera albo nigdy. - Znachor, zasępiony, szarpnął wąsy. - Pozierałem dzisiaj skoro świt na niebo i wiesz, com ujrzał? - Zrobił pauzę

dla podkreślenia wagi swych słów. - Królowej powietrznej sprzykrzyło się beczynn timer tkwić z boku. Tylko patrzeć, jak wyśle swe wojska przeciwko czarnemu zamkowi. Co tak patrzysz? Stary Dziecioł wie, co gada! Za dwa lubo trzy dzionki pocznie się tu kotłowanina, że hej! Pioruny, grad a wiater, co drzewa z korzeniami wrywa...

- Śmieszne. Potęga burzy przeciwko kamieniom Gleyarvaigh? Feanmuile od Przewtworzy naprawdę wierzy, że Mormeac złąknie się garstki sylfów?

- Nie wiem ja, w co wierzy królowa powietrzna, ale na twoim miejscu nie machałbym ręką ino siadł, a głową porządnie ruszył. Jaki pożytek z burzy? Ano taki, że burza ślady zaciera. Łacniej się w czas niepogody niepostrzeżenie przemknąć... Pojmujesz?

- Teraz tak. - Shay nerwowo przejechał dłonią po przypominających sierść włosach. - Czyli mam jeszcze jeden powód, żeby się spieszyć. Właśnie pomogłeś mi podjąć decyzję. Ruszam jutro.

- Sam?

- Nie. Z nią.

- Z tą... - Znachor na moment zaniemówił.

- A mam wybór?

Obaj popatrzyli w tym samym kierunku. Naikiru, która przespała prawie cały dzień, teraz kuliła się przy palenisku. Owinęła się w pożyczoną od Dziecioła pasterską kurtę i serdak, a i tak szczykała zębami. Na policzkach miała wypieki. Gorączka znowu rosla.

Dziecioł zmarszczył brwi.

- Złe ją skąsało... Po mojemu, nie trza tej dziewczce ufać.

- Nie mam wyboru, ojcz. Nie ma już Tivonne'a. Nie mogę iść sam.

- Co prawda, to prawda. - Starzec ciężko westchnął. - Nie możesz samojeden...

Naikiru wyczuła skierowane na siebie spojrzenia.

- O co chodzi? - spytała, podchodząc. - O czym rozmawiacie?

- Jak się czujesz? - chrząknął znachor. - Boli?

- Nie - skłamała, macając opatrunek. - Co się stało? Czemu macie takie dziwne miny?

Shay popatrzył na Dziećcioła. Dziećcioł na Shaya. Młodzieniec wziął głęboki oddech.

- Jutro wyruszam do Gleyarvaigh.

- Żartujesz. - Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie.

- Bynajmniej. Usiądź. To temat na dłuższą rozmowę.

- Do pioruna! Nic mnie już nie zdziwi. - Naikiru ciężko opadła na ławę. Patrzyła na Shaya takim wzrokiem, jakby nie była pewna, czy ten ma wszystkie klepki w porządku. - Chcesz sobie popatrzeć z bliska na Mormeaca, czy jak? Marzy ci się śmierć w smoczej paszczy?

- Mam zamiar go zabić.

- Żartujesz - powtórzyła, ale już z mniejszym przekonaniem. Coś zaczynało jej świtać. - Kim... kim ty właściwie jesteś?

- Słyszałaś kiedyś o Matkach Żywiołów, Naikiru?

- Pewnie. - Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. - Lev... ojciec uczył mnie o nich. - Przymknąwszy oczy, zaczęła mówić takim tonem, jakby recytowała lekcję: - Jest ich cztery. Opiekują się żywiołami, każda swoim: Maryan wodą, Ineth ogniem, Feanmuile powietrzem, Edea ziemią. Można powiedzieć, że dbają o równowagę świata, ale w inny sposób, niż to czynią srebrni magowie. Moc Matek nie jest bowiem ani srebrna, ani czarna. Ich sługami są żywiołaki...

- Dobrze, dobrze. Widzę, że się orientujesz w temacie. Tym lepiej. Widzisz, Naikiru - ja służę potędze ziemi. Jestem wysłannikiem Edei, Pani Liścia. Niektórzy powiedzieliby: rycerzem Edei.

Zaśmiała się lekceważąco.

- Rycerzem, co? Wolne żarty! Gdzie twój miecz, gdzie tarcza, gdzie zbroja?

- A znak, który on ma na ręku, widziałaś kiedy? - rzucił ze

zniecierpliwieniem milcząco dotąd Dziecioł. - Pokaż jej, chłopcze.

Shay wyciągnął prawą rękę. We wnętrzu dłoni widniała srebrzysta, dawno zagojona blizna - trójkąt z wpisaną weń pionową linią. Naikiru zamrugła oczami.

- Piętno? Ale dlaczego...

- Nie piętno. Znak Edei. Wierzaj mi, wielki to honor nosić go. Tarcze! Zbroje! - Starzec prychnął z irytacją. - Ech, niepotrzebnie my z tobą gadamy, dziewczko. Ty z nim nigdzie nie powędrujesz, jakem Dziecioł.

- Pewnie, że nie powędruję! - Urwała. Dotarł do niej sens wypowiedzianych słów. - Mór i zaraza, Shay! Ty chciałeś... Myślałeś, że...

Głos zamarł jej w gardle. Shay obserwował ją bez drgnienia - Zaciągnęłaś olbrzymi dług, Naikiru, ale masz szansę go spłacić. Zajmij miejsce Tivonne'a. Stań razem ze mną do walki z Mormeacem.

- Kpisz sobie.

- Bynajmniej.

- Sam naopowiadałeś mi o Mormeacu niestworzonych rzeczy: jaki to jest potężny i straszliwy. Otwórz oczy, człowieku! Nie jestem taka jak Tivonne. Nie umiem ani czarować, ani walczyć. Do czego mogę ci się przydać?

- Nisko się cenisz, Naikiru. - Shay nieznacznie się uśmiechnął. - Pamiętasz Wilczarza? Jemu bardzo, ale to bardzo się przydałaś. Wiesz, do czego?

- Dlaczego to mi zrobił... - Naikiru dotknęła obandażowanej szyi. - Chyba się domyślam. Ale wyjaśnij.

- Chciał razem z krwią przejąć twoją siłę życiową. To stary sposób, prymitywny... Ale Wilczarz zawsze miał słabość do smaku krwi. Nie w tym rzecz. Magia, widzisz, to wyczerpująca zabawa. Zaklęcia bezpośrednio, fizycznie osłabiają ciało, a przy tym nawet lekka rana zmniejsza możliwości maga nieproporcjonalnie bardziej, niż zwykłego człowieka. Dzięki twojej sile ranny Wilczarz szybko odzyskał sprawność.

Mnie też może się w Gleyarvaigh przydać podobna pomoc.

- Gadasz i gadasz, a starczyło powiedzieć jedno zdanie. Potrzebujesz żyły.

- Żargonowe określenie, ale oddaje sedno sprawy.

- Też pijasz krew? - Odsunęła się odruchowo, tak aby dzieliła ich całą długość stołu. - Jesteś ka-ira?!

- Nie i nie.

- To ciekawe! Bo jak rozumiem, chcesz się z Mormeacem na czary mierzyć. A na srebrnego maga jakoś mi nie wyglądasz!

- Spójrz mi w oczy. Czy widzisz pionowe źrenice? Chcesz sprawdzić, czy mam nad sercem znamię? Nie jestem ani srebrnym, ani czarnym magiem, Naikiru. Dość już o tym.

- A jak to się dzieje, że złe nie ma przystępu do tej chaty, podczas gdy w wioskach umierają ludzie? - nie dawała za wygraną. - Zeszłego wieczoru siedzieliśmy tu, a drzwi były otwarte na oścież! Dlaczego nie obawiacie się zmor?

Tym razem odezwał się starzec: - Wysłannika Edei złe się nie ima, a ja... ja mam swoje sposoby. Ot, pojrzyj, nade drzwiami pęk przytulii wisi, i ja także zawdy za pazuchą przytulie noszę. Nie, stary Dziecioł czarowników w chacie nie potrzebuje, by się od zmor obronić. Szkoda ino, że mym dziatkom z doliny przytulia żadnej ochrony nie daje. Samo ziele nie wystarczy, trza tajemne słowa znać, co niewzwyczajonemu gardło w mig spalą kiej suchą trzaskę...

Naikiru już go nie słuchała. Zwróciła się na powrót do Shaya: - Dlaczego ja? Dlaczego nie weźmiesz kogoś ze wsi?

- Wykluczone. Tutejsi to krzepki ludek, ale żyły z nich żadne. Jeśli mam wybierać, wolę ciebie.

- Że niby ja mam więcej siły życiowej? DUBY smalone pleciesz!

- Nie do końca chodzi o samą siłę, wiesz? Bardziej... jakby ci wyjaśnić... o dostępność. Nie z każdego człowieka da się czerpać, niektórzy są jak

zapięczętowane naczynia, podświadomie stwarzają coś w rodzaju mentalnej bariery. Ty należysz do mniejszości, która tego nie robi. Teraz już pojmujesz, dlaczego twierdzę, że możesz się okazać cenna?

- Dziewka więcej rozumu ma od ciebie, Shay - mruknął gderliwie znachor. - Żyła! Na kawki i pijawki! Tyle pożytku z niej mieć będziesz, co z próżnej łupiny. Wszak ją Wilczarz prawie do cna wyssał, bez ducha ostawił. Jaka z niej tera żyła? Może za miesiąc, dwa, kto wie...

- Mogę? - spytał niespodziewanie Shay, wstając. Skinęła głową nie wiedząc, czego właściwie tyczy się pytanie. Szybko przyłożył dłonie do jej skroni.

Naikiru drgnęła przestraszona. Niepotrzebnie. Nie poczuła bólu, tylko lekki chłód i mrowienie.

- Nie jest aż tak źle - uśmiechnął się Shay, zabierając ręce. - Fakt, nie odbudowała jeszcze rezerw, ale wygląda to dużo lepiej, niż można by przypuszczać. Tych parę dni, których potrzebujemy na dotarcie do Gleyarvaigh, w zupełności wystarczy, żeby odzyskała formę.

- Po mojemu: nie cuduj ty lepiej, ino ruszaj sam.

- Niby dlaczego?

- Głupiś, synu, tyle ci rzekę! - sarknął Dziecioł. - Rezerwy? Plewy! Ona przecie nie ozdrowiała jeszcze. Bacz, od nowa ją goręta łapie. Co poczniesz, kiej ci zesłabnie na szlaku?

- No, tak. Mamy jeden poważny argument przeciw. - Shay spojrzał na dziewczynę. - Naikiru? Co ty na to? Cztery dni pieszo przez las, czasem stromo pod górę. Dałabyś radę?

- Też pytanie - obruszyła się. - Nie jestem obłożnie chorą staruszką! Pewnie, że dałabym radę. Ale i tak możesz sobie swój pomysł wybić z głowy, mości rycerzu. Daj się zabić, jeśli wola, ale mnie do swoich wariactw nie mieszaj.

- Już zostałaś wmieszana, czy ci się to podoba, czy nie. - Jego głos nagle stwardniał. - Myślisz, że udało ci się wyrwać z łap Wilczarza? Mylisz się...

owieczko. Mówiłem, on nigdy nie porzuca żywych ofiar. Prędzej czy później przypomni sobie o twoim istnieniu i wyruszy, żeby dokończyć dzieła. Mnie na twoim miejscu nie uśmiechałoby się bezczynne czekanie, ale to twoja rzecz. Dług życia, który zaciągnęłaś względem Tivonne'a, też jest wyłącznie kwestią twojego sumienia. Ja pozwolę sobie przypomnieć ci jeszcze o czymś. Pomyśl o swoim ojcu.

- A co tamta sprawa ma do tej?! - prawie krzyknęła. Teraz naprawdę wytrącił ją z równowagi.

- Ma bardzo dużo. Skoro został porwany, jest szansa, że więżą go teraz w Gleyarvaigh. Żywego. Przemyśl sobie to wszystko, Naikiru. Różnica między mną a moimi wrogami polega na tym, że ja nie zamierzam cię do niczego zmuszać. Jeśli masz się do mnie przyłączyć, to tylko z własnej woli. Zastanów się... i zdecyduj.

- A ja powiadam, że lepiej ci będzie iść samemu - powtórzył z uporem znachor.

- Słyszałem za pierwszym razem. Naikiru?

Dziewczyna spuściła głowę.

- Za chwilę. Daj mi pomyśleć.

Dzięcioł uśmiechnął się pod wąsem, ale tak, że żadne tego nie spostrzegło.



# Szlak

Kręta ścieżyna wiodła przez pachnące macierzanką łąki. Przygrzewało słońce. Góry spowijała błękitna mgiełka, pozwalająca mniemać, że pogoda się utrzyma. Cisza aż dzwoniła w uszach.

Naikiru pogwizdywała pod nosem. Czuła się całkiem dobrze. Gorączka przez noc opadła i z każdym haustem świeżego powietrza dziewczynie wracały siły. W jasnym świetle dnia trudno było się czegokolwiek obawiać; wilki, zmory, czarna magia - wszystko to wydawało się odległe, prawie nierealne. O tym, że wydarzenia ostatnich dni nie były jedynie snem, przypominał jednak bandaż na szyi - i obecność towarzysza.

Shay nie był gadatliwy jak Levayden, wręcz przeciwnie. Raz pogrążywszy się w myślach, zamilkł na długo. Bardzo szybko przestała się czuć z tego powodu nieswojo. Nie zachowywał się wrogo. Traktował ją jak powietrze, ale to mogła zrozumieć. Wciąż jeszcze obarczał ją winą za śmierć Tivonne'a. Domyślała się, że w głębi duszy obwiniał też siebie. Intrygowało ją co innego.

- Rycerz Edei, a niech mnie gęś kopnie - mruknęła pod nosem, gdy szli przez łąn rdzawych traw, falujących jak morze. Też mi, psiakrew, tytuł, zżymała się w myślach. Przyodziejek łątany, kostur w ręku, nóż w cholewie. Po mojemu, tak się nie nosi ani rycerz, ani czarodziej, wszystko jedno jakiej barwy. Czyżby oszust? Ale czemu i on, i znachor mieliby mnie okłamywać? I mam jeszcze wierzyć, że wyruszyliśmy, by walczyć z potężnym czarnym magiem. Ot, tak sobie. Równie dobrze moglibyśmy iść na majówkę! O co w tym wszystkim chodzi?

Ale im dłużej się głowiła, tym bardziej stawało się jasne, że nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytania. Przynajmniej na razie.

Koło południa zatrzymali się na dłuższy odpoczynek. Shay wyjął z plecaka chleb i bryndzę, podzielił sprawiedliwie na dwie porcje. Jedli nie

odzywając się.

- Przed nami wioska - przemówił niespodziewanie, kiedy późnym popołudniem schodzili z połoniny. - Widzisz w dole strzechy?

- Aha. - Naikiru zmrużyła oczy. - Wygląda jak wymarła. Nawet psy nie szczekają...

- Po zachodzie słońca nikt tu nie wystawia nosa za próg, a i za dnia czynią to niechętnie. Pora zejść ze ścieżki, Naikiru. Ominiemy wioskę. Lepiej się trzymać z dala od ludzkich oczu.

Nocować wypadło im na dnie zarośniętego olszą jaru. W wilgotnym cieniu bujnie pleniły się pokrzywy, niecierpek o bladożółtych kwiatach, dziki chrzan i pachnący szalej.

- Otwarty teren - mruknęła dziewczyna, rozglądając się niespokojnie. - Zaraza, nie podoba mi się to. Dla sfory Wilczarza jesteśmy tu niczym szperka na talerzu...

Shay, zajęty łamaniem gałęzi na ognisko, wzruszył ramionami.

- Ostatnimi czasy Wilczarz woli polować w sąsiedztwie ludzkich sadyb; łatwiej tam o łup. Ale gdyby nawet nas tu wytropił, nie sądzę, żeby odważył się zaatakować.

- Skąd wiesz?

- Znam go, a on zna mnie. Spotkaliśmy się już kiedyś twarzą w twarz. Wie, na co mnie stać, bo zostawiłem go wtedy ledwie dychającego, sądząc, że nie wyżyje. - Słyszalnie zgrzytnął zębami. - A zresztą niech spróbuje, jeśli jest aż tak głupi. Z rozkoszą pokażę mu, ile jest wart on i jego kundle. - Z trzaskiem złamał na kolanie gruby patyk.

Jego chłodna pewność siebie nie sprawiała wrażenia udawanej. Naikiru poczuła się trochę spokojniejsza. Ale tylko trochę.

- Myślę, że powinniśmy na zmianę czuwać. Na wszelki wypadek.

- To nie ulega kwestii. Chcesz pierwszą wartę?

Zgodziła się. Nie czuła senności.

Noc nie była specjalnie chłodna, a jar chronił od wiatru. Nic nie

poruszało się w mroku, nawet liście nie szeleściły. Shay, zawinięty z głową w opończę i koc, oddychał równo. Naikiru otoczyła ramionami kolana. Drżała, ale nie z zimna. Wspomnienia, nieproszone, powracały. Levayden... - Jego żarty; szorstka dłoń mierzwiąca jej włosy; ciepły, aksamitny głos intonujący kolejną Opowieść... Łzy napłynęły falą. Nie powstrzymywała ich. Płakała bezdźwięcznie, przyciskając dłonie do ust, wpatrując się otwartymi oczami w ciemność.

Przez cały drugi dzień wędrowali borem, nie napotykając - żywej duszy. Na niebie czasem kołowały kruki; ich ochryple głosy niosły się z wiatrem. Shay zatrzymywał się wtedy i rozglądał niespokojnie.

- Czego tak wypatrujesz? - nie wytrzymała za którymś razem dziewczyna. - Boisz się, że ktoś nas obserwuje?

Nie odpowiedział. Zmrużył oczy, osłaniając je dłonią. Stali na niewielkim pagórku; wszędzie naokoło rozpościerała się ciemna zieleń buczyny. Ścieżka biegła w lewo, trawersując strome zbocze kolejnego, dużo wyższego wzniesienia. Po prawej stronie teren mocno się obniżał. Zagłębienie zasłaniały drzewa, a nad tymi drzewami krążyły ptaki. Dużo ptaków.

- Gdzieś w tej gęstwinie leżą resztki z wilczego polowania - mruknął ponuro Shay. - Może to jeleń albo dzik... Ale nie sądzę. Raczej pechowi podróżni.

- Idziemy tam?

- Nie.



Na dnie kotlinki czerniała zwarta jak mur płatanina jeżyn, tarniny i obłamanych gnijących gałęzi. Jeźdźcy, którzy na oślep przedzierali się przez las, próbując ująć pogoni, ugrzęźli w tej kolczastej pułapce i już się

z niej nie wydostali.

To stało się przed dwoma dniami. Krew, która obficie zbryzgała ciernie i trawę, dawno zdążyła zbrunatnieć.

Konie upadły pierwsze, z rozszarpanymi brzuchami, ale nie konały długo; wilki natychmiast przegryzły im gardła. Podczas szamotaniny padł też jeden potężny basior, z czaszką roztrzaskaną kopytem. Ludzie, gdy śmierć zajrzała im w oczy, mimo wszystko próbowali się bronić. Mieli miecze i walczyli mężnie. Cóż, kiedy niewiele im z tego przyszło.

W podziemiach swojej siedziby pan czarnego zamku nie posiadał się z radości. Cudzoziemcy! Szlachta! Aż trzech za jednym zamachem! Nie pamiętał, kiedy ostatnio trafiła mu się taka gratka.

Gdy o świcie wilki przyniosły wiadomość, że polowanie się powiodło, Mormeac pod postacią smoka osobiście wyruszył, żeby przynieść cenną zdobycz na zamek. Po prawie dwudziestu godzinach od śmierci nie tylko ich mózgi, ale i inne organy wewnętrzne już z pozoru do niczego się nie nadawały. Jednak Mormeac był zdolnym nekromantą.

Przybrawszy na powrót ludzki kształt, rażno zabrał się do pracy. Rozkazał, by zmarłych obmyto, przewiązano ich rany i złożono ciała w laboratorium. Osobiście wykadził tam siarką i ziołami oraz naszykował potrzebne narzędzia. Gdy już wszystko było gotowe, zapłonęły świece - sześć czarnych i jedna biała. Srebrny, pokryty inskrypcjami skalpel błysnął i został ubroczony. Przy wtórze wielu mamrotanych formuł pierwsze wyjęte ze zwłok serce pomału zwęglił żar paleniska.

Mormeac białą chustą starannie wytarł skalpel i dłonie. Czekał, co jakiś czas rzucając na węgle odrobinę kadzidła, żeby stłumić przykrą woń palonego mięsa.

Słońce jeszcze nie zdążyło się dobrze skryć za horyzontem, gdy dotychczasowy właściciel serca odchrząknął i przemówił. Bełkotliwie, lecz zrozumiale: - Czego żądacie, panie?

- Mów - rozkazał Mormeac. - Coście za jedni? Dokąd zmierzaliście?

- Za życia zwano mnie szlachetnie urodzonym Bertoldem z Kel - odparł natychmiast zmarły. - Moi towarzysze to bard Jaquin oraz Żuk, mój giermek. Zmierzaliśmy do Gleyarvaigh, lecz zboczyliśmy z traktu i pobłądziliśmy w górach. Błąkaliśmy się już trzeci dzień, gdy napadły nas wilki. - Choć w obrzmiałym i pokrytym plamami obliczu Bertolda nie zaszła przy tych słowach żadna zmiana, jego monotonny głos zadrżał i załamał się, gdy powróciło wspomnienie przegranej walki o życie.

- W jakim celu jechaliście do Gleyarvaigh? - indagował dalej żmij.

- Miałem zamiar zabić was, panie, i zawieźć waszą głowę na księżęcy dwór. Uczyniłem ślu... by... - Spomiędzy sinych warg Bertolda nagle pociekł ciemny płyn, skapując na stół i posadzkę. Rycerz umilkł i już więcej się nie odezwał.

- Weźcie go - rozkazał Mormeac dwóm służącym, którzy, niemi i nieruchomi jak posągi, stali przy drzwiach laboratorium, czekając na rozkazy. - I dajcie tu tego drugiego.

Bard Jaquin - pulchny człowieczek o wyłupiastych oczach, teraz zaszklonych i mętnych - okazał się bardziej rozmowny. Jak to bard.

- Pragnąłem napisać pieśń o waszej śmierci, panie - wyznał, gdy tylko żarzące się węgle obróciły jego serce w popiół. - Gdyby Bertold zasłynął w księstwie jako smokobójca, niechybnie obsypałby mnie złotem... Zakochał się, widzicie, w pewnej damie, która z kolei życzyła sobie sławnego małżonka. Historia stara jak świat... Szkoda tylko, że tym razem wszystko skończyło się tak brzydko. Zadaliście nam okrutną śmierć, panie!

- Nie przeczę. - Mormeac w zadumie pogładził brodę. - Nie lubię intruzów. Prawdę mówiąc, bardziej, ja jeszcze z wami nie skończyłem. Okrutna śmierć, powiadasz? Mam dla ciebie nowinę. Śmierć - to był dopiero początek...

Klasnął w ręce. Słudzy przynieśli miedziane naczynie pełne czarnych, obłych kształtów długości małego palca. Bard, będący najwyraźniej

człowiekiem czytany, zmiarkował, co się święci; próbował krzyknąć, ale z jego ust wydostało się tylko ochryple westchnienie.

- Infekujcie - rozkazał żmij. - Obydwu. I dajcie na stół tego trzeciego.

- Z chłopaka niewiele wyciągniesz - odezwał się od strony drzwi melodyjny głos. - Z przyczyn niejako technicznych. Wilki rozszarpały mu krtań.

Mormeac zastanowił się.

- Skoro tak, niech dostaną go zmory - zdecydował.

Kobieta, która weszła do laboratorium, skłoniła się. Nawet w zadymionym półmroku jej ciężka brokatowa suknia iskrzyła się, jakby była wyszywana nitkami ognia. W ciasno splecionych czarnych włosach szkarłatniał kwiat dzikiej róży.

- Czy mam przekazać twoje polecenie dozorca zmor?

- Później, Przeszłość. Teraz zostań i patrz. Chcę, żebyś była obecna, kiedy zainfekowani zaczną wieszczyć.

Słudzy pęsetami ostrożnie brali z naczyń czarne przedmioty i kładli je na zwłokach Bertolda oraz barda. Ten drugi, jeszcze nie całkiem uwolniony spod wpływu zaklęcia, które zmuszało do mówienia, raz po raz otwierał i zamykał usta; wytrzeszczone oczy upodabniały go zupełnie do żaby. W chwili zetknięcia się z obnażoną skórą nasiona padlinożernego pnącza olotah budziły się do życia, wypuszczając długie ssawki, które błyskawicznie pogrążyły się w ciele. Skończywszy, na skinienie Mormeaca słudzy cofnęli się pod ścianę.

Ze stojącego na stole puzdra żmij wyjął teraz dwie alabastrowe fiołki i wylał z każdej po kilka kropel na węgle w palenisku. Zasyczało, wzniósł się zielonkawy opar o odurzającym zapachu. Mormeac rozpoczął skomplikowaną inkantację; na jego czole perlił się już pot. Stojąca bez ruchu Przeszłość sennie mrużyła oczy.

Pod skórą zmarłych coś zaczynało falować; sine plamy pełzły po ramionach i nogach. Nagle Bertold z Kel zakaszał i rozwarł powieki.

- Ogg - wybełkotał. - Ggg... aa... Boli...

- Nie boli - zaprzeczyła z uśmiechem Przeszłość. - Jak może boleć? Ty przecież nie żyjesz.

- Sza... rość - mamrotał dalej rycerz. - Wszystko sza... re... Popioły... Gdzie jestem? Czy to Otchłań?

- Bredzi - skonstatował z niezadowoleniem Mormeac. - Z niektórymi tak już jest, niestety. Zamiast wieszczyć, opisują mi swoje doznania. Ha, trudno, spróbujmy z tym drugim. Mości Bertoldzie, milcz! Mości Jaquinie, słyszysz mnie? Wiesz, kim jestem?

- Jes... teś moim pa... nem - stęknął bard. Jego pulchnym ciałem wstrząsały skurcze. U nasady szyi pojawił się ciemny punkt. Pierwszy cienki pęd olotah przebił skórę i rósł; rozgałęził się; wypuścił listki. - Co rozkażesz?

- Czy śmierć zdjęła ci z oczu zasłonę, bardziej? Czy widzisz przyszłość?

- Widzę.

- Moją przyszłość?

- Obra... zy...

- Co widzisz?

- Twoją śmierć. - Bezkrwiste wargi barda wykrzywił grymas, być może uśmiech.

Mormeac uniósł brwi.

- Sprecyzuj.

- On cię zabije, panie.

- Kto?

- Ten od... Ede...

- Kto? - powtórzył Mormeac, zaciskając pięści.

- Wilczarz... wie. Ryc... Ed... Aaach! Boli!

Z oczu Jaquina pociekło coś, jakby łzy. Ale to nie były łzy, tylko lepka żywica. Przeszłość delikatnie otarła połyskujące jak bursztyń krople.

- Mów - powiedziała miękko, tak miękko, jakby zwracała się do

dziecka. - Mów, a przestanie boleć. Co widzisz?

- Zabójcy już w drodze. Pani Liścia wysła... ła. Żeby strzec Ekwilib... Ryś i człowiek. A może nie? Bez miecza. Tylko znak. Szponyyyy!... - Głos barda przeszedł w nieartykułowany wrzask.

Przeszłość dotknęła - zaledwie dotknęła - jego skroni. Jaquin zamilkł. Kolejne pędy już kiełkowały z jego policzków i klatki piersiowej.

Mormeaca niełatwo było wytrącić z równowagi. Teraz też się opanował. Z kamienną twarzą wezwał służących.

- Zabierzcie zwłoki do komnaty inkubacji - rozkazał. - A ty, Przeszłość, idź do dozorczy zmór. Niech nakarmi moje ślicznotki mięsem chłopca. Potem... potem niech je wyśle, by przeczesaly las. Kogokolwiek znajdą mają sprowadzić do mnie. Niekoniecznie żywcem, ale bez uszkodzania. Żadnego rozrywania gardeł! A wilki, pamiętaj, mają zostać na zamku. Dzisiaj nie będzie polowania. Jutro też nie. Dopilnuj tego.

Przeszłość skłoniła się w milczeniu.

- Wilczarz wie - powtórzył Mormeac z namysłem, gdy zamknęły się drzwi. Jego gadzie oczy zaświeciły żółto. - Intrygujące... Zwłaszcza że umarli nie kłamią. Cóż, mój uczniu, zdaje się, że muszę cię wezwać na rozmowę.



Pod wieczór zatrzymali się na zarośniętej dziurawcem polance nad potokiem. Jak na tę porę roku było parno - znak, że rychło popsuje się aura. Księżyc to nikał za chmurami, to wyłaniał się, ukazując światu żółtawą fizys w okazałej lisiej czapie. Bez apetytu żuli suchy prowiant. Od wody ciągnął chłód. Naikiru skuliła się pod kocem, chowając stopy pod siebie, a ręce pod kubrak. Ranki na szyi zasklepiły się już z grubsza, ale ból nadal odzywał się przy każdym ruchu głową. Marzyła o gorącej



kąpieli. Shay, wyciągnięty na wznak, nie spał. Czymś się wyraźnie gryzł.

- Jak się czujesz? - zagadnął w pewnej chwili.

- Dobrze.

- Żadnych... sensacji? Nie miewasz czasem zawrotów głowy? Nie wydaje ci się, że słyszysz głosy, których nie ma?

- Nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą acz nie bez zdziwienia.

- Jakby co, od razu powiedz.

- Dobrze, ale o co chodzi?

Westchnął.

- Niepokoi mnie, że znalazłaś się tak blisko Wilczarza. Że cię dotykał i zranił. Czerń... bywa zaraźliwa, a z rozbudzoną skazą cholernie trudno się walczy.

- Znaczy, teraz zaczynasz się bać, że przez jego ukąszenie mogę się stać ka-ira?

- Spokojnie. To raczej mało prawdopodobne, ale mówię: gdyby coś się działo, od razu daj znać, dobrze?

- I co wtedy? Przebijesz serce osinowym kołkiem, jak upiorowi?

- Mówię poważnie. Istnieją pewne... środki, których można użyć, żeby zapobiec budzeniu się czarnej mocy. Mniej radykalne niż osinowy kołek. Niestety, nie nadają się do stosowania profilaktycznie, a szkoda. Byłbym spokojniejszy.

- Jakie środki?

- Zioła. Pokrzyk, bieluń, lulek. Wiesz, jak działają prawda? Mogą oczyścić duszę z czerni... ale równie łatwo mogą zabić.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa powietrze znienacka rozdarł przeszywający wrzask, podobny do krzyku drapieżnego ptaka. Po chwili powtórzył się, tym razem o oktawę niżej. Zakończył go mrozący krew w żyłach chichot. Echa cichły długo.

- Co to było?... - wyjąkała dziewczyna, blada jak płótno.

- Zmora. Bez obawy. Nie zbliży się do nas. - Shay ku jej zaskoczeniu

uśmiechał się.

Aż tak pewny siebie, czy aż tak beztroski? W blasku księżyca jego szczupła twarz wyglądała dziwnie i trochę niesamowicie.. jak maska. Naikiru poruszyła się, aż zatrzeszczały gałęzie. W jej głowie narastały mgliste, nie do końca uformowane, lecz brzydkie podejrzenia. Nie obawia się wilków ani zmor. Zna się na czarach. Utrzymuje, że chce walczyć z Mormeacem. Jak? Nie ma ani miecza, ani różdżki. Tylko znak wycięty we wnętrzu dłoni...

- Nad czym dumasz, Naikiru?

Zupełnie jakby czytał w moich myślach... zadrżała; żeby to ukryć, udała, że zaciera ręce, żeby je ogrzać.

- Nad niczym - skłamała. - Chyba zaczynam przysypiać.

- Coś mizernie wyglądasz. Na pewno nie masz gorączki?

- To zmęczenie. Nic mi nie jest.

- Dygoczesz. Chcesz, to połóż się przy mnie, ogrzeję cię.

Naikiru wymownie uniosła brwi.

- Nie to miałem na myśli. - Lekko się zarumienił. - Nie chcę, żebyś marzła. To wszystko.

Udała, że nie słyszy.



Lochy Gleyarvaigh ożyły wrzaskami. Nagi do pasa Wilczarz na przemian wył i rzeził, miotając się jak szalenię, lecz kajdany trzymały mocno.

Olotah nie mogły wyrządzić czarnemu magowi poważnej krzywdy, ale wnikając w ciało sprawiały ból. Dotkliwy ból. O dokładnie takim napięciu, o jakie chodziło Mormeacowi.

Po jakimś czasie dręczony przestał krzyczeć. Dyszał, wyczerpany.

Pędy, które przebiły skórę na jego twarzy i brzuchu, pomału więdły. Krew płynęła z otartych nadgarstków, ramion i kostek u nóg. Mormeac szorstko szarpnął swojego ucznia za ramię.

- Oszczędzę cię tym razem. To już koniec kary.

Tamten próbował coś powiedzieć, ale z gardła wyrwał się tylko ochryply jęk.

- Pozwoliłem ci żyć, bo zabiłeś rysia. Ale następnym razem, gdy coś przede mną zataisz, nie będę tak litościwy.

Wilczarz z wysiłkiem łapał powietrze.

- Chciałem zabić i chłopaka... To mój stary wróg, panie! Dawno temu walczyliśmy i zostawiłem go umierającego, wylizał się jakimś cudem. Teraz chronią go jakieś czary Edei. Wilki nie mogły złapać tropu...

- To nic. Zmory znajdą go i sprowadzą tu. Służ mi dalej tak dobrze, jak służyłeś dotąd, a pozwolę ci patrzeć, jak pożerają go pnącza. - Mormeac postanowił nie wspominać o przepowiedni. Zdjął uczniowi kajdany i pomógł mu stanąć na nogi. - Wykąp się i ubierz. Niech Przeszłość opatrzy ci rany.



Znowu czuwała pierwsza. Upiorne wrzaski i chichoty zabrzmiały jeszcze kilka razy, ale zawsze w oddali; zarośla w zasięgu wzroku nawet nie drgnęły. Zupełnie jakby polankę chroniła niewidzialna tarcza.

Gdy księżyc zaszedł, zmienili się. Naikiru zasnęła od razu, ale nie spała dobrze.

Śniła, że błąka się po jakichś ponurych bagniskach, wykrzykując imię Levaydena. Wołała tak długo, aż ochrypła, ale odpowiadał jej jedynie świst wiatru w trzcinach. Nagle potknęła się i poczuła, że tonie, zapada się po szyję w lepkie grzęzawisko. Ostatnim wysiłkiem spróbowała

wydzwignąć się na twardy grunt - bez powodzenia. Ciemna toń zamknęła się nad jej głową...

Otworzyła oczy. Stłumiła okrzyk. Leżała w jakiejś jaskini czy jamie; ze sklepienia zwieszały się splątane korzenie, kapała woda. Na spągu wały się ogryzione kości. Pochylał się nad nią przerażający stwór, podobny do tkniętego rozkładem trupa - o szarym obliczu bez nosa i warg. Wypukłe ślepie świeciły w mroku jak latarki. Dotykał jej - gładził pieszczotliwie po policzku - jego palce były zimne i oślizgłe... Ogarnięta przerażeniem chciała krzyknąć, ale z gardła wydobył się jedynie zduszony dźwięk. Targnęła się rozpaczliwie, uderzyła głową o kamień... i tym razem obudziła się naprawdę.

Świtało. Ćwierkały ptaki. Szumiał potok.

- Psiakrew, co się dzieje? - Shay, czujny jak zwykle, stanął nad nią zanim jeszcze na dobre oprzytomniała. Twarz miał zaróżowioną od zimnej wody, włosy mokre. - Rzuciłaś się jak ryba w sieci!

- Już w porządku. Zły sen, nic więcej. - Odetchnęła, próbując się uspokoić. Na próżno. Ręce jej dygotały.

Shay zauważywszy to zasępił się, ale nic nie powiedział.

# Świątynia

Po południu pogoda zmieniła się. Niebo zasnuły chmury. Zaczął siąpić drobny, złośliwy deszcz, szybko przenikający przez wszystkie warstwy odzieży. Z gór spęzła mgła, spowijając las siwym całunem, z którego gdzieś wyłaniały się milczące sylwety świerków. Nie licząc jednostajnego plusku kropel, było cicho - tak cicho, jakby cały świat pogrążył się w szarym śnie. Kiedy indziej Naikiru doceniłaby baśniowość tej scenerii; teraz jednak kuliła się, rozcierając zmarznięte ręce, czując, jak przemoczone ubranie lgnie do ciała, i nie w głowie jej była poezja. Od czasu do czasu popatrywała z zazdrością na towarzysza, któremu deszcz i zimno nie wydawały się ani trochę przeszkadzać. Woda spływała z jego kaptura i ciekła za kołnierz, ale nie zwracał na to uwagi, bez reszty pogrążony w myślach.

Ocknął się, gdy wspięli się na grań, z której rozciągał się widok na okrągłą kotlinę. Mgła zaścielała jej dno; z góry wyglądało to jak misa pełna mleka. Zamrugnął i uśmiechnął się.

- Nareszcie! A już się obawiałem, żeśmy zgubili drogę.

- Gdzie jesteśmy?

- Jeśli wierzyć Dzięciołowi, o rzut kapeluszem stąd powinna się znajdować opuszczona świątynia. Przeczekamy tam noc. Wierz mi, dzisiaj pod gołym niebem nie byłoby wesoło.

Na potwierdzenie jego słów rozległ się głuchy pomruk grzmotu. Ulewa przybrała na sile.

Tak szybko, jak się dało, zbiegli w dół, ślizgając się na mokrej glinie. Budynek wyłonił się z mgły jak zjawą; kamienny czworobok podparty w rogach topornymi kolumnami, zarośnięty bluszczem, pozieleniał od mchu. Ciężkie dębowe drzwi, pokryte zatartymi przez czas płaskorzeźbami, zwisały krzywo na jednym zawiasie.

Wnętrze cuchnęło stęchlizną i odchodami nietoperzy, których popiskiwanie bez ustanku rozbrzmiewały pod sklepieniem. Czerwonawe kamienne ściany, nadzarte przez czas i wilgoć, przypominały barwą rozkładające się mięso. Na resztkach fresków nieregularnymi plamami wykwitła pleśń, biała jak trąd. Trzy pozbawione twarzy posągi, wciąż jeszcze wznoszące się nad ołtarzem, wyglądały niczym zjawy z koszmarne go snu. Naikiru zdusiła w sobie chęć, żeby uciec jak najdalej od tego miejsca. Na zewnątrz zmierzchało, a szum ulewy rozbrzmiewał wciąż z takim samym natężeniem. W oddali ponuro zawył wilk.

- Czemu stoisz? Połóż plecak i chodź, nazbieramy drewna, zanim się całkiem ściemni - przywołał ją do rzeczywistości Shay. Odkąd zeszli do kotliny, ożywił się. Oczy mu błyszczały. - Chyba nie chcesz marznąć?

Zgromadzili tyle gałęzi, ile się dało, nie odchodząc zbyt daleko. Potem Shay długo męczył się z krzesiwem i hubką, klnąc, bo mokry chrust za nic nie chciał się zająć. Gdy się w końcu udało, w blasku płomieni świątynia bynajmniej nie stała się przytulniejszym miejscem. Tańczące cienie nadawały niewyraźnym sylwetkom ze ściennych malowideł pozory życia. Dym, zamiast się unosić, pełzał nad posadzką gryząc w oczy. Na zewnątrz zerwał się wiatr i wył głucho, upiornie. Grzmoty przybliżały się.

Naikiru z kwaśną miną oglądała stopy, obtarte w przemoczonych butach. Ilekroć podnosiła wzrok, przejmował ją dreszcz. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że lada chwila w mroku za ołtarzem zapłoną okrutne żółte oczy i wysunie się stamtąd łeb olbrzymiego gada. Albo z któregoś kąta wyłoni się stwór o szarym, trupim obliczu...

Shay kichnął. Pociągnął nosem i dorzucił do ognia. Rozpakował prowiant, już nie suchy, bo wszystko, co mieli w plecakach, przesiąkło wilgocią. Na dworze monotennie świstało i zawodziło, grzmoty na moment przycichły.

- Słyszałeś coś? - rzuciła naraz dziewczyna, nieruchomiejąc. - Jakby

stąpanie...

- Pewnie myszom zapachniały suchary.

- Ja wiem?... Brzmiało jak coś większego od myszy.

Nasłuchiwali chwilę, ale dźwięk nie powtórzył się.

Huknął grzmot. Shay kichnął po raz drugi.

- Przeklęty dym... Dzięki bogom, że chociaż dach nie przecieka. Wiesz, czemu się rozpętał taki kocioł? Pani Przesztorzy wysłała swoje wojsko przeciwko Mormeacowi. Niewiele zdziałają; żadna burza na świecie nie jest w stanie zaszkodzić czarnemu zamkowi, dopóki jego właściciel dysponuje pełnią swoich sił. Ale im dłużej będzie wiało i grzmiało, tym lepiej dla nas. Od Gleyarvaigh dzieli nas już nie więcej niż pięć, sześć mil w prostej linii. Blisko, na tyle blisko, że Mormeac mógłby wyczuć moją obecność, ale dzięki burzy nie wyczuje. Ulewa zatarła ślady, wilki nie wywęszą nas tu i nie ostrzegą go przedwcześnie. A jutro...

Nie dokończył, lecz Naikiru odgadła, co chciał powiedzieć. Zapadła cisza.

- Shay? - odezwała się po jakimś czasie.

- Aha?

- Zimno mi jak cholera. Tobie też?

- Też. Przysuń się, to będzie nam cieplej.

Skulili się jedno przy drugim, dzieląc się okryciami. Shay otoczył dziewczynę ramieniem i zamknął jej zziębnięte dłonie w swoich. Milczeli. Wilgotne koce parowały.

- Śpisz?...

- Nie.

- Mów coś. Cokolwiek. Jakoś tak straszno się robi, gdy słyhać tylko wicherę...

- O czym mam mówić?

- A o czym myślałeś?

Zawahał się.

- O Tivonne'ie.

- On też był rycerzem Edei?

- Tak. A dla mnie bratem krwi. Wychowywałem go od takiego, ot maleństwa... Ech, po co ja ci to mówię? I tak nie zrozumiesz! - Shay z gniewem cisnął do ognia patyk, którym się bawił. Zerwał się, zrzucając koce, podszedł do drzwi. Wpatrywał się w ciemność.

- Zrozumiem więcej, niż możesz przypuszczać! - rzuciła za nim gorzko.

- Ja też... ja też straciłam przyjaciela.

Spojrzał ze zdziwieniem.

- Myślałem, że ojca.

Poczuła, że się czerwieni.

- Och, nakłamałam! - przyznała niecierpliwie. - Nie byliśmy z Levaydenem nawet spokrewnieni. Ale opiekował się mną... A bywało, że ja nim. Zżyliśmy się bardziej niż niejedni krewni.

- Długo się znaliście?

- Kawałek czasu. Osiem lat.

- A twoi prawdziwi rodzice?

- Nie żyją. Nie, nie musisz przeproszać. To było dawno i... już nie boli.

- Rozumiem.

Wrócił, usiadł przy niej. Patrzył w płomienie, marszcząc brwi. Jak zwykle nie sposób było odgadnąć, o czym myśli. Naikiru oparła głowę o jego ramię. Nie protestował.

- Kim on był? - spytał ni stąd, ni zowąd.

- Levayden? Opowiadającym. Spędził całe życie na wędrowaniu. Znano go na wielu dworach...

- Jak się poznaliście?

- To długa historia. Może kiedyś ci powiem, ale nie dzisiaj.

- Skąd jesteś?

- Z Dhlene, a ty?

Pytanie wydawało się niewinne, ale Shay zareagował nań w



zaskakujący sposób. Cofnął się, napiął mięśnie, jakby w oczekiwaniu na cios.

- Nie pytaj - rzucił tylko.
- Dlaczego? - zdziwiła się. - To jakaś tajemnica?
- Nie pytaj, nie chcesz wiedzieć.
- W porządku - wzruszyła ramionami. - Wybacz.

Skinął głową, przyjmując przeprosiny. Ale nastrój prysł. Dziewczyna wyprostowała się, nagle nieufna; wszystkie jej podejrzenia powróciły ze zdwojoną siłą. Shay chyba to wyczuł, bo skierował rozmowę na inny temat.

- Skoro wędrowaliście razem, Levayden pewnie szkolił cię na Opowiadającą? Umiesz czytać i pisać, prawda? I recytować poezję?

Skinęła głową.

- A Opowiadać?

- Trochę... - Speszyła się nagle. - Tego też mnie uczył, ale krótko. Nie zdążył mi przekazać nawet dziesiątej części tego, co sam umiał...

- Proszę, Opowiedz coś. Cokolwiek, co znasz.
- Dobrze.



Skulona we wnęce za ołtarzem Llakh'ros zachichotała do siebie. Nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Obcy! Ci sami, w poszukiwaniu których jej siostry bez skutku przeczesywały okolicę. Znalazła ich najzupełniej przypadkowo, tylko dlatego, że i ona, i oni wybrali to samo miejsce, aby się schronić przed burzą. Jednego nie mogła pojąć - jakim cudem wcześniej, w lesie, nie wyczuła ich obecności? Llakhros zawsze szczyciła się, że potrafi zwęszyć ludzką krew z odległości mili, wszystko jedno, w słońcu czy w ulewie. Być może zmęczenie stępiło jej czujność;

musi uważać...

Wychyliła się ostrożnie z ukrycia, żeby raz jeszcze przyjrzeć się tym ludziom. Nie wyglądali na czarowników; w ogóle nie sprawiali wrażenia niebezpiecznych. Jednak Lłakhros miała dość rozumu, by nie ufać pozorom.

Poczekaj, aż zasną. Ma czas.

Dziewczyna recytowała coś śpiewnie, wodząc w powietrzu dłonią. No, no! Kto by pomyślał! Miała prawdziwy, pełny dar Opowiadania, umiała tkać złudzenia; sprawiła, że dym z ogniska unosił się, przybierając kształty krzewów i kwiatów. Niewiele jej to pomoże. Lłakhros oblizwała się. Była głodna, o tak, jakże głodna; zmęczyło ją latanie podczas snoty, a ta Opowiadająca wyglądała na kogoś o słodkiej krwi. Niemniej, nie należało się spieszyć. Mężczyzna trochę ją niepokoił; miał czujne spojrzenie, a w zasięgu ręki kij. Lłakh'ros jak wszystkie zmary nie lubiła ryzykować. Ale głód dręczył. Poruszyła się niecierpliwie, przetykając ślinkę. Niemal czuła już na języku delikatne, słone ciepło... Nie, niepodobna dłużej zwlekać!

Kiedy dziewczyna rozpoczęła kolejną Opowieść, zmora Lłakh'ros zaczęła nucić pod nosem własną pieśń - pieśń o zasypianiu.



- I wtedy wróżka powiedziała: nie zrywaj kwiatu paproci, a spełnię jedno twoje życzenie.. - Naikiru ziewnęła, energicznie potarła ręką oczy i ziewnęła jeszcze raz. - Wybacz, ale chyba dokończę tę historię innym razem. Tak koszmarnie chce mi się spać...

Niemal w pół słowa oparła głowę o kolana. Po chwili już oddychała równo i spokojnie.

Shay też przymknął oczy. Ogień przygasał.



Llakh'ros wolno, wolniutko wysunęła się zza ołtarza. Zaczęła bezszelestnie pełznąć na czworakach. Pieśń podziałała - ludzie spali jak zabici. Słabi ludzie!

Nagle zawahała się, marszcząc nos. Coś było nie w porządku; jej wrażliwy węch wychwycił ślad obcej woni. Niebezpieczeństwo, ostrzegł instynkt. Nie zbliżaj się! Uciekaj!

Ale zapach krwi wabił. Oszołamiał. Przyzywał... Nie umiała mu się oprzeć.



Naikiru zaczęła krzyczeć, zanim jeszcze otworzyła oczy. Bardziej wyczuła, niż zobaczyła, że coś włochatego pochyla się nad nią mamrocząc i oblizując się. To trwało ułamek sekundy - bo nagle powietrze rozdarł przeraźliwy skowyt. Stworzenie próbowało się zerwać do lotu i nie zdążyło; Shay kosturem obalił je na ziemię i tłukł, dopóki nie przestało się ruszać.

- Szlag by trafił! - Rękawem otarł z czoła pot. - Ależ ze mnie dureń... Żeby nie sprawdzić tej dziury za ołtarzem! Ale kto by pomyślał: zmora w świątyni? Jesteś cała? Nie ukąsiła cię?

- Chyba nie. - Naikiru podniosła się chwiejnie. - Mówiłam, że słyszałam kroki! Mało brakowało, co? - Ze wstrętem popatrzyła na ciemny, drgający kształt na posadzce. Z ran zmory sączył się zielonkawy płyn. Jedno nietoperze skrzydło wyglądało na złamane. - Podobno do wysłannika

Edei złe się nie zbliża?!

- Była wygłodzona. Zapach twojej krwi odebrał jej rozsądek. - Shay trącił stworzenie butem. Zmora charczała, z trudem łapiąc oddech; cios okutego żelazem kija zmiażdżył jej kark.

- Dobij ją! Nie mogę na to patrzeć. - Twarz Naikiru przybrała barwę wapna.

Wzruszywszy ramionami ukląkł, wyciągając nóż.

Drgawki stworzenia ustały.

- Jeśli masz mdłości, wyjdź na dwór - rzucił przez ramię.

Dziewczyna zacisnęła zęby i opanowała się.

- Nic mi nie jest. Ale ścierwo trzeba wywlec na zewnątrz.

- Nie dotykaj jej. Ja się tym zajmę. Połóż się, do świtu jeszcze daleko. Spróbuj usnąć.

Łatwo mu mówić. Przestrach zrobił swoje. Dopiero nad ranem udało jej się na chwilę zdrzemnąć, i nawet wtedy nie zaznała spokoju.

Znowu śniła, że brodzi i tonie w lepkim, obrzydliwym bagnie. Potem w mrocznej jaskini podobny do trupa stwór znów gładził jej włosy, dotykał twarzy; pozbawione warg usta szepnęły: „Niebieskooka...”

Zbudziła się, drżąc. Ognisko ledwie się tliło. Przez niedomknięte drzwi wpadało mętne szare światło i zaciekał deszcz - widocznie kierunek wiatru zmienił się przez noc. Na posadzce zdążyła się utworzyć spora kałuża. Shay starannie rolował swój koc.

- Zbudziłaś się? Daj twój. Schowamy je za ołtarzem, resztę rzeczy też, powinny tu być bezpieczne. Bezpieczniejsze niż my. Trochę żywności weźmiemy... na wszelki wypadek. I koniecznie zjedz coś przed drogą.

- Nie jestem głodna. - Naikiru wzdrygnęła się. Sama wzmianka o jedzeniu wystarczyła, żeby przywołać z powrotem obraz martwej zmory.

- Zjedz coś, słyszysz? Masz być silna... na tyle, na ile to możliwe. - Spojrzał na nią z powątpiewaniem. Oczy miał mocno podkrążone. - Psiakrew! Zaczynam żałować, że cię wciągnąłem w ten bałagan,

Opowiadająca.

- Spłacam dług. - Wzruszyła ramionami.

- Nie musiałem domagać się jego spłaty. - Zawahał się, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale nie znalazł odpowiednich słów; ograniczył się do machnięcia ręką Naikiru jednak zrozumiała, albo tylko zdawało się jej, że rozumie.

- Boisz się, że będę ci zawadą tak? Kulą u nogi? No cóż, mości rycerzu, ostrzegałam, że nie znam się ani na czarach, ani na walce. Ale jednego możesz być pewien: nie stchórzę.

Shay spojrzał na nią dziwnie i potrząsnął głową.

- Nie sądzę... Nie uciekłybyś daleko.

Nie wiedziała, co na to odrzec, więc zmilczała. Młodzieniec wyjął teraz z plecaka drewniane pudełeczko i jakiś podłużny przedmiot owinięty jedwabną tkaniną. Pudełko otworzył, powąchał zawartość i z uśmiechem podał je dziewczynie. Ta zmarszczyła brwi.

- Co to za świństwo?

- Maść, która zabija zapach człowieka. Dzieciół uwarzył ją dla nas według starej łowieckiej receptury.

Naikiru roztarta na dłoni odrobinę ciemnej mazi, powąchała nieufnie. Skrzywiła się.

- Fu, ależ śmierdzi!

- O to chodzi. Nie rób min, tylko nasmaruj się nią porządnie. Twarz, szyja, ręce, nie zaszkodzi też pomazać ubrania. Bez obawy, to tylko dziegieć, tłuszcz i zioła. Da się zmyć.

- Dobrze, ale po co ten cyrk? Ze względu na wilki? Dotąd się nimi nie przejmowałeś!

- Zadajesz za dużo pytań, Naikiru. Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie.

Odwinął teraz jedwab. Tajemniczy przedmiot okazał się niedużym, bogato zdobionym sztyletem, zupełnie innym niż zbójcki puginał, który

Shay nosił w cholewie. Rękojeść była pozłacana, a wąską klingę pokrywał wzór z poplątanych linii: czerwonych, purpurowych i czarnych. Młodzieniec lekko przesunął kciukiem wzdłuż ostrza. Syknął i włożył palec do ust.

- Zapomniałem już, jak dobrze ostrzą broń w kuźniach Eremusa...

- To sztylet ze zbrojowni króla gór?!

Potwierdził skinieniem głowy. Naikiru szeroko otworzyła oczy.

- Skąd go masz?

- Eremusa i Edeę łączy odwieczny sojusz. Król gór też na swój sposób troszczy się o równowagę świata. Kiedy Pani Liścia wysłała Tivonne'a i mnie przeciwko Mormeacowi, Eremus ofiarował mi tę broń. Wiesz, że czarnego maga można zgładzić - naprawdę zgładzić - tylko przebijając mu serce klingą na której zostało wypisane jego prawdziwe imię?

- Nie, tego nie wiedziałam. - Naikiru ostrożnie dotknęła sztyletu. - Więc te arabeski nie są li tylko dla ozdoby?

- Bynajmniej. Tak wygląda pismo ludu gór. Umieścili tu swoje zaklęcia, a pomiędzy nimi imię Mormeaca. - Sztylet zniknął w fałdach spłowiełej kurtki; Naikiru nie dostrzegła, gdzie właściwie Shay go schował. - Skończyłaś z maścią? Daj mi pudełko.

- Naprawdę wierzysz, że taki nożyk wystarczy, żeby... - nie dokończyła.

- Owszem.

- A jeśli nie?

Nie odpowiedział. Westchnęła.

- Racja. Głupie pytanie.

## W jaskini gada

Wiatr trochę się uspokoił, ale padało bez ustanku. Gdy wspięli się na zboczne kotliny, byli już doszczętnie przemoczeni. Ołowiane niebo z rzadka rozcinały zygzaki błyskawic.

- Sylfy nie próżnują - mruknął Shay. - No i pięknie! Mormeac musiał się solidnie namęczyć w nocy, strzegąc zamku przed piorunami. Szkoda, że furia sług Feanmuile zwykle krótko trwa.

W istocie, błyskało coraz rzadziej. Oddalające się pomruki w końcu ucichły, niebo pojaśniało. Shay sposepniał.

Ścieżka prowadziła teraz cały czas pod górę, przez ponury świerkowy bór. Gdzieś tam szarzały gołoborza. Potem nieoczekiwanie wyszli na łąkę, na której - ku zaskoczeniu obojga - spokojnie pasły się owce. Pilnował ich kudłaty biały psiak, który na widok obcych nie tylko nie zaszczekał, ale nawet nie ruszył się z miejsca. Naikiru pokręciła głową.

- Owce? Skąd tu, na litość Boską, owce? Pod samym nosem Wilczarza?

- No cóż, zmije też muszą jeść. Założę się, że w pobliżu zamku mieszka paru wieśniaków, którym włos z głowy nie spada, bo dostarczają Mormeacowi żywność.

- Więc ta trzódka należy do pana na Gleyarvaigh. Nic dziwnego, że pies strzeże jej jednym okiem, a pastucha nie widać.

- Właśnie. Tych owiec nie ruszy żaden wilk W tył zwrot, Naikiru. Skoro okolica jest zamieszкана, pójdziemy borem.

Najwyraźniej znał okolicę na tyle dobrze, że nie obawiał się utknięcia w gęstwinie. Wkrótce zresztą wyszli z lasu na przełęcz w kształcie siodła, za którą wznosił się pozbawiony drzew garb, porośnięty krzaczkami jagód i kępami goryczek. Wiszące nisko chmury zasłaniały jego wierzchołek. Deszcz przeszedł w lekką mżawkę. Pogrążone w ciszy góry wyglądały sielsko niczym na obrazie. Mokra trawa i liście pyszniły się

świeżą, jaskrawą zielenią. Trudno było uwierzyć, że gdzieś w pobliżu może się gnieździć zło.

- Widzisz dym tam w dole, za nami? Dam głowę, że ścieżka wiedzie obok jakiejś sadyby.

Znad drzew istotnie wznosiła się siwa smuga. Naikiru zadrżała.

- Cholera... Ja to już raz widziałam... Nie stójmy na widoku, chodźmy stąd!

- A to czemu?

- Nie pamiętasz? Opowiadałam ci przecież! O spalonej chacie i smoku. Wszystko zaczęło się od tego, że z Levaydenem dostrzegliśmy z góry dym... Chodźmy stąd, mówię ci!

Shay zaczął się śmiać.

- Też wymyśliła... Co za różnica czy spotkamy Mormeaca tutaj, czy na zamku?

- Wczoraj cieszyłeś się, że burza zatarła ślady. Nie chciałeś, żeby nas znalazł.

- Wczoraj nie byłem gotowy. Dzisiaj jestem.

Jego ton wyraźnie dawał do zrozumienia, że na dalsze pytania nie będzie odpowiedzi.

Obeszli garb, nie wdrapując się na jego wierzchołek, i z minuty na minutę krajobraz się zmienił. Wzniesienie okazało się ostatnim z całego łańcucha. Przystanęli w miejscu, skąd rozpościerał się rozległy widok, teraz częściowo przesłonięty mgłą. Naikiru zmrużyła oczy. Trawy... Dalej czerń drzew, zarastających dolinkę... A jeszcze dalej kolejny, wyższy łańcuch wzniesień, widocznych jedynie jako zamazane ciemne zarysy. Shay dotknął jej ramienia.

- Nie tam. Spójrz trochę niżej i bardziej w prawo.

Powiodła wzrokiem za jego dłonią do miejsca u wylotu dolinki, gdzie teren unosił się, tworząc samotne wybrzuszenie. Jego szczyt jeżył się kredowymi skałkami, a po jednej stronie kończył się urwiskiem. Na



krawędzi tego urwiska wznosił się zamek, z tej odległości - mały jak dziecinna zabawka.

- Nie wygląda jak ruina - zauważyła Naikiru.

- A czemu miałyby? Nie było oblężenia ani pożaru. Szesnaście lat zaniedbania to jednak trochę za mało, żeby zaszkodzić takiej twierdzy.

- Jak, na litość Boską chcesz się tam dostać?

- Zwyczajnie. Przez bramę.

- Jak to? Sądziłam...

- Nie. Nie będziemy się wkradać po kryjomu jak złodzieje. To ma być formalne wyzwanie i formalny pojedynek, zgodnie z wszelkimi zasadami.

Tym razem to dziewczyna parsknęła.

- Wierzysz, że Mormeac będzie przestrzegał jakichkolwiek zasad? Nie rozśmieszaj mnie!

- Tu się mylisz. Akurat zasad pojedynkowania się magowie obu barw przestrzegali i przestrzegać będą. To kwestia ambicji...

Gdy zeszli z garbu, drzewa przesłoniły zamek, ale nie na długo. Wkrótce ujrzeli go ponownie, tym razem z dołu. Widok był imponujący.

Mury Gleyarvaigh były czarne jak gagat. Cztery baszty, każda zwieńczona zębatym krenelażem, drapieźnie wznosiły się ku burosinemu niebu. Naikiru wzdrygnęła się. Zamek skojarzył się jej z olbrzymim gadem, przyczajonym na skraju urwiska. Zwinięte w kłębek cielsko osłonięte twardym pancerzem; światło migoczące w głębi otworów strzelniczych, jak w pionowych źrenicach gadzich oczu; czeluść bramy, uzębiona stalową kratą...

- Iluzje, albo zjem mój kij - mruknął pogardliwie Shay. - Poczekaj, aż podejdziemy bliżej.

Okazało się, że miał rację. Wbrew regułom perspektywy, w miarę jak się zbliżali, Gleyarvaigh wydawało się maleć; ba - karleć. W murach ujawniły się pęknięcia i dziury; kilka większych wyłomów załatano deskami. Jedna z baszt - podparta drewnianym rusztowaniem -

wyglądała, jakby lada chwila miała się zawalić. W wyschniętej fosie pleniło się zielsko. Nigdzie na blankach nie było widać żywej duszy. Zwodzony most był opuszczony, gdyż zerwały się łańcuchy; krata, doszczętnie zardzewiała, zwisała krzywo i nie sięgała ziemi. Wartowników ani śladu.

Naikiru wstrzymała oddech, kiedy przechodzili pod kratą i przez mroczny łuk bramy, ale nic się nie stało. Bez przeszkód weszli na zarośnięty perzem podwórzec. Tu też wszystko było zupełnie zaniedbane; gdzieniegdzie piętrzyły się sterty gruzu, a połowa okien straszyla wyłamanyymi okiennicami.

- Nie najlepiej, mości Mormeac - skomentował cierpko Shay.

Naikiru trąciła go łokciem. W rogu podwórca stał chłopski wóz zaprzęzony w chudą szkapę. Na wozie leżało kilka worków, wianki grzybów, trochę cebuli i rzepy.

- Ktoś przywiózł daninę...

Tak nagle, że oboje podskoczyli, gdzieś w pobliżu zaskrzypiały zawiasy. Otworzyły się drzwi prowadzące do niewielkiej przybudówki i wyłoniła się z nich kobieta w zgrzebnej odzieży. Szła sztywno, potykając się, jakby nogi nie chciały jej słuchać. Zbliżyła się do wozu, postawiła na ziemi przyniesiony koszyk i zaczęła wkładać do niego cebule, tak pieczołowicie, jakby były z porcelany.

- Hej! Matko! - zawołał Shay.

Kobieta nie zareagowała. Spokojnie napełniła koszyk, nie bez trudności dźwignęła go i na powrót zniknęła w przybudówce, zamykając za sobą drzwi.

- Bogowie, co jej było? - Naikiru lekko pobladła.

- Jakieś zaklęcie ogłupiające. Skuteczniejsze niż kajdany - Shay zacisnął pięści. - Psiakrew, dość już się napatrzyłem. Mormeac! - krzyknął nieoczekiwanie, zadzierając głowę. - Gdzie jesteś? Pokaż się! Masz gości!

Jakby w odpowiedzi chmury przeorała błyskawica, trzasnął grzmot. Z poczerwiałego nagle nieba lunął deszcz.

- Mormeac!!!

Przez długą chwilę nic się nie działo. Potem z wiatrem do ich uszu doleciał chichot, przypominający zgrzyt żelaza po szkle. Pod łukiem bramy zaśnił prostokąt czerwonego światła; otworzyły się drzwi, których przedtem w mroku nie zauważyli. Na podwórzec wyszedł mężczyzna w skórzanym pikowanym kubraku i hełmie z okapem. Na ramieniu niósł halabardę. Poruszał się tak samo sztywno i niepewnie jak kobieta, którą widzieli wcześniej. Gdy podszedł bliżej, dostrzegli, że jego skóra ma dziwny niebieskawy odcień, jakby w żyłach brakowało krwi.

- Czego tu chcecie? - spytał ochryple.

- Zobaczyć się z twoim panem.

- Coście za jedni?

- Powiem to jemu, nie tobie.

- Powiesz to tym, którzy mieszkają w Otchłani! - Mężczyzna zaśmiał się sucho. Odwrócił się i gwizdnął na palcach. Z drzwi, które zostawił otwarte, wypadły trzy wilki - potężne, kudłate bestie. Naikiru zamarła. Shay szybko chwycił ją za ramię.

- Ani drgnij! - syknął, wysuwając się na pół kroku przed nią. Wilki opadły ich, warcząc i kłapiąc zębami.

- Precz, kundle! - rzucił młodzieniec, unosząc rękę. I stało się coś zadziwiającego. Bestie, zamiast rozerwać ich na strzępy, stanęły jak wryte, a potem zaczęły się wolniutko wycofywać, skamląc, z podkulonymi ogonami. Halabardnik wytrzeszczył oczy. Halabarda wypadła mu z ręki.

- Po... pozwólcie za mną wielmożni - wybełkotał.



Gleyarvaigh od wewnątrz prezentowało się co najmniej równie ponuro jak z zewnątrz. Mroczne, kręte korytarze, strzępy gobelinów zwisające ze ścian, wszechobecna woń pleśni i zaniedbania. Halabardnik zatrzymał się przed rzeźbionymi drzwiami, z których dawno złuszczyła się pozłota. Zastukał w nie trzykrotnie drzewcem halabardy. Drzwi otwały się wolno.

- Wchodźcie, wielmożni - uczynił zapraszający gest.

Shay potrząsnął głową.

- Ty przodem.

Zarośnięte kurzem szybki w dwu łukowatych oknach przepuszczały niewiele światła, ale wystarczająco dużo, żeby dało się co nieco zobaczyć. Komnata najwyraźniej służyła niegdyś do celów reprezentacyjnych. Na ścianach zachowało się wypłowiałe karmazynowe obicie, zaś sufit zdobiły malowidła, ledwie widoczne pod warstwą brudu. W najdalszym krańcu pomieszczenia znajdował się podest, a na podeście - krzesło z czarnego drewna, bogato zdobione złoceniami, szylkretem i smoczą kością.

Puste krzesło.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Naikiru przełknęła ślinę. Serce jej łomotało.

Shay - nigdy nie dowiedziała się, co go ostrzegło - nagle skoczył do przodu, w jego ręku zaślnął nóż. Nie dość szybko. W miejscu, gdzie przed chwilą stał halabardnik, rozwiewał się obłok dymu. Włochaty pajak przemknął po posadzce i zniknął w jakiejś szczelinie.

Dziewczyna podbiegła do drzwi, szarpnęła za klamkę.

- Zamknięte... - W jej oczach pojawiła się panika. - Jesteśmy w pułapce! Za oknem zahuczał grom, wprawiając mury w drżenie.

- Jesteście martwi - głos jak syk gada.

Rozchwiany na pokrytej zaciekami ścianie cień. Cień o skrzydłach nietoperza.

- To się okaże! - odkrzyknął Shay. - Pokaż się, panie! Chyba nie będziemy się bawili w chowanego? - Jego oczy jarzyły się drapieżnie. Ze skórą przyciemnioną przez cuchnące smarowidło wyglądał jak przybysz z Otchłani.

Podobny do grzechotu kości śmiech przyprawił Naikiru o dreszcz. Spory fragment posadzki odsunął się ze zgrzytem, odsłaniając czarny otwór oraz schody wiodące w dół.

Czekali wstrzymując oddech, pewni, że lada chwila z otworu coś się wynurzy. Nic się nie wynurzało.

Shay w końcu podszedł do schodów, popatrzył w dół. Pokręcił głową.

- Dziwne... - Przysięgłbym, że nikt się tam nie czai.

- Będziemy schodzić?

- A mamy wybór?

- Czekaj! Potrzebujemy światła. - Wskazała wiszący nad podestem szerniały ze starości portret. - Wiem, że to barbarzyństwo niszczy obraz, ale niczego lepszego tu nie ma. Zresztą, tego bohomaza na pewno nie popełnił żaden mistrz pędzla. - Nie czekając na odpowiedź wdrapała się na krzesło, żeby zdjąć portret ze ściany.

- Biedny stary baron, to jego podobizna - mruknął z ironią Shay.

Stoczona przez korniki rama dała się łatwo połamać. Owinęli drewno oddartymi pasami płótna. Nasycone olejną farbą, paliło się całkiem ładnie. Dzierżąc zaimprovizowane pochodnie, ostrożnie zagłębili się w czeluść, z której wionęło zgnilizną niczym z odkopanej trumny. W miarę jak schodzili, odór nasilał się, prawie uniemożliwiając oddychanie.

Nagle idący przodem Shay pośliznął się. Nie upadł tylko dlatego, że w porę podparł się ręką. Schody pokrywała gruba warstwa jakiejś mazi. Zaklął, z obrzydzeniem wycierając palce w płaszcz.

- Już chyba wiem, co przyszykował dla nas Mormeac - mruknął. Uniósł pochodnię jak najwyżej, żeby oświetlić pokryte plamami sklepienie lochu. - Do diabła! Ten smród... ta wilgoć...

Nie dokończył. Naikiru wrzasnęła. Coś owinęło się wokół jej kostki i szarpnęło, tak że omal nie poleciała w dół. Młodzieniec podtrzymał ją w porę.

- Uważaj! Chcesz skrećić kark?

- Nie moja wina! Coś mnie chwyciło za nogę! - Wskazała cholewkę trzewika pokrytą zielonkawym śluzem.

- Olotah. - Shay wycedził to słowo z nienawiścią. - Wiedziałem, że prędzej czy później się na nie natkniemy. Niech to Otchłań pochłonie! Mimo wszystko musimy tam zejść!

U podnóża schodów czekało na nich piekło. Przejście zagradzała skłębiona masa falujących smukłych kształtów, ni to roślinnych, ni węzowych, we wszystkich możliwych odcieniach - od metalicznej, muszej zieleni po trupi fiolet. Naikiru poczuła na policzku muśnięcie, delikatne jak pocałunek; macka, która jej dotknęła, cofnęła się prędko. Druga, grubsza, owinęła się wokół nadgarstka dziewczyny i też natychmiast zwolniła uścisk. Shay zaśmiał się ochryple.

- Olotah rozpoznają ofiary po zapachu! Maść je odstrasza - ale nie na długo! Chodź! Nie upuść pochodni!

Dobył noża i pociągnął dziewczynę z sobą w sam środek upiornej gęstwiny. Olotah - teraz widziała, że są to z całą pewnością rośliny o cienkich, wijących się pędach - cofnęły się przed żarem płomieni, sycząc gniewnie. Prawie na oślep przedarli się przez ich zaporę, miażdżąc butami te łodygi, które nie wycofały się w porę. Wydostawszy się w końcu na otwartą przestrzeń, przystanęli, ciężko oddychając. Naikiru spojrzała po sobie. Nie tylko buty, ale całe ubranie miała uwalane śliską wydzieliną. Smród był obezwładniający.

- Pokaż ręce. Teraz twarz. W porządku, nie skaleczyła cię żadna ssawka. - Shay, umazany tak samo jak ona, odetchnął.

- Mór i zaraza! Co to było? - odważyła się spytać, gdy oddalili się na bezpieczną odległość od drapieżnych roślin.

- Nigdy nie słyszałaś o olotah? Te pnącza chętnie plenią się w ciemnych miejscach, gdzie nie chce rosnąć nawet mech. Większość odmian żywi się padliną ale są i takie, które nie gardzą łykiem świeżej krwi. Te tutaj to jakiś specjalnie hodowany szczep. Na południu co ekscentryczniejsi wielmoże używają podobnych do pilnowania skarbców.

- To miejsce nie wygląda mi na skarbiec. - Naikiru rozejrzała się, po raz pierwszy zauważając szafy pełne zakurzonych butli, słoików i dziwnej aparatury. - Raczej na przedsiónek laboratorium.

- Całkiem możliwe. Mormeacowi nieobca jest alchemia. Nekromancja zresztą też. Sza! Widzisz światło?

To było ledwie widoczne sine lśnienie; Naikiru w pierwszej chwili nie mogła rozróżnić, co jest jego źródłem. Potem jej oczy wyłowiły z mroku zarys uchylonych drzwi. Shay pospiesznie zgasił obie pochodnie.

Czekali. Nic się nie działo.

- Wchodzimy - zdecydował młodzieniec.

Najpierw uderzył ich zapach. Nie odór padliny; coś dużo słodsze i subtelniejsze, prawie miodowe. Pomieszczenie było długie i wąskie. Słaba poświata sączyła się z jego ścian, na których obficie rósł fosforyzujący mech. Ze sklepienia zwieszały się jakieś obłe bryły - jakby kokony. Niektóre kołysały się lekko, poruszane prądem powietrza.

Shay skrzesał ogień i na nowo zapalił pochodnie. Naikiru krzyknęła, chwytając go za ramię.

Z najbliższego kokonu spoglądała na nią twarz. Twarz potwora. Zdeformowana, opuchnięta i żółta, pokryta kleistą wydzieliną o wytrzeszczonych oczach i ustach rozwartych jak do krzyku. Z tych ust coś się wysuwało - ciemna, obła narośl.

- Szczep wróżebny - wykrztusił Shay. Wyglądał, jakby było mu słabo. - Gdybyż Edea wiedziała! To już nie jest zwykłe naruszenie Ekwilibrium, to... to...

- Kim oni są?

Nie odpowiedział, ale odpowiedź nie była potrzebna. Naikiru poczuła w gardle lodowatą kulę. Porwani.

Martwe oblicza patrzyły na nią ze wszystkich stron. Niektóre pokrywała zakrzepła krew, z innych kiełkowały delikatne czarne pędy. Niektóre wyglądały na zmumifikowane; z kilku zostały same czaszki. Jeszcze inne były nienaruszone, tak że dawało się rozpoznać rysy. Twarze stare i młode; chłopci i nie chłopci; a wszędzie te same wytrzeszczone, mętne oczy i ciemne narośla w ustach. Nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegła Levaydena, ale to niczego nie oznaczało - było ich wszak tylu... Niektóre z kokonów były zbyt małe, żeby pomieścić dorosłego człowieka. Dzieci też... Zakręciło jej się w głowie; musiała usiąść.

Shay otrząsnął się. Podszedł do najbliższego kokonu i dotknął czoła uwięzionego w nim nieszczęśnika.

- Gdzie Mormeac? - spytał, wyraźnie wymawiając każde słowo.

- Co ty wyprawiasz, zwariowałaś?! - wybuchnęła.

Uciszył ją gestem.

- Gdzie Mormeac? - powtórzył.

Kształt wewnątrz kokonu poruszył się. Z ust uwięzionego wydobył się głuchy jęk. Naikiru znieruchomiła. Wszystkiego mogła się spodziewać - ale nie tego.

Umarły z wysiłkiem uniósł głowę. Poruszył wargami - Nna gg... gggórze... - wybełkotał. Po brodzie ściekła mu strużka krwistej cieczy. - Wwal... czy z sylf...

Odległy grzmot wstrząsnął posadami zamczyska; ze sklepienia posypało się nieco pyłu. Shay przygryzł wargę.

- Sukinsynu, zlekceważyłeś mnie! Sądziłeś, że dam się pożreć pnączom jak byle dureń.. - Klasnął w ręce. - Chodź, Naikiru! Gdzieś tu musi być drugie wyjście!



- Zaczekaj! A co z nimi? - wskazała kokony.

Potrząsnął głową.

- Są martwi. Nie możemy im pomóc. Przykro mi. - Jego głos na sekundę zmiękł.

- To nie jest śmierć... nie do końca! - Dziewczyna chwyciła go za rękę. - Zaczekaj! Pomyśl! Do czego Mormeac potrzebuje tych ciał?

- Zmarli zakażeni wróżebnym szczepem olotah przepowiadają przyszłość. Pnącza opóźniają rozkład zwłok i więżą przy okazji jakąś część świadomości... Dostatecznie dużo, żeby z duchem dało się porozumieć.

- To znaczy, że oni są do pewnego stopnia świadomi! Sam to powiedziałeś!

- Do pewnego stopnia... tak. Chyba tak.

- Chciałbyś, żeby cię coś takiego spotkało? Albo mnie? Coś możemy dla nich zrobić, Shay. Coś im możemy ofiarować.

Teraz pojął. Oczy rozszerzyły mu się lekko.

- Ty chcesz, żebym...

- Owszem. - Naikiru była bardzo poważna. - Myślę, że tak trzeba. A jesteś w stanie?

- Sam nie. - Westchnął, raz jeszcze oceniając rozmiary komnaty, liczbę kokonów. - Sam na pewno nie. Ale mając do dyspozycji żyłę, owszem.



Za murami zamku szaleńczo wyła i gwizdała wichura - Są w komnacie inkubacji - oznajmiła Przeszłość. - Gotowi zniszczyć naszą kolekcję.

Mormeac wolno otworzył oczy. Z rozkrzyżowanymi ramionami lewitował wysoko nad posadzką pokrytą wzorami z różnokolorowego piasku.

- Czymże są umarli? Mogę zdobyć nowych. - Spierzchnięte wargi z trudem formowały słowa.

Oślanianie Gleyarvaigh przed furją sylfów angażowało wszystkie jego umiejętności i nie mało siły. Słabszy ka-ira dawno by się poddał, pozwalając, żeby pioruny i wichur zrównały zamek z ziemią.

Nawet on, Mormeac o duszy smoka, dorównujący siłą Mistrzom Elity, zaczynał pomalą odczuwać znużenie.

- Nie chodzi im o umarłych, lecz o nas. O ciebie, mistrzu! Będą cię szukali do skutku! - Przeszłość musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć huk kolejnego gromu.

I co z tego!, pomyślał rozwścieczony, nie mogę teraz opuścić tarczy, bo słudzy Feanmuile rozbiją Gleyarvaigh w drobny mak! Opanował się. Rozkazał zimno: - Obudź Wilczarza. Zejdźcie do podziemi. Poczekajcie, aż tamci zniszczą komnatę inkubacji. Gdy już się uporają z kokonami, będą słabi jak koty. Wtedy ich zabijcie w możliwie bolesny sposób i zainfekujcie pnączami. Później powtórzycie mi, co mówili. Czemu tu jeszcze stoisz? Idź! Nie trać czasu! - Nie czekając na odpowiedź zamknął oczy, na powrót pogrążając się w transie.



Czerpanie bolało. Bolało naprawdę paskudnie. Przed oczami dziewczyny zawirowały krwawe plamy. Pomyślała, że chyba dłużej nie wytrzyma - i wtedy ból ustąpił, pozostawiając jedynie przemożne uczucie słabości oraz zimna.

Shay recytował coś w mowie magów, zamknąwszy oczy. Najpierw jego dłonie, potem całą sylwetkę otoczyła migocząca błękitna aureola. Teraz wszystko potoczyło się bardzo szybko. Uniósł ręce; powietrze w pomieszczeniu wydawało się wibrować, przesycone gęstniejącą, niemal

namacalną mocą. Syczenie pnączy przybrało na sile. Kokony nagle eksplodowały mnóstwem macek, wściekle chlaszczących powietrze.

I wtedy pojawił się ogień.

Liliowe iskry zapląsały wokół kokonów, jak ogniki na olinowaniu statku podczas burzy. Gęstwina pnączy w jednej chwili buchnęła sinym płomieniem. Naikiru otworzyła usta do krzyku, który nigdy nie zabrzmiał. Nie czuła gorąca; ten pożar nie parzył, nie było zapachu spalenizny; a jednak kokony kurczyły się i czerniały w oczach, aż w końcu jeden po drugim rozsypały się w proch. Kilka owęglonych łodyg wiło się wśród zgliszcz; Shay zdeptał je jak robactwo. Potem opadł na ziemię i siedział bez ruchu, ciężko oddychając. Z drzeniem zauważyła, że wokół jego oczu pojawiły się pajęczki wybroczyn.

- Co ci jest?!

- Trochę źle obliczyłem siły. Czary niszczące cholernie osłabiają. - Wytarł rękawem pot z czoła, ale nie wstawał. - To zaraz minie... Zaczekaj chwilę.

Ostatni siny płomyk zgasł. Zapadła ciemność. Naikiru przysunęła się bliżej towarzysza. Ona też nie czuła się najlepiej, ale niepokój był silniejszy od zmęczenia. Nie mogą tu tkwić! A jeśli ON ich teraz znajdzie?... W końcu nie mogła dłużej wytrzymać. Szarpnęła Shaya za ramię.

- Weź się w garść! Wstawaj i wynośmy się stąd!

W pierwszym odruchu chciał protestować, ale w pół słowa zmienił zdanie. Z wysiłkiem dźwignął się na nogi. Przy świetle ostatniej pochodni, jaka im została, odnaleźli wyjście.

W lochach panowała cisza, przerywana od czasu do czasu odległym pomrukiem grzmotów. Gdy wydostali się na powierzchnię, pomruki przemieniły się w jednostajny głuchy huk. Przez szpary w zabitych deskami oknach zaciekał deszcz; raz po raz widać było białe błyski. Sylfy nie przestawały szaleć.

Dotarli do szerokich schodów z ozdobnie kutą poręczą. Shay zawahał się.

- Dokąd teraz? - spytała dziewczyna. - W lewo, w prawo, w dół czy do góry?

Pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie podoba mi się, że wszędzie jest tak pusto i cicho. Głowę dam, że pan zamku nie zapomniał o naszej obecności, a co najwyżej chce, żebyśmy tak myśleli. Gdybym wiedział, co on teraz knuje...

Nie zdążyła się dowiedzieć, pomyślała z uśmiechem niewidzialna Przeszłość, obserwująca ich ze szczytu schodów. Wyćwiczonym ruchem zatarła dłonie, czując w czubkach palców znajome mrowienie. Nie zamierzała czekać, aż obolały, gorączkujący Wilczarz zwlecze się z łoża; sama bez trudu rozprawi się z dwójką szaleńców. Zmrużyła oczy, oceniając odległość. Poczeka, aż podejną bliżej...

Przeliczyła się. Shay zupełnie przypadkowo spojrział w jej kierunku i choć nie mógł jej zobaczyć, niewiadomym sposobem zorientował się, że coś jest nie tak.

- Padnij! - Rzucił się w bok, pociągając za sobą dziewczynę. W samą porę. Ognista kula rozpękała się dokładnie w miejscu, gdzie stali przed chwilą dekorując mur wypaloną plamą i siatką pęknięć.

Zaklęcia bojowe wymagały zbyt dużego skupienia, żeby Przeszłość mogła równocześnie utrzymywać czar niewidzialności. Ujrzeni ją lewitującą nad schodami w aureoli rozwianych czarnych włosów. Brokatowa suknia skrzyła się tysiącem ogników. Żmijka śmiała się. Wycelowwała w nich dłoń; wokół palców zakwitły iskry. Tym razem Shay miał się na baczności i krzyknął przeciwzaklęcie. Naikiru poczuła ból, jakby tępą igła wbiła się w nasadę karku; czerpanie, bez ostrzeżenia i w pośpiechu. Nagły przyływ słabości sprawił, że ugięły się pod nią kolana, ale czar podziałał; kolejny pocisk rozpląnął się w nieszkodliwy kłęb dymu.

Kobieta w brokatakach wolno, wolniutko płynęła ku nim. Recytowała coś śpiewnie. Naikiru nagle poczuła, że brakuje jej tchu, jakby na gardle zaciskała się niewidzialna obręcz.

- RzUCA klątwę! - Shay zbladł jak płótno. - Szlag! Nie dam rady zablokować... - Głos uwiązał mu w krtani.

Nieznajomą dzieliło od nich już tylko kilka kroków. Naikiru widziała ją niewyraźnie przez mgłę, która zaczynała jej gęstnieć przed oczami. Mleczna skóra, delikatne rysy, długie rzęsy... Wygląda jak anioł, pomyślała. Anioł śmierci.

O krok ode mnie.

Jej uśmiech.

Róża w jej włosach.

Róża!

Naikiru coś sobie przypomniała. Imię zasłyszane jeden jedyny raz, wieki temu.

- Unea! - krzyknęła ostatkiem sił - Uneaaaa!

Nie spodziewała się reakcji; a już na pewno nie takiej, jaka nastąpiła. Kobieta zachwiała się jak ugodzona pięścią, rozwierając usta w bezgłośnym wrzasku. A potem zniknęła. Dosłownie rozpułyła się w powietrzu. Naikiru ostrożnie potarła gardło. Okropne uczucie ściskania zniknęło, znów mogła swobodnie oddychać.

Shay gapił się na nią z otwartymi ustami.

- Czy wiesz, co krzyknęłaś?!

- Tylko imię. Jej imię... Chyba.

- Jej imię!... - Potrząsnął głową, wciąż jeszcze oszołomiony. - Kto to był, na Otchłań? Przecież tamta Unea nie żyje od lat... Zmarła podczas zarazy... A gdyby nawet, byłaby dziś staruszką... Nie, to niemożliwe!

- Podobno magowie się nie starzeją.

- Nie wiesz, co mówisz. Unea z Wysp Śpiewu zmijką?! Niemożliwe... I to uczennicą Mormeaca? Jakim cudem? Wiedziałem tylko o Wilczarzu!

Nawet Edea... Psiakrew, nic z tego nie rozumiem!

- Ja też nie. Nie przejmuj się. Ważne, że żyjemy - Powstrzymała się od dodania, że nie wiadomo, jak długo ten stan rzeczy jeszcze potrwa. - To w którą stronę pójdziemy, wodzu?

- Do góry - odparł po namyśle. - Choć coś mi mówi, że to bez znaczenia. Ta zabawa już za długo trwa. - Nagle uśmiechnął się z ironią. - Myślę, że Mormeac w końcu zrozumie, że powinien się do nas pofatygować osobiście, zamiast polegać na pńczach i uczniach.

## Ostatnie figury wzoru

Przeszłość szła przed siebie chwiejnie, wymacując drogę rękami jak ślepa. Wspomnienia, tak długo tłumione, zalewały umysł palącą falą.

...Nazywali mnie Różą.

Różą z Wysp Śpiewu...

Byłam panią na Gleyarvaigh. Poeci układali o mnie pieśni.

A potem nadeszła zaraza, wszędzie roznosił się odór przesiąkniętych ropą opatrunków i dymu ze stosów, na których paliliśmy ciała... Patrzyłam, jak kona mój mąż i moi synowie.

Dlaczego na zamku jest teraz tak mroczno i cicho? Dlaczego te mury, niegdyś białe, są teraz czarne? Jakim cudem wciąż żyję, skoro wszyscy, których znałam, umarli?

To też pamiętała.

Mormeac!

Odnalazł ją wtedy, w tamtych strasznych dniach, gdy błąkała się szlochając po pokojach pełnych smrodu trupów. Ocalił od szaleństwa; pocieszał i uczył.. Uratował jej życie, by mogła podążać ścieżką czerni.

Jej mistrz. Jej opiekun. Jej ukochany.

Zacisnęła pięści.

Teraz, gdy z jej oczu spadły łuski, nienawidziła go tak samo, jak nienawidziła przeklętej mocy, która obudziła się w niej tamtego odległego lata, kiedy cały zamek rozbrzmiewał jękami konających.

...Sina twarz mojego męża, płomienie stosu... Odszedł w światłość, zaś mnie pochłonie Otchłań.

Ale wcześniej zdążę zapytać, czemu mi to zrobiłeś, mistrzu. Czemu skazałeś mnie na wieczne potępienie.

A potem cię zabiję.



Przed oczami Mormeaca pływały czerwone plamy. Stało się - osiągnął kres swoich możliwości. A słudzy Feanmuile wciąż nie chcieli się ugiąć przed jego zaklęciami.

Czarna moc karmi się nienawiścią i bólem. Mormeac nigdy w pełni nie zdawał sobie sprawy, jak potężnym źródłem mocy była dlań komnata inkubacji, pełna torturowanych dusz. Pojął to dopiero wtedy, gdy tego źródła zabrakło.

Czuł się tak, jakby upuszczono mu połowę krwi.

Drzwi otwały się - jakaś częśćka jego jaźni zarejestrowała ten fakt. Zmusił się, żeby unieść powieki. Przeszłość! Ale dlaczego sa...

Jedno spojrzenie na jej twarz - i wiedział, że go zdradziła.

Podjął decyzję w ułamku sekundy, zanim ona z kolei zorientowała się, że on już wie. To było tak proste, że aż piękne: kara, a zarazem konieczność - bo przecież potrzebował w tej chwili czerni, jak wyschnięta ziemia wody.

Rozerwał zapory jej umysłu jak cienki jedwab, tak szybko, że nie zdążyła krzyknąć. Czerpał moc pełnymi garściami, upajał się nią. Przeszłość zwiotczała w jego uścisku. Rzęziła, z trudem łapiąc oddech; krew ciekła jej z nosa i uszu.

- Szkoda, że zdradziłaś, moja wychowanko - szepnął, patrząc jej w oczy. - Powinnaś wiedzieć, że czerń nie potrafi wybaczać...

Odepchnął od siebie jej ciało jak pustą skorupę. Moc - jej moc - wypełniała jego żyły cudownym gorącem. Bez wysiłku przybrał smoczą postać. Roześmiał się głośno, parskając jadem. Znów czuł się silny - dość silny, żeby walczyć ze wszystkimi zastępami Otchłani!

Huk pioruna przywołał go do rzeczywistości. Najpierw musi zadbać o to, by sylfy nie zrównały Gleyarvaigh z ziemią. Dopiero wtedy zastanowi



się, co zrobić z intruzami.

Wyszczrzył kły. Wymyśli coś odpowiedniego, o tak.

To tylko kwestia czasu.



Oboje to poczuli - drgnienie, idące od samych fundamentów budowli. Purpurowa poświata zalała korytarze. Na piętrze, na którym się teraz znajdowali, okna nie były zabite deskami; Shay skoczył do najbliższego. Gwizdnął.

- A niech mnie! Spójrz!

Zamek znajdował się jakby we wnętrzu gigantycznej świecącej kuli, utkanej z fioletowych, różowych i szkarłatnych pasm. Poza jej obrębem nadal kłębiły się burzowe chmury, szalał wicher i ulewa, ale w bezpośrednim otoczeniu Gleyarvaigh powietrze było nieruchome niczym w oku cyklonu.

- Tarcza, to tylko tarcza... ale na jaką skalę! - Shay potrząsnął głową z podziwem. - Jak, na wszystkie demony? Skąd wziął nagle tyle siły?! Cały obszar zamku... Nie wiem, czy któryś z Mistrzów Elity zdobyłby się na podobny wyczyn!

- Dziwnie się czuję - szepnęła Naikiru. - Zimno mi i tak jakoś nieswojo... Nie uwierzysz, ale mam wrażenie, jakbym słyszała w oddali jęki... a kiedy indziej jakby śpiew, tyle że nie rozróżniam słów...

- Wiem, co jest grane. Jesteś na tyle wrażliwą żyłą że wyczuwasz wahnięcia Ekwilibrium. Mormeac właśnie straszliwie przeciążył szalę czerni. Jeszcze trochę i mogą się zacząć dziać nieciekawe rzeczy.

- Na przykład?

- Nie chcesz wiedzieć. - Nagle przekrzywił głowę, nasłuchując. - Oho, ktoś się zbliża! Zaraz się przekonamy, kto. - Rozglądał się przez chwilę,

próbując ustalić kierunek. - Chodź!

Po prawej stronie mieli rząd drzwi. Pierwsze okazały się zamknięte na klucz, drugie podobnie. Czwarte z kolei otwały się, skrzypiąc. Sądząc po strzępach malowanego w kwiaty jedwabiu, którym niegdyś pokryto ściany, komnata mogła dawniej służyć jako sypialnia lub buduar damy. Była pusta - dokładnie splądrowana; żadnych mebli, jedynie walające się po kątach drzazgi. Brudna zasłona w rogu skrywała niespodziankę - pograżone w mroku kręte schody.

- Niech to szlag, wciąż mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje - szepnął Shay, gdy lekko zdyszani zatrzymali się piętro wyżej. - Ale tu nikogo nie ma! Powiedz, słyszysz coś?

- Znaczy, poza tymi jękami w oddali? Nic.

- Właśnie. I to mnie niepokoi...

Wyszli na korytarz. Był pusty, lecz miał w sobie coś dziwnego. Lustra. Na ścianach wisiały duże lustra, jakie rzadko spotykało się nawet w bardzo bogatych domach. Nieco zakurzone i pociemniałe, ale bez pęknięć. Naikiru dostrzegła w najbliższym swoje odbicie. Krzywiąc się, spróbowała rękawem wytrzeć twarz, ale udało jej się tylko bardziej rozmazać brud.

Odwróciwszy się, gwałtownie wciągnęła oddech. Shay zniknął.

- Gdzie jesteś?! - krzyknęła.

- Tu! - Pauza; pewnie dopiero teraz się zorientował, że dziewczyny nie ma w zasięgu wzroku. - A gdzie ty jesteś?

- Jak to, gdzie? W korytarzu z lustrami!

- Ja też jestem w cholernym korytarzu z lustrami, więc dlaczego cię nie widzę? - Jego głos dochodził z bliska. Zza ściany.

- Jesteśmy w równoległych korytarzach, Shay. - Zmusiła się, żeby mówić spokojnie. - Musiałeś skręcić w jakieś tajemne przejście!

- Ciekawe, kiedy?! Nacisnęłaś coś niechący? Jakaś ukrytą dźwignię? Może obluzowaną cegłę?

- Nie!

- Szlag by trafił... - Chwilę się zastanawiał. - Dobra. Nie ruszaj się z miejsca! Spróbuję jakoś do ciebie dojść.

Usłyszała jego oddalające się kroki. Objęła się ramionami; dygotała. Jęki na krawędzi świadomości nie cichły. Zaczęła się zastanawiać, jakie skutki może przynieść poważne zachwianie Ekwilibrium. Kto wie, a nuż nad Gleyarvaigh otworzą się wrota zaświatów i rzuci się przez nie horda krwiożerczych demonów? Levayden Opowiadał jej kiedyś podobną historię...

Usłyszała kroki. Zamarła z dłonią na rękojeści sztyletu. Tu nawet nie ma się gdzie ukryć!

Zza zakrętu wyłoniła się sylwetka, trudna do rozpoznania w mroku.

- Shay?...

Zbliżał się ociężale, kołysząc ramionami. To nie był Shay.

Rzuciła się do ucieczki, jeszcze zanim dotarło do niej w pełni, kogo ujrzała. Jego drwiący głos ścigał ją długo, budząc miriady złowrogich ech.

- Dokąd to, owieczko? Znajdę cię i tak!...

Popędziła z powrotem w dół krętymi schodami, nie dbając, że może skrócić kark. Miała nadzieję, że trafi z powrotem do komnaty z kwiecistym obiciem, a stamtąd w labirynt korytarzy na piętrze. Nic z tego; źle wyliczyła odległość, albo przeoczyła w mroku odpowiednie drzwi. W pomieszczeniu, do którego wpadła, panowały nieprzebite ciemności, śmierdziało olotah i czymś jeszcze, jakby przefermentowanym nawozem. Jest w podziemiach! Świadomość tego faktu zmroziła ją.

Poruszając się po omacku, znalazła przejście do następnej piwnicy. Uderzył ją kwaśny smród odchodów. W smużce światła wpadającej przez okratowane okienko wysoko pod sufitem dostrzegła rzędy klatek, z których dobiegały szmery i popiskiwanie. Przyjrząwszy się uważniej, dostrzegła między prętami ciemne kształty o błyszczących oczkach.

Szczury. No jasne, pnącza trzeba czymś karmić, kiedy brakuje ludziny.

- Czemu uciekasz, owieczko? Nie umkniesz daleko! Widzę cię, widzę, widzę!

Jego śmiech rozbrzmiewający gdzieś w pobliżu sprawił, że znów zerwała się do ucieczki. Szczęśliwie zachowała dość rozsądku, żeby nie pędzić na oślep, tylko posuwać się w miarę ostrożnie wzdłuż muru z wyciągniętą naprzód ręką. Kilka razy potykała się o jakieś skrzynie, a raz musnęła palcami coś miękkiego i wstrętnego, co natychmiast się cofnęło. W końcu ujrzała przed sobą światło - siną drżącą poświatę.

Dotarła do obszernej, podpartej kolumnami krypty o ścianach obfitujących w nisze i zakamarki. Jej mury grubo porastał fosforyzujący mech. Rosły tam też pnącza. Mnóstwo pnączy. Pełzały po posadzce, lgnęły do kolumn, zwieszały się ze sklepienia - ciemne, splątane, chwytne. Głodne! Przełknęła ślinę. W odległym krańcu krypty było widać schody prowadzące w górę. Ale nie miała szans, by do nich dotrzeć.

Pośrodku krypty stał ON.

Sam. Bez wilków. Bez zbroi. Jego muskularne ciało okrywała luźna płócienna tunika, u góry niedbale rozsznurowana. Uśmiechał się.

- Wiem, że gdzieś tu jesteś, owieczko. Patrzysz teraz na mnie. Wyjdź z ukrycia! Zabawa skończona!

Jego twarz, ramiona, klatkę piersiową, pstrzyły okrągłe ciemne strupy. Ślady po ssawkach olotah? Ale dlaczego?... Wolała się nad tym nie zastanawiać.

- No, pokaż się! - powtórzył. - Śmiało! Nic ci nie zrobię. Chcę porozmawiać, owieczko. Pohandlować.

Podniósł rękę. Trzymał w niej coś złotego i błyszczącego.

Medalion Levaydena.

- Twój ojciec żyje, Naikiru. Wiem, gdzie jest. Chcesz, żebym cię do niego zaprowadził?

Nie patrzył teraz w jej stronę. Olśniło ją: Nie wie dokładnie, gdzie

jestem! W umyśle Naikiru zaczął się krystalizować zaczątek planu. Opadła na ziemię i pomalutku zaczęła się czołgać, wykorzystując osłonę, jaką dawały pnącza.

- Nie wierzysz mi? A może nie chcesz wiedzieć, co zrobiliśmy twojemu ojcu? Wiesz, ja osobiście nie żywię do niego żadnej urazy. Kto wie, może nawet byłbym skłonny puścić go wolno... Ale to zależy od ciebie. - Wilczarz wciąż rozglądał się niecierpliwie. Czarni magowie widzą w ciemnościach jak koty, ale nawet dla ka-ira wyłowienie jednej drobnej sylwetki z plątaniny ruchliwych cieni graniczyło z niemożliwością. - Możemy dobić targu, owieczko. Mogłabyś kupić życie twojego ojca, co ty na to? Powiem ci, za jaką cenę. Ale najpierw wyjdź z ukrycia!

Teraz albo nigdy.

- Rozsądna mała! - Wilczarz wyszczerzył zęby jak prawdziwy wilk, gdy dziewczyna wyłoniła się powoli z jednej z nisz, unosząc ręce w geście kapitulacji. Była bardzo blada. - Przybliź się!

Dygocąc jak liść, uczyniła krok w jego stronę. Potem drugi i trzeci. Miała zamknięte oczy. Wilczarz wyciągnął rękę, żeby pochwycić ją za ramię... Zaklął ohydnie. Postać dziewczyny rozwiała się pod jego dotknięciem jak dym.

Prawdziwa Naikiru była już prawie na schodach. Nie liczyła, że jej iluzja - niewprawna iluzja początkującej Opowiadającej - zmyli czarnego maga na dłużej niż kilka sekund. Ale też sądziła, że tych kilku sekund wystarczy jej na ucieczkę.

Popęłniła jednak błąd - zapomniała, jak szybki potrafi być Wilczarz.

Jeden jego gest i hucząca ognista kula przeorała powietrze. Nie trafił, ale wyłącznie dlatego, że pośpiech osłabił jego celność; Naikiru zdążyła wprawdzie odtoczyć się na bok, ale o sekundę za późno. Gdyby wycelował dobrze, byłabym trupem, przemknęło jej przez myśl. Zatlił się jej płaszcz, ręką zdusiła płomienie.

Odrzucając głowę do tyłu, zmij wydał z siebie przeszywający okrzyk.

Domyśliła się: Przywołuje wilki... Skoczyła na schody, chociaż wiedziała, że to nie ma sensu, że przenigdy nie zdąży po nich wbiec. Wilczarz gestykułował, szykując kolejne zaklęcie. Na czubkach jego palców zatańczyły płomyczki. Tym razem wyceluje porządnie.

Oboje zapomnieli o jednym. O pnączach.

Olotah bardzo nie lubiły ognia.

Pierwszy pocisk spopielił kilka roślin - i rozwścieczył pozostałe. Wilczarz, którego cała uwaga skupiona była na dziewczynie, nie zauważył wyciągających się ku niemu łodyg Wrzasnął zaskoczony, gdy te oplotły go i poderwały w powietrze jak szmacianą kukiełkę. Szamocząc się w ich uścisku, próbował mimo wszystko rzucić czar. Prawie się udało.

Prawie.

Ogień, który trysnął z jego palców, ogarnął tym razem całe ciało. Być może odegrał w tym jakąś rolę medalion, który Wilczarz przez cały czas miał w dłoni; być może to klejnot zaburzył tor zaklęcia; Naikiru nigdy się tego nie dowiedziała. Zapamiętała buchające wysoko płomienie i wrzask - potworny, niepodobny do niczego. Pnącza momentalnie zwolniły uchwyt; Wilczarz zwałił się na posadzkę i miotał szaleńczo - wyjąca żywa pochodnia. Trwało to długo. Nawet jak na ka-ira. Naikiru nie czekała do końca. Wybiegła z krypty, jakby goniły ją wszystkie demony Otchłani.



Mormeac w zadumie przesiewał przez palce popiół - wszystko, co pozostało z kokonów. Wierzył, że dzięki umarłym pozna tajemnice wszechświata. Ale z martwych ust wydobywał się głównie bełkot. Nie czuł gniewu. Myślał o przepowiedni.

Umarli nie kłamią. On, Mormeac o duszy smoka, który śmiał się w nos egzorcystom i siepaczom Elity, miałby zginąć z rąk pachółka Pani Liścia?

Wcześniej wydawało mu się to pustą drwiną. Teraz, kiedy spoglądał na zgliszcza komnaty inkubacji - już nie.

Nie ma niepokonanych. Ani po stronie światła, ani ciemności.  
Otrząsnął się. Polizał koniuszki palców; popiół smakował słono.  
...Dość zabawy. Jeden z nas musi zginąć, pachółku Edei.  
I to nie będę ja.



...Muszę znaleźć Shaya.  
Muszę znaleźć Shaya!

Błądziła, coraz bardziej zdesperowana. Zaczynały ją boleć nogi i koszmarne chciało jej się pić; manierkę opróżniła już dawno. Gdy usłyszała plusk wody, najpierw pomyślała, że to złudzenie. Jednak dźwięk nie milkł. Rozbrzmiewał gdzieś blisko. Postanowiła to sprawdzić, nie miała nic do stracenia.

Podążając w kierunku, skąd dobiegał odgłos, dotarła do drzwi zamkniętych na masywną kłódkę. Rozgniewana tak głupią przeszkodą z całej siły walnęła w nie pięścią. Potem bez większych nadziei spróbowała sforsować zamek zapinką od płaszczka. O dziwo, udało się.

Znalazła się w komnacie obwieszanej gobelinami w odcieniach fioletu i przydymionej czerwieni, przedstawiającymi sceny ze Świętej Księgi. W kątach paliły się oliwne lampy. Pośrodku stał nieduży marmurowy postument, a na nim misa z tego samego materiału. Nad misą wznosił się odlany z brązu posążek przedstawiający boginkę Les-Tanathe, trzymającą w jednej ręce odwrócony dzbanek, a w drugiej skierowaną w dół, zgaszoną pochodnię. Zarówno z dzbanka, jak z pochodni, ciekła woda, spadając do misy.

Na postumencie widniała inskrypcja, wypisana połączanymi literami:

## WODA JEST ŻYCIEM. ŻYCIE ODPLYWA.

Naikiru dla pewności raz jeszcze przeczytała napis. Litery były dziwne - archaiczne, zdobione mnóstwem zakrętasów - a słowa jeszcze dziwniejsze. Les-Tanathe czczono na Wyspach Śpiewu; była strażniczką ostatniej bramy, przeprowadzała dusze umarłych w zaświaty. Może fontanna zawierała truciznę? Ale czystą wodę niełatwo jest zatruć, nie zmieniając przy tym jej smaku. Naikiru zaczerpnęła trochę do manierki i ostrożnie spróbowała. Woda smakowała normalnie, tyle że była bardzo zimna. Dziewczyna wahała się przez chwilę, ale w końcu pragnienie zwyciężyło nad ostrożnością. Napiła się do syta i napełniła manierkę. Dopiero teraz uważniej rozejrzała się po komnacie i zauważyła drugie drzwi. Uchylone. Pod wpływem impulsu postanowiła sprawdzić, dokąd prowadzą.

W następnej, o wiele mniejszej komnacie, tkaniny na ścianach były utrzymane w zielono-granatowej tonacji, przywodzącej na myśl barwy olotah. Prawie całą przestrzeń wypełniało drzewo rosnące w wielkiej glinianej donicy w rogu; jego gałęzie rozpościerały się szeroko, sięgając aż pod sufit. Bładoróżowe kwiaty rozsiewały mdlącą woń, podobną do zapachu krwi.

Gdy tylko Naikiru przestąpiła próg, liście drzewa zaczęły szeleścić; gałęzie poruszyły się niespokojnie. Zaintrygowana, przyjrzała mu się uważniej, trzymając się na wszelki wypadek w bezpiecznej odległości.

Drzewo wyglądało na chore. Jego pień był poskręcany i pełen guzów. Czarne, pokryte szarawym nalotem liście zasychały na brzegach; na podłodze wałało się mnóstwo opadłych.

Kształt pnia miał w sobie coś znajomego. Chwilę potrwało, zanim uświadomiła sobie, co konkretnie. Potem jej oczy stopniowo zaczęły rozróżniać pod pogruźlowaną korą zarysy nóg, rąk, torsu... Naikiru poczuła w gardle żółć.



- Nie... - szepnęła tylko.

Liście szeleściły coraz głośniejsze. Wstrzymując oddech, zbliżyła się do drzewa. Już domyślała się, co zobaczy.

Gałęzie rozchyliły się wolno, odsłaniając głowę Levaydena.

Nie miał oczu. Z jego oczodołów wyrastały cieniutkie gałązki. Twarz wykrzywiał grymas cierpienia. Skóra na policzkach popękała, ciekła spod niej ciemna żywica.

Jej przyjaciel, jej mentor, jej przybrany ojciec... Upadła na kolana. Łzy zrosiły pień.

Jego usta poruszyły się... Nie poznał jej. Mamrotał jakąś dziecinną rymowaną o słońcu i wietrze. Otarła oczy. Przy boku miała swój mały sztylet. Wiedziała, co musi zrobić.

- Wybacz - szepnęła, a potem wbiła ostrze w jego serce, w serce drzewa.

Lepki płyn ściekł jej po palcach. Gałęzie zadygotały konwulsyjnie i znieruchomiały. Władzące kwiaty posypały się wokół niej jak deszcz. Zanim odeszła, podniosła jeden i ukryła na piersi, nad sercem.



- Naikiru!

Wcześniej sądził, że jest zmęczony, ale gniew na nowo obudził w nim siły. Biegł obwieszonym lustrami korytarzem, w każdej chwili spodziewając się ujrzeć przed sobą sylwetkę dziewczyny.

- Naikiru! Gdzie jesteś? Odezwij się!

- Tu jej nie znajdziesz.

Znajomy syczący głos osadził go w miejscu. Shay odwrócił się płynnie. Wysadzany klejnotami sztylet miał w rękawie, w pogotowiu, ale wroga nigdzie nie było widać.

- Zostaliśmy tylko ty i ja, rycerzu Edei. - Żmij, gdziekolwiek był, cicho się śmiał. - Możemy walczyć, jeśli chcesz.

- Wyjdź z ukrycia, Mormeac. Stań ze mną twarzą w twarz!

- To ty przyjdź do mnie, jeśli masz odwagę. No, chodź! Śmiało!

Wiszące najbliżej zwierciadło wolno zasnuło się mgłą.

- Chodź! - powtórzył niewidoczny Mormeac.

Shay samymi końcami palców nieufnie dotknął pobielącej tafli. Natychmiast poczuł zawrót głowy; wszystko zawirowało. Ogarnął go chłód i uczucie dryfowania w przestrzeni. Kiedy otworzył oczy, znowu stał w komnacie o ścianach obitych karmazynem, do której weszli na samym początku.

Tyle że tym razem krzesło na podwyższeniu nie było puste.



Naikiru cicho jak duch przemykała korytarzami, trzymając się blisko ścian i rozglądając czujnie, ilekroć w mroku zabrzmiał najlżejszy szelest.

Zamek był jak wymarły; ani śladu służby, zmor, nikogo. Tylko raz na schodach natknęła się na wilka. Zwierzę wyglądało na dezorientowane i przestraszone. Zamiast zaatakować - wycofało się pospiesznie, bez jednego warknięcia.

Purpurowy blask za oknami nie gasł, a jęki na skraju świadomości przybierały na sile. Nie podobało jej się to.

...Shay, na wszystkie demony, gdzie się podziewasz?

Pociągnęła nosem - czuła jakąś dziwną woń; dopiero po chwili zorientowała się, że to zapach siarki. Prawie potknęła się o nieruchome ciało.

- Unea?... - spytała z niedowierzaniem.

Lśniące czarne włosy kobiety zlepiła krew. Jej suknia, przeżarta

czymś lepkiem, rozpadała się w oczach.

- Nie dotykaj mnie, sparzysz się - wykrztusiła żmijka. Była przytomna, ale na jej twarzy już kładły się cienie, rysy wyostrzyły się w charakterystyczny sposób.

- Kto ci to zrobił, Uneo? - Naikiru uklękała przy niej. - Czy to Mormeac?...

- Nie ma Unei. Jest Przeszłość. Od bardzo, bardzo dawna... - Umierająca z wysiłkiem zaczerpnęła tchu. - Niepotrzebnie próbowałeś mnie wyrwać śmierci, mistrzu! Wszyscy, których znałam, umarli i nikt już nie położył monet na moich powiekach. Otchłań mnie pochłonie...

...Na Wyspach Śpiewu ludzie wierzą, że zmarły musi sobie opłacić drogę na tamten świat, inaczej jego dusza będzie błądzić, wydana na łup demonów.

Nie bardzo wiedząc, czemu to robi, Naikiru wyjęła z zanadru bladuróżowy kwiat i wsunęła go w bezwładną dłoń żmijki. Przeszłość zatrzepotała powiekami i spojrzała przytomniej.

- Les-Tanathe! Jednak przyszłaś po mnie? Zabierzesz mnie na tamten brzeg?

- Nie jestem śmiercią - szepnęła dziewczyna. - Ale ona cię nie odtrąci, Uneo. Nie odtrąca nikogo.

- Nie chcę... płonąć w ogniu wiecznym... - Kobieta kaszlnęła; strużka krwi wypłynęła z jej ust. - Wszystkich ka-ira czeka ten los... Czemu mi to zrobiłeś, Mormeac?! - wykrzyknęła nagle, z rozpaczą.

- Wiesz, gdzie on teraz jest?

Unea - Przeszłość - na powrót zamknęła oczy. Oddychała chrapliwie.

- Są w karmazynowej komnacie - wymamrotała. - Walczą... Nie idź tam, dziecko! Jad Mormeaca pali... Proszę, nie zostawiaj mnie!

- Nie zostawię cię. - Naikiru pogładziła splątane włosy żmijki. Zaczęła szeptać odmawiać modlitwę za umierających.

Unea westchnęła głęboko. Na jej twarzy stopniowo zagościł wyraz

spokoju.

Minęła długa chwila, zanim Naikiru zorientowała się, że kobieta już nie oddycha.

Odchodząc, obejrzała się raz jeszcze.

Z ciała Unei wyrastały róże.



- A więc przybyłeś - powiedział beznamiętnie Mormeac. - Jeśli wierzyć umarłym, przybyło moje przeznaczenie. Powinienem się obawiać? Czy radować?

Młody sługa Edei nie odrzekł ani słowa. Jego umorusana twarz nie zmieniła wyrazu. Ciemne oczy niewzruszenie wpatrywały się w podwyższenie i siedzącą na nim sylwetkę.

Mormeac w ludzkiej postaci prezentował się imponująco, jak prawdziwy arystokrata. Barczysty, o pociągłym, posągowym obliczu, okolonym starannie przystrzyżoną brodą. Falujące krucze włosy luźno spływały na ramiona. Na palcach wypielegnowanych rąk połyskiwały pierścienie. Odziany był w fioletową aksamitną szatę i płaszcz koloru wina, haftowany w złote gwiazdy. Uniósł z ironią brwi.

- Popatrzmy, kogóż to poszczuła na mnie Pani Liścia? Bardzo przekonująco udajesz człowieka, przyjacielu. Długo zachodziłem w głowę, czemu nie obawiasz się żadnych dzikich stworzeń, czemu moje zmory nie mogły cię wytropić w lesie... Pochodzisz z Lia tarLian, prawda? Z tej przeklętej puszczy, gdzie Edea ma swoją siedzibę? Jesteś zwodziaszem?

Młodzieniec potrząsnął głową.

- Martwcem?

- Zgaduj dalej, Mormeac. - Shay zrzucił oponczę, żeby mieć swobodę

ruchów. Zmrużył oczy, oceniając odległość od podestu.

- A więc musisz być... borowcem. - Żmij już się nie uśmiechał. - Doskonale!

Klasnął w ręce. Z otworu w posadzce zaczęły wypełzać olotah - ciemna, falująca masa. Grupowały się pod ścianami, karnie jak żołnierze.

- Niech pnącza pożrą tego, który przegra! Chodź, borowcze! - Jego oczy nagle zaświeciły żółto, strasznie. - Zobaczymy, ile jesteś wart!

Zeskoczył z podwyższenia; jego sylwetka zamazała się, rosnąc w oczach; poły płaszcza załopotwały niby skrzydła... Ale coś było nie tak, nie mógł doprowadzić przemiany do końca. Shay roześmiał się. Wskazał purpurowe światło, wciąż tłące się za oknami.

- Co, nici z transformacji? Tarcza pochłania za dużo sił? - Z błyskiem w oku postąpił krok w kierunku żmija.

Mormeac nie stracił głowy. Prędko wyjął z zanadrza kawałek kredy i narysował wokół siebie krąg. Zaczął skandować formułę, ale nie dane mu było jej skończyć. Shay wybrał odpowiedni moment, zamachnął się. Sztylet świsnął w powietrzu... o ułamek sekundy za późno. Żmij spostrzegł, co się święci, i choć nie zdążył się uchylić, drgnął; to wystarczyło. Ugodzony w klatkę piersiową zgiał się wpół, ale nie upadł. Ostrze ześliznęło się po żebrach i zaplątało w fioletowy aksamit.

Mormeac wyprostował się wolno. Był blady, lecz stał pewnie, nie chwiając się. Unosząc rękę, krzyknął jakieś dziwne słowo. Znikąd posypał się podobny do śniegu proszek, tworząc wokół jego stóp drugi krąg. Shay syknął jakby z bólu.

- To sól - powiedział z uśmiechem Mormeac. Wymacał rękojeść, sterczącą z fałdów szaty. Wyszarpnął sztylet i odrzucił go pod ścianę. Olotah natychmiast pochwyciły broń i uniosły ją wysoko, poza zasięg czyichkolwiek rąk. - I co teraz, leśny upiorze? Zdaje się, że mamy pat.

- Tylko tak ci się zdaje - zgrzytnął zębami Shay. - Ostoniłeś się solą? No i pięknie. Po prostu usiądę tu i poczekam, aż się wykrwawisz. Mam czas.

Żmij zignorował go. Przekrzywił głowę, nasłuchując.

- O, niebieskooka już nas odnalazła. W samą porę.

Na schodach rozległ się tupot. Do komnaty wpadła zdyszana Naikiru. Jeden rzut oka wystarczył jej, żeby ogarnąć spojrzeniem pnącza trzymające sztylet, rannego Mormeaca w kręgu i stojącego bez ruchu Shaya.

- Na co czekasz? - krzyknęła. - Wykończ go!

- Jak, mądralo?! Olotah trzymają nóż, a jego chroni krąg!

- Dlaczego okłamujesz swoją przyjaciółkę? To nie krąg mnie chroni, tylko sól. - Mormeac uśmiechał się. - Nie chcesz wiedzieć, czemu tak jest, Naikiru? Nie ciekawi cię, czemu pan Shay, tak odważny, jeśli idzie o zmory lub wilki, drży na widok garstki białych kryształków?

- Idź do diabła, Mormeac.

- Czytywałaś różne księgi, Opowiadająca. Nie wierzę, że nie pamiętasz, jakiego rodzaju stworzenia boją się rozsypanej soli. Powiedz, nie miewałaś ostatnimi czasy dziwnych snów? Snów, w których błądasz się po moczarach, a potem budzisz się w jaskini pełnej ogryzionych kości? Oho, drzysz! Zgadłem! Kiedy o tym śnisz? Czy nie wtedy, kiedy on jest w pobliżu?

- Nie słuchaj go, Naikiru. - Shay był blady.

- Kogo widzisz w tych snach? Przypomnij sobie. A może mam odświeżyć ci pamięć? - Żmij schylił się, żeby wziąć z posadzki szczyptę soli. Chuchnął na nią mamrocząc zaklęcie; potem pstryknął palcami i w jego dłoni pojawiła się ulistniona gałąź.

- To jarzębina - oznajmił z dziwnym błyskiem w oku. - Każdemu stworzeniu przywraca jego prawdziwą postać. Czemu się cofasz, chłopcze? Pora zrzucić maskę! Stań przed nami taki, jaki jesteś naprawdę!

Machnął gałęzią. Rozległ się syk, jakby ktoś prysnął wodą na rozżarzone węgle. Shay nagle zgiął się w pół; próbował coś wykrztusić,

ale zdołał jedynie poruszyć ustami.

Coś okropnego działo się z jego twarzą - jakby spływała z niej warstwa farby. Czoło poszerzyło się i uwypukliło. Skóra nabrała szarego, trupiego odcienia. Brwi i rzęsy zniknęły. Wargi skurczyły się, odsłaniając zęby. W miejscu nosa pojawił się pionowy czarny otwór. Oczy zajarzyły się mdłym blaskiem próchna. Mormeac śmiał się.

- Przypatrz się dobrze, Opowiadająca. Widzisz, jakie poczwary służą Matce Ziemi?

- Nie wstydzę się tego, kim jestem - warknął stwór. Mówił ledwie zrozumiale; brak warg utrudniał mu artykulację.

- Nie? - Mormeac uniósł brwi. - Naikiru, co ty na to? Ejże, nie odwracaj wzroku! Patrz na niego, patrz! Widzisz, jak chytrze cię zwiódł?

- Z nas dwóch ty jesteś większym kłamcą Mormeac! - Błade ślepią borowca wypełniała czysta nienawiść. Sycząc wściekle wyprężył palce - teraz zakończone krzywymi szponami.

- Puste słowa! Niebieskooka umie wyciągać wnioski z tego, co widzi, prawda, Naikiru?

Dziewczyna milczała.

- Kto skłamał raz, równie dobrze mógł skłamać wiele razy! Jak sądzisz, czemu właściwie pan Shay chce mnie zabić? Żeby uwolnić okolicę od potwora? Żeby chronić Ekwilibrium? Bzdury! Ja ci wyjawię prawdę, dziewczyno. Shay chce jedynie zająć moje miejsce. Nie on pierwszy i nie ostatni. Pozbawiłem już życia wielu hultajów, którym zamarzyło się Gleyarvaigh. Muszę bronić moich włości.

- Twoich włości? - Borowiec wydał chrapliwy dźwięk, mogący oznaczać śmiech. - Wolne żarty! Ostatni prawowity dziedzic Gleyarvaigh zmarł podczas zarazy szesnaście lat temu, nie zostawiając potomków!

- A nie. - Mormeac nie przestawał się uśmiechać. - Po śmierci barona i jego synów majątek przeszedł w ręce wdowy, Unei z Wysp Śpiewu. Poślubiłem Uneę potajemnie w rok po wygaśnięciu zarazy. Gleyarvaigh

należy teraz do mnie i mógłbym to w razie potrzeby udowodnić choćby przed książęcym sądem.

- Zabiłeś Uneę - wtrąciła Naikiru. - Widziałam, jak umierała!

- Skąd możesz wiedzieć, co naprawdę widziałaś, Opowiadająca? W tych murach nic nie jest takie, jak się wydaje. Unea - prawdziwa Unea z Wysp Śpiewu - zmarła osiem lat temu. Była już starą kobietą na wpół obłąkaną od narkotyków, którymi próbowała w sobie tłumić czarną moc. Powodowany kaprysem zatrzymałem przy sobie jej ducha, oblekając go dla wygody w ciało wieśniaczki, nieco podobnej do pierwowzoru. Kobieta, której śmierć widziałaś, była zaledwie kukłą uczynioną na obraz i podobieństwo Unei. Jeśli tylko zechcę, mogę jutro przywołać jej ducha z powrotem, poszukać dlań kolejnego ciała i moja uczennica zmartwychwstanie, sądząc, że zasnęła na chwilę...

- Nie wstanie - szepnęła dziewczyna. - Zatrzaszczyłam się o to. Jej dusza na zawsze odeszła z tego świata.

Na moment zapadła cisza. Mormeac przymknął oczy; jego twarz przybrała nieobecny wyraz.

Sprawdza, czy mówię prawdę, pomyślała.

- Na Otchłań, nie kłamiesz - szepnął w końcu. - Zdołałaś otworzyć wrota, które ja zatrzasnąłem... Dwoje uczniów odeszło ode mnie tego samego dnia za twoją sprawą Opowiadająca! To nie przypadek. To musi być znak! - Spojrzał na nią nagle innym wzrokiem.

Takim, że Naikiru poczuła, jak krew w żyłach ścina jej lód.

- Podejź bliżej, dziecko. Niech ci się przyjrzę. - Jego głos zabrzmiał miękko, wręcz aksamitnie. Przyjaźnie. - Krucha jesteś jak trzcina; mógłbym cię zabić jednym uderzeniem - ale co to da? Czy oszukam w ten sposób przeznaczenie? Czy twoja śmierć pasuje do wzoru, niebieskooka? Czy może raczej powinienem się zastanowić, jak sobie zaskarbić twoją przychylność?

- Nie słuchaj go, Naikiru! Odejź stąd! - Borowiec chwycił ją za rękę i



próbował odciągnąć od kręgu.

- Nie dotykaj mnie! - Szarpnęła się, odpychając go. Coś ciepłego spłynęło jej po ręce. Spojrzała w dół; na przedramieniu widniały cztery głębokie zadrapania. Szpony stwora rozcięły ubranie jak masło.

- Rozsądna dziewczynka. Trzymaj się od niego z daleka! Chętnie omamiłby cię na nowo, o tak. Olotah nie pogardziłyby ciałem Opowiadającej, co, mości Shay? Jakie wróżby spodziewałbyś się usłyszeć z jej ust jako nowy pan zamku?

- Naikiru...

Nie odwróciła się. Patrzyła na Mormeaca. Żmij uśmiechał się, ale z każdą minutą coraz bardziej bladł. Było oczywiste, że rana mocno mu doskwiera. Krople potu perliły się na jego czole. Fioletowa szata pociemniała z przodu od krwi. I najwyraźniej bał się opuścić krąg, a na dworze, za purpurową sferą tarczy, wciąż kłębiły się burzowe chmury. Błyskawica oświetliła wijące się leniwie pnącza; załśnił sztylet, uwięziony w ich splotach aż pod sklepieniem. Pat. Naikiru oblizwała suche wargi.

- Możemy się dogadać, panie. Jestem żyłą, moja siła mogłaby cię uleczyć. Ale i ja muszę coś z tego mieć.

- Doskonale, Opowiadająca. Nie pożałujesz. Sowiec wynagrodzę cię za pomoc. - Żmij nagle syknął przez zęby; odruchowo chwycił się za zraniony bok. - Podejdź tu!

- Nie, panie. - Dziewczyna uśmiechnęła się najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki była w stanie się zdobyć. - Najpierw muszę wiedzieć, czy warto.

- Na Otchłań! - Mormeac aż zadygotał, ale opanował się szybko. - Dobrze. Pokażę ci, na co mnie stać. Patrz!

Uczył taki ruch, jakby odsuwał zasłonę. Borowiec powtórnie wydał z siebie coś na kształt parsknięcia.

- Ostrożnie z iluzjami, Mormeac, bo osłabniesz jeszcze bardziej!

Żmij nie zwrócił na niego uwagi.

- Rozejrzyj się, Opowiadająca!

Na posadzce wokół nich spiętrzyły się zgrabne stosiki złotych monet, zaiskrzyły wielkie jak kurze jaja brylanty i szmaragdy, rubiny, szafiry i ametysty.

- Mało wykwintny pokaz, panie. - Naikiru pokręciła głową. - Błyskotkami mógłbyś nęcić srokę... albo córkę kupca.

Żółte oczy Mormeaca załśniły gniewem, ale pohamował się; jego głos nadal brzmiał miękko i uprzejmie.

- Oho! Nie myliłem się co do ciebie, niebieskooka. Umiesz się targować, co? Masz rację, klejnotami mógłbym kusić chciwe mieszczki. Tobie mogę ofiarować coś lepszego.

Po raz drugi skinął dłonią. Naikiru cicho westchnęła z zaskoczenia i podziwu.

Fragment muru za Mormeacem stał się gładki i połyskujący jak tafla zwierciadła. Tylko że to zwierciadło nie odbijało zrujnowanej komnaty. Dziewczyna ujrzała w nim roziskrzoną światłami salę balową. Z pokrytego freskami sklepienia zwieszał się kryształowy żyrandol, lśnił nawoskowany parkiet. A któż to tańczył samotnie pośrodku sali? Kobieta w błękitnej, haftowanej srebrem sukni; błyszczący diadem na upudrowanych włosach, perły na białej szyi, twarz gładka jak u lalki...

...Jej oczy są niebieskie.

Jak moje.

- Ja wiem, o czym marzą dziewczęta. Mogę sprawić, że cały księżęcy dwór będzie przed tobą klękał z zachwytem... - Głos Mormeaca brzmiał słodko jak mruczenie kota.

- Piękno przemija, panie. Muszę się zastanowić... - Naikiru postąpiła o krok bliżej kręgu, ale zatrzymała się tuż przed jego obrębem.

- Drocysz się za mną?! - Głos żmija nagle stracił swoją miękkość. Mormeac zacisnął pięści, ale zaraz je opuścił. - Igrasz z ogniem,

Opowiadająca! Nie lubię, gdy ktoś próbuje mnie zwodzić. Czego oczekujesz, jeśli nie złota ani zaszczytów? O czym marzysz? Czego pożądasz? Powiedz!

Milczała.

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą mogę ci ofiarować - rzucił nagle, zniżając głos do szeptu. - Czarna moc. Mogę sprawić, że obudzi się w tobie czerń, której ziarno zasiał Wilczarz... Tego pragniesz? Zostać ka-ira, moją uczennicą i towarzyszką? Mogę spełnić to marzenie. Nauczę cię wszystkiego, czego uczyłem Uneę i Wilczarza. Co ty na to? Nie wahaj się dłużej! Zbliź się, Opowiadająca. Podaj mi rękę. Razem staniemy się potężni.. Zbliź się, mówię! Nie będę się z tobą dłużej targował. Nie przeciągaj struny! Nie nadużywaj mojej cierpliwości!

- Nie zamierzam.

Kątem oka oszacowała odległość dzielącą ją od stojącego nieruchomo borowca. Ukrytą za plecami ręką spróbowała dać mu znak. Ledwie zauważalnie skinął głową. Może zrozumiał... a może tylko zachęcał, żeby dokonała wyboru. Nieważne. Musiała zaryzykować.

Zaczerpnęła głęboko tchu. Przekroczyła granicę kręgu, stając oko w oko z Mormeacem.

- Przekonałeś mnie. Weź moją siłę.. mistrzu. - Wyciągnęła ku niemu rękę, jakby zamierzała go objąć.

Być może coś wyczuł; żółte oczy nagle się zwęziły, ale nie zdążył zareagować, była zbyt blisko. Pchnęła go znienacka oburącz, z całej siły. Stracił równowagę i zatoczył się do tyłu. Poza krąg. Borowiec, który tylko na to czekał, rzucił się naprzód jak pantera. Chwilę później obaj tarzali się po posadzce.

Mormeac, wyższy i cięższy, miałby pewnie przewagę, gdyby nie rana. Zanim zdążył unieść rękę do zakłęcia, stwór chwycił go za nadgarstki, walnął czołem w twarz, miotającego się przydusił kolanem. Żmij nie dał za wygraną. Targnął głową i z jego źrenic strzeliły z trzaskiem żółte

błyskawice. Nie sięgnęły celu; borowiec zdążył odskoczyć, przetoczył się po ziemi i ponownie zaatakował, godząc szponami w oczy. Mormeac zawył, przyciskając ręce do twarzy. Spomiędzy palców połała się krew zmieszana ze szklistą treścią.

Właśnie wtedy do akcji włączyły się olotah, jak oszalałe smagając powietrze. Jeden z pędów szarpnął za płaszcz Mormeaca; tkanina pękła z trzaskiem. Inny smagnał borowca po kostkach, podcinając mu nogi. Naikiru krzyknęła Stwór upadł, uderzając głową o bok podestu. Przez koszmarne długą chwilę w ogóle się nie ruszał. Mormeac wykrzywił wargi w okropnym uśmiechu. Machnął ręką i furia pnączy nieco przycichła.

Naraz coś głośno stuknęło o posadzkę o krok od Naikiru. Sztylet, upuszczony przez poruszające się łodygi. Dziewczyna niewiele myśląc pochwyciła go, cofając się w porę poza zasięg roślin. Mormeac odwrócił się. Zamarła. Wyglądał strasznie, cały we krwi. Pod spuchniętymi powiekami czerwieniały jamy oczodołów. Był ślepy... a mimo to w jakiś niepojęty sposób widział. Wiedział, co miała w dłoni.

- Oddaj to - charknął. Zaczął kuśtykać ku niej, ręką przyciskając ranę w boku. - Oddaj, a umrzesz bez bólu!

Borowiec poruszył się. Nie był ranny, tylko oszołomiony upadkiem. Wyplątał się z uścisku pnączy i niepewnie stanął na nogi.

- Zostaw ją! - krzyknął. - Zajmij się najpierw mną!

Na dźwięk jego głosu zmij stracił głowę. Próbował transformować; kontury jego postaci rozlały się, pociemniały... Nie udało się; nie miał dość sił. Uwięziony w ludzkim ciele, bezradnie zatrzepotał nietoperzowymi skrzydłami, w które przemieniły się jego ramiona...

Borowiec prychnął z niesmakiem, po czym znów przybrał postać Shaya, jakiego znała.

- Daj nóż! - zawołał. - Rzuć mi go!

- Shay, uważaj! Za tobą...

Mormeac, jęcząc jak potępieniec, nie przestał się przemieniać. Czarne łuski pokryły jego skórę, twarz wydłużyła się, przybierając kształt gadziego pyska. Z nozdrzy zniecka trysnęła parująca fontanna jadu. Shay odskoczył, osłaniając ramionami głowę, ale nie dość szybko. Jego kurtkę upstrzyły ciemne, kleiste plamy; materiał zasyczał i zadymił.

Potwór zaryczał boleśnie. Ze zmasakrowanych oczodołów spływała smolista ciecz. Wił się w mękach, próbując za wszelką cenę doprowadzić przemianę do końca, i przez chwilę zdawało się, że osiągnie cel. Jego cielsko rosło, wydłużało się; czubki skrzydeł niemal sięgnęły sklepienia... Lecz wysiłek okazał się mimo wszystko zbyt wielki. Z ostatnim, pełnym wściekłości wrzaskiem Mormeac runął na wznak, przybierając na powrót ludzką postać.

- Bądź przeklęty, psie Edei - wycharczał, plując krwią. Skrobał paznokciami posadzkę, bezskutecznie próbując wstać. - Obyś zgnił...

Nadludzkim wysiłkiem zdołał się dźwignąć na klęczki; jego głos przeszedł w złowrogie mamrotanie. Pnącza znów zafalowały groźnie; wydawały się rosnąć w oczach.

- Naikiru! Nóż!

Jedna z łodyg chlasnęła dziewczynę po nodze. Zabolało jak cios pejczem. Naikiru zachwiała się. Dwie inne łodygi obaliły ją powłokły po splugawionej posadzce. Zdołała zahaczyć o coś stopą i uwolnić się, ale kolejny pęd - giętki jak wał i twardy jak żelazo - momentalnie owinął się wokół jej talii, ściskając tak mocno, że dziewczyna straciła oddech. Kaszlnęła boleśnie; czuła w gardle krew. Sycząc złośliwie, roślina poderwała ją z ziemi i cisnęła na ścianę. Naikiru w ostatniej chwili zdążyła się osłonić ręką inaczej strzaskałaby sobie nos. Nie upuściła jednak sztyletu. Z przeciętej łodygi pociekł żółty sok i uścisk pnącza zelżał.

Shay, przyciśnięty plecami do muru, lewą ręką kreślił w powietrzu jakieś znaki. Olotah cofały się, nie mogąc go dotknąć, ale było jasne, że

nie wytrzyma długo. Oddychał ciężko, blady jak śmierć. Naikiru przypadła do niego.

- Trzymaj!

Żeby wziąć nóż, na ułamek sekundy musiał przerwać czar i to wystarczyło, żeby olotah zacisnęły wokół nich swoje sploty. Mormeac zaśmiał się chrapliwie...

Rzucony sztylet wbił się po rękojeść w jego pierś. Żmij nie krzyknął. Tak wolno, że wyglądało to aż nierealnie, padł na twarz. Kontury jego ciała znów się zamazywały.. Nagle coś zaświeciło oślepiająco, jaśniej od błyskawic. Naikiru zasłoniła oczy, ale zaraz opuściła dłonie.

Tym razem transformacja została doprowadzona do końca. W kałuży krwi i jadu spoczywały czarne jak smoła zwłoki olbrzymiego jaszczura. Z odgłosem podobnym do westchnienia nietoperze skrzydła po raz ostatni poruszyły się słabo. Sztylet zniknął bez śladu - trująca posoka rozpuściła go.

Olotah rozpadały się, gniły w oczach, kurcząc się w brunatne strzępy.

Grzmoty na zewnątrz ucichły. Chory purpurowy blask stopniowo gasł, ustępując miejsca szarości zachmurzonego nieba Zapadła martwa cisza.

Shay, śmiertelnie wyczerpany, osunął się na posadzkę. Przód kurtki miał spalony, na skroni i policzku czerwone plamy w miejscach, gdzie padły krople jadu.

A więc wygraliśmy, pomyślał. Choć nie zamknął oczu, miał wrażenie, że naokoło zapada ciemność. Nie czuł radości, ulgi, nic. Spać...

Naikiru podeszła do niego chwiejnie, depcząc wstrętne resztki, jakie zostały z drapieżnych roślin. Z rozbitego nosa ciekła krew, ale wyglądało na to, że dziewczyna nie odniosła poważniejszych obrażeń. Szarpnęła go za rękaw.

- Wstawaj! Na co czekasz? Musisz zmyć to świństwo!

- Później. - Shay odsunął jej rękę.

Nie czuł bólu, jedynie obezwładniającą senność.

- Zgłupiałeś? Chcesz zostać kaleką?! Zdejmij kurtkę, zanim ci przywrze do skóry. Rusz się, do cholery! - Uderzenie w twarz podziało skuteczniej niż sole trzeźwiące. Po raz drugi tego dnia Naikiru zmusiła go, żeby stanął na nogi. - Chodź. Wiem, gdzie tu można znaleźć wodę.



Trucizna w pierwszej chwili zabarwiła wodę w misie fontanny na żółto, lecz zmywała się dość łatwo. Naikiru odetchnęła. Spodziewała się, że będzie dużo gorzej. Uratowało go kilka warstw odzieży - większa część palącego płynu wsiąkła w sukno. Pęcherze zdążyły się pojawić tylko tam, gdzie tkanina przylepiła się do ciała. Kiedy Shay trochę doszedł do siebie, zaczął syczeć przez zęby, i to też był dobry znak. Gdzieś słyszała, że głębokie oparzenia mało bołą.

Oddarła rękawy swojej koszuli na skrajnie prowizoryczny opatrunek - nic lepszego nie potrafiła wymyślić.

- Dziękuję - mruknął przez zaciśnięte zęby.

- Drobiazg.

O szukaniu wyjścia z zamku nie mogło być mowy. Usiedli opierając się plecami o postument fontanny i odpoczywali, zobojętniali na wszystko - jak się zdawało, wieki, zaś w rzeczywistości pewnie około godziny.

Do momentu, gdy znalazły ich sylfy.

Naikiru pierwsza usłyszała szelest. Wolno uniosła głowę i zamarła. Nad sobą ujrzała wysoką postać w kolczudze, błyszczącym jak lustro napierśniku i hełmie zwieńczonym pawimi piórami. Złotawe pukle okalały bladą, dumną twarz, piękną niczym rzeźba. Śmiertelnicy rzadko miewają takie twarze.

Nieznajomy rycerz nie był człowiekiem. Z jego pleców wyrastały potężne skrzydła, białe jak świeżo spadły śnieg.

- Smok nie żyje. - Jego głęboki głos dźwięczał jak uderzenia dzwonu. - Kto go zabił?

- Ja - odrzekł po prostu Shay.

- A kimże ty jesteś, do stu piorunów? - Powietrzny wojownik uniósł brwi.

Zamiast odpowiedzi młodzieniec pokazał srebrzysty znak na dłoni. Sylf wolno pokiwał głową.

- Wysłannik Edei, co? Więc to o tobie mówiła nasza królowa... - Jego mina nadal wyrażała głębokie powątpiewanie. Kiedy przyjrzał się Shayowi uważniej, nagle klasnął w ręce. - Opluł cię jadem, ludzkie stworzenie? Jakim cudem jeszcze żyjesz?!

- Jestem borowcem.

- No, tak... to wiele tłumaczy. - Naikiru miała ochotę się roześmiać, widząc, jak niedowierzanie sylfa ustępuje miejsca czemuś w rodzaju niechętnego podziwu. - Powiedz mi, jak zginął?

- Od sztyletu z imieniem. Już się nie odrodzi.

- Niech jego dusza na wieki smaży się w Otchłani! Dobra robota, borowcze.

- Nie udałoby mi się, gdyby wcześniej nie zużył tylu sił, walcząc z burzą... i gdyby nie ona. - Shay dotknął ramienia Naikiru.

Sylf otworzył usta, żeby o coś jeszcze zapytać, ale w tym momencie do komnaty wpłynął przez okno opalizujący obłok. Opadł na posadzkę, przybierając postać dziewczyny w zwiewnych jak mgła szatach. Jej skrzydła były granatowe, koloru burzowych chmur. W ręku dzierżyła łuk, a na plecach miała kołczan pokryty zygzakowatymi ornamentami, przywodzącymi na myśl błyskawice.

- Służący odzyskują przytomność, Far-Alioth - oznajmiła tonem żołnierza składającego meldunek. - Wygląda na to, że znów są w pełni władz umysłowych. Posłaliśmy jednego z wieściami do najbliższej wioski. Wkrótce cała okolica dowie się, co tu miało miejsce. - Z



nieskrywaną ciekawością popatrzyła na Shaya i Naikiru. Widać było, że z trudem powstrzymuje się od zapytania: a ci tu skąd?

- Bardzo dobrze, Nor-Lissa. - Far-Alioth spojrział w tym samym kierunku co podwładna. Zamyślił się. - Wiesz co? Zawołaj tu jeszcze kogoś i zanieście tych bezskrzydłych do starego znachora z połoniny. Choć tyle mogę dla ciebie zrobić, chłopcze od Edei. - Przez urodziwe oblicze sylfa przewinął się uśmiech.

# Znak

W dolinie świętowano. Nocne niebo ożyło łuną ognisk; z wiatrem płynęły śpiewy, przemieszane z dźwiękami gęśli i kobz. Pachniało jadło, pieniało się piwo. „Radujmy się, zły nie żyje!”, wykrzykiwali wieśniacy i stukali się kuflami. „Zły nie żyje!”, nuciły dziewczęta, przytupując sabotami w tańcu. Pызaty księżyc dobrodusznie przypatrywał się z góry, jak prostaczkowie fetują śmierć swojego wroga.

Fetowano hucznie i z fantazją.

Odcięty łeb potwora zatknięto na pal na zamkowym dziedzińcu; podochoceni młodzieńcy zabawiali się strzelaniem doń z łuków, ale żadna strzała nie była w stanie przebić twardej jak skała skóry. Trzy rzędy kłków w rozwartej paszczy migotały niczym diamenty. Puste oczodoły przerażały - dwie ziejące czernią jamy, w które mało kto odważał się spoglądać.

Gdy patrzyło się ze szczytu połoniny, ogniska były zaledwie czerwonymi punktami w morzu czerni, a echa muzyki zagłuszał szum wiatru w trawach Naikiru nie mogła wytrzymać w dusznej chacie znachora. Wyszła na przyzbę, żeby pooddychać chłodnym powietrzem, ale nie usiadła długo w miejscu. Coś pchało ją dalej - nie ku ścieżce prowadzącej w dolinę, lecz w przeciwną stronę. W ciszę i pachnący rosą srebrzysty półmrok.

Ruszyła na przełaj w dół zbocza. Trawy miejscami sięgały jej wyżej pasa. Znalazła zaciszne miejsce za kępą buczyny, rozpostarła na ziemi płaszczy i wyciągnęła się na wznak. Nie myślała właściwie o niczym. Gwiazdy mrugały w górze. Było dobrze.

Nie usłyszała, jak podszedł. Wyczuła obecność. Gdy uniosła głowę, stał kilka kroków dalej - ciemniejszy cień wśród cieni.

Nic nie powiedziała. Shay też milczał; chyba zastanawiał się czy

zostać, czy odejść.

*Nie odchodź*, pomyślała.

Nie odszedł. Usiadł obok - blisko, ale nie za blisko. Patrzył bezmyślnie w dal. Pachniał czymś słodkawym. Opium.

- Wieśniacy świętują - rzucił w pewnej chwili. Głos miał ochryply, zmatowiały ze zmęczenia. - Już nie muszą się obawiać ciemności, ani chować nocą po chatach... Jutro spalą truchło Mormeaca i to będzie naprawdę koniec. Przez jakiś czas będą jeszcze odwiedzać groby, a potem zapomną... Tak jest zawsze: trawa porasta mogiły, żywi odchodzą do swoich spraw. Szczęśliwy, kto umie szybko zapominać. Wymazywać z pamięci zło.

Nigdy jeszcze nie słyszała go tak rozgoryczonego. Zastanawiała się, jak odpowiedzieć, ale wszystkie słowa, które przychodziły jej na myśl, wydawały się płytkie i banalne. Koniec końców nie powiedziała nic.

- Nie chcą dać mi spokoju... - dorzucił Shay ciszej, prawie szeptem. - Ci wszyscy, których porwał Mormeac. Ci, którzy zginęli w lochach. Wciąż widzę przed sobą ich twarze... Może pewnego dnia nauczę się zapominać, Naikiru. Może wtedy będzie łatwiej. Na razie noszę w głowie setki takich obrazów. Czasem chciałbym je siłą wyrwać spod powiek, jak chwasty... Oślepnąć albo skamienieć i nic już nie czuć... Czy ja tracę rozum?

Nadal milczała, po prostu nie wiedziała, co mówić. Młodzieniec zgarbił się i ukrył twarz w dłoniach.

Z braku lepszego pomysłu objęła go ostrożnie. Drgnął, ale nie odsunął się. Wyczuła pod ubraniem bandaże na ramieniu i boku. No, tak - opium pomaga na ból.

- Bardzo?... - spytała cicho.

- Przeżyję. To nie pierwszy ani ostatni raz.

Pomału się rozluźniał. Pogładził lekko jej rękę, potem - nagle jakby speszony - chciał wstać. Naikiru potrząsnęła głową.

- Czemu?... Zostań.

- Jesteś odważniejsza, niż sądziłem - mruknął z nutką ironii. - Już zapomniałaś, jak naprawdę wyglądam?

- Szczerze? Sądziłam, że Mormeac łąze jak pies. To, co zrobił, sprawiało wrażenie tandetnej sztuczki.

- No cóż, myliłaś się. Nie łągał i to nie była sztuczka. Mogę przybierać miłszą dla oka postać, kiedy nie chcę, żeby ludzie mdleli na mój widok, ale w Gleyarvaigh widziałaś, czym jestem w rzeczywistości. Do jakiego świata należę. - Zaśmiał się ponuro; jego palce drgnęły, jakby miały znowu przybrać kształt szponów. - I co ty na to, niebieskooka? Nie lękasz się borowca?

- Nie obchodzi mnie, kim albo czym jesteś. Nie więcej niż zeszłoroczny śnieg, rozumiesz? Umiem odróżniać... prawdę od pozorów. - Spuściła głowę, nagle zakłopotana.

Przez długą chwilę milczeli. Wiatr w buczynie szumiał coraz głośniej. Oboje byli ciepło ubrani, ale i tak przytulili się do siebie trochę mocniej.

Nagle nad horyzontem zaśniła spadająca gwiazda.

- Pomyśl życzenie - szepnęła Naikiru.

- Co?...

- To taki przesąd z moich rodzinnych stron. Gdy ujrzysz spadającą gwiazdę, trzeba pomyśleć życzenie.

- I spełni się?

- Jeśli nikomu nie zdradzisz, co pomyślałaś. Tak chce przesąd.

*...Ja już pomyślałam moje. Ale ono się nie spełni. Takie marzenia się nie spełniają...*

Shay poruszył się.

- Już.

- Tak?

- Nie powiem ci. Bardzo chcę, żeby się spełniło.

Gorycz prawie zupełnie zniknęła z jego głosu; zastąpiła ją senność. Opium i wyczerpanie zrobiły swoje.

- Nie odchodź jeszcze - szepnęła Naikiru, też sennie.
- Nie mam takiego zamiaru.

Chmura przesłoniła księżyc; wszystko utonęło w ciemności, tylko punkciki ognisk wciąż jeszcze jarzyły się gdzieś daleko.

Naikiru zwinęła się na płaszczu w kłębek jak kot. Po chwili wahania Shay położył się przy niej. Zdjął opończę, żeby przykryć dziewczynę i siebie. Przesunęła dłońmi po jego włosach, ale nie próbowała go pocałować. Bliskość, lecz neutralna; trochę tak, jakby oboje byli dziećmi, szukającymi jedynie osłony i pociechy.

Zasnął słuchając jej oddechu.



Nad ranem zbudził ich deszcz. Naokoło było szaro. Niebo zasnuwały chmury, dął zimny wiatr.

- To się nazywa poetyckie zakończenie - stwierdziła Naikiru, otrząsając wodę z włosów.

Shay, usiłujący bez powodzenia oczyścić kurtkę z mokrych źdźbeł, które do niej przylgnęły, parsknął.

Popatrzyli na siebie i roześmiali się.

- To co? Wracamy pod dach?
- Zdecydowanie.

Dzięcioł nie spał. Okutany płachtą krzątał się po obejściu. Na ich widok klasnął w dłonie.

- Ot, nicponie! Ładnie to tak znikać bez słowa? I co? Wesoło chociaż było w dolinie?

- Pewnie tak - machnęła ręką Naikiru. - Nie schodziliśmy tam. Widzieliśmy tylko z góry ogniska.

- Ano prawda, ognie gorzały na każdziutkiej miedzy. Było, było

świętowanie przez całą bożą noc. Czemuś i ty nie poszła pohulać, panna, a?

- Ja? - Uśmiechnęła się na samą myśl. - Miałabym pić samogon i tańcować z parobkami? Wolne żarty, panie Dziecioł.

- A ty, pogromco Mormeaca? Czemuś nie zszedł tam, gdzie się bawili? Pito twoje zdrowie, nie raz i nie dwa!

Shay wzruszył ramionami.

- Wystarczy mi przyglądanie się z daleka.

- A przemokliście, oj, przemokli... - Znachor popatrywał na nich wesoło. - Chodźcie do chałupy. Gość tam jeden dostojny czeka na was. Dopiero co przybył...

W chacie było przytulnie i ciepło. W kociołku nad paleniskiem bulgotała owsianka, rozsiewając smakowity zapach. Na ławie siedział siwiutki jak gołąb staruszek w zabłoconym płóciennym odzieniu. Zzuł łapcie i wyciągnął stopy do ognia. Z wyrazem błogości na twarzy poruszał zziębniętymi palcami. Raz po raz pochylał się, żeby zamieszać łyżką w kociołku.

- Panie, oto oni - chrząknął Dziecioł, kłaniając się nisko.

Staruszek wstał. Uśmiechał się przyjaźnie, ale na widok jego oczu Naikiru gwałtownie chwyciła oddech. Były mleczone, jakby powleczone bielmem... a jednak nie ślepe. Błyszczały niby opale. Na czole starca widniało białe znamię w kształcie korony. Kątem oka ujrzała, że Shay pada na kolana. Nie bardzo wiedząc, co robić, uklękła również, gorączkowo zastanawiając się, kim może być ten człowiek... Nagle doznała olśnienia. Nie człowiek. Eremus, król gór.

- Wstańcie, dzieci, wstańcie - powiedział dobrotliwie Eremus. - Bez ceregieli. Jestem tu incognito.

Wstali, cokolwiek zakłopotani.

Dziecioł spróbował tymczasem owsianki. Mlasnął z aprobatą i przelał zawartość kociołka do misy, przełamując w ten sposób poważny nastrój.

Zasiedli do śniadania.

- Matka Ziemi spodziewa się, że rychło powrócisz na północ - odezwał się Eremus do Shaya, kiedy w misie pokazało się dno. - Dobrze się tu spisaliście, cień zniknął z Gór Ciszy. Teraz twoja królowa chce cię widzieć w Lia tarLian.

Młodzieniec skinął głową.

- Jutro ruszam w drogę. Pora wracać do domu.

- Wasza Wysokość, a co będzie ze mną? - odważyła się spytać Naikiru.

- Dokąd ja pójdę?

Wszyscy trzej popatrzyli na nią ze zdziwieniem.

- Levayden... Mój ojciec nie żyje... - zająknęła się nagle. - Nie mam nikogo...

- Mogłabyś zostać tu - mruknął Dziećcioł. - We wsi zamieszkać. No, bo czemuż by nie? Ludzie tu życzliwi. Chleba ci nie zbraknie. Ręce masz młode, do roboty zdatne..

Shay milczał.

- Jest jeszcze jedno wyjście - rzekł wolno Eremus. - Edea, Pani Liścia. Wstąp do jej służby.

Z wrażenia szeroko otworzyła oczy. To nie mogło, po prostu nie mogło być prawdą. Takie marzenia się nie spełniają...

- Ależ... - zdołała wykrztusić - jestem tylko niedoszłą Opowiadającą!...

- Kryjesz w sobie więcej, niż się wydaje, Opowiadająca - uśmiechnął się król gór. - Czemu spuszczasz głowę? Ja dobrze wiem, że Mormeaca pokonało dwoje, nie jeden. Shay wszystko opowiedział sylfom, a one mnie. Ciebie też z radością powitamy w Lia tarLian... O ile zechcesz się tam udać.

Bez tchu skinęła głową.

- O, tak!

Eremus popatrzył na nią przenikliwie swymi niesamowitymi oczami, które wydawały się docierać aż do głębi duszy.

- Czy jesteś gotowa służyć Matce Ziemi słowem, czynem i sercem przez wszystkie dni swojego życia? - spytał uroczyście.

- Jestem. - Jej głos nawet nie zadrżał.

Król gór wstał.

- Chodź ze mną. Wy też. Nie może być pasowania bez świadków.

Na zewnątrz deszcz ustał. Chmury rozproszyły się; pomiędzy nimi przeświecał błękit. Wschodzące słońce migotało różowo w kroplach pokrywających trawę. Zapowiadał się piękny dzień.

- Uklęknij - rozkazał Eremus. - Weź w prawą rękę garść ziemi i powtarzaj za mną słowa przysięgi.

Była to krótka lecz skomplikowana formuła w języku magów. Naikiru rozumiała z niej jedynie pojedyncze słowa. Kiedy skończyła recytować, król gór klasnął w ręce, wołając: - Dokonane!

Trzasnęło, rozszedł się zapach kadzidła. Naikiru krzyknęła z zaskoczenia i bólu. Upuszczając ziemię, uniosła rękę do oczu. Zamrugowała niedowierzająco. We wnętrzu dłoni pojawił się krwawiący, jakby wycięty nożem znak. Trójkąt z wpisaną weń pionową linią.

- A więc wstąpiłaś pod sztandar Edei - odezwał się z uśmiechem Shay. Nieoczekiwanie przytulił ją mocno. - Cieszę się, Opowiadająca.

*...Ja również, Shay. Nawet nie wiesz, jak bardzo.*

Ale na głos nie powiedziała ani słowa.



**Maciej Guzek**

**ZŁOTO GÓR SZARYCH**

*„Tfurcom” filmu „Wiedźmin”, którzy upewnili mnie, że Apacze i elfy mają  
wiele wspólnego.*

# Prolog

Kolejny zwykły dzień zmierzał niespiesznie ku końcowi. Prawdę mówiąc, u nas w Rio Dragon życie w ogóle biegnie powoli, zresztą, co tam biegnie - ledwie człapie, o, jak ten krasnolud z Kompanii Kolejowej, który właśnie idzie w moją stronę. Za chwilę - dość długą, bo, jak powiedziałem, nie bardzo mu się spieszy - pchnie drzwiczki saloonu, stanie, zasapie jak to oni, brudną ręką chwyci szklanekę whisky, którą mu zaraz naleję, i siądzie przy stoliku. Nim opróżni szkło dosiędą się doń inne krasnoludy i dalejże rznąć w pokera. A każde rozdanie to nowa kolejka! Tak, mówię wam, krasnoludy z Kompanii Kolejowej Middle Earth Railway to najlepsi klienci. Talarów mają pełne sakiewki - kompania płaci dobrze - a głowy mocniejsze niż ludzie, butelka whisky na jednego to mało. Elfy są za to ich kompletnym przeciwieństwem - ledwie kieliszek łyknie, już nogi takiemu miękną, lico czerwienieje jak u panny na wydaniu, oczy młynka kręcą. Ale taki elf nie, nie, pić nie przestanie! Zamówi następną porcję „ognistej wody” - jak oni nazywają whisky. I następną. A potem ląduje pod stołem.

Elfy, widzicie, łatwo się uzależniają, raz umoczy taki gębę i moczymordą zostaje. A z elfiego księcia można dużo wyciągnąć. Bo, powiem wam w tajemnicy, elfy, zwłaszcza te możne, płacą złotem, prawdziwymi samorodkami, nierzadko wielkimi jak kurze jaja. Nie mnie wścibiać nos, skąd oni to złoto biorą - wszak stary Siwy Andrew, znany poszukiwacz, przemierzył doliny i przełęcze wzdłuż i wszerz, co było zabrał i orzekł, że nie ma już złota w Szarych Górach. Tedy nie ma, myślę - przychodzili inni poszukiwacze, był i kędzierzawy The One, i Jack De Craft i inny Jack o nazwisku Saturday, ale złota nie znaleźli. The One zadowolił się srebrem i miedzią, które sprzedawał na wschód, do stolicy, Jack De Craft zgoła niczym, a Jack Saturday na koniec oszalał, doszedł

bowiem do wniosku, że szukać złota nie warto, boć to błyskotka wiele warta li tylko dla pospólstwa, on zaś ukontentuje się platyną, której wydobył pod dostatkiem. Nie wiem, mozem ja prosty człek, ale cóż on takiego w tej platynie widział?

Tak czy inaczej, złota, jak wieść gminna niosła, w Szarych Górach nie było, co elfom nie przeszkadzało tym złotem płacić. A gdzie elfy mieszkają? - dobrze myślicie, w Szarych Górach właśnie! A nie chce mi się wierzyć, że złoto przywożą one z prerii, na którą wychodzą każdej wiosny, by polować na bizony.

Miałem ja właśnie w saloonie trzech takich elfich gagatków. Siedzieli u mnie już od tygodnia, pili na umór, płacili sowicie i po trzeciej kolejce nieodmiennie zjeżdżali pod stół. O, tak jak teraz. Pośpią z godzinę, dwie, a potem będą chcieli chędożyć dziwożony. A ja im na to odpowiem: Płacisz i masz. Dostaną kluczyk na górę - a jak wyciągną jakieś szczególnie duże nuggety, to może i nimfa się znajdzie...

Ale póki co, jeszcze wcześniej, jeszcze długo przyjdzie czekać nim saloon zapełni się klientami. Wieczorem do krasnoludów dołączą gromady pastuchów, kilku farmerów, wiedźma Saymoore przybiegnie kupić cygara i piersiówkę, może przyjadą jacyś gringorcs z południa - choć tych ostatnich wolałbym raczej nie oglądać, niezbyt lubimy tu tych małych brudasów w wielkich kapeluszach.

Skoro mam trochę spokoju, a lampy naftowe już świecą, zerknę na gazetę, którą zostawił mi tydzień temu pocztylion z Pegasus Express. Gazeta może już trochę nieaktualna - sprzed trzech tygodni, i trochę, prawdę powiedziawszy, poplamiona, ale daty nie mają dla nas znaczenia - to, co dzieje się w wielkim świecie, na Wschodnim Wybrzeżu, niewielki ma na nas w Rio Dragon wpływ. Tylko z ciekawości lubię poczytać, co piszą w „New Gondor Herald”.

W gazecie zaś stało: *„Niedługo wybory! Kto będzie następcą prezydenta Gandalfa? Kto obejmie rządy w Białej Wieży w Aragorn? Najpoważniejsi*

*pretendenci to sir Artur, kandydat Republikanów, i Mordred, kandydat Demokratów. W sondażach prowadzi nieznacznie Artur...”*

Hmm... Ciekawe. Tylko że niezależnie od tego kto wygra, los Rio Dragon nie zmieni się ani trochę - ot, dalej będzie to mała miejscina na pograniczu, przytulona do Gór Szarych, od zachodu mająca za sąsiadów elfy, od południa - kraj gringorcs. Następny artykuł wydał się bardziej interesujący.

*„KOLEJNY ZE SŁYNNYCH REWOLWEROWCÓW UJĘTY” - krzyczał nagłówek, a dalej było: „Dnia dwunastego Februara policja federalna Smok Lake City ujęła legendarnego rewolwerowca, Buffalo Billbo. Stało się to po tym, jak ów niepozorny, niskiego wzrostu mężczyzna z zimną krwią zabił dziewięciu mieszkańców Smok Lake City, członków tamtejszego zboru religijnego. Przypomnijmy, ich cechą charakterystyczną jest to, że noszą się czarno. Wracając do Buffalo Billba, został on ujęty, gdy zażywał odpoczynku w zajeździe przybysza z południa, niejakiego El Ronda. El Rondo, widząc, jak groźnego przestępcę przyszło mu gościć, dał znać policji. Rewolwerowiec został osądzony w trybie przyspieszonym (sprawę rozstrzygał znany skądinąd Trybunał Dziewięciu Gniewnych Magów) i osadzony w więzieniu o zaostrzonym rygorze na wyspie Avalon. Dołączył tym samym do innego niebieskiego ptaka, Geralta z Black River, który również odsiaduje w Avalonie karę dożywotniego więzienia (znana rusznikarnia Geralt z Black River and Sons to obecnie tylko i wyłącznie synowie).”*

- Zobaczy szef, prędzej czy później Artur też tam trafi! - krzyknął jeden z moich kucharzy. Nie wiem, co też chłopaczkowi odbiło, ale był z niego zaprzysięgły demokrata. Machnięcie ścierką i już go nie było. Wróciłem do artykułu.

*„Uwięzienie Buffalo Billba kończy epokę pistoleros, którzy jeszcze niedawno budzili postrach w całym Dzikim Sródziemiu. Przypomnijmy: Old Suttentbach został szeryfem w Yaruga River, Thelmę i Yennefer żywcem na*

*stosie spalili mieszkańcy małej miejsciny na północy, Salem. Oficjalna wersja głosi, że ludzie uznali je za czarownice, nieoficjalna zaś - i prawdziwsza - że wynajęte przez farmerów, by rozprawić się z bandami pegazokradów, rabusiów wprawdzie do szczętu wyplenily, ale same sterroryzowały całą okolicę. Niewyjaśniony pozostaje los bodaj najbardziej znanego z rewolwerowców, osławionego „Zabójcy Urzędników” - Wyatta Elfa...”*

Drzwi zaskrzypiały, podnoszę głowę znad gazety, a w wejściu woźnica dyliżansu, widać, że zdruzgotany, musiał przed momentem przyjechać. Twarz mu płonie, w oczach przerażenie. Z nim stoi jegomość w filcowym kapeluszu z dość szerokim rondem, nienagannie skrojonym czarnym surducie, z teczką ze świńskiej skóry barwionej na brązowo, a facjata blada jak księżyc. Pewnikiem urzędnik federalny, myślę sobie, administracja w Aragorn przysłała jakiegoś anemicznego ważniaka. Pewnie od spraw elfów...

Ledwie na przybyłych spojrział - już wiem, że coś jest nie tak, że w Rio Dragon nie będzie tak, jak dawniej.

Woźnica podbiegł do bufetu, nie pytając chwycił przygotowanego dla jednego z krasnoludów drinka, opróżniając szklankę jednym potężnym haustem.

- Mord! - wychrypiał. - Okrutny mord w Kanionie Nietoperzy!

# 1.

W saloonie zapadła cisza, zaiste martwa. Driady w pół kroku przerwały kankana, ręka barda, jeszcze moment wcześniej wyczarowująca skoczne melodie, niepewnie zawisła nad strunami cytry, wszyscy goście - a zebrało ich się całkiem sporo - wstrzymali oddechy. Spokój zakłócało tylko skrzywienie podziurawionej jak rzeszoto kulami tabliczki zawieszanej nad sceną z napisem: „*Nie strzelać do barda! To jedyny jakiego mamy*”.

Właściciel saloonu, Gruby Beagle, nie pytając, po raz kolejny napełnił szklankę woźnicy; ów łyknął łąpczywie, otarł czoło i jął opowiadać: - Straszliwa tragedia się stała, powiadam wam. Jadę dylizanssem od St. Galadriela, a że wyruszyłem dość późno, bom musiał czekać na tego oto dżentelmena - tu ręką wskazał na stojącego za nim jegomościa - wybrałem krótszy gościniec, żeby przez trzy dni zdążyć do Rio Dragon. Droga była spokojna, wnet też dotarłem do Kanionu Nietoperzy. Od razu owiał mnie jakiś chłód i martwota, alem zrazu pomyślał, że w Kanionie zimniej, bo słońce nie grzeje. Wjeżdżam głębiej w cień, patrzę - wóz stoi wielgachny, z obleczoną płótnem budą, prawdziwy „krążownik prerii”, taki jakimi przybywają w te strony osadnicy. Patrzę dalej - a tam następny i jeszcze jeden, i jeszcze - w sumie naliczyłem siedem wozów. Myślę: przybysze ze wschodu popas zrobili, koniom odpocząć dają - a skwar był rzeczywiście straszny, można zrozumieć, że kiedy już cień znaleźli, to zeń korzystają. Tyle że cały czas było cicho, ani szwargotu dzieci, ani rżenia koni. Podjeżdżam bliżej, zsiadam z kozła, żeby zobaczyć, czemu stanęli... Gdy podszedłem na dwa kroki od wozu, poczułem jakąś dziwną woń, zapach śmierci. Patrzę, a tam trupy... Leżą w wykrotach za kamieniami, niektóre na wozach, dorośli mężczyźni,

kobiety, dzieci, nawet konie i psy. Kałuże krwi porozlewały się w skalnych zagłębieniach, a kamienisty gościniec zrobił się cały czerwony, nawet płynący nieopodal strumyczek miał ponurą purpurową barwę. Niektóre ciała rozszarpano, inne pozostawiono nietknięte, tyle że wszystkie naszpikowane były strzałami, przypominały jeżozwierze. A wszystkie strzały miały purpurowe lotki...

- Elfy! - krzyknął jeden z farmerów, krzywonosy John Wayno. - *Shit*, elfia to robota!

Mówiąc to splunął przez ramię w stronę stolika, pod którym pochrapywała trójka elfów, nieświadoma wzbierających nad ich głowami czarnych złowrogich chmur ludzkiej wściekłości. Słowa Johna były jak kamyk, który rusza lawinę. Wszyscy naraz zaczęli się przekrzykiwać, przeklinać elfie plemiona, wygrażać, szykować pościgi, odwety czy inne karne ekspedycje. Szeryf, drzemiący dotąd smacznie u boku graniastej butelki whisky, zbudził się, zamrugał, a spostrzegłszy co się dzieje, wyciągnął rewolwer i wystrzelił w sufit. Gwar ucichł.

- A skąd, eep... skąd pewność, że to elfy? Elfy pokryły się po lasach, górach, a z nami ludźmi chcą mieć jak najmniej wspólnego - rzekł, trochę jeszcze bełkotliwie. - To nie mogły być elfy...

- A jednak, mister... King, o ile nie pomyliłem akt - powiedział, milczący dotąd, blady przybysz. Nieznacznie uniósł melonik, skłonił się lekko i wyrecytował: - Horacy Bloodlike, Starszy Inspektor Federalny do Spraw Kartografii, Rozwoju Terenów Strukturalnego Regresu oraz Mniejszości Etnicznych. Pan wybaczy, ale ja również widziałem miejsce zbrodni. Podróżowałem tym dyliżansem z St. Galadriela. Z racji piastowanego urzędu wiem o elfach sporo. Na przykład to, że elfy Navaho, jedno z plemion zamieszkujących pobliskie góry, barwią lotki strzał na czerwono. Że plemię to ujeździło znaczną ilość dzikich pegazów...

- Właśnie - podchwycił woźnica. - A dookoła nie było śladów kopyt!

- Wiem też, że jeden z ich wodzów, Siedzący Wyvern, jest uważany przez Rząd Zjednoczonych Królestw Neverlandów za zbrodniarza, wysyła się za nim listy gończe! - To mówiąc Bloodlike, sięgnął ręką do torby, skąd triumfalnym gestem wydobył kartkę z podobizną elfa przystrojonego w potężny pióropusz z piór harpii i pegazów. Napis nad podobizną głosił: „*Wanted Dead or Alive*”, a pod spodem drobnym drukiem dopisano: „*preferred dead*”. Jeszcze niżej czerniły się cyfry, jedynka i cztery zera, za nimi zaś wielka litera T przekreślona dwiema poziomymi kresczkami. Oznaczało to, że Rząd płaci za głowę Siedzącego Wyverna dziesięć tysięcy talarów.

- Nadal uważacie, *mister King*, że elfy nie miały powodu? - spytał.

- Myślałem, że Rząd zaprzestał polityki konfrontacji z elfami - wyjąkał szeryf, trzeźwiejąc szybko. - Ładnych kilka lat temu podpisano traktaty mówiące, że ludzie dochodzą do Szarych Gór i basta, dalej na zachód to tereny elfów. Siedzący Wyvern, o ile mi wiadomo, został uznany za przestępcę tylko dlatego, że bronił swojej ziemi. Miała go objąć amnestia...

- Cóż, przykro mi to mówić, ale w tym wypadku nasz wspaniały prezydent Gandalf pomylił się. Decyzje co do polityki wobec elfów uległy nieznacznej korekcie. Przyjechałem między innymi po to, by renegocjować zawarte siedem lat temu układy. Poza tym - zdziwicie się państwo, ale zdarzenie w kanionie to nie pierwsza taka historia, w ostatnim czasie miało miejsce kilkanaście podobnych incydentów. Rząd mówi takim praktykom „Nie!” - koniec pobłażliwości dla elfów, które zagrażają ludziom.

- Jasne! - wybuchnął John Wayno, który zobaczywszy, że ma wsparcie w tak znaczącej figurze jak urzędnik federalny, od razu nabrał animuszu.

- Zawsze powtarzałem, że elfom i ludziom ze sobą nie po drodze! Wiedziałem, że krzywo na nas patrzą! Bo kto mi mleko zaklęciami psuje, bydlę paskudzi, tak że spora część stada zawsze padnie? Kto sprawia, że



zawsze zboże mi wymarznie? Jasna to rzecz - elfy! A pamiętacie, jak bywali tu ci poszukiwacze złota? Zaraz elfy przyjechały, pióropusze na łbach, gęby wymalowane, jak to one, i dalej bredzić o naruszeniu świętych miejsc elfich, dalej grozić. Dopiero pułk kawalerii z Fort Ring ostudził im głowy!

Wszyscy, którzy byli w saloonie - a schodziło się, ku uciesze Grubego Beagle'a, coraz więcej klientów - jęli potakiwać, przypominać sobie prawdziwe i wyimaginowane konflikty pomiędzy nimi a przedstawicielami Starszego Ludu (przy czym, rzecz jasna, zdecydowanie przeważały te wyimaginowane). Jeden Rob King próbował tonować nastroje, ale został zakrzyczany, stłamszony, a John Wayno posunął się nawet do groźby.

- Ty, King, zawsześ z tymi bladymi twarzami trzymał, z nimi żeś się kumał! Lepiej zawrzyj gębę i wróć do flaszki, bo jeszcze pomyślimy, że po ich, nie po naszej stronie jesteś!

Tłum zarechotał, widząc, jak Rob się potyka; jakiś pastuch popchnął szeryfa, inny chlusnął na niego whisky, jeszcze inny kopnął go, spostrzegłszy, że King ląduje na podłodze. Chwila, i wszyscy zapomnieli o jego istnieniu, zaśluchani w słowa perorującego coraz to głośniejszego Johna Wayno: - Z elfami trzeba skończyć. W Kanionie Nietoperzy mógł być każdy z nas! Nie można puścić takiej zbrodni płazem. Musimy się zorganizować, w okolicy mieszka kilkuset uzbrojonych mężczyzn, to powinno wystarczyć aby zrobić z elfami porządek. Potem, w razie potrzeby pošlemy, do St. Galadriela i Fort Ring po wojsko!

Dostrzegł śpiące pod stołem elfy. Zmarszczył brwi.

- Sprzątanie najlepiej zacząć zaraz - warknął. Spojrzenia zgromadzonych podążyły za wzrokiem farmera.

- Yessss! - krzyknął jeden z pastuchów, McGregor, wykrzywiając usta w dziurawym uśmiechu. Jedną z licznych luk między zębami zatykał mu bury skręt żarzący się czerwonym, niespokojnym ognikiem. McGregor

dmuchnął dymem w kierunku elfów i wysyczał: - Zawsze mówiłem, że dobry elf to *dead* elf. Wiedźma Saymoore twierdziła, że jestem szalony, bredziła o koezg... *fuck*, koegzystencji jakiejś - jakby kto rozumny w ogóle wiedział, co to znaczy! A teraz ma tę jej koezh... *fuck*, koegzystencję. Żywych elfów z pozabijanymi ludźmi!

- Panie Bloodlike, pan jesteś urzędnik federalny. Samosąd tu się dzieje. Bezprawie! - krzyczał z rogu sali Rob King, lecz inspektor nie słyszał go, bądź też nie chciał słyszeć. Tymczasem kilku mężczyzn wywlokło trójkę elfów spod stołu. Jeden z nich, sądząc po stroju najznamienitszy, ocknął się i wychrypiał: - Mnie? Wy, eep... chamy, mnie, elfa wysokiego rodu tykacie? Precz!

Odpowiedziały mu dzikie rechoty przemieszane z okrzykami gniewu. Elf zachwiał się, zatoczył, naraz jego wzrok napotkał lśniące ostrze noża, trzymanego przez McGregora, potem spostrzegł dwie wycelowane w siebie lufy rewolwerów Glorfindel kal. 12 mm. Elf otrzeźwiał w jednej sekundzie, cofnął się pod ścianę, zbladł. Dwóch jego towarzyszy, jeszcze przed momentem śpiących, stanęło przy boku zaatakowanego.

- Tknijcie mnie, a ten saloon spłynie krwią - wycedził nad wyraz zimno elf.

- A pewnie. - John Wayno przypatrywał się elfom z jakąś okrutną satysfakcją w oczach. - Waszą...

- Jeśli cokolwiek stanie się mnie lub któremukolwiek z moich towarzyszy, wszystkie elfy wykopią pierścień wojenny. Pogranicze zaczerwieni się krwią niewinnych ludzi.

- Za późno. - McGregor dmuchnął elfowi dymem prosto w twarz. - Już spłynęło. Wy zaczęliście. I nie gróż nam jakimiś magicznymi sztuczkami i pierścieniami. Bo nasz prezydent też może wykopać jakiś pierścień... A wtedy będzie z wami krucho.

Ktoś wystrzelił, na podłogę posypało się szkło z rozbitego żyrandola, wszyscy obecni w saloonie sięgnęli po rewolwery, strzelby, noże.

Horacy Bloodlike przypatrywał się temu wszystkiemu z boku, stojąc w cieniu, oczy skrywał pod rondem kapelusza.

- Dość!!! - ryknął naraz właściciel saloonu, Gruby Beagle, wskakując pomiędzy elfy a napierający na nie tłum. - Pierścienie wojenne chcecie wykopywać, psiekrwie? Pierścienie wojenne? Patrzcie - machnął potężnym tasakiem - to jest topór kuchenny. Każdy będzie miał szansę dowiedzieć się, jak to jest być świniakiem, siekanym na kotlety. Każdy, kto chce zabijać w mojej knajpie! Precz! - zwrócił się do pastuchów. - Whisky wam we łbach namieszała. Do bydła wracać, do roboty, bo wam wyverny i wilkory stada przetrzebią. A wy - odwrócił się do elfów - w moim lokalu pić już nie będziecie. Zawszem powtarzałem, że whisky ino mocnej głowie służy! A teraz jazda... - To mówiąc, grubas wepchnął elfich wojowników do małej izby na parterze, zatrzasnął za nimi drzwi.

- Jedno wam jeszcze powiem - warknął, odwracając się w stronę sali. - Może i zbrodni w Kanionie Nietoperzy winne są elfy - różne to są gagatki, niebieskie ptaki i pomyleńcy Ale na pewno nie ta trójka, bo ci od tygodnia już u mnie popasają piją na umór i z driadami figlują. Może to i nieobyczajne, ale nie na tyle, żeby ich mordować. A każdy, kto wchodzi pod ten dach, korzysta z mojej ochrony - i bez dochodzenia, bez sądu, jest nietykalny!

- Niechże się pan nie obawia. - Horacy Bloodlike podszedł blisko Beagle'a, uśmiechnął się blado, odsłaniając śnieżnobiałe zęby. - Będzie sąd i będzie śledztwo, które, jak mniemam - tu funkcjonariusz rządowy rzucił szybkie, niechętnie spojrzenie szeryfowi, który właśnie osuszał kolejną szklankę whisky - sam poprowadzę. A teraz, przyjacielu, zważywszy, że urzędnikom federalnym przysługuje darmowy nocleg w każdym lokalu na terenie tego państwa - przygotuj mi jakiś przytulny pokój jednoosobowy. Zdrożonym bardzo i rad bym odpocząć. A, i podaj mi do pokoju kolację. Tatara z cebulką - czosnku nie znoszę.

- Życzy sobie szanowny pan coś do picia? - Gruby Beagle po

chwilowym wybuchu szybko ochłonął i jął kalkulować. A z tych kalkulacji wyszło mu, że żadną miarą nie opłaca się zadzierać z pełnomocnikiem rządowym. - Whisky? Jakąś wódkę? Może piwo?

- Zapamiętaj - syknął Bloodlike, obracając w palcach otrzymany przed momentem klucz do pokoju - piję tylko drinki. Czystą z sokiem pomidorowym! I lodem. Niech któryś z twych pachółków pilnuje, by nikt, powtarzam: nikt nie zakłócał spokoju na piętrze, na którym mieszkam. Jeśli trzymasz tam dziwki - wyrzuć je. Usłyszę choćby pisk, chichot czy jęk, a stracisz koncesję na alkohol i gry hazardowe. W nocy pracuję. Poślijcie też szybko po burmistrza, muszę się z nim rozmówić. Może okaże się poważniejszym przedstawicielem tutejszej władzy niż ten, o - pogardliwie wydał wargi - szeryf King.

Inspektor niespiesznie odszedł, wspinając się po schodach na piętro. Kilkakrotnie chwycił się rzeźbionej w drewnie poręczy, a bystre oko Beagle'a zatrzymało się na dłoniach Bloodlike'a. Oberżysta przełknął ślinę i poplamioną serwetą otarł pot z czoła.

Atmosfera w lokalu powoli się uspokajała, przy stołach potworzyły się małe grupki dyskutujących żywo mężczyzn, przy czym wszelkie rozmowy zdominował jeden temat - tragedia w Kanionie. Woźnica po raz kolejny, z detalami opisywał miejsce zbrodni. Powiedział też, że przywiózł jednego trupa, by zbadała go wiedźma Saymoore, co miało być dowodem dla sądu. Według powszechnej opinii żaden sąd nie był tu potrzebny, sprawa wszystkim wydawała się jasna.

„Zabić elfy” - to było owo cudowne panaceum, powtarzane niby ponury refren, hymn, przez domorośłych strategów, którzy dopiero co odstawili widły, a już poczuli, że wciąga ich wir wielkiej polityki. Ktoś rzucił myśl, by zorganizować karną ekspedycję, ktoś inny ów pomysł podchwycił, następny znów zauważył, że skoro ma być ekspedycja karna, to potrzebne są do tego siły zbrojne. John Wayne, służący onegdaj w armii federalnej podczas konfliktu z gringorcs, przypomniał sobie, że

dosłużył się stopnia kaprała, a ponieważ nikt z obecnych nie mógł pochwalić się wyższymi dystynkcjami, Johna wybrano tymczasowym dowódcą armii.

- Zrobimy elfom z dup jesień Śródziemia! - wykrzykiwał co chwila John, podczas gdy pisarczyk Jerry dopisywał kolejne nazwiska na liście ochotników.

- Co robisz z osą, kiedy cię sieknie? - perorował nowo mianowany głównodowodzący sił zbrojnych Rio Dragon. - Zabijasz zarazę! Tak i teraz, jednym szybkim posunięciem załatwimy sprawę.

Głupcze, pomyślał ponuro Rob King, zahukany i skryty w cieniu pod ścianą. Co będzie, kiedy trafisz na rój? Kolejny drink zabił wszystkie wątpliwości, rozterki i emocje.

## 2.

Chata wiedźmy Saymoore stała na wzgórzu pośrodku brzozowego gaju; był to ostatni dom w Rio Dragon od strony Szarych Gór. Budowla ta liczyła sobie z górą sto lat; wiekiem dorównywała pierwszym domom w centrum miasteczka - ratuszowi, bankowi i saloonowi - bo przecież miasteczko od zarania musiało mieć wiedźmę. Chatę postawili emigranci pamiętający jeszcze Stary Łąd, toteż zadbano o to, by budynek odpowiadał najlepszym wzorom stamtąd przywiezionym. Była więc rzeźbiona w skale kurza noga, na której położono wielką drewnianą platformę będącą podstawą ścian, bielonych gęstym wapnem mającym przypominać lukier. Ściany przykrywał spadzisty dach, kryty dachówką w kształcie pierników. Obrazu całości dopełniał komin imitujący rurkę z kremem, przy czym po ponad stuletniej eksploatacji szerniał tak, że uważny obserwator może i by rozpoznał, że chodzi o rurkę z kremem, tyle że taką, o której cukiernik zapomniał i nierozważnie pozostawił w piecu.

Wiedźma Saymoore, obecna mieszkanka chaty na kurzej stopce, zupełnie nie pasowała do tego bajkowo-cukierkowego stylu. Nie rozstawiała się z cygarem, trzymanym w lekko pożółkłych zębach, nie stroniła też od wysokoprocentowych trunków, zawsze z piersiówką pod pachą oraz książką pod pachą drugą. Choć była kobietą młodą jeszcze, jej czoło przecinała bezlitosna siateczka zmarszczek, póki co płytkich, lecz niosących zapowiedź licznych udręk przed lustrem. Świat obserwowała zza staroświeckich binokli, wzrok bowiem zepsuła sobie od czytania. W Rio Dragon mówili, że jakaś ta ich wiedźma dziwna. Nie latała na miotle - miast tego, hołdując zamorskiej modzie, używała dywanu. Często bywała na sympozjach naukowych dla czarownic, organizowanych w ośrodku

konferencyjnym Bald Mountain. Według jednej z plotek Saymoore była sufrażystką, a choć nikt w Rio Dragon nie wiedział, co to znaczy, traktowano to jako ciężką obelgę. Trudno się zatem dziwić, że wszyscy w miasteczku mieli wiedzmę jeśli nie za kompletnie pomyłoną, to co najmniej lekko szurniętą. Z drugiej jednak strony cieszyła się ona opinią znakomitego fachowca. John Wayne bardzo sobie ją chwalił od czasu, gdy wytępiła pchły najpierw u wszystkich jego zwierząt, potem u niego samego. Saymoore potrafiła zaradzić wszelkim znanym chorobom bydła, trzody chlewnej, gryfów i jednoroźców, a nawet i ludzi. Powiadano - choć to już niektórzy wkładali między bajki - że potrafiła wyleczyć nawet katar, co zajmowało jej - bagatela - siedem dni!

W rzeczywistości wiedźma Saymoore była ongi jedną z najlepszych studentek wiedźmiństwa na Hellvard University. Ani jej w głowie była rola społeczniczki, sprzedającej swe drogocenne umiejętności w jakiejś zapadłej dziurze, do której dyliżans zagląda najwyżej raz na tydzień, a kurier na pegazie - raz na czternaście dni. Nie, studentka Saymoore marzyła o wielkiej karierze w New Gondor albo i nawet w samej stolicy - w Aragornie. Oczami wyobraźni widziała świetnie prosperującą praktykę, przynoszącą ciągle nowe wyzwania i - co dla Saymoore było najważniejsze - bardzo, bardzo dużo zieloniutkich banknotów stutalarowych. Pech chciał, że romans, który młoda studentka miała z jednym ze swych profesorów, wyszedł na światło dzienne. Zrobiła się wielka afera, o sprawie pisała prasa, żona wykładowcy - bardzo wysoko postawiona jędza - zażądała od Wielkiego Sabatu, czyli samorządu zawodowego czarownic, usunięcia młodej absolwentki. No i Wielki Sabat zdecydował: obowiązkową, ośmioletnią praktykę Saymoore miała odbyć w małej miejscinie na południowym zachodzie, w zapyziałym i dzikim, ale znanym Rio Dragon.

Na wieść o decyzji korporacji Saymoore piła przez tydzień. I to bynajmniej nie z radości. Osiem ciężkich lat na brudnej, zacofanej i co

najgorsze, biednej prowincji. Saymoore, znająca niezawodne zakłęcie regenerujące wątrobę, doszła do wniosku, że rzeczywistość Rio Dragon kłuje w oczy tak mocno, iż należy jak najbardziej stępić jej szpikulec. Pracowała nad tym intensywnie, w ilości spożywanej whisky ustępując jeno szeryfowi. Mimo to miejscina i jej mieszkańcy doprowadzali wiedźmę do szału; na każdym kroku starała się okazywać swą wyższość, zaś szczególną niechęć żywiła do miejscowego pastora.

Wielebny Reverand był bardzo niezadowolony, gdy dowiedział się, że w chacie wiedźmy znajdują się przywiezione z Kanionu Nietoperzy zwłoki dziewczyny. Oznaczało to bowiem obowiązkową wizytę u Saymoore.

Czarownica przywitała pastora kłębem dymu wypuszczonego prosto w oczy wielebnego. Niedbale podpisała wszelkie dokumenty potrzebne do stwierdzenia zgonu, a później z ironicznym uśmiechem przyglądała się egzekwiom, odprawianym przez Woodworfa Reveranda.

- Co tak wydziwiasz nad trupem? - mruknęła znad szklaneczki whisky.  
- Na wskrzeszenie to się tutaj nie zanoszą. Widać nie dość święty z ciebie człowiek.

- Nikt nie jest doskonały, córko - powiedział spokojnie pastor, spoglądając wymownie w jej stronę.

- Tylko nie córko, Bogu dzięki! - zachnęła się Saymoore.

- Rad jestem słyszeć, że z mojego powodu zwracasz się ku Najwyższemu. - Reverand wznosił oczy ku niebu. - I taka metoda ewangelizacji jest dobra, jeśli przynosi efekty...

- Jednak wiara niewiele jej pomogła - powiedziała Saymoore, stwierdzając, że w szermierce słownej Reverand radzi sobie zupełnie nieźle jak na głupca. - Tak jak i innym pomordowanym w Kanionie.

- Bóg to nie hydraulik czy weterynarz. - Wielebny znów znacząco spojrzał na wiedźmę. Doskonale wiedział, jak denerwowało ją to, że wzywana była zazwyczaj do chorego bydła, znacznie rzadziej do chorego



człowieka. - On nie jest od tego, by światu uśmierzać bóle, robić lewatywy czy stawiać bańki. Choć, przyznaję, Pismo powiada, iż kiedy zatwardzenie umysłów nieszczęśników mieszkających w Sodomie i Mordorze doszło do zenitu, był zmuszony zastosować i bezpośrednie leczenie, przywołując potop. Tylko Neo z garstką wiernych ocaleli na swojej arce zwanej „Nabuchodonozor”.

Wiedźma czuła, że dyskusja, niby ów mityczny „Nabuchodonozor”, dryfuje w stronę, gdzie czyhają - przynajmniej na nią - liczne rafy i mielizny. Stąd szybko zmieniła kurs konwersacji.

- To samo Pismo powiada jednak, że Królestwo Boże nie z tego jest świata. To i po cóż wyczyniasz zbędne szopki? Tutaj bardziej potrzebny szeryf z prawdziwego zdarzenia, który potrafiłby wyjaśnić tajemnicę śmierci tej dziewczyny. Albo lepiej federalny nekromanta.

Pastor przeżegnał się z przerażeniem.

- Nekromanta? Tfu, niewiasto, mag to wszeteczny, przeciw Bogu występujący. Diabły są u niego posługaczami, ma ich całe legiony, a trzyma je, uważasz - na spince do krawata! Tfu!

- Też ich nie kocham - prychnęła gniewnie czarownica. - Zamknęli się w swej kaście, zaklęcia obłożyli patentami i zmonopolizowali rynek. A ja, uważasz, pastorze, w czymże ja jestem gorsza niż cała reszta magów - nekromantów? Tylko w tym, że nie jestem z rodziny nekromanckiej! Wskutek tego nie wolno mi nawet uczyć się ich zaklęć. Nie wolno! Mnie! - powtórzyła ze złością i tupnęła nogą, aż chatka zachybotła się niebezpiecznie.

- Po cóż ci ta przeklęta wiedza? - szepnął pastor, w przerwie między jednym a drugim wersem modlitwy, szeptanej odkąd Saymoore wspomniała o nekromantach.

- Choćby po to, by wyjaśnić zagadkową śmierć tej nieszczęsnej dziewczyny.

- Zagadkową? - usłyszeli od strony drzwi.

Pastor i wiedźma jak na komendę obrócili głowy w stronę, z której dobiegł głos. W wejściu stał smukły elf. Smoliście czarne włosy spadały mu na ramiona, a zza przepaski ściągającej bujną czuprynę sterczało pojedyncze pióro harpii. Elf niedbale oparł się o zwinięty w rulon latający dywan wiedźmy, który stał tuż przy drzwiach, i wyczekująco wpatrywał się w Saymoore.

- Podążający Wieloma Drogami - wyszeptał pastor. - Ty w mieście? Po tym, co zdarzyło się w Kanionie, niebezpiecznie elfom pokazywać się w Rio Dragon. Ale może jeszcze nie słyszałeś o tej tragedii?

- Zakradłem się tutaj niepostrzeżenie, nikt nie może mnie wytropić, jeśli sam na to nie pozwolę. A o owej masakrze już słyszałem od naszego ludzkiego brata, Roba Kinga. Z tym związana jest moja wizyta. Czarne chmury gromadzą się na dalekim zachodzie, podejrzewam, że morderstwo ma związek właśnie z nimi. Użyłaś, pani, określenia „zagadkowa”. Dlaczego?

Wiedźma spuściła wzrok. Podążający Wieloma Drogami często odwiedzał Rio Dragon, stąd znała go całkiem nieźle. Był jednym z nielicznych mieszkańców okolicy, których nie traktowała z ostentacyjną wyższością wręcz przeciwnie, ceniła za inteligencję i obycie, zgoła niezwykajne jak na jednego z dzikusów, którymi w przekonaniu czarownicy były elfy. Poza tym Podążający Wieloma Drogami był bardzo przystojnym mężczyzną jakże różnym od brudnej chmary okolicznych pastuchów. Dlatego też, by skryć delikatny rumieniec udała, że jeszcze raz bada zwłoki. Wyjaśniła suchym, pozbawionym emocji głosem uniwersyteckiego wykładowcy: - Zagadkowa, faktycznie. Dziewczynie zadano kilka ran, o, na przykład tu w ramię, jedna ze strzał rozdarła skórę na żebrach, a na szyi, o tutaj, zadrapania wyglądają tak, jak gdyby ktoś uderzył dziewczkę gęsto nabijaną ćwiekami rękawicą. Bardzo ostrymi ćwiekami. Jak na takie powierzchowne rany straciła bardzo dużo krwi - musiała mieć słabą krzepliwość. Poza tym widać liczne sińce, a przez

plecy idzie szrama, jak gdyby zrobiona szablą kawaleryjską, tylko węższa. Musiałaby to być robota znakomitego płatnerza. Elfy z pewnością nie używają takich ostrzy. Wracając jednak do omawiania obrażeń, mimo że liczne, nie wydają się być groźne. Przynajmniej dla życia.

- Czary - powiedział pastor. Zabrzmiało to jakoś złowrogo, nawet Saymoore powstrzymała się od uszczypliwej riposty. Zamiast tego powiedziała: - Wielebny może mieć rację. To mogłoby tłumaczyć jej śmierć. Ale zrobiłam różnorakie testy na obecność magii. Wszystkie dały wynik negatywny. Ach, zapomniałam! Oczy dziewczyny. Rozszerzone źrenice świadczą o tym, że widziała napastnika bądź napastników. I była tym przerażona.

Elf słuchał zadumany, marszczył czoło.

- Czy próbowała, pani - niepewnie spojrzał na pastora, stojącego u wezłowania stołu, na którym leżała zmarła - nekromancji?

Saymoore skrzywiła się, jej twarz oblał rumieniec wstydu.

- Nie potrafię - wyznała. - Nie pozwalali nam się tego uczyć. Cech nekromantów zbyt był wpływowy.

- Ty potrafisz, synu? Ach, wiem, wy elfy wszyscy jesteście czarownikami. Czy naprawdę nie ma innego sposobu?

Wiedźma i elf przecząco pokręcili głowami.

- Mroczne to rzemiosło i ohydne. A jednak... *Vis maior!* Mocą mego ziemskiego namiestnictwa udzielam ci, elfie, dyspensy.

Saymoore z niedowierzaniem spojrzała na kapłana.

- Czyń swą powinność - dokończył Reverand - i dowiedz się, kim były sukinsyny, które dokonały mordu w Kanionie.

Elf skinął głową. Szybkim ruchem wyciągnął nóż z przyozdobionej starożytnymi inskrypcjami skórzanej pochwy. Podszedł do ciała zmarłej, podniósł ostrze, by wykonać pierwsze cięcie. Pastor z niesmakiem odwrócił głowę, natomiast Saymoore patrzyła zafascynowana, śledząc

każdy najdrobniejszy szczegół.

Podążający Wieloma Drogami zaintonował smutną, monotonną pieśń - zakłęcie, starą elfią inkantację. Nagle odskoczył, twarz mu zbieleła.

- Nie! - wykrzyknął. - To potworność.

Wielebny z powrotem odwrócił się doń i spostrzegł, że elf nawet nie dotknął ciała nożem.

- Ktoś skradł jej *manitou* - powiedział Podążający Wieloma Drogami już spokojniej, lecz cały czas bardzo ponuro. - Czyli to, co wy nazywacie duszą. Ciało musiało wówczas umrzeć, jest bowiem nierozzerwalnie związane z *manitou*, powiedziałbym nawet, że jest swoistym pojemnikiem na duszę. Jeśli jej zabraknie, istnienie ciała traci sens. Nekromancja polega właśnie na tym, że poprzez resztki ciała idzie się po śladach duszy...

- A ten nóż? Do czego jest potrzebny? - zapytał pastor.

- To rytuał. Na klindze wyryte są potężne zaklęcia. Gdybym był potężniejszym magiem... Cóż, żadne krwawe obrzędy nie były potrzebne. Aż trudno sobie wyobrazić, jaką mocą dysponował ten, który dokonał tego plugawego czynu.

- Mówiłeś, że nekromancja polega na podążaniu po śladach duszy. Dokąd trop prowadzi w tym wypadku? - spytała wiedźma, zapalając kolejne cygaro.

- Donikąd. - Elf pokręcił ze smutkiem głową. - Wygląda to tak, jak gdyby dusza została... pożarta na miejscu. Zostały tylko strzępy. Nie można wyobrazić sobie większego okrucieństwa, większej okropności.

- Panie, ratuj! - Pastor uniósł oczy ku niebu. - Jakież to ciemne, diabelskie moce zaległy w Kanionie?

- Być może ratunek tylko w Najwyższym - dodał elf. - Od kilku lat na zachodzie wzbierają złe siły. Jeszcze nigdy w Szarych Górach nie było tylu potworów, wykoślawionych kreatur, gryfów i smoków drapieżnych. Nadchodzi mrok.

- *Fuck!* - zakląła Saymoore. - Przestańcie biadolić, bo jak tak dalej pójdzie, to poddacie się bez walki!

- Bynajmniej - elf skłonił się czarownicy - lecz dobrze zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Ja muszę natychmiast wyjechać. Dlatego proszę was o przysługę. Skontaktujcie się z szeryfem, przekażcie mu, co odkryłem.

- Z Kingiem? - Saymoore przygładziła dłonią potargane włosy. - Przecież to pijak, nie ma sensu z nim gadać. Ja przy nim jestem czysta jak krynica.

- Proszę! - Podążający Wieloma Drogami schylił głowę. - Powtórzcie wszystko szeryfowi. I pilnujcie, by ta banda pastuchów nie zrobiła czegoś głupiego. Wrócę niebawem.

To rzekłszy elf zniknął, dosłownie rozpułynał się w powietrzu, pozostawiając po sobie dziwny chłód.

- Efekciarstwo - powiedziała. - Każda wiedźma to potrafi. Ale póki co, wygląda na to, że jedziemy na tym samym wózku, co, pastorze? To chodźmy do Kinga - dodała, chwytając butelkę. - Jak go znam, nic nie wskóramy, ale przynajmniej będę miała się z kim napić.

### 3.

Gabinet szeryfa był mały, zadymiony i przeraźliwie brudny. Powiedzieć, że brakowało tam kobiecej ręki, byłoby zbyt dużym eufemizmem, w istocie brakowało jakiegokolwiek ręki, nawet męskiej, która by zmiotła z podłogi piach, pozbierała i poukładała wszelkie papiery, obmiotła pajęczyny i pościerała kurze. A nade wszystko otworzyła okna, by wywietrzyć paskudny zaduch. Ściany, niegdyś białe, przybrały szaroburą barwę dymu tytoniowego, choć tu i ówdzie widać było i inne kolory, które nie miały prawa się tam znaleźć. Saymoore, nie należąca do osób przesadnie dbałych o porządek, co chwila marszczyła nos, krzywiła się i z dezaprobatą kręciła głową.

Duże drewniane biurko, na którym leżał Rob King, stało pod ścianą przyozdobioną dwoma naznaczonymi przez muchy portretami. Większy przedstawiał George'a Aragorna - bojownika o wolność Zjednoczonych Królestw Neverlandów i ich pierwszego prezydenta. Drugi malunek ukazywał wciąż urzędującego prezydenta, Gandalfa, którego druga kadencja dobiegała właśnie końca. Nawet do Rio Dragon dochodziły wieści ze stolicy o kampanii wyborczej, zażartej, brutalnej i obfitującej w nieczyste zagrania. Cały ten zgiełk nie dotyczył jednak Rio Dragon - zbyt mało głosów, zbyt rozproszone siedziby ludzkie - po prostu nie opłacało się prowadzić w miasteczku żadnej agitacji. Ilekroć szeryf spoglądał na wyblakłe podobizny przywódców swego kraju, cieszył się w duchu, że nikogo Rio Dragon nie obchodzi. Dzięki temu w spokoju mógł sączyć whisky i palić skręty.

Spokój Kinga skończył się mocnym szarpnięciem za ramię. Szeryf uniósł powiekę, zamruczał z irytacją i odpędził rękę Reveranda, jak gdyby była to jedna z much kołujących majestatycznie pod sufitem.

Saymoore lepiej znała nawyki Kinga. Chwyciła butelkę, stojącą tuż przy jego głowie, i pociągnęła w swoją stronę. W następnej chwili czuła już, jak uchwycona przez Roba ręka wygina się niebezpiecznie, a zimna lufa rewolweru wwierca się pomiędzy łopatki.

- Ładnie witasz gości, King! Zaiste, wypada się cieszyć, że na wejście nie podrzynasz gardeł. Gdybyś tylko był równie energiczny jeśli chodzi o coś innego niż twoja butelczyna...

Szeryf skulił się, alkoholowa czerwień jego twarzy przybrała jeszcze ciemniejszy odcień.

- Ładnie witasz gości - powtórzyła wiedźma. - Nie dość, że jednych z najważniejszych obywateli tej nędznej dziury, to jeszcze przynoszących wieści od Podążającego Wieloma Drogami.

Na te słowa King uniósł głowę. Wyraz jego twarzy zmienił się, zniknęło zakłopotanie.

- To elf - mruknął. - A te nie są w ostatnich dniach oczekiwanymi gośćmi w Rio Dragon.

- Chyba nie przypuszczasz, synu, że przyłączyliśmy się do tej rozpolitykowanej hałastry, która ciągiem gardłuje w saloonie - wtrącił pastor, podchodząc bliżej. Płynnym ruchem wyminął leżącą na podłodze stertę akt kryminalnych i potężny zakurzony kufer o niewiadomej zawartości. - Ani ja, ani miss Saymoore nie zwykliśmy ferować pochopnych wyroków w tak wątpliwych jak mord w Kanionie przypadkach. Pan powiada: „Prawda was wyzwoli” - tedy będziemy do owej prawdy dążyć. Z pomocą Podążającego Wieloma Drogami. I twoją - mam nadzieję.

To rzekłszy pastor streścił szeryfowi wszystkie poczynione przez wiedźmę i elfa ustalenia. King słuchał w milczeniu, nie zważając na muchy brzęczące zajadle nad głową George'a Aragorna I.

- Jedno nie ulega kwestii - czasu mamy mało. Wielce jest prawdopodobne, że ci rozkrzyczani farmerzy zrobią coś głupiego. Może

ruszą z jakąś karną ekspedycją? Albo zabiją uwięzione elfy? A może i jedno, i drugie? Całe miasto się gotuje. Lada chwila - i owa wściekłość wykipi. Pytanie, kto się przy tym poparzy?

King zapalił kolejnego skręta i spojrział w brudne okno.

- Na skraju Loth Forrest - zaczął - nad Nimrodel Creek, w miejscu, gdzie zaczyna się preria, obozuje całe plemię elfów Navaho. Bez mała dziesięć tysięcy głów. To ledwie półtora dnia drogi stąd...

- Elfy tak wcześnie zeszły na prerię? - Saymoore była wyraźnie zaskoczona. - Zwykle ruszały, gdy Apryl był w pełni, a mamy teraz pierwszą dekadę Martza.

- W górach głód i nieurodzaj. Spore szkody wyrządziły okrutne mrozy. Prócz tego wywerny, wilkołaki, harpie i sępy przetrzebiły zwierzynę łowną. U elfów nędza - wyjaśnił szeryf. - A przecież to my, ludzie, zajęliśmy część ich łowisk! Tych najlepszych. Mimo to elfy zachowują neutralność. Która pewnie długo nie potrwa, jeśli Metacom, elfi ksiązę ujęty w saloonie, zostanie stracony.

Saymoore przytknęła do ust piersiówkę, a po chwili przysiadła na skraju biurka, przedtem dyskretnym ruchem ścierając z niego kurz.

- Ten pijaczyna, który bawił u Beagle'a, to ksiązę? Wierzyć się nie chce. Ale powiedziałaś, że elfy stanęły obozem nad Nimrodel Creek? To niedaleko Kanionu Nietoperzy...

- To nie one - przerwał szeryf, a w jego głosie słyhać było rozdrażnienie. - Pytanie brzmi inaczej: Kto chciał, by podejrzenie padło na elfy? I to w chwili, w której do miasta zawitał przedstawiciel Rządu, komisarz Bloodlike! A jest to osobnik, który, jak zdążyłem zauważyć, za elfami nie przepada.

- Mroczne myśli lęgną się w głowach tutejszej owczarni - rzekł Reverand. - Wiele już słyzałem podczas spowiedzi. Lecz nie sądzę, by tak parszywy pomysł zrodził się w ich umysłach.

- Poza wszystkim - wtrąciła się Saymoore - tutejsi są zbyt głupi, by



uknuć jakiś spisek. I zbyt przyzwoici, by wyróżnić kilkudziesięciu takich jak oni ludzi z zimną krwią. A na dodatek - po co im ryzykować konflikt z elfami? Przecież tych ostatnich nie ma nawet specjalnie z czego obłupić! Jedyne, co mają, to ziemia. Ale cóż komu po jałowych Szarych Górach? Przecież tam niczego nie ma! Niczego!

## 4.

Kilka dni później, kiedy słońce stało już nisko i wydłużyło cienie domów, na rynku Rio Dragon odbył się sąd nad trzema elfami, zatrzymanymi w saloonie Grubego Beagle'a. Przed domem burmistrza Venoma Millera ustawiono długi stół, za którym zasiedli przysięgli. Najwyższe krzesło przeznaczone było dla sędziego - bo takiego urzędnika Rio Dragon miało. Prawda, że nie był to najwyższej miary fachowiec, ba, nawet nie był to fachura średniego sortu - ot, zwykły wyrobnik, z uprawnieniami kupionymi za łapówki. Lecz miał jedną, niezaprzeczną zaletę - był całkowicie oddany burmistrzowi. To on z miejskiej kasy wypłacał sędziemu Beer pensję.

King stał w cieniu, oparty o ścianę banku, i spod półprzymkniętych powiek obserwował gorączkowe przygotowania do rozprawy. Patrzył jak Horacy Bloodlike odwiedza to tego, to owego, kompletując ławę przysięgłych. Gdy ostatni z nich zajęli miejsca za podłużnym stołem, Rob King gwizdnął przez zęby i splunął przezutym tytoniem w piach.

Też mi kompania, pomyślał. Niech mnie wilkory porwą jeśli kogokolwiek tutaj uniewinnią.

I rzeczywiście. John Wayno, znany elfożerca, bynajmniej nie miał zamiaru kogokolwiek uniewinniać. Podobnie jak Venom Miller, który mniemał, że opowiadając się za wyrokiem skazującym przypodoba się Bloodlike'owi. Alois Valtz, bankier o bladej twarzy i bezwzględny spojrzeniu, w którego banku podsądni mieli swe lokaty, już liczył, ile zyska, gdy sąd ogłosi przepadek elfiego mienia. Golin Goldberg, krasnolud, również rachował w myślach, tyle że liczył straty Kompanii Kolejowej, wynikające z opóźnienia budowy połączenia do Rio Dragon, bo na przeszkodzie stały prawa elfów do ziem, przez które kolej miała

przebiegać.

Kiedy w asyście zbrojnych wprowadzono elfy, szeryf obrócił głowę i pociągnął potężny łyk whisky. Nie chciał oglądać farsy, którą zebrani nazywali procesem. Czuł się przeraźliwie bezradny, a kiedy usłyszał, jak Horacy Bloodlike wygłasza płomienną mowę oskarżycielką, jednym haustem opróżnił trzymaną w dłoni butelczynę i powoli osunął się na piach pod saloonem.

Nie stracił wiele, prawdę rzekłszy wszystko odbyło się podług jego przypuszczeń. Oskarżyciel przedstawił wyssane z palca zarzuty, obrońca - którym był Woodworf Reverand - obalił je wszystkie w oracji, której żaden z przysypiających lekko przysięgłych nie chciał słuchać, a elfy dumne i nieugięte milczały, spoglądając wyniośle na tłum zebrany na rynku. Tłum zaś spoglądał to na sąd, to znów na elfy, i z narastającą niecierpliwością oczekiwał jedynego słusznego - w mniemaniu zgromadzonych - wyroku.

Na koniec sędzia wstał, zerknął jeszcze w stronę burmistrza i Bloodlike'a, po czym oznajmił donośnym głosem: - Ława przysięgłych uznała obecne tutaj elfy wysokiego rodzaju winnymi postępków przeciw obywatelom federalnym. Ja zaś - w imieniu Zjednoczonych Królestw Neverlandów - orzekam w stosunku do tychże elfów karę. Jak wiadomo, kara powinna przede wszystkim zapobiegać. Tak też będzie i tym razem, jako że skazuję obecne tutaj elfy wysokiego rodzaju na karę śmierci, co zapobiegnie popełnieniu przez nie jakiegokolwiek zbrodni w przyszłości!

Przemówienie sędziego przerwały okrzyki publiczności, pełne aprobaty i entuzjazmu.

Beer uciszył wrzawę ruchem ręki i dokończył: - Wyrok zostanie wykonany jutro o północy, do tego czasu powinniśmy zdążyć postawić szubienicę.

- Na gałąź z nimi! Po co czas marnotrawić! - krzyknął ktoś z tłumu, ale większość nie podchwyciła tego zdroźnego pomysłu.

- Prawo musi być prawem! - rzekł twardo sędzia. - O północy...

- Przebóg, nie! - wyrwał się pastor. - To mord niewinnych! Zaklinam was - nie kalajcie choć dnia Bożego. Jutro niedziela, święto Pańskie!

- *Sunday, bloody sunday...* - mruknął Bloodlike, ale zaraz zamilkł, widząc, że tłum na rynku przychyła się do zdania Reveranda. Ten i ów potakiwał słowom pastora, stwierdzając, że przecież ludzie to nie to samo co te bestie, elfy, i dlatego winni respektować prawa tak ludzkie jak i Boże. Burmistrz spiorunował Woodworfa wzrokiem iście jadowitym, lecz wielebny pozostał niewzruszony, przekonując zgromadzonych do swych racji.

- Zgoda - syknął inspektor - tedy pojutrze. Federalna sprawiedliwość nierychliwa, ale i nieunikniona.

Sprawiedliwość, myślał gorzko Reverand. Chroń nas, Boże, przed ludzkim „prawem” i federalnymi urzędnikami.

## 5.

Noc zapadła ciemna i ponura, zupełnie jak wyrok sądu sprzed kilku godzin, psy wyły w najlepsze, a Saymoore nie mogła zasnąć.

- Sprawiedliwość - szeptała wściekła, wspominając rozprawę na rynku. - Sąd, cholera... *Joke*, nie sąd. Farsa! Wszędzie jest tak samo, nawet tu, w tej dziurze! A w konstytucji stoi: „...and justice for all”!

Wiedźma prychnęła gniewnie, po czym zapaliła cygaro. Spokój jednak nie nadchodził wraz z kolejnymi haustami aromatycznego dymu.

- Czemu te psy tak szaleją? Pełnia dopiero pojutrze - mruknęła. Nagły szelest przyciągnął jej wzrok do okna, gdzie na płytkach parapetu w kształcie herbatników przesiadywał olbrzymi puchacz. Ptak kręcił niespokojnie głową stroszył pióra i pohukiwał buńczucznie. Wiedźma uciszyła go zdecydowanym gestem i wyjrzała przez okno. Pomiedzy drzewami, kilkaset kroków od jej chaty, błyskały czerwone ogniki pochodni. Dało się słyszeć głosy ludzi i ujadanie gończych psów.

- Co u licha - szepnęła Saymoore ze źle skrywanym niepokojem. - Nie jesteśmy w Salem!

Wiedźma kopniakiem rozwinęła stojący dotąd w kącie latający dywan, natarła go pospiesznie olejkami magicznymi, po czym, przygotowana na ewentualne niebezpieczeństwo, zasiadła w miękkim fotelu przypominającym wielkiego ptysia. Zdecydowanym ruchem ręki ściągnęła płótno okrywające szklaną kulę; wbiła w nią wzrok i wypowiedziała odpowiednie zaklęcie.

Kilkanaście minut później usłyszała wołanie: - Wiedźmo Saymoore! Hej, wiedźmo Saymoore! Wynijdź no z chałupy!

Czarownica rozpoznała głos Tropicielea Śladów, zwanego również „Gwaihirze Oko”. Właśnie jego ujrzała w szklanej kuli, gdy na czele

kilkunastu uzbrojonych pastuchów - gwardzistów, jak sami o sobie mówili - przeczesywał las przy chybotliwym świetle pochodni.

Saymoore, czekająca dotąd w mroku, pstryknęła palcami, na co wszystkie świece dookoła jej domku zapłonęły jasnym blaskiem.

- Nie spałam jeszcze - odparła, nie wstając z fotela. Jej głos, wzmocniony wypitym wcześniej magicznym eliksirem, zabrzmiał gromko i złowrogo, ale Tropiciel Śladów nie dał się zbić z tropu.

- *Sorry*, Saymoore, ale nie przybyliśmy podziwiać kuglarskich sztuczek. Ścigamy elfa...

- Któryś ze skazańców zbiegł? - spytała czarownica, a w jej głosie dało się słyszeć słabo skrywaną nadzieję.

- Co to, to nie! - Tropiciel wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. - Inny jakiś *devil* kręci się po okolicy. Trzy nasze patrole zwiódł i skołował, ominął pierwszą straż miasta. Ale moje pieski go czują! Musi być gdzieś tutaj!

Saymoore pobladła. Elf w pobliżu jej chaty? To mógł być tylko...

Podążający Wieloma Drogami!

- Rad bym wiedzieć - ciągnął tymczasem Gwaihirze Oko, zacinając się lekko - czy aby nie skrył się u ciebie? Teren opasaliśmy gęstym kordonem, że mysz się nie przecisnie, a cóż dopiero elf jaki. A tymczasem znaleźć gagatka nie możemy...

- Nie ma go i u mnie! - powiedziała Saymoore, wychodząc z chaty na drewnianą platformę. - Nie ma go. Lecz wiedzcie, że gdyby nawet był, nie oddałabym go w wasze łapy, byście urządzili sobie rozrywkę i zabawę, miast sądu i sprawiedliwości. Nie pozwoliłabym, byście dogadzali swoim niskim instynktom, które każą wam skazywać na śmierć niewinnych, li tylko dla czczej i pustej zemsty!

- Za dużo gadasz, Saymoore - mruknął lekceważąco Tropiciel. - A swoim gadaniem jeszcze suspicje wzmagasz, aż by się chciało zajrzeć do tej twojej cukierni.

- Nie waż się - krzyknęła wiedźma. Od parapetu, niezauważony przez kogokolwiek, oderwał się wielki puchacz. Ptak bezszelestnie zatoczył koło, czekając tylko na znak swej pani, by zaatakować Gwaihrize Oko.

- Nie waż się bezprawnie naruszać moją prywatność! - powtórzyła czarownica.

- Jakże, bezprawnie! - Tropiciel po raz wtóry wyszczerzył zęby. - Glejt mam, który pozwala rewidować wszystkich, których uznam za podejrzanych. Papier podpisany przez samego Bloodlike'a. Ha, gdybyś była bardziej urodziwa, zarządziłbym być może nawet rewizję osobistą. Dogłębna...

- Doprawdy? - Saymoore syknęła jadowicie. - A po co tobie osobiste rewizje, kiedy trzy lata temu niedźwiedź ci moszną pazurem postrzępił i jąder pozbawił? A gdybym ja, współ z elfami, cię nie odratowała, postradałbyś nie tylko męskość ale i życie!

Dłonie Tropicielea kurczowo zacisnęły się na strzelbie. Gwaihrize Oko zbladł, upodabniając się karnacją do Bloodlike'a, i zaklął pod nosem. Pozostali członkowie jego oddziału z trudem hamowali śmiech, podczas gdy ich dowódca z najwyższym trudem powstrzymał wybuch wściekłości.

- Za dużo gadasz, Saymoore - powtórzył, zaciskając zęby, tropiciel, unosząc sztucer do strzału. - *Too much talk will kill you...*

Nim zdążył strzelić, coś zafurkotało i potężne uderzenie wytrąciło strzelbę z rąk Gwaihrizego Oka. Lekko oszołomiony Tropiciel rozejrzał się dookoła, rozgarnął dłonią pobliską kępę trawy, skąd wyłowił niewielki, przyozdobiony piórem harpii, toporek.

- *Shit!* - krzyknął. - Elfi gach broni swojej szparki wszetecznej. Tfu, zawsze powiadali, że jędze z nieлюдźmi się parzą. Rzucono go stamtąd. - Ręką wskazał nieodległą sekwoję.

Nim którykolwiek z gwardzistów zdążył się poruszyć, od drzewa oderwał się cień, który pomknął w kierunku Rio Dragon.

## 6.

Podążający Wieloma Drogami przystanął, spojrzął za siebie i odetchnął z ulgą. Pościg został w tyle, wciąż błędząc w lesie nieopodal chaty więdźmy. Elf zmarszczył brwi. Nie udało mu się porozmawiać z Saymoore. Jak wobec tego przekazać wiadomość pastorowi i szeryfowi?

Musiał niepostrzeżenie dotrzeć do miasta, do Roba Kinga, wyjaśnić mu, co odkrył w Kanionie Nietoperzy.

Musiał zdemaskować mordercę.

Elf ruszył. Przekradł się przez pas tarniny i głogu, raniąc boleśnie ręce. Za zaroślami rozciągało się wymarłe osiedle; rozpadające się domy straszyły powybijanymi szybami i skrzypieniem zdezelowanych drzwi. Zimny blask księżycy dopełniał ponurej atmosfery dzielnicy Rio Dragon, onegdaj zamieszkałej przez poszukiwaczy złota. Podążający Wieloma Drogami mijał zwały spróchniałych desek, śmieci, przechodził obok porzuconych skrzyń na narzędzia, zepsutych kołowrotów, zwojów poprzecieranych lin. Wszystko to zarastało pniącymi się wszędzie kolczastymi kłęczami.

Elf wielokrotnie korzystał z tej drogi, przybywając do Rio Dragon. Zawsze była ona pusta i spokojna. Opustoszała dzielnica cieszyła się wśród ludzi złą sławą.

- Cicho tutaj - szepnął sam do siebie. Gdzie się podziały koty? Gdzie stada szczurów, żerujące w nie do końca opróżnionych spiżarniach?

Faktycznie, groźna cisza kłuła w uszy, irytowała bardziej niż uporczywy hałas.

W ostatniej chwili elf spostrzegł nietoperza, który przemknął pomiędzy domami. Zatrzymał się, cichy furkot skrzydeł wezbrał niby rzeka po ulewie, aż nagle zza węgła najbliższego z domów wyleciała cała



chmara nietoperzy, zmierzając wprost na Podążającego Wieloma Drogami; oszołomiony, chwilę przyglądał się nadlatującym gackom, by w ostatniej chwili paść twarzą do ziemi. W ustach poczuł piach drogi.

Nietoperze zniknęły w ciemnościach nocy. Nie oznaczało to jednak końca kłopotów Podążającego Wieloma Drogami.

Blisko, niebezpiecznie blisko zawył wilkor. Upiorne czerwone ślepie, należące do jakiegoś mrocznego borostwora, łyskały złowrogo spomiędzy pobliskich zarośli. Elf zadrżał. Morderca z Kanionu Nietoperzy czekał na niego.

Podążający Wieloma Drogami zacisnął dłoń na tomahawku, którego trzonek pokryto pradawnymi formułami magicznymi. Zerknął raz jeszcze w stronę krwistych ślepiów błyskających z głębi lasu. Lewą dłonią chwycił za naszyjnik ze smoczyc kłów. Szybkim ruchem zerwał jeden ząb, cisnął go w piach i wykrzyknął zaklęcie. Potwór o purpurowych oczach zamrugał. Na drodze stały dwa identyczne elfy. Sięgnęły do naszyjników, zerwały kolejne smocze kły, niezrozumiały okrzyk znów przetoczył się przez opuszczoną dzielnicę, by w mgnieniu oka obok dwóch już stojących na drodze, stanęły dwa kolejne, podobne do poprzednich jak dwie krople wody, elfy. Wilkor, który niespiesznie, łapa za łapą skradał się w stronę Podążającego Wieloma Drogami, warknął skonfundowany.

Cztery identyczne postaci ruszyły w cztery różne strony - jeden z elfów zawrócił w stronę chatki Saymoore, drugi wbiegł pomiędzy domy, klucząc uliczkami, inny znów skoczył w las, w ciemną i złowrogą gęstwą drzew, wreszcie czwarty, wybiwszy uprzednio okno, skrył się wewnątrz starego hotelu.

Nietoperze zafurkotały i rzuciły się w pogoń za zawracającym elfem, stwór o czerwonych ślepiach ruszył po śladach tego, który skrył się w lesie, wilkor zaś przysiadł naprzeciw hoteliku, spokojnie czekając, aż ofierze znudzi się siedzenie w towarzystwie żarłocznych szczurów i

jadowitych pajaków.

Podążający Wieloma Drogami odetchnął z ulgą - za nim nie pobięł nikt. Krok za krokiem, pod osłoną ciemności, które zapadły, gdy księżyc zasłoniła chmura, zbliżał się do zamieszkałej części Rio Dragon.

Nadchodziła północ.



Wędrówkę elfa wstrzymały rozległe magazyny Kompanii Kolejowej otoczone wysokim płotem, nad którym dla pewności rozciągnięto drut kolczasty. W dodatku cały teren został zabezpieczony zaklęciem. Krasnoludy potrafiły dbać o swój majątek; pilnowały, by nic z cennych materiałów budowlanych nie zostało rozkradzione. Kilka rzędów długich baraków kryło zasoby pozwalające dokończyć budowę Wielkiej Kolei Transśródziemnej. Przerzucono je, korzystając z usług niewyobrażalnie drogiego maga, tak zwanego Przewoźnika, zdolnego zabrać jednorazowo „na zaklęcie” dziesięć ton ładunku. W całych Neverlandach Przewoźników było trzech. Mimo to Kompania zainwestowała. Krasnoludy miały swoje plany, związane z Rio Dragon...

Elf wiedział, w którym miejscu drut kolczasty jest przetarty, siatka odgięta, a siła oddziaływania czaru ochronnego słaba. Dwugłowemu cerberowi, który nadbiegł ujadając wniebogłosy, dmuchnął w nos proszkiem uprzednio wyciągniętym ze skórzanego woreczka. Zwierzę w jednej chwili zasnęło, a Podążający Wieloma Drogami znalazł się na terenie magazynów.

Mijał właśnie potężną wiatę, pod którą zmagazynowano spore ilości drewna i cegieł, gdy posłyszał furkot. Dźwięk zbliżał się szybko, dochodził od strony baraków. Elf przylgnął do słupa podtrzymującego wiatę i z niepokojem spoglądał na strumień nietoperzy, wylewający się

spomiędzy budynków. Odczekał chwilę, a kiedy odleciały, wyszedł z ukrycia. Owiął go lodowaty podmuch wiatru. Rozejrzał się dookoła i spostrzegł, że pomiędzy dwoma długimi barakami zaległ nienaturalny cień.

Jest, pomyślał. Morderca z Kanionu.

Zerwał się i pobiegł, przeskakując napotkane przeszkody. Sięgnął po kolejny kiel zawieszony na szyi; sobowtór - omam wyrósł z ziemi i pomknął w przeciwną stronę. Po kilku minutach kluczenia pomiędzy barakami elf stwierdził, że chwilowo zgubił pościg. Jednak prędzej czy później przeciwnik musiał trafić na jego trop. Poza tym wszystkie wyjścia z magazynów były pilnie strzeżone przez sługi mordercy.

- Zatem niech będzie - warknął. - Teraz ja zabawię się w myśliwego!

Ściskając mocno tomahawk, prześlizgnął się obok potężnej wiaty z drewnem, minął niedokończony jeszcze budynek dworca kolejowego i przyczaił się za stertą żwiru. Cień przemieszczał się powoli między barakami. Podążający Wieloma Drogami wolną ręką wydobył zza pasa srebrny nóż i ruszył za swym prześladowcą. Ten ostatni niczego nie przeczuwając szedł przed siebie, przekonany, że wciąż ściga elfa. Podążający Wieloma Drogami odczekał, aż cień zabrniesie w ślepią uliczkę pomiędzy barakami, zagrodzoną stertą cegieł, i wybiegł zza węgła z uniesionym do rzutu tomahawkiem.

Przesmyk pomiędzy barakami był pusty. Coś, co na pewno nie było mordercą z Kanionu, leżało w cieniu, rzucanym przez stertę cegieł. Elf podszedł bliżej; w półmroku leżały zmasakrowane zwłoki elfiego fantoma.

Z tyłu, zza pleców, zawiał lodowaty wiatr.

- Cóż... - głęboki głos pobrzmiwał ironią - sztuczka z replikantami nie pomogła. Choć przyznaję, sprawiła mi pewien kłopot...

Elf obrócił się powoli.

Przed nim stał morderca z Kanionu, potężny i mroczny. Drwiący

uśmiech błąkał się na jego okrutnej i brzydkiej twarzy.

- Przegrałeś - stwierdził, a Podążający Wieloma Drogami doskonale wiedział, że była to prawda. - Na nic twoje śledztwo...

Duch!, zawołał w myślach elf. Duch!!!

- Zginiesz, tak jak ci w Kanionie. A chyba wiesz, że nie była to przyjemna śmierć. Prawdę mówiąc, była paskudna... Wiem, bo sam ją zadawałem.

Morderca roześmiał się sucho, podczas gdy elf nie przestawał wołać: - Duch!!! Duch!!!

- Wątpię, czy pocieszysz cię wiadomość, że wkrótce dołączą do ciebie twoi pobratymcy. Całe mnóstwo elfów, całe plemiona. Jesteście skazani na zagładę...

- Duch!!! - rozpaczliwie wył Podążający Wieloma Drogami, wyciągając przed siebie srebrny nóż. - Duch!!!

Morderca, upoiwszy się swoją przemową skoczył na elfa, jednym potężnym skokiem pokonując dzielącą ich odległość. Uderzeniem pazurów wytrącił srebrny nóż z dłoni Podążającego Wieloma Drogami.

Wtedy w myślach elfa odezwał się Duch. Podążający Wieloma Drogami westchnął z ulgą, odmachnął się jeszcze tomahawkiem, raniąc napastnika, ten odskoczył, sięgnął do pasa. Z magicznej kabury wyskoczył potężny Soultaker kal. 18 mm, wypluwając z siebie kilka smoliście czarnych kul, które poszybowały w stronę elfa. Przez magazyny Kompanii Kolejowej przetoczył się huk.

- Światło!!!! - krzyknął elf.

Saymoore z krzykiem zerwała się ze snu.

## 7.

Zwłoki Podążającego Wieloma Drogami znalazł przed świtem jeden z krasnoludów, zaalarmowany ujadaniem cerbera. Wieść lotem błyskawicy rozeszła się po mieście. Wnet na miejscu zbrodni pojawił się Inspektor Federalny Horacy Bloodlike w asyście kilku farmerów, przyszedł pastor, udało się nawet dobudzić szeryfa, którego oddech jeszcze bardziej wymownie niż sinoblada twarz mówiły, co robił wieczorem. Posłano też po Saymoore; przybyła bardzo szybko i wcale nie wydawała się być zaskoczona tym, co zobaczyła. Wiedźma co chwilę przecierała zapłakane oczy, badając poszarpane zwłoki elfa. W tym towarzystwie nie mogło zabraknąć również burmistrza, który ziewał bez ustanku, ledwo zasłaniając usta ręką. Na jego dłoni Saymoore dostrzegła świeżą ranę, lecz gdy zaoferowała pomoc, Venom Miller tylko wzruszył ramionami: - Drobiazg - rzucił niedbale. - Drewno rąbałem na ogień...

Gdy wyszło na jaw, że zabitym jest elf, większość ciekawskich straciła zainteresowanie całą sprawą.

- Nie ma co żałować łachudry! - krzyczeli. - Dobrze mu tak...

- A pewnie... *Good elf to dead elf...*

Wrzaski uciszył Bloodlike, stwierdzając, że śledztwo tak czy owak odbyć się musi. Nikt po prawdzie nie wierzył w rzetelność i zapał śledczych - ani Bloodlike'a, który na miłośnika elfów nie wyglądał, ani też szeryfa, który jeszcze dobrze nie wytrzeźwiał. Wkrótce też magazyny opustoszały, zwłaszcza że krasnoludy niechętnie popatrywały na obcych. Przy trupie pozostali jedynie Saymoore, Reverand i szeryf King.

- *Shit...* - mruknął Rob, spluwając na ziemię przeżutym tytoniem. - Był tak niedaleko! Kto mógł to zrobić? I z jakiej broni? Widzieliście rany? Potężny kaliber pocisków, dosłownie rozrywały ciało...

- On wiedział - zaszlochała Saymoore - wiedział, kto zamordował tych w Kanionie!

Wiedźma opowiedziała pozostałym o nocnym zamieszaniu nieopodal jej chaty.

- Wygląda na to, że morderca dopadł również i tego oto nieszczęśnika, niech Pan ulituje się nad jego duszą - szepnął Reverand. - Być może zainteresuje jednak i ciebie, szeryfie, i ciebie, Saymoore, fakt, że wczorajszej nocy obserwowałem, jak ruszał patrol Gwaihizrzego Oka. Wtedy to Venom Miller wydał nakaz, by poszukiwać elfa. On też wiedział...

- Burmistrz? - Wiedźma prychnęła. - A więc...

- Miał rozciętą dłoń - mruknął szeryf. Schyliwszy się podniósł spod ściany budynku połamany tomahawk. Ostrze było pobrudzone krwią. - Zbieg okoliczności?

- W jakim celu? - Reverand z niedowierzaniem pokręcił głową. - Venom to kanalia, owszem, wiem to aż nazbyt dobrze, lecz jest to kanalia swojska, niezdolna do zbrodni na taką skalę jak mord w Kanionie. To taka pospolita świnią, sprytna, przyznaję, bardzo sprytna, lecz w gruncie rzeczy bojaźliwa. Obie zbrodnie popełnił zupełnie ktoś inny, ktoś o nieporównywalnej do Venomowej przebiegłości i podłości. To zło nie jest prostackie i tępe jak pomysły naszych farmerów...

- Racja. - Szeryf zapalił skręta, dmuchnął dymem. - Sam pomysł, by upozorować w Kanionie atak elfów, może by i Millerowi przyszedł do głowy, lecz ani on, ani nikt z farmerów nie byłby w stanie przeprowadzić tego tak wiarygodnie, by przekonać samego Inspektora Federalnego. Mimo wszystko, Saymoore, zbadaj to. - Podał jej tomahawk. - Możesz chyba sprawdzić, czy krew należy do jasnie nam panującego pana burmistrza. Jakoś nieprzekonująco zabrzmiało to jego tłumaczenie o rąbaniu drewna...

- Jasne - skinęła głową czarownica. - Trzeba zrobić jeszcze... -

zawahała się chwilę - sekcję... Pomożecie mi przetransportować ciało?

Pastor i King pożyczili od krasnoludów mały wózek do drewna, zawieźli zwłoki Podążającego Wieloma Drogami do chatki na kurzej stopie i wrócili do miasta. Pastor - aby odprawić mszę, King - by uśmierzyć ból, wywołany stratą przyjaciela. Przy czym środek uśmierzający był taki sam co zawsze, tyle że szeryf zaordynował sobie dawkę potrójną.

- Whisky - wychrypiął Rob, pochylając się nad bufetem. - Słyszysz, Beagle? Trzy szklanki. Od razu.

- Jedną chwilkę - dobiegło go z boku. Jakaś ręka chwyciła stojącą przed Robem pustą szklankę i odwróciła ją do góry dnem. - Mister King, przyjaciele pana potrzebują.

- A spadaj! Ja nie mam już przyjaciół... - odburknął szeryf, po czym spojrzał w bok. Wzrok Kinga zatrzymał się na małym mężczyźnie skrywającym twarz pod olbrzymim słomkowym kapeluszem. Spod obszernego randa buchały kłęby kwaśnawego dymu. Z daleka czuć było od niego kłopoty i niedosmażoną cebulę.

Południowiec?, pomyślał Rob.

- Hej, gringorc, czego chcesz? - spytał.

- Może przejdźmy do pańskiego biura, mister King? Tam będzie lepsza... atmosfera do rozmowy. - Gość mówił poprawną płynną neverlandszczyzną, co było całkowicie niepodobne do gringorc, którzy zazwyczaj niemiłosiernie kaleczyli mowę Neverlandów. To jeszcze bardziej zaciekało szeryfa - na tyle, że zdecydował przełożyć uśmierzenie bólu na później.

- Zapraszam - rzucił.

Wbrew oczekiwaniom gościa, atmosfera wcale nie była lepsza - ten sam zaduch, smród tytoniu i whisky, gryzący w nos. A bałagan znacznie większy niż w saloonie. Mimo tego nieznamy poczuł się dużo swobodniej. Zdjął z głowy potężny kapelusz, ku zaskoczeniu Kinga zdjął

również brodę, która okazała się być tylko imitacją spomiędzy zębów wyjął długie cygaro. Oczom szeryfa ukazała się szczupła, blada twarz elfa.

- Mister King, wybaczcie maskaradę, ale elfy w ostatnich dniach nie są najchętniej witanymi przybyszami w Rio Dragon. Nie znacie mnie, lecz ja wiele o was słyszałem. Mnie zwa „Duch”. - Przybysz wyciągnął rękę w stronę szeryfa. - Jestem szamanem elfów Navaho. Jestem też przyjacielem Podążającego Wieloma Drogami.

- Byłeś - wtrącił Rob. - Dzisiejszej nocy Podążający Wieloma Drogami został zamordowany.

- Hmm, słyszałem, że mój przyjaciel miał poważne kłopoty. Ale zamordowany? Wy, ludzie, mister King, jesteście tacy kategoryczni... Zbyt wiele w panu pesymizmu i niewiary. Chyba zapomniał pan, jak brzmi jego imię... My, elfy, nie nadajemy imion, które nic nie znaczą. Tak czy inaczej, Podążający Wieloma Drogami nie może być dziś z nami. A powinien. O północy ma odbyć się egzekucja Metacoma i dwóch jego giermków. Nie wolno do niej dopuścić. Dlatego przyszedłem prosić o pomoc, mister King.

- Mnie? - King zakaszlał sucho, a potem się roześmiał. - Cóż ja mogę zrobić?

- Bardzo wiele. Kiedyś mówili o tobie: „Przyjaciel Elfów”.

- Kiedyś... - Rob ponuro spojrział w okno - nie trzęsły mi się ręce. Nie - pokręcił głową - już nie potrafię.

Duch popatrzył na szeryfa ze smutkiem.

- A gdybym powiedział, że Dzieci Nocy znów grasują? I to w okolicy... King drgnął.

- Niemożliwe - wycharczał, a jego twarz zrobiła się czerwona z gniewu.

- Mówiłeś, że Podążający Wieloma Drogami nie żyje - rzucił Duch, nagle zmieniając temat. - Chodź więc za mną!



Rob King ze zdziwieniem uniósł brwi. Nie zdążył osłonić twarzy, kiedy elf dmuchnął w jego stronę aromatycznym dymem z cygara.



Dym zawirował, biuro szeryfa odpłynęło w dal. Z kłębow sinoszarej zawiesziny wyłonił się oświetlony gabinet, należący do notariusza Alfreda Thyssenna. Przed rejentem siedziało kilku mężczyzn, a na hebanowym biurku leżał kilkunastostronicowy dokument.

King przysłuchiwał się rozmowie i popatrywał przez okno. Wyraźnie widział twarz notariusza, domyślał się również, kim są mężczyźni siedzący doń tyłem. Wspiął się na palcach, aby zobaczyć, jak nazywa się leżący na brązowym blacie dokument. Światło lampki było chybotliwe, ale powoli, z trudem odczytał nagłówek i kolejne zdania. Naraz czarnowłosa, siedzący na środku gość Thyssenna, odwrócił głowę...

Wizja zniknęła, przesłonięta kolejną chmurą dymu, która rozwiała się równie szybko, jak się pojawiła.

King szedł dnem skalistego wąwozu. Przed nim stało kilka wozów. Było przeraźliwie cicho, kamyki skrzypiały pod miękkimi mokasynami. Na piasku leżało kilkadziesiąt trupów. King nachylił się, by podnieść coś, co leżało między kamykami. Duży, smoliście czarny pocisk, większy niż te, którymi ładowano zwykle rewolwery, znalazł się w jego dłoni. Pocisk parzył palce i wywoływał dreszcze. Magia, pomyślał Rob, po czym odczytał starannie wygrawerowany napis: SOULTAKER.

Szedł dalej. Tuż przy strumieniu coś zamigotało. Złoty guzik z wytłoczonym godłem Zjednoczonych Neverlandów Śródziemia - dwugłowym smokiem - powędrował do kieszeni. Wiedział, czyj surdut przyozdobiły takie guziki.

Szum wichury przygnał kolejną szaroburą chmurę.

King znalazł się w przejściu pomiędzy dwoma barakami; zewsząd dobiegało ujadanie psów, księżyc świecił trupio. Z tyłu, zza pleców szeryfa, dobiegały ciężkie kroki.

Ręce odruchowo powędrowały do kabur, lecz King wnet zorientował się, że uzbrojony jest tylko w tomahawk i srebrny nóż. Powoli odwrócił się i zobaczył przeraźliwie bladą twarz, wykrzywioną w ohydny grymasie.

- Duch! - krzyknął nieswoim głosem Rob King. - Światło!

Zobaczył, jak potężne rewolwery same wskakują w dłonie napastnika, przysłaniając złote guziki na czarnym tle. Rozległy się strzały...

Obraz zakołysał się, rozmył w aromatycznych oparach, z których wyłonił się zgoła odmienny widok. Strzeliste wieże górskich pałaców elfów połyskiwały na tle majestatycznych gór. Dolinka, w której znalazł się szeryf, była mała i urokliwa, w dali szemrały górskie potoki, pokrzykiwały ptaki.

Na końcu dolinki stała wyniosła wieża.

King bez wahania wszedł do środka.

Znalazł się w ciemnej sali, pełnej rozmaitych słoików i torebek zawierających przeróżne preparaty. Pośrodku sali stał duży stół, na którym ktoś leżał. Obok stał sędziwy, siwowłosy elf; gestem zaprosił szeryfa bliżej.

Leżącym okazał się być Podążający Wieloma Drogami. Otworzył oczy i skinął na Kinga, a gdy szeryf pochylił się, elf uniósł się na łokciach i długo szeptał mu coś do ucha.

- Pomóż nam, Przyjacielu Elfów - powiedział na koniec. - W walce z nimi jesteśmy bezradni. Wróć!



- Wróć! - usłyszał King z boku. Przetarł oczy. Duch wpatrywał się weń uważnie, a w kącikach ust tańczył drwiący uśmiech.

- Dzieci Nocy - parsknął King z wściekłością. - Nawet tu, w tej dziurze! Przeszłość zawsze cię dopadnie, choćbyś odgrodził się od niej morzem whisky!

Szeryf zdecydowanym ruchem zgarnął stertę papierów ze stojącej w rogu skrzyni i uniósł wieko.

Srebrny sztucer zalśnił złowrogo w tych nielicznych promieniach słońca, którym udało się przecisnąć przez zakurzone okno.

## 8.

Stara babinka przestępowała z nogi na nogę, popatrując na Main Street. Rio Dragon było ciche, pora poobiedniej drzemki zagoniła wszystkich potencjalnych klientów do domów. Ciszę przerywały tylko jednostajne uderzenia toporów i młotków - cieśle na rynku ustawiali ostatnią szubienicę.

Nie zanosiło się, żeby kobiecina sprzedała tego dnia więcej warzyw. Tylko muchy nie odstępowały jej na krok. Ale one, niestety, nie płaciły.

Już, już miała zwijać matę i zbierać towar do koszyka, gdy spostrzegła, że w jej stronę chwiejnym krokiem zmierza wysoki mężczyzna.

- O, mister szeryf - ucieszyła się, składając ręce. - Coś długo mister nie przychodził... Już myślałam, że mi pomidorki zmarnieją. Podać to co zwykle?

Szeryf skinął głową, a widząc, jak kramarka wyciąga z kosza pomidory, dodał jeszcze: - Czosnku więcej, Beth. Więcej!

Rzucił zielarce jednotalarówkę i odszedł, zostawiając za sobą kłęby dymu z grubego cygara.

Beth potarła nos. Coś było nie tak, czegoś jej brakowało.

Gdzież u licha podział się, towarzyszący zwykle szeryfowi, odór whisky?

## 9.

Pastor zastał Kinga nad garnkami. Zakrył nos rękawem, kaszlnął.

- Na Stwórcę! - krzyknął. - Co za fetor! Do smrodu whisky zdążyłem już przywyknąć, lecz ty, jak widzę, nie masz litości dla mego powonienia.

King uśmiechnął się blado znad moździerza, w którym rozgniatał kolejne ząbki czosnku, podlane obficie oliwą.

- Obiad robię - odparł. - Sos. Zechce wielebny skosztować?

- Nie zechce! - wzdrygnął się Reverend. - King, ja nie na obiad do ciebie przyszedłem. Dziś egzekucja...

- O północy, wiem - potaknął szeryf. - No i?

- Obaj wiemy, że elfy są niewinne. Ten proces to była farsa.

- I...???

Pastor ze zdenerwowania tupnął nogą.

- Będziesz stał i patrzył jak giną niewinni?

- Nie wybieram się...

- *Fuck*, King, jesteś szeryfem!

- I co według ciebie, pastorze, powinien w takiej sytuacji zrobić szeryf? Szeryf, którego wszyscy mają *deep in ass*, który wystąpiłby sam przeciwko kilku setkom rozjuszonych farmerów, co to wyjdą z saloonu, w którym przez cały wieczór będą pili elfom na pohybel? A dodam, że wszyscy inni prominentni przedstawiciele władz, prócz rzeczonoego szeryfa, popierają niesprawiedliwy i głupi wyrok sądu. Nie, pastorze, tutaj potrzeba jakiegoś herosa, gunfightera, który to całe prowincjonalne towarzystwo potrafi złapać za pijaną mordę. I ze dwa razy w tę mordę przyłożyć na odlew, bez litości. Ale prowincjonalnego szeryfa, któremu bez szklaneczki whisky trzęsą się ręce, to zadanie przerasta.

- Stróż prawa, ech... - Reverend zrezygnowany machnął ręką. - Gdyby

tylko dostać prawdziwego mordercę. Pójdę sprawdzić, czy Saymoore coś odkryła. A ty, gdybyś zmienił zdanie co do egzekucji...

- Tu potrzeba rewolwerowca, nie szeryfa! - powtórzył King. Poczekał, aż wzburzony pastor zatrzaśnie za sobą drzwi, podszedł do stojącej w kącie skrzyni i wyciągnął z niej pas z posrebrzaną amunicją do sztucera, po czym wrzucił go do garnka, do którego wlał uprzednio oliwę wymieszaną z rozgniecionym czosnkiem. Następnie Rob wyjął z kufra znoszony czarny surdut i filcowy kapelusz.

- Rewolwerowca, nie szeryfa! - rzucił przez zęby, zapalając kolejne cygaro.

## 10.

Przed tą nieszczęsną egzekucją którą to pod naciskiem Bloodlike'a obmyślili na północ, wszyscy pili na umór, jak gdyby dopiero co wrócili z Pustyni Południowej. Aż nagle, tak około w pół do dwunastej, zaczęli opuszczać lokal. Saloon mi trochę opustoszał, a że sam się rzeźni na rynku nie wybierałem oglądać, postanowiłem wykorzystać chwilę spokoju!

*Well, myślę sobie, dokończę ten artykuł w „New Gondor Herald” Ten o Wyattcie Elfie. Biorę lampę naftową i czytam: „...Niewyjaśniony pozostaje los bodaj najśłynniejszego z rewolwerowców. Jego nick name zmylił wielu, w istocie był to jednak człowiek, tyle że za żonę miał elfkę. Kobieta ta zginęła w tajemniczych okolicznościach, znaleziono ją z dwiema małymi rankami na szyi. Od tamtego momentu Wyatt zaczął zabijać bez litości, niby szaleniec. Ma na swoim koncie około stu zabójstw, w tym siedmiu wysokich urzędników federalnych. Za ten ostatni czyn został skazany na karę śmierci. Nie pomogły tłumaczenia, że urzędnicy należeli do sekty Dzieci Nocy. (...) Wyatt Elf był piekielnie szybki, a ponadto posiadał wielostrzałowy sztucer, który nigdy nie chybiał celu. Po wspomnianym wyroku sądu skrył się na pograniczu. Jeszcze kilka razy było o nim głośno, lecz po paru latach wszelki słuch o nim zaginął. (...) Rewolwerowiec ten słynął z nienagannego wyglądu. Wąs zawsze podstrzyżony, zawsze wykrochmalona biała koszula, znakomicie skrojony czarny surdut i melonik przepasany srebrną wstążką, stanowiącą znak, że był Przyjacielem Elfów.(...)”*

Musiałem odłożyć gazetę, bo drzwi zaskrzypiały i widzę, że ktoś wchodzi. Patrząc... no tak, Saymoore ostrzegła, bym nie siedział w saloonie do późna, a pracować mogą przecież inni. No i mam zwidy,

omamy, czy jak to ona nazywała: „halucynacje”... W drzwiach saloonu stoi Wyatt Elf, jak malowanie! Surdut, melonik ze srebrną wstążką, koszula, srebrny sztucer. Tylko skąd ten paskudny smród czosnku? O tym nie stało w gazecie!

Omam nie miał zamiaru zniknąć, wręcz przeciwnie, podszedł bliżej i pyta: - Gdzie jest Bloodlike?

Więc mówię, że poszedł już egzekucję szykować. Jak to Wyatt usłyszał, wybiegł jak oparzony. A ja przysiągłbym, że gdzieś go wcześniej widziałem, kogoś mi przypominał.

Tak, tak, Saymoore ostrzegła - „*Deja vu...*”!



# 11.

Była chłodna martkowa noc, a zegary biły dwunastą. W jednym z okienek sierocińca, które wychodziło na rynek Rio Dragon, pojawiła się kobieca twarz. Piastunka spojrzała na stłoczonych na rynku ludzi, na trzy jaskrawo oświetlone szubienice, ustawione nieopodal domu burmistrza, na skute kajdanami elfy o wyniosłych spojrzeniach, po czym odwróciła się w stronę gromadki dzieci.

- Powiedziałam, nie! - podniosła głos. - Jesteście jeszcze małe. Nie powinniście patrzeć na takie okropności, nie powinniście słuchać przekleństw i bezceństw...

- Ale nianiu... My tylko chcieliśmy się dowiedzieć... Nianiu... Chcemy zobaczyć, jak będą robić porządek z bandytami...

- Wykluczone! - Piastunka był nieugięta. - Mogę wam co najwyżej opowiedzieć o tym, co dzieje się na dole. A teraz cicho! - krzyknęła, gdy dzieci zakwiliły z ekscytacji. - Bo nie słyszę, co mówią!

Na rynku zaś mowę wygłaszał John Wayno: - Słuchajcie mnie, *fucking elves!*

- „Słuchajcie, podłe elfy” - powtórzyła za nim piastunka.

- Zachciało się, kurwa, ludzką krew toczyć! - grzmiał farmer. - To teraz ludzie was wydupczą, zawieszą na szubienicy i flaki z was wyprują!

- „Chcieliście, kurczę, ludzką krew toczyć? Teraz ludzie odpłacą wam pięknym za nadobne” - przekładała niania.

- Bo jedno wam powiem, *nasty fuckers!*

- „...jedno wam powiem, świntuchy...”

- Już samo to, że do naszego miasta przyjechaliście, pieprzyć ludzkie panienki, to przestępstwo.

- „...to, że do naszego miasta przyjechaliście się bawić, to

przestępstwo.”

- Ale morderstwo w Kanionie to już zbrodnia! Moresu was trzeba nauczyć! A że elf do elfa podobny jak gówno do gówna...

- „...podobny jak dwie krople wody...” - w miarę wiernie powtarzała za Johnem Wayno niania.

- ...tedy was powiesimy. I pamiętajcie jeszcze o jednym, *motherfuckers!*

- „Pamiętajcie jeszcze, maminsynki...”

- Że ludzie, rasa lepsza i inteligentniejsza, zawsze zwyciężą! Więcej, dupki, z nami nie zadzierajcie! Do zobaczenia w piekle, sukinsyny!

- „Do zobaczenia na tamtym świecie, psiekrwie!” - zakończyła niania i dłonią zasłoniła oczy, nie chcąc oglądać egzekucji.

Venom Miller dał tymczasem znak dwóm rośłym pastuchom o bezmyślnych twarzach.

Opuszczono zapadnie...

Bam, bam, bam!...

Trzykrotny huk wystrzału przetoczył się przez zapełniony ludźmi rynek.

- O, *fuck!!!* - ryknął John Wayno.

- O, kurwa! - powtórzyła piastunka.

## 12.

Wyatt Elf opuścił sztucer, z lufy którego uniosła się smużka dymu.

Elfy leżały pod szubienicami i oddychały ciężko, nerwowo. Powrozy, na których mieli zawisnąć Metacom i jego giermkowie, nim zdążyły się napiąć, zostały przestrelone.

Złowrogą ciszę przerwał burmistrz, wyskakując zza stołu, za którym zasiedli wszyscy miejscy oficjele.

- Jak śmiesz? - ryknął. - Przebrał się pijaczek w surdut, koszulę, kapelusz i myślisz, że cię nikt nie pozna? Wracaj do knajpy, byle szybko, a może okażę łaskę i nie wyrzucę na bruk. Pamiętaj z czyjej kasy pensję dostajesz, ty nędzna atrapo szeryfa!

- Zamknij się, Venom - powiedział zimno Wyatt. - I ciesz się, że nie po ciebie przyszedłem, ale po mordercę z Kanionu.

Tłum zaszemrał zaciekawiony, rozstąpił się na boki. Miller, speszony, cofnął się przed nadchodzącym rewolwerowcem.

- Koniec zabawy, mister wampir! Koniec maskarady! Wiem wszystko!

Zza szubienic zawiął lodowaty wicher; pozrywał z głów kapelusze, wzbił tumany kurzu, pogasił niektóre pochodnie.

- Tanie sztuczki, wampirze! Spiski i knowania - w tym jesteś zdecydowanie lepszy! - zagrział rewolwerowiec.

- O czym ty gadasz, King? I do kogo? - warknął John Wayno, otrząsnąwszy się ze zdziwienia. - Delirka cię chwyciła?

Odpowiedzią był strzał ze sztucera, który zdmuchnął Johnowi kapelusz z głowy.

- Wyatt Elf, głupku. Zapamiętaj! Kiedy zaś pytasz, o czym mówię, wiedz, że ty i całe Rio Dragon mieliście paść ofiarą knowań mordercy z Kanionu. Bo to nie elfy winne są tej zbrodni! Nie elfy.

- A niby kto? - rzucił ktoś z tłumu, bodaj szczerbaty McGregor, o ile Wyatt dobrze widział.

- Mister Bloodlike, chyba czas się przyznać? - Szeryf uśmiechnął się sardonicznie.

Urzędnik federalny pobladł. Zacisnął pięść i odburknął: - Nie wiem, o czym mówicie, mister King! - Ostatnie słowa zaakcentował bardzo wyraźnie. - Ale za swoje insynuacje, obrażające powagę Rządu Federalnego, zapłacicie. Drogo, bardzo drogo!

- Nie wiecie, mister Bloodlike? Doprawdy? Zapewne nic ci, Bloodlike, nie wiadomo o wyborach prezydenckich, które za dwa miesiące... Tobie, wiceszefowi sztabu wyborczego Mordreda? I nic nie wiesz o tajnym planie, który miał zapewnić Mordredowi zwycięstwo nad Arturem? Fala niepokojów społecznych i wojna z elfami miały pogrzebać ugodowego Artura i wynieść Mordreda, należącego do demokratycznych „jastrzębi”. Tyle że elfy wcale nie kwapiły się do wojaczki. Potrzebna była prowokacja. Prowokacja, której mord w Kanionie Nietoperzy stanowił jedynie preludium. Następnym krokiem miało być spalenie i wymordowanie całego Rio Dragon!

- Zamilcz! - ryknął Bloodlike, tracąc opanowanie. Jego głos był niski, groźny, nie przypominał wcale głosu człowieka.

- Czy myśleliście, że zabójstwo trzech elfów wysokiego rodu, w tym znamienitego Metacoma, ujdzie wam płazem? - zwrócił się Wyatt Elf do tłumu farmerów. - Ledwie dzień drogi stąd stoi obozem dziesięć tysięcy elfów. Zabijmy ich - tu wskazał na leżących pod szubienicą - a z Rio Dragon nie pozostanie kamień na kamieniu. Wówczas garnizony federalne będą musiały ruszyć tyłki z St. Galadriela i Fort Ring. I wojna gotowa.

- Ty, który pełnisz funkcję sekretarza generalnego Demokratów, wraz ze swoimi partyjnymi kolegami przygotowaliście prowokację - mówił szeryf, obróciwszy się do Bloodlike'a. - Już kilka miesięcy temu w prasie

na wschodnim wybrzeżu ukazała się seria sponsorowanych artykułów, zachęcających do emigracji na zachód. Po kilku tygodniach od publikacji zaczęły ruszać karawany. W tym samym czasie trupa zmiennokształtnych, którzy występowali w Valinor Square Garden w New Gondor, zniknęła, słuch po nich zaginął. Dodam, że przedstawienie zmiennokształtnych nazywało się „Wojna elfów”. Tę samą trupę metamorfów widziano kilka dni temu w lasach nieopodal St. Galadriela. To tylko dzień drogi od Kanionu Nietoperzy.

- Bzdura - uśmiechnął się szyderczo Horacy Bloodlike. - Poza wszystkim innym, taka operacja, jaką sobie uroiłeś, mister King, wymagałaby olbrzymich nakładów finansowych. Powszechnie wiadomo zaś, że Partia Demokratyczna, której istotnie jestem działaczem, ma kłopoty finansowe.

- Fakt, kampania wyborcza mocno wasz skarbiec wydrenowała. Ale z tym nietrudno sobie poradzić, wystarczy zaciągnąć odpowiedni kredyt w banku. W Aragorn pewnie nie ma nieruchomości Demokratów, która nie byłaby obciążona hipoteką. Ale wy to spłaciecie bez kłopotów...

- Ciekawym, czym? - zadrwił Bloodlike.

- Złotem! - odparował Wyatt, wykrzywiając się nie mniej szyderczo od Inspektora Federalnego. - Złotem, które macie nadzieję wydobyć w Szarych Górach...

- Łżesz! - zagrzmiął Bloodlike, przekrzykując wzbierającą wrzawę wzbudzonych głosów. - Stary Siwy Andrew potwierdził już dawno, że nie ma złota w Szarych Górach...

- Andrew zabrał ile mu było potrzeba, resztę zostawił w spokoju. Wiedział, że tuż po wojnie taka wiadomość na nowo roznieciłaby konflikt z elfami. Wiedział, że na takie hasło zleciałyby się tutaj niebieskie ptaki różnego autoramentu, pojawiłyby się konfraterie brygantów i birbantów, wiedział wreszcie, że Górąmi Szarymi zainteresowałiby się podówczas tacy jak ty, Bloodlike. Moźni, krwiożerczy politycy. A wbrew temu, co

Andrew wygadywał przy whisky, on naprawdę lubił elfy. Nie chciał ich zagłady, a Góry Szare to wszak ich terytorium! Ale złoto tam oczywiście jest!

Pomruk wzburzenia przeszedł przez tłum. Znęćeni wiadomościami o złocie i wizją łatwego bogactwa gapie przysunęli się do przeciwników na niebezpiecznie bliską odległość.

- Ty i twoi koledzy z partii postanowiliście położyć łapę na złotonośnych areałach. Potoki, jeziora, szyby pełne kruszcu - wszystko to miało być wasze. Czy nie tak, panie Thyssenn? - Wyatt Elf wyzywająco spojrział w stronę blednącego naraz notariusza. - Czy przed dwoma dniami, w nocy z osiemnastego na dziewiętnastego Mارتza, nie spisał pan umowy przenoszącej własność Terytorium Gór Szarych? A czy stronami tejże umowy nie byli Inspektor Federalny Horacy Bloodlike, pełnomocnik Rządu, oraz działacz Bloodlike, sekretarz generalny Partii Demokratycznej?

- Ja... Ehm... Tajemnica służbowa - wyjąkał siwy notariusz bez przekonania.

Wyatt Elf uniósł lekko sztucer.

- Tak, tak - wyrzucił z siebie rejent. - Wszystko to prawda, opierałem się, bo prawo zabrania podpisywania umowy z samym sobą. Ale burmistrz i sędzia nalegali. Oni też otrzymali nadziały ziemi w Górach Szarych! Poza tym powiedzieli, że Bloodlike to...

- *Shut up*, starcze! - ryknął na całe gardło Bloodlike, zagłuszając ostatnie słowa rejenta. Potężnym ramieniem rozgarnął tłum i ruszył w stronę notariusza. Ten, blady ze strachu, krzyknął jazgotliwie: - Bloodlike to...

Odgłos strzału przetoczył się po ryneczku Rio Dragon.

- Bloodlike to wampir - dokończył Wyatt Elf, który precyzyjnym strzałem wytrącił rewolwer z ręki burmistrzowi, mierzącemu w Thyssenna. - Chciałeś nas sprzedać, Venom! Za kilka złotonośnych

działek!

Farmerzy i mieszkańcy Rio Dragon ruszyli w stronę burmistrza, ktoś wystrzelił w powietrze, posypały się przekleństwa i nawoływania, by zamiast elfów powiesić sędziego, burmistrza i Bloodlike'a. Ten ostatni tymczasem był już przy Thyssennie, już, już wyciągał szponiastą dłoń w stronę notariusza, gdy jak spod ziemi wyrósł przed nim Wyatt Elf i kolbą sztucera zdzielił wampira w szczękę.

Bloodlike odskoczył, syknął, jego skóra zaskwierczała w zetknięciu ze srebrem. Cofnął się jeszcze, twarz skrył w dłoniach i przez moment stał w bezruchu.

- Kończ z nim! - krzyknął któryś z gapiów do rewolwerowca.

Wyatt Elf przeładował sztucer. W tej samej chwili wampir dumnie uniósł głowę. Zgromadzeni na rynku zamarli. Twarz, którą zobaczyli, nie była bezwzględny i zimny, ale już znajomym obliczem Horacego Bloodlike'a, Inspektora Federalnego. Nienaturalnie wydłużone zęby, wykrzywione usta, szczęką wysadzona do przodu... I oczy, najgorsze były nabiegłe krwią, połyskujące w mroku oczy.

Oczy potwora.

Na rynku od razu zrobiło się luźniej, gapie w pośpiechu kryli się w domach, za węglami, spora grupa farmerów, którzy zjechali do Rio Dragon z okolicznych gospodarstw, ruszyła w stronę kościoła. Wkrótce cały plac był pusty.

Naprzeciw siebie, w odległości kilkudziesięciu kroków, stali rewolwerowiec i wampir.

Wyatt Elf sięgnął do pasa z amunicją. Po rynku rozszedł się gryzący zapach czosnku.

Zawiał lodowaty wicher; kolejne pochodnie gasły zduszone nagłym podmuchem.

Bloodlike ruszył powoli w stronę Wyatta.

Wiatr targał połami jego surduta, odsłaniając pas, do którego

przypięto dwa, smoliście czarne rewolwery Soultaker kal. 18 mm. Na grafitowym pasie czerwoną fosforyzującą nicią wyszyte były złowrogie inskrypcje magiczne.

Wyatt Elf przygryzł wargę; miał do czynienia nie z pospolitym krwiopijcą, podrzędnym wyrobnikiem wampirzenia, lecz z prawdziwym księciem nocy, upiorem, co to nie kontentował się jedną czy dwiema ofiarami, ale potrzebował ich całe setki, przy czym ważniejsza była dlań mentalna tortura niż posoka. Powinienem się być domyślić, skarcił się w myślach rewolwerowiec, sekretarzem generalnym Demokratów i pełnomocnikiem Rządu nie zostaje się przez przypadek.

Starczył nieznaczny ruch ręką i rewolwery, śpiące dotąd w magicznych kaburach, pojawiły się w dłoniach Bloodlike'a. Huknęło raz, drugi, trzeci, czwarty, z czarnych luf wyprysły równie czarne pociski.

Nie dać się trafić, powtarzał w myślach Wyatt, biegnąc w lewo, w kierunku kościoła. To przekłete kule; mniejsza o ciało, ale one kradną również duszę! Rewolwerowiec przykucnął pod osłoną dużej murowanej studni, pamiętającej czasy założycieli Rio Dragon.

- Dzięki ci, Panie, za szurniętych kolonistów ze Starego Łądu, którzy miast zrobić prosty kołowrót na dwóch drągach, w miejsce studni postawili tu fortecę - wydyszał, jednocześnie ładując sztucer. Ostrożnie wychylił się, a dostrzegłszy nadchodzącego wampira, bez wahania pociągnął za spust.

Srebrny sztucer na wampiry, wyprodukowany przez rusznikarnię Mahakam Corp., o którym mówiono, że nigdy nie chybia, i tym razem nie zawiódł. Pierwszy pocisk zdmuchnął z głowy wampira kapelusz, drugi rozdarł surdut na ramieniu, trzeci trafił w lewą rękę Bloodlike'a, wytrącając z niej Soultakera. Pełen wściekłości charkot przetoczył się przez rynek. Wampir odpowiedział ogniem z drugiego rewolweru. Jedna z kul trafiła w drewniany dach nad studnią posypały się ogniste drzazgi i konstrukcja buchnęła jaskrawym płomieniem. Bloodlike nie przerywał



kanonady, kule świszczały tuż nad głową rewolwerowca, odłamki muru pryskały na wszystkie strony.

- *Shit*, jak to jest, że jemu nigdy nie kończą się naboje? - mruknął Wyatt. - To pewnie ten zaczarowany rewolwer... Albo pas...

Widząc, że wszystkie kule wampira przelatują dość wysoko, rewolwerowiec przyłgął do ziemi, na mgnienie oka wyjrzał zza studni i strzelił. Srebrny pocisk, natarty wyciągiem z czosnku, rozplątał Bloodlike'owi łydkę. Wampir zachwiał się, na moment tracąc równowagę. Wówczas Wyatt Elf wstał. Oczy rewolwerowca były zimne, bezwzględne i spragnione whisky.

- *Adios*, Bloodlike - mruknął Wyatt, wzorem południowców. Srebrny sztucer, Seehill kal. 13 mm, plunął ogniem i kolejnym srebrnym pociskiem.

Wampir zachwiał się po raz drugi. I trzeci. Z każdym trafieniem przyglądający się pojedynekowi gapie wydawali okrzyki triumfu. Wyatt strzelał, a Bloodlike słabł coraz bardziej. Dziewiąty pocisk trafił wampira w udo, dziesiąty rozszarpał policzek. Po tym trafieniu pełnomocnik Rządu Federalnego ds. Mniejszości Etnicznych, który wciąż jeszcze trzymał się na nogach, wyciągnął przed siebie rękę.

- Wyatt! - wycharczał.

Rewolwerowiec przystanął na moment. Od upiora dzieliło go najwyżej dwadzieścia jardów.

- Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś, tak jak każe nazwa twojej dubeltówki, strzelał z jakiegoś dalekiego wzgórza - charczał wampir.

- A to czemu?

- Zdążyłbyś przeładować magazynek! - ryknął Bloodlike i jednym susem znalazł się przy rewolwerowcu. Uderzenie szponów zadzwoniło o lufę sztucera, który wypadł z rąk gunfightera prosto w piach. Potężne kopnięcie rzuciło Wyattem znów pod starą studnię. Ledwie rewolwerowiec zdążył uskoczyć przed płonąca żagwią która odpadła z

płonącego daszku, a wampir znów był przy nim. Ciął strasznie, szerokim zamachem pazurów; koniuszkami sięgnął policzka Wyatta, z którego trysnęła krew.

- Za stary już jesteś, pistolero - mruzczał, gdy kuśtykając podchodził do zmaltretowanego rewolwerowca. - Old Wyatt... Ileż to lat cię szukaliśmy! Bez skutku! Nikt z nas, Książąt Mroku, nie wpadł na to, że stałeś się nędznym pijaczną w zapadłej mieścinie na prowincji. Ale teraz sam pchasz się w nasze ręce! Zamiast siedzieć spokojnie, atakujesz w ostatnim samobójczym zrywie. Rad jestem... Choć, szczerze mówiąc, miałem cię za bardziej rozgarniętego. Ale i to dobre, Dzieci Nocy dostaną i złoto, i zemstę. Szczęśliwe miejsce to Rio Dragon.

Silny kopniak zwałił Wyatta na ziemię, rewolwerowiec zwinął się w kłębek, lecz wampir nie dał mu wytchnienia. Podniósł gunfightera za włosy, drugą zranioną ręką zdarł z niego koszulę, by odsłoniętymi kłami wpić się w szyję przeciwnika.

- Będziesz naszym pomiotem, wampirzym podnóżkiem, najgorszym ze sług Książąt Mroku, obmierzłą pozbawioną własnej woli strzygą - charkotał Bloodlike.

W martwej ciszy, która na moment zaległa, dał się słyszeć słaby, trochę niewyraźny głos Wyatta Elfa: - Zgadnij, Bloodlike, co ja mam w kieszeni?



...Saymoore z niechęcią spojrzała na szeryfa.

- Znów się spiłeś, Rob - pokręciła głową z dezaprobatą. - A dziś wieczorem egzekucja.

- Przeciwnie, Saymoore, od rana nie tknąłem whisky.

- Nie? - Wiedźma parsknęła śmiechem. - To po co trzeźwemu

szeryfowi strzykawka do szczepienia bydła? Chcesz sobie whisky aplikować dożylnie, żeby ci z gęby nie zalatywało?...



...Reverand z zakłopotaniem podrapał się w głowę. Gdy King przyszedł do kościoła, w głowie pastora skiełkowała nadzieja, że być może szeryf postanowił zapobiec egzekucji elfów. Nadzieja kwitła, gdy Rob King pochylił się nad kropielnicą, ale w chwili, w której szeryf wyciągnął z kieszeni okazałą strzykawkę i napełnił ją wodą święconą, Woodworf Reverand rozczarowany pokręcił głową.

- Znów się spał, ot co. Męczy go delirium - westchnął ze smutkiem pastor...



Bloodlike bezwładnie osunął się w piach, prosto pod nogi Wyatta Elfa. Z pleców wampira sterczała duża strzykawka do bydła.

Rewolwerowiec otarł rękawem spocone czoło i podniósł z ziemi srebrny sztucer. Z saloonu odezwały się pierwsze wiwaty, niezbyt jednak gromkie. Do Wyatta podbiegło wprawdzie wielu ludzi, ale bardziej niż o gratulacjach i podziękowaniach myśleli o złocie. Jeden przez drugiego wypytywali szeryfa, który naraz z pogardzanego pijaczka stał się poważaną osobą, co to każdy ją chciał poklepać po plecach, każdy chciał się z nim przyjaźnić. A powód tej zmiany był - Wyatt nie miał złudzeń - oczywisty. Wszystkich nęciły informacje o pokładach złota i miraż szybkiej fortuny. Fala przyjaźni szybko jednak straciła impet, gdy

przyszli potentaci górnictwa stwierdzili, że Wyatt Elf pozostaje nad wyraz mało mówny i skryty. Jedynie Reverand, Saymoore i Gruby Beagle szczerze i bezinteresownie wyściskali gunfightera. Gdy odeszli, do Wyatta, sapiącego jeszcze ze zmęczenia i zdenerwowania, podszedł niewysoki mężczyzna w wielkim kapeluszu. Spod szerokiego ronda sombrero buchały kłęby dymu.

- Duch? - domyślił się Przyjaciół Elfów.

Przybyły nie odpowiedział, ale z torby wyciągnął kwadratową flaszkę i dwie szklanki.

- Jest twoja - powiedział elf, uśmiechając się do Wyatta. - Butelka „Napełnij się!”. Przyjaciele dziękują za pomoc.

- Prawdziwa whisky? - spytał Wyatt, napełniając swoją szklankę.

Duch skinął głową.

- Słyszałem o niej - rzucił przez zęby rewolwerowiec, przyglądając się flaszcze. - Intryguje mnie, jak ona działa?

- Jak? - Duch uśmiechnął się szyderczo. - A nie słyszałeś o spirytusowej aferze w Federalnych Gorzelniach w Aragorn? O tych olbrzymich niedoborach? To było w zasadzie proste zaklęcie...

Wyatt zaśmiał się przeciągle.

- Zdaje się, że za to poleciał jakiś ważny wampir piętnaście lat temu? Był tam dyrektorem.

- Prawda... - odparł szaman. - Trzeba było się go pozbyć. Dzięki naszym kontaktom w Aragorn uknuliśmy małą intrygę. Wampira zwolnili, a nawet, o czym już tak głośno nie było, spalili - bo u władzy byli podówczas Republikanie. A zaklęcie pozostało. Twoje zdrowie, Wyatt. Na pohybel nocy synom!

- Na pohybel! - zawtórował Wyatt, przechylając szklankę.

## Epilog.

No i tak to skończyła się ta cała awantura.

Bloodlike'a pochował sam King, czy raczej Wyatt Elf, jak teraz wszyscy o nim mówią. Zabezpieczył wampirze truchło jak się patrzy, kołek wbił w serce, łeb spalił, a to, co zostało, przywalił potężnym kamieniem, poświęconym uprzednio przez Reveranda.

Elfy uwolniono; spiesznie też wyjechały z miasta, prawdę rzekłszy, nieprędko spodziewam się je zobaczyć znowu w saloonie, zwłaszcza że nie żegnano się z nimi serdecznie. Farmerzy tak czy owak za nimi nie przepadają, zwłaszcza zaś John Wayno, któremu już marzyło się magiczne siodło Metacoma. No i chyba miłości między ludźmi a elfami już nie będzie, bo jeden w drugiego farmerzy gadają teraz o Górach Szarych i złocie.

Wiadomość o niebezpiecznej trupie morderców przebierańców prędko wysłano do St. Galadriela i Fort Ring, ale niestety, krwawi komedianci przepadli. Ot, kamień w wodę, musieli się zorientować, że coś poszło nie po myśli wampira. Teraz ich szukają, rozsyłają listy gończe i wyznaczają tysiące talarów za żywego lub martwego. Ale wątpię, by co z tego miało być.

Marnie skończyli Venom Miller, sędzia Beer, a także Alois Valtz, dyrektor banku, kiedy okazało się, że i on miał swój udział ziemi w Górach Szarych. Wszyscy trzej zawisli na szubienicach przygotowanych dla elfów. Łagodniej potraktowano Alfreda Thyssenna, który spiesznie anulował notarialny akt sprzedaży Gór Szarych i to mimo tego że, jak powiadają, przez złożenie magicznej pieczęci na dokumencie, między rejentem a potwierdzanym aktem rodzi się więź czarnoksiężka. Rzekomo rozerwanie tejże więzi to ból okropny; no więc może i tam go trochę pobolało, ale skórę ocalił. Jak patrzę na te szubienice, co na rynku

straszą, to myślę sobie, że dobrze zrobił.

Kilka miesięcy później, już po zwycięstwie Artura i objęciu przezeń prezydenckiego stolca, przyjechał kolejny Inspektor Federalny, śledztwo zrobił i pośmiertnie skazał Bloodlike'a na karę śmierci właśnie. W tym czasie wybraliśmy sobie nowego burmistrza, a życie w Rio Dragon wracało powoli do swojego niespiesznego rytmu.

Alem ja już owej nocy, co to rozgorączkowany woźnica wbiegł był do saloonu, wiedział, że Rio Dragon nie będzie takie jak dawniej.

Latem ruszyła budowa linii kolejowej, Rząd Federalny postawił nam wieżę z palantirgrafem, aby Rio Dragon nie było dłużej odcięte od świata. Przybyli też nowi osadnicy, całe mrowie, a pośród nich niejednemu źle z oczu patrzyło. Wywerny i wilkołaki rozległy się jak robactwo już nie tylko w górach, ale i na równinach; niektórzy powiadali, że widziano nawet skrzydlatego smoka z gatunku smaugowców, co to niby przefrunął był nad okolicą. Ludzie stali się nerwowi, rozdrażnieni i coraz częściej, coraz łapczywiej spoglądali w stronę Gór Szarych. Elfy tymczasem zimą oświadczyły, że Gór ludziom nie oddadzą, bo za nimi czai się zło i nie mają dokąd pójść. Niektórzy stwierdzili na to: „Niech więc idą do diabła”.

Ale to już zupełnie inna historia...

# Rafał Dębski

## ŁZY NEMESIS

*„Krople krwi na piasku budzą niepokój. Są jak łzy Nemezis wylane nad zamordowanym dzieckiem, a rozgrzane ziarna wysysają z nich całą czerwień, w zamian ofiarując brunatną barwę beznadziei”.* Ten, kto napisał te słowa, chyba nigdy nie był w głębi pustyni, pomyślał Vincent. A już na pewno nie widział zwarzonej przez słońce krwi.

Spojrzał na swojego towarzysza. Edward z wysokości końskiego grzbietu przyglądał się ciemnym bryzgom na niegościnniej ziemi. Patrzył bardzo długo, z ułożenia krwawych plam próbując odczytać historię tragicznych wydarzeń. Vincent przymknął oczy, znużone blaskiem odbitych od piachu promieni.

- Tu musieli ich dopaść - mruknął Edward. Głos było ledwo słychać. Wiązał tuż przy ustach, zaplątany w kłęby zawoju.

- Co powiedziałaś? - Vincent ocknął się z chwilowej gorączkowej drzemki zesłanej przez palące słońce. Poprawił labry na hełmie. W odróżnieniu od swego towarzysza, pustyni nie lubił i nie rozumiał. Nie mógł też zupełnie pojąć, jak Edward, wychowanek zimnej Północy, mógł przylgnąć sercem do tego kraju. I dlaczego tak swobodnie sobie radził z potwornym gorącem, od którego nawet miejscowi tracili zmysły.

- Tu ich dopadli - powtórzył głośniejszym głosem Edward. - A nasi musieli się mocno bronić, spójrz, ile krwi...

Vincent skrzywił się.

- Owszem, krwawa jatka. Dziwne tylko, że nie pozostały żadne trupy, przecież na pewno wielu zginęło. Musieliby wszystkie pozbierać. Po co? Przecież nikt tak nie czyni. Kim oni mogą być?

- A jak myślisz?

- Saraceni. - Vincent roześmiał się z przymusem. - Tacy sami Saraceni jak wszyscy inni, tyle że bardziej szaleni. Widziałeś zresztą kiedy jakiegoś normalnego?

Edward spojrział na niego bez słowa. W głębi hełmu błyszcząły jasne oczy. No tak, zreflektował się Vincent, przebywał u nich w niewoli tak długo, że na pewno przyzwyczaił się do dziwactw niewiernych. Powrócił przecież dopiero niedawno... De Rionne wciąż zapominał, że jego przyjaciel nie jest już tym samym dawnym Edwardem, hulaką i swawolnikiem, jakiego znał i lubił. Zachowuje się, jakby na świecie miał przebywać jeszcze tylko przez chwilę. Jakby wyrwał się z piekła i miał tam wkrótce powrócić. Potrząsnął głową.

- Nigdy nie spotkałem się - rzekł - ze zwyczajem zabierania zwłok zabitych wrogów, szczególnie na pustyni. Swoich może tak, ale obcych? A ty, wikingu?

Swansen nie odpowiedział. Zsiadł z konia, zdjął z głowy zawój, hełm zawiesił na łęku siodła. Uważnie przyglądał się krwawym plamom, potem zatoczył duże koło, uważnie patrząc pod nogi.

- Jest jeszcze coś dziwniejszego niż brak trupów - oświadczył po powrocie.

- Coś odkryłeś?

- Właśnie nic. Dalej nie ma żadnych śladów. Urywają się w tym miejscu. Jeszcze dziwniejsze, że nie ma tropów pościgu, zupełnie jakby Saraceni go zaniechali. Nie ma też śladów bitwy... Jedyne, co jest, to rozchodzące się bryzgi krwi. Tak jakby ktoś próbował wymalować posoką gwiazdę na piasku. Albo jakby kapała gdzieś z wysoka, układając się w ten sposób. Trzeba to jak najszybciej sprawdzić.

Vincent poczuł przeszywający go mimo upału dreszcz.

- To dość niepokojące, delikatnie rzecz ujmując. Dlatego radziłbym zaczekać na resztę oddziału. Nie wiadomo przecież... W końcu mieliśmy



przyjść tamtym w sukurs, a nie dać się wyróżnić jak cielęta.

- Zostań tutaj - przerwał mu towarzysz. - Ja rozejrzę się po okolicy. Przypuszczam, że nie ma już komu iść na odsiecz.

- To może być niebezpieczne.

- Życie jest niebezpieczne. - Edward skoczył na siodło i nie oglądając się ruszył przed siebie. - Kiedy dotrą nie ruszajcie się stąd! - zawołał jeszcze, zanim puścił wierzchowca w galop.

Vincent został sam. Z odrazą rozglądał się po pustyni. Co w niej tak urzeka niektórych, że nie chcą wracać do ojczyzny? Niby nienawidzą bezkresnych połaci piasku, a w istocie rzeczy żyć bez nich nie mogą. Gdyby jemu przesłano wieść, że darowano mu winy i może wracać do kraju, nie zastanawiałby się ani chwili. Westchnął przeciągle, zerknął z niechęcią w stronę słońca i znowu poprawił materię na hełmie. Co za kraj! Za dnia upał, że jaj w piachu można nagotować, zaś w nocy przejmujący mróz. Że też w ogóle jakiegokolwiek stworzenia mogą przeżyć w tych warunkach. On bez pomocy umarłby pewnie pierwszego dnia. Nie tylko zresztą on. Radzili sobie dzięki temu, że Edward z niesamowitym wyczuciem potrafił odnaleźć oazy, a w ostateczności dostrzec, gdzie w piachu znajdują się wodne wysięki, z których można napić się za pomocą trzcinowej rurki. Zupełnie jakby wychował się na pustyni, a nie w chłodnym fiordzie.

Rozmyślenia przerwał tętent kopyt i okrzyk: - Hej, de Rionne, a gdzie podziałeś Swansena?

Grupa jeźdźców osadziła konie wokół Vincenta. Ten, który wołał, Jan de Morges, wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w ślady na piachu.

- Co to jest?

- Nie widzisz? Krew.

Jan zeskoczył z konia, zbliżył się do najbliższej ciemnej smugi i wyciągnął dłoń.

- Ja bym tego nie ruszał - powstrzymał go głos Vincenta.

- Dlaczego?

- Nie wiem - de Rionne wzruszył ramionami - ale ja bym dał spokój. Niedobrze jest ruszać posokę niewiadomego pochodzenia. Pamiętaj, gdzie jesteśmy.

De Morges spojrział na niego wyzywająco i dotknął krwawego rozprysku. Potem potarł palce.

- Krew jak krew - oznajmił. - Szcerniała już wprawdzie, ale musi być całkiem świeża, bo jeszcze się zażga, widzisz? Gdzie Edward?

- Pojechał na rekonesans. Pewnie zatoczy spore koło, zanim wróci. Brak jest śladów prowadzących gdziekolwiek z tego miejsca. Postanowił to sprawdzić, a my mamy na niego poczekać.

- Jak to, brak śladów?! - Poirytowany głos należał do hrabiego Konrada von Wallheima. - Rozpłynęli się w powietrzu, czy jak? Poza tym powinien poczekać i zasięgnąć naszego zdania w tej kwestii. „Czekajcie na mnie”, powiedział? - drwiąco udał głos Edwarda. - Zachowuje się jak udzielny książę.

Vincent nie lubił nadętego hrabiego. Zdaje się, że nikt go nie lubił, nawet własna żona, która z ulgą wypchnęła go na wyprawę do Palestyny przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Od zasięgania zdania w każdej kwestii - odparł - nasza wyprawa wlecze się już tyle lat! Nie w ostatek dzięki twojemu miłościwemu panu. Robi wszystko, żeby przejąć dowodzenie, tyle że nadaje się do tego jak...

- Spokojnie, panowie, proszę o spokój. - Jan de Morges zagroził drogę Wallheimowi, który szykował się czynnie bronić honoru swego pana. - Będziecie się kłócić i bić po powrocie. Tutaj nie jesteśmy sługami naszych jaśnie poróżnionych książąt i królów. Przypominam, że przed wyruszeniem zaprzysięgliśmy sobie pokój i braterstwo. Udawajcie przynajmniej, że was to przyrzeczenie cokolwiek obchodzi.

Konrad wycofał się, łypiąc na Vincenta złowrogo.

- Taak - rzucił Piotr z Telford. - Wystarczy, że panowie baronowie na

chwile zjedną się w jednym miejscu i już zaczynają się zachowywać zupełnie jak ich władcy.

- Ty, Piotrze, nie dolewaj oliwy do ognia! - De Morges pogroził mu pięścią. - Ciesz się, że twój Ryszard jest taki święty...

- Święty to on nie jest, nie drwij sobie - uśmiechnął się Telford. - Powiem więcej, gdy tak już rozmawiamy. Straszna z niego świnia i, jak powiadają poniekąd pederasta. Ale wodzem jest przednim i gdyby nie on, Saladyn dawno zjadłby całe pozostałe tałatajstwo.

- Kogo nazywasz tałatajstwem?! - poderwał się Kurt von Landberg. - A nasz cesarz świętej pamięci to co, psu wypadł spod ogona?

- *Pax*, panowie, *pax!* - wrzasnął de Morges. - Czy wy naprawdę nie potraficie normalnie ze sobą rozmawiać?! A ty, Piotrze, zamknąłbyś lepiej twarz, żeby ci jej słońce nazbyt nie wysuszyło, miast obrażać wszystkich dookoła.

- Nie pozwolę się znieważać byle, byle... - Von Landberg nie umiał znaleźć słów.

Telford czekał na jego odpowiedź z prowokującym uśmieszkiem.

- Wiecie czym górują nad krzyżowcami Saraceni? - rozległ się cichy głos.

To Edward wrócił ze zwiadu. Spojrzeli na niego, jakby zobaczyli ducha.

- Jak to zrobiłeś, że znowu cię nie zauważyliśmy? - nie krył podejrzliwości de Morges. - Wyrastasz zawsze jak spod ziemi.

- To nietrudne - roześmiał się Edward. - Tokujecie niczym stado głuszców. Niewierni mają wiele wad, ale kiedy potrzeba, umieją zachowywać się tak cicho i czujnie, że nikt nie jest w stanie ich podejść.

- A ty co ich tak wychwalasz? - Piotr z Telford skrzywił się z niechęcią. - Możesz przeszedł na islam będąc w ichniej niewoli?

Swansen nie odpowiedział, spojrzał tylko na Anglika przeciągle. Ten zmieszał się, ale nie opuścił wzroku.

- Mamy większy problem niż wasze swary - oznajmił po chwili Edward. - Znalazłem tych, których szukamy. Tam. - Wskazał ręką na zachód. - Przynajmniej sądzę, że to oni, bo doprawdy trudno to stwierdzić z całą pewnością. Ktoś lub coś zawlokło ich tam i zważyło na kupę. Nie ma tego zresztą za wiele.



Młodziutki graf Werner von Watzenrode wymiotował prosto na koński kark. Pozostali patrzyli z mieszaniną odrazy i przerażenia na walające się po ziemi szczątki. W upale odór surowizny przyprawiał o mdłości nawet nawykłych do takich woni rycerzy.

- Z kości wyssano szpik - odezwał się Edward. - Sprawdziłem. Czaszki rozłupane, nie ma mózgow, a reszta... jak sami widzicie, zostali posiekani na drobne kawałki. I te wnętrzości...

- Rany Boskie! - jęknął Piotr Telford. - Toż wszystko rozwłózione, jakby ktoś się tarzał we flakach!

Wskazał pokrwawione resztki ubrań i pancerzy.

- Wygląda na to, że są tutaj nie tylko nasi rycerze... To mi patrzy na saraceński burnus. I to... i to... - wskazywał po kolei. - Wszystko razem pomieszane.

- Właśnie. - Konrad von Wallheim zasłonił twarz przed przykrym podmuchem wiatru. - To niepokoi mnie najbardziej. Jak dotąd...

- Będziemy tak stać czy ich pochowamy? - przerwał niecierpliwie Vincent.

- Razem z Saracenami? - oburzył się Konrad. - Toż to by było...

- A co? - przerwał mu znowu Vincent. - Jak chcesz odróżnić wszystkie kości? A pochówek Kościół nakazuje! Zresztą czy to hańba pochować wroga? Ksiądz w kazaniu nawet mówi: „Miłujcie nieprzyjacioły swoje”...

Diabli! - zaklął nagle. - Ale też co ich tak poszatkowało? Saraceni?!

- Nie wierzę - powiedział de Morges. - Podłe to plemię, ale wszak nie są trupojadami! Nigdy tego nie robili.

- Tym bardziej że najwyraźniej sami ich wojownicy padli ofiarą tego, kto to uczynił... - poparł go Piotr Telford.

- Zdałoby się zebrać szczątki, pokazać królowi i biskupowi - odezwał się nieśmiało Werner. - A i pogrześć w poświęconej ziemi...

- Milcz, bratanku - ofuknął go Konrad. - Mądrzejsi od ciebie mogą zabierać głos, nie ty, gołowąsie. Weź lepiej jakąś szmatę i przetrzyj konia. Jak wymiocina zaschnie, niczym jej nie ruszysz.

Werner zamilkł, spłoszony, ale niespodziewanie poparł go Edward: - Graf ma rację, Konradzie. - Machnięciem ręki uciszył protesty. - Jest młody, ale rozsądku nie można mu odmówić. Trzeba to pokazać, tylko nie od razu naszym wodzom, ale przede wszystkim szpitalnikom! Niechby powiedzieli, co o tym myślą.

- Mamy wlec się przez pustynię z tym całym smrodem, żeby ucieszyć paru konowałów? - Von Landberg splunął. - Ja sobie ich na koń włożyć nie dam.

- Nie marnuj wody - warknął Jan de Morges, wskazując na błyskawicznie parującą plwocinę. - Edward dobrze mówi. Nie chcesz brać trucheł, nikt cię nie zmusza. Ale nie nazywaj trupów chrześcijańskich smrodem, by i ciebie ktoś tak nie nazwał.

Von Landberg ze zdziwieniem spojrział na Jana, który zazwyczaj był bardzo spokojny i mało skory do zwady. Czym go tak ugodził?

- Dobrze już - mruknął ugodowo.

Jan de Morges miał opinię tęgiego rębajły. Wśród rycerzy panował pogląd, że nie warto mu się narażać. „Wielkie to szczęście - powiedział kiedyś w przytomności Kurta jeden z angielskich rycerzy, który pojedynkował się z Janem - że Bóg dał takiemu siłaczowi i fechmistrzowi łagodne usposobienie. Inaczej byście mnie już nie oglądali. Mocarny jest

bodaj jak sam król Ryszard”. Von Landberg nie zamierzał sprawdzać granic cierpliwości Jana. Przynajmniej nie teraz.



Brat Gustavus spojrział znad kupy kości na wyczekujących rycerzy.

- Jestem w służbie zakonu joannitów od lat dwudziestu z górą przez cały ten czas w Ziemi Świętej. Widziałem rany zadawane przez wojowników sobie nawzajem, widziałem ślady najwymyślniejszych tortur, oglądałem szczątki ludzi pożartych przez lwy i inne dzikie zwierzęta. Ale żeby coś takiego...

- Potrafisz powiedzieć, bracie, co mogło zabić tych ludzi?

Gustavus wzruszył ramionami. Ujął leżącą na wierzchu dłoń z kawałkiem przedramienia.

- Doprawdy, nie wiem - oznajmił po chwili, ponuro się w nią wpatrując. - To nie wygląda na żadne zwierzę, które bym znał. Ale mówicie, że wnętrzności były rozwleczone?

- Jakby ktoś w nich się tarzał - przyświadczył Vincent. - Czy to jakaś wskazówka?

- Właściwie nie. - Gustavus zamyślił się na chwilę. - Chociaż, z drugiej strony... Jestem tutaj już dwadzieścia lat i wiele widziałem...

- To już słyszeliśmy - przerwał mu Edward.

- I wiele widziałem - powtórzył z naciskiem medyk - a także wiele słyszałem. Wśród pogan powszechne są wierzenia w duchy, demony, przez nich nazywane...

- Dżinnami czy tam innymi iblisami - wpadł mu w słowo Vincent. - Wiemy, zakonniku, też przebywamy tutaj ładnych parę lat.

- Między tymi dżinnami są złe i dobre - ciągnął niezrażony Gustavus. - A Iblis jest władcą tych złych. Ale są jeszcze inne istoty, tak zwane ghule,

żywiące się ludzkim mięsem, stwory ponoć bardzo silne, o wielkich, pełnych zębów gębach... Jednak z waszych słów wynika, że coś porwało ludzi i przeniosło kawał drogi. Ghule nie są do tego zdolne. To musiało być co innego... Albo coś więcej...

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał nieco podejrzliwie Vincent.

- Niech Bóg uchowa, żebym wierzył w pogańskie gusła! - Medyk przeżegnał się. - Jednak - zniżył głos do szeptu - nie jesteście pierwszymi, którzy przywożą podobne znalezisko.

- Co?!

- I to odkryte w podobnych okolicznościach - na ziemi krew, bryzgi dokoła w kształcie gwiazdy czy promieni, zupełny brak innych śladów. I zwał członków gdzieś dalej.

- Myślałem, że to jednak Saraceni...

- Tego nie uczynił żaden człowiek - pokręcił głową Gustavus. - Stawiam na to moje zbawienie.

- Więc kto lub co ich pożarło?

Medyk rozłożył ręce w bezradnym geście.

Dwie ladacznice z rozdzierającym wrzaskiem tarzały się po ziemi, targając się bez litości za włosy. Pomiędzy kramami kłębił się wzniecony awanturą kurz. Nadbiegający strażnicy przystanęli, z zachwytem chłonąc widowisko. Chcieli dobrze się napatrzeć, zanim aresztują uczestniczki bójki.

- Najgorsza jest awantura, drodzy panowie - odezwał się patrzący z niesmakiem na zajście Jan de Morges - jak publicznie na rynku jedna kurwa powie drugiej „ty kurwo”. No, już! - krzyknął na pachołków. - Ruszyć się, psiawiary!

Strażnicy z niechęcią przerwali spektakl. Wrzaski obu aresztowanych było słychać jeszcze przez długi czas. Obrzucały siebie nawzajem i strażników takimi słowy, że de Morges kręcił z podziwem głową.

- Żeby też byle dziwka klęła soczyściej od pasowanego rycerza -

westchnął. - Świat w istocie schodzi na psy...

- Musimy omówić sprawę z królem - przerwał jego rozważania Vincent. To wymaga wyjaśnienia.

- Z którym? - spytał uszczypliwym tonem Edward. - Bo mamy pewien wybór. Chyba nie z Filipem?

- Dlaczego? - spytał wyzywająco de Morges. - Czy czegoś mu brakuje?

- Dałbyś spokój - wtrącił się Vincent. - Nie czas bronić wątpliwego honoru naszego władcy.

- No, tak - sapnął Jan - mogłem się tego po was spodziewać. Chcecie iść do Ryszarda, prawda?

- Na niego ty nie wyrazisz zgody, myślę się? - Edward machnął ręką.

- Czemu? - Milczący dotąd Werner von Watzenrode odważył się zabrać głos. - To przedni wojownik, znakomity wódz...

- Tyle - wpadł mu w słowo Vincent - że z rozumem u niego nie najlepiej. Zakuty ma łeb jak rzadko, prosto mówiąc. Ostatnio ponoć wpadł na pomysł, by rozstrzygnąć całą wojnę pojedyńkiem z Saladynem... Głupie, prawda? Dobrze, że baronowie się sprzeciwili, bo mielibyśmy może niezgorszą ale bardzo ryzykowną zabawę. Wyobrażacie sobie, co by się działo, gdyby Ryszard dał sobie obciąć w pojedyńku swój durny łeb?

- Dobrze, że nie ma tu z nami Telforda - zauważył cierpko Edward. - Po twoich słowach mielibyśmy pojedynek zaraz na miejscu, jak nic. Sam różnie mówi o swoim panu, ale innym lżyć go nie pozwala. Nie wiem jak wy, ale ja udam się do Ryszarda właśnie. To, według mnie przynajmniej, jedyny słuszny wybór, w sytuacji, kiedy nie mamy właściwie żadnego wyboru. Ty zrób jak chcesz - mruknął w stronę Vincenta, a potem zwrócił się do Wenera: - Bądź łaskaw zawiadomić pozostałych.





- Witam drogich rycerzy angielskich i sojuszników. - Ryszard wydawał się być w doskonałym humorze. - Wiem, wiem, z czym do mnie przychodzicie i rad jestem, że mnie właśnie obdarzacie zaufaniem.

- Telford ma stanowczo za długi jęzor - warknął Konrad von Wallheim.  
- Stanowczo. Trzeba by mu go przy okazji nieco przykrócić.

Nieoczekiwanie Lwie Serce uderzył go w plecy z takim rozmachem, że hrabiemu zabrakło tchu.

- Nie bocz się na niego, przyjacielu. Oszczędził wam opowiadania wszystkiego i niepotrzebnej straty czasu. Zresztą - twarz mu zmierzchła - i tak nie było to dla mnie żadnym zaskoczeniem. Chodźcie do lochów, przedstawię wam kogoś.

W miarę jak schodzili głęboko w podziemia, czuli coraz większy niepokój.

- Kogo takiego chcesz nam pokazać w tych katakumbach, królu? - spytał nieufnie Kurt von Landberg. - Co za postać?

- Cierpliwości, drodzy panowie, zaraz będziemy na miejscu.

Na samym końcu korytarza strażnik otworzył żelazne drzwiczki. Ryszard wszedł pierwszy, za nim w niewielkiej celi stłoczyli się pozostali.

- Co za smród! - De Morges zatkał nos.

- W końcu to lochy - wzruszył ramionami Ryszard. - Czego można się innego spodziewać? A to jest Michał, giermek zaginionego onegdaj Edwina de Champes.

Wskazał na ludzki strzępek skulony na słomie w kącie.

- Przecie obaj zaginęli! - Vincent był zdumiony. - Porwani zostali przez Saracenów.

Ryszard pokiwał głową.

- Tak ogłoszono, jednak... Posłuchajcie, co ma do powiedzenia Michał.

Zbliżył się do leżącego, pochylił nad nim.

- Gdzie jest twój pan, Michale? - zapytał łagodnie.

Więzień podskoczył, zerwał się na równe nogi i zaczął trząść jak w

febrze.

- Porwany... - zajęczał. - Porwany i pożarty... - Bełkotał przez chwilę niezrozumiale, by nagle oświadczyć czystym głosem: - Nie zabiłem swego pana, przysięgam na Boga i Przenajświętszą... - Znowu niezrozumiały bełkot, po czym wychrypiał: - Spadł na nas demon straszny i porwał w powietrze... Jąłem się miotać w jego objęciach i tyle pamiętam, że wypadł mu z pazurów i uderzył o ziemię...

Przewrócił białkami oczu, zrobił się sztywny i upadł ciężko na plecy.

- Niczego więcej się od niego dziś nie dowiemy - rzekł Ryszard, patrząc z niechęcią na więźnia. - Ścigali arabskiego szpiega, który podkradł się do obozu - wyjaśnił. - Michał twierdzi, że o parę staj drogi zaatakował ich demon. Opis jak ułał pasuje do ifryta, w którym poganie upatrują jednego ze sług diabła pustyni. Zresztą ponoć ifryt porwał i ścigającego, i ściganego. To by się zgadzało, bo na miejscu znaleziono kości dwóch ludzi i strzępy arabskiego burnusa. Najsrozsze tortury, jakim ten tutaj został poddany jako podejrzany o zamordowanie Edwina, nie skłoniły go do zmiany zeznań. A zapewniam was, że moi kaci biegli są w swym rzemiośle nad podziw.

- Wierzysz, panie, w majaczenia tego szaleńca? - skrzywił się von Wallheim. - Toż to do niczego niepodobne brednie.

Ryszard przyjrzał się uważnie hrabiemu.

- Jesteśmy wśród pustyni - powiedział powoli. - Cóż o niej wiemy? Nic, tak naprawdę. A co możemy powiedzieć o istotach ją zamieszkujących? Też niewiele. Powiadają o mnie, że mam zakuty łeb. Może i prawda. Ale na tyle w nim rozumu, by nie odrzucać wszystkiego, czego nie potrafię pojąć. Czy szatan nie może przybrać dowolnej postaci? Czyż nie może wcielić się w istotę z bajęd pogańskich? Czyż Bóg nie może wystawiać naszej wiary na próbę wszelkimi sposobami? To nie pierwszy czy drugi podobny przypadek. Ledwo udaje się utrzymać tajemnicę. Toż by było, gdyby rycerstwo wpadło w panikę! Koniec krucjaty, ot co! Tę sprawę

trzeba dokładnie zbadać.

- Jak, miłościwy panie? Nie ma żadnych wskazówek.

Ryszard wzruszył ramionami.

- Wskazówki należy znaleźć. Trzeba jechać na pustynię i szukać do skutku. Nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy. A wam, panowie? To będzie bardzo poufna misja. Ci, którzy się jej podejmą mogą liczyć na królewską wdzięczność. - Uśmiechnął się. - A wdzięczność królów to wielka rzecz.



- Jak ja nienawidzę pustyni! - Jan de Morges z obrzydzeniem spoglądał w rozgwieżdżone niebo. Otulił się szczelniej derką, odwrócił plecami do towarzyszy i mruczał dalej: - Że też zachciało mi się z własnej, nieprzymuszonej woli pchać do takiego piekła. A mówiła słodka pani de Morges: „Gdzie będziesz lazył, skończony ośle, toż nie na twój durny łeb włóczyć się po krańcach świata. Zostaw to młodemu - mówiła - w ciepłym kącie przy kochającej żoneczce byś posiedział”. Tak ci do mnie czule przemawiała, gdy na wyprawę ruszał.

- Nie bierz tego do siebie, Janie - odparł Vincent - ale miałem zaszczyt poznać twoją słodką żonkę. Dawno temu, zanim jeszcze wygnano mnie z kraju, kiedy była jeszcze młoda i poniekąd łagodniejszego usposobienia. Gdyby to była moja niewiasta, powiadam ci i wierzaj mi, druhu, na słowo, że gdyby kto zaproponował mi udział w tak szalonej wyprawie jak ta krucjata, nie wahałbym się ani chwili, jeno z miejsca i bez zwłoki tego ponurego zwiastuna wyczałowawszy po gębie, z radością opuściłbym domowe pielesze...

- A ty co mi tu będziesz powiadał?! - De Morges podniósł się z pościania i stanął w groźnej postawie nad Vincentem. Obserwujący tę scenę

Werner wstrzymał oddech. Dziwił się tylko spokojowi pozostałych rycerzy. - Co ty możesz wiedzieć o moim pożyciu z żoną młodziku? Kto upoważnił cię do wydawania sądów na ten temat?! - Pochylił się nad bezbronnym, leżącym na wznak towarzyszem. - I to takich prawdziwych sądów na dodatek. - Nagle usiadł obok de Rionne'a, wyciągając w jego stronę pękaty bukłak. - Napijmy się wszyscy za zdrowie mojej ukochanej Zuzanny, oby moje oczy nigdy już nie ujrzały jej nadobnej postaci...

De Rionne łyknął solidną porcję trunku, po czym rzucił bukłak Edwardowi.

- Miłych snów, panowie - powiedział.

- Niech ta noc będzie spokojna i cicha - zawtórował Swansen, przekazując naczynie następnemu.

Po chwili wszyscy spali. Poza kręgiem ogniska, kilkadziesiąt metrów od obozu czuwał jedynie młody Werner von Watzenrode, któremu przypadła pierwsza straż. Patrzył w ciemną otchłań pustyni, myśląc o wielkiej przygodzie, w której miał zaszczyt uczestniczyć. Mimo protestów wuja uparł się pojechać z rycerzami na niebezpieczną wędrowkę w głąb piasków. Konrad von Wallheim, chcąc nie chcąc, przyłączył się także. „Obiecałem twojej matce, że będę się tobą opiekował, i niech mnie piorun strzeli, jeżeli nie dotrzymam danego słowa!” wrzasnął, kiedy Werner zachęcał go do pozostania w mieście.

Wspomnienie czerwonej ze złości fizjonomii wuja przesłoniła powoli dużo przyjemniejsza twarz Heleny di Marco, córki możnego patrycjusza z Turynu. Obiecała czekać na jego powrót z wyprawy krzyżowej, niezależnie od tego, ile lat miałyby ona trwać. Westchnął ciężko. I on przyrzekł jej wierność, a Bóg widzi, jak trudno dotrzymać przysięgi w rozbuchanym rozwiąłością świecie Wschodu...

- Niech mnie diabli, Wernerze, jeżeli nie myślisz w tej chwili o kobiecie.

Graf drgnął, zaskoczony. Obok niego przysiadł niepostrzeżenie

Vincent.

- Skąd wiecie, baronie?... - zaczerwienił się młodzieniec.

- Ten wyraz twarzy, blask oczu... - De Rionne roześmiał się cicho. - I nie tytułuj mnie baronem. Banicie nie przystoją tytuły. Wszyscyśmy na krucjacie winni nazywać się braćmi, ale sam widzisz, jak to wygląda. Nawet w naszej niewielkiej grupce wzajemne niechęci biorą górę nad przesłaniem papieskim, które nam oznajmiono na początku wyprawy.

Werner bez słowa pokiwał głową. Po dłuższej chwili zapytał z wahaniem: - Nie ufasz mi, że zrezygnowałeś z wypoczynku? Dam radę sam pełnić straż.

- To nie to, chłopcze. Po prostu nie mogę zasnąć. Od dwóch dni mam takie sny, że wolę nie spać.

- Wierzysz w sny?

- Nie bardzo, ale kiedy zjawia się w nich mój ojczulek, to znak, że trzeba uważać. Nigdy nie był osobą do której szczerze by mówiono przy spotkaniu „dobrze cię widzieć”. A teraz twoje drugie pytanie.

- Skąd wiesz, że mam jeszcze jakieś?

Vincent przypatrywał się rozmówcy z dziwnym uśmiechem.

- Jeżeli chodzi o Edwarda - rzekł - wiem o nim niewiele więcej niż inni. Kiedyś był moim serdecznym druhem, wygnańcem z kraju, jak i ja... Ponoć jest potomkiem dynastii Skjoldungów, choć sam temu przeczy. Przybyliśmy z pielgrzymką do Ziemi Świętej jeszcze za poprzedniego papieża. Kilka lat przed ruszeniem nowej krucjaty Swansen popadł w niewolę saraceńską Wrócił niedawno, nie wiem zupełnie, jak udało mu się zbiec. Jest jakiś dziwny, obcy... zmienił się. Ale co tam - ożywił się nagle - nie będziemy rozprawiać o ponurym wikingu. Opowiedz mi lepiej o swojej damie serca...

Mdła poświata gwiazd litościwie ukryła rumieńce na twarzy Wenera. Miał ochotę wykręcić się od odpowiedzi, jednak chęć podzielenia się z kimś swoim uczuciem przeważała.

- Jest piękna jak te gwiazdy nad nami. W jej ciemnych oczach płonie ogień gorętszy niżli płomień, który czyni pustynię tak straszliwym miejscem. Jednak dobry to płomień, nie zabija lecz daje życie. Jej dłonie... Są jak drobne fragmenty gładkiego alabastru, który sam Bóg stworzył tylko po to, aby radowały moje oczy...

- Poeta z ciebie, chłopcze - mruknął z podziwem Vincent. - Gdybym ja tak potrafił przemawiać, swego czasu hrabianka Elwira de Brugge byłaby moją. Jednak mój język zawsze był plugawy niczym obozowa dziewczka. Zabierzesz tę pannę, oczywiście, do swoich włości, żeby pokazać ją matce?

Werner otworzył usta do odpowiedzi, ale powstrzymało go syknięcie Vincenta: - Ćśśś... słyszę jakiś dziwny szmer. Biegnij obudzić Edwarda...

Werner pośpieszył spełnić polecenie, a Vincent pobiegł kilkanaście kroków przed siebie, po czym przypadł do ziemi, nasłuchując.



- No i co tak pełzasz w piachu, jak jakiś robal! - usłyszał nad głową gromki, znajomy głos. - To nie licuje z honorem rodziny de Rionne!

- Ojciec?! - wyszeptał zdumiony Vincent. - Znowu ty...?

- Zgadza się, chłopcze, znowu ja. I niech mnie diabli, jeżeli mi się to podoba!

Vincent odzyskał już nieco równowagę ducha.

- Zgiń, przepadnij! - Skrzyżował palce tak, jak go uczyła w dzieciństwie piastunka.

- Daj spokój. - Zjawa skrzywiła się z niesmakiem. - Żeby rycerz uciekał się do babskich guseł... Nie spodziewałem się przyłapać mojego syna na czymś podobnym.

- Zaraz przybiegną tu ludzie! Zobaczą cię.

- Nie przypuszczam. Znajdujemy się w tak zwanym beczasie. Świat wokół zmarł, tylko my dwaj... jakby to powiedzieć... Nieważne! W każdym razie nikt nie przyjdzie. A gdyby nawet, i tak by mnie nie zobaczył. Jestem tu tylko dla ciebie.

- Czego chcesz w końcu? Mów i idź sobie!

- Nie cieszysz się ze spotkania ze starym ojcem?

- Nie kpij. To ostatnia rzecz, z której bym się cieszył. Gdyby nie twoje podłe machinacje, nie siedziałbym teraz w Ziemi Świętej, tylko korzystałbym z życia!

- Wiesz dobrze, że to, co czyniłem, robiłem wyłącznie dla dobra rodziny...

- Szydzisz sobie ze mnie, ojcze! Dla dobra rodziny sprowadziłeś obce wojska na kraj? Dla dobra rodziny spiskowałeś z Anglikami? Dla dobra rodziny dokonałeś rzezi w Montesse? Pieśni już o tym układają! To przez ciebie pozbawiono nas ziemi, godności i wygnano z ojczyzny! To przez ciebie żaden de Rionne nie ma prawa przekroczyć granic kraju pod karą gardła! Matka zmarła ze zgrzyoty, a Gotfryd skończył w wieży! Reszta tuła się po świecie, bo tobie zachciało się wojować z samym królem!

- Jakoś nie przypominam sobie, żebyś bardzo protestował, kiedy zyskiwaliśmy na władzy i znaczeniu. Co do Montesse, nie zrobiłem tego sam, nieprawdaż?

Vincent opuścił głowę.

- Byłem młody i głupi. To mnie oczywiście nie tłumaczy, ale z nas dwóch to ty powinienesz być rozsądniejszy! Powinienesz wiedzieć, kiedy trzeba się zatrzymać. Przesadziłeś, kiedy zachciało ci się decydować, kto ma zasiąść na tronie!

Duch wzruszył ramionami.

- Teraz to nieistotne. Wiesz, dlaczego przychodzę do ciebie? Chcę cię ostrzec, synu. Zawsze byłeś moim ukochanym dzieckiem, bo jesteś do mnie najbardziej podobny...

- Nie jestem do ciebie podobny! Omotałeś mnie swego czasu i tyle! Wiesz - Vincent mówił przez zaciśnięte zęby - czasem żałuję, że już nie żyjesz. Sam chętnie bym cię zabił! Nienawidzę cię!

Stary de Rionne uśmiechnął się krzywo.

- Niewdzięczny z ciebie pacholek, ale jakoś mnie to nie dziwi. Przyszedłem ci oznajmić, że zginiesz. Taka zjawia jak ja raczej rzadko przynosi dobre wieści. I tym razem jest nie inaczej. Zginiesz...

Ocknął się z twarzą w piachu. Wstał i trzykrotnie uczynił znak krzyża. Nie cierpiał tych pojawiających się nagle snów, w których przychodził do niego ojciec. To nie wróżyło nic dobrego.

- Zgiń, przepadnij - wymamrotał.

- Słyszałeś coś? - Edward jak zwykle zjawił się niespodziewanie. - Z której strony?

Vincent bez słowa wskazał w kierunku wschodzącego księżyca. Edward posunął się tam bezszelestnie, po chwili zniknął w ciemnościach.

- Co słyszałeś? - szepnął Werner, który nadszedł zaraz za Edwardem wraz z de Morgesem i wujem. Zaraz za nimi przybiegł Telford, dopinając pas z mieczem.

Vincent tylko wzruszył ramionami.

- Zaraz wróci Edward - mruknął. - Jeżeli to było cokolwiek z tej ziemi, już on to znajdzie. Gdzie Landberg?

- Został przy koniach.

Nagle rozległ się okrzyk. Drgnęli.

- Co to było? - Jan de Morges rzucił się w stronę obozowiska. - To stamtąd!

Wszyscy poszli w jego ślady. Werner obejrzał się jeszcze w stronę, w którą podążył Edward. Wolałby, żeby był w tej chwili na miejscu. Przy nim czuł się jakoś dziwnie bezpieczny. Okrzyk, który rozległ się powtórnie, był jeszcze głośniejszy i pełen bólu.

- Boże, bądź nam miłościw - mruknął, puszczając się pędem za innymi.





- Jesteś, Swansen! - zawołał z ulgą de Morges. - Myślałem, że i ciebie dopadło!

Edward zbliżył się do ogniska. Rycerze musieli być czymś porządnie przestraszeni, bo wrzucili w nie prawie całe drewno i znaleziony po drodze susz. Młody graf Watzenrode stał z boku i znów wymiotował.

- Chłopak ma słaby żołądek - zauważył Piotr z Telford. - Co znajdziemy jakiegoś trupa, od razu rzyga.

Jego lekki ton skrywał w sobie ogromny strach. W powietrzu dawało się wyczuć niesamowite napięcie.

- Co się stało? Czy to Kurt? - Edward wskazał postać leżącą na ziemi.

- Tak, Swansen, to Kurt! - zgrzytnął zębami Konrad von Walheim. - Podczas kiedy ty uganiałeś się po pustyni diabli wiedzą za czym, coś tutaj zarżnęło Landberga!

- Zarżnęło to mało powiedziane - wtrącił się Vincent. - To coś nie bardzo chyba potrafiło poradzić sobie z kolczugą. Wszyscy wiecie, że Kurt łąził w pełnym pancerzu. Nawet nogawic nie zdejmował. To przekłete „coś” wycisnęło go przez oczka kolczugi! Sam zobacz!

Edward pochylił się nad ciałem. Widok w istocie był przerażający. Zmiażdżone, pomieszane z odzieniem ciało zostało zmacerowane w trudny do opisanego sposób.

- Kiedyśmy nadbiegli - mówił Vincent - ta bestia oblizywała Kurta. Powiadam ci, mało nie oszalałem na ten widok! Łapami go dusiła i lizała to, co wypływało na zewnątrz! Rany Boskie, jak on straszliwie krzyczał! Dopiero kiedy zajechała go pazurami po głowie, przestał!

Edward rozejrzał się czujnie dookoła.

- Gdzie ta bestia jest?

- Uciekła, kiedy Jan rzucił się na nią z mieczem. Nie, nie uciekła, to by

było złe określenie. Oddaliła się. Płynęła w powietrzu szybko, ale jakoś tak niechętnie, i wciąż się na nas oglądała. Przysiągłbym, że w jarzących się czerwono ślepiach widziałem oskomę...

- Ghul - szepnął Edward.

- Ghul? - podchwycił Konrad. - To przecież tylko miejscowe gusła! Kapelan...

- Sam widziałeś! - wpadł mu w słowo de Rionne. - To nie był stwór z tego świata! To nie było żadne zwierzę! Edwardzie, myślisz, że coś takiego pożarło wtedy naszych i Arabów?

- To niemożliwe - pokręcił głową Edward. - Ghul jest za słaby, aby samodzielnie dokonać takiej rzezi. Te stwory najczęściej żyją na cmentarzach i pożerają trupy. Można je czasem spotkać przy drogach, gdzie czyhają na samotnych wędrowców. Jednak nie słyszałem, żeby grasowały w głębi pustyni... Ten musiał podążać za nami od początku, czekając na okazję.

Werner zbliżył się do nich. Starał się nie patrzeć na to, co jeszcze niedawno było Kurtem von Landberg.

- Skąd się biorą takie potwory? - spytał drżącym głosem. - Co za moc może powołać je do życia?

- Wystarczy, że matka, rodząc w ukryciu, nie zawiąże pępowiny noworodkowi - odparł Edward. - Potem zakopie trupka byle gdzie. A kiedy zdarzy się tak, że głodny ghul wykopie z ziemi takie nieszczęsne dziecko, może przez tę nie zawiązaną pępowinę tchnąć w nie cząstkę swego nieczystego ducha i powołać do potwornego istnienia... Jednak ghule nie są w stanie wychować same takiego młodego potwora. Przywołują wtedy o wiele potężniejszego ducha, żeby...

- Skąd tyle wiesz? - przerwał mu Piotr Telford. - To podejrzane. Mocno podejrzane. A poza tym to bzdury. Bajdurzenie. Coś zabiło Kurta, zgadza się, ale żeby zaraz opowiadać nam jakieś pogańskie gadki?!

- Mów dalej, Swansen - rzekł Konrad. - Skoro natknęliśmy się na

niewytłumaczalne, każda droga do prawdy jest dobra! Co z tym duchem?

- Jak powiedziałem, ghul nie może sam wychować dziecka. Oddaje je wtedy słudze Azazela, ifrytowi, który odtąd zajmuje się młodym ghulem, stanowiąc z nim zaiste morderczą parę. Apetyt obu staje się wręcz nienasycony. Dokąd młody potwór nie urośnie i nie stanie się samodzielny, korzystają z każdej okazji, aby nasycić swój głód i żądzę zemsty.

Uważnie przyjrzał się zmasakrowanym zwłokom.

- Głód i żądzę zemsty - powtórzył. - Ten musiał być jeszcze młody, skoro nie potrafił rozerwać kolczugi. I skoro uszedł, nie porywając ze sobą łupu. Stara, silna poczwara stoczyłaby z nami bój. A niezmiernie trudno jest ukatrupić ghula. Z tego, co wiem, można tego dokonać tylko w wyjątkowych przypadkach.

- Po co to wszystko mówisz? - podejrzliwie zapytał Telford. - Chcesz nam coś dać do zrozumienia?

- Nic, Piotrze, zupełnie nic.

- Tak właściwie to widziałeś coś, kiedy odszedłeś od nas? - zainteresował się Vincent. - Zupełnie o tym zapomnieliśmy! I nic dziwnego.

- To był jakiś człowiek. Zbrojny. Oddalił się w wielkim pośpiechu, konno. Myślę, że jesteśmy śledzeni przez kogoś na polecenie Ryszarda. Albo Filipa. Albo któregoś z książąt.

- A niech go ten ghul pożre! - mruknął de Morges. - Kimkolwiek jest. A teraz trzeba jakoś pogrzebać nieszczęsnego Landberga. Mieliśmy szukać śladów, a nie tracić towarzyszy.

- Mieliśmy szukać śladów - odezwał się Vincent - i chyba właśnie coś znaleźliśmy, nie uważasz?



Potworny upał dawał się we znaki nawet Edwardowi. Wyglądało na to, że i jego zmorzył sen, gdyż jechał z pochyloną głową kołysząc nią w rytmie końskich kroków. Wierzchowce wlokły się noga za nogą prężone bezlitosnymi promieniami słońca na równi z jeźdźcami.

Kiedy wreszcie będzie ta oaza, pomyślał Vincent przebudziwszy się, gdy jego klacz potknęła się na wystającym kamieniu. Przyjdzie nam szczeznąć z braku wody, jeżeli Swansen się myli...

Podjechał do towarzysza, szturchnął go w bok.

- Nie śpij, Edwardzie - powiedział. - Bo przegapisz znaki.

- Nie śpię. - Swansen spojrzał na niego nieoczekiwanie byстрыm wzrokiem.

- Masz jeszcze trochę wody? Ja już swoją dawno wypilem.

Edward bez słowa podał bukłak.

- Prawie pełen - rzekł de Rionne z nie ukrywanym podziwem. - Jak ty to robisz?

- Kwestia przyzwyczajenia.

- Wiesz, szkoda mi Landberga. Drażnił mnie, to prawda, ale go szkoda... Był jednym z nielicznych Niemców, którzy nie rozleźli się jak owce bez pasterza po śmierci Rudobrodego. Gdyby się cesarz nie utopił, inaczej by wyglądała ta wyprawa.

- Gdybyśmy się wciąż nie kłócili między sobą w Królestwie Jerozolimskim, nie byłoby potrzeby zwoływać nowej krucjaty.

- A ty byś nie spędził paru lat w niewoli, wiem. Powiedz mi coś więcej o tych pustynnych duchach. Jak to jest z wychowaniem ghula przez ifryta?

Edward poprawił się w siodle.

- Różnie o tym mówią. Jest taka legenda, że dotąd ifryt będzie mordował, dokąd nie znajdzie rodziców młodego ghula. Kiedy spada na jakiś lud nieszczęście, kiedy na pustyni zaczynają ginąć ludzie, kiedy znajduje się na piasku bryzgi krwi, to znak. Znak, że jakaś kobieta zabiła

swoje dziecko i zły duch jej poszukuje. Nie tylko jej zresztą ale także ojca dziecka. I nie spocznie, dopóki nie dokona dzieła zemsty. Oboje rodzice muszą zginąć, a musi ich zgładzić ifryt. Dopiero wtedy ghul może stać się dorosły i samodzielny. Podobno są sposoby, aby ujarzmić gniew demona, jednak trzeba spełnić pewne warunki. To bardzo niebezpieczne i ponoć nikt tego nie robi, gdyż o wiele prościej wydać ich pomście ifryta. Ale to tylko legenda. Tylko legenda.

- Straszne są opowieści tutejszych ludów.

- Straszne, Vincencie? Może i tak, ale są również piękne. Zważ, czy ifryt nie jest narzędziem sprawiedliwości? Choć to z natury zły duch, w jakiś jednak sposób służy słusznej sprawie.

- Może masz rację.

Milczeli dłuższą chwilę.

- Ten człowiek cały czas jedzie za nami - powiedział Edward.

- Musi być szalony - zauważył de Rionne. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie włóczy się sam po pustyni. Chcesz go ująć?

- Na wszystko przyjdzie czas. Niech jedzie za nami, skoro taka jego wola. Nigdy nie wiadomo, czy w pewnym momencie na coś się nie przyda...



- Uważam, że powinniśmy zawrócić! Zginiemy bez śladu i tyle z tego będzie!

Konrad von Wallheim ze złością cisnął patyk w ognisko. Oaza, której poszukiwali, okazała się niewielkim bajorem porośniętym dookoła wyschłymi do cna krzewami.

- Za czym się uganiamy po tej pustyni? Za duchami?

- Rozumiem, hrabio, że przemawia przez ciebie troska o młodego

gra, a nie lęk o własną skórę - odparł Jan de Morges - ale spytaj jego samego, czy również chce wrócić. Nie chce, widzisz, jak kręci głową? Nie uchronisz go przed niebezpieczeństwami, chowając pod szatą jak małe dziecko. Zabrałeś chłopca na wyprawę krzyżową nie po to, żeby grzał rzyć przy obozowych kuchniach. A ma teraz chłopak szansę zasłużyć się wielkiemu władcy. To może być sporo warte.

- O ile ten wielki władca pożyje na tyle długo, żeby zasługi wynagrodzić! Nigdy nie wiadomo czy za godzinę, za dzień nie nadejdzie wieść o jego zgonie, bo pcha się w każdą awanturę i rzuca do każdej bitki - rzucił zgryźliwie Konrad. - Jest jeszcze pytanie, czy my sami dożyjemy tego, żeby skorzystać z owoców jego wdzięczności.

- Człowiek nie zna dnia ani godziny. Ale pamiętaj o maksymie: „*quidquid agis prudenter agas, fit suum et respice finem*”. Skoro coś zaczęliśmy, dokończmy tego jak na rycerzy przystało. A ty zamieniasz się w jęczącą babę!

- Gdybyśmy byli w obozie - rzekł spokojnie Konrad - wyzwiałbym cię na ubitą ziemię. Poczekaj aż wrócimy.

- Gdybyśmy byli w obozie - odparł Jan - nigdy nie powiedziałbym do ciebie takich słów. Ale jeżeli będziesz chciał konieczne się bić po powrocie, służę swoją osobą. Choć nie przypuszczam, żeby to miało sens. Uważam, że powinniśmy być ze sobą szczerzy, zamiast tylko dbać o pozory i urażoną ambicję. Mówię, co myślę, a zauważ, że nie zarzuciłem ci tchórzostwa, tylko nadmierną troskę o Wenera.

Von Wallheim w odpowiedzi tylko skinął głową.

- Mój Boże - szepnął Vincent do Piotra, - jeszcze kilka dni temu skoczyliby sobie do gardeł! Jakże zmieniliśmy się wszyscy przez ten krótki czas. Nawet Konrad. Wyobrażasz sobie, jakie piekło by dawniej rozpętał? Co za zmiana...

- Nie wiem tylko czy na dobre. Rycerz nie powinien rozmyślać nad niebezpieczeństwem. Powinien iść naprzód i walczyć.

- Jak twój król? Najpierw czynić, potem się zastanawiać?

- To doprawdy o wiele łatwiejsze. I poniekąd przyjemniejsze, nie uważasz?

Vincent stłumił śmiech, skinął tylko głową swemu rozmówcy.

- Od dzisiaj - Edward wyprostował nogi, usiłując ogrzać stopy przy niewielkim płomieniu - nie powinniśmy chodzić samotnie nawet za potrzebą. Zawsze parami.

- Nie musisz nam tego mówić, sami wiemy. Ciekaw jestem, swoją drogą, jak sobie radzi ten, kto za nami podąża. A może jest po prostu sprzymierzeńcem ghula.

Swansen skrzywił się, kręcąc głową przecząco.

- Piotrze, ghule nie miewają sprzymierzeńców. To stworzenia nieszczęsne i pogardzane przez wszystkie inne duchy czy potwory. Przymierze z ifrytem jest rzeczą wyjątkową w ich życiu. A ten, kto nas śledzi, z pustynnymi duchami i upiorami nie ma nic wspólnego. To człowiek i może paść łupem ghula, chyba że będzie miał wyjątkowe szczęście, albo...

- Albo? - podchwycił de Morges.

- Nieważne.

- Dlaczego nie chcesz mówić?

- Bo to nie ma znaczenia.

- Jednak...

- Powiedziałem! Jeśli będę wiedział o czymś, co jest ważne, na pewno was powiadomię!

- Jak sobie chcesz - wzruszył ramionami Jan. - Mnie tylko dziwi, z jaką łatwością przyjęliśmy do wiadomości, że mamy do czynienia z jakimiś gmulami i diabli wiedzą czym jeszcze.

- A mnie zastanawia - powiedział powoli Piotr z Telford - ile wie król. Odniosłem wrażenie, że on sam wierzy w udział sił nie z tego świata.

- Słuszna uwaga - rzekł Konrad. - Myślę, że Ryszard wie o wiele więcej,

niż możemy przypuszczać. I uważam, że ten, kto nas szpieguje, to jego wysłannik. Takie zabezpieczenie. Gdyby nam się coś przytrafiło, stanowi niejako odwód. Jeśli nas nie stanie, on ma rozkaz wrócić z wiadomościami.

- Tyle że na razie to on jest w większym niebezpieczeństwie. Może nawet nie wiedzieć, że ghul krąży w okolicy.

- Na pewno wie, że coś się dzieje - trzeźwo stwierdził Telford. - Przecież nie mógł przegapić pochówku Kurta, prawda, Swansen? Powiedz, wikingu, a może ty...

- Panowie - wpadł mu w słowo Vincent. - Uważam, że to jałowe rozważania. Skoro nie możemy się napić i najeść do syta, przynajmniej spróbujmy się trochę przespać. Kolejność wart odwrotna niż wczoraj, tak? No, to spać.

Pochwycił wdzięczne spojrzenie Edwarda. Pomyślał, że najgorsze bywają pytania, których nie zadano. To, które przerwał, zawisło w powietrzu, jakąś dziwną kurtyną nieufności oddzielając Swansena od pozostałych. Za dużo widział, zbyt dużo wie. Ludzie takich nie lubią.



- Nie mogę uwierzyć, że noc upłynie spokojnie.

Jan de Morges przeciągnął się i wzdrygnął. Tutejsze gwałtownie wstające poranki były tak inne od leniwego budzenia się przyrody ze snu, jakie widywał w domu. Wciąż nie mógł do tego przywyknąć. Rozejrzał się dookoła. Obrzydliwa kamienista pustynia... Wstrętne miejsce! Chociaż, z drugiej strony, kiedy pomyślał, że nadejdzie dzień, gdy będzie mógł porzucić tę suchą okrutną ziemię, opanowywała go dziwna nostalgia. Napotkał łagodne spojrzenie błękitnych oczu Wenera, uśmiechnął się do niego szeroko. Chłopak odpowiedział nieśmiałym



skrzywieniem warg. Jak dziewczyna, pomyślał Jan. Zawlekli nieszczęśnika na to bezludzie, oderwali od domu, od zabaw młodości. A powinien teraz siedzieć gdzieś w Austrii w swoim majątku i zastanawiać się, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem. Zamiast tego budzi się na twardej ziemi i zastanawia, czy dożyje wieczora.

- Swoją drogą bezsens naszej wyprawy wydaje mi się dzisiaj równie wielki, jak wczoraj hrabiemu von Wallheim. Mieliśmy znaleźć jakieś wskazówki i chyba znaleźliśmy. Ten potwór, który ukatrupił Kurta... Czego my jeszcze szukamy?

Piotr z Telford przysiadł przy nim.

- Przypominasz mi w tej chwili mojego króla, Janie. Nigdy nie wiadomo, kiedy odmieni mu się nastrój, kiedy zaprzeczy temu, co mówił jeszcze przed chwilą. Dlatego nazywają go *oc e no* - tak i nie. A ty wszak wczoraj wyraziłeś zdanie wręcz przeciwne. Chyba że źle usłyszałem.

- Dobrze usłyszałeś. Ale nie spałem pół nocy. Nasłuchiwałem, czy coś się nie dzieje, czy nie pełźnie do nas jakieś paskudztwo. Jeżeli mamy cokolwiek znaleźć, musimy wiedzieć czego szukać! Tutaj nikt nam tego nie powie.

- Chcesz wracać?

- Sam nie wiem. Ale coraz bardziej mnie to wszystko niepokoi.

- Niepewność? Czyżbym słyszał niepewność w twoim głosie? Nie przypuszczałem, że dożyję takiej chwili!

- Nie drażnij się ze mną, Piotrze. Ty jesteś za tym, żeby iść głębiej w pustynię?

- Nie możemy iść dalej - rozległ się nieoczekiwane głos Edwarda.

- Swansen! - De Morges rzucił mu niechętne spojrzenie. - Za to skradanie się ktoś cię kiedyś ustrzeli. Nie możesz podejść normalnie, jak człowiek? I dlaczego nie możemy iść dalej?

- Nomadzi - padła krótka odpowiedź.

- Co znaczy: nomadzi? Możesz wyjaśnić?

- Przed nami jest jakieś plemię. Liczne, mają wielu wojowników. Nie chcemy się chyba na nich natknąć, prawda?

- Skąd wiesz, że tam są? - spytał podejrzliwie Jan. - I w jakiej sile? Pustynny jastrząb przyniósł ci wiadomość?

- Znalazłem ślady. Zrobiłem rekonesans.

- Sam? Mieliśmy się nie poruszać samotnie.

Edward spojrzał na niego dziwnym wzrokiem.

- No dobrze, zgoda. - De Morges uniósł ręce, jakby się poddawał. - Ty wiesz lepiej, jak tutaj jest. A gdzie Vincent? Nie widzę go.

- Pojechał na zachód. Ma sprawdzić, czy tam droga jest wolna.

- Nie możemy pojechać po własnych śladach?

- A masz ochotę napotkać tego ghula jeszcze raz?

- Zaraz - wtrącił się z boku Konrad von Wallheim. - Skąd wiesz, że on tam ciągle się pęta?

Edward zacisnął wargi w wąską kreskę.

- Rozumiem - powiedział powoli hrabia. - Ten przeklęty stwór pastwi się tam nad ciałem nieszczęsnego Kurta. Żre naszego towarzysza! O ile już go nie pożarł! Zakopaliśmy go płytko, bo nas popędzałeś. Te kilka kamieni, którymi przykryliśmy mogiłę, to dla ghula nic! Tego chciałeś? Zatrzymać go tam? Że też od razu na to nie wpadłem! To dlatego tak spokojnie sam pojechałeś zrobić rozpoznanie i wysłałeś de Rionne'a. Powinniśmy cię...

- Uspokój się, wuju. - Werner położył mu rękę na ramieniu. - Tak widocznie trzeba było zrobić. Musimy zaufać panu Swansenowi.

- Dziękuję, grafie - skinął głową Edward. - Masz rację, tak było trzeba, żeby zatrzymać tam może nie tylko ghula. Jeśli moje podejrzania są słuszne, mieliśmy sporo szczęścia, że był sam. Jednak nie liczyłbym na to, że ucztą zatrzyma go tam na dłużej. Zdaje się, że to nie jest zwykły potwór. Jego coś może z nami łączyć.

- Znowu mówisz zagadkami. Możesz być mniej tajemniczy?

Edward westchnął ciężko.

- Skoro tego żądasz, Piotrze. Jednak nie jestem zupełnie pewien...  
Mogę się tylko domyślać.

- Nie szkodzi. Podziel się swoimi domysłami.

- Myślę, że któryś z naszych rycerzy...

Przerwał mu krzyk Wenera:

- Vincent! Vincent pędzi ile tchu w koniu! Coś się musiało stać!

De Rionne rzeczywiście gnał co siłą. Jego klacz wyciągnęła się jak struna, prawie szorując brzuchem po ziemi. Krzyczał. Jeszcze zanim zdążyli pojąć, co woła, dopadli wierzchowców. Dobrze, że zdążyliśmy je napoić w tej kałuży, przeleciało przez głowę młodemu Wenerowi. Rzucił dookoła spojrzeniem. Wszyscy już siedzieli w siodłach, z wyjątkiem Jana, który dopinał popręg.

- Saraceni! - doleciał krzyk Vincenta. - Niewierni! W konie!

Po chwili wpadł między nich.

- Za mną!

Posłusznie popędzili za nim, od razu ruszając galopem. Wenera obejrzał się za siebie, wypatrując wrogów. Rzeczywiście, ujrzał kurzawę, jaką wzbić mógł tylko liczny pościg. Rozróżnić można było drobne figurki jeźdźców. Spojrzał w bok.

- Z lewej! - zawołał. - Z lewej!

Samotna postać zbliżała się ku nim po skosie w szaleńczym cwale.

- Zwolnić! Zaczekajcie na niego! - rozległ się okrzyk Swansena.

No tak, pomyślał Wenera, teraz przyda się każdy zbrojny. Nieważne, czy nas tylko szpiegował, pilnował, czy był naszym wrogiem. W obliczu niewiernych nie ma czasu na dociekanie.

Powstrzymali nieco wierzchowce. Tamten błyskawicznie zmniejszyła dzielącą ich odległość.

- Co za ścigły pod nim podjezdek - mruknął z podziwem Jan de Morges. - Jak błyskawica...

- Naprzód! - rozległ się okrzyk, kiedy przybysz dołączył do grupy.  
Znowu runęli do przodu całym pędem.

- Ciągną od północy! - zawołał nowo przybyły.

Głos wydał się Janowi znajomy, jednak nie potrafił go w tej chwili przypasować do osoby.

- Od zachodu i południa też! - odpowiedział.

Na próżno próbował dostrzec rysy tego człowieka. Tonęły w fałdach zawoju okręconego wokół hełmu, teraz pod wpływem pędu zwieszających się bezładnie aż do brody. Widać było tylko jasne oczy o twardym wyrazie. Te oczy też już kiedyś widział. Należały do... Potrząsnął głową. Nie, to niemożliwe!



Gorący pęd suchego jak turecki pieprz powietrza wciskał się w każdą szczelinę w okryciu. Wzniecana niespokojnymi podmuchami pustynnego wiatru kurzawa znajdowała nieomylnie drogę do wszystkich niezakrytych miejsc, siekąc je bezlitośnie. Hełmy, tak dobrze chroniące w bitwie przed potężnymi ciosami mieczy, były bezradne wobec maleńkich ziaren na pozór bezsilnego piasku.

Gnali przez długi czas, oglądając się co chwila za siebie. Pościg pozostawał za nimi w podobnej jak na początku odległości, zdawało się tylko, że ścigających jest coraz więcej - Spójrzcie, oskrzydłają nas półksiężycem ze wszystkich stron! - zawołał Konrad von Wallheim. - Zostaje nam tylko droga na wprost!

O ile tam też ktoś nie czeka, pomyślał Werner. Nie przebijemy się, nie ma mowy... Przed oczami stanęła mu śliczna buzia Heleny di Marco. Szkoda będzie ginąć nie zaznawszy rozkoszy...

- Konie! - krzyknął Vincent. - Niebawem ustaną! Musimy zwolnić!

Jego klacz, nie napojona w oazie razem z innymi końmi, już dawno zaczęła chrapać z wysiłku. A teraz kilka razy się potknęła. Nic im nie przyjdzie z zajeżdżonych wierzchowców.

- Popędzaj! - odkrzyknął de Morges. - Popędzaj! Teraz nie możemy stanąć!

Vincent zerknął w bok, tam, gdzie podążał nowo przybyły. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Rumak niósł go lekko, jakby szaleńczy bieg dopiero się rozpoczął.

- Królewski koń - mruknął z podziwem. Poklepał swoje zwierzę po karku. - Pokaż, kochana, że nie jesteś gorsza, daj z siebie ile tylko zdołasz...

Klacz jakby zrozumiała, co mówi. Rzuciła łbem i przyspieszyła.

- Moja kochana - szepnął. - Moja dzielna...

Lecz po chwili znowu zaczęła stękać z wysiłku.

- Nie bój się, nie dam cię zajeździć.

Zaczął ściągać wodze. Trudno. Skoro trzeba umrzeć, zginie w walce. Może uda się położyć kilku Saracenów. Może choć trochę opóźni pościg.

- Stać, stać! - rozległ się w tym samym momencie krzyk. De Morges uniósł się w strzemionach. - Pościg się zatrzymał.

Z niedowierzaniem patrzyli tam, gdzie kłęby piachu powoli opadały.

- Dlaczego? Dlaczego stanęli?

Edward bez słowa wyciągnął rękę w kierunku ich ucieczki. Nad horyzontem lśniła krwawa łuna.

- Coś płonie? - De Morges oblizał spieczone wargi. - Przecież tam nic nie ma. Tylko piach i skały. Jak wszędzie...

Przed oczami stanęły mu podobne łuny na drodze krucjaty. Na Cyprze, kiedy w imię Boga palili wsie i kościoły.

- Tam nic nie ma - potwierdził Swansen. - A jednak coś płonie.

- Byłeś tu kiedyś?

Edward potrząsnął przecząco głową.

- Nie.

- Co robimy?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć. Dopiero po chwili tajemniczy przybysz uczynił dłonią szeroki gest.

- Są wszędzie dookoła - dobiegł spod zawoju niski, melodyjny głos. - Mamy tylko jedną drogę. Przed siebie. I tam pojedziemy!

- A kimże ty jesteś, przybłędzie, żeby nam rozkazywać?! - zapienił się z wściekłości Konrad. - Nawet nie znamy twojej twarzy ani zawołania!

Jego słowom towarzyszył pomruk aprobaty. Zamaskowany sięgnął do materii zawiniętej wokół głowy.

- Teraz to już żadna tajemnica - odparł.

Powoli zdejmował warstwy materiału. Po chwili błysnęło spod niego żelazo. Zdjął hełm, odrzucił kolczy kaptur.

- Jego Królewska Mość! - jęknął przerażony Piotr z Telford. - Co tutaj robisz?!

- Rany boskie! - szepnął Werner. - Matko Chrystusowa!

- Co tutaj robisz, królu? - spytał podejrzliwie Konrad. - Jechałeś cały czas za nami. Nie ufasz nam?

Na twarzy Ryszarda odbiło się zakłopotanie, jednak natychmiast ustąpiło miejsca zwykłej pewności siebie.

- Wybaczcie, panowie. Ale sami powinniście to pojąć. Anglik, dwóch Austriaków, dwóch Francuzów, nawet świętej pamięci Niemiec i na dodatek dziwny wiking... Cały bestiariusz krucjaty. To, że zawsze trzymacie się razem, jakoś mnie nie uspokajało...

- Narażasz się na niebezpieczeństwo! - powiedział z wyrzutem Piotr. - Zostawiłeś swoje wojska... Bez ciebie ta wyprawa spełźnie na niczym. Przecież możesz zginąć. Mogłeś umrzeć zeszłej nocy! Na tej pustyni dzieją się rzeczy dziwne i straszne!

- Rzeczy dziwne i straszne dzieją się wszędzie - odparł Ryszard. - A umrzeć też mogę wszędzie. Szczególnie we własnym namiocie. Od ciosu

sztyletem, od trucizny... A wyprawa trwa. Wojska wyruszyły pod Jerozolimę. W pochodzie potrzebny nie jestem, Filip chociaż tyle powinien...

- Musimy coś zdecydować - przerwał Swansen.

- Nie wydajesz się zdziwiony obecnością króla, Normanie. - W głosie Jana brzmiała podejrzliwość. - Wiedziałaś?

Edward wzruszył ramionami.

- Z tego, co słyszałem o angielskim władcy - odparł wymijająco - nie należy się niczemu dziwić.

Ryszard spojrzał dziwnie na Swansena, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował.

- Co to może być za łuna? - zastanawiał się Vincent. - Przecież piasek nie płonie.

- Będziemy mieli okazję to sprawdzić - odezwał się Telford. - Patrzcie, pościg znowu rusza!

- W konie!



Zdumieni patrzyli na olbrzymi płomień wyrastający z potężnej skały. Właściwie nie była to skała ale góra na środku pustaci. Z obu jej stron biegł rząd skalistych, ostro zwieńczonych pagórków.

- Nie miałem pojęcia, że w sercu pustyni są jakieś góry! W dodatku ogniste.

Vincent przetarł oczy ze zdumienia. Popatrzył na Edwarda.

- A ty wiesz coś o tym?

Swansen jedynie wzruszył ramionami. Ten gest mógł oznaczać wszystko. Im głębiej zapuszczali się w te mordercze równiny, tym bardziej towarzysz wydawał się tajemniczy.

Konie stały z opuszczonymi nisko łbami, doprowadzone do skrajnej wytrzymałości.

- Mnie bardziej zastanawia - rzekł Piotr Telford - dlaczego Saraceni znowu stanęli.

- A po co się będą śpieszyć? - skrzywił się zjadliwie de Morges. - Mają nas. Są wszędzie. Ogarnęli nas półkolem i poczekają spokojnie, aż zupełnie osłabniemy.

- Niech konie się nieco wydyszą - mruknął Ryszard. - Będziemy się przebijać.

- Nie damy rady!

- No, to zginiemy w walce! Kogoś strach obleciał?

- Jest jeszcze jedna droga - odezwał się Swansen.

- Co masz na myśli?

Edward wyciągnął rękę przed siebie.

- Tam jest wąwóz, a na jego końcu znajdziemy wejście do jaskiń. Powinna być woda...

- Chcesz jechać tam, skąd strzela ten płomień? - zdumiał się Konrad von Wallheim. - A jeżeli to jakieś diabelskie nasienie?

- Byłeś tu już kiedyś, prawda? - spytał jednocześnie Vincent. - A mówiłeś, że nic nie wiesz!

- Słyszałem o tym miejscu - odparł Swansen.

- Czyli jednak wiesz coś więcej, niż chcesz się przyznać!

- Jedziemy - zdecydował Ryszard. - Nawet jeśli przyjdzie nam szczeznąć, to cóż za różnica gdzie. A nuż się uda... Poza tym będzie łatwiej się bronić niż na otwartej przestrzeni.

- Tylko ten płomień...

- Mnie też on niepokoi, de Rionne. Ale nie widzę innej drogi.

- On się nie poddaje wiatrowi, zauważyliście? Dmucha wszak mocno, a on płonie równo jak świeca w kościele...

- Nie czas się nad tym zastanawiać. Jedziemy.



Nie śpiesząc się ruszyli w stronę wąskiego przejścia wśród skał. Konrad spojrzął za siebie. Saraceni stali jak przedtem.

- Czuję się jak zwierzyna w czasie polowania z nagonką!

- Nie tylko ty, von Wallheim. Wszyscy się tak czujemy. Więcej, jestem przekonany, że ci Arabowie to właśnie nagonka. Zupełnie jakby mieli za zadanie zagnać nas właśnie w to miejsce.

- Patrzcie! - Jan wskazał skały. - Ktoś tam jest.

Przed wąskim przejściem stała jakaś postać. W miarę jak się zbliżali, stawało się jasne, że nie jest to ludzka istota.

- Ghul...

Jechali coraz wolniej. Ghul otworzył paszczę i zawył. Potępieńczy głos odbił się od skał, splątał z gorącym wiatrem i rozszedł echem nad okolicą.

- Ma zaschłą krew na mordzie - powiedział przez zaciśnięte zęby Konrad. - Pewnie miał ostatnio niezłą ucztę! Może to jeszcze posoka nieszczęsnego Landberga!

- I co teraz? Zagradza nam wjazd. Konie się płoszą.

- Diabelskie pomiotło, żeby go diabli wzięli! - zaklął Ryszard.

Zeskoczył z wierzchowca, wydobył miecz. Jego potężna postać zdawała się lekko płynąć nad kamieniami, kiedy ostrożnie zbliżał się do bestii.

- Szalony jak zawsze - mruknął Jan do Vincenta. Napotkał jego nieprzytomne spojrzenie. - Człowieku, gdzie ty właściwie patrzysz? Ghul jest tam, po prawej stronie!

- Ojciec - wymamrotał Vincent.

- O czym ty mówisz, człowieku?

Lecz de Rionne nie słuchał go. Na skale, z drugiej strony wjazdu do wąwozu, siedział ojciec. Patrzył na niego z tym swoim drwiącym i prowokującym uśmiechem, który był przyczyną większości pojedynków, jakie odbył w życiu. Kiwał głową z politowaniem. Vincent potrząsnął

głową ale widmo nie chciało zniknąć.

Tymczasem Ryszard zbliżał się do ghula.

- Ścierwo - warczał - przeklęte paskudztwo! Zejdź mi z drogi, bo rozplątam mieczem.

Ghul ryknął przeciągle. Ryszard przyspieszył kroku. Wtedy niespodziewanie poczwara pisnęła żałościwie. Król przystanął, zaskoczony, a ghul opadł rękami na piach. Zakwilił cienkim dziecięcym głosikiem. Sprawiał w tej chwili wrażenie istoty zupełnie bezbronnej.

Po chwili wstał, odsunął się na bok. Z całej jego postaci wydawało się bić przygnębienie.

- Teraz chyba nic nie robi - zawołał król, nie spuszczać wzroku z potwora. - Przejeżdżajcie.

Posłusznie zaczęli się przedzierać przez zwał kamieni utrudniający dojście do wąwozu. Konie boczyły się i parskwały, ale szły posłusznie. Kiedy mijali ghula, Werner przyjrzał mu się uważnie. Z wrażenia stracił na chwilę oddech.

- Wuju! - trącił strzemień Konrada - ten potwór płakał... Widziałeś? Patrzył na króla i płakał... Łzy ciekły mu jak groch!

- Cicho, chłopcze. Jeśli przecucie mnie nie myli, zobaczymy jeszcze dziwniejsze rzeczy...

- *Zginiesz, mój synu* - powiedział ojciec do Vincenta. - *Ostrzegam cię. W końcu zginiesz.*

De Rionne zacisnął mocno powieki. Czy on stał się szalony, czy to świat zwariował? Rzucił okiem w bok. Skała była pusta.

- Udało się - odetchnął de Morges. - Myślałem, że będzie gorąco...

- Tam - wskazał Ryszard, zsiadając z konia - do tej jaskini! Pobiegli ile sił w nogach. Jaskinia okazała się wejściem do dużego korytarza.

- Ciekawe czy to natura, czy ludzka robota? - spytał Vincent.

- Cicho, coś słyszę!

Z głębi rzeczywiście dobiegały jakieś głosy i kroki.

- Wracamy!

W tej samej chwili na zewnątrz zaroilo się od białych burnusów.

- No, to nas mają - mruknął Ryszard.

W ciemności zalśniły iskierki pochodni.

- Rycerze - powiedział jakiś głos - nie stawiajcie oporu, a nie stanie wam się żadna krzywda!

Ryszard rzucił sceptyczne spojrzenie na tłum arabskich żołnierzy na zewnątrz i mnogość pochodni wewnątrz.

- Stawiać opór - parsknął. - Nawet ja nie jestem tak szalony!

- Panie, tylko nie pokazuj twarzy - ostrzegł Telford. - Ktoś może cię rozpoznać. Zawiń się. Powiemy, żeś ranny, jeśli kto zapyta.

- Poddajemy się! - zawołał Edward.

Podszedł do nich drobny człowiek o wyglądzie kupca, w towarzystwie rośłego Araba.

- Czego chcesz, brudny Greku? - spytał z pogardą w głosie Piotr. - Pogański sługusie!

- Broń i pancerze zostawcie tu. Ludzie tego, kto was chce widzieć, zabiorą je. Potem chodźcie za mną.



Przemierzali kręte korytarze, czując na sobie baczne spojrzenia. Mały Grek gdzieś się zapodział, kiedy przechodzili przez dużą wykutą w kształt elipsy salę. Teraz towarzyszyli im tylko arabscy strażnicy. Wreszcie doszli do celu. Eskorta zniknęła równie nagle jak przedtem Grek.

Jaskinia była ogromna. Po drodze przebytej w krętych, ciasnych korytarzach wydawała się dziełem giganta. Rozświetlona łuczycami ujawniała fantazyjne kształty, jakie tylko przyroda potrafi stworzyć.

Stali zbici w ciasną gromadkę, rozglądając się czujnie i ciekawie dookoła. Na okazałych galeriach rząd biało odzianych strażników uzbrojonych w łuki i długie miecze wyglądał jak ozdoba.

- Co to za miejsce? - zastanawiał się Konrad von Wallheim.

- To musi być jakaś ich tajna siedziba - odparł Jan de Morges. - A my jesteśmy zdziwieni, że potrafia się nagle pojawić jak spod ziemi na środku pustyni. Mnie zastanawia ten dziwny odgłos. Słyszę go od samego początku, jak tu weszliśmy. Szum... nie, bardziej przypomina chyba syczenie wściekłego węża...

Nagle gdzieś z góry zabrzmiał krótki okrzyk, a wokół nich uczynił się ruch. Z bocznych korytarzy, ukrytych w załomach skalnych, wysypał się rój Arabów w ciemnoczerwonych burnusach.

- Ku mnie! - zahuczał potężny głos Ryszarda. - Drogo sprzedamy skórę!

- Bez gwałtownych ruchów! - zawołał jednocześnie Edward. - Gdyby chcieli nas zgładzić, wystarczyłoby wydać rozkaz łucznikom na galerii!

- Królu - syknął Piotr Telford - nie ujawniaj się! Szczelnie zasłoń twarz i przygnij karku! Twoja postawa cię zdradza!

Zostali błyskawicznie otoczeni. Patrzyły na nich wrogie oczy, światło łuczyw igrało iskierkami w obnażonych ostrzach i bogato zdobionej oprawie broni.

- Musi gwardia jakiegoś możnego Saracena - mruknął Ryszard. - Tośmy wpadli. U nich co pan to wielki władca i zachowuje się jak sam sułtan.

Trwali tak chwilę naprzeciwko siebie. Rycerze w napięciu śledzili każdy ruch przeciwników. Zdawało się, że jeszcze chwila, a wywiąże się walka na śmierć i życie. Zamiast tego usłyszeli spokojny głos mówiący coś po arabsku. Zbrojni w mgnieniu oka przerwali z jednej strony pierścień, tworząc na tym odcinku krótki szpaler. Na jego końcu ukazała się postać w bogato zdobionych szkarłatnych szatach.

- A nie mówiłem? - znowu odezwał się Ryszard. - Jakiś szalony szejk.

Przybyły spojrział w jego stronę. Przenikliwe czarne oczy w uderzająco przystojnej twarzy błyszcząły równie mocno jak klejnoty, którymi natkane było jego odzienie.

- Szalony szejk? - odezwał się, zabawnie kalecząc normandzki język. - Podobno ktoś mnie kiedyś tak nazywał. Dawno temu, kiedy byłem jeszcze młody i prawdziwie szalony. Gdybym takim pozostał, czyż przeżylibyście choć sekundę? Czyż pozwoliłbym giaurom oddychać tym samym powietrzem?

- Kim jesteś? - spytał Piotr, uprzedzając odezwanie się Ryszarda.

- Kim jestem? - roześmiał się tamten. - Powiedz im, synu Swana - zwrócił się do Edwarda. - Nie licuje mi opowiadać się niewiernym.

- To Malik al-Adil. - Swansen pochylił lekko głowę. - Salam allejkum, panie.

- Książę Malik, brat Saladyna - szepnął Jan de Morges. - Racja, żeśmy wpadli.

- Allejkum salam - uprzejmie odpowiedział Malik. - Bądź pozdrowiony, ibn Swanie. I wy bądźcie pozdrowieni, frankońscy wojownicy. Pokój wam pod moim dachem.

Napięcie, wręcz wyczuwalne fizycznie, nieco zelżało.

- Pokój wam, powiedział - rzekł Vincent. - Jesteśmy bezpieczni. Przynajmniej na razie.

- Jesteście bezpieczni - powtórzył za nim książę. - Nawet ten, który kryje swą twarz w zawojach burnusa - wbił spojrzenie w Ryszarda - jakby był zbrojną, a nie prawym wojownikiem.

Król wziął oddech, żeby coś odrzec, jednak Telford pociągnął go energicznie za rękę.

- Milcz! Jesteśmy w jego władzy! - szepnął, a głośniejszym głosem powiedział: - Nasz towarzysz doznał rany twarzy. Dlatego jego głowa jest tak szczelnie omotana.

- To go rzeczywiście tłumaczy. Mogę przywołać mego medyka, żeby obejrzał ranę.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział szybko Piotr. - Jest opatrzona jak należy.

- Co to za nieustanny syk, panie? - spytał Jan de Morges, starając się odwrócić uwagę od króla. - Czyżby pośrodku pustyni szumiał podziemny wodospad?

Malik al-Adil odwrócił spojrzenie od Ryszarda.

- Syk? - spytał. - Tak, ten syk... Jest bezustanny i męczący jak brzęczenie roju os przy drzwiach domostwa. Lecz nie jest to woda, Janie de Morges. Tak, znam wasze imiona, nie bądź zdziwiony. Postrzegacze mojego brata są wszędzie i wiedzą wszystko. Prawie wszystko. - Znowu obrzucił spojrzeniem lekko pochyloną, zamaskowaną postać w środku grupy. - A ten syk... Powiedziałem, że to nie woda ale, rzecz można, coś wręcz przeciwnego. Na pewno widzieliście olbrzymi płomień nad skałą przy wejściu do jaskiń. To właśnie jego głos dociera aż tutaj, w głębiej ziemi. To uwięziony demon. To ten, który porwał waszych i naszych ludzi...

- Ifryt! - Konrad otworzył szeroko oczy. - A więc to prawda! One istnieją?

- Ifryt? - Malik zmarszczył brwi. - Nie, to coś o wiele straszniejszego. My także na początku sądziliśmy, że to zwykły ifryt-mściciel, może nieco potężniejszy niż zazwyczaj. Jednak ten duch okazał się wielokrotnie groźniejszy. Ifryta można bowiem uwięzić, przegnać, uczynić zeń nawet posłusznego dzinna, a w ostateczności zniszczyć, jak powiadają. Jednak ten, który tryska ogniem ze szczytu skały, to sam Tir, Sprawca Śmiertelnych Wypadków, krwiożerczy syn Eblisa, którego wasze Pismo zwie Azazelem!

- Jezu Chryste! - Konrad przeżegnał się. - Boże, bądź miłościw!

W tej samej chwili rozległ się straszliwy ryk. Był tak potężny, że lita

skąła, na której stali, zdawała się tańczyć pod ich stopami.

- Dość! - krzyknął al-Adil. - Żadnych modlitw! Żadnych znaków wiary! Uśpiony przez derwiszów demon gotów się przebudzić! A wtedy nastanie sądny dzień i dla was, Frankowie, i dla mojego ludu!

- Trudno w to uwierzyć - mruknął Jan de Morges. - Nie to, żebym wątpił w istnienie demonów. Jednakowoż...

- Mój brat, Salah ad-Din, nazywany przez was Saladynem, także nie mógł długi czas dopuścić do swego trzeźwego i światłego umysłu istnienia takiej bestii. Dopiero gdy sam go ujrzał, gdy cudem uszedł ze szponów Tira, tylko dzięki poświęceniu swojej gwardii, uwierzył. Dopiero wtedy zezwolił mi na wyprawę do tego miejsca, gdzie zdołaliśmy uśpić demona i przykuć go do skały.

- Jak wam się to udało? - spytał Edward.

- Nie było to łatwe, ibn Swanie - uśmiechnął się Malik. - Do końca myśleliśmy, że to tylko bardzo silny ifryt, dokąd przybyły z zachodu święty mąż Abd al-Hadžib nie rozpoznał w nim przekłętego syna Eblisa! Walka z nim była straszna. Zdołaliśmy go usidlić tylko dlatego, że nie spodziewał się, z jakimi duchowymi siłami tutaj przybyłem! Ilu sprowadziłem kapłanów! Teraz można go nawet zobaczyć. Jesteście ciekawi? Na pewno. Wy, frankońscy najeźdźcy, jesteście bardzo ciekawi, nawet jeżeli zagraża to waszemu życiu. Nawet jeśli miałoby to przynieść zgubę waszym duszom. Może dlatego jesteście takim groźnym przeciwnikiem - dodał ciszej. - Chodźcie za mną.

Kordon strażników stał się jeszcze szczelniejszy, ostrza mieczy pochyliły się, gotowe w każdej chwili zadać mordercze ciosy.

- Książę - powiedział Swansen - ta ostrożność jest niepotrzebna. Rękę własną głową za każdego z tych ludzi. To prawi rycerze. Jeśli przysięgną że nie narażą cię na niebezpieczeństwo, dotrzymają słowa.

Malik al-Adil zatrzymał się.

- Wierzę, ibn Swanie. Wierzę tylko dlatego, że ty dajesz świadectwo.

Niech przysięgną a pozostawię przy sobie tylko przybocznych.

- Nie dam słowa niewiernemu! - zawołał Konrad von Wallheim. - To byłaby hańba.

Książę Malik zgrzytnął zębami.

- Hańbą jest pogarda okazywana wrogom, hrabio! Ale jak chcecie.

- Konradzie - powiedział z naciskiem Vincent - dasz słowo. Chyba że masz ochotę wlec za sobą całe to arabskie wojsko i narażać się na sztych przy byle kichnięciu! Oni tylko czekają na okazję, nie zauważyłeś? Tańczymy nad przepaścią na cieniutkiej nici.

- Wszyscy damy słowo - odezwał się cichy głos spod zawoju skrywającego Ryszarda. - Wszyscy! De Rionne ma rację. Nic nam nie przyjdzie z zabicia al-Adila.

Malik zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, po czym skinął z zadowoleniem głową.

- W takim razie zgoda.

Zwrócił się do dowódcy straży, wydając krótki rozkaz. Tamten spojrzał zdziwiony, ale natychmiast krzyknął coś chrapliwie. Natychmiast wokół krzyżowców zrobiło się pusto. Pozostało tylko kilku ludzi przy osobie księcia.

- Chodźmy.

- Skąd znasz księcia Malika? - szturchnął Edwarda Vincent.

- To właśnie u niego znalazłem się w niewoli. To on sam zwolnił mnie na słowo.

- Zwolnił cię na słowo? - Jan de Morges dosłyszał ich rozmowę. - Dlaczego? Coraz mniej mi się podobasz, Swansen!

- Wszystkiego dowiecie się we właściwym czasie. - Malik strzepnął niecierpliwie palcami, nie odwracając głowy. - Teraz nie pora na rozmowy.

- Ma słuch jak sowa - szepnął z podziwem Werner - Raczej jak pustynny skoczek. - Książę odwrócił się i nieoczekiwanie uśmiechnął do



młodego grafa. - To trafniejsze porównanie. W końcu siedzimy w podziemnej norze.

Korytarz był kręty i długi, wykuty ludzkimi rękami. Był tak wąski, że musieli podążać jeden za drugim, ocierając się ramionami o ściany. Jan de Morges oddychał ciężko.

- Nie cierpię takich krecich nor - mrucał. - Czuję, jakbym się miał za chwilę udusić. Jakby te ściany waliły się na mnie.

- Nie myśl o tym - radził z tyłu Konrad. - Nie opowiadaj, będzie ci łatwiej.

- Łatwiej mi, kiedy sobie ponarzeka! Nauczyłem się tego od mojej słodkiej małżonki. Jej też narzekanie sprawiało wyraźną ulgę. I przyjemność. Albo mi się zdaje, albo robi się coraz cieplej. I narasta ten niesamowity syk.

- Zaraz będziemy na miejscu - dobiegł z przodu głos księcia.

Rzeczywiście, po chwili weszli do sporych rozmiarów pieczary. Malik wskazał im następne przejście.

- Tędy. Tylko żadnych głośnych rozmów! Najlepiej nic nie mówcie!

Wyszli na wysoką galerię. Owionął ich gorący podmuch. Ostrożnie zbliżyli się do kamiennej balustrady biegnącej wzdłuż przepaścistego brzegu jaskini, bodaj jeszcze większej niż ta, w której spotkali księcia.

- Rany Bo... - Jan w ostatniej chwili zakrył sobie usta, pamiętny na ostrzeżenie Malika. - Co to jest?

Pośrodku jaskini wznosił się słup ognia, ginąc dopiero wysoko w sklepieniu. Ściany ognistej kolumny bezustannie falowały i były postrzępione, jakby wewnątrz walczyły ze sobą olbrzymie siły. Dookoła niej, na dnie, wirowały białe kręgi, układając się w fantazyjne wzory. W tym miejscu wszechobecny syk zamieniał się w odgłos podobny do łopotania tysiąca flag na silnym wietrze.

- Czy to jakieś zaczarowane kwiaty? - spytał szeptem Werner, wskazując na białe kształty. - Co za piękny widok!

- Przyjrzyj się uważnie - odparł równie cicho Edward. - Wtedy zobaczysz...

Werner wytężył wzrok. Zdumienie odebrało mu mowę.

- To ludzie - wykrztusił przechylony daleko za balustradę Vincent. - To wirujący ludzie w białych, rozwianych szatach!

- Tak, panie de Rionne - skinął głową Malik al-Adil. - To ludzie. Derwisze.

- Ale... ja nie rozumiem...

- To właśnie ich taniec usypia demona. To oni pomagają zsyłać mu sny. Gdybyś się przyjrzał uważnie, dostrzegłbyś, że ich postacie układają się w kształty niebieskich konstelacji na przemian z wzorem słonecznych promieni i pięcioramiennej gwiazdy.

- Ilu ich tam jest? Stu? Więcej?

- Dokładnie stu czterdziestu czterech. To liczba magiczna, związana z pentagramem. I nie pytajcie mnie znowu, dlaczego. Nie znam się na demonach.

- Myślałem, że znam choć trochę zwyczaje tego kraju. - Vincent zmarszczył brwi. - Ale nie słyszałem nigdy o czymś podobnym.

- Nikt nie słyszał, bo nigdy nic podobnego nie miało miejsca. Nigdy wcześniej zebrzący mnisi nie czynili podobnych zabiegów.

- Długo tak mogą? To chyba męczące.

- Zdziwiłbyś cię, jak długo. Jednak na wypadek, gdy któryś zasłabnie, w pogotowiu czekają inni, żeby go zastąpić. Taniec nie może zostać przerwany ani na chwilę.

- Niesamowite - mruknął Jan de Morges. - A ten płomień, czy to właśnie... - zawiesił głos.

- To właśnie Tir, a raczej jego ognista natura. Widzieliście go nad skałami, jest i tutaj, a jak głęboko sięga w dół, tego nikt nie wie i lepiej niech nie chce wiedzieć.

- Ależ tu upał! - Piotr Telford otarł spocone czoło. - Chodźmy już.

Nie przyznałby się nawet sam przed sobą, że to, co zobaczył, wzbudziło w nim uczucie przerażenia. Od ognistej kolumny biła jakaś pierwotna siła, zła moc. Tak musi wyglądać obcowanie z diabłem, przeleciało mu przez głowę.

- Chodźmy - zgodził się Konrad.

Rycerze skwapliwie skorzystali z propozycji.

- Przejdziemy z powrotem do głównej pieczary - powiedział Malik.



Zastali w niej zastawione jadłem stoły, jednak żaden z nich nie odczuwał głodu. Leżeli na wygodnych posłaniach, obserwując się wzajemnie. Swansen żuł daktyl, a de Morges, z wyrazem zamyślenia na twarzy, bawił się pieczonym kurzym udkiem. Malik oddalił się, wezwany przez jednego z dowódców straży.

- Robi wrażenie, prawda, panowie krzyżowcy? - odezwał się spod swojego zawoju Ryszard. - Odebrało wam apetyt? Ja tam bym coś przetrącił, gdybym mógł ściągnąć tę szmatę z głowy.

- A ja - Jan de Morges spojrział na trzymane w ręku udko, odrzucił je, a potem wbił wzrok w Edwarda - zastanawiam się, jaka w tym wszystkim jest rola naszego towarzysza Swansena. Nie podoba mi się jego zażyłość z saraceńskim księciem. I zaufanie, jakie tamten mu okazuje. Czy nie zaczęliście się zastanawiać, jakiej właściwie sprawie jest wierny? Bo ja nie mam już wątpliwości. No co, ibn Swan, nic nie powiesz? Komu służysz?

- Słusznej sprawie - Edward sięgnął po następnego daktyla.

Jan chwycił go za rękę.

- To znaczy?

- Dowiesz się w swoim czasie.

- Kiedy?

- Zaraz - rozległ się głos Malika. - Jusup - zwrócił się do przybocznego -  
przyrowadź ją!

Książę spoczął na bogato zdobionych poduszkach.

- Wiem, że wy, Frankowie, jadacie na siedząco. Ja jednak wolę w tym  
względzie nasze obyczaje. Zanim Jusup przyprowdzi dziewczynę,  
wyjaśnię wam pewną kwestię. Albo nie. Opowiem coś. Słyszeliście o tym,  
jak rodzą się ghule?

- Coś nam Swansen wspominał - odparł Jan de Morges. - O noworodku  
z pępowną i podobnych bzdurach.

- Ja też kiedyś myślałem, że to bzdury, bajki, którymi straszy się małe  
dzieci. Ale posłuchajcie mojej baśni. W pewnym kraju trwała wieczna  
wojna. Nie, nie wojna domowa, ale walka z najeźdźcami. Lud żyjący na tej  
ziemi miłował pokój i był gotów wiele poświęcić, aby go uzyskać. Rządził  
tym państwem mądry i szlachetny władca, mający liczną rodzinę. Jak to  
w rodzinie, jedni lubili się bardziej, inni mniej, miał swoich wrogów, ale  
miał i ulubieńców, braci i siostry. Jeden z tych braci, aby osiągnąć pokój z  
najeźdźcami, ofiarował się ożenić z siostrą jednego z ich królów, choć  
obca mu była obyczajami i pochodzeniem. Wyuczył się nawet jej języka,  
choć brzmiał dla niego niczym krakanie kruka. Chciał ją posiadać jako  
prawowity małżonek, choć wręcz budziła w nim niechęć, by nie rzec  
obrzydzenie...

- Wybacz, książę, ale miałeś opowiedzieć baśń. A ty mówisz nam o  
tym, jak chciałeś pojąć za żonę siostrę króla Ryszarda. A poza tym ona  
ciebie nie chciała, o ile wiem...

- Nie przerywaj mi, panie de Rionne! Jego starania spełzły na niczym,  
bo najeźdźcy pokoju nie chcieli. Wspierał więc dalej swego królewskiego  
brata w walce, licząc na poparcie sprawiedliwych niebios. Miał książę  
siostrę, piękną jak poranek wstający nad szumiącym morzem. Ta  
dziewczyna postanowiła, że kiedy tylko nadarzy się sposobność, dokona

czynu śmiałego lecz okrutnego, aby uwolnić swój naród. Znała legendę o tym, jak ghule powstają z ciał martwych noworodków, jak ifryty opiekują się nimi, jak straszna jest ich zemsta. Podążała wszędzie za swoimi wojującymi braćmi, a oni, żywiąc do niej wielkie przywiązanie, brali to tylko za objaw miłości i nie potrafili jej odmówić. Aż nadszedł ten dzień, na który czekała. Wojsko najeźdźców po zwycięskiej bitwie ogarnęło obóz, w którym przebywała w namiocie swego brata. Wojownicy umęczonego wojną kraju uszli, a ona została wydana na pastwę obcych. Liczyła, że nie ważą się jej tknąć brudne żołdackie dłonie, że znaleziona w królewskim namiocie trafi w ręce także królewskie. Nie pomyliła się. Najznamienitszy z ich wodzów uczynił z niej swoją nałożnicę. Lecz kiedy stała się brzemienna, stracił dla niej serce. Dziewczyna uciekła wraz ze swą wierną służką. Błąkała się długo po szarpanym wojną kraju i poza jego granicami, zanim trafiła z powrotem do swoich. Lecz wtedy nie było już na niej śladu ciąży. Nikt niczego się nie domyślał. Ale po niedługim czasie pojawił się straszny demon. Wielki i potężny ifryt o nim powiadano...

Przerwało mu wejście Jusupa. Prowadził ze sobą niewiastę w jaszmaru. Słaniała się na nogach tak, że gwardzista musiał ją podtrzymywać. Malik wstał z posłania, szybkim krokiem podszedł i zerwał jej zasłonę. Ukryła twarz w dłoniach, jednak księżę siłą je oderwał.

- Fatmo - powiedział łagodnie - to krzyżowcy. Nie gorszy ich widok odkrytego kobiecego lica.

Zwrócił się do rycerzy.

- To Fatma, moja ukochana siostra. I, oczywiście, ukochana siostra Saladyna.

Zmrużył oczy, przyglądając się zakrytej twarzy Ryszarda.

- Poznajesz ją, królu? Na pewno poznajesz. Przecież była twoją nałożnicą!

Oprócz Edwarda wszyscy zerwali się z miejsc, skupiając w gromadę. Czekali na atak. Zamiast tego usłyszeli śmiech Malika.

- Frankowie - zawołał. - Od samego początku wiem, kto ukrywa się pod tą szmatą! Mieliście mnie za głupca? Gdyby chodziło tylko o jego śmierć, dawno i z wielką przyjemnością bym go zabił! Niestety, rzecz jest bardziej skomplikowana... Siadajcie spokojnie i słuchajcie.

Jeszcze nie wierząc do końca zapewnieniu księcia, niechętnie wrócili na miejsca. Ryszard z wyraźną ulgą zdjął z głowy zwój materiału. Natychmiast sięgnął po najbliższy stojący dzban.

- Wino - mruknął zdziwiony. - Przecież prorok zabrania...

- Nam zabrania - odparł al-Adil. - Ten poczęstunek jest dla was.

Teraz dopiero powstał Swansen, chwiejnym krokiem ruszył w stronę dziewczyny. Powstrzymało go groźne spojrzenie księcia. Ociągając się, Edward wrócił na swoje miejsce. Vincent patrzył zdziwiony. Poza nim nikt nie zdawał się zwracać uwagi na incydent.

- Fatmo! - Malik spojrzał na siostrę. - Powiedz, co zrobiłaś?

Dziewczyna zaczęła niewyraźnie bełkotać.

- Mów w ich języku! Nie kalaj naszej mowy opowieścią o zbrodni!

Spojrzała nieprzytomnie, ale słowa brata dotarły do niej, bo wymamrotała: - Taki był malutki... Moje dziecko... zabiłam moje dziecko...

Siadła na ziemi, zaczęła się kiwać w przód i w tył.

- Tak płakał... może był głodny... Nie przytuliłam, bo muła zabronił. Zostawiłam i poszłam. Wróciłam, gdy księżyc stał już wysoko. Muła mówił, że do tej pory umrze, ale on żył jeszcze. Kwilił cichutko, jak mały kotek... Więc znowu odeszłam... A mleko płynęło mi z piersi... Nie dałam, nie nakarmiłam...

- Przestań! - krzyknął de Morges. - Nie męcz jej!

Malik zmrużył oczy i zagryzł wargi.

- Najechaliście mój kraj. Pograżyliście go w wojnie. Wasz król zhańbił moją ukochaną siostrę! Gdybym miał wymieniać krzywdy, których od

was doznaliśmy, nocy by nie starczyło. Więc nie każ mi teraz przestać! Ja musiałem tej historii wysłuchać i wy też musicie! Mów, Fatmo! Mów, co zrobiłaś potem!

- Chcieliśmy uczynić tak, żeby ghule na pewno znalazły truchełko. Jest pod Damaszkiem taki cmentarz... one tam przychodzą każdej nocy. Zakopałam maleństwo przy świeżym grobie... Uciekłam... Zrobiłam wszystko, jak kazał mułła... Poświęciłam swą rodzinę. Swój lud wydałam na pastwę demona, by wybił także jego wrogów... jak mówił mułła... żeby inni byli wolni...

Z oczu popłynęły jej łzy. De Rionne zerknął na Edwarda. Siedział z zaciśniętymi pięściami, oczy mu wyraźnie zwilgotniały. Wyglądało na to, że panuje nad sobą tylko ostatkiem sił. O co w tym może chodzić?

- Tego mułłę rozerwaliśmy koźmi - powiedział Malik po chwili milczenia, po czym westchnął. - Na mękach wyznał, że karmił się brudnym złotem Bizancjum. Tak... Basileus ma długie ręce, a was nienawidzi bodaj bardziej niż nas. A ty, królu, teraz już wiesz. - Zwrócił złe spojrzenie na Ryszarda. - Jesteś ojcem tego ghula, który pozbawiony opieki demona krąży po pustyni! Jesteś jedyną osobą poza jego rodzicielką której nie może zabić bez pomocy opiekuńczego ducha!

- To dlatego nie rzucił się na ciebie przy wejściu do jaskiń! - zawołał Konrad.

- To dlatego płakał... - rozległ się szept.

Malik zerknął bystro w stronę Wenera.

- Płakał, powiadasz, młody Franku? Królu Ryszardzie - oznajmił. - Powinienem cię jednak wydać na pastwę Tirowi! Siadaj teraz! Nie prowokuj mnie, żebym nie dał znaku łucznikom!

- Swansen - powiedział zdławionym głosem de Morges - ty nas tu przywiodłeś... Nas i króla! Wiedziałeś o wszystkim! Po co w ogóle wracałeś od niewiernych?

- Ibn Swan wypełnił tylko swoje zadanie - odpowiedział Malik,

uprzedzając Edwarda. - Miał tutaj przywieść króla Ryszarda. I kilku frankońskich rycerzy, żeby wysłuchali posłania mego brata.

- No tak - mruknął Ryszard, sięgając po kielich. - To dlatego przyszedł do mnie i naopowiadał dziwnych rzeczy... Żeby mnie wyciągnąć.

- To dlatego snułeś opowieści o ghulach i ifrytach. Żeby nas na to wszystko jakoś przygotować - rzekł Konrad.

- To dlatego tak upierałeś się od początku, żeby iść do angielskiego króla! - dodał Vincent. - Teraz rozumiem.

- Ty zdrajco! - wrzasnął Jan. - Zabiję cię!

Zerwał się i dopadł Edwarda. Mocarne żylaste dłonie zacisnęły się na gardle Normana. Swansen zaczął charczeć. Jednak po chwili ucisk zelżał.

- Zostaw go - powiedział spokojnie Ryszard, bez wysiłku odrywając rękę Jana od szyi wikinga. - Co zrobił to zrobił. Nie pora teraz na dokonywanie sądu.

Vincent spojrzał zaskoczony. Skąd tyle opanowania u znanego z gwałtowności króla? Czyżby czuł się winny?

- Czego chcesz, al-Adil? - Ryszard odwrócił głowę w stronę księcia. Wciąż trzymał rękę de Morgesa w niedźwiedzim uścisku.

- Ja niczego. Gdyby to ode mnie zależało, wszyscy smażylibyście się na pustyni związani w kij, czekając na śmierć. Mam posłanie od sułtana.

- W takim razie czego chce Saladyń?

- Zanim odpowiem na to pytanie, udamy się do świętego męża...

- Zanim udamy się w jakiekolwiek miejsce - przerwał mu Jan de Morges - chcę wyzwać twojego szpiega, Swansena czy tam ibn Swana, jak go w swoim plugawym narzeczu nazwaliście, na ubitą ziemię. Tu i teraz! Chyba że nie chcesz uszanować rycerskiego obyczaju.

Malik spojrzał pytająco na Edwarda. Ten skinął głową.

- Wyzwał mnie. Od tego nie ma odwołania. Tylko on sam może zaniechać pojedynku.

- Na pewno nie zaniecham!



- W takim razie - rzekł Malik - nie mam nic przeciwko temu obyczajowi. I my rozstrzygamy pewne sprawy walką. Jeśli tak trzeba, zgoda. Widzę, że obaj tego potrzebujecie. Tu i teraz! Każę przynieść broń.

- Janie - powiedział Vincent - to nie najlepsza pora...

- Tu i teraz! - powtórzył z uporem de Morges. - Zabiję tego sługusa niewiernych!

Konrad ze zmarszczonym czołem spoglądał na towarzysza. Kto by pomyślał, że znany z łagodnego usposobienia Jan ujawni tak krwiożercze oblicze. Ryszard, Vincent, Piotr, on wreszcie. Ale Jan? Okrutne okoliczności wyzwalały okrutną stronę człowieka. Widać, że de Morges chce po prostu kogoś zaszlachtować, a kogo, to już mniej ważne. Padło na Swansena.



Pierwszy cios Jan zadał na próbę. Szybkie cięcie ześliznęło się po zasłonie. Natychmiast musiał sparować błyskawiczny sztych mierzony w szyję.

- Nieźle - wymamrotał. - Poduczyłeś się, Swansen, ich sztuki, jak widzę.

Edward nie odezwał się. Czujnie śledził poczynania przeciwnika. Jan niespodziewanie przerzucił miecz do lewej dłoni i zrobił nagły wypad. Edward zatańczył w piruecie. Ostrze o włos minęło pierś. Gdyby miał pancerz... pozwoliłby ześliznąć się klindze po zbroi i sam zadał mordercze pchnięcie. Nie pora jednak na rozważania. Potężny cios prowadzony od dołu na lewe biodro ledwie zdążył odbić niską tercją. Uderzenie było tak potężne, że miecz zadrżał mu w dłoni. Rzucił się do przodu, pokrywając przeciwnika błyskawicznymi cięciami i sztychami. Jan cofał się przed furią ataku, aż w końcu za plecami poczuł skałę.

- Koniec zabawy - mruknął.

Niespodziewanie szybkim zwodem uniknął kolejnego ciosu walącego nas skos od lewej wprost na głowę, odepchnął się mocno od ściany, żeby zanurkować pod młynkującym ostrzem. W ułamku sekundy znalazł się za plecami przeciwnika. Jednak Edward nie dał się zaskoczyć. Sparował płytkie pchnięcie, zatrzymał klingę Jana na swoim ostrzu i, korzystając z rozpędu nadanego starciem, zaatakował łokciem.

To był błąd. Jan skorzystał z okazji. Przyjął cios, który nie zrobił na nim większego wrażenia, po czym chwycił rękę Swansena w potężny uścisk, pociągnął ku sobie, a kiedy ten próbował przeciwstawić się ogromnej sile, energicznie go odepchnął. Edward zatoczył się, usiłując odzyskać równowagę. Kątem oka zobaczył rozmazaną w morderczym pędzie klingę, ostatnim wysiłkiem zdołał postawić zasłonę. Cięcie było potężne. Nigdy w życiu nie przypuszczał, że ktokolwiek może tak silnie bić mieczem. Przełamująca zasłonę siła uderzenia spowodowała, że ostrze własnego miecza cięło go w podudzie. Jęknął przeciągle opadając na kolana. Broń wypadła mu z dłoni. Z niedowierzaniem spojrzął w dół. Krew z rozplątanej nogi płynęła silnym strumieniem.

Uniósł wzrok. Nad nim stał Jan de Morges, szykując się do zadania ostatecznego ciosu.

- Spodziewałeś się, zdrajco, że uratują cię sztuczki stosowane przez Saracenów? - powiedział mrużąc oczy. - Ja też zdążyłem ich trochę poznać. A teraz żegnaj... Może spotkamy się w piekle!

Zawinął nad głowę mieczem. Swansen bez zmruczenia powiek patrzył prosto w jego twarz. Broń nabrała niepowstrzymanego pędu, godząc wprost w obnażoną szyję. W ostatniej chwili Edward odruchowo przymknął oczy.

Nagle rozległ się brzęk metalu i wściekły głos Jana: - De Rionne, nie wtrącaj się! A może też jesteś z nimi w zмовie?

Vincent zablokował cios, chwytając miecz upuszczony przez

Swansena. Jan, zaskoczony obrotem sprawy, opuścił ostrze. De Rionne poczerwieniał na twarzy. Konrad, Piotr i Werner zerwali się na równe nogi. Tylko księżę Malik siedział spokojnie, wpatrzony w strugę krwi uchodzącej z nogi Edwarda.

- Za takie słowa powinienem cię zabić, de Morges! - wycharczał wściekle Vincent. - Uwierz mi, że sam chętnie posłałbym Edwarda w zaświaty, jeśli zdradził. Jeśli! Słyszysz?!

Jan potrząsnął głową.

- O co ci chodzi? Sam słyszałeś! Trzeba go zabić jak wściekłego psa!

- Nie pozwolę go zarznąć jak wieprza, zanim nie dowiemy się wszystkiego! Rzuć miecz i przestań się zachowywać jakbyśmy byli w słodkiej Francji! W tym kraju nie wszystko jest takie, jakim się wydaje. Nie zauważyłeś?

Jan skrzywił się niechętnie, jednak odłożył broń.

- Może zbyt krótko tu jestem - odparł. - Nie tak jak ty, banito. Ale zdrada ma tylko jedno oblicze. Dobrze, de Rionne. Poniecham go na razie, ale tylko w imię naszej przyjaźni. Z żadnych innych względów!

Malik zawołał coś po arabsku. Natychmiast nadbiegło kilku ludzi, by po chwili unieść ze sobą broczącego krwią Swansena.

- Zajmie się nim mój najlepszy lekarz - powiedział księżę z wyraźną troską w głosie. - Jest biegły w swym rzemiośle, więc mam nadzieję, że zdoła zatamować krew. To paskudna rana. Jesteś niespotykanie silny i szybki, panie de Morges.

- Moja siła i zwinność są niczym w porównaniu z przymiotami króla Ryszarda - odparł Jan. - I nie jest to czcze gadanie. To wielki wojownik i prawy mąż.

Malik obrzucił Ryszarda niechętnym spojrzeniem.

- O jego sile wiele słyszałem. Lecz nie mów mi o prawości. Takich prostych wojowników jak ty cenię bardziej. Nie spodziewam się, byś był zdolny do czynów, jakimi ten, władca zasłynął. Jak choćby rozkaz

porozrzynania brzuchów tysiącom jeńców, by sprawdzić, czy nie połknęli złota... Taka chciwość dopomina się kary!

Jan zacisnął wargi. Spojrzał na Ryszarda. Ten jak gdyby nigdy nic, łapczywie ogryzał solidny kawał mięsiwa. De Morges czekał chwilę, aż król coś odpowie. Na próżno. Jego obojętność była wręcz porażająca.

- To król - wymruczał w końcu rycerz. - Nie przystoi mi osądzać jego poczynań.

- Ale mnie przystoi - odrzekł Malik. - Jednak dość o tym. Chodźcie za mną. Święty mąż czeka, a jego czas jest drogi.



- Giaurzy... Przybyliście niszczyć i rabować?

Głos starca skrzypiał niczym źle naoliwiona oś wozu. Siedział z zamkniętymi oczami na drewnianym podwyższeniu. Długa siwa broda opadała aż na miękkie atłasowe trzewiki.

- Przybywamy w pokoju - powiedział Ryszard.

Starzec uchylił powieki. Spojrzały na nich wodniste oczy o nieoczekiwanie ostrym wyrazie.

- Giaurzy - powtórzył. - Przybyliście niszczyć i rabować...

- Przybywamy... - Ryszard podniósł głos, ale przerwał mu Malik.

- Czcigodny Abd al-Hadžib nie rozumie waszej mowy. Słowa w mowie Franków, które wypowiedział, są jedynymi, jakie zna. Będę tłumaczył to, co chce wam przekazać.

Zwrócił się do starca. Chwilę rozmawiali. Widać było, że dumny książę okazuje tamtemu wielki szacunek, wręcz uniżoność.

Werner przyglądał się scenie, chłonąc każdy szczegół. Tak jak przedtem wraz z innymi odczuwał zło płynące od ognistego słupa w wielkiej jaskini, tak teraz czuł, że ten stary i na pozór bezradny człowiek

jest w istocie rzeczy kimś potężnym, wyrastającym ponad zwykłą ludzką miarę. Zerknął na wuja. Konrad przygryzł wargi, usilnie o czymś rozmyślając. Krok dalej zasępiony Piotr bezwiednie pocierał policzek. De Rionne wraz z Janem stali z tyłu, nie widział ich, jednak był pewien, że i oni ulegli dziwnemu nastrojowi tego miejsca.

- Czcigodny al-Hadžib - zwrócił się do krzyżowców Malik - pyta, czy jesteście gotowi przysiąc, że to, o czym za chwilę usłyszycie, nie wyjdzie poza tę komnatę.

- Jesteśmy - odpowiedział Ryszard. - Przysięgamy.

- Chcę to usłyszeć od wszystkich.

Rycerze po kolei złożyli przysięgę.

- W takim razie słuchajcie.

Al-Hadžib wbił przenikliwy wzrok w księcia. Malik odetchnął głęboko, przymknął powieki. W miarę jak starzec mówił, książę zdawał się zasypiać, jednocześnie zdanie po zdaniu przekładając opowieść: - Opowiem wam o hańbie królewskiej krwi. Opowiem wam, dlaczego nieopatrzny uczynek okrutnego króla i zrozwalonej dziewczki uwolnił spod ziemi straszego demona. Nie uszanowałeś, Ryszardzie, cnoty siostry sułtana. Splugawiłeś swoim gjaurzym nasieniem jej dziewicze łono. Chciało nieszczęsne dziewczę uratować swój lud, chciało, by najeźdźcy zostali pogiębieni. To wiecie, bo rzekł wam już o tym książę. Powiedziano jej, że dla dziecięcia szlachetnego pochodzenia zjawi się mściciel potężny, zdolny wyrznać najeźdźców, choć jego ofiarą padnie także plemię, z którego ona sama pochodzi... Że nie zmoże go żadna ludzka siła. Lecz nie wiedziała, że gdy podobną zbrodnię popełni córka królewskiego rodu, gdy wyda na pastwę ghulom dziecię zrodzone z podwójnie królewskiej krwi, nie nadleci do niego zwykły ognisty duch, ale sam szejtan przyśle swego ukochanego syna... To on w postaci ifryta żywi siebie i dziecko trupami ofiar. Z każdym dniem staje się silniejszy i okrutniejszy. Aż nadejdzie taki czas, że nie wystarczy mu tylko odnaleźć i

zgładzić grzesznych rodziców. Gdy urośnie w siłę, nie spocznie, dokąd nie wytepi ludów, z których pochodzą. A gdy dokona tej rzezi, przyjdzie czas na całą resztę ludzi... I nie będzie patrzył czy to Kurdowie, czy frankońscy siepacze... Nie zostawi w spokoju innych ludów islamu, innych ludów świata... To wielka tajemnica. Ci, którzy ją znają, nie zasną spokojnie, dokąd stąpają po przeklętej ziemi, dokąd Tir hula na pustynnych szlakach... A jeśli Tir wyrwie się z sennych omamów, które tu na niego zsyłamy, zdobędzie nowe siły i zwoła na pomoc swych piekielnych braci, synów Eblisa. Wezwie Awara, demona lubieżności, i Dasimę, demona niezgody, i Suta, który jest ojcem kłamstwa. Rozpętają oni wielką burzę, a po niej na całej zamieszkaney ziemi nastanie ciemność i wielki płacz.

- On mówi o końcu świata - szepnął zdumiony Werner. - O Apokalipsie.

- Milcz, chłopcze - syknął Vincent. - I słuchaj!

- Chciała dziewczyna - ciągnął tymczasem starzec - poświęcić swą rodzinę, poświęcić całe plemię, wszystek lud kurdyjski, by inni mogli spokojnie żyć. Zły człowiek sączył jej do głowy jad pod pozorem wielkiej mądrości. Ten zły człowiek sam nie wiedział, jak straszną powołają do życia potęgę... Strzeżcie się. I niech ma się na baczności ten, który jest zdolny ujarzmić ludy pustyni! Niech ten, o którym powiadają nasi uczeni, że nadejdzie by rządzić Wschodem i Zachodem, nie da się zwieść własnej pysze! Jest tylko jedna droga ratunku przed gniewem piekła. Lecz o tym opowie wam jego dostojność książę Malik.

Al-Hadžib zamknął oczy. Książę Malik drgnął, jakby został dotknięty rozpalonym żelazem. Starzec coś do niego powiedział. Malik skinął głową podszedł i ucałował wyschniętą dłoń.

- Musicie teraz wybaczyć, ale czcigodny mędrzec ma pilne zajęcia.

Jan rzucił zdziwione spojrzenie.

- A cóż on może mieć pilnego do roboty? Taki staruszek...

- A jak myślisz, panie de Morges, kto zsyła Tirowi senne wizje?

- Byłem pewien, że to tamci tańczący derwisze...

- Oni tylko służą pomocą czcigodnemu Abd al-Hadžibowi... Są niezbędni, jednak bez jego wiedzy i potęgi byłiby bezradni jak dzieci w pustynnej ciemności. A jemu nie zostało zbyt wiele czasu.



Znowu spoczęli na wygodnych poduszkach. Tym razem nawet Ryszardowi nie dopisywał apetyt. Malik zmierzył go uważnym spojrzeniem.

- Porozmawiamy teraz, jak to wszystko ułożyć. Przekażę posłanie od mego brata. I pamiętajcie po kres życia, że wszystko, co już zostało i zostanie powiedziane, jest tajemnicą.

- Nie trzeba nam przypominać - odrzekł Jan. - Powiedz tylko, książę, czy ta dziewczyna, Fatma, naprawdę chciała poświęcić swoich ludzi, żeby tylko nas usunąć?

Malik zmrużył oczy. Ich zwykły blask nieco przygasł.

- Możesz sobie teraz wystawić, panie de Morges, jak bolesna jest wasza obecność na tych ziemiach. Jednak dotąd nikt nie uciekał się do podobnych występków. Dopiero kiedy on - wyciągnął palec wskazując Ryszarda - przybył tutaj ze swoimi dzikusami, zagrożenie stało się ogromne. Uwierźcie mi, gdyby to mogło pomóc, sam poświęciłbym siebie i swój lud! Jednak w tej sytuacji, sami widzicie, byłoby to bez znaczenia. Biedna dziewczyna nie wiedziała, że powołała do życia bestię aż tak groźną. Ten głupiec imam, którego imię skazane zostało na zapomnienie, także tego nie wiedział. Jego mocodawcy z Konstantynopola, wielcy magowie, jak o nich mówią, liczyli na to, że Tir pożre nas wszystkich - synów tej ziemi i Franków. Nie mieli pojęcia, że na koniec demon także

im może przynieść śmierć. Chwała niebiosom, iż został w porę powstrzymany. Ostatni był już czas.

Młody Werner poczuł, jakby w dusznym powietrzu przeleciał lodowaty podmuch. Zadrżał. Jakąż ulgą byłoby teraz uczynić znak krzyża albo zmówić modlitwę... Nigdy nie przypuszczał, że tak bardzo może brakować tego, do czego przymuszano go od wczesnego dzieciństwa, a co wydawało się tylko zwykłym obowiązkiem...

Ryszard słuchał rozmowy wsparty na łokciu.

- Powiedz lepiej, czego chce ode mnie Saladyń - wtrącił. - Te wszystkie dociekania o ghulach i innych demonach zostawmy sobie na później. O ile zdołałem poznać sposoby działania twego brata, chce to całe zamieszanie jakoś wykorzystać. Jest sprytny jak każdy zwykły brudny Arab!

Malik zerwał się. W mgnieniu oka znalazł się przy królu. Chwycił go za szatę na piersi, szarpnął w górę. Krzyżowcy poderwali się również, jednak przed działaniem powstrzymał ich szcęk oręza. W jaskini znowu zaroilo się od gwardzistów. Strażnicy na galerii napięli łuki.

Malik wbił pałające wściekłością spojrzenie prosto w źrenice Ryszarda.

- Nie nazywaj brudnym tego, kto przewyższa cię szlachetnością tak jak wysokie góry przewyższają cuchnące bagno! I nie nazywaj zwykłym Arabem kogoś, kto pochodzi ze starożytnego ludu Kurdów! Gdyby nie wyraźne rozkazy mego brata, kazałbym cię nabić na krzyż, na nic nie zważając. Ciekaw jestem, czy zniósłbyś to równie dzielnie jak prorok, którego nazywacie Synem Najwyższego, a którego imienia nie wolno wymawiać w plugawej bliskości Tira!

Ryszard zacisnął szczęki, chwycił nadgarstek al-Adila, ścisnął. Książę skrzywił się z bólu, ale nie rozluźnił chwytu. De Morges obserwował go z podziwem. Na własnej skórze przekonał się niedawno, jaka moc drzemie w potężnym ciele angielskiego króla. A tymczasem ten szczupły Saracen



nie zamierzał ustąpić, choć widać było, ile cierpienia kosztuje go mocowanie się z przeciwnikiem.

- Mógłbym cię teraz zabić - wycedził Ryszard. - Zanim twój ruszyłby palcem, miałbyś skręcony kark!

- Zrób to! - wydyszał Malik. - Uczyń tak, a nie zdążysz nawet powstać na nogi! Zabij mnie, a moi ludzie zarzną twoich towarzyszy i ciebie. I niech szejtan bierze wszystko!

Ryszard puścił smagłą rękę księcia. Z powrotem opadł na poduszki i sięgnął po jęczmienny placek, zupełnie jakby nic się nie stało. Malik wrócił na swoje miejsce.

- Mój brat - zaczął - Salah ad-Din Yusuf ibn Ayyub, śle swojemu królewskiemu wrogowi pozdrowienie. Mój brat pragnie, aby między tobą a nim nastał pokój i porozumienie. Pragnie, abyś zawarł z nim honorowy układ i odszedł wraz ze swym wojskiem, pozostawiając w spokoju ziemię nie należącą do ciebie ani króla Francji, ani cesarza Niemiec, ani żadnego innego narodu, który najechał nasze dziedziny.

- Nie rozumiem - wyszeptał pobladłymi wargami Vincent. - Saladyn nie szuka pomsty za to, co spotkało jego siostrę?

- Salah, panie de Rionne - odparł Malik - jest nie tylko sułtanem, wielkim władcą i wodzem. Jest także mędrce. Nie szuka pomsty, bo to, co uczyniła Fatma, uczyniła ze swej woli i zły owoc jej poczynań nie powinien spaść na cudzą głowę, choćby ta głowa po tysiącokroć zasłużyła na karę za inne swe uczynki.

- Mów dalej - przerwał niecierpliwie Ryszard. - Przecież nie sprowadziłeś mnie tutaj tylko po to, żebym usłyszał, jak Saladyn mi przebacza! Z tego, co zrozumiałem, oczekuje, że odejdę, tak?

- Dobrze rozumiałeś.

- Nie rozumiem, co mu to da! Nawet gdybym wrócił do Europy, zostanie tu Filip i mnóstwo wojska!

- Jeśli nawet zostaną poradzimy sobie z nimi. To ty masz odejść!

Krzyżowcy słuchali tej wymiany zdań z coraz większym zdumieniem. To było coś, co wymykało się ich pojmowaniu rzeczywistości.

- Dlaczego? - dopytywał się uparcie Ryszard. - Dlaczego ja?

- Dlatego! - Malik wskazał przejście do sąsiedniej jaskini. - Dlatego, że tam jest Tir! Dlatego, że jeśli się zdoła uwolnić, dokona dzieła zniszczenia!

- A jeżeli obiecuję odejść?

- Wtedy dopiero powiem, jakim sposobem można odesłać demona tam, gdzie jego miejsce!

- Powiedz mi, dlaczego tak bardzo upieracie się przy moim odejściu! - Ryszard nie dawał za wygraną - Powiem dopiero, kiedy złożysz przysięgę.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Uwolnię Tira! - W oczach Malika zalśniło szaleństwo. - Lepsze to niż...

- Niż co?

- Dopiero, kiedy złożysz przysięgę.

- Chcę się zastanowić.

- Oczywiście. Jeśli życzysz sobie zostać sam, Jusup zaprowadzi cię do mojej kwatery. Tam będziesz miał spokój.

- Nie ma potrzeby. Pragnę tylko jeszcze rzucić okiem na tego demona.

- Jak chcesz, gjaurze.



Ryszard nie zabawił długo. Wrócił z mocno skwaszoną miną.

- Albo mi się wydaje, albo ten płomień jest coraz większy.

- Czcigodny mędrzec słabnie - powiedział cicho Malik. - Mówiłem, że nie zostało mu wiele czasu.

- Zgoda, Saracenie. - Ryszard odzyskał zwykły wigor. - Powiedz, co

mam zrobić.

- Najpierw przysięga. Odejdiesz ze swoimi wojskami, kiedy tylko nadarzy się sposobność. Przedtem zawrzecie z Salahem rozejm na warunkach, jakie on poda!

- Przesadziłeś - zachnął się Ryszard. - Na to nie mogę się zgodzić.

Malik patrzył na niego nieodgadnionym spojrzeniem.

- Dobrze. Pozostańmy przy tym, że zawrzecie rozejm. Jakoś się dogadacie co do warunków. Teraz nie czas na targi. Przysięgasz?

- Przysięgam.

- Na co?

- Na tego, którego imienia nie mogę tutaj wymówić...

Malik roześmiał się.

- Na coś, co cenisz naprawdę!

- Czego ty ode mnie chcesz?

- Wiążącej przysięgi.

Ryszard zaciął zęby.

- Wystarczy, że dałem słowo. W obliczu tego, co nam zagraża, nie zamierzam nim szastać ot, tak sobie! Musisz mi uwierzyć Tak jak ja wierzę, że po wszystkim nie rozkażesz nas po prostu wyciąć.

Książe długo wpatrywał się w jego twarz.

- Niech będzie. Teraz twoi wojownicy. Po kolei zaręczycie słowem honoru, że dopilnujecie, aby nasz układ został dotrzymany!

- Znowu - jęknął Konrad. - Toż przed chwilą dawaliśmy słowo.

- Bez ociągania się! - popędził ich Ryszard.

- Tak - powiedział Malik, kiedy skończyli. - Właśnie dlatego was wszystkich tutaj potrzebowałem. Nie tylko jako świadków, ale też zobowiązanych do przeprowadzenia tego, co uzgodnimy. Jeżeli nie dotrzymacie przyrzeczeń, utwierdzicie mnie tylko w moim mniemaniu o was, chrześcijanie. A teraz do rzeczy. - Niecierpliwie strzepnął palcami, powstrzymując protest von Wallheima. - Mogę wyjawić, jaka jest droga

ratunku. W jeden tylko sposób można odesłać demona tam, gdzie jego miejsce przy boku Azazela.

- Mów - rzekł niecierpliwie Ryszard. - Niech to się wreszcie wyjaśni.

- Ghula musi zabić własną ręką ten, który go spłodził. Tylko on zresztą spośród ludzi jest w stanie ghula zgładzić, nikt inny. Gdy tego dokona, ciało bestii winno zostać spalone w ogniu jego opiekuna. Nie muszę chyba wyjaśniać, że w przypadkach, gdy rzecz dotyczy zwykłych ludzi, nie ma o tym mowy, gdyż nikt nie zadaje sobie trudu, by ifryta usidlić w postaci płomienia. O wiele prościej i bezpieczniej wydać mu rodziców na żer i przebłaganie. Tym razem mamy jednak do czynienia z Tirem. Ten, jak sami słyszeliście, niczym się nie zadowoli. A skoro został uśpiony, jest możliwość spełnienia drugiego warunku...

Ryszard aż skrzywił się ze złości.

- Podstępem wydarłeś ode mnie przyrzeczenie, że odejdę, Saracenie! - zawołał tak głośno, że echo oddało jego słowa wielokrotnym pogłosem. - Potrzebujecie mnie tak czy inaczej! Bez znaczenia, zostanę czy nie! Tak mnie podejść! Ty podły Arabie!

Malik spokojnie zniósł wybuch.

- Spójrz na to z drugiej strony - odparł z lekkim uśmiechem. - Cóż stałoby na przeszkodzie wykorzystać cię do zgładzenia ghula, a potem po prostu zarznąć?

Ryszard zastanowił się.

- Prawda - rzekł z pewnym zaskoczeniem. - Dlaczego zatem Saladyn chce się ze mną ułożyć, zamiast doprowadzić podstęp do końca?

- Pamiętaj o jednym, władco. W naszych okropnych czasach musi znaleźć się też miejsce na honor. Salah podziwia twoje męstwo i biegłość wojenną. Pamiętaj też o szlachetnych uczynkach, nie tylko o zbrodniach. A poza tym, skoro masz wypełnić pierwszy warunek, musimy zapewnić ci bezpieczeństwo. Z tego, co o tobie wiem, nie byłbyś skłonny poświęcić się dla dobra nawet twoich własnych poddanych.

Król uśmiechnął się i skłonił głowę.

- To jestem w stanie przyjąć jako wytłumaczenie. Ale wiem, że jest coś jeszcze. Nie wiem co, ale jest. Teraz mniejsza o to. Mam zabić tego ghula, tak? A gdzie on teraz jest? Pewnie umknął w pustynię i szukaj wiatru w polu.

- Mylisz się. Czeka na zewnątrz, tam, gdzie go widziałeś po raz ostatni. Nie ruszy się stąd, dopóki przebywasz w jednym miejscu z Fatmą.

- Przedtem wyglądało na to, że się mnie strasznie boi. Gotów jeszcze uciec.

- Przed tobą może tak, ale nie przed matką. Wyrodna bo wyrodna, ale to jego macierz. Ona przywoła ghula. Do niej podejdzie na pewno. I raczej nie spróbuje się bronić. Będziesz miał dość czasu, żeby zrobić swoje.

- To jest... - szepnął Werner - to wszystko jest takie podłe.

Znakomity słuch nie zawiódł księcia i tym razem.

- Tak, młody krzyżowcu, masz słuszość! To jest podłe. Jak wszystko, co łączy się z tą sprawą. Podłe jak nasze ugody z wami! Podłe jak uczynki władców! Pławimy się w podłości, oddychamy nią, jest nam konieczna, by istnieć! Dlatego pamiętaj, młodzieńcze, jeżeli w twoim życiu ktokolwiek zaferuje ci sprawowanie władzy, pluń mu w oczy! Pójdź do stajen i dosiądź najściglejszego bachmata! Niech pęd powietrza wywieje z twojej głowy wszelkie mrzonki o rządzeniu! Wierz mi, że gdybym mógł pokierować swoim życiem raz jeszcze, wiedząc to, co wiem teraz, przyłączyłbym się do któregoś z pustynnych plemion jako prosty wojownik. Może nie byłoby wtedy chwil, żebym czuł obrzydzenie do samego siebie..

Werner słuchał przemowy z otwartymi ustami. Malik chciał powiedzieć coś jeszcze, jednak w tym momencie Ryszard ostentacyjnie ziewnął.

- Przestańmy już bić jęzorami. Dawaj tę dziewczynę. Tylko na postronku. Szalona jest i nie wiadomo, co jej do głowy strzeli. Nie mam

chęci uganiać się i za nią, i za ghulem!

Malik poczerwieniał ze złości. Jego smagła twarz stała się prawie czarna.

- Zgoda. - To, co wydobyło się spomiędzy jego zaciśniętych zębów, w niczym nie przypominało ludzkiego głosu. - Niech zbrodnia idzie do zbrodni, a upodlenie do upodlenia. Pamiętaj tylko, giaurze, że ten ghul powstał z twego nasienia. To twoja krew! Oby ci ręka nie zadrżała!

- Nie zadrży - roześmiał się beztrosko Ryszard.

- Jeszcze jedno na koniec. Musisz coś wiedzieć. Nie wyobrażaj sobie, że gdybyś odmówił złożenia przysięgi, także wyjawilibym sposób odesłania Tira do piekła. Domyślasz się, dlaczego mnie właśnie Saladyn zlecił to zadanie?

- Tak. Ale sam mi powiedz.

- Bo wie, że nie wahałbym się ani chwili, żeby uwolnić demona. Tyle szaleństwa jeszcze we mnie pozostało z dawnych lat.

Ryszard skinął obojętnie głową.

- Oczywiście. Chodźmy już. Moi panowie - zwrócił się do krzyżowców - niebawem wrócę i będziemy mogli opuścić to przeklęte miejsce.

Werner wstał, powoli podszedł do Malika. Natychmiast między nim a księciem znalazł się gwardzista z obnażonym mieczem. Al-Adil odsunął żołnierza.

- Czego chcesz, młody rycerzu?

- Chciałbym to zobaczyć - nieśmiało odparł młodzieniec.

Malik nachmurzył się, ale zaraz na jego twarzy zagościł życzliwy uśmiech.

- To może być najgorsze wspomnienie w twoim życiu. Na pewno tego chcesz?

- Chcę zobaczyć, jak wyglądają owoce podłości.

- No cóż, młody panie, to może być rzeczywiście pouczające. Ktoś jeszcze? - spytał głośnie.

Pozostali odwrócili wzrok. Tylko de Morges się odezwał: - Sam mówiłeś, że ghul walczył nie będzie. Jak zechcę zobaczyć przy pracy rzeźników, odwiedzę miejskie jatki...

- Uważaj, Janie - Piotr z Telford uniósł się - byś nie miał dziś drugiego pojedynku!

- Daj spokój - mruknął de Morges. - Nie masz większych zmartwień?

- W takim razie chodźmy. Młody graf ze mną, a król z Jusupem. Oddamy mu jego własny miecz na tę okazję.



Werner wrócił w takim stanie, że Konrad zaczął mieć obawy, czy nie zadano mu trucizny. Był blady, spocony i trząsł się jak w febrze.

- Co się stało, chłopcze? Mów!

Werner bez słowa wskazał na dzban. Vincent natychmiast podskoczył z naczyniem. Von Watzenrode pił długo, nie zważając na strugi spływające mu po policzkach na szyję i za kołnierz.

- To... - wyjąkał - to było potworne!

- Mów, co się stało? Król żyje?

- Żyje... Jak ja go nienawidzę, wuju! To nie człowiek! To bestia, nie wiem czy nie gorsza od demonów pustyni!

- Cicho, chłopcze. - Konrad pogładził go po włosach. - Nie trzeba tak mówić. Opowiedz, co widziałeś...

Graf uspokajał się powoli. Wino zaczęło działać, otepiając nieco zmysły.

- Kiedyśmy dotarli do wysokiej groty na górze, nad wejściem do jaskiń - zaczął - król z niewiastą był już na zewnątrz. Tak jak chciał, uwiązana była na postronku, a on ciągnął ją za sobą. Niecierpliwy był jak zawsze. Kiedy próbowała się opierać, szarpał mocniej, tak że padała. Księżę Malik

na ten widok zaczął chrapliwie oddychać. Położył mi dłoń na ramieniu i ścisnął tak mocno, że mi zajęczał. Pewnie ślad palców długo tam zostanie. Uszli kilka kroków, słyszałem, jak księżniczka jęczy żałośnie, a potem podnosi głos. Wśród tych skał jest tak, że słycać nawet szept. To brzmiało, jakby coś nuciła. Może kołysankę dla dziecka w tym ich dziwnym języku. Wtedy pojawił się ghul. Ale w niczym nie przypominał tej bestii, którą widzieliśmy nad ciałem nieszczęsnego Kurta czy przy wejździe tutaj... Przybliżał się powoli i ostrożnie, piszcząc niczym zagubione w lesie szczenię... Widać było, jak ciągnie go do matki, a jednocześnie czuje śmiertelne przerażenie... Ryszard zatrzymał się i czekał. A Fatma poszła do przodu wyciągając ręce... Tak matuś wyciągała do mnie ramiona, gdym był dziecieniem... - Głos mu się załamał, odchrząknął i mówił dalej: - Byłaby pewnie pobiegła, gdyby nie postronek. Król szarpnął, a ona padła na kolana. Cały czas wyciągała ręce i mówiła coś do poczwary. A ta podchodziła coraz bliżej. Wzrok miała wbity w twarz matki, a z oczu leciały jej takie łzy jak wtedy, gdyśmy ją mijali. A król czekał... Ghul podszedł blisko, bliźutko, prawie na wyciągnięcie ręki. Spojrzał na Ryszarda. I nagle przypadł do ziemi. Myślałem, że zaatakuje, wbrew temu, co powiedział książę Malik. Jednak nie... Widzieliście kiedyś psa dopraszającego się łaski pana? Ten ghul właśnie tak pełzał. Prosił... Łasił się... A król stał bez ruchu. Tylko przygarbił się lekko, nie spuszczał z niego oczu...

Przez chwilę Werner oddychał ciężko. Wzrok miał zamglony, jakby patrzył gdzieś w dal.

- Ghul popełził powoli do Fatmy, jakby u niej szukał schronienia. A ona... otoczyła go ramionami i próbowała kołysać wielkie cielsko... Przez cały czas śpiewała. Ryszard uczynił drobny krok. Bestia natychmiast odwróciła na niego czujne oczy. Widzieliście jej oczy, są takie, jakby jarzyły się piekielne węgle. Ale teraz były jakieś smutne, by nie rzec - ludzkie. Ja... Ja nie dałbym rady uderzyć kogoś, kto tak patrzy...



- Uspokój się, synu - zamruczał Konrad. - Poczwarę trzeba było zabić. Przypomnij sobie nieszczęsnego Kurta.

- Wiem! Ja mówię jedynie, że nie dałbym rady. Księżę Malik patrzył tylko i nie odzywał się. A król nagle szarpnął powrozem tak mocno, że nieszczęsna niewiasta padła na plecy, a potem ciął, jak to on potrafi... Powalił ghula i rąbał go w zapamiętaniu jeszcze długo, a Fatma płakała... Jak ona strasznie szlochała..

W oczach Wenera pojawiły się łzy.

- Uspokój się - powtórzył Konrad. - Nie powinienem pozwolić ci iść tam, gdzie obawiali się udać doświadczeni rycerze...

- Król to zwierzę! - Werner przygryzł wargi. - Ca ja mówię: zwierzę! Toż pies nawet się popatrzy na swoje łajno. A on tylko splunął na trupa, rzucił sznur i nie oglądając się odszedł. A przecież ghul wyszedł z jego łędźwi! Poczwara, ale miała w sobie jego krew! Przecież żył z tą księżniczką dzielił z nią łożę! Na nią też nawet nie spojrzął. Brzydzę się twoim królem, panie Telford! Brzydzę się!

- No co, Piotrze - odezwał się Jan - nie chcesz wyzwąć na ubitą ziemię grafa von Watzenrode?

Piotr machnął tylko ręką.

W tej chwili nadszedł Ryszard w towarzystwie Malika i Jusupa.

- Twarde życie miała bestia! - zawołał z zadowoleniem. - Ledwo z niej duszę wygnałem. O ile to diabelstwo miało jakąś duszę! Możemy wracać do swoich. Paganie też się stąd wynoszą. Wzięli truchło ghula i gdzieś zanieśli. Mają je spalić co rychlej. Podobno po wrzuceniu ciała poczwary do ognia demona dzieją się straszne rzeczy, dlatego trzeba uciekać.

- A kto to zrobi? Ktoś się poświęci?

- Jusup - odparł krótko Malik. - Śpieszmy się. Święty mąż słabnie z każdą godziną. Jeśli jego zabraknie, cały trud pójdzie na nic. Dostaniecie świeże konie, przydam wam eskortę, żebyście nie byli niepokojeni przez ludy pustyni, i jedźcie w swoją stronę. My ruszymy w swoją. I oby nasze

drogi nigdy się nie skrzyżowały.

Vincent wstał z poduszek i lekko skłonił się księciu.

- Życzysz sobie czegoś, panie de Rionne?

- Chcę porozmawiać z Edwardem. Jeżeli jeszcze żyje.

- Żyje. Medyk twierdzi, że nie ma niebezpieczeństwa. Udało mu się załatać poprzecinane żyły.

- Chcesz gadać ze zdrajcą, de Rionne?! - zaperzył się de Morges.

- Posłuchaj, Janie! Nie nazywaj go tak pochopnie zdrajcą. Znałem go od lat i nie wierzę...

- Zdrajcą? - przerwał mu Malik. - Wiedz, że to on został zdradzony. Kiedy popadł w niewolę, jego przełożony, którego był, jak to się u was mówi, wasalem, pożądał marnego grosza na jego wykupienie! Choć gdy go ogarnęliśmy z oddziałem, wypełniał ważną misję dla tamtego. Czy istnieje gorsza zdrada, niż gdy pan porzuci wiernego sługę? A to, że sprowadził tutaj was i króla, uczynił pozostając wierny swemu sumieniu. Zgodził się dopiero, gdy zapewniłem, że nikomu włos z głowy nie spadnie. Uczynił to, żeby ratować nas wszystkich. Nazywasz to zdradą?

Jan milczał z ponurą miną.

- Jednak służy Saracenom - burknął w końcu.

- Idź, de Rionne - rzekł Ryszard. - I powiedz mu, żeby wracał. Ja nie pożąuję pieniędzy na okup. Zaraz omówię sprawę z księciem.

- Nie ma czego omawiać - odparł Malik. - Ibn Swan jest już wolnym człowiekiem. Okupił wolność własną krwią. Tak czy inaczej musi odbyć podróż przez pustynię, bo tu zostać nie może. Czy pojedzie w kolebce między końmi z wami czy z nami, to bez różnicy. Niech wraca do swoich. Możesz do niego pójść, panie de Rionne.



Edward leżał w niewielkim pomieszczeniu, do którego wiódł dość szeroki jak na tutejsze warunki korytarz. Przy jego łożu siedziała jakaś kobieca postać. Na widok Vincenta natychmiast podniosła się i uciekła, zasłaniając twarz.

- Wielu rzeczy o tobie jeszcze nie wiem, wikingu - rzekł de Rionne, odprowadzając kobietę wzrokiem.

Swansen tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Błady jesteś. Sporo krwi ci uszło.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Choć i ty masz mnie za zdrajcę.

Vincent rozejrzał się, podjął ciężki zydel i przystawił do łóżka.

- Nie wiem, co o tym myśleć, prosto mówiąc. Król w każdym razie nie zdaje się żywić do ciebie urazy. Wybaczył ci. Powiedział, że możesz wracać z nami, nawet okup chciał zapłacić...

- Wybaczył mi? - Edward uniósł się, lecz zaraz opadł z powrotem. - Co mi wybaczył? To, że przez jego pochutliwość i lekkomyślność stworzony został potwór? Gdyby okazał tej dziewczynie choć trochę uczucia, gdy zaszła w ciążę, myślisz, że zdobyłaby się na ten czyn? Nie znasz kobiet? Ale on ją wyrzucił jak zwykłą ścierkę... Jak... jak... Jakby była zwykłą obozową zdzirą, a nie córą królewską.

Umilkł, ciężko dysząc. Był tak osłabiony, że te kilka zdań głośniej wypowiedzianych wyczerpało go.

- Co ty tak obstajesz za dziewczką? Bo to pierwsza czy ostatnia, którą Ryszard cisnął?

Edward nie słuchał go.

- Żebyś wiedział, jaka była piękna - mówił. - Raz ją tylko widziałem bez zasłony. Na początku niewoli... Przypadkiem naszedłem ją przy pałacowej fontannie. Mało mnie za to nie rozsiekali. Ona wybroniła. Chcieli wypalić oczy, nie dała... Saladyn i Malik bardzo ją kochali, dali się ubłagać. Tylko dzięki niej przeżyłem zdrów...

Vincent zamyślił się. To dziwne zachowanie, kiedy Edward zobaczył

Fatmę, te łzy w oczach, gdy skończyła opowieść...

- Swansen - położył rękę na ramieniu rannego - nie mów mi tylko, że ty ją... że ją...

- Kochałem, tak - szepnął ranny. - Wciąż kocham. Jak siostrę, jak najcenniejszy skarb. Nigdy bym się nie poważył pomyśleć o niej jak mężczyzna o kobiecie. To by było jak świętokradztwo. A Ryszard pierwsze, co zrobił, splugawił ją! Potraktował jak sukę! Bo sam jest jako pies! Taki robi, co mu każe natura, i dalej nie patrzy!

- Sama wepchnęła mu się w rękę.

- To go tłumaczy?

- Nie każ mi tego osądzać. Nie wiem. Że z niego podlec, każdy powie. Ale i znakomity wódz... Wiesz, co się wydarzyło, kiedy tu leżałeś?

- Domyślam się. Nie chcę, żebyś opowiadał.

- Powiedz mi, Edwardzie, dlaczego sułtan tak nastaje na odejście Ryszarda? Właśnie jego?

Swansen przymknął na chwilę oczy.

- Dobrze, powiem ci. Przez wzgląd na naszą przyjaźń. Ale nikomu tego nie powtarzaj, zgoda?

- Mam ci przysiąc? - roześmiał się de Rionne. - Mogę. To byłby dzisiaj już trzeci raz.

- Nie chcę przysięgi. Wystarczy zwykłe słowo. Teraz to już i tak bez znaczenia, bo król zaprzysiągł. Nie chcę jednak, by wiedział. Urósłby jeszcze bardziej w dumę. Jego pycha kiedyś go rozsadzi.

- Możesz być pewien, że nikomu nie powiem.

- Wiesz, dlaczego zostaliście zaprzysiężeni do milczenia o tych wydarzeniach i o wszystkim, czego się mogliście dowiedzieć?

- Nie zastanawiałem się nad tym zbyt wiele. Za wiele się działo. Pewnie dlatego, żeby nikt z naszych nie dowiedział się o przysiędze i całej tej historii. Byłaby awantura, jeszcze by zmusili Ryszarda do zaniechania układu.

- Niezupełnie, przyjacielu. Przebywasz na tej ziemi tak samo długo jak ja. Poznałeś ją. Wiesz, jak przesądni są tutejsi ludzie. To wszystko nie dla wojsk krzyżowych ma być tajemnicą, ale przede wszystkim dla Arabów. Krzyżowcy i tak by pewnie do końca nie uwierzyli. A gdyby nawet, nie miałyoby to takiego znaczenia, bo Ryszard i tak by odpłynął. Sułtanowi chodzi przede wszystkim o to, żeby jego poddani nic nie wiedzieli.

Vincent spojrzął na Swansena z niedowierzaniem. Czyżby majaczył?

- O czym ty mówisz? Król się wyniesie, to przecież zwycięstwo, nieważne jaką drogą się do niego dojdzie!

- Widzisz, jest taka przepowiednia. Krąży wśród wszystkich plemion. Że nadejdzie od zachodu wielki król, pan panów, i obejmie we władanie cały świat. Powiadają, że będzie on w boju nieśmiertelny. Żadna strzała go nie zabije... Ryszard jak ulał do tego pasuje. Sam wiesz najlepiej, ile razy cało wychodził z najgorszych opresji. Jak pcha się do każdej walki.

Vincent wzruszył ramionami.

- Radzi sobie, bo jest nadzwyczaj silny, biegły w fechtunku i ma wyborny pancerz... A śmiertelny jest jak wszyscy. Mało to razy widziałem, jak broczył juchą, bo mu strzały poraniły ciało? Wracął z bitki naszpikowany nimi jak jeż igłami. Zbroja nie puszczała, choć groty wchodziły aż pod przeszywanicę i haratały skórę...

- Ale oni tego nie wiedzą. Tak się rodzą legendy i prorocstwa. To dlatego Ryszard jest taki groźny. I dlatego Saladyn postanowił wykorzystać to nieszczęście, które spadło, żeby się go pozbyć. Dlatego o pomoc nie poprosił jawnie, choć byłoby to prostsze i łatwiejsze do uzyskania. Ryszard zapewne zgodziłby się na podobną awanturę, żeby potem truwerzy mieli o czym śpiewać.

De Rionne pokiwał głową.

- Wszystko zaczyna się układać. Ale dlaczego nie kazał go potem zabić? Z tego, co zauważyłem, Malik uczyniłby to bez wahania...

- Saladyn jest człowiekiem honoru... - zaczął Edward, ale przerwał mu

głos dobiegający od wejścia: - Salah jest człowiekiem wielkiej mądrości. - To był Malik al-Adil. - Gdyby nie obawiał się konsekwencji, wasz król byłby już tak samo martwy jak ghul, którego zabił.

- Poruszasz się równie cicho jak Edward - zauważył z podziwem Vincent.

- To umiejętność niezbędna do przeżycia na pustyni. Ibn Swanie, mam nadzieję, że wiesz, co czynisz, powierzając temu giurowi naszą największą tajemnicę...

- On nikomu nie powtórzy, książę. Stawiam na to moje zbawienie...

- Skoro tak... No cóż, panie de Rionne... Nie należy popełniać błędu i składać wszystkiego na karb honoru. Salah zwyczajnie obawiał się, że martwy król może być równie niebezpieczny jak żywy. Albo nawet bardziej. Martwe legendy są wielkim zagrożeniem. Zobacz przykład Tego, którego chwalicie i którego imieniem prowadzicie krucjatę. Zaś kiedy Anglik odejdzie, będzie wyglądało jakby wojnę przegrał, a głupie bajanie samo się skończy. Mądry władca potrafi wykorzystać każdą sposobność. Umie z beznadziejnej na pozór sytuacji wyciągnąć korzyść i obrócić niepowodzenie na swoje dobro. Tak właśnie uczynił sułtan. Nie tylko wyratował nas przed upadkiem w przepaść piekielną, ale także poskromił najgroźniejszego przeciwnika.

- A nikt z twoich ludzi, którzy tu są nie piśnie słówka?

- Oni wszyscy, poza moją zaprzysiężoną gwardią zostają na miejscu do końca.

- Na zatracenie...

- Na zatracenie, panie de Rionne. Razem z derwiszami i czcigodnym al-Hadžibem. Sami wybrali. Tu nie pozostanie kamień na kamieniu, zaginie po tych skałach ślad.

Spojrzał uważnie na Swansena.

- Możesz jechać ze swoimi.

- Wiem.

- Każę przysposobić co trzeba do drogi. - Malik odwrócił się do wyjścia.

- Książę - zatrzymał go głos Edwarda. - Mam prośbę.

- Spełnię każdą.

- Chcę jechać z tobą.

Vincent drgnął, zaskoczony.

- Co ty mówisz, czyś oszalał?!

- Nie wtrącaj się, de Rionne! Chcę jechać z nimi.

Al-Adil zmarszczył czoło.

- Ona jest szalona, ibn Swan, wiesz przecież. Nie odzyska zmysłów. A gdyby nawet... Cóż ci z tego przyjdzie? Dałbym ci ją za żonę, tylko po co? To nigdy już nie będzie słodka, urocza Fatma. Nic nie będzie jak dawniej.

- Chcę z wami - powtórzył z uporem Edward. - Nie potrafię już żyć tak jak kiedyś... Pokochałem nie tylko Fatmę. Pokochałem też pustynię i życie na niej.

Kąciki warg księcia drgnęły lekko.

- Zatem zgoda. Będzie to dla nas zaszczyt, giaurze, mieć cię u swego boku.

Vincent wstrzymał oddech. Bał się zakłócić tę rozmowę jakimkolwiek zbędnym gestem.



- Mówiłem, że zdrajca! - stwierdził z pewnym zadowoleniem de Morges. - Moje na wierzchu. Porzucił nas dla tych niewiernych psów!

Werner spojrział za siebie, tam gdzie znikły skały. Krwawa łuna bez zmian rozświetlała horyzont. Poczuł koło serca dziwne ukłucie. Ta przygoda była straszna, potworna wręcz, ale wiedział, że gdzieś tam zostawił część siebie. Przez krótki czas miał możliwość zobaczyć wielką

podłość i równie wielką szlachetność.

- Nie zostanę tutaj - powiedział. - Wracam z królem, nieważne czy nasi Austriacy zechcą czy nie. Mam dosyć tego wszystkiego.

- Nie dziwię się - rzekł Piotr z Telford. - Tyle przeżyć, takie straszności...

- Źle mnie zrozumiałeś, panie Telford. Nie mam ochoty więcej zabijać tych, których nazywamy poganami. Nie mam wcale pewności, kto ma tutaj słuszność...

Jadący na czele Ryszard odwrócił się i zatarł rękę.

- Obiegniemy Jerozolimę, trochę tam postoiemy, żeby nie było gadania. Już ja tak będę dowodzić, żeby trzeba było szybko odstąpić. Albo lepiej powierzmy dowództwo radzie. Będzie jeszcze szybciej, jak Filip się zacznie wymądrzać. A potem do domu! Zrobię nareszcie porządek z kochanym braciszkiem.

Patrzy już w przyszłość, pomyślał Vincent. Ziemia Święta, cała wyprawa krzyżowa, krwawy trud, przestały mieć dla niego znaczenie. Pewnie dlatego jest takim strasznym przeciwnikiem. Zawsze patrzy przed siebie, nie rozpamiętuje, nie ma wyrzutów sumienia. De Rionne uśmiechnął się do swoich myśli.

- Przypomniało ci się coś zabawnego? - trącił go Piotr. - Podziel się. Po tym wszystkim sam chętnie się pośmieję.

- Zabawnego? Bo ja wiem... Trochę. Przypomniałem sobie minę twojego króla, kiedy Malik rzekł mu na pożegnanie, żeby następnym razem uważał, gdzie tryska nasieniem.

Piotr zacisnął wargi, jednak po chwili nie wytrzymał.

- Prawda - roześmiał się. - Warto było to zobaczyć. Wracasz z nami? Twoja banicja już się skończyła. Ryszard wyjedna ci uchylenie wyroku.

Vincent potrząsnął głową.

- Nie wiem. Muszę się jeszcze zastanowić.

Przypomniał sobie słowa Edwarda.



- Nie potrafię już chyba żyć tak, jak dawniej...

Przerwał mu upiorny błysk, jakby nagle zapłonęło tysiąc słońc, niedługo potem doleciał straszliwy huk. Spłoszone konie zaczęły stawać dęba. Ledwo je mogli uspokoić. Od wypadku pokładli się na ziemi i zmusili do tego wierzchowce. Co jeszcze się zdarzy? Niebawem nadleciał podmuch powietrza, niosąc wielkie kłęby piachu. Zdawało się, że nawałnica rozsiecze ciało do kości. Trwało to jedynie kilka chwil, lecz im się wydawało, że ciągnie się jak wiek.

Kiedy zapanowała wreszcie cisza, zaczęli się niemrawo zbierać. Ryszard klął, wypluwając piasek.

- Wreszcie. Wrzucili to obrzydliwe cielsko do ognia. Mam nadzieję, że tę diabelską dziewczkę też weń cisnęli! Przeklęta niech będzie za to, do czego mnie przez nią zmuszono!

Vincent spojrzał znacząco na Piotra.

- Wiesz, Telford - powiedział - ja jednak zostanę. Pewnie nie tylko ja.

- Kiedy odejdziemy, Arabowie nie omieszkają wyzyskać przewagi. Łatwo tu będzie stracić życie.

- Być może. Jeśli nawet... Co komu pisane...

Zamyślił się. W uszach zahuczały słowa ojca. Kiedy opuszczali tajemnicze skały znowu go zobaczył, siedzącego na kamieniu w tym samym miejscu co przedtem. „Zginiesz - rzekł - powiadam po raz trzeci. Cokolwiek byś uczynił, zginiesz.”

Westchnął ciężko. Jeśli tak... Tu czy w rodzinnym kraju... Co za różnica. Krew wszędzie ma tę samą barwę.

# Wiesław Gwiazdowski

## MUFGAR

Emilian odwrócił się od schylonych w pokłonie samek i wyjrzał przez okno; czy mógł je ukarać za kolejny kaprys mocy, a zarazem własne niedopatrzenie?

Gdy przed trzema dniami wydał rozkaz zabicia posłów, wszystko przebiegło szybko i sprawnie. Bezbronni starcy i niewolnicy nie stawili oporu, a wojownicy po krótkiej walce podzielili ich los. Ciała wyrzucono poza mury, na żer padlinożerców. Nanni, władca Ill, i jego syn Mufgar, byli wśród nich.

- Mówicie więc, że żyje? - szepnął.

- Tak, panie.

Być może Mufgar był wyzwaniem rzuconym mu w twarz, by przejrzał i zrozumiał, że jest tylko pionkiem w czyjejś grze? Albowiem, choć miał świadomość istnienia mocy, którym nie mógł się przeciwstawić, często o nich zapominał.

Przeniósł wzrok z chmary ptactwa, krążącej poza murami, na schodzącą ze wzgórza karawanę. Ostatnio niewielu obcych odwiedzało Uruk. Zła legenda, którą podsycali kapłani różnych bóstw, chcący mieć wyłączność na składanie krwawych ofiar i daniny, odstręczała kupców. Niegdyś przybywali, by poznać tajemnicę wyklętego namiestnika, przywieziony towar wymienię na złoto i drogocenne kamienie po cenie dwu-trzykrotnie wyższej, przejść pustynię, a potem opowiadać, opowiadać... Wyssane z palca bajki.

Przez czas jakiś Emilian wychodził im naprzeciw. Goił rany i wygładzał blizny, ślepcom przywracał wzrok, a głuchym słuch, karły

przemieniał w pełnych doskonałości młodzieńców. Dlatego że nie chciał włączyć chorym ludem.

Wciąż jednak rodziły się ułomne dzieci, w kopalniach ludzie tracili życie i zdrowie, w rodzinnych kłótniach zdarzały się okaleczenia, a przy grze w kości śmiertelne starcia. Stworzenie idealnych wiernych było niemożliwe.

Dlatego po jakimś czasie zaniechał publicznych wystąpień i zaszył się w pałacu, a strumień ciekawskich wysechł. Cywilizacja północnych terytoriów zapomniała o wyklętym namiestniku, a wraz z nim o zacofanym południu. Świetne dawniej miasta przykrył piach. Osamotnienie wyгнаło ludzi z pustych murów.

Nawet Uruk nie było już tak gwarne jak niegdyś. Za czasów Aleksandra czy Heliogabala, za czasów pierwszego z wielkich, Diabolo.

Emilian nie próbował tego zmienić.

Dopiero przybycie posłów z Illonii zmało tę martwość - dawni wrogowie prosili o cud wyzdrowienia!!! Uległ ciekawości, nie przewidział biegu zdarzeń.

- Przyrowadźcie mi człowieka, który przywiódł tamtą karawanę - rozkazał. - Mufgarem sam się zajmę.

Samki opuściły komnatę.

Mimo ich posłuszeństwa, czasami wydawało się namiestnikowi, jakby nikogo przy nim nie było. Władza potrafiła dokuczyć, kaprysy mocy zepchnąć na samo dno przepaści. W Uruk dni płynęły wolno, a każdy był podobny do minionego. Zdarzało się więc, że przychodziło zmęczenie, a wraz z nim chęć dokonania zmian. Wówczas namiestnik przywoływał samki i zanurzał się między ich nagie ciała, przepoczwarzał się w różne postaci, stawał się wężem bądź wilkiem, stawał się kobietą. Czasami schodził do lochów, by popatrzeć na ostatnie żywe bestie - świadectwo przeszłości, potomstwo kapłanów eksperymentujących na ludziach i zwierzętach. Zatrzymywał się przy posągu Diabolo i wspominał swą

młodość. Minęło może ze sto lat, dość, by zapomnieć, umrzeć, narodzić się powtórnie. Dość, by się zestarzeć. On nie postarzał się ani o dzień.

Zbiegł z wieży do sali tronowej. Odprawił samki pilnujące gościa.

Mężczyzna mógł liczyć czterdzieści wiosen, był niewysoki, gruby. Ciągająca się przez cały policzek blizna szpeciła i tak już niezbyt przystojną twarz. Z uszu zwisały srebrne, kunsztownie rzeźbione obręcze. Wydatny brzuch kryły obfite szaty haftowane kolorowymi nićmi.

Skłonił się, widząc władcę, i pozostał tak w oczekiwaniu na jego słowa.

- Jesteś Illończykiem? - zapytał Emilian.

- Tak, panie - odparł przybysz i wyprostowawszy się, spojrzał w oczy namiestnika, o którym wiedział, że może go zabić za jedno nieodpowiednie spojrzenie.

- Rankiem minął ci samotny mężczyzna - podjął władca.

- W istocie, panie. Szedł bez broni i pożywienia, w pojedynkę, nie zatrzymywałem go więc, myśląc, że jest obłąkany. Śmiem przypuszczać, że nie dożyje ranka.

- Wyjawił ci swe imię?

- Tak, panie. Zapytałem go o nie, a on odparł: „Immanuel”, co znaczy błądzący lub obłąkany. Niestety, nie zamieniliśmy więcej słowa.

- Nie wydał ci się podobny do kogoś, kogo znasz?

- Nie, panie.

- Człowiekiem owym był Mufgar, następca tronu Ill. Znasz go przecież? - Kupiec cofnął się o krok. - Nie powiesz mi, że nie wiedziałeś o wyprawie Nanniego?

- Tylko z plotek, panie. Nie było mnie w owym czasie w mieście. Myślałem, że życie w niezgodzie, panie, i nie wierzyłem w to, co mi mówiono.

Emilian uśmiechnął się, rozpoznając w głosie kupca nutkę

niepewności.

- Tak było i tak jest - powiedział. - Tak też będzie, jeśli Mufgar wróci na tron. Albowiem wiedzieć musisz, że zabił swego ojca, Nanniego. Tu, w tej komnacie, po tym jak Nanni uśmiercił Ismenę. Lecz to ja zostanę nazwany mordercą. Nieważna jest bowiem prawdziwość zdarzeń, ale to, jak zostaną przekazane.

- Masz we mnie powiernika swego, panie - zapewnił Illończyk. - Wróciwszy do Ill opowiem, jak się rzecz miała. Słowo Naouta jest w Ill równe słowu namiestnika, więc nikt nie zarzuci mi kłamstwa, a to oczyści cię, panie, z pomówień.

- Doceniam to, Naoucie.

Mężczyzna skłonił się nisko.

- Wiedz też - dodał władca - że każdy z mych sług jest nagradzany według zasług. Nie zostaniesz pominięty.

- Nie dla nagrody lecz prawdy uczynię to, panie.

Ile w tych słowach było szczerości? Ile rozsądku i zimnej kalkulacji? Z pewnością nie po raz pierwszy Naout znalazł się w sytuacji, kiedy musiał grać. Dowiedziawszy się o śmierci swego władcy i jego córki, z pewnością nie chciał podzielić ich losu.

Być kupcem znaczyło mieć głowę na karku.

Emilian podszedł do okna. Zastanawiał się. Pozwolił umknąć Mufgarowi; czy mógł pozwolić mu żyć? Przeczuwał, że gdy zbieg wstąpi na tron, wystąpi zbrojnie przeciw niemu. A Uruk tak naprawdę nie posiadało armii. Kilkadziesiąt gwardzistek w zderzeniu z kilkutysięczną gromadą Illończyków... Jak kropla w morzu.

Nawet dla niego, choć zwał się bogiem, była to zbyt duża siła.

Powrót Mufgara w snach, które go nawiedzały, równał się zagładzie Uruk. Sny nie musiały się jednak sprawdzić.

- Kto jeszcze mógłby objąć tron Ill?

- Baalberitan, panie. - Kupiec zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Doradca Nanniego, jego krewny i zwierzchnik armii. Zdarzało się, że współrzędził pod nieobecność namiestnika.

- Opowiedz mi o nim.

- Baalberitan jest moim rówieśnikiem, panie. W jednej piaskownicy bawiliśmy się będąc dziećmi, w jednym zamtuzie obłapialiśmy dziewczki. Rósł w przeświadczeniu o swej bezkarności. Zawsze był bezwzględny, zarówno wobec swych wrogów jak i przyjaciół, których nie miał wielu.

- A w tobie kogo widział?

- Syna kupca, który nigdy mu się nie przeciwstawi. Zbyt wiele widziałem, panie, i zbyt wiele kark mój przyjął razów.

- Mówiłeś, że jest krewnym Nanniego?

- To prawda. I przypuszczam, że chcąc zachować ciągłość krwi, kapłani mogliby wynieść go na piedestał. Albowiem państwo bez władcy jest jak człowiek bez głowy. Słyszałem, że wielu chciało jego nominacji.

Emilian odwrócił się od okna.

- A Nanni i Mufgar? Obydwaj przecież żyli jeszcze.

- Nanni, jak wiesz, panie, był starcem, a Mufgar cierpiał na nieuleczalną chorobę. Od dawna brakowało Illonii twardego władcy, a Baalberitan słynął ze swej stanowczości. Nie zdziwiłbym się, gdyby już go mianowano.

Od wieków kapłani decydowali o losach państw, i rzeczywiście, wyprawa umierającego władcy do Uruk, wroga od zarania, mogła dać im pretekst do wyniesienia nowego namiestnika. Namiestnika, którego lud znał i prawdopodobnie się lękał.

- Gdy wrócisz do Ill, Baalberitan cię ozłoci, Naoucie - stwierdził Emilian. - Za dobre wieści i ostrzeżenie przed Mufgarem. Nie jesteś biedny, a będziesz jeszcze bogatszy; czyż nie czyni cię to najszcześniejszym człowiekiem na świecie?

- Bogactwo nie jest wyznacznikiem szczęścia, panie - odparł kupiec. - Pozwala jedynie wygodniej żyć.

- Co zatem uczyniłoby cię szczęśliwym?
- Syn, panie. Następca. Mam sześć cór, lecz nie mam syna.
- Jedną z nich naucz kupiectwa.
- By wyśmiano mnie i wyrzucono z gildii? Od wieków wyłącznie mężczyźni zajmują się handlem; nie wyłamie się, bo to znaczyłoby, że nie mam honoru.
- Mufgar również przysięgał wierność i cóż z tego? Nie zawahał się zabić swego ojca i z pewnością nie zawaha się, gdy przyjdzie mu złamać dane słowo po raz kolejny.
- Nie nazywam się Mufgar lecz Naout, panie. I nie jestem następcą tronu, tylko kupcem.
- Słyszałem kiedyś o człowieku, który jak ty prowadził karawany, sprzedawał niewolników i świecidełka, i nagle, z dnia na dzień stał się władcą.
- I ja słyszałem o nim, panie. Zwał się Negef i objął tron Illonii po tym, jak zbuntowani niewolnicy zamordowali ówczesnego namiestnika i całe jego potomstwo, nie wyłączając kobiet i niemowląt. Wielu mówiło, że to on sam stał za owym buntem, wielu za te podejrzania dało głowy. Przez sto dni kat moczył topór we krwi. Sto dni rządził Illonią Negef Samozwaniec. Jako kupiec dożyć mógł stu lat w dobrobycie.
- Jako władca również - rzekł Emilian. - Zbyt wielu ludziom zaufał i zapłacił głową.
- Był kupcem, nie władcą. Nie płynęła w nim szlachetna krew. Zresztą rzeź, którą sprawił miastu, nie przyniosła mu chwały.
- Lecz zachowała w pamięci ludzkiej.
- Jako uzurpatora i mordercę. Wolałbym umrzeć w biedzie, niż niesławą okryć mój ród.
- Obyś tylko w złą godzinę nie wypowiedział tych słów - mruknął Emilian i z satysfakcją dostrzegł cień strachu na twarzy mężczyzny. Bogactwo nauczyło go próżności i zadufania, pewność siebie nie

dopuszczała szacunku dla innych czy myśli o utracie posiadanej pozycji. Gdzieś jednak, głęboko, tkwiły ziarna strachu.

- Długo będziesz w Uruk? - przerwał przedłużające się milczenie namiestnik.

- Kilka dni, panie.

- Czekać więc na posłańca. Wezwę cię jeszcze do siebie.

Kupiec skłonił się i tyłem wycofał z komnaty.

Emilian popatrzył na swe dłonie i zacisnął je powoli. Za drzwiami tajemnicy krył się początek i koniec, i dlatego warto było przekroczyć jej próg, by sprawdzić, co wymyślili bogowie.

Na razie więc nie zabije Mufgara, a jeśli Naout spróbuje to uczynić, nie przeszkodzi mu. Stanie się obserwatorem, by później zostać sędzią. Gdy zaś nadejdzie dzień gniewu...



Naout opuścił pałac i szybko zbiegł po schodach, równie energicznym krokiem zagłębił się między zabudowania. Odnalazł karawanę.

- Hasmed, Misabu! - przywołał dwóch rostrych mężczyzn, a gdy podeszli, zniżył głos do szeptu: - Pamiętacie wędrowca, którego minęliśmy rankiem? Wyruszycie dziś jeszcze, odnajdziecie go i zabijecie. Potem zakopiecie ciało, by nikt go nie odnalazł. Rozumiecie?

Nawet jeśli nie był to Mufgar, człowiek ów nie mógł pozostać przy życiu.

- Tak, panie - potwierdzili słudzy.

- Zatem niech stanie się tak, jak rzekłem.

Mężczyźni skłonili się i odeszli.

Naout otarł spocone czoło i twarz, wytarł dłonie o szatę. Drżał cały. Mufgar był prawowitym następcą tronu, synem człowieka, który zawsze



sprzyjał kupcom. Był porywczy i młody, lecz nie znaczyło to, że okazałby się złym władcą. Tymczasem on, Naout, kazał go zabić.

Przeraził się tą myślą i splunął za siebie. Albowiem co się stanie, jeśli jego plan się nie ziści? Jeśli Baalberitan nie dotrzyma słowa? Kaze go zabić jako niewygodnego świadka? Znał go i dlatego miał prawo się bać. Poza tym przysięgał rodowi Nanniego.

Lecz przysięgał również Baalberitanowi - kiedy byli dziećmi i później, gdy po dwakroć nie dopuścił, by zginął. Dwóch ludzi straciło życie tamtej nocy, dwa wyrwane z jeszcze ciepłych ciał serca wypełniły żołądki młodzieńców. Po dziś dzień Naout czuł w ustach smak krwi, a przy spotkaniu z Baalberitanem zawsze jak bumerang wracało wspomnienie tamtej rzezi.

Popatrzył na niewolników, na schodzące się z niebem pustynne wzgórza, i odwrócił ku miastu. Zwano je przeklętym i zaprawdę, wiele w tym było racji. Przybył tu wiedziony nadzieją zysku, otrzymał coś po stokroć cenniejszego - prawdę o Nannim.

Hasmed i Misabu opuścili obóz.

Kupiec oblizwał spieczone wargi, skierował się do swego namiotu. Skinął na przebywającego w nim chłopca i położył się na plecach.

Spod przymkniętych powiek obserwował, jak niewolnik rozwiązuje przepaskę biodrową a potem klęka obok. Uśmiechnął się i położył dłoń na oliwkowym udzie sługi.

- Dobrze, Rubi, dobrze - pochwalił go. - Podjąłem wiele ważnych spraw i potrzebne mi zapomnienie, bo nie wiem, czy wszystko pójdzie po mojej myśli. Boję się, że mogę cię utracić. A nie chciałbym tego, rozumiesz?

- Tak, najwspanialszy.

- Twoje piękno i pieszczoty pozwolą mi zapomnieć. Ciężko jest samemu podejmować tak ważne decyzje. Gdy będzie po wszystkim, zostaniesz nagrodzony.

- Nie pragnę nagród.

- Wiem, Rubi, wiem.

Zręczne dłonie rozpinały szaty kupca.

Naout uśmiechnął się, czując na brzuchu muśnięcia delikatnych palców kochanka. Pomyślał o swej małżonce, która nigdy nie potrafiła dać mu tego, czego oczekiwał. I o przyjemności, której za chwilę dozna.

Patrząc na Rebekeę odczuwał niechęć i pustkę, niemiłe wrażenie, że opuścili go bogowie.

Tylko Rubi przynosił mu spokój i wytchnienie.



Wędrowiec zatrzymał się na wzniesieniu i rozejrzał w poszukiwaniu oznak życia. Po stokroć ostrzejszy wzrok nie dostrzegł jednak nikogo, a zwierzęcy węch nie wyczuł obcych woni.

Minął dzień, minęła noc. A on szedł bez zmęczenia i głodu. Miał w sobie siłę, której obecności nie potrafił wyjaśnić.

Gdy przebudził się o brzasku i spostrzegł wokół siebie martwe ciała, a nad głową kołujące ptaki, pomyślał, że to zły sen. Dłuższą chwilę trwało, nim powróciło wspomnienie. Potem odnalazł ojca i zrozumiał. Strząsnął kurz z szat i ruszył w pustynię.

Daleko na północy znajdowało się jego dziedzictwo i musiał je odzyskać, objąć zwierzchność nad armią.

Co go czekało w Illonii? Z pewnością tysiące pytań. A potem być może walka o tron. Jeśli wieść o nominacji Baalberitana okaże się prawdą. Jeśli Naout go nie okłamał.

Czuł w sobie siłę, której nie znał, i wierzył, że jest w stanie dokonać niemożliwego, lecz był sam. Tysiąc zamierzeń przepływało przez umysł, czy jednak zdoła je spełnić?

Naout wspomniał o Hagicie, namiestniku Elwin, któremu Nanni przyobiecał Ismenę. Władca przybył w gości i został, mimo nieobecności gospodarzy i mianowania Baalberitana.

Znali się jeszcze ze szczenięcych lat, w jednej piaskownicy toczyli pierwsze bójkę, te same kobiety wzbudzały w nich pożądanie. Dlatego między innymi pokłócili się o Ismenę. Kto wie, czy gdyby doszło do pojedynku, któryś nie dałby głowy?

Teraz Ismena nie żyła i mogli znów się pobratać. Przeciw jej mordercy, Emilianowi z Uruk. I Baalberitanowi, za którym obaj nie przepadali. Kiedyś na własnej skórze poznali ciężar jego ręki i poprzysięgli zemstę. Hagit dysponował armią dość liczną by wszcząć wojnę.

Tylko czy się zgodzi?

Bawił w gościnie ponoć już drugi tydzień, i kto wie, co zdarzyło się w te dni? Baalberitan był przebiegłym i twardym wodzem. Jako głównodowodzący stworzył ongiś siatkę szpiegów obejmującą wszystkie obszary. Jego drugie uszy wyłapywały najcichszy szept, jego drugie oczy dostrzegały rzeczy niewidoczne. Wielokrotnie organizował wymarsze na tereny Adrion i Elwin, zbratał się z tamtejszymi wodzami, poznał ich siłę.

Był przeciwnikiem, z którym należało się liczyć.

Mufgar rozejrzał się i zaczął biec. Miał jeszcze długą drogę przed sobą a pustynie wokół Uruk owiane były złą sławą. Podróżni uzbrajali się jak na wyprawę łupieżczą, nocą pojawiały się dziwne cienie, wycie potrafiło ścierać krew w żyłach. Musiał się z tym liczyć. Wciąż pamiętał zdziesiątkowane karawany i ludzi, którym pomieszało się w umysłach, opowieści o bestiach atakujących nocą.

Wielu wyprawę do Uruk przypląciło życiem. Wielu też jednak odzyskało zdrowie i zdobyło bogactwo, które spędzało sen z powiek. Trędowaci obnażali zdrowe ciała, ślepcy sokolo widzące oczy, głusi reagowali na najcichszy szmer.

Cuda kusiły.

Skusiły również Nanniego.

W południe dostrzegł jadących w ślad za nim dwóch jeźdźców. Zatrzymał się i po namyśle, postanowił zaczekać. Bez lęku, że to pościg. Czuł dziwne podniecenie, które kazało mu przygotować się do walki.

Pragnął jej!

Nie czekał długo, jeźdźcom musiało się spieszyć.

Podniósł rękę na znak pokoju i w tej samej chwili ujrzał wymierzoną w siebie włócznie. Odskoczył w ostatniej chwili, potknął się i na okruchach skał poranił dłoń. Nie poczuł bólu, wyłącznie gniew. Zerwał się na nogi i skoczył na napastnika. Uderzenie cofnęło go o krok. Zaciśnął dłoń na drzewcu i wyrwał ostrze ze swej piersi, tępym końcem trafił w czoło wroga. Dopadł go, gdy tylko tamten zwałił się z wierzchowca, wbił w jego brzuch włócznie.

Drugi napastnik był już obok. Uchylił się przed ostrzem i nagle stracił równowagę. Jeździec wyrwał stopę z trzymających ją rąk, kopnął w twarz. Końskie kopyta o włos minęły głowę Mufgara, grot zatrzymał się między brzuchem a dłonią. Złapał włócznie tuż powyżej i szarpnął, zerwał się na nogi, doskoczył do jeźdźcy i ściągnął go na piach, przygniótł kolanem.

- Kto?! - warknął.

- Pan nasz... - Słowa szybko przekształciły się w niezrozumiały charkot.

Trzask łamanych kości zdusił głos, zatrzymał przebite serce.

Mufgar podniósł się, podszedł do drugiego mężczyzny i ukląkł przy nim, wgrzyzł się w jego szyję. Ciepła lepkość wypełniła gardło, popłynęła przełykiem.

Oderwał się na chwilę, popatrzył w mętniejące oczy.

- Zwę się Immanuel - warknął zmienionym głosem. - Dawniej mówiono mi Mufgar i oddawano cześć jako następcy tronu. Zapamiętaj.

Przyssał się ponownie.

A gdy już się nasycił i odpoczął po posiłku, rozerwał szatę na piersi i przyjrzał zakrzepłej ranie. Grot musiał o włos minąć serce. Mufgar mimo to żył, chodził, mógł walczyć. Stało się coś, czego nie pojmował.

Coś z jego ciałem, z umysłem, ze zmysłami.

Podniósł dłonie do ust i oblizał je starannie - nigdy krew nie smakowała mu tak jak dziś. Nigdy nie miał w sobie tyle siły i bezwzględności.

Przyszły mu na myśl spory z ojcem, kłótnie o samodzielność i Ismenę, której pragnął dla siebie na wyłączność. Tak długo domagał się swych praw!

Gdyby wtedy był taki jak dziś, zapewne już siedziałby na tronie.

Złapał wierzchowce, dosiadł karego.

Illonia czekała.



Emilian wezwał Naouta. Minęły dwa dni. Nadszedł czas.

- Jak handel? - zapytał na powitanie.

- Dobrze, panie. Lud Uruk jest wybredny lecz hojny. Targuje się długo, nie są to jednak czcze targi.

- Wiedzą że bez narzędzi nie mają po co iść do kopalń, a owoce są tutaj przysmakiem, o który trudno - zauważył namiestnik. - Gdybyś im, kupcze, zaoferował owcze skóry, zostałbyś wyśmiany, tak jak głupcy, którym się to przytrafiło wcześniej.

- Wiem, panie. I dlatego zwę się Naout.

- I dlatego wysłałeś wiadomość do Baalberitana - dodał władca. - Widziałem jeźdźców, których odprawiłeś po wizycie u mnie.

- W istocie - kupiec zawahał się na moment - nic nie umknie twoim

oczom. Po tym, co powiedziałaś mi, panie, uznałem, że słusznym byłoby powiadomić kapłanów, albowiem państwo bez namiestnika jest...

- ...jak człowiek bez głowy - dokończył pan na Uruk. - A co z Mufgarem?

- Z Mufgarem, cóż... Człowiek, którego widziałem na pustyni, różnił się znacznie od tego, którego znałem. A skoro tak, w Ill uznają go za kłamcę i... oddadzą katu.

- Wiedz zatem, że Mufgar przybył tu martwy i takim go widziałem po raz ostatni. Ożył jednak i wiedzieć nie możesz, czy nie uczyni tego raz jeszcze. Na oczach ludu, jako potwierdzenie swych słów. Ma zmienioną twarz i osobowość, być może w wyniku choroby, którą przeszedł, a może stało się tak, gdyż narodził się ponownie, już jako inny człowiek? Spójrz. - Na wyciągnięcie ręki rozbłysła fioletowa kula, wewnątrz pojawił się obraz pustyni i idącego samotnie człowieka. Po chwili dołączyło do niego dwóch jeźdźców i rozgorzała walka. - Przypatrz się - rzekł władca - wierności twych sług. Wysłałeś ich do Baalberitana, oni jednak zapragnęli bogactw. Samotny wędrowiec zawsze jest łatwym łupem, a nie wiadomo, co przy sobie kryje. Może sakiewkę pełną złota? - W głosie pojawiła się ironia.

Kupiec zbladł.

- Tak, tak. Posłałeś ich na śmierć.

Mężczyzna upadł na kolana i oparł się czołem o posadzkę.

- Zawierzyłem ci, Naoucie, i chciałem nagrodzić, nazwać swym bratem, byś mógł bez przeszkód odwiedzać Uruk. A tyś mnie okłamał. I nie wiem teraz czy mam cię ukarać, czy zapomnieć o wszystkim. Podpowiedz mi, bo mam dylemat. Dość się już nazabijałem, a ty i tak prawie jesteś już martwy. Gdy Mufgar odzyska tron będziesz pierwszym, który da głowę. Albowiem tyś go nie poznał, lecz on ciebie z pewnością.

Namiestnik umilkł i wchłonął fiolet, zamazując obraz pożywiającego się zabójcy. Pomyślał o złości bogów i o tym, że ich największą

radością jest zemsta.

Historia Mufgara przypomniła mu jego własną - albowiem kiedyś również poniósł śmierć, a potem ożył i wrócił, by odzyskać tron.

Rozłożył ręce i uniósł się nad posadzkę. Zawisł. Powietrze w pobliżu zaczęło drgać i mienić się kolorami, kształtować w ludzką postać. Stało się kobietą.

Emilian przyjrzał się stworzeniu i uśmiechnął, dostrzegając w nim zarówno piękno jak i brzydotę, niewinność i rozpustę. Pomyślał, że wszystko to mu się przyda - Witaj wśród żywych, Ismeno - rzekł.

Samka drgnęła, jeszcze senna. Popatrzyła niewidzącym wzrokiem na namiestnika.

- Poznajesz tę kobietę, Naoucie?

Kupiec pokiwał głową. Z przerażenia nie mógł wykrztusić słowa.

- Mówiłem ci, że Nanni ją zabił, i tak było w istocie. Nie zawsze jednak wszystko jest takie, jakim się być wydaje Oto zmartwychwstał Mufgar - dlaczego? By wystąpić przeciw mnie? Nie wiem. Miałem sny, w których przy boku Ismeny deptał ruiny Uruk. Nie znam jego planów i nie wiem, co zamierza, domyślam się, lecz co warte są domysły? Dlatego zanieś mu wiadomość, że jego siostra żyje. Jeśli obejmie tron...

- Każe mnie zabić...

- Jeśli obejmie tron - powtórzył Emilian. - Jeszcze nic nie jest przesądzone, Naoucie. Jak sam wiesz, tylko ten jest namiestnikiem, kogo wyniosą kapłani. A zatem Baalberitan. Poza tym nie musisz powiedzieć mu o tym osobiście.

Naout otarł spocone czoło. Nie pojmował nic.

- Nie nadążam za tobą, panie - przełamał się. - Nazwałeś Mufgara swym wrogiem, a jednak pozwoliłeś mu odejść. Teraz ożywiłeś Ismenę. Może i Nanniego przywrócisz życiu?

- Nie było go w mych snach.

- Nie rozumiem.

- Nie musisz, Naoucie. Jestem bogiem, a zamysły bogów są nieodgadnione! - zakpił Emilian. - Jeśli kiedyś je odkryjesz, ogłoszę cię jednym z nich.

- Wiesz, że to niemożliwe, panie.

- Nie ma rzeczy niemożliwych.

Namiestnik dotknął twarzy kobiety, musnął jej szyję.

- Przyjrzyj się jej, kupcze, albowiem przez nią stało się to wszystko. I to ona winna jest całego zła, które się wydarzyło. Dlatego zginęła. Dlatego jako gwarancję twojej uczciwości dasz mi chłopca, z którym spędzasz noc.

Kupiec zamarł z otwartymi ustami, którym nagle zabrakło słów. Nadzieja na zaszczyty i szczęśliwe życie z Rubim przy boku... znikła jak mydlana bańka.

- Nie martw się o niego. Nie uczynię mu krzywdy. Jeśli ty mu jej nie uczynisz - dodał jeszcze namiestnik, widząc wyraz twarzy kupca i podjął:

- Powiedziałeś, że syn uczyniłby cię szczęśliwym człowiekiem.

- To prawda, panie.

- A władza? Zastanów się, czy po nią nie sięgnąć. Mając piedestał Illonii, rzeczy niemożliwe stałyby się realne. Takiej okazji nie będziesz miał już nigdy.

Kupiec otarł pot. Niczego nie pojmował, miał mętlik w głowie.

- Kapłani mnie nie wyniosą - rzekł w końcu. - Nie jestem krwią z krwi.

- A gdybyś rządził wraz z Ismeną? W imieniu waszego syna, wnuka Nanniego? Pomyśl przez chwilę.

- No, nie wiem. - Zapach potu kręcił w nosie, drażnił, rozpraszał myśli. Co miał odpowiedzieć? Jak się zachować? Spojrzał na Ismenę. Na jej lubieżną nagość, na bliznę na szyi. Bez wątpienia była córką Nanniego - najpiękniejszą samką Illonii. Lecz patrząc na nią nie czuł nawet pożądania.

- Dam ci ją na noc, potem na następną. Jak sam wiesz, kupcze, między



ustami a brzegiem pucharu wszystko stać się może i kto wie, czy nie doczekasz się jeszcze upragnionego syna? Uruk nie jest zwykłym miastem.

Przerażenie zmroziło Naouta:...on zna moje myśli!

- Przyślę ci ją wieczorem - rzekł Emilian. - W zamian oddasz mi chłopaka. Teraz odejdz.

Mężczyzna wycofał się z komnaty.

Emilian dotknął ramienia samki, wpił się w czerwień jej ust.

- Widziałem odrazę w oczach Naouta - szepnął - I strach.

- Raczej litość, panie.

- Jest kupcem, nie władcą. Boi się i dlatego spełni to, co mu powiem.

- Nie pożąda mnie.

- Zacznie po pierwszym spotkaniu. Dlatego mu cię dają. By zakosztował twej słodyczy i poczuł się jak pan i władca. Jesteś krwią z krwi, Ismeno, najpiękniejszą córą Illonii. Jak wielu samcom dane było ujrzeć twą nagość? Kilku eunuchom. Dlatego poczuje się wyróżniony i nigdy nie zapomni o przyjemności. Tej, którą mu dasz, i przyjemności władzy, której doświadczy bijąc cię i kryjąc.

Wargi połączyły się z wargami, a język z językiem; dłonie namiestnika zatrzymały się na pośladkach kobiety.

- Zapomni się w tobie - szepnął władca. - Tak jak twój brat i ojciec.

- A jeśli nie? Widziałam okrucieństwo na jego twarzy.

- Nie bój się. Wszystko to, co tobie uczyni, tak naprawdę uczyni dla swego kochanka.

- Zdradzi cię.

- Nie zdradzi. Już zdradził. Przybył tu z polecenia Baalberitana, a rzekł mi coś zupełnie innego.

- Mówisz o tym tak spokojnie, panie.

- Albowiem nie stało się jeszcze nic. Nic, czemu nie mógłbym zapobiec.



Mufgar wstrzymał wierzchowca. Dziewięć długich dni zajęła mu wędrówka, lecz w końcu znalazł się u kresu. Kamienna piramida, wznosząca się tuż obok, oznaczała granicę terytorium Illonii. O trzy dni stąd znajdowała się stolica obszaru.

Był tu kiedyś, jeden raz, w pogoni za zwierzyną z drużyną przy boku, i pamiętał, że przez pół dnia gapił się w bezmiar pustyń, obłoki pyłu podrywane przez wiatr, toczące się kłęby cierniowych krzewów.

- Przyjdzie czas, że sięgniesz po ten bezkres, panie - rzekł wówczas towarzyszący mu wojownik.

- Za dziesięć, dwadzieścia lat? - odparł, nie wierząc w sprawdzenie się słów, bo Nanni mimo podeszłego wieku ani myślał przekazać władzę. Zapatrzone w Ismenę, wszelkimi sposobami szukał możliwości przedłużenia życia. Myśl o oddaniu jej Hagitowi pojawiła się znacznie później, po kolejnej kłótni.

- Uruk jest tylko miastem, panie. Bez armii.

- Za to z demonem na tronie.

Tak wtedy myślał i czuł. I chyba bał się konfrontacji. Zbyt wiele plotek słyszał, zbyt cenił swe życie. Mijały lata, Baalberitan szkolił wojowników, Nanni otaczał się oszustami obiecującymi mu nieśmiertelność, a on sam podupadł na zdrowiu.

Początkowo nie przejmował się nagłymi zawrotami głowy i brakiem smaku, wciąż pił na umór i nurzał w rozpuście, by zapomnieć. O Ismenie i chęci uśmiercenia ojca. Zamtuzy dawały mu schronienie przed samym sobą dym palonych ziół przynosił wizje.

Chudł, tracił poczucie miejsca i czasu, nie rozpoznawał znajomych. Katem groził tym, którzy próbowali mu to uświadomić - poleciało kilka głów.

Któregoś dnia stracił przytomność i minęły trzy noce, nim ją odzyskał. Lecz nie miał w sobie dość sił, by poruszyć nogą czy ręką. Kapłani powiedzieli, by nie tracił nadziei i modlił się o cud.

Zapamiętał ich słowa, a potem zapadł się na samo dno rozpaczony i przestał walczyć. Budził się co jakiś czas, zasypiał i majaczył, przeklinał kapłanów i Nanniego.

Nie zdążył zapytać, kto podpowiedział ojcu, by wyruszył do Uruk. Dlaczego wziął ze sobą Ismenę. Nie był świadom nawet tego, że idą przez pustynię.

Patrząc na swe dziedzictwo obiecywał sobie, że pozna prawdę. Jeśli będzie musiał zabić - zabije bez wahania. Zbrata się z ciemnością odszuka Baalberitana.

Lecz nie od razu. Najpierw stanie się cieniem, który otoczy miasto pajęczyną strachu. Przybędzie jako wyzwoliciel, dawca pokoju i miłosierdzia. Wiedział, że kapłani nie przyjmą go z otwartymi ramionami - nie był dawnym Mufgarem. Zmartwychwstanie odmieniło mu twarz; Naout nie rozpoznał go, mimo że stali obok siebie niemal się dotykając.

Przekona ich jednak. Gdy trzeba będzie użyje siły.

Dziewięć dni, które minęły od opuszczenia Uruk, pozwoliło mu bliżej poznać moc nowego ciała, obdarzyło wiarą że może zniszczyć Emiliana.

Być może kiedyś również obwoła się bogiem?



Naout przywołał Rubiego i przytulił go do piersi. Mocno, najmocniej jak potrafił. Aż w oczach chłopaka pokazały się łzy i na moment stracił oddech.

- Muszę odesłać cię do pałacu - szepnął kupiec. - Nie wiem, na jak długo i nie wiem, co cię tam czeka. Boję się, że mogę cię już nie zobaczyć i

już nie poczuję twych dłoni i ust. Nie zakosztuję twej słodyczy. A ty o mnie zapomnisz.

- Nie zapomnę nigdy o tobie, najwspanialszy - zapewnił niewolnik.

- Ale przez jakiś czas nie będziemy się widywali. - Mężczyzna, nie kryjąc się ze słabością otarł łzy. - Za kilka dni wracam do Illonii, ty zostaniesz tutaj. Tak nakazał przeklęty, oby skonał w rozpacz. Nie mogłem odmówić. Wybaczysz mi?

- Tak, mój panie.

- Będę się modlił o jak najszybsze spotkanie. I o two zdrowie, żeby nikt nie uczynił ci krzywdy.

- I ja będę się modlił, abyś w zdrowiu dotarł do Ill.

Mężczyzna przywarł ustami do czoła sługi.

- Smak twego ciała zawsze będzie przy mnie - zapewnił i ponownie startł wilgoć z kącików oczu. - Gdybym mógł przewidzieć, że do tego dojdzie, nigdy bym nie wyruszył. Zapragnąłem bogactw, sławy i zaszczytów. Baalberitan obiecał mi stanowisko przy swym boku. Połakomiłem się, a teraz płacę za głupotę.

Kupiec legł na posłaniu i skinął na chłopca. Leżąc na wznak gapił się w zwieńczenie namiotu. Znów się pocił, znów drżały mu ręce. W gardle usadowiła się gula, której nie mógł przełknąć.

Jeszcze nie spotkał się ze swą śmiercią lecz miał dziwne przeczucie, że jest ona gdzieś blisko. Rozglądając się podświadomie szukał jej obecności.



Na rozmyślaniach minął mu dzień. Gdy przybyły gwardzistki z Ismeną nie miał już w oczach łez. Wypłakał wszystkie.

Na widok samki poczuł dziwne ukłucie. Nie pragnął jej, cień

nadchodzącej nocy uczynił ją jednak niezwykle pociągającą. Pamiętał rozmowy mężczyzn wysławiających jej piękno, marzenia swych cór zazdroszczących jej urody i jasnych włosów.

Rzeczywiście, wyglądała inaczej niż kobiety z Ill, Adrion czy Elwin. A gdy dosiadała wierzchowca, z daleka przypominała prześlicznego młodzieńca.

Popatrzył na Rubiego - jego niewinna, chłopięca twarz również była piękna, jego ciało ciepłe i delikatne.

- Chłopak idzie z nami. - Słowa zakłóciły tok rozmyślań.

Naout ocknął się i przytulił niewolnika po raz ostatni.

- Tak trzeba - szepnął.

Z zaciśniętymi zębami patrzył za nim, dopóki nie znikł mu z oczu. Potem odsunął połę namiotu i zaprosił Ismenę do środka.

- Bądź przeklęty - szepnął, wchodząc za nią. - Mówił mi namiestnik - rzekł na głos - że ojciec twój cię... - urwał.

- ...zabił? - dokończyła samka. - To prawda. Spójrz - pokazała bliznę na szyi. - Byłam martwa, jak jednak widzisz, już nie jestem. Naciesz więc mną oczy, bo nie każdemu dana jest ta możliwość. Zwłaszcza gdy jest kupcem czy kimś innym z plebsu.

Naout odruchowo zacisnął pięści. Doskoczył do samki i pchnął ją na posłanie, zwałił się na nią. Przełamując opór zaczął rozrywać szaty. Był kim był i zawsze podkreślał swe pochodzenie i status, nigdy się tego nie wstydził.

- Pokażę ci plebs, suko - warknął. - Aaaa...! - wrzasnął nagle i wyrwał rękę z zaciśniętych na niej zębów, bez namysłu wymierzył potężny policzek, a potem, szarpiąc się, przewrócił kobietę na brzuch i wykręcił jej ramię do tyłu. - Zobaczysz - wycharczał. - Pokażę ci. Pokażę. - Posiadł samkę w sposób, w jaki zawsze czynił to z Rubim. - Suka, suka, suka... - syczał, wyładowując całą wściekłość i pożądanie.

Po raz pierwszy był tak z kobietą, po raz pierwszy czuł tak wielką

rzadzę. Rebekeę pojął dla potomstwa, Rubiego przygarnął z braku syna, a nigdy nie było mu tak dobrze jak w tej chwili.

Zastygł nagle i jęknął, ślina popłynęła po brodzie, przyjemność na chwilę przyćmiła wzrok. Zamknął oczy i zwałił się ciężko, bez sił. W skroniach pulsowało nienormalnie, serce waliło jak oszalone, oddech ze świstem wypełniał płuca.

- Byłaś martwa - rzekł, odpocząwszy. - A teraz jesteś moja. Namiestnik ożywił cię, bym mógł cię kryć jak sukę. Dopóki nie dasz mi syna. Rozumiesz? Teraz ja jestem twoim panem! Nikt inny. Zapomnij o Mufgarze, zapomnij o Hagicie! I nie łudź się, że skoro jesteś monarszej krwi, okażę ci szacunek.

- Gdyby nie ja, byłbyś już martwy, kupcze.

- To ty byłabyś martwa!

Nie doczekał się zaprzeczenia. Nie wiedział, że ból, który sprawił kobiecie, był bólem zadany Rubiemu. Nie wiedział, że sprawił jej przyjemność. Mimo odrazy, którą czuła.

Podniósł się i obwiązał ranę po ugryzieniu. Uśmiechnął się do samki.

- Gdy dotrę do Ill, powiadomię Baalberitana, że Mufgar zabił Nanniego. Jak wiesz, za ojcobójstwo grozi ścięcie, a to oznacza, że kapłani nie mianują Mufgara.

- Mówisz o prawie dla motłochu.

- Tak, albowiem w tej chwili Mufgar ma tyle władzy co biedak z plebsu. Nie widziałaś go. Nie wiesz, jak się zmienił. Rozmawiałem z nim, stojąc na wyciągnięcie ręki, a mimo to nie poznałem. Nikt go nie rozpozna!

- Kapłani poznają.

- Kapłani? I co zrobią? Namaszczą? Po tym jak obrali Baalberitana?

- Gdy Mufgar go zabije, nie będą mieli wyboru. Jest krwią z krwi.

Naout splunął z odrazą i wyszedł z namiotu. Nie tak wyobrażał sobie spotkanie z Ismeną.

Z Rebeką rozmawiał wyłącznie o dzieciach, a Rubi zawsze się z nim zgadzał - tego po nim oczekiwał.

Tym, na czym się znał, był handel, nie władza. A jednak gdy Emilian zaczął go nią kusić, zdał sobie sprawę, że jest w jego słowach wiele racji. Pożądanie, któremu uległ widząc Ismenę, jeszcze go w tym utwierdziło. Rozmowa sprzed chwili uświadomiła mu, że tylko jako monarcha może liczyć na prawdziwy szacunek. Nie wstydził się swego kupiectwa, a jednak gdzieś głęboko w nim narodziły się wątpliwości.

Pogubił się. Baalberitan obiecał mu zaszczyty - był jednak daleko. A Mufgar... Zapewne już przekroczył granicę Illonii.

Wolał nie zastanawiać się, jakie ma plany.

Śmierć Hasmeda i Misabu wracała jak zły sen.

Z mroku wyłoniły się gwardzistki. Pokłonił się, gdy podeszły bliżej.

- Pan pyta się, czy zaspokoilesz rządę, kupcze - usłyszał i zbladł na myśl, że mógł być obserwowany przez Emiliana.

- Tak - wykrztusił. - Możecie ją odprowadzić do pałacu.

Pomyślał, że zaprawdę wiele jeszcze stać się może między ustami a brzegiem pucharu, i że wciąż znajduje się w Uruk, mieście przeklętym, gdzie nic nie jest takie, jakim się być wydawaje. I roześmiał się w mrok.



Emilian wstał z tronu, podszedł do samki i przyjrzał się sińcom.

- Wiedziałem - szepnął i wrócił na piedestał.

Ariadna podjęła przerwany taniec.

Dawno, dawno, gdy jeszcze Uruk władał Diabolo, pierwszy powiernik mocy, jedna z samic w zamian za taniec poprosiła namiestnika o głowę najwyższego kapłana, wówczas rzecz bezprecedensową, nierealną.

Monarcha kazał ją wtrącić do lochów.

Dzisiaj nie było w Uruk nawet jednego kapłana. Po wyniesieniu Emilian pozbył się wszystkich. Miał dość rządów pod ich okiem. Nazwał się bogiem nie po to, by dzielić się władzą z kimkolwiek.

Na obszarach ościennych Wiedzący Wiele stanowili najwyższą kastę społeczną współrzadzili i mianowali namiestników. W Uruk nie byli potrzebni.

Ariadna wirowała w smugach światła i cienia, skąpo przykryte ciało wyginało się w tysiącach póz, stopy drobiły, nieomal unosząc, się nad posadzką, ramiona przyzywały ku sobie.

Tak kiedyś tańczyła Salome, jedyna służka, którą wywyższył. Kiedyś... A tak naprawdę może przed rokiem. Czas zacierał wspomnienia, łagodził ból.

Wplótł palce we włosy klęczącej przy tronie niewolnicy, przywołał Ismenę.

- Pragniesz zabić Naouta? - zapytał.

- Tak, panie. Jeśli mi pozwolisz.

- Nie dziś i jeszcze nie jutro. Ale obiecuję, że dam ci jego życie.

- Gdy przejmie władzę w Illonii?

- Przejmie władzę? - Zamilkł na chwilę. - Być może tak. Nie zastanawiałem się nad tym. Może, jeśli staniesz u jego boku. Nie wydaje mi się, by kapłani, pamiętając o Negefie Samozwańcu, ogłosili go namiestnikiem.

- A Mufgar? Co z nim, panie?

- Mufgar wkrótce umrze.

Palce namiestnika zacisnęły się na włosach niewolnicy, przyjemność, jaką dały mu jej usta, rozeszła się po całym ciele.

- Posiadł moc, nie wie jednak, że jest to złudne posiadanie. Będzie trwonił ją bez umiaru, myśląc, że zmartwychwstanie uczyniło go bogiem, a gdy przejrzy - będzie za późno. Nie chciałybyś, Ismeno, zabić boga?

- Prawdziwi bogowie są nieśmiertelni.



- Trzech namiestników władających przede mną Uruk wystawiło sobie pomniki za życia, by lud wznosił modły, a kapłani składali krwawe ofiary. Diabolo, Heliogabal i Aleksander. Posąg pierwszego po dziś dzień stoi w lochach. Dwaj pozostali znikli w pomroce. Heliogabal ze swego odbicia w lustrze stworzył kobietę, którą pokochał i której bał się tak bardzo, że doprowadziło go to do zguby. Jej śmierć stała się jego śmiercią. Aleksander był wynikiem kopulacji bestii i ludzkiej samicy. Posiadał dwie osobowości - podobne do siebie, a zarazem różne. Kiedyś przeciwności postanowiły się rozdzielić - tak odszedł mój poprzednik. Ten, który w jeden szepił siedem obszarów. Heliogabal zapanował nad Magttard i Arde-Rin. On posiadał Marzuk, Alteryk, Walmor i Yangor. Pomyśl, Ismeno, jak wielkie wówczas było Uruk! I spójrz dzisiaj - gdy ten oto pałac jest całym moim bogactwem. Sam do tego doprowadziłem, możesz więc nazwać mnie nieudolnym władcą. Ja nazwałem się bogiem. I choć nie ma już moich posągów i zakazałem składania ofiar i odmawiania modłów, nie brakuje mi tego. Minęło wiele lat, wiele się zdarzyło. Tysiące ludzi poniosły śmierć. Dla kaprysu. Czasami z potrzeby ujrzenia czyjegoś cierpienia - bo taka jest ludzka natura. Pomyśl, Ismeno, komu było to potrzebne. Mnie? Bogom? Mój lud dalej we mnie wierzy, choć nie czynię nic, by tę wiarę umacniać. Żyjemy w samym sercu kamiennych pustyń, z dala od cywilizacji, na uboczu. Ja, bo wciąż jest to moje dziedzictwo, lecz oni? Nie zmuszam nikogo, by tu został.

- Szanują cię, panie.

- Dlatego, gdy zabrakło mnie na jakiś czas, splądrowali pałac i uwolnili bestie?

- Tak dzieje się zawsze, gdy plebs traci pana.

Namiestnik oderwał wzrok od błękitnych oczu samki, spojrzał na Ariadnę. Było w Ismenie coś, co go pociągało, coś, czemu nie potrafił się oprzeć. Miał wiele kobiet przy sobie, gotowych na każde skinienie, tuż obok, na wyciągnięcie ręki, a mimo to czegoś mu brakowało. Zaspokajały

jego rządę, wypełniały pustkę, strzegły. Nauczył je walczyć, mianował gwardzistkami - nie spotkał wojownika, który dorównałby im w pojedynku. A jednak wiedział, że poleganie wyłącznie na nich byłoby błędem.

Ariadna tańczyła, przecinając smugi wpadającego przez okna brzasku. Emilian przyglądał się i uśmiechał. Oto minęła noc, wypaliły się kaganki. Pomimo chęci czas nie zatrzymał się w miejscu. Z każdą chwilą przybliżał się dzień ostatecznej rozgrywki.

Jeszcze nie zdarzyło się nic, jeszcze nic.

Zdarzy się jednak, a wówczas popłynie krew i demony wyruszą na zer. Pajęczyna gniewu obejmie obszary, wypełni ludzkie serca i umysły. Brat wystąpi przeciw bratu, a siostra przeciw siostrze. Obudzone z letargu zło wstąpi na piedestał i rozpocznie panowanie.

Tylko dlatego, że nie zabił jednego człowieka.

Tylko dlatego, że postanowił sprawdzić prawdziwość snów.



Widok Ill zatrzymał Mufgara. W oczach zalśniły łzy, a serce zaczęło bić mocniej.

Szybko minęły mu te dni. Wypełnione myślami i układaniem planów, poznawaniem możliwości nowego ciała. I poszukiwaniem pokarmu.

Krew sług Naouta nie wystarczyła.

Pchnął wierzchowca w kierunku murów.

- Opłata, wędrowcze. - Włócznia strażnika zatrzymała go tuż przed bramą.

Nakazał mu usunąć się z drogi.

Grot oparł się o pierś.

- Mówisz do swego przyszłego władcy - warknął Mufgar.

- A jakże. - Z cienia wyłonił się drugi strażnik. - Opłata dla władców wynosi srebrnika.

- A dla obłąkanych władców dwa srebrniki.

Mężczyźni zarechotali ubawieni żartem.

Będziecie pierwsi, pomyślał Mufgar.

- Zostawię wam konia - zaproponował głośno.

- Zgoda - przystali bez targów. Jeden z zawieszanej u pasa sakiewki wysupłał kilka monet. - To reszta - wyjaśnił. - Byś nie posądził nas o kradzież. W Ill nie ma złodziei. Zapamiętaj dobrze. I wspomnij, gdy ujrzysz kalekę bez dłoni.

- Surowe macie tu prawo.

- Ale sprawiedliwe.

- Gdy wydasz srebrniki - przypomniał się drugi gwardzista - opuść miasto. Żebractwo karane jest chłostą i wygnaniem. Wielu głupców zostawiło na pustyni swe kości. Zapamiętaj, jeśli chcesz zachować głowę na karku.

- Zapamiętam.

I wy zapamiętajcie, pomyślał, lecz nie powiedział głośno. Byli tylko pyłem u jego stóp.

Odwiązał zdobycznego wierzchowca i przekroczył bramę swego dziedzictwa. Oto jestem, uśmiechnął się do myśli, skręcając w stronę, gdzie znajdował się zamieszkanie pani Arne.

Idąc rozglądał się i wspominał; nie przypuszczał, że zobaczy jeszcze te mury, i witał je jak najpiękniejszy dar.

Biegał tu będąc dzieckiem, błądził w zaułkach, rzucał kamieniami w rówieśników. Zdarzało się, że wracał do pałacu z podbitymi oczami.

Poskarżył się tylko raz - egzekucja winowajcy przez wiele nocy nie pozwalała mu zasnąć. Zrozumiał.

Dorastał w otoczeniu tych budynków, smakował inność kobiet, doświadczał przyjemności władzy.

Gdzieś tu niedaleko zabił po raz pierwszy - broniąc się przed atakiem. Opowiedział o tym Baalberitanowi, i kilka dni później trzech mężczyzn, których nie znał, dało głowy. Nie wyjaśniono mu, kim byli i dlaczego zginęli. Pozostały domysły.

A zaprawdę przedziwne odpowiedzi przychodziły mu do głowy.

Zatrzymał się przed drzwiami i kilkakrotnie uderzył w nie pięścią.

Uchyliły się po chwili, a z półmroku pomieszczenia wyłoniła się poorana bruzdami twarz.

- Przyjdź później, panie - rzekł mężczyzna.

Mufgar oparł dłoń o drzwi.

- Powiedz pani Arne, że jestem tym, który mówił na nią Ena. Przebyłem długa drogę i pragnę odpocząć i porozmawiać.

Mężczyzna zniknął.

Wiedział, że Arne go nie rozpozna, uwierzy jednak, gdy jej o wszystkim opowie. Była jego pierwszą kobietą później przyjaciółką i powierniczką, najbliższą mu osobą. Spędził z nią więcej nocy, niż był w stanie zapamiętać. Z wzajemnością znał każdy szczegół jej ciała.

W drzwiach pojawiła się kobieta, której oczekiwał.

Spotkali się wzrokiem.

- Kim jesteś, wędrowcze? - zapytała Arne.

- Zwałem się Mufgar - odparł i uśmiechnął się, widząc wyraz jej twarzy. - Nie wpuścisz mnie, Ena? Nawet na chwilę? Opowiem ci o Uruk, moim ojcu i zmartwychwstaniu. Później zrobisz co zechcesz.

- Dobrze. - Arne otworzyła szerzej drzwi, odsunęła się, by przeszedł.

- Pójdziemy do ciebie, pani? - zapytał.

- Jak chcesz, panie.

- Pozwól więc, że poprowadzę.

Idąc przypominał sobie wnętrza, w których spędził niemałą część życia. Uśmiechał się. Albowiem myślał: kiedyś. A tak naprawdę nie minęło sto dni od tego, w którym był tu po raz ostatni. Miał świadomość,

że droga, którą przebył, równała się wieczności.

Wszedł na schody, a potem do komnaty Arne.

- Nic się nie zmieniło - szepnął. - Ten sam zapach, te same kolory. I ty, Ena, przyjaciółko. Przyjrzyj mi się. Czy naprawdę aż tak bardzo się zmieniłem? Nie poznajesz mego głosu? Mych oczu?

- Nie, panie. Mufgar był mi jak syn, ty zaś...

- Pamiętasz, co ci powiedziałem, gdy kilka lat temu zabiłem człowieka? Że chciałbym, by był to mój ojciec. Powiedziałaś wówczas, że oszalałem. Gdy dotarliśmy do Uruk, przeklęty namiestnik wrócił memu ojcu młodość, a mnie życie. Albowiem byłem martwy. Staliśmy przy sobie jak my teraz, i powiadam ci, że gdybyś nas wówczas ujrzała, nie nazwałabyś mego ojca mym ojcem, a mnie jego synem. Wyglądaliśmy jak bracia. Patrzyłem na niego i obejmował mnie strach, że teraz już nigdy nie zasiądę na tronie. Rozumiesz?

Kobieta milczała.

- Naout mówił mi, że kapłani wynieśli Baalberitana - zmienił temat.

- Przed paroma dniami.

- Kłamcy! Kłamcy! - Pięść uderzyła w ścianę. - Nie mieli prawa!

- Czekali dziesięć dni, a gdy z Uruk nie doszły żadne wieści, ogłosili nominację.

- Dziesięć dni? - zaśmiał się. - To tyle, by dotrzeć do Uruk. A wrócić? Możesz nazwać mnie oszustem i nie uwierzyć w żadne słowo. Prawdą jest jednak, że to ja jestem Mufgar, następca tronu Ill, i że wróciłem, by odzyskać dziedzictwo. Wyglądam inaczej i myślę inaczej, albowiem byłem martwy i się narodziłem.

Popatrzył w oczy Arne, lecz nie odnalazł w nich potwierdzenia. Wtedy zaczął mówić o niej i o sobie rzeczy, które dla innych były tajemnicą szybko, szybko, by zrozumiała i uwierzyła. O pierwszym spotkaniu, młodzińczych potknięciach i sprzeczkach. Słowo w słowo powtarzał rozmowy, które pamiętał, i zdarzenia będące błahostkami, tak wówczas

dla nich ważnymi. Dzień za dniem.

Aż Arne uklęka u jego stóp i pocałowała dłonie.

- Wybacz mi, panie - szepnęła.

Podniósł ją i spojrzał w oczy, zamglone od zbierających się łez. Dotknął jej włosów i policzków.

- Teraz mi wierzysz? - zapytał, a gdy pokiwała głową, ciągnął dalej: - Dano mi nowe życie, Ena, nowe ciało i siłę, której nie pojmuję. Spójrz. - Uformował nad dłonią fioletową kulę i pchnął ją na ścianę. Uderzenie zatrzęsało budynkiem, szeroki na kilka stóp płat gliny runął na podłogę. - Odkryłem to na pustyni. Kiedy zrozumiałem, że nie jestem dawnym Mufgarem.

Siadł na łożu.

- Nic ci nie jest, panie? - Arne zaniepokoiła nagła bladość twarzy gościa.

Odsunął szatę, pokazując jej zabliznioną ranę.

- Odzywa się czasami - wyjaśnił. - Dlatego przyszedłem do ciebie, Ena. Posiadłem coś, czego wciąż nie rozumiem, i dopóki nad tym nie zapanuję...

Zamilkł na widok sług.

- Pani, nic ci nie jest?

- Nie, Musaniosie. Wracajcie na dół.

Posłusznie opuścili pomieszczenie.

- Nikt nie może wiedzieć, kim jestem - rzekł. - Nawet oni. Wiem, że im ufasz, ale tak trzeba. Gdyby Baalberitan dowiedział się, że Mufgar wrócił...

- Nie dowie się. Nikt się nie dowie.

- Dopóki nie zapanuję nad mocą Emiliana - szepnął. - Skoro on może władać nią do woli, mogę i ja. - Wstał, powoli podszedł do okna. - Przekląłem Nanniego za to, że wyprawił się do Uruk. Teraz wiem, że niesłusznie. Gdy zabił Ismenę myślałem, że świat zawalił mi się na głowę,

pragnąłem tylko jego śmierci. Dziś wiem, że nie mógłbym zatrzymać jej przy sobie i dobrze się stało, że już jej nie ma. Tak, Arne, mój ojciec zabił mą siostrę. Gdy odzyskał młodość, zamarzyło mu się kolejne czterdzieści lat na tronie, a my staliśmy mu na drodze. Wiedział, że się nie poddam. Był wówczas młodszy ode mnie i nigdy nie doczekałbym się wyniesienia. Starzelibyśmy się razem. Zastanawiałem się, dlaczego Emilian zwrócił mu młodość, a mnie życie, wszak byliśmy wrogami! Myślałem, że po to, by mieć w nas dłużników, a z Ismeny uczynić wierną nałożnicę. Dziś wiem, że pragnął naszej śmierci. I dokonał tego. Albowiem to, że żyję, nie jest jego zasługą. Na pustyni przyjąłem nowe imię - Immanuel. By nie kusić demonów losu, które zgubiły Mufgara. Poprzysiągłem też, że gdy obejmę tron, wyruszę przeciw Uruk i nie zostawię kamienia na kamieniu w tym mieście zmij.

- A Baalberitan, panie?

- Jutro wybiorę się do niego z wizytą. I zabiję.

- Wtedy nigdy kapłani cię nie wyniosą. Nie uwierzą w twe słowa. Nie uwierzą że jesteś Mufgarem, następcą tronu.

- A więc zabiję również ich.



Nocą wymknął się. Przywitać się z mrokiem i nasycić głód. Nie szukał długo. Mimo późnej pory wielu mieszkańców chodziło uliczkami. Gwardziści pilnowali spokoju, a ulicznice obnażały swe wdzięki.

Życie w Ill nie zamierało nigdy.

Na moment zatrzymał się w cieniu i skoczył. Przycisnął samkę do muru, wgryzł się w jej szyję.

Nasyciwszy się, puścił omdlałe ciało i na krótką chwilę zapadł się w przyjemność, którą czuł zawsze po zaspokojeniu pragnienia. Pobiegł

dalej.

- Stać! - Włócznie gwardzistów zagroziły przejście.

Kazał im zejść z drogi. Nie posłuchali.

- Rozkaz namiestnika! - warknął wyższy.

Podszedł o dwa kroki.

- Jeśli ci życie miłe!

Skoczył. Zwierzęco, szybko. Uderzenie zważyło mężczyznę z nóg, nie zatrzymał się, był już przy drugim, dłoń po nadgarstek zanurzyła się w jego piersi. Wyrwał mu serce i zgniótł w dłoni, cisnął o ścianę. Rozejrzał się i zawahał. Powiedział Arne, że zabije Baalberitana, teraz uzmysłowił sobie, że jeśli to zrobi, to tak naprawdę zamknie sobie drogę do władzy. Nie był Mufgarem - nie rozpoznała go Ena, nie rozpoznają kapłani i lud. I nie wyniosą go, dopóki nie udowodni, że jest krwią z krwi. A jeśli ich zabije, lud go przeklnie.

Albowiem w Ill nie działo się nic bez ich zgody.

Ciągnęło go do pałacu, bał się jednak. Nie był jeszcze gotów - nie poznał dostatecznie możliwości nowego ciała. Nie usidlił fioletu.

Nie rozmówił się z Hagitem.

Zawrócił. Biegł. Przez mrok w mrok, z ciemności w ciemność.

Ktoś się za nim obejrzał, ktoś nawet nie zauważył.

Wysunął przed siebie rękę - mężczyzna wyleciał w powietrze, tuzin kroków dalej spadł na plecy, plunął krwią. Przemknął nad nim, bardziej demon niż człowiek.

I nagle stracił oddech, nogi odmówiły posłuszeństwa. Zważył się jak kłoda. Ból w piersiach napiął wszystkie mięśnie. Z nosa poleciała posoka.

Ujrzał otchłań i zapadł się w nią. Ismena wyłoniła się z mroku, wyciągnęła do niego rękę. Nie znalazł dość sił, by odwzajemnić gest. Postarzał się o tysiąc lat.





Naout wyszedł przed namiot, przeciągnął się, aż chrupnęło w kościach. Przespał całe popołudnie. Nocne męczarnie wykańczały go zarówno fizycznie jak psychicznie. Lecz nie wyrzekłby się ich za nic.

Samka miała w sobie coś niepokojącego, coś, czego nie potrafił określić. Bił ją każdej nocy, każdej nocy przełamywał jej opór i za każdym razem było przyjemniej.

Nie spodziewał się. I dlatego dziękował bogom za niespodziewany dar.

Zapomniał nawet o Rubim.

Kupiec i córka namiestnika - rzecz godna baśni.

Uśmiechnął się na widok gwardzistek, pokłonił.

- Błogosławiony niech będzie - szepnął.

Nie doczekał się odpowiedzi.

Ismena weszła do namiotu, wszedł za nią.

- Suki - wymknęło mu się.

Nie podobała mu się duma gwardzistek, ich spojrzenia i traktowanie. Niezadowolony wyładowywał na Ismenie.

- Tam - warknął, wskazując jej poślanie.

Uczyniła jak rzekł i wtedy nie wytrzymał. Po raz pierwszy zrobiła, co jej kazał.

- Wstań - rozkazał, zaciskając pięści. - Podejdz.

Uderzył zamachem z dołu, w brzuch, poprawił otwartą lewą w twarz.

- Masz się mnie słuchać! - wrzasnął.

I nagle poczuł potworny ból, z rękami na podbrzuszu zwałił się bez tchu.

- Nie przychodzę tu po to, byś mnie bił, kupcze - usłyszał miękki głos. - Pan dał mnie tobie, byś poznał smak szlachetnej krwi. Dotknął ideału,

którym jestem. Wyobraź sobie, że ból, który mi zadajesz, nie ja czuję, lecz twój niewolnik. Wyobraź sobie, że jeśli mnie zabijesz, nie ja ale on zginie. Pragniesz mieć syna? Zrób go z Rubim.

Naout otworzył oczy. Jęknął. Nie znalazł dość sił, by odpowiedzieć.

- Nie zapominaj kim jestem - warknęła samka i wyszła z namiotu.

Nie usłyszała jego szeptu: - Jutro.



Arne usiadła na łożu, dotknęła dłoni Immanuela. Wrócił nad ranem, blady jak śmierć, bez życia, bez sił. Upadł i zasnął.

Gdzie spędził noc? Nie próbowała zgadywać. Aż lepił się od krwi. Rozebrała go i spaliła szaty.

Po południu Musanios przyniósł wieść, że niedaleko pałacu znaleziono dwóch zamordowanych gwardzistów; jednemu wyrwano serce, drugi miał pogruchofaną pierś - ponoć kości wyszły plecami.

Baalberitan kazał wzmocnić strażę. Egion, prawa ręka namiestnika, zapowiedział wystąpienie na rynku.

- Witaj, Ena. - Szept Immanuela wyrwał Arne z zamyślenia. - Czułem twe myśli. Niepotrzebnie się martwisz.

- Nie chcę cię stracić, panie - odparła.

- Nie stracisz mnie. - Zakaszłał jakby na przekór słowom, na wargach załśniła czerwień. - To nic - zbagatelizował. - Zapomniałem się w nocy.

Co mogła mu odpowiedzieć? Wiedziała przecież, że i tak jej nie posłucha.

- Egion nadal sypia z Laetitią? - zapytał.

- O ile wiem, to tak. Sara spotyka się z nią czasami. Jemu jednemu Baalberitan pozwolił mieć przy sobie rodzinę.

- Ufa mu.

Znał dobrze Egiona. Małego człowieczka z odstającymi uszami. Nigdy go nie lubił, zawsze jednak czuł szacunek.

Wstał, rozłożył ręce i uniósł się nad posadzkę. Lewitował przez chwilę.

- Widzisz? - zapytał. - Już wszystko dobrze - Nie powinieneś się przemęczać.

- Muszę, Ena. Inaczej nigdy nie dowiem się, co potrafię. Emilian ożywia martwych. Wiem, że i ja mógłbym.



Nocą wymknął się z zamtuza.

Po gzymsie wspiął się na dach. Wstrzymał oddech i przeskoczył na sąsiedni budynek, potem na następny i następny.

Upadek z zeszłej nocy odszedł w niepamięć. Znów miał w sobie demoniczną siłę, znów moc szalała w żyłach.

A mrok był najwierniejszym przyjacielem.

Zatrzymał się, położył na dachu i wyjrzał poza krawędź. Przesunął się nad okno i powoli opuścił, zawisł na palcach stóp. Chwycił się muru we wnęce, wśliznął do środka.

Trzech ludzi spało w pomieszczeniu, przyjrzał się im. Żaden nie był poszukiwanym mężczyzną. A zatem dwóm złamał kręgi szyjne, trzeciego obudził, zakrywając mu usta dłonią drugą położył mu na piersi.

- Gdzie jest Egion? - zapytał.

Mężczyzna szarpnął się i zwinął z nagłego bólu.

- Gdzie Egion? - powtórzył pytanie Immanuel, a na czubkach palców, pod skórą ofiary, zaśnił blady płomyk fioletu.

- Jego kwatery jest na końcu korytarza - padła odpowiedź. Ręka zanurzyła się po łokieć, palce zacisnęły na pulsującym sercu, zabrały ze

sobą.

Chwilę przyglądał się trofeum. Czuł dziwny niedosyt, ssanie w żołądku, lecz nie był to głód. Wytrzeł ręce i wyszedł na korytarz.

Jak się domyślał, Egion nie spał sam. Nie próbował go budzić. Już u Arne zaplanował jego śmierć - by pozbawić armię głowy, spotęgować strach. Dać Baalberitanowi powód do głębszych przemyśleń, a kapłanom zagadkę.

Pytanie, czy wyniesienie nie sprowadziło demona, który będzie zabijał, dopóki nie dostanie tego, po co tu przybył.

Wyjął serce z piersi śpiącego i odłożył na tacę przy łożu, obok płonącego kaganka.

Od dziecka Laetitia bała się ciemności.

Rozbudził ją i nagle w czerni jej oczu dostrzegł przeszłość. Wspólne harce i żarty. Najpiękniejsze lata dzieciństwa - Witaj, jaszczurko - szepnął.

- Mufgar?

- Tak. Dziwisz się? Byłem w Uruk, umarłem i zmartwychwstałem. Wróciłem z drogi bez powrotu. Z mroku, którego zawsze się bałaś. Aby odzyskać tron.

- Kapłani wynieśli...

- Wiem. Dlatego poniosą karę. Tak samo jak Baalberitan. Nie ma w sobie namiestnikowskiej krwi i nie powinien władać Ill, gdy ja żyję.

- Co uczynisz?

- Odbiorę to co moje. I zabiję każdego, kto stanie na mej drodze. Jestem prawowitym następcą, synem Nanniego. Zmieniłem się, lecz wciąż jestem sobą.

- A Ismena?

- Została w Uruk, tak jak mój ojciec. Możesz przekazać to Baalberitanowi. I jeszcze, że jeżeli zrzeknie się nominacji, okażę mu łaskę.

- Dlaczego sam mu o tym nie powiesz?

Poderwał się nagle, odszedł pod okno.

- Na wszystko przyjdzie czas - mruknął i wyrzawszy na zewnątrz, skoczył.

- Będę czekać - dopadły go słowa, gdy stopami dotknął bruku.

W chwilę później przeraźliwy krzyk rozdarł noc. Laetitia ujrzała ojca.



Emilian odwrócił się od zwierciadła. Obraz Ill rozwiął się jak dym.

- Naout opuścił Uruk? - powtórzył. - Sprowadźcie go z powrotem.

Zrozumieć ludzi... Honor, którym się zasłaniał.

Nie pojmował.



Kupiec jęknął i upadł na kolana.

Namiestnik popatrzył z odrazą.

- Słucham cię - rzekł.

- Wybacz, panie, bo zbłądziłem - gardło mężczyzny opuścił ledwie dosłyszalny szept.

- Powiedziałem i ty powiedziałaś. Cóż zatem warte jest twoje słowo? Dlaczego żądasz przebaczenia, gdy nie czujesz winy?

- Zbłądziłem, panie.

- Nie ty pierwszy i nie ostatni. Choć ty może po raz ostatni. Co mam z tobą zrobić? Dałem ci Ismenę, a tyś miał kobiety ujrzał w niej sukę do bicia. Gdy oddała, odwróciłeś się do mnie plecami. A przecież chciałem

dać ci Ill na własność! Powinienem cię zabić, brzydzę się jednak. Twoja śmierć nie przyniesie mi profitów.

Namiestnik wrócił powoli na tron. Na zgiętej w łokciu ręce oparł głowę.

Mógł zabić go w każdej chwili. A jednak się wahał. Zmartwychwstanie Mufgara kazało mu się zastanowić, czy powinien używać mocy w sprawie tak błahej jak czyjaś śmierć. Oddał mu Ismenę, bo taki miał kaprys. Bo już nie fascynowała go tak jak dawniej - oczekiwał, że Naout zapomni się w niej jak niegdyś on, może uśmierci? Wciąż lubił na nią patrzeć i rozmawiać, dotykać jej słonecznych włosów, czuć miękkość ust i lekkość palców. Wciąż miał w pamięci sny o zagładzie Uruk. Dając jej nowe życie miał świadomość, że zostawi w niej część siebie. Tak działa się zawsze, gdy ingerowała moc.

Wstał z tronu.

- Postanowiłem - rzekł. - Dziś jeszcze opuścisz miasto. Zaniesiesz wieści do Ill. Opowiesz Baalberitanowi o tym, co widziałeś i słyszałeś. Powiesz mu, że jeśli wyruszy przeciw mnie, nie zostawię w Ill kamienia na kamieniu. Mufgara nie musisz się obawiać. Jeszcze nie uczynił nic, by przejąć władzę. Trwoni tylko moc. Jak każdy obdarowany. - Zamilkł na moment, okrążył komnatę. - Zaproponowałem ci namiestnictwo - podjął - i słowa nie cofam. Możesz jeszcze wpłynąć na bieg rzeczy. Baalberitan ci ufa. Pomyśl tylko.

- Przysięgałem mu wierność.

- Jako sługa. Będąc namiestnikiem mógłbyś zapomnieć o słowach sługi.

Kupiec otarł perlący się na czole pot.

- Zbłądziłem i pogubiłem się, panie - szepnął. - Nie każ mi myśleć, bo myślenie przyprawia mnie o ból głowy.

- Uczyń więc to, co powiedziałem.

Emilian klasnął w dłonie. Gdy pojawiły się służki, kazał

przyprowadzić Rubiego.

- Umili ci powrót - rzekł. - Wstań. Nie przystoi klęczeć przyszłemu władcy.

Naout posłusznie wykonał polecenie. Na widok Rubiego cofnął się.

- Powiedziałem ci już, że jestem wszystkim i jestem wszędzie, a to, co uczynisz jednemu ze sług moich, tak jakbyś mnie uczynił. Każdej nocy tłuksłeś Ismenę. Nie dziw się więc twarzy swego niewolnika, albowiem to on przyjmował razy. Zapamiętaj dobrze. A gdy najdzie cię myśl, by mnie zdradzić, zastanów się i wspomnij.

- Zapamiętam, panie.

- Więc precz mi z oczu.

Nie patrzył, jak wychodzą, przypomniały mu się słowa Ismeny. „Zdradzi cię”, powiedziała, gdy postanowił oddać ją kupcowi. Zaprzeczył wówczas. Dziś przekonał się, że mimo zapewnień o prawdomówności, nie może Naoutowi wierzyć.



Immanuel podniósł się z postania, przeciągnął się. Znów wstał piękny dzień. Po niebie płynęły chmury, wiał lekki wiatr. A motłoch marnotrawił czas na codzienne sprzeczki. Arne zatrzymała się w wejściu.

- Czy mogę, panie? - zapytała, chyląc głowę.

- Tak. Czekałem na ciebie.

Kobieta podeszła bliżej.

- Byłaś wśród ludzi?

- Byłam. Mówią o śmierci Egiona. Boją się. Czekają, co uczyni Baalberitan. Słyszałam też plotkę, że Mufgar odwiedził Laetitię i że to on morduje. Jeśli lud w nią uwierzy, przez wielu zostaniesz znienawidzony, panie.

- Wielu zatem odda głowy katu.

- Wtedy nazwą cię Mufgarem Okrutnym i znienawidzą jeszcze bardziej.

Immanuel szarpnął się nerwowo. Odszedł kilka kroków.

- Co radzisz? - zapytał.

- Iść do pałacu.

- Baalberitan każe mnie zabić. Zbyt wielu gwardzistów ma przy sobie.

- A to? - Kobieta wskazała wyrwę w ścianie.

- To pojawia się kiedy chce - odparł. - Czasami czuję, jak wzbiera, tak jak wtedy gdy tu przyszedłem. Nie zawsze jednak pozwala się ujarzmić. Chciałem odczekać i nabrać sił, nauczyć się nad tym panować! - Uderzył pięścią w ścianę, z gniewu, który nagle nadszedł. Przybył do Ill i zatrzymał się w miejscu.

A miał tyle planów...

- Poradź mi, Ena, bo zabłądziłem.

Kobieta westchnęła ciężko. Co mogła mu poradzić? Kiedyś kochała go jak syna, dziś czuła tylko strach. Nie rozumiała, dlaczego zabija.

- Odnajdź Hagita - szepnęła. - Przekonaj go, by ci pomógł. Jest następcą tronu Elwin, dysponuje skarbcem i armią. Kiedyś był ci przyjacielem.



W południe na ulicach pojawili się gwardziści. Dwójkami, z obnażonymi mieczami w dłoniach. Pukali do drzwi i wpraszali się do środka. Nie mówili nic albo prawie nic. Wykonywali polecenie namiestnika. Na pytania wzruszali ramionami, odpowiadali, by nie pytać.

Domyślano się, kogo szukają.

Do Arne zajrzał Boel, setnik, z czwórką gwardzistów.

- Wybacz, pani - rozgadał się zaraz po wejściu. - Taki mamy rozkaz.



Nie wiń nas, bo zaprawdę szanujemy twój zamtuż, a uroda twych podopiecznych nie ma sobie równych na całych obszarach. Można by opiewać ją w pieśniach. Ja sam nigdy nie zdobyłbym się na podobne najście. Taki rozkaz.

- Masz do tego prawo. - Arne odsunęła się na bok. - Mój zamtuż jest do twojej dyspozycji.

- Dziękuję, pani.

- Szukacie kogoś?

Boel rozejrzył się podejrzliwie.

- Wiem tyle tylko - rzekł, pochylając się ku kobiecie - że gdzieś w mieście ukrywa się Mufgar. Pan chce się z nim widzieć.

- I dlatego wysłał uzbrojone strażę?

- Ponoć to on zabił Egiona i innych.

- To tylko plotki. A poza tym, po co miałyby się kryć? Ill jest jego miastem.

- Nie pytaj mnie, pani, bo nie wiem.

Przeszli kilka komnat, przystanęli. Setnik popatrzył na podopieczne Arne i oblizał wargi.

- Wybierz sobie którąś, panie - zaproponowała kobieta. - Dzień jest długi, a gwardzistów mamy wielu. Znajdą kogo trzeba i bez ciebie.

- Z przykrością odmawiam, pani. Mam rozkaz.

- Zapraszam więc innym razem.

Skłonił się uniżenie. Potem odszedł na bok, by odebrać pierwsze meldunki.

- Tak jak myślałem - rzekł i raz jeszcze pokłonił się Arne. - Wybacz najście.

- Wybaczam i zapraszam.

Zamknęła za nimi drzwi i oparła się o nie plecami. Odetchnęła.

- Imman... - Pukanie zdusiło słowo.

Wyjrzała.

- To znów ja - uśmiechnął się szeroko Boel. - Tylko na chwilę.

Odsunęła się na bok. Marszcząc brwi poszła za nimi.

Któryś z gwardzistów pochylił się nad jedną z kurtyzan. Nie zdążył odskoczyć. Uderzenie oderwało go od posadzki, cisnęło na ścianę. Pozostali sięgnęli po miecze.

Tylko sięgnęli...

Zabójca był już obok. Jego ręce rozszalały się - trzy ciała upadły bez życia.

Boel cofnął się, oparł o ścianę. Z otwartymi ustami patrzył, jak człowiek, który zabił jego ludzi, zdejmuje z twarzy czador i chwytą go za szyję.

- Oto jestem - usłyszał. - Przypatrz się mi przed śmiercią i zapamiętaj. - Dłoń Immanuela wbiła się w usta mężczyzny, wyszła po drugiej stronie czaszki. Palce zacisnęły się na kości, szarpnęły. - Cóż wart jest setnik bez głowy?

Arne upadła na kolana. Immanuel uśmiechnął się.

- Wstań, Ena - rozkazał. - Trzeba ukryć ciała.

Kobieta podniosła głowę.

Miała łzy w oczach.

- Zabijasz z taką łatwością panie - rzekła. - Nigdy taki nie byłeś.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Przyszykuj mi nowe odzienie - polecił, odkładając głowę setnika. - Wieczorem wybiorę się do Hagita. Dość już zmitrężyłem.

- Miasto roi się od gwardzistów. Nie wejdiesz do pałacu! - Spojrzał na Arne, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że jest tuż obok. - Wyślę Musaniosa, by wypytał się, gdzie kwateruje namiestnik. - Ze zmarszczonymi brwiami słuchał tego, co mówi. - Bawi w gościnie trzeci tydzień. Lada dzień powinien wyruszyć do siebie.

- Dobrze - zgodził się. - Spotkam się z nim, gdy opuści Ill. Nakłonię do wojny - głos stwardniał - a wówczas poleje się krew i demony wyruszą

na zer. Gniew wypełni ludzkie serca i umysły. Brat wystąpi przeciw bratu, a siostra przeciw siostrze - rozmarzył się.

- Mówisz przerażające rzeczy, panie.

- Wiem - ocknął się. - Lecz mówię prawdę, a prawda najczęściej jest okrutna.

- Mógłbyś sprawić, by taką nie była.

Nie odpowiedział od razu. Długo patrzył kobiecie w oczy, zastanawiając się, co miała na myśli.

- Zabiję każdego, kto stanie na mojej drodze - szepnął. - Zmartwychwstałem nie po to, by zaszyć się w samotni i w odosobnieniu dożyć śmierci. Mam misję do wypełnienia, drogę do przejścia.

- Drogę pełną krwi i cierpienia.

- Tak. Bo Baalberitan nigdy nie zrzeknie się tronu. Nie ma nic słodsze od władzy, i gdy choć raz poczujesz jej smak, nie zapomnisz o nim do końca swych dni. Tak jak mój ojciec.

- Dzięki niemu żyjesz, panie - przypomniała Arne.

- Tak.

Dlatego go zabił.



O brzasku opuścił zamtuz.

Życie dopiero przecierało oczy ze snu. Kupcy szykowali karawany, ustawiali stragany, poili zwierzęta. Rzemieślnicy otwierali warsztaty. Przechodził wśród nich, obserwował. Wielu pamiętał, z wieloma wymieniał uściski dłoni. Dziś nikt go nie poznawał. Dziś dla wszystkich był obcy.

Laetitia, opowiadając Baalberitanowi o spotkaniu z Mufgarem, nie powiedziała, jak bardzo się zmienił. Dopomogła mu ciemność. Dopomógł

słaby wzrok kobiety.

Ktoś nazwał go Nocnym Łowcą ktoś inny demonem o imieniu Nasdak. Przysłuchiwał się porannym rozmowom, uśmiechał. Nastał nowy namiestnik, a wraz z nim pojawił się mord. Namaszczono go na dawcę sprawiedliwości, krzewiciela prawych obyczajów i opiekuna ludu. Tymczasem to demony rozpoczęły panowanie.

Ktoś wspomniał o Mufgarze i jego prawie do tronu - umilkł na widok gwardzistów. Immanuel odszedł w cień. Pomyślał, że jednak nie zaprzepaścił spędzonych w Ill dni.

Atmosfera sprzyjała, by powrócić.

W miejscu zatrzymał go orszak Hagita - tak jak dowiedział się Musanios, namiestnik Elwin w świetle ostatnich wydarzeń postanowił opuścić miasto.

- Boi się ciebie, panie - rzekła mu Arne wczorajszej nocy. - Trzy tygodnie bawił się z Baalberitanem. Siedział z nim przy jednym stole i pił to samo wino. Korzystał z jego haremu. Pokłóciliście się kiedyś o Ismenę.

- To przeszłość, Ena - odparł, by ją uspokoić. Pomyślał jednak, że jest w jej słowach wiele racji. Dzień dzisiejszy nie był bowiem dniem wczorajszym.

I gdy pocałowała go rankiem na pożegnanie, naszły go wątpliwości.

- Uważaj, by cię nie zdradził. - Słowa zapadły w pamięć.

Patrzył, jak orszak opuszcza mury - wzmocniony dwoma tuzinami gwardzistów, niedostępny. Hagit bał się.

Wymknął się z inną karawaną. Garść srebrników starczyła za wszelkie targi i wyjaśnienia.

Nie przeszli wiele, gdy jeden z niewolników poprosił go na rozmowę do swego pana. Kupiec leżał w lektyce niesionej przez czterech mężczyzn, dwóch innych wachlarzami odganiało upał. Wyglądał jak człowiek, który wszystko posiadał i wszystkiego doświadczył, znudził się życiem i prócz spokoju nie oczekuje niczego innego.

- Chciałem zapytać cię, panie - zaczął - o wydarzenia ostatnich dni. Jak widzisz, z nikim innym porozmawiać o tym nie mogę, ty zaś wydajesz mi się osobą godną zaufania. - Popatrzył na srebrniki, którymi bawił się dla zabicia czasu. - Kapłani wynieśli Baalberitana, słyszałem jednak plotki, że Mufgar żyje, a to oznaczałoby, że wciąż ma prawo do tronu.

- To prawda, panie.

- Czy wobec tego Baalberitan nie powinien zrezygnować z władzy?

- Powinien.

- I ja tak myślałem. Nie jest jednak łatwo zdecydować się na taki krok.

- Niełatwo. - Zwierzęce pragnienie zawładnięcia karawaną przewinęło się przez umysł i zgasło.

Kupiec pokiwał głową.



Nocą wymknął się w pustynię.

Nie biegł długo - niebawem dostrzegł ognie i rozstawionych wokół obozowiska gwardzistów.

Namiet Hagita otaczał kordon śpiących. Przycisnął się.

Czas płynął wolno.

Z południa doszło samotne wycie, z zachodu odpowiedź. Wataha cieni przemknęła z wściekłym skowytem. Gwardziści nadstawili włócznie. Skoczył. Cieniem, zwierzęciem, dotykając palcami piachu. Wpadł do namiotu. Obudził Hagita.

- Witaj - rzekł, patrząc w oczy pełne przerażenia. - Nie dziw się. Jam jest Mufgar, syn Nanniego i następca tronu. Umarłem i narodziłem się w Uruk, mieście przeklętym. Bogowie dali mi nowe życie i nowe ciało. Wróciłem, by odzyskać ojcowiznę.

- Mufgar był mi jak brat - mruknął Hagit.

Immanuel karcąco pokiwał palcem.

- Wyjechałeś z Ill, by się ze mną nie spotkać. Nie mów mi rzeczy, w które nie uwierzę.

- Tak było.

- A zatem niech tak zostanie - podtrzymał gość. - Jesteś mi bowiem potrzebny.

- Do czego?

- Do obalenia Baalberitana. I odzyskania Ismeny.

- Co z nią? - Hagit siadł na łożu.

- Została w Uruk. Jako zapłata za moje życie. Gdy odzyskam tron, z twoją pomocą, wyruszymy po nią. A wówczas dam ci ją jako gwarancję mej przyjaźni.

- Wyruszymy jeszcze dziś!

- Nie wiesz co mówisz! - Immanuel podniósł głos. - Byłem w Uruk i widziałem rzeczy, o których nie śniło się prorokom. Widziałem, jak przeklęty przywracał martwych życiu. Sam byłem martwy! A teraz czuję się tak jak nigdy wcześniej. Nie wejdiesz do Uruk bez tysiąca wojowników gotowych na śmierć.

Zapadło milczenie. Immanuel chodził po namiocie, Hagit nie spuszczał z niego wzroku, zastanawiając się, ile jest prawdy w usłyszanych słowach. Ismena była wszystkim, czego oczekiwał od życia - marzeniem, tęsknotą i bólem.

Nie uwierzył w jej śmierć - kapłani pogrzebali Nanniego wraz z dziećmi, gdy tylko opuścił Ill. Nazwał ich kłamcami i zażądał ich języków.

A potem bawił się hojnością Baalberitana, który w zamian zaproponował mu pałac na wyłączność.

Tylko czy człowiek, którego miał przed sobą, był tym, za kogo się podawał?

- Jaką mam pewność, żeś jest Mufgarem i że po odzyskaniu tronu spełnisz to, co obiecujesz?

- Moje słowo i twoje braterstwo.

W wejściu pojawiła się głowa wojownika, a za nią włócznia.

- Panie?!

- Zostaw nas samych, Katonie. Wezwę cię, jeśli będziesz mi potrzebny.

Mufgar wyciągnął dłoń nad kaganek, mówiąc: - Spójrz. - Płomień przeniknął przez kości i skórę, zapłonął dwakroć silniej. - Byłem w Uruk. Zbratałem się ze śmiercią. I nie tęsknię do dawnego życia. To, co było, to po prostu było. Gdy zostanę namiestnikiem, Ismena będzie musiała odejść. Odejdzie do ciebie. Pamiętam, że obaj nienawidziliśmy Baalberitana.

- To prawda.

Nienawiść jednak nie była najważniejsza.

- Nazwałem się Immanuelem, by nie kusić demonów losu. A potem zabiłem Egiona.

- Słyszałem. Odpowiesz mi po co?

- By wzbudzić strach.

- W kim? Baalberitan śmiał się, gdy Laetitia opowiadała mu o twej wizycie. Krzyczał, że nawet gdybyś przyszedł na klęczkach i obmył mu stopy, nie uwierzyłby, że to ty. Potem nazwałby cię kłamcą i wypędził z miasta.

- Zobaczymy, co powie, gdy stanę z armią u bram...



Była późna noc, gdy natarczywe pukanie rozbudziło zamtuz pani Arne. Sługa otworzył drzwi i został wepchnięty do środka.

- Wszystkich! - rozległ się rozkaz.

Posypały się pierwsze ciosy, polała się krew.

Musanios legł bez życia o krok od komnaty swej pani.

- Z rozkazu najjaśniejszego Baalberitana! - wrzasnął setnik.

Kobieta odsunęła zasłonę. Popatrzyła na ciało sługi.

- Dlaczego? - zapytała.

- Zapytasz w pałacu. Pójdiesz sama, czy...?

- Pójdę sama.

Z cisnącymi się do oczu łzami przeszła nad ciałem. Spodziewała się tej wizyty. Pięciu gwardzistów dało życie - ktoś musiał zauważyć ich zniknięcie. Posłuchała Mufgara. Głupia!

- Co zrobicie z nimi? - zapytała na widok krępowanych dziewcząt.

- Nic.

Nie uwierzyła.

W milczeniu, pod niebem pełnym gwiazd, przeszli miastem. Arne przeżywała słoność łez.

Jak wtedy gdy Mufgar nazywał ją Ena i tulił się jak szczenię do matki, szukał ciepła, którego miała dla niego w nadmiarze, całował dłonie i policzki, kładł się obok i zasypiał, tak pewny o swe życie, jak ona teraz być nie mogła.

Przysięgała Baalberitanowi, zawsze była mu wierna; gdy powrócił Mufgar, nazwany przez kapłanów martwym, zapomniała o przysięgach.

Później ujrzała w nim drapieżcę i zaczęła się bać.

Namiestnik czekał w sali tronowej.

- Miło cię widzieć, Arne - przywitał się pierwszy.

Kobieta skłoniła się uniżenie.

- Był mi jak syn - rzekła. - Od zawsze.

Choć wrócił jako inny człowiek, a gdzieś w odległym Uruk zostało jego serce i uczucia.

- Wysłałem do ciebie Boela, mego setnika. - Namiestnik nie zwrócił uwagi na jej słowa. - Gdy nie wrócił, zapytałem się kapłanów, gdzie jest, a potem kazałem go odszukać. Przyniesiono mi jego głowę. Opowiedz mi o tym, jak zginął.



Zapach palonych ziół kręcił w nosie, żal tłumił głos. Mówiła, przełamując słabość i złość.

Albowiem odkąd wrócił Mufgar, jej świat stanął na głowie.

Obiecał jej życie wieczne, a sam nie wiedział, jak długo żyć będzie. Obiecał jej zaszczyty, a tyle wówczas było jego, co mógł wziąć w dłonie, nawet piasek zaciśnięty w garści przesypywał się przez palce. Obiecał, że nigdy jej nie zostawi, a odszedł nie wiedząc, czy wróci. Były chwile, że będąc z nim bała się o samą siebie. Bała się, że odkryje jej zdradę.

A przecież tak bardzo kochała życie! Tyle było drzwi do przejścia i tajemnic do poznania, granic do przekroczenia.

Straciła wszystko.

- Dlaczego go nie powstrzymałaś? - zapytał Baalberitan, gdy skończyła. - Dlaczego nie przyszłaś do mnie?

- Był mi jak syn, panie.

- Nie, Arne. Sama mówiłaś, jak bardzo się zmienił. Uwierzyłaś w to, co mówił, a potem nie miałaś odwagi zaprzeczyć. Zawiodłem się na tobie.

- Wiem, panie.

Milczenie objęło pałac martwą ciszą. Wdarło się w nią odległe wycie.

- Sfora wróciła - szepnął monarcha. - Nadchodzi czas zmian. Dziś jeszcze wyślę posłów do Elwin. Przypomnę Nitibusowi o braterstwie krwi. Hagit nie został jeszcze wyniesiony, a to oznacza, że nawet jeśli sprzymierzy się z Mufgarem, bez zgody Starego nie ruszy z armią.

Namiestnik podszedł do okna, popatrzył w niebo i uśmiechnął się. Instynkt drapieżcy był niezawodny. Sfora wracała zawsze przed walką.

Planował uderzyć na Uruk - zamienić miasto w pył. Był krwią z krwi namiestnika Magttard i choć minęło przeszło sto lat, wciąż żyła w nim pamięć o zagładzie miasta. Jak cierń.

Gdy Laetitia opowiedziała mu o wizycie Mufgara, dziesięć, może dwadzieścia razy powtórzył to samo pytanie: Na pewno?

Nie uwierzył mimo zapewnień. Potem wysłał gwardzistów.

Całe życie czekał na sposobność do zemsty i nie mógł pozwolić, by wszystko obróciło się przeciw niemu. Zapłacił za chorobę Mufgara!

Czy tylko po to, by ów zatriumfował?

- Odeślę cię do lochów - rzekł. - Każę wydłubać oczy. Nie zabiję. Twoja śmierć nic mi nie da. Kto wie, może zdarzy się jeszcze tak, że Mufgar zdobędzie Ill i zwróci ci wolność? Dawno proroctwa nie były tak niejasne. Kapłani nie potrafią odczytać przyszłości.

- Może nie chcą cię martwić?

- Może.

Namiestnik podszedł do kobiety i dotknął jej policzka. Przerastał ją o głowę, a wagą trzykrotnie. Mógł zabić jednym uderzeniem pięści. Połamać jak źdźbło trawy.

Czerń oczu lśniła w bladym świetle kaganków.

- Dlaczego mnie zdradziłaś, Arne? - zapytał. - Właśnie teraz, gdy zdobyłem wszystko, co chciałem zdobyć?

- Był mi jak syn - odparła cicho. - Pielęgnowałam go, gdy zaniemógł.

- Dzięki twym ziołom - przypomniał Baalberitan.

- Nikt nie jest nieomylny. Prócz bogów.

- Bogowie nie istnieją Arne. To ludzie ich wymyślili, by usprawiedliwić swe okrucieństwo i ułomność. Dlatego ołtarze spływają krwią a kapłani prawią o sprawiedliwości i miłosierdziu. Czy wiesz, że przyprowadzono do mnie dwóch wyznawców Emiliana z Uruk? Mówili o życiu po życiu, ponownych narodzinach. Własnoręcznie obciąłem im głowy. Zginęli z jego imieniem na ustach. Dziś powiedziałaś mi, że Mufgar zmartwychwstał. Być może już jutro ktoś następny powie, że z grobów powstają umarli. Albowiem dzień sądu jest blisko. - Odszedł od kobiety. - Powinnaś poprosić swych bogów o przybycie Emiliana - rzekł niespodziewanie. - Jeśli prawdą jest, co mówią plotki.

- Tak uczynię.

- Służba!

Dwóch mężczyzn pojawiło się w komnacie.

- Zabierzcie ją do lochów.

Arne nie rzekła słowa.



Naout otarł pot z czoła. Uniósł rękę i wstrzymał karawanę. Oto kres wędrówki.

Przed dwoma dniami minął się z poselstwem od Baalberitana; zmierzali do Uruk, niosąc słowa pokoju i dary. Wypytał ich co w Ill i odetchnął. Bo Mufgar umknął do Hagita.

A jednak nie ucieszył się na widok granicznych piramid. I nie cieszył się teraz, widząc mury miasta. Bolała go głowa i bolał brzuch. Wiele się zdarzyło, wiele jeszcze miało się zdarzyć. Bał się przyszłości.

Nawet, a może przede wszystkim, widok Baalberitana nie poprawił mu nastroju.

- Witaj, Nati. - Namiestnik wyciągnął ręce i w braterskim geście objął gościa, przytulił mocno, z uczuciem. - Czekałem na wieści od ciebie. Co się stało?

- Widziałem śmierć tak blisko jak ciebie, Babe - odparł kupiec.

- Opowiesz mi wszystko?

- Opowiem.

- Odpocznij zatem, a później porozmawiamy.

- Nie. Zbyt wiele się zdarzyło. Każ tylko przynieść wina i przygotować kąpiel.

Baalberitan klasnął w dłonie i wydał polecenia. Potem wskazał gościowi tron i poprosił, by na nim usiadł. Chodząc po komnacie słuchał w milczeniu.

- A zatem Ismena żyje - mruknął.

- Tak. Została ożywiona.
- Być może nigdy nie była martwa.
- Nanni odciął jej głowę. Widziałem bliznę.
- To nie dowód.

- Dla mnie tak. Nie widziałeś, panie, tego co ja. Nie widziałeś, co Mufgar uczynił z Hasmedem i Misabu. Mówię ci, Babe, że jeśli bogowie istnieją, Emilian jest jednym z nich.

Namiestnik popatrzył na zajmującego tron kupca, uśmiechnął się. Wyprawa do Uruk zachwiała wiarą Naouta.

- Gdyby był bogiem, nie pozwoliłby Mufgarowi odejść. Wiedział, że jest jego wrogiem, a wrogów się zabija, Nati.

- Śmierć Mufgara dałaby mu tylko tyle, że lada dzień najechałbyś Uruk. A z tego, co widziałem, posłałeś do niego posłów. Z kolei Mufgar skumał się z Hagitem. Widzę w tym wszystkim część większego planu, nie wiem jednak, czego on dotyczy.

- To wszystko przypadek, Nati.

- Może. - Naout nie potwierdził i nie zaprzeczył. W pamięci żyły mu słowa o tym, że kiedyś zasiądzie na tronie Ill. Czuł, że mógłby być władcą.

- Dziś jeszcze pošlę gońca do Nitibusa - rzekł Baalberitan. - Z wieścią, że Ismena żyje.



Nitibus zwany Starym wcale na starego nie wyglądał. Przeżył dość, jeszcze więcej widział, a mimo to na jego twarzy nie było zmarszczek, a kark nie chylił się ku ziemi. Równy wiekiem z Nannim, mógł być nazwany jego następcą.

Kolejny dzień przekonywał syna, że pomoc człowiekowi, który podawał się za Mufgara, nie przyniesie im profitów. Kolejny dzień wbijał

mu do głowy, że Baalberitan jest ich sprzymierzeńcem, a kobiet takich jak Ismena może mieć setki.

Równie dobrze mógł pluć na ścianę z wiarą, że przepluje na wylot. Aż przybył goniec z Ill.

Rozmówił się z nim i kazał wzmocnić strażę w pałacu. Potem zwołał naradę.

- Otrzymałem wieści. - Namiestnik, siedząc na piedestale, wodził wzrokiem po zgromadzonych w sali tronowej. - Baalberitan przekazuje mi, że z Uruk powrócił jego zaufany, Naout, a ten twierdzi, że był przy ożywieniu Ismeny, uśmiercanej ręką Nanniego, który z kolei zginął z rąk swego syna. Zawiadamia mnie również, że gość mój, podający się za Mufgara, zwie się Immanuel i opuszczając Uruk wiedział tyle tylko, że Ismena jest martwa, albowiem cud dokonał się kilka dni później.

- Dzięki wam, bogowie! - Hagit nie krył się z uczuciami.

Milczenie wypełniło komnatę. Męczące, ciężkie, pełne napięcia. Mufgar, stojący przy Hagicie, zaciskał i rozwierał palce. Czuł, jak wzbiera w nim wściekłość.

Hagit myślał o ukochanej kobiecie i rozważał, co przyniesie mu większą korzyść. Mimo trzech tygodni gościny nie polubił Baalberitana, ten jednakowoż został wyniesiony, więc tak naprawdę nie chciał z nim wojny.

Ostatnie dni zraziły go do Mufgara - zaczął się nawet zastanawiać, czy jest tym, za którego się podaje. Nie potrafił się z nim porozumieć. Były momenty, że wychodził w trakcie rozmowy.

- Baalberitan nie jest naszym wrogiem - przerwał ciszę Nitibus. - Zgoda buduje a niezgoda rujnuje, synu.

- A tam, gdzie nie przestrzega się prawa, rodzi się zbrodnia - wtrącił Immanuel. - Albowiem to mnie należy się tron.

- Milcz! - podniósł głos namiestnik. - Ten jest władcą kogo wyniosą kapłani. Martwym zaś ten, którego martwym nazwą. Przybyłeś tu, by

mącić i szydzić, podburzać do wojny, a tyle jest twego, co masz w rękach.

Mufgar rozwarł pięści, nagle skoczył. Zacisnął dłonie na szyi Nitibusa.

- Teraz mam ciebie - warknął. - I stanie się to, co powiem.

Hagit kiwnął na strażę.

- Ani kroku! - powstrzymał ich Immanuel.

- Bierzcie go! - Rozkaz poderwał gwardzistów.

Palce zacisnęły się jeszcze mocniej, szarpnęły. Krew buchnęła z rozdartego ciała, zewłok Nitibusa zsunął się z tronu.

Fiolet zatańczył na dłoniach Mufgara, uderzył w nadbiegających.

Dwóch wojowników zważyło się bez życia. Pozostali zastygli w pół kroku.

- Zabić go! - krzyknął Hagit.

Skoczyli, swąd palonego mięsa podrażnił nozdrza.

- Zastanów się.

Uderzenie wyniosło mężczyznę na kilka stóp - gdy uderzył plecami o posadzkę, już nie żył. Drugi zdążył przesunąć się o krok, wznieść miecz.

- Nie masz dość ludzi, by mnie zabić! - Dłonie zacisnęły się na jelcu.

- Zobaczymy.

W drzwiach pojawili się następni gwardziści. Miecz opadł w uderzeniu.

- Możesz zapobiec rzezi. - Ból w piersi nasilił się, pod nosem pokazała się krew. - Stań naprzeciw mnie.

Komnata zapełniała się wojownikami.

- Zabijasz jeszcze szybciej, niż mówisz - odparł Hagit. - Być może kłamiesz i zdradzasz tak samo łatwo. Zabiłeś swego i mego ojca.

- Zasługiwali na śmierć.

- Przyjąłem cię jak brata, tyś odpłacił się zbrodnią.

- Uczyniłem cię władcą - warknął gość. - Za kilka dni kapłani dadzą ci obręcz namiestników. A za jakiś czas dostaniesz Ismenę. Powinieneś być mi wdzięczny.

- I jestem. Dlatego już cię nie potrzebuję.

Nieodrodny monarszy syn.

Mufgar zatoczył mieczem półkole, cofając pierwszy szereg. Przeliczył gwardzistów.

Zbyt wielu, pojawiła się niepokojąca myśl. Z każdą chwilą czuł się gorzej. Fiolet znikł nie wiedzieć gdzie, a wraz z nim jego siła. Ból w piersi dławił krtań. Obejrzał się i nagle powziął decyzję.

- Jeszcze się spotkamy - rzucił i skoczył ku oknu.

Utykając pomknął dziedzińcem.



Emilian oderwał usta od ust Ismeny, dotknął dłonią jej policzka.

- Mufgar zabił Nitibusa - rzekł. - Będzie próbował zabić Hagita. Nazwano go drapieżcą i jest tak w istocie. Zmartwychwstał tylko po to, by zabijać.

- Tyś go takim uczynił, panie.

- Ja - przytaknął namiestnik. - Przez ciebie. I sny. Śmierć zmienia, bardzo zmienia.

Naomi, samka pełniąca straż, zatrzymała się w wejściu.

- Posłowie przybyli, panie - powiadomiła.

- Niech wejdą.

Było ich trzech. Nosili szare szaty i znaki swej wiary wypalone na czołach. Żadnych ozdób. Wydali się Emilianowi tak mali jak ziarenka piasku, piasek jednak ma to do siebie, że poddaje się podmuchom wiatru i może przekształcić się w burzę.

Dlatego ich przyjął.

Pochylili się, oddając cześć majestatowi. Potem najstarszy wygłosił mowę powitalną. Władca słuchał w milczeniu. Po raz pierwszy nie

przerwał formuły.

- Pan nasz, Baalberitan, przesyła słowa pokoju - zakończył orator i skłonił się raz jeszcze.

- Czego oczekuje w zamian? - zapytał Emilian.

- Tylko pokoju.

- Nie ja lecz on zbroi armię, i nie ja a on słał swego czasu negocjatorów do Adrion i Elwin. Słyszałem również, że opłacił się namiestnikom z Tiun i Warren.

- Dziś wysłał nas do ciebie, panie - odparł dyplomatycznie poseł.

- A jutro wbije nóż w plecy.

- Jutro zajmie się Mufgarem, który zbratał się z demonami i stał się drzazgą, którą należy wyrwać, nim sięgnie zbyt głęboko. Nie ty, panie, lecz on jest naszym wrogiem.

- Dziś i jutro. Albowiem Mufgar umiera i za kilka dni przestanie być zagrożeniem dla Baalberitana. Co wówczas uczyni wasz pan?

- Nie nam to wiedzieć, panie.

- Powiem wam zatem - uzbroi armię i wyśle ją przeciwko mnie.

- Kapłani opowiadają się za pokojem, panie. Nie zgodzą się.

- Kapłani? - Pokiwał głową. - Pokażcie mi jednego uczciwego, a zrzeknę się tronu i zostanę pustelnikiem.

Nie odpowiedzieli, choć każdy pomyślał o sobie.

- Ismeno, oni chcą skrzywdzić twego brata. - Namiestnik popatrzył w oczy samki. - Mają znaki wiary na czołach i uważają się za ludzi prawych i uczciwych, tymczasem karmią mnie kłamstwem. Co mam z nimi począć?

- Zabij ich, a głowy odeślij do Ill.

- Co mi to da?

- Gniew Baalberitana. A wraz z nim odpowiedź, co planuje.

- Nietrudno zgadnąć. Gdy zabraknie wroga o imieniu Mufgar, pojawi się Emilian.



- Obiecałeś tron Naoutowi. Spełń słowa. Jest tylko kupcem, nie ma w sobie krwi z krwi, a zatem motłoch nie ujrzy w nim majestatu, a możni przeklną. Mając za wroga swój lud będzie widział jedynego sprzymierzeńca w tobie. Zyskasz w nim wiernego wasalą, a jednocześnie uwolnisz się od niepokoju o los Uruk.

- Ludzie mało zdolni są zdolni do wszystkiego, Ismeno.

- Zatem daj mi tron Ill.

Pochylił się i pocałował kobietę w czoło, jak ojciec dziecko. Oczekiwał tej prośby, bardzo. Albowiem była martwa i narodziła się na nowo nie po to, by zaszyć się w samotni i w odosobnieniu dożyć starości, lecz sięgnąć po władzę.

W jej żyłach płynęła krew władców.

- Kapłani cię nie namaszcą.

- Zrobią to, co każesz, panie.

- Zastanowię się - odparł i zwrócił się do posłów: - Powiedzcie swemu panu, że przybędę do Ill. Niech wypatruje mego orszaku.

- Stanie się jak rzekłeś.

Mężczyźni skłonili się i opuścili komnatę. Kamienie spadły im z serc. Gdzieś w tym pałacu stracił życie Nanni, a Mufgar zbratał się z demonami; świadomość czającego się zła przytłaczała.

W Uruk nietykalność poselska nie miała znaczenia, dzień trwał tyle co chwila, a noc mogła ciągnąć się w nieskończoność.

- Wybierasz się, panie, do Ill? - Ismena uklękła u stóp władcy.

- Tak.

- A co ze mną?

- Zostawię ci pałac i skarbiec - skłamał. - Będziesz mogła rozporządzać nim do woli. Poznasz smak władzy.

- Nie chcę twego bogactwa, panie.

Pochylił się i pocałował ją w usta.

- A czego? - zapytał.

- Ujrzeć raz jeszcze swoje miasto...

A potem, kto wie? Wiele się przecież mogło zdarzyć między ustami a brzegiem pucharu. Przyszłość kryła się za zasłoną tajemnicy.

- Dobrze - zgodził się, albowiem postanowił o tym już wcześniej. - W Ill gnieźdzą się sami moi wrogowie. Przyda mi się ktoś, komu będę ufał.



Dnia trzeciego po śmierci Nitibusa kapłani ogłosili wyniesienie Hagita, pierworodnego, a zarazem jedyne następcy tronu. Ciało starego władcy zabalsamowano i umieszczono w grobowcu kilkaset kroków od miasta.

Hagit, mimo tysiącletniej tradycji, nie ukazał się ludowi. Obawiając się o swoje życie zaprosił do pałacu przedstawicieli możnych i plebsu, by ujrzeni obręcz namiestników na jego głowie. Strzegła go przeszło setka gwardzistów, a mimo to drżały mu ręce i głos.

Mufgar zabijał i wciąż był nieuchwytny.

Kapłani uspokajali - nie słuchał ich wywodów. Wiedział, że dopóki nie zetnie Mufgarowi głowy, nigdy nie będzie bezpieczny.



Naout popatrzył na Baalberitana i znów na niebo. Nigdy nie widział równie czarnych chmur, nigdy nie czuł równie chłodnego wiatru. Drżał z zimna i strachu, który narastał, narastał, narastał.

Oto zapowiedź końca świata. Oto dzień, w którym bogowie zejną z niebios, a umarli powstaną. Rozstąpią się piaski pustyni, a woda stanie się

ogniem. Brat wystąpi przeciw bratu, siostra wystąpi przeciw siostrze. I nic już nie będzie takie samo.

Naout modlił się i kajał za złe myśli. Był prostym człowiekiem, nie próbował się wywyższać. Ciężką pracą doszedł do obecnej pozycji - stał przy boku namiestnika, bo tak potoczył się jego los. Bogom to zawdzięczał, tylko bogom.

Tuż obok, o dwa kroki, z mieczem w piersi leżał kapłan, który na pytanie namiestnika: „Czy to koniec świata?”, odpowiedział to samo co inni: „Tak”. Monarcha nie spytał o nic więcej.

Naout nie dopytywał się, dlaczego - wystarczyły krople krwi, które pobrudziły mu tunikę.

- Doczekaliśmy się - mruknął Baalberitan. - To dobrze.

- Nie rozumiem, panie.

- W końcu zobaczymy bogów - wyjaśnił. - Ujrzymy ich twarze. I może zdarzy się sposobność, by im w nie splunąć. Za dzieło stworzenia, którego dokonali. Nigdy nie wierzyłem w ich istnienie i nie uwierzę nawet jeśli zobaczę.

- A przepowiednie? A kapłani, panie? I to, co widziałem w Uruk?

- To tylko sen. Przekłamanie, które nazwano prawdą.

Kupiec nie podjął rozmowy. Nie raz i nie dwa mówili na ten temat. Dziś wolał nie drażnić namiestnika.

Od trzech dni miasto wyglądało jak wymarłe. Trzeci dzień chmury zasnuwały niebo, a demony porywały ludzi. Patrząc ukradkiem ze swych kryjówek obserwowali rzeź.

Wczorajszej nocy zjawiła się sfera - rankiem dwa tuziny rozerwanych na strzępy trupów zaścielało dziedziniec przy pałacu. Nie znalazł się nikt, kto odważyłby się wyjść w miasto.

Skryli się na wieży, ciekawość wygnała ich na jej szczyt. Ujrzeni śmierć. Ostatnie bestie włóczące się ulicami, rozczłonkowane ciała. Smugi cienia.

- Burza piaskowa - szepnął Baalberitan.

Naout otulił się rozwianymi szatami.

- Zejdźmy, panie - poprosił.

- Nie. Zaczekamy na nią.

Jako jedyni.

Plebs skrył się po domach - ciała gięły się w pokłonach, czoła uderzały o posadzki. Kapłani zeszli do katakumb pod świątynią.

Słup piasku podszedł pod same mury miasta, przedarł się na drugą stronę.

Naout upadł na kolana i skrył twarz w dłoniach. Baalberitan zacisnął pięści, zmrużył oczy. Pomyślał, że tylko głupiec boi się nieuniknionego, a on głupcem nie jest, i ujrzał samotną postać nad szczątkami bramy.

- Jam jest - rozszedł się głos.

Naout podniósł głowę, wyjrzał.

- Przeklęty - szepnął.

- Przeklęty - powtórzył jak echo namiestnik.

I ujrzał go o dwa kroki od siebie.

Obaj byli władcami, czoła obu zdobiła obręcz wyniesienia. Obaj mieli w sobie dość dumy i śmiałości, by obdzielić nimi swój lud.

- Bądź pozdrowiony - pierwszy przerwał milczenie Baalberitan, lecz nie pokłonił się, a jego głos zabrzmiał twardo i władczo.

- Nie witaj mnie jak najgorszego wroga - odparł Emilian - bo nim nie jestem. Nazwij mnie nim, a kamień na kamieniu nie zostanie z Ill. Gruzy pogrzebią mieszkańców, a czas i piach zakryją ruiny niepamięcią. Władca bez poddanych przestaje być władcą.

Baalberitan zmarszczył brwi. Zrozumiał groźbę.

- Przekazałem ci przez posłów panie, słowa mej przyjaźni - rzekł. - I nie cofam tego. Mufgar jest naszym wspólnym wrogiem.

- Mufgar jest nikim.

- Zabił Nitibusa. A wcześniej wielu innych. Gdyby był nikim i gdyby nic nie znaczył, nie byłoby cię, panie, tutaj.

- Masz rację. Lecz zmieniło się wiele, i to, co było wczoraj, dzisiaj jest już nieaktualne. Wkrótce Mufgar zginie.

- Z czyich rak?

- Twoich? Moich? To nie ma znaczenia. Nie opuści Elwin.

- Mówisz, panie, tak, jakbyś był bogiem, który wie i może wszystko.

- Bo jestem.

Baalberitan odszedł o krok.

- Nie wierzę w bogów.

- Jestem jednym z nich.

Martwy kapłan podniósł się, ujął klingę w dłonie i wyrwał z ciała. Rzucił ją pod nogi kupca.

Naout rozpląszczył się, chowając głowę między ramionami.

- Nazwij to, co widzisz - rzekł Emilian.

Baalberitan doskoczył do ożywionego i schwyciwszy go za szatę zrzucił z wieży.

- Widzę to, co widzę - rzekł - lecz tak naprawdę nie widzę nic.

Emilian podszedł do kamiennego muru wieńczącego obrzeże budowli. Wyrzwał. Ciało kapłana właśnie ginęło w żołądku zabłąkanej bestii.

- Masz rację - powiedziała. - To wszystko nie dzieje się w rzeczywistości. To tylko sen. Być może mój. Być może kogoś, o kim nie wiemy nic prócz tego, że gdyby nie jego wyobraźnia, nie istnielibyśmy.

Okręcił się, przemienił w dziesiątkę różnych postaci, rozpląnął w obłoku fioletu. Pojawił się przy Naoucie, pochylił się nad nim.

- Przejmij władzę - rozkazał.

Kupiec drgnął, położył dłoń na rękojeści miecza. Wstał.

- To tylko sen - szepnął miękko Emilian. - Wkrótce się z niego obudzimy - zwrócił się do Baalberitana. - Gdy przybyli twoi posłowie, przypomniał mi się dzień wizyty Nanniego. Nie wiem dlaczego.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie proszę cię, panie, o pomoc, lecz przyjaźń.

- A najpierw wysłałeś Naouta, by szpiegował.

- Kapłani namaścili mnie na władcę Ill. Musiałem wiedzieć czy Nanni żyje.

Emilian położył rękę na karku kupca, pchnął nagle, podbijając w górę opuszczony miecz. Patrzył, jak gładko wbija się w brzuch Baalberitana.

- Nati? - Szept opuścił martwiejące usta.

Kupiec cofnął się i upadł na kolana.

- Obiecałem ci tron - rzekł Emilian. - Dziś ci go daję.

Baalberitan przechylił się na bok, zwałił ciężko. Oczy zaszyły mgłą z kącika ust popłynęła strużka krwi zmieszanej ze śliną.

- Dopóki nie zrozumiesz, że bogowie stworzyli ludzi, by ci wzajemnie się nienawidzili - rzekł Emilian, patrząc w rozpogadzające się niebo - nigdy nie zostaniesz monarchą. Wstań!

Naout posłusznie wykonał polecenie.

- Obręcz władców jest twoja. Przyjmij ją lub odrzuć. - Nie będziesz miał drugiej okazji.

Kupiec podszedł do konającego, zdjął z jego głowy insygnium.

- Nie zasłużyłem, panie... - Głos z trudem wydostał się ze ściśniętego gardła.

- Widocznie bogowie postanowili inaczej.

- Czekaliśmy na koniec świata, panie. Od trzech dni. Kapłani zapowiedzieli przyjście bogów. Nocą zjawiała się sfera. Pałac świeci pustkami. Jak mam władać?

- Jak zbawca. Jutro bestie wrócą na pustynię, a chmury rozwieje wiatr. Wraz ze słońcem ludzie wyjdą z kryjówek. Wtedy wyjdiesz do nich i ogłosisz dobrą nowinę.

- A kapłani?

- Nie będą potrzebni. A w razie gdyby lud się ich domagał, pokażę im ciebie na tronie i śmierć do wyboru. Jak myślisz, na co się zdecydują?

- Dziś, panie, gdy tu jesteś, lecz kiedy odejdziesz?

- Wtedy być może cię zabiją.

Naout drgnął i cofnął się o krok. Przed chwilą grzał się ciepłem słów, teraz ktoś oblał go zimną wodą. Przed chwilą miał wszystko, teraz wszystko stracił. Oto początek, oto koniec.

Na wyciągnięcie rąk konał dawny przyjaciel...

- Od tej chwili wszystko, co się stanie, dokona się przez ciebie - mówił dalej Emilian. - Zapomnij o Baalberitanie, albowiem jego czas przeminął. Byłeś kupcem, o którym miał wszelki ślad zaginać, od dziś znajdziesz się na kartach kronik.

- Nie pragnąłem tego, panie.

- Bądź więc wdzięczny losowi, bo zaprawdę tysiące chciałyby znaleźć się na twym miejscu. Nawet Negef Samozwaniec.

Naout otarł pot, który mimo zimnego wiatru zrosił mu czoło. Popatrzył na Baalberitana, popatrzył na Emiliana. Czy śnił, czy to, co się zdarzyło, zaszło naprawdę?

Wczoraj czekał na koniec świata, dzisiaj na namaszczenie.

Jeszcze miesiąc temu roześmiałyby się w twarz każdemu, kto przepowiedziałby mu taką przyszłość. Dziś stał przed faktem dokonanym.

Z Negefem Samozwańcem w pamięci.

- Dam ci Ismenę. - Namiestnik przypomniał sobie o kobiecie. - Gdy ją będziesz mieć przy boku, lud nie rozszarpie cię na strzępy.

- A kapłani nie przeklną - dodał kupiec, albowiem nie był pewien swej władzy.

Powietrze zaczęło drgać i mienić się tęczowymi barwami. Uformowało niewyraźny kształt.

Emilian wchłonął resztki mocy. Kobieta odetchnęła powietrzem Ill.

- Dziękuję, panie - rzekła, i wtedy dostrzegła Baalberitana. - Odebrał sobie życie? - zapytała.

Namiestnik popatrzył na zewłok, sterczący z jego brzucha miecz i

zastygły na twarzy spokój.

- W istocie - powiedział.



Nocą niebo roz pogodziło się, a dzień wstał słoneczny i ciepły. Sfora wróciła na pustynię. Pierwsi ludzie powychodzili z kryjówek.

Do pałacu wrócili słudzy i gwardziści - setnicy, którzy miast chronić majestat uciekli jak inni.

Chcieli błagać o wybaczenie - dostrzegli Naouta na tronie i stojącą obok Ismenę. Sięgnęli po miecze.

- Oddajcie hołd należny władcy - warknął Emilian.

- Kto go wyniósł? - padło pytanie. - Gdzie kapłani?

Nie zapytali o nic więcej. Wiadomość poszła w miasto.



Dnia następnego w południe nowy władca ukazał się ludowi.

Szedł z Ismeną przy boku, i mimo iż nie został mianowany jak każe prawo, emanował majestatem, przed którym wielu opuściło głowy.

- Z woli bogów! - krzyknął. - Z woli demonów! Za przyzwoleniem światła i mroku. Oto stoję przed wami i biorę was pod swą opiekę. Jak każe prawo, bądźcie moimi na wieki wieków. Rzekł do mnie Baalberitan: „Bracie mój, opuścili mnie wszyscy prócz ciebie. Weź ode mnie obręcz władców i nałóż ją na swą głowę, albowiem przeze mnie stało się to, co się stało! Sprowadziłem zło, które odejść może tylko wraz ze mną. Nati - mówił mi ze łzami w oczach - tylko tyś mi pozostał, choć nie płynie w



tobie krew z krwi i znajdą się tacy, którzy nie uszanują mej woli. Powiedz im, że kara spotka tych, którzy nie uwierzą, powiedz im, że będę przyglądał się im z piedestału bogów. A jeśli podniosą na ciebie rękę, przepadną w otchłaniach zapomnienia”. Prosił mnie, bym zjednoczył lud Illonii i władał sprawiedliwie, co niniejszym wam obiecuję.

Przed dwoma dniami kupiec, dziś namiestnik.

Emilian spoglądał zza jego pleców na zgromadzony tłum, chłonał uczucia. Mimo dziesiątków lat wciąż żyła w nim pamięć o niesprawiedliwościach Negefa i wielu nie uwierzyło przemowie.

- Bracia moi - krzyczał Naout - spójrzcie na krew moją, którą oddaję bogom! - Ostrze noża przesunęło się po nadgarstku, czerwień spłynęła do glinianej miseczki. - Spójrzcie i oceńcie szczerą moją słów. Jeśli znajduje się wśród was ktoś, kto chce poddać w wątpliwość moje słowa, niech uczyni to teraz, albo umilknie na zawsze.

Milczenie zawisło nad ciżbą. Nie na długo. Nagle rozległy się pojedyncze głosy, które po chwili stały się chaotyczną wrzawą.

Naout obejrzał się na Emilian, na jego twarzy pojawił się strach.

Kilku mężczyzn wyszło przed tłum.

- Nie jesteś krwią z krwi - padło oskarżenie. - Jesteś kupcem, kupcze!

Pierwszy szereg postąpił o krok.

- Nie tobie nosić obręcz!

- Gdzie kapłani?! Chcemy widzieć kapłanów!

- Chcemy kapłanów!

- Chcemy kapłanów!!! - podchwycił tłum. - Chcemy kapłanów!!!

Od wieków stanowili prawo i wynosili namiestników. Od wieków byli drugą władzą. Dla wielu byli jedynym wyznacznikiem życia.

- Nie staniesz się drugim Negefem Samozwańcem! Precz z pałacu!

Kupiec obejrzał się na Ismenę, ale dostrzegł w jej oczach jedynie pogardę. Popatrzył na Emilian, lecz wzrok boga błędził gdzieś nad ciżbą.

I uświadomił sobie, że właśnie został sam.

Sto dni rządził Negef, on...

Motłoch pokonał kolejny stopień.

- Naout Samozwaniec! - Porównanie smagnęło niby bicz.

Samotny mężczyzna wyszedł przed ciżbę. Zostawiając innych za sobą zaczął iść schodami.

W białej tunice przepasanej brązowym pasem wyglądał jak kapłan, nie był nim jednak. Zwał się Leontias i wróżył z krwi. Liczono się w Ill z jego słowem. Wielu prosiło go o radę.

Nie miał władzy, a mimo to był nietykalny.

- Widzę krew na twoich rękach - rzekł w zapadłej znów ciszy. - Widzę nienawiść w twoim sercu. Zabiłeś Baalberitana, a potem odebrałeś mu obręcz i tron.

- To kłamstwo! Baalberitan sam targnął się na swe życie! Aby ochronić swój lud przed demonami. Nie widziałeś i nie słyszałeś.

- Widziałem i słyszałem wszystko! Zabiłeś, Naoucie, namiestnika Ill, i poniesiesz karę. Masz ręce zbroczone krwią!

Wrzawa zagłuszyła odpowiedź. Pierwsze szeregi weszły na schody.

Naout przypadł do nóg Emiliana.

- Ratuj, panie - zaskomlał.

Bóg podniósł ręce i naprzeciw ciżbie posłał fioletową falę - zderzenie szarpnęło ludźmi, odrzuciło pierwszych, tych co biegli za nimi zważyło z nóg. Uszy wypełnił bolesny skowyt, swąd spalonej skóry podrażnił nozdrza. Leontias zatrzymał się i obejrzał na tłące się ciała, zastygłe twarze i niewidzące oczy.

- Bogowie, wybaczcie - szepnął, lecz choć inni padli na kolana, nie poszedł ich śladem.

Emilian wchłonął resztę mocy.

- Oto boska siła - rzekł; w zapadłej ciszy głos przetoczył się niby grom.  
- Sprawiedliwość i prawo. Powiedziałeś, Leontiasie, i plebs ci uwierzył, na twoje zatem barki składam tych, którzy zginęli, albowiem wiedziałeś a

nie powstrzymałeś ich.

- Nie ja jestem winien tej śmierci - odparł mężczyzna - lecz kłamca, który śmiał nazwać się mym władcą. A także ty, panie, który mienisz się bogiem. Tyś bowiem ją sprowadził.

- Wiesz, co cię czeka, a mimo to nie korzysz się i nie błagasz o łaskę. Oddaj mi należny hołd, a ujrysz me miłosierdzie. Twe widzenia nie muszą się spełnić.

- W państwie rządzonym przez kłamcę nie ma miejsca dla wieszczka. - Leontias obnażył miecz. - Widziałem wiele wariantów przyszłości.

Skoczył do Naouta.

Emilian wyciągnął rękę. Uderzenie cofnęło Leontiasa, zbiło z nóg. Na chwilę. Zerwał się i ująwszy oburącz jelec, rzucił w kupca.

- Giń! - krzyknął, a gdy ujrzał, jak miecz zamiera o włos od piersi Naouta, a potem układa się w dłoni Emiliana, upadł na kolana.

Namiestnik podszedł do mężczyzny.

- Chciałbyś coś powiedzieć przed śmiercią? - zapytał.

- Bądź przeklęty!

- Tak mnie zwa.

Głowa potoczyła się po schodach, broczący krwią tułów zwałił się na bok.

- Głupiec - rzekł bóg i zwrócił się do kupca: - Lud czeka na mowę. Wstań.

- Taak...

- Uczyniłem cię władcą i ustrzegłem przed śmiercią. Nie pomogę ci w niczym więcej. Ismeno - wyciągnął rękę i ujął dłoń, którą mu podała.

Weszli do pałacu, zostawiając Naouta. Samemu sobie i tłumowi.

Nie obejrzel się nawet na moment.

Kobieta uśmiechała się idąc. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek jeszcze ujrzy miejsca swego dzieciństwa. Tyle wspomnień żyło w głowie.

- Przybyłem i stałem się początkiem zmian - szepnął namiestnik. - A

wszystko za sprawą twego brata. Mogłem dopaść go na pustyni i zabić. Zawahałem się, przez chwilę. Za długo. Choć może to dobrze, bo dzięki temu znalazłem się tutaj, przy tobie. A Baalberitan nie uformuje już armii mogącej zagrozić Uruk.

- Wiedziałeś, panie, że Naout go zabije? - zapytała samka.

- Tak. Albowiem zrozumiał, jak wiele może zyskać na jego śmierci. Jest człowiekiem bez zasad. Wkrótce przeistoczy się w Negefa. Widziałem głód w jego oczach. Byłaś z nim, więc wiesz, że tak się stanie. Widział to Leontias.

- Zabiłeś go, panie. Dlaczego?

- Bo nie lubię wieszczków.

Wyszli z komnat do ogrodu wyrastającego wśród ścian pałacu. Jaskrawość kolorów zatrzymała Emiliana, wymusiła głębszy oddech. Zapach kwiecia zakręcił w nozdrzach.

- Czyje to dzieło? - Namiestnik nie krył zachwyty.

- Mej matki, panie. Zwała się Ingrid i pochodziła z dalekiej północy, gdzie takie ogrody są codziennością. Opowiadała nam o nich, gdy jeszcze żyła.

- Dlaczego odeszła?

- Umarła z tęsknoty za swym obszarem.

Zagłębili się między rabaty, ścieżką usypaną płatkami tęczy kwiatów. Przystanęli przy miniaturowym wodospadzie. Emilian pochylił się i dotknął wody.

- Zimna - stwierdził ze zdziwieniem.



Mufgar zacisnął palce na krawędzi skalnego bloku i zmusił mięśnie do kolejnego wysiłku. Palce stóp trafiły na szczelinę, pot strużką popłynął

po nagich plecach, inna strużka spłynęła do ust, poczuł jej słony smak. Już niedaleko, pomyślał i podciągnął ciało. Dłonie zaczęły szukać następnego punktu zaczepienia. Znalazły go.

Wśliznął się oknem do wnętrza wieży i zwałił ciężko na plecy.

On, namiestniczy syn, jedyny dziedzic, kaleczył palce i spijał własny pot. A wcześniej krył się jak szczur, unikając ludzkiego wzroku i światła, przeklinając bogów i władcę Uruk. Stracił wszystko - całe życie.

Narodził się i umarł.

Moc niespodziewanie wyczerpała się - wyciekła z niego jak woda z pękniętego dzbana. Próbował ją odnaleźć - pytał kapłanów o zejście do krainy demonów, wyrwał im serca i pił krew.

Słabł z każdym dniem.

Wczorajszej nocy omal się nie zadławił - ból w piersi zatrzymał pokarm w krtani, cofnął. Rzygał żółcią, zwijając się z bólu.

Potem pojawił się strach.

Trzy razy, gdy wdrapywał się na wieżę, ześliznęły mu się palce, trzy razy zabrakło mu tchu, a serce stanęło w miejscu. Cudem nie spadł. Lecz nie podziękował bogom żadnym słowem, żadną myślą.

Upadek nazwałby wyzwoleniem.

A niedawno jeszcze sam nazywał się bogiem, popadał w samozachwyty i trwonił dar na głupich gonitwach i zabawach fioletem. Określał to przyswajaniem ciała do mocy - łatwo było znaleźć wymówkę.

- Psia mać! - warknął i uderzył pięścią w skałę.

Przeliczył się. Zapomniał. Teraz płacił.

Jak długo będzie musiał czekać? Jak wiele dni przetrzyma bez jedzenia i picia?

Hagit rzadko odwiedzał wieżę - czynił to przed podjęciem ważnych decyzji, zawsze sam, tak jak Nitibus. Dlatego zwano ją Samotnią. Na szczyt prowadziły na trzy stopy szerokie schody, u podnóża gwardziści mieli strażnicę.

Wiedział, że by zejść, będzie musiał między nich wejść. Zaryzykował. Wieża była ostatnim miejscem, gdzie mógł zabić Hagita.

Położył się i zamknął oczy.

Ze wspomnień wyłoniło się kilka miłych chwil. Uśmiechnął się do nich.



Czekał osiem dni. Dni pełnych zwątpienia i rezygnacji. Dni walki z głodem i pragnieniem. Walki ze słabością.

Bogowie odwrócili się - mszcząc się za bluźnierstwo porównywania z nimi, marzenie rządzenia światem.

Nie bił się w piersi i nie prosił o łaskę. Miał dość.

Albowiem dotknął słońca, lecz nie stał się mu bratem. Sparzył się żarem i pojął, że mimo zmartwychwstania jest tylko człowiekiem.

Leżał z zamkniętymi oczami, gdy usłyszał odległy szmer. Wstał i przyczał się. Cierpliwość została nagrodzona?

Gdy ujrzał obręcz władców, obejmującą głowę wchodzącego, wiedział już, że tak. Nie zastanawiał się. Uderzył, kiedy Hagit wspiał się na ostatni stopień.

Ramię zacisnęło się na szyi namiestnika, nóż po rękojeść wbił się w jego bok.

- Nie chciałeś być ze mną - warknął zabójca. - Nie będziesz z nikim.

Ostrze zagłębiło się raz jeszcze. Dla pewności.

Hagit szarpnął się, skurczył. Oczy zmętniały, odpłynęły w nicość. Nie widział już i nie czuł, jak zabójca rozrywa mu szatę i przywiera ustami do rany, ssie krew. Umarł wcześniej.

Mufgar odpelzł pod ścianę, oparł się plecami. Zaspokoił głód i musiał odetchnąć. Od ośmiu dni nie miał nic w ustach, od ośmiu dni czekał,

wysłuchując się w każdy szmer. Lecz nawet szczury nie zaglądały z wizytą. Za dnia sechł w żarze słońca, w nocy marzył, tuląc się do chłodu gliny i kamieni. Opłaciło się. Dokonał zemsty.

Nagle wzięły go mdłości, zgiął się w pół... I stracił świadomość.



Obudził się wieczorem, z zawrotami głowy i bólem w piersi. Z rany po włóczni sączyła się krew. Dopełził do trupa i zdarł z niego szaty, przebrał się. Potem założył obręcz władców.

Musiał zaryzykować. Być może po raz ostatni.

Z dłońmi dotykającymi ściany zaczął schodzić, powoli, po omacku, przez półmrok. Tracąc i odzyskując oddech. Przytroczony do pasa miecz Hagita obijał się o kolana.

Zatrzymał się przy samych drzwiach - tuż za nimi znajdowała się strażnica, szmer stłumionych głosów mącił ciszę.

Opuścił rękę na rękojeść miecza i wszedł do środka.

Rozmowy ucichły momentalnie, a mężczyźni zerwali się na nogi.

Przeszedł pięć, sześć kroków, nim zrozumieli pomyłkę.

- Zdrada! - Krzyk szarpnął gwardzistami.

Miecz Mufgara ciął mężczyznę przez pierś. Odbił opadające z boku ostrze. Dwóch siedzących najbliżej drzwi stanęło w wejściu. Zabójca doskoczył do nich, zwarł się z jednym, cofnął, kaszłąc krwią. Nie wytrzymał drugiego ciosu. I nie zobaczył, kto wbił mu ostrze w plecy. Zapadł się w pustkę.



Osiem dni rządził Illonią Naout zwany Nie Wyniesionym, osiem nocy zaciągał do łoża Ismenę, córkę Nanniego. Dnia dziewiątego samka powiadomiła Emiliana, że władca odebrał sobie życie.

- Nie zniósł wyrzutów sumienia? - zapytał bóg, patrząc na skrwawione prześcieradła i leżącego przy łożu mężczyznę; miał poderżnięte gardło, kilka ran na piersi, obcięte przyrodzenie.

- Tak, panie - przytaknęła kobieta.

- Co z nim zrobisz?

- Oddam dla plebsu.

- Mądra decyzja. - Namiestnik pokiwał z uznaniem głową. - Śmierć Naouta powinna uciszyć niezadowolonych. A tobie przysporzyć zwolenników. Nadszedł czas, byś została namaszczona na panią Ill.

Samka przypadła do nóg Emiliana.

- Wstań - nakazał i podał jej rękę. - Wiedziałaś, że tak będzie, albowiem śniłem, że kiedyś zdobędziesz Uruk. Teraz dałem ci władzę, byś mogła tego dokonać.

- Sen kłamał, panie.

- Wiedz jednak, że jeśli najedziesz Uruk, obszary zapłoną ogniem walk i poleje się niewinna krew, a ludy przeklną cię na całe pokolenia.

Ismena osunęła się na kolana.

- Zabij mnie, panie - szepnęła. - Nie chcę widzieć tego, o czym powiedziałaś. Nie chcę mieć niewinnej krwi na rękach.

- Nie prosz mnie o to. Sama musisz zdecydować, jaką drogę wybrać. Nie musi być tak, jak widzę.

- Przysięgam ci, panie, że nie będzie.

- Przysięgi są po to, by je łamać. Pozwól, że wezwę kapłanów.

Nie znał przyszłości, a tych, którym wydawało się, że ją znają nie tolerował. Rzeczy pozostawione swojemu biegowi i tak starały się toczyć po jego myśli. Tylko czasami błądziły.

Mógł zabić kapłanów - pozwolił, by żyli. Mógł zabić Naouta - zrobiła to



Ismena. Mógł zabić Baalberitana.

Po raz pierwszy nie zabił nikogo.

Podobno nic nie działo się bez przyczyny - przyśnił mu się sen i postanowił zobaczyć, jak wiele było w nim prawdy. Dziś już wiedział. Zatrzymał się na schodach, popatrzył na słońce. Nic nie trwa wiecznie, pomyślał. A zwłaszcza władza. Wiedział, że kiedyś będzie musiał ustąpić. Lecz wierzył również w swoją nieśmiertelność.

Nie marzył o tronie Ill. Choć był go bliski jak żaden z namiestników Uruk. Czasy Aleksandra - czasy podbojów - minęły bezpowrotnie. Wszedł na schody.



Świątynia przywitała go chłodem, pustką i stęchlizną. Krew, nie tak dawno barwiąca ołtarz, wyschła, trupy zwierząt rozwlokły psy i szczury. Posągi bóstw, którym oddawano hołd - Venaliaha, Ra i Seta - stały milczące i zapomniane. Lud ujrzał pustkę i przeraził się jej dotykalsnością.

Kapłani od jedenastu dni modlili się w lochach - nieobecni w terażniejszości, uśpieni fioletem, który pojawił się wraz z zapowiedziami końca świata. Dziś Emilian postanowił ich rozbudzić.

- Mianujecie Ismenę - rzekł, gdy tylko ocknęli się z letargu - albowiem tak chce lud. - W oczach namiestnika załśnił fiolet, twarz zmieniła kształt.

Przerażenie ugięło kolana kapłanów. Oto ujrzeli oblicze zła i zmroził ich strach tak wielki jak nigdy dotąd. Słowa zastygły w gardłach.

- I baczcie, by nie nastaly znów dni sądu.



Dzień później Wiedzący Wiele wynieśli Ismenę, a plebs rozśpiewał się ze szczęścia. Znienawidzony bowiem został Naout, a jego śmierć przyjęta z radością.

- Z woli Venaliaha, z woli Ra - krzyczał kapłan, wkładając obręcz na głowę córki Nanniego.

Możni i maluczcy chylili ciała.

Była krwią z krwi, choć kobietą - pierwszą na tronie od zarania dziejów. Nikt nie zastanawiał się, jaką panią będzie i czy jej mianowanie stanie się dla nich dobrą wróżbą. Ostatnie dni zachwiały wiarą plebsu, przyniosły strach i śmierć. Jeszcze niedawno wyglądali końca świata - dziś cieszyli się jak dzieci.

Emilian przyglądał się, studził żar kapłańskich głów.

A zarazem swój gniew.



Pod wieczór ceremonia dobiegła końca - przedstawiciele kast oddali hołd, a Ismena obiecała sprawiedliwie rządzić. Słudzy rozdali datki biedocie.

- Mufgara wtrącono do lochów - rzekł Emilian, gdy pałac opustoszał. - Jest ranny, lecz żyje.

- Wyruszysz, panie, do Elwin? - zapytała namiestniczka.

- Nie. Jego los już się dopełnił. Wracam do Uruk.

- Proszę byś został.

Pochylił się i pocałował kobietę.

- Nie mogę. Ale będę na ciebie czekać.

- Obiecuję, że odwiedzę cię, panie.

- Wiem.

- By okazać wdzięczność i złożyć ci hołd.

Rozbłysnął fioletem, przemienił w wilka, w kobietę, w węża.

- Będę w Uruk - przypomniał i wyprysnął oknem pod postacią fioletowej smugi.

Ismena wróciła na tron, położyła ręce na poręczach.

- Służba! - krzyknęła.

Chciało się jej śmiać i tańczyć, walczyć. Nareszcie była wolna i miała Illonię tylko dla siebie.

- W osadzie Kur-Kur - rzekła, gdy słudzy przestali bić pokłony - ukrywa się rodzina Naouta Nie Wyniesionego. Ciebie, Komie, czynię odpowiedzialnym za sprowadzenie ich tutaj. Chcę również byście odnaleźli chłopaka o imieniu Rubi. To wszystko.

Patrzyła, jak wycofują się z komnaty, uśmiechała się. Sama poleciła ich Naoutowi. Sama też powierzyła zwierzchnictwo nad armią Churdadowi, któremu ufała bezgranicznie. Ech, warto było umrzeć...

W Uruk, mieście przeklętym.



Rankiem doprowadzono przed jej oblicze Rubiego. Straż przyłapała go na grzebaniu Naouta.

- Wydłubcie mu oczy - poleciła - i obetnijcie język. Potem wypędźcie z miasta.

W południe spotkała się z kapłanami. Za ich radą wyznaczyła posłów i wybrała dary ze skarbca dla kapłanów z Elwin, którzy od śmierci Hagita sprawowali pieczę nad obszarem.

Sześć długich dni czekała na odpowiedź.

- Więzień o imieniu Mufgar-Immanuel zmarł w lochach - rzekł goniec.

Podeszła do okna i otarła pierwszą i ostatnią łzę.

- Sen kłamał - szepnęła ku słońcu.



Emilian przytulił Judytę, wplótł palce w czerń włosów.

- Za tysiąc lat nikt nie będzie o nas pamiętał - rzekł. - Mrok zakryje wszystko.

- A pergaminy, panie?

- Za tysiąc lat rozpadną się w proch. A jeśli nawet przetrwają, nie każdy je zrozumie, nie każdy ich dotknie. Znikniemy tak samo jak się pojawiliśmy, Judyto.

Gubił się, błądził, zapadał. Kiedyś wszystko było po stokroć prostsze, bardziej oczywiste. Kiedyś, gdy chciał kogoś zabić, nie wyręczał się innymi.

- Odpowiesz mi kim jesteśmy? Po co żyjemy? Dlaczego otrzymujemy coś, co będzie nam odebrane bez słowa wyjaśnienia wtedy właśnie, gdy najmniej będziemy się tego spodziewać?

- Nie wiem tego, panie.

- Tak jak nie wie tego nikt. Mufgar zmartwychwstał i posiadał moc, z której korzystał do woli. Był niczym świeży owoc wystawiony na słońce. Wysechł, zanim się spostrzegł. Czy ze mną stanie się to samo?

- Nigdy, panie.

- Chciałbym w to wierzyć.

Z biegiem lat miał coraz więcej wątpliwości.

Z biegiem lat...

- Chciałbym poznać tego, kto dał nam życie, Judyto - rzekł. - Tego, kto stworzył Uruk, Ill, Adrion, Elwin... Nazwałem się bogiem, lecz to nie ja ale On jest nim naprawdę. I wszyscy, jak jesteśmy, powinniśmy każdego dnia składać mu hołd. Za życie, które nam dał i to, co przygotował nam po

śmierci.

- Oddajmy mu więc pokłon, panie.

Emilian uśmiechnął się.

- Niech będzie przeklęty - powiedział.

# Wojciech Sztybel

## Nóż

*Ani - za Odpowiedź*

*Powołaniem człowieka jest dążenie do prawdy, która przekracza jego samego.*

Jan Paweł II, encyklika *Fides et ratio*

*Is that a dagger or a crucifix I see You hold so tightly in your hand?*

*And all the while the distance grows Between you and me I do not understand.*

Peter Gabriel *Blood of Eden*

# ŚWIAT W CIENIU ŚWIATA

## PROLOG O ZMIERZCHU

Mężczyzna idzie korytem wyschniętego strumienia. Buty ślizgają się na drobnych kamykach, gdy wspina się na szczyt wzgórza. Jest wysoki, barczysty, na piersi ma tatuaż z emblematem Czarnego Słońca. U pasa wisi pochwa, z której wystaje rzeźbiona rękojeść. Na postronku wlecze opierającą się kobietę: czarnowłosą, o migdałowych oczach w pięknej choć bardzo brudnej twarzy. Jej usta ciskają obelgi.

- Harlan, jak ja cię nienawidzę!

Mężczyzna nie reaguje, zaciska tylko usta. Wybacz mi, Iris! Docierają na wzgórze. Pośród suchej trawy i krzaków ruiny porośnięte mchem. Obraca się ku dziewczynie: - To jedyne wyjście.

Ona słuwa mu w twarz.

- Kocham cię.

- Przestań, kłamco!

Harlan szarpie postronek - Iris pada na kolana. Jej dłonie zaciskają się na gałązkach krzewów, jednak mężczyzna jest silniejszy. Mocnym szarpnięciem unosi ją z kolan i wprowadza do budowli.

- To tu.

Przewraca kobietę na ziemię. Kawałki gruzu, leżące wśród zielska, ranią jej plecy. Harlan wyciąga nóż. Iris wierzga, kopie, skręca się jak złapana w sieć ryba.

- Proszę, nie...

Harlan zdiera jej kurtkę, odsłania pierś. Tam tętni serce, tam wbije ostrze.

- Nieee...

Patrzą sobie w oczy.

- Uwierz, Iris. Dostąpisz wyzwolenia.

Iris usiłuje drapać i gryźć. Nietoperze czmychają spod sufitu, na moment gaszą blask Czarnego Słońca. Dziewczyna charczy: - Bądź przeklęty za to, co mi zrobiłeś!

Lewą ręką Harlan przyciska jej twarz do ziemi. Prawą, uzbrojoną w nóż, unosi w zamachu. Zęby Iris wgryzają się w palce Harlana - pękają kostki i ścięgna, tryska krew.

Paroksyzm bólu, krzyk, uderzenie.

Ostrze wchodzi w serce Iris.



W oberży „Rozdroże” siwowłosa mężczyzna ocknął się ze snu. Znużony całodziennym marszem zasnął z głową na ławie, między pustą miską, okruchami chleba i cynowym kubkiem. Od rana szedł w deszczu; jego przemoczone łachy suszyły się teraz nad kominkiem, a on - w płóciennej koszuli i kalesonach - odpoczywał w ciepłym zaduchu karczmy. Na ławach i zydlach spoczywali kupcy, wagabundzi, pielgrzymi i awanturnicy. Pod strzechą zalegał smród topniejącego łoju, przetrwanego alkoholu i niemytych ciał. Karczmarz spluwał na klepisko i zawzięcie mieszał zupę w wielkim garze nad paleniskiem. Rozpięte w oknach rybie pęcherze przepuszczały niewiele wieczornego światła. Część gości opuści oberżę, część zostanie do rana. On postanowił nocować.

Podparty na łokciach rozpamiętywał sen. Wydarzenie sprzed lat powracało. Nieudane samobójstwo. Wędrował po świecie, by odnaleźć przedmiot, który umożliwi mu połączenie się z kobietą, którą kochał.

Ponownie senność upomniała się o Harlana. Odgłosy cichną, gaśnie



półmrok. Za chwilę będzie śnił dalej. Jego powieki zamknęły się jak dwie kamienne muszle.



Czarne Słońce żarzy się blado. W dolinie zamglony świt przesycony oparami siarki. Ma się na deszcz. Harlan spluwa. Lewa dłoń krwawi. Tuż przed śmiercią Iris odgryzła mu dwa palce.

- Zabiłem - szepcze, zerkając na skrwawiony nóż. - Zaczekaj na mnie, Iris. Musimy się odnaleźć... - Ociera nóż o policzek. Czuje na wargach jej krew.

...Pora na mnie.

Stając na krawędzi skały, rozpuszcza włosy. Serce uderza wściekle, oczekując noża.

...Jeśli nie ma świata, dla którego zabiłem, jestem mordercą. Jeśli nie ma świata, w którym podział na Malenistów i Femilanki został przełamany, jestem samobójcą...

Głęboki oddech. Harlan zaciska zęby. Teraz...

Świst pocisku, huk w skroni. Kolejny kamień z procy, tym razem w czoło. Harlan osuwa się na ziemię, nóż wypada mu z ręki. Twarz ma całą we krwi. Słyszą dzikie nawoływania. To jedna z górskich band rozbójniczych...Zaraz tu będą. Gdzie nóż, muszę się zab...

Za późno - zbóje pochylają się nad Harlanem. Czyjś but miażdży mu nadgarstek. Bandyta podnosi nóż i ogląda z ciekawością.

- Oddawaj...

Bandzior patrzy na Harlana dzikim wzrokiem. Kopie go w brzuch.

Ochrypy szept: - Doróżnij go, Milrun...

I odpowiedź: - Stul pysk, Lanzo!

Kopnięcie w kark. Harlan traci przytomność.



W karczmie poranna krzątanina. Karczmarz otworzył drzwi, Harlan poczuł na twarzy ożywczy wiatr. Otworzył oczy. Bolały go kości, ale przynajmniej się wyspał. Wstał, ziewnął, przeciągnął się, wypił resztkę wody z kubka, po czym zdjął suche łachmany znad kominka. Zakładając je myślał, dokąd powinien się udać. Karczma „Rozdroże” leżała przy zbiegu wschodniego i północnego traktu. Była jednym z niewielu miejsc, gdzie nie kojarzono Harlana z dziwnymi opowieściami.

Odwiedzając gospody miał zwyczaj siadać przy ogniu i bawić gości cudacznymi historiami o dalekiej krainie, gdzie życie toczy się inaczej - ceni się tam pokój, przyjaźń, a wojna uważana jest za nieszczęście. „Co to za kraj - naśmiewali się podróżni - chyba głupota rządzi tam niepodzielnie?” Harlan nie reagował. Twardo snuł opowieść. Mówił o uczuciu, które każe mężczyznom i kobietom łączyć się w pary, zakładać rodziny, mieć potomstwo. Nikt nie rozumiał, jak dzieci mogą „rodzić się z kobiety”. Padały uwagi: „Parzą się niczym psy” i okrzyki: „Łączą się jak zwierzęta, by chować młode!” Wybuchy śmiechu przeplatały opowieść, lało się piwo, goście zasypiali pod stołami. Wtedy karczmarz dawał Harlanowi ciepłą strawę i pozwalał spać przy kominku. Rano goście drwili z szalonego bazarza. Takie życie wiódł Harlan z Północnych Bagien, niegdyś żołnierz i szpieg oraz dowódca sił zbrojnych Czwartej Osady.

## Dwaj prorocy

Zarządca wyszedł przed wieżę i spojrzał w niebo. Miało przedziwną barwę. Bładoróżowa łuna rozciągała się na grafitowej kopule niczym abstrakcyjny fresk. Horyzont rysowały zygzaki błyskawic, przez równinę przetaczały się gromy. Pustkę krajobrazu przecinała wieża - ceglana baszta scalona zaprawą z krwi bydłowej. Bezruch pejzażu zdawał się skupiać w jej murach. Ciemnoczerwona, rdzawa, zębiskami krenelaży szczyrzyła się ku niebu. Zarządca uwielbiał ten uśmiech.

Odetchnąwszy pełną piersią zawrócił do środka. Na parterze miał pracownię. Pod ścianami piętrzyły się zakurzone woluminy, pośrodku stał wielki stół z oprzyrządowaniem: koła kombinatoryczne, maszyny liczące, szklane retorty, mapy, astrolabium... To tutaj Zarządca dokonywał obliczeń. Czuwał nad nienaruszalnością porządku w świecie Czarnego Słońca.

Poprzedniej nocy dręczył go sen. Rozpętała się burza, pioruny uderzały w wieżę, mury pękały z łoskotem, żaby śpiewały żałośnie. W oddali płonął ogień. Zarządca ujrzał dziwny znak na niebie - dwie dłonie dzierżyły gigantyczne ostrze. Poczuł się bezsilny. Coś się kończyło, a on nie mógł temu zapobiec. Bał się. Był kustoszem starego porządku, odpowiadał za integralność tego świata. We śnie tracił swą władzę. Nagle wszystkie żaby zaczęły płonąć - równina była żywym, skwierczącym dywanem, zdawało się, że ogień trawi rechoczącą ciemność. Wtedy Zarządca się zbudził.

Zrozumiał, że sen był przesłaniem. Jego mocodawca dawał znak - coś się wydarzy. Spojrzał na skalę entropijną: świat Czarnego Słońca wciąż pływał w swoim przedziale. A jednak nastąpiło przemieszczenie - jakiś obcy element wkradł się do rzeczywistości. Pomyślał o dwóch krainach, w których żyją zwaśnione rasy - o nienawiści między Malenistami i

Femilankami. Wieczna wojna, równowaga przeciwieństw. Zarządca był strażnikiem tego stanu rzeczy; teraz coś chciało go zakłócić.

Wysoki, zgarbiony, z haczykowatym nosem wyglądał jak upiór. Nie spotykał się z ludźmi - jego wieża znajdowała się na drugim krańcu świata, wśród nieprzebytych północnych równin. Mieszkały tu tylko żaby; czasami przylatywali zwiadowcy: czarne ptaki donoszące Zarządcy o wszystkim, o czym chciał wiedzieć. A jednak przeoczyły fakt, że pewien stary rybak z malenijskich lasów zdążył w stronę Góry Snu, niosąc w torbie zawinięty w płótno nóż w kształcie prostokątnego krzyża. Poprzedniego dnia znalazł go w strumieniu, gdy schylił się, by opłukać twarz. Po drodze dołączyły do niego cztery inne osoby: przygłuchy bartnik, kulawy bednarz, jednooki kłusownik i obłąkana Femilanka. Ptaki Zarządcy były pochłonięte kontrolowaniem osad i nie zwróciły na to uwagi.



Nabożeństwo rozpoczynało się przedwieczorną kontemplacją. Członkowie sekty gromadzili się wokół kamiennego cokołu i przyjmowali pozycje medytacyjne. Siadali ze skrzyżowanymi nogami na plecionych z łyka dywanach, rozkładali ręce, po czym z zamkniętymi oczami zaczynali nucić: jeden, dwa, trzy... dwa, jeden, trzy... trzy, jeden, dwa... jeden, trzy, dwa... dwa, trzy, jeden... trzy, dwa, jeden... I od początku: jeden, dwa, trzy... Grota rozbrzmiewała szeptaną litanią liczb.

Starzec, założyciel sekty, tłumaczył akolitom: - Istnieje pierwotna jedność, z której wyłoniły się wszystkie światy, doskonała całość, która jest na progu wszystkiego. Jedność jest zacyzmem wszechrzeczy. Stanowi nadrzędną zasadę. Niestety, żyjemy w świecie, w którym nastąpiło rozbicie. Wszystko uległo rozszczepieniu: chaos i porządek, doskonałość

i niedoskonałość, światło i ciemność... Podstawą stało się rozdwojenie. Istnieje szansa powrotu do pierwotnej jedności. Świat pragnie odrodzić się jako całość.

Jedność - rozbicie - powrót do jedności. Starzec zawarł ten rytm w krótkiej wyliczance.

Gdy medytacja dobiegała końca, nożownicy przemieszczali się do kolejnego kręgu. Byli teraz bliżej ołtarza, a ich guru obchodził rozetę, którą tworzyli, udzielając błogosławieństwa. Następnie rozwijał zwoje, w których zawarte było Objawienie, i odczytywał fragmenty. Stary rybak spisał je w transie, przez trzy doby kreśląc znaki, których nie rozumiał. Gdy się ocknął, był wycieńczony, zachował jednak umiejętność czytania.

Później nadchodził czas wspólnych modłów. Siadali przed wejściem do groty i w zapadającym zmierzchu posyłali Czarnemu Słońcu obietnicę śmierci:

*Blask twój fałszywy, Światło nie-światłem, Czerń barwą nocy, Świat odwrócony, niedoskonały Skończy się wkrótce Zgaśnie z twym ogniem*

U stóp wielkiej góry, gdzie mieli siedzibę, rozciągały się mokradła, które o zmierzchu zaczynały rozbrzmiewać muzyką bagien.

*Święte ostrze przebije serce gwiazdy, Zgasi kłamstwo zakłęte w czerni, Co świeci nad nami blaskiem niepojętym...*

Nadciągała noc. Modlili się, a żaby śpiewały w ciemności.

# Oni

Mężczyzna, który tamtego dnia odnalazł Harlana, miał nieprzenikniony wyraz twarzy oraz czarną bluzę z kapturem. Strój mówił najwięcej: był to mundur służb specjalnych Czwartej Osady; jednak zagadkowe spojrzenie posłańca i trzymany w dłoni rulon dokumentu też mówiły sporo: sprawa musiała być nietypowa.

Pukanie do drzwi. Skrzypnięcie zawiasów. Następnie regulaminowy ukłon, półszyfrowany meldunek, drugi ukłon, i Harlan znów był sam w baszcie. Podszedł do okna i odprowadził posłańca wzrokiem. Później odpieczętował rulon. U góry widniała pieczęć Służb, pod nią pseudonim Harlana: Kardos (imię, które wymyślił kiedyś po trzech kwartach piwa). Było to kilka lat temu, gdy zmuszony życiową sytuacją zaoferował swoje usługi służbom specjalnym IV Osady. Wcześniej był dowódcą oddziału w drużynie zbrojnej, stał na czele setki świetnie wyszkolonych wojowników. Musiał odejść z wojska, ponieważ złamał rozkaz. Fakt, iż działając na własną rękę ominął zasadzkę Femilank, nie stanowił okoliczności łagodzącej.

Przez rok Harlan żył z oszczędności i resztek żołdu. Później nawiązał współpracę ze Służbami. Jako dowódca drużyny był świetnym zwiadowcą i taktykiem, nie musiał się przekwalifikowywać. Przyjęto go od razu; od dawna krążyła po osadzie opowieść o manewrze Harlana: wstrzymał atak i nie wjechał do wąwozu, w którym ukryte wojowniczkі miały zasypać jego oddział gradem kamieni i strzał. Zamiast tego, łamiąc rozkaz, Harlan wspiał się z drużyną po zboczu i wyciął femilańską zasadzkę. Następnie urządził przyczajonym niżej wojowniczkom kamienowanie; głązy, które miały spaść na Malenistów, unicestwiły Femilanki. Reszty dopełniły bełty, spadające na wojowniczkі niczym

krople trującego deszczu.

Wracając z głowami Femilanek w workach drużynę powitano owacyjnie. A jednak był to kres kariery wojskowej Harlana z Północnych Bagien. Podziękowano mu za zwycięstwo i wyrzucono z armii. Zamiast odprawy uniknął wtrącenia do lochu.

Kiedy Harlan otrzymał rozkaz od tajemniczego gońca, nie myślał o przeszłości. Czym prędzej zapoznał się z treścią pisma:

*W okolicach Góry Snu, na mokradłach, w najbardziej niedostępnych rejonach Centralnych Bagien, zdomowała się nowa sekta. Dowodzi ją siwowłosa mężczyzna zwany Starcem, niegdyś rybak żyjący w leśnej głuszy, utrzymujący się z handlu wymiennego z II Osadą. Informacje na temat sekty są skąpe. Wiadomo, że przedmiotem kultu jest tajemniczy przedmiot, sztylet albo nóż. Starzec twierdzi, że za pośrednictwem jego osoby Opatrzność chce zbawić świat Czarnego Słońca. Starzec, który mianował się bożym namiestnikiem, sprawuje niepodzielną władzę. Najbardziej istotny wydaje się jednak fakt, że do grupy należą zarówno Maleniści, jak i Femilanki. Równie bluźniercze są poglądy nożowników: twierdzą, że nasza kraina jest zaledwie cieniem prawdziwego świata, a więc należy ją opuścić...*

Harlan roześmiał się sucho. Starzec, pomyślał. Kolejny natchniony idiota, który odrzuca porządek Czarnego Słońca...

*...Dostęp do górskiej groty, w której zdomowali się nożownicy, jest trudny. Na bagnach łatwo zbłądzić, kilku naszych szpiegów nie wróciło stamtąd. Podobno sekta odrzuca wszelką przemoc. Zlokalizowaliśmy z grubsza ich siedzibę...*

Harlan zerknął na prymitywną mapę. Pośrodku, otoczona bagnem, piętrzyła się Góra Snu; na jej wschodnim zboczu zaznaczono grootę.

*...Mając na względzie bezpieczeństwo świata Czarnego Słońca, postanowiliśmy: należy niezwłocznie rozbić sektę. Agencie Kardos - zostałeś wyznaczony do tej misji. Twoim zadaniem jest odnaleźć i zabić Starca i jego akolitów, następnie zlikwidować ślady związane z ich działalnością. Przedmiot kultu, rytualny nóż, ma być dostarczony naszym kapłanom.*

Niżej widniała pieczęć: „Rozkaz należy wykonać bezzwłocznie”.  
Podpisy.

Harlan odłożył pismo. Czuł się jak pies, który podjął trop. Myślał już tylko o zgładzeniu sekty. A także o dziwnej religii nożowników, która podważała porządek tej krainy, wieszcząc koniec Czarnego Słońca.



W tym samym czasie, kiedy Harlan zajęty był przygotowaniami do misji, po drugiej stronie gór, w jednej z femilańskich osad, wojowniczką o imieniu Iris płakała, patrząc w buzujący na kominku ogień. Jedną z jej sióstr odeszła. Zostawiła krótki, niezrozumiały list, i wymknęła się nocą z osady. Napisała, że podąża w stronę mokradeł, nad samą granicę dwóch krain. Górskie bagna otaczające Górę Snu stanowiły naturalną barierę między osadami Femilanek i Malenistów. Sora pisała o „domu, który chce odnaleźć wśród mokradeł”, o „dobrych ludziach, którzy tam żyją”, i „przymierzu, zgodzie i pojednaniu, które powinny stać się nowym fundamentem świata Czarnego Słońca”. Nieszczęsna wariatka! Iris nie przypuszczała, że Sora kiedykolwiek odejdzie. Były przyjaciółkami, towarzyszkami broni; traktowała ją jak młodszą siostrę. A jednak stało się - coś ją opętało, jakiś dziwaczny pomysł, i postanowiła ruszyć w świat. Nocą bez pożegnania. A przecież nic nie wskazywało, że jej



przyjaciółka traci rozum. Czasami tylko zamykała się w sobie, milczała, wydawała się nieobecna. Ale szybko jej przechodziło. Iris przypomniała sobie, że któreś nocy Sora mówiła przez sen; były to strzępy zdań, dziwaczne frazy mrużane bez ładu i składu: „Ostrze, które daje życie...”, „Świat poza tym światem”, „nie bój się stabilizacji...”. To ostatnie słowo Iris zapamiętała dokładnie, gdyż pojęcia nie miała, co znaczy. Tamtej nocy nie mogła zmrużyć oka, a leżąc na drugim pościeliu Sora zaczęła przewracać się z boku na bok i wykrzykiwać tajemnicze słowa. „Stabilizacja” - cóż to mogło znaczyć? Kiedy następnego dnia zapytała Sorę, ona również nie miała pojęcia.

Zrazu, kiedy odkryła ucieczkę towarzyszkę, chciała ruszyć w pogoń. Później zarzuciła tę myśl. Jej również zarzucono by dezercję, zapłaciłaby głową. Sora zdezerterowała i nie ma dla niej powrotu do osady. Tak skończyła się ich przyjaźń - wspólne życie, odkąd wyjęto je z nenufarów na bagnie prokreacyjnym, przez zabawę, kiedy były dziewczynkami, aż do rytuału obrzezania, czyli ucięcia im prawej piersi, by mogły stać się wojowniczkami. Jedyne, co Iris mogła zrobić, to poskładać fakty. Zniknięcie Sory nie było jedynym takim wypadkiem, przed nią uciekły z osady jeszcze dwie Femilanki. Czy poszczególne zniknięcia coś łączyło? Te dwie dezercerki nie były znajomymi Sory, tego Iris była pewna. Więc co mogło skłonić ją do ucieczki?

Ogień buzował w kominku, Iris ocierała łzy.

Pukanie do drzwi. Pięciokrotne, charakterystyczne uderzenie - tak pukali tylko posłańcy Straży. Była noc, sprawa musiała być ważna.

Iris otworzyła drzwi. Młoda dziewczyna, jeszcze nie obrzezana, stała na baczność i meldowała: - Dowództwo Straży żąda natychmiastowej rozmowy z Iris z Zachodniego Bagna. Sprawa jest wyjątkowo pilna. Mam rozkaz doprowadzić siostrę do siedziby dowództwa, obradującego na nadzwyczajnym posiedzeniu. W razie odmowy zostanie siostra wydalona z wojska.

- Spocznij.

Iris bez słowa wdziała mundur i udała się za łączniczką. Szły przez pogrążoną we śnie osadę. Dziewczyna niosła łuczywo skwierczące w kroplach deszczu. W całej osadzie było ciemno, nie licząc płonących pochodni na wałach; gdzieś w oknach domostw tliły się światła. Buty Iris zapadały się w błocie. Czego chcą ode mnie?, myślała gorączkowo. Czy ma to związek z Sorą?

W budynku dowództwa - okazałej kamiennej budowli - najbardziej poufne sprawy załatwiano w piwnicy. Tam też obradowało gremium, które zażądało stawiennictwa Iris. Pośrodku oświetlonej pochodniami przestronnej sali stał prostokątny stół. Po bokach siedziało osiem najwyższych rangą wojowniczek. Krzesło przy krótszej krawędzi zajmowała dowódczyni; Iris skłoniła się. Łączniczka zameldowała wykonanie zadania i zniknęła za drzwiami. Wtedy poproszono Iris, by usiadła.

- Zostałaś wezwana - zaczęła Ulryka Isz, dowódczyni - gdyż zostanie powierzona ci misja. Jak się domyślasz, ma to związek z twoją przyjaciółką. Podejrzewamy, gdzie uciekła. Najprawdopodobniej tam, gdzie poprzednie dezertarki. Nasze zwiadowczynie śledziły je do pasa granicznego - obie udały się na mokradła, w okolicę Góry Snu, gdzie osiadła dziwna sekta... Jakiś staruch grupuje wokół siebie Femilanki i Malenistów.

Iris otworzyła usta.

- Tak, młodsza siostró, my też byłyśmy zdumione. Nasze towarzyszki uciekają z osad, by żyć pod jednym dachem z naszymi śmiertelnymi wrogami. Należy zdusić to w zarodku.

- I Sora dołączyła do nich? - wykrztusiła Iris.

- Zapewne jeszcze tam nie dotarła. Ale wszystko wskazuje na to, że zamierza.

- Jaka jest moja misja?

Dowódczyni uśmiechnęła się cierpko.

- Weźmiesz sześćosobową grupę i odnajdziesz siedzibę sekty. Nie kryję, że macie małe szanse. Nie znamy nawet dokładnego położenia ich obozu. Ale wiem, że zrobisz wszystko, by uratować Sorę. Tylko w ten sposób możesz ją wyrwać z rąk fanatyka...

- Kiedy mam ruszać?

- Pojutrze. Jutro otrzymasz szczegółowe instrukcje.

- Tak.

Gdy wracała, robiło się szaro.

W izbie szczapy tliły się żarem. Iris ułożyła się na łóżku. Nie pojmowała, że gasnący ogień wyznacza kres jej dotychczasowego życia. Zapadała w sen nie wiedząc, że w tym samym czasie w jednej z malenijskich osad zamyka powieki nieznamy mężczyzna o imieniu Harlan.



Zarządca siedział w fotelu z czarnego drewna i głaskał wielką ropuchę. Fotel wystawił przed wieżę, by obserwować wędrowną Czarnego Słońca. Żółtawe chmury strzępiły się na wietrze, mżył deszcz. Zarządca miał przymknięte oczy, jakby dotyk żabiej skóry sprawiał mu przyjemność. Krople zraszały ropuchę oraz pomarszczoną dłoń jej pana.

Nagle deszcz ustał. Było bardzo cicho. Zarządca wiedział, że zaraz otrzyma przekaz.

Na grzbiecie ropuchy pojawiły się odbarwienia: czerń ustąpiła miejsca zgniłej zieleni, zieleń przeszła w szarość, ta z kolei w żółć z domieszką brązu. Na płaziej skórze zaczęły wykwitać znaki, które wsiąkały w czerń, by zrobić miejsce następnym, i tak wiele razy, gdyż wiadomość była długa...

Gdy grzbiet ropuchy poczerniał, Zarządca wstał i z namaszczeniem położył ją na ziemi. Pulchne cielsko zniknęło w trawie, przez chwilę było słychać plaśnięcia w błocie. Zarządca udał się do gabinetu, by skontrolować poziom entropii. Odchylenie nie dawało się zniwelować, nadal „coś” przebywało w świecie Czarnego Słońca. Człowiek? Zwierzę? Przedmiot?... Tego Zarządca nie wiedział, ptaki nie przekazały mu ostrzeżenia. Prawdopodobieństwo, że przeoczyły wnikięcie obcego ciała, było małe; zauważyłyby pęknięcie ściegu. Co więc się stało?

W świetle informacji, którą otrzymał, jedno było pewne: powstał tunel między światem Czarnego Słońca i jego nadświatem. Naruszono zasadę izolacji. Tak jak w obszar cienia nie mogą wnikać elementy bryły rzucającej cień, tak w świat Czarnego Słońca nie powinny przenikać fragmenty nadświata. A jednak...

Zarządca myślał nad wytycznymi, które otrzymał.

Układał plan.

## Wschód słońca

Wstawał świt. Czarne Słońce podpałało ciemność bladym ogniem. Krakąły wrony, czekały psy, rechotały żaby - brzask był ulepiony z przygaszonych świateł i odgłosów budzącej się przyrody. Harlanowi zdawał się porą dziwną: jadąc przez osadę wyobrażał sobie, że styk dnia i nocy to brama między światami. „Nasz świat jest najlepszy z możliwych - nauczali kapłani. - Czarne Słońce płonie bladym ogniem, rozpraszając mrok, a jednocześnie nie atakuje blaskiem zbyt silnym, by nie zmienić ziemi w pustynię...”

Jechał na gniadoszu w stronę bramy, gdzie czekali mający mu towarzyszyć wojownicy. Ich umiejętności dawały dużą szansę wyprawie. Pierwszy, barczysty chłopak o imieniu Req, stał na czele „komanda straceńców” - taki przydomek przyłgnął do jednostki bojowej posyłanej do zadań najbardziej ryzykownych. Drugim był Zolan, zamachowiec i skrytobójca, podpuszczający górskie bandy przeciwko Femilankom. Sam miał wygląd zbója, gębę naburmuszoną i zarośniętą, co było mylące, gdyż za tym ponurym obliczem krył się umysł ze wszech miar błyskotliwy.

Podróż do bramy zajęła Harlanowi trochę czasu; mieszkał na drugim końcu osady. Oprócz broni i żywności, do siodła przytroczone miał: sznurową drabinkę, dwie pochodnie, płócienny namiot, przyrządy orientacyjne, leki przeciw ukąszeniom oraz wysokie skórzane buty do brodzenia w mokradłach.

Osada spała. Z szynków wracali najwytrwalsi biesiadnicy. Jadąc Bednarskim Zaułkiem Harlan zobaczył, jak trzech podpitych chłopaków oblega klatkę ze złapanymi Femilankami. Kobiety przypominały zaszczute zwierzęta. Klatka była ciasna, z trudem się mieściły. Młodzieńcy kopali pręty i rzucali w ofiary błotem. Harlan przejechał obok klatki z kamienną obojętnością. Za jego plecami jeden z chłopaków

oddawał mocz na głowę uwięzionej.

Przejechał przez rynek, obok posągu Czarnego Słońca, zwieńczonego czarnym granitowym kołem o czterech promieniach wykonanych z żelaza. Podstawa kolumny była zatopiona we mgle, której opary snuły się nisko nad gruntami. Tędy również przemykali przechodnie. Harlan mijął ich wyniosły, zamknięty w sobie, nieobecny. Posturą i posepnością oblicza przypominał posąg.

Noc odeszła, światło przybrało odcień bursztynowy. Harlan minął nekropolię, jak w języku Czarnego Słońca zwano bagno prokreacyjne. Był dzień dawania życia. Kilku młodzieńców stało w ukwieconej nenufarami wodzie, pobudzając ręką swe członki. Młodzi Maleniści obowiązkowo zraszali bagno spermą. Czarne Słońce weszło w fazę „p” - jego blask sprzyjał zawiązywaniu się życia. W bagnie pływały specjalne pręciki, które po połączeniu z nasieniem tworzyły zarodek, ten zaś przyczepiał się do kiełkującego nenufaru, pełniącego rolę żywiciela, by w kwietnym kielichu rozwinął się płód pokryty przezroczystą błoną ochronną. Gdy hymen pękał, wyjmowano noworodka i umieszczano w wychowalni. Tak Maleniści przychodzili na świat.

Mijając uczestników obrzędu Harlan pochylił głowę. Był to znak czci dla śmierci, która kiedyś upomni się o zrodzonych z błota. „Z bagna powstałeś, w bagno się obrócisz”, brzmiały słowa kapłana uwalniającego dziecko z nenufaru. Maleniści nie grzebali zmarłych w ziemi, nie palili zwłok. Trupy wrzucano do bagna, gdy Czarne Słońce wchodziło w fazę „s” - pręciki miały wówczas właściwości rozkładające. Życie i śmierć były uzależnione od faz Czarnego Słońca, przy czym świat zmierzał ku obumarciu. Koniec nastąpi, gdy gwiazda zaświeci niepojętym czarnym światłem, gasząc wszelkie życie. Rozpuszczające się w mazi zwłoki miały odzwierciedlać ów cykl.

Myśli Harlana krążyły wokół doktryny Czarnego Słońca, gdy przejeżdżał obok miejsca, w którym się narodził.



Iris obudziła się pod wpływem zimna. Przez niedomknięte okno wnikał do izby chłód wczesnego świtu. Ogień na kominku tlił się słabym żarem. Iris wstała i przystąpiła do porannych ćwiczeń. Następnie weszła do beczki z zimną wodą i zanurzyła się po szyję. Gdy wyszła, wytarła się gryzącym ręcznikiem i usiadła nago przy stole. W ciszy spożyła śniadanie. Wyprawa była zapięta na ostatni guzik, okulbaczone konie czekały w stajni, drużyna miała stawić się przed gmachem dowództwa. Iris wiedziała, że ryzyko jest duże.

Jedząc, przyglądała się swojej izbie rozjaśnionej świetlistymi smugami sączącymi się przez szpary. Kamienna podłoga, pochodnie zatknięte w kunach o kształcie ropuszych pysków, kufer z mundurem, ołtarzyk Czarnego Słońca, całun zroszony krwią z obciętej piersi, wnęka paleniska, kilka garnków, skóry na podłodze, stół, krzesła, łóżko, żelazne świeczniki. Rzeczy. Martwa natura. Cisi towarzysze codzienności. Przedmioty, sprzęty, ubiory. Teraz, gdy wyruszała w stronę Góry Snu, potrzebowała ich obecności. Czeką ją trudne zadanie, kilka dni drogi przez bagna, góry i lasy. Tylko pierwszy krok jest trudny. Lecz kiedy zdąży się ku niewiadomemu, cała droga najeżona jest trudnościami. „Jedziesz tam, by odzyskać swoją siostrę; by jej pomóc. Zgładzeniem nożowników zajmie się oddział...”

Ubrała się, zarzuciła plecak. Reszta sprzętu czekała w stajniach. Nad drzwiami wisiały spreparowane głowy Malenistów, pamiątka z pierwszej wyprawy, w trakcie której Iris przeszła bojowy chrzest. Przedwczoraj, pod koniec rozmowy, usłyszała od Ulryki Isz: „Przywieź mi głowę Starca”. Przypomniała sobie o tym, gdy jej wzrok spoczął na framudze. Przywiozę, matko, pomyślała. Jeśli tylko stamtąd wrócę...

Na zewnątrz był mglisty świt. Szybkim krokiem ruszyła w stronę

stajni.



Zarządca składał ofiarę swemu bogu. Z tyłu wieży, pod ceglanym murem, stał niewielki ołtarz: rzeźba Czarnego Słońca z poskręcane go żelaza, a nad nią w pozie triumfalnej, postać w płaszczu wyciosana z czarnego drewna. Władca Czerni, Pan Mroku, Król Ciemności.

Pochylony nad ołtarzem Zarządca zawodził pieśń. Przed nim leżały trzy pudełka ofiarne. Z pierwszego wyjął ropuchę, z drugiego ptaka, a z trzeciego szczura. Zwierzęta były odurzone grzybem trus. Rzeźba Czarnego Słońca składała się z obręczy i trzech skierowanych do wewnątrz promieni. Zarządca odchylił je, by wyrastały niczym gwoździe, a następnie, szepcząc modlitwę, powbił zwierzęta na pręty. Ofiara została złożona.

Bursztynowy blask wschodzącego słońca pokrył złożone w modlitwie dłonie Zarządcy.



# Droga

Po dwóch dniach dotarli do jezior, porośniętych trzcina i mangrowią połączonych meandrami niewielkich rzek. Gdziekolwiek widać było palowe mosty. Jazdę ułatwiały zarośnięte trawą groble, ledwie wystające nad wodę. Harlan prowadził drużynę przez podmokły świat pełen naprzykrzających się owadów, fetoru stojącej wody i glonów pokrywających powierzchnię jezior. Bezpieczniej było poruszać się groblami (choć konie zapadały się w błoto powyżej pęcin) niż nadgniętymi resztkami mostów, które w każdej chwili mogły się zawalić. Te obszary były niezamieszkałe, zapuszczali się tu jedynie rybacy z okolicznych wiosek. Nic dziwnego, że nie spostrzegli śladów człowieka.

Pojezierze oddychało płucami zmierzchu, wilgoć przenikała ubrania, zraszała włosy, ziębiła plecy. Wraz ze zmrokiem pojawiała się mgła - przykrywała świat mokrą pajęczyną do reszty zacierając widoczność. Musieli zdążyć przed jej oparami, znaleźć dogodne miejsce do rozbicia obozu. Na kawałku suchego terenu zsiadali z koni, stawiali namiot i czym prędzej rozpalali ognisko. Dym z żywicznych kulek odpędzał owady i podsyczał płomień. Mimo wilgoci tliło się do rana. Była to skuteczna broń przeciw błotniakom, pletwiastym niedźwiedzim zamieszkującym góry i bagna. Kolację jedli w milczeniu, zbyt zmęczeni by rozmawiać. Kładli się spać nie trzymając straży.

Nad ranem witała ich mgła. Podsycali ogień, by naparzyć ziół rosti. Para unosząca się z kociołka odpędzała senność, cierpki smak stawiał na nogi - wkrótce drużyna była gotowa do dalszej drogi.



Czarne Słońce rozpędzało mgłę. Nad końskimi chrapami unosiły się kłęby pary. Byli dzień drogi od mokradeł, półtora od Góry Snu.

Harlan przerwał milczenie, by poinformować o miejscu, do którego zdążają.

- A więc to nie bajki, w które wierzą prostacy? - spytał Req. - Naprawdę Góra Snu ma takie działanie?

- To przekłete miejsce - mruknął pod nosem Zolan, budząc się z porannego odrętwienia. - Sam słyszałem, jak zbóje opowiadali. Najodważniejsi często stamtąd nie wracali, a jak już wracali... Ech, szkoda mówić...

- Gadaj, Zolan - ożywił się Req. - Ciekaw jestem.

- Mieli pomieszane zmysły.

- To prawda, góra wywołuje halucynacje - wtrącił się Harlan. - Wielu z tych, którzy tam dotarli, doświadczyło tego na własnej skórze. Zachowywali się tak, jakby nazarli się grzybów trus. Ale na bagnach nie rośnie nic o takich właściwościach. Trujące rośliny możemy więc wykluczyć. To raczej jakieś promieniowanie z serca góry.

- Sekciarze dostali się pod jej wpływ i zwariowali - skomentował Zolan. - A my jedziemy w sam środek tego gówna, żeby wyciąć pomyleńców.

- Jaką mamy szansę, że nie zwariujemy? - spytał z namysłem Req.

- Zamknijcie się i słuchajcie! - stracił cierpliwość Harlan. - Góra może opętać tylko we śnie, tak twierdzą kapłani. Za dnia jesteśmy bezpieczni, chyba że ktoś przyśnie. Po zmroku są dwa sposoby: nie kładziemy się spać i całą noc pijemy rosti, albo przywiązujemy się do drzew, żeby w transie nie poleźć w bagna. Przetrzymamy do rana - będzie dobrze. Góra wywołuje zwidy nocą.

Mgła już całkiem opadła. Zjechali z kamienistej grobli na podmokłą trawę.

Do wieczora nie rozmawiali o celu wyprawy. Gdy przecięli ostatnie

jezioro, Harlan wydobyl przyrzady pomiarowe. Na podstawie mapy i polozenia slonca wytyczyl sucha droge wzrod podmoklych traw.

O zmierzchu dotarli na mala wysepke przypominajaca kurhan usypany z piasku. Harlan zarzadzil rozbicie obozu - nie bylo sensu isc dalej. Oprócz sitowia i łoziny rosly tu poskręcane mangrowie, które przebijały mgłę, co czynilo z wysepki dobry punkt obserwacyjny. Zaraz też Req wspiał się na drzewo i niewidzialny przez mgłę opisywał: - Widoczność nie najlepsza... Na horyzoncie wzgórza, zielonograficzne wzniesienia... Chyba widzę Górę Snu... Na wschodzie burzowe chmury... Nad ziemią mgła, jak okiem sięgnąć... Wszystko w niej zanurzone... Uwędzimy się w tym dymie...

Później siedzieli przy ognisku, jedząc ser i suszone mięso. Milczenie przerwał Harlan: - Nie ma sensu, byśmy czuwali całą noc. Mangrowie mają solidne konary, przywiążemy się, noże odłożymy na bok. Nie ma szans, byśmy przez sen oswobodzili się z pęt... Nawet Góra nie ma takiej mocy...

- Ale...

- Postanowiłem - odburknął, popijając z kubka.

Req i Zolan zajęli się posiłkiem. Harlan kontynuował: - Ostrzegam was. Góra wywołuje dziwne sny. Atakuje, kiedy człowiek jest bezbronny. Zapewne przyśnią się nam koszmary, to nie będzie łatwa noc. Ale innej rady nie ma. Jesteśmy zbyt zmęczeni, by czuwać przy ogniu do rana. Jutro musimy być w pełni sił. - Odstawił pustą miskę. - Jak tylko zjecie, kładziemy się pod drzewami. Idę po linę.

Wojownicy dokończyli posiłek w milczeniu.

Senność dawała się we znaki, kleiła powieki. Req i Zolan legli pod dwoma sąsiadującymi drzewami i bez słowa dali się spętać. Jednym końcem liny mieli związane nogi, drugi oplatał konar mangrowii. Harlan położył się po drugiej stronie ogniska, obwiązując się wokół pasa.

Szczapy żarzyły się czerwono. Moczary śpiewały żabią kołysankę. Co

jakiś czas rozlegał się krzyk nocnego ptaka. Harlan, Req i Zolan leżeli wpatrzeni w gwiazdy. Ich myśli gasły pod ciężarem snu. Opuszczali jawę wraz z dogasającym ogniem.



Po dwóch dniach drogi Iris ujrzała pasmo gór. Postrzępiony łańcuch przypominał zamgloną harfę. Dotąd jechały przy sprzyjającej pogodzie, kamiennym szlakiem usypanym aż do bagien. Najgorszy odcinek miały przed sobą.

Sześćoosobowy oddział sprawował się dobrze. Iris cieszyła się sporym respektem. Była też lubiana przez wojowniczkę. Wszystkie dziewczęta: Ormun, Luna, Sira, Poltra, Kira oraz Feg były sprawnymi zabójczyniami. Sira wsławiła się tym, że zamordowała kapłana, czego omal nie przypłaciła zrzcuceniem ze Skały Straceń. Kapłani i kapłanki byli objęci przywilejem, wojenny układ między Femilankami a Malenistami zabraniał ich zabijać. Kult Czarnego Słońca był wspólną religią zwaśnionych ras, jedynym łącznikiem między nienawidzącymi się plemionami.

Najbardziej uciążliwy był brak mapy. Kierunek trzymały dobry, z pewnością uda się podejść pod Górę Snu, lecz później będzie trudno. Zbocza są podziurawione setkami grot, a trzeba znaleźć właściwą. Nie wierzyła, że sekciarze nie noszą broni. Świadczył o tym kult, który wyznawali: religia świętego sztyletu. Iris była zdumiona ich głównym dogmatem - pchnięcie nożem bramą do innego świata? Jak można wierzyć w taką bzdurę? Śmierć jest przecież upragnionym obumarciem. Jeśli nóż odraczał ten moment, była to najgorsza kara. Tym bardziej należało zniszczyć sektę.

Zatrzymały się o zmierzchu. Namioty wykwitły na płaskowyżu jak

czarne kwiaty. Zapłonęły ogniska. Po kolacji wojowniczkę zmówiły modlitwę i położyły się spać, trzymając na zmianę wartę.

Przed snem Iris rozpamiętywała wróżbę, którą usłyszała od kapłanki odurzonej grzybem trus, przy rytuale obcięcia piersi. Pamiętała każde słowo: „Zginiesz z ręki Malenisty, choć nie będzie to śmierć. Wcześniej zabijesz jego, a on zabije ciebie. Razem znajdziecie coś, co was odmieni, a świat zaprowadzi ku zgubie...”. Iris nie rozumiała słów przepowiedni. Najbardziej niepokoiło ją że zginie z ręki Malenisty. Znaczyłoby to, że nie zostanie wrzucona do bagna, a z jej starczego ciała nie narodzą się nowe Femilanki... Zasnęła wsłuchana w odgłosy nocy. W głowie dogasały słowa: „...razem znajdziecie coś, co was odmieni...”.

# Sami

Harlan obudził się z uczuciem zimna. Coś ugniatało mu pierś. Uniósł powieki i tuż przed swoim nosem ujrzał wielką żabę. Poruszała podgardlem, jakby coś żuła. Rozejrzał się; mimo mgły dostrzegł śpiących towarzyszy. Pochwyił sztylet i błyskawicznym ciosem przekłuł ropuchę. Przez chwilę trzymał ją w górze, podziwiając beżowy brzuch, po czym wyrzucił cielsko w zarośla. Podniósł się, wytarł ostrze i odwiązał sznur. Zbadał korę mangrowii - pod węzłem nie było śladów szarpania, a więc spędził noc spokojnie. Zolan i Req też drzemali w najlepsze.

Stąpił ostrożnie, by sprawdzić ich czujność. Odsunął zarośla i zamarł.

Ciała wojowników były poskręcane jak uschnięte pnie drzew. Na ich twarzach siedziały czarne ropuchy. Z otworów kloacznych spływała na twarze szara wydzielina - żrący śluz padlinożernych płazów.

Żaby miały ciężar kamienia. Śluz trzymał niczym klej. Harlan nożem podważył ropuchę, przydusił butem włosy Reqa; szarpnął. Z trudem rozpoznał twarz. Z drugą żabą poszło łatwiej ze względu na zarost Zolana.

Harlan cisnął płazy we mgłę i zorientował się, że nie ma koni. Lejce były zerwane, jakby zwierzęta uciekły w popłochu. Nie mogły zerwać uprząży! A jednak... Całe szczęście, że je rozkulbaczyli. Sprzęt leżał nietknięty. Przynajmniej sprzęt...

Harlan wspiął się na drzewo. Nie dostrzegł koni. Ślady kopyt prowadziły na bagna... Utopiły się, durne chabety... Niech to szlag! W przygnębieniu zmusił się do zjedzenia śniadania. Do jednego bukłaka przelał wodę, do drugiego napar rosti. Wziął trochę żywności, zarzucił plecak, schował broń. Ciała towarzyszy przykrył kocami, na ich brzegach poukładał kamienie.

Po zmówieniu modlitwy był gotów do drogi.

Szedł. Nieliczne chmury płynęły daleko od słońca. Buty Harlana początkowo pluskały w szlamie, jednak po pewnym czasie mokradło przeszło w piach. Im bliżej góry, tym bardziej sucho. Kamienna płyta była gdzieś tam pokryta błotem, jednak bez trudu dawało się wymijać kałuże.

Do wieczora Harlan zrobił dwie przerwy. Później postanowił nie zatrzymywać się - szedł po łagodnych wzniesieniach porośniętych wrzosem. Wieczorem spadł lekki deszcz, wróciła mgła. Nie zniechęciło go to jednak. Szedł pewien obranego kierunku, z zaciętą twarzą przesłoniętą kapturem. Skończyły się wrzosowiska. Był teraz na skalnym łuku, trochę przypominającym groblę, a trochę kręgosłup olbrzymiego gada. Po bokach rozciągały się moczary - ich powierzchnia mieniła się poświatą o barwie krwi.

Harlan nie zwalniał kroku. Wiedział, że już blisko.



Poltra i Kira wróciły na spienionych koniach, zasalutowały regulaminowo i zdawały relację: - Góra Snu jest dobrze widoczna. Będzie półtora dnia drogi. Prowadzi do niej podmokły trakt ciągnący się wśród bagien. Dojechaliśmy do starego mostu, który nie wytrzyma obciążenia. Ale może uda się przejść pojedynczo, bez koni. Kira przeszła na drugą stronę bez plecaka i uzbrojenia.

- Droga za mostem ciągnie się coraz wyżej, nawierzchnia jest znacznie lepsza. Nie wiadomo, jakie warunki będą dalej. Prawdopodobnie kolejne bagno.

- Spocznij. - Iris zerknęła na prowizoryczny plan okolicy. - Cóż, jeśli będzie trzeba, zostawimy konie.

Miny wojowniczkom zrzędyły.

- To nie spacer ani wycieczka do sąsiedniej osady! - zrugła je Iris. - Jak myślicie, po co nam wysokie buty? Do paradowania przed błotniakami?!

Mgła opadała, zza chmur sączył się miodowy blask.

- Okulbaczyć konie, migiem! Zaraz ruszamy.

- Tak jest! - odkrzyknęły żołnierki.

Jechały nierówną drogą, kopyta koni pluskały w kałużach. Było ciepło, a przez to duszno. Wilgotna ziemia parowała nieustannie, czyniąc z otoczenia łaźnię pod gołym niebem. Owady cięły jak najęte.

Most nie wyglądał obiecująco. Iris kazała zsiąść z koni i zbadać głębokość trzęsawiska. Sira ścięła drzewo tun i odrąbawszy gałęzie, zanurzyła pień w mazi. Ormun sprawdziła głębokość po drugiej stronie. Pośrodku mokradło sięgało w głąb dwie miary, przy brzegu było płycej. Iris zdecydowała, że przejdą pieszo, następnie przywołają konie.

Pierwsza dotarła na brzeg Luna. Za nią Sira, Ormun, Poltra, Feg i Kira. Iris ostatnia. Stały po kostki w mętnej wodzie, trawa sięgała do pasa. Konie parskały na drugim brzegu. Iris gwizdnęła i jej klacz ruszyła stępą. Drewno zajęczało, skrzypnęły wiązania. Koń przelazł. Teraz kolej na resztę. Wierzchowce szły pojedynczo w nerwowej ciszy. Gdy koń Luny postawił kopyta na brzegu, wojowniczkę odetchnęły.

Przedwcześnie. Deski pękły, koń zakwiczał rozpaczliwie i plusnął w trzęsawisko. Luna wyciągnęła rękę. Wpadła do bagna i zaczęła tonąć. Wdrapała się na grzbiet konia, nogami zaparła o łęk siodła. Bagno przykryło koński grzbiet. Luna chwyciła się mostu, lecz deska pękła. Feg i Kira wyciągnęły ręce. Mokra dłoń Luny wyslizgnęła się z uchwytu Kiry. Żołnierka młóciła rękami szlam, próbowała jeszcze chwycić rzuconą przez Feg linę, lecz nie miała szans.

Spłoszone konie szarpnęły, cypel, na którym stał oddział, oderwał się i runął w topiel. Kwik tonących wierzchowców, wrzask wojowniczek. Czarnowłosa Sira, piękna Ormun, młodziutka Feg, tęga Kira i łysa Poltra



dzieliły los Luni. Próbowaly chwycić się siodeł, plecaków i worków. Nadaremnie.

Iris zdołała uczepić się korzenia mangrowii. Klacz poszła na dno, lecz wcześniej zamortyzowała upadek Femilanki - ta w ostatniej chwili odbiła się od siodeła i chwyciła korzeń. Oczy miała przysypane ziemią. Obłaziło ją robactwo. Tuż nad nią wisiała zaczepiona o gałąź lina...Wytrzymaj, tylko wytrzymaj...

Zdołała wyjść na brzeg. Ze sprzętu ocalała kusza, buty do brożenia i plecak. Z trudem wstrzymywała szloch. Nie daj się, Iris, powtarzała sobie, wykonaj zadanie. Masz broń i prowiant - zabijesz ich. Uwolnisz Sorę. Nie daj się...

Wycierała twarz mulistą wodą i pozwalała owadom siadać na swoich rękach.

# Serce świata

O zmierzchu Harlan zobaczył Górę Snu. Była jak wulkaniczna wyspa wyłoniąca się z morskich głębin, otoczona atolem bagiennej roślinności. Wyrastała z mokradeł niczym monstrualne spiętrzenie błota, zastygłe pod nawalą wichru. Przywodziła na myśl cielsko gigantycznej żaby, czatującej w bezruchu, by wystrzelić język i połknąć przelatującą ćmę. Skąpa przeświecała pomiędzy szlamu i traw, zdobiąc zbocze siatką wapiennych żył, suchych i pomarszczonych jak u trupa. W nikłym blasku Czarnej Słońca góra miała odcień rozgrzanego kruszcu.

Harlan zarzucił plecak i ruszył ścieżką. Po jakimś czasie przystanął i spojrzął w dół. Ciemność przykrywała krajobraz jak sadza; pomyślał, że wkrótce zaproszy resztki widoczności. Zapalił pochodnię i szedł dalej. Było cicho, jedynie bagno rozbrzmiewało brzęczeniem owadów i rechotaniem żab. Broń, którą niósł, ciążyła: kusza i kołczan nadwerężyły plecy, jelec sztyletu uwierał w biodro. Skórzane buty zapierały się o skalne wyłomki, dając poczucie stabilności. Wiatr omiatał zbocze, ziębiąc kark i targając włosy.

Harlan szedł.

Było już zupełnie ciemno, gdy dotarł do pierwszej jaskini. Dalej zaczynały się korytarze, wewnętrzne tunele, mroczne arterie Góry Snu. Poszedł dalej wijącą się serpentinowo ścieżką. Zdawało mu się, że kroczy po ciele gigantycznego węża oplatającego Górę Snu.

Po jakimś czasie ujrzał przysypane gruzem wejście do następnej groty. Napiął kuszę, poświecił. Wnętrze dość obszerne. Nagle coś poruszyło się i zawarczało. W obszar światła wkroczył błotny niedźwiedź. Rozległ się ryk. Zwierz stanął na zadnich łapach, wysunął pazury. Harlan posłał mu dwa zatrute bełty. Niedźwiedź zatoczył się, charcząc. Po chwili upadł na bok i znieruchomiał. Harlan odczekał chwilę

i wyjął cenne strzałki. Podniósł upuszczony przed włazem plecak i podążył ku kolejnej jaskini. Co jakiś czas przystawał, by odsapnąć i napić się z bukłaka. Cielsko węża zdawało się pełznąć aż do samych chmur.

Nie mógł ocenić, jaką przebył drogę. Czuł - głównie po zmieniającym się ciśnieniu - że jest wysoko. Zagłębiał się w mrok przy żabim akompaniamencie, który wciąż dobiegał z mokradeł niczym rozedrgane echo. Zgasła mu pochodnia. Przysiadł na skale, by zapalić nową. Ujrzał, że kamień jest pokryty pismem: *„Skąd mogę mieć pewność, że upierając się przy tym życiu, nie upieram się przy zwykłym śnie, opóźniając moment znalezienia się w prawdziwym świecie?”* Pod spodem widniał znak: dwie skrzyżowane kreski, emblemat noża. Na lewo od kamienia znajdowało się wejście okolone rysunkami. Trawa przed pieczarą była wydeptana, ziemia nosiła ślady butów. Harlan przestąpił próg jaskini. Stąpał wąskim korytarzem, wzdłuż ścian pokrytych tajemniczymi symbolami. Broń miał w pogotowiu.

Skalne schody opadały w ciemność. Harlan uniósł pochodnię i ujrzał ogrom pieczary. Światło pochodni nie wydobywało z ciemności wszystkich zakątków. W półmroku widać było obłe ściany, fragment podłogi oraz skalne nawisy. Stąpając na palcach Harlan zszedł schodami. Pusto i cicho. Ani śpiących oddechów, ani odgłosów chrapania. Na ścianach pochodnie w żelaznych kunach. Pozapalał je, trzymając kuszę w pogotowiu. Półmrok pojaśniał, wzrosła widoczność. Pośrodku groty widniała przykryta sukniem kamienna stela. A wokół...

Rytualne samobójstwo, pojął od razu. Nagie ciała, ułożone w kręgu, trzymające się za ręce. Każdy trup miał ranę w okolicy serca. Najbardziej rzucało się w oczy ciało sędziwego brodacza. Leżał na wznak, z rękami rozrzuconymi jak do błogosławieństwa, a z serca wyrastała mu rzeźbiona rękojeść. Harlan odtworzył w myślach przebieg ceremonii: siedząc w kręgu zadawali sobie śmierć, na końcu zaś życie odebrał sobie Starzec. Jak silna musiała być ich wiara...

Druga część misji: zniszczyć przedmioty liturgiczne. Harlan nachylił się nad trupem Starca i wyszarpnął nóż z jego piersi. Zakrwawione ostrze z błękitnego metalu. Dziwny stop, jakby z lodu, mienił się lazurowo w blasku pochodni. Krew spłynęła zeń momentalnie, jak zmyta strumieniem wody.

Ołtarz przykrywało czerwone sukno. Spoczywała na nim pochwa wykonana z identycznego materiału co rękojeść. Obok zrolowane zwoje, pewnie pisma nożowników. Harlan poczuł zmęczenie, jakby wszystkie trudy spłynęły nagle do jego mięśni i kości. Senność. Wyszedł przed jaskinię i ujrzał szarzące niebo. Zawrócił do korytarza, potykając się o kamienie. Wycieńczony położył się pod ścianą i zasnął z głową na plecaku. Przez sen ścisnął w dłoni rękojeść noża.

# Bajka

Po przebudzeniu czuł głód i lekki ból mięśni. W plecaku znalazł resztkę wody i kawałek mięsa. Zjadł, co mu zostało, potem włożył do ust liść rosti - był cierpki w smaku, lecz działał pobudzająco. W jaskini zrobiło się widniej, Czarne Słońce wnikało przez korytarz i szczeliny między nawisami. Rozprostował kości, zrobił kilka ćwiczeń i wyszedł na zewnątrz. Bezchmurne niebo jaśniało żółtawo. Widok był imponujący: bezkresne mokradła, brązowo-zielone połacie trzęsawisk i moczarów, za nimi zaś plamy jezior i wstążki rzek. Powietrze czyste, bezwonne, inne niż na równinach.

Wrócił do jaskini. Postanowił obszukać grootę. Szczeliny w ścianach okazały się magazynami: znalazł tam zapasy wody w drewnianych beczkach i zawiniętą w liście żywność. Wyłom skalny naprzeciw schodów prowadził do mniejszej pieczary. Nad wejściem czerniał napis: „*Prawda jest odwróceniem, porzućcie kłamstwo tego świata*”. Przeszło mu przez myśl, że z zapasami żywności, które znalazł, mógłby mieszkać tu kilkanaście dni.

Zniszczyć ślady działalności sekty - ta część zadania była jasna. A jednak Harlan wolał zaczekać.

Do zmroku zapoznał się z pismami Starca. Był ciekaw doktryny nożowników. Kapłani podsycali tę ciekawość, zwąc ich najbardziej niebezpieczną sektą, jaka pojawiła się w świecie Czarne Słońca. Przekonajmy się, pomyślał, wychodząc przed jaskinię ze zwojami pod pachą.

*Maleniści toczą z Femilankami nieustanną wojnę, gdyż ich płciowość jest zamknięta, oparta na lęku przed brakiem akceptacji. Czarne Słońce wkodowało tę nieprawidłowość do zbiorowej świadomości. Coś, co istnieje*

*w świecie Czarnego Słońca, oddziałuje tak na ludzi. Ów świat to zła ziemia, która pozwala rosnąć chwastom, zaś ziarno dobra, które na nią spada, zawsze obumrze...*

Harlan oderwał wzrok od pism, zapatrzył się w dal. Najłatwiej budować herezję na marzeniach, pomyślał. W każdym tkwi tęsknota za lepszym światem, ale to nie znaczy, że ten świat istnieje...

Sięgnął po kolejny zwój.

*Przeczuciem innych rzeczywistości jest sen. Zważcie, jak wielka jest siła, która nas tam przenosi. Nasze ciała są takie nieruchome, takie sztywne, kiedy śnimy. Leżymy w zupełnym bezruchu, gdy rodzą się sny. Możemy latać, rozmawiać ze zmarłymi, walczyć z potworami. A tak naprawdę leżymy - sztywni, na wpół martwi. To tak, jakby pozwolono nam podglądać prawdę przez dziurkę od klucza. Widzimy tylko jej fragment, reszty nie jesteśmy w stanie dostrzec. To strzępy prawdziwego świata...*

Do zmroku zdążył przeczytać obszerne fragmenty Objawienia.

Oderwał wzrok, gdy zmierzch zaczął zacierać widoczność. Bolały go oczy, czuł zamęt w głowie. Za każdym razem, gdy czytał ustęp nauk Starca, miał wrażenie, że obcuje z czymś ważnym. Słowa wywracały do góry nogami religię Czarnego Słońca, lecz w zamian oferowały wizję piękną i szlachetną. Harlan nie dziwił się, że kapłani poczuli strach. Siła tych słów była ogromna, odwoływały się do marzeń i tęsknot zarówno Malenistów jak i Femilanek. A jednak wszystko było podszyte naiwnością: wizja lepszego świata przypominała bajkę.

Harlan pamiętał z dzieciństwa salę sypialną wychowalni, która raz w roku stawała się pełna ciepła. Przybywał wędrowny bazarz i snuł opowieść... Zapach pieczonych jabłek spożywanych w dzień święta Nekrosol mieszał się z niesamowitymi historiami... Harlan czuł to samo - siedząc w blasku zachodzącego słońca znów był małym chłopcem.

Religia zrodzona z marzeń. Bajka. Nie rozumiał tylko jednego: skoro sekciarze wierzyli, że jedyną drogą zbawienia jest wbicie noża w serce, czemu nie oferowali tego innym? Starzec pisał o potrzebie nawracania... Czyżby nie wierzył w zwycięstwo kultu?

Harlan obejrzał nóż w blasku słońca. Rękojeść przywierała do palców, rzeźby nie przeszkadzały w uchwycie. Harlan rozpiął górne guziki kaftana. Przytknął nóż do piersi. Uśmiechnął się...Jakie to proste, jedno pchnięcie i jestem w innym świecie... Przez chwilę bawił się tą myślą...Dość tego. Pora coś zjeść i położyć się spać... Poczłapał korytarzem mając świadomość, że rano będzie musiał wysadzić siedzibę nożowników.

Po kolacji rozpałił wszystkie pochodnie. Położył się pod ścianą w obszarze światła. Przed snem czytał kolejne fragmenty Objawienia.

# Zabić wszystkich ludzi

W południe skończył rozmieszczać ładunki wybuchowe. Dziesięć połączonych lontem kostek tkwiło w porowatych wnękach. Skała była naturalnie popękana, nie musiał robić odwiertów. Podpalając lonty ręcznie, nie zdążyłby uciec, dlatego postanowił wystrzelić płonąca strzałę. Wystarczyło trafić w węzeł, gdzie zbiegały się lonty. Reszty dokona ogień.

Wspiął się na zbocze, by umieścić ostatnią kostkę w prześwicie sklepienia. Widział fragment jasinii - światło padało na trzy ciała i fragment ołtarza. Pozostało związać lonty.

Przypadkowo wychylił się zza krawędzi. I zamarł.

Czarnowłosa Femilanka, poraniona i oblepiona błotem, stała naprzeciw groty, wpatrując się w symbole okalające właz. Była uzbrojona.

Harlan skrył się za kamieniem. Była sama, lecz miała broń. On zostawił swoją w grocie. Podobnie plecak, nóż i zwoje.

Z napiętą kuszą wkroczyła do środka. Przez szpary między nawisami śledził jej marsz. Obraz był podziurawiony. Widział, jak Femilanka ogląda ciała sekciarzy. Jak zaczyna płakać nad trupem jednej z nożowniczek.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Kawałek skały oderwał się od sklepienia. Femilanka odskoczyła, Harlan zastygł w bezruchu. Przesunął nogę - zgrzytnęły kamienie. Czarnowłosa błyskawicznie uniosła kuszę i posłała bełt w prześwit. Grot drasnął mu ramię. Sycząc z bólu Harlan odczołgał się nad właz. Z kawałkiem skały w dłoni czekał, aż wróg wyjdzie na zewnątrz.

Wychyliła się z uniesioną kuszą. Zaniechał skoku. Cisnął w nią kamieniem. Dostała w skroń i runęła na ziemię.



Zeskoczył i sprawdził teren. Pod kamieniem leżał plecak, którego wcześniej nie dostrzegł. W błocie odcisnęły się ślady butów. Jedna osoba, bez konia.

Harlan wysypał zawartość plecaka. Znalezionym sznurem związał Femilance ręce i nogi.

Po chwili wrócił z własnym plecakiem. Zwoje schował za kaftan, nóż przypiął do pasa. Nie było sensu opóźniać wybuchu. Wkrótce mogło zacząć padać.

Nie odszedł jednak. Zatrzymał go szept.

- Gdzie jestem?...

Femilanka poruszyła się.

- Pić...

Przez chwilę rozważał, czy nie zastrzelić jej z kuszy. Nigdy jeszcze nie był w takiej sytuacji. Sam na sam z Femilanką. Odwrócił się i zobaczył, jak wyciąga ręce. Żebraczy gest. Przyszło mu do głowy, że może ją przesłuchać. Z pewnością nie była nożowniczką.

Rzucił jej bukłak. Mimo związanych rąk próbowała pić. Rozbawiony, wylał jej wodę na twarz.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Sora - padło w odpowiedzi. - Ona... nie żyje.

- Kto?

- Zabiłeś ich.

- Sami się zadźgali...

- Sora...

- Kto?!

- Moja siostra...

Podniósł kuszę, wycelował.

- Mów.

Femilanka powiedziała wszystko.

- Jak masz na imię? - spytał, zakładając plecak.

- Po co ci to?

- Chcę wiedzieć, kogo zabijam.

Przysięgłby, że ujrzał łzy w jej oczach.

- Iris.

- Harlan. Pamiętaj o tym, gdy przysypią cię kamienie.

Szedł w stronę skały, gdy dogonił go jej głos: - „Zginiesz z ręki Malenisty, lecz nie będzie to śmierć. Wcześniej ty zabijesz jego, a on zabije ciebie. Razem odnajdziecie coś, co was odmieni...”

Zatrzymał się. Nie mogła znać tych słów! Pewnie się przesłyszał.

- „...a świat zaprowadzi ku zgubie” - dokończyła Iris.

Zamknął oczy.

...Góra Snu chce, bym popadł w obłąd...

- Nie zabijaj mnie.

Zawrócił. Chwycił Iris za ramiona.

- Skąd znasz moją wróżbę?!

- Co takiego? Twoją?

- „Zginiesz z ręki Femilanki, choć nie będzie to śmierć. Wcześniej ty zabijesz ją a ona zabije ciebie. Razem odnajdziecie coś, co was odmieni, a świat zaprowadzi ku zgubie” - wyrecytował Harlan.

Iris milczała.

- Wstawaj - rozkazał, szarpiąc pętlę.

Oslabiona Iris opóźniała wspinaczkę. W końcu dotarli na miejsce. Z perspektywy skalnej półki jaskinia przypominała wielką muszlę. Harlan posłał płonąca strzałę w kłębowisko lontów. Ostrze trafiło w splot.

Huk pękającej skały, chmura pyłu. Na miejscu jaskini leżał gigantyczny stos kamieni. Ostatnie odłamki toczyły się błotnistą ścieżką.



Nie mieli koni, schodzili więc pieszo. Iris wlokła się za Harlanem jak ogłuszona.

Przed wieczorem byli u stóp góry. Harlan szukał wytłumaczenia zbieżności wróżb. Losy ludzi są zapisane w sercu Czarnego Słońca. Widocznie przeznaczenie kazało im się spotkać. Wyglądało na to, że szczęście mu sprzyja. Pomyślnie zakończył misję, ujął femilańską agentkę. Po powrocie zacznie nowe życie.

Iris czuła coś innego: dziwną mieszaną strachu i ciekawości. Szła na postronku, przytroczona do pasa Malenisty.

Nocowali na mokrej trawie. Było zimno, koce nie wystarczały. Harlan skrępował jej ręce na plecach, nogi przywiązał do drewnianych kołków, następnie położył się obok, obejmując ją w pasie. Ciepło było warte ryzyka.

We śnie wtuliła się w niego. Spał jak zabity, niczego nie poczuł. Nad ranem położył głowę na piersi Iris, lecz ona tego nie zauważyła.



Poranek był jak żabi skrzek - szary, zimny i lepki. Rozpalając ognisko Harlan obserwował Femilanę. Leżała na trawie związana. Spała jeszcze lub udawała, że śpi. Czarne skórzane spodnie rozdarte na lewym udzie obnażały skórę oraz to, czego Harlan nigdy nie widział - fragment kobiecego łona. Skonstatował, że przyglądanie się Iris sprawia mu pewną przyjemność. Piękny okaz, młoda, świetnie wyszkolona wojowniczką, chluba femilańskiego wywiadu, leży przed nim jak ustrzelona zwierzyna.

Zaparzył ziół i podszedł do Iris. Wzrok natrętnie powracał do dziury w spodniach. Spojrzenie wędrowało po gładkiej skórze, zatrzymując się na czarnych, uformowanych w kępki włosach. Spomiędzy ich gęstwiny przebijały tajemnicze, różowe obszary. W szarym świetle Harlan

zobaczył kreskę rysującą się między nogami Femilanki. Przypominała zasklepienie muszli. Zapragnął dotknąć tego miejsca. Dłoń przesunęła się wzdłuż uda. Iris poruszyła się; cofnął rękę. Po chwili znów dotknął skóry. Palce zabłądziły w rozdarciu spodni. Iris głęboko westchnęła, zamruczała przez sen. Błyskawicznie, jakby ze strachu, cofnął rękę.



- Tutaj straciłem towarzyszy - powiedział, bardziej do siebie niż do niej.

Stali na wydmie wśród bagien, w których coś nieustannie pluskało i bulgotało. Trupy Zolana i Reqa były do połowy zjedzone.

- Moje siostry też spoczęły na dnie trzęsawiska.

Spiorunował ją wzrokiem.

- Po drugiej stronie góry, utonęły wszystkie...

- Zamknij się!

- Spotyka nas to samo...

- Milcz!!! - Chlasnął ją w twarz. - Siadaj i nie ruszaj się. Ani słowa...

Wykonała rozkaz. Policzek płonął. Kolejne upokorzenie.

Po krótkim postoju ruszyli w drogę.



Wieczorem zatrzymali się przed wejściem do groty. Wystające zadaszenie chroniło przed deszczem. Cały czas posuwali się w stronę ziemi Malenistów.

Sine chmury kłębiły się nad płaskowyżem. Po rozbiciu obozu Harlan

wziął się za lekturę zwojów. Było parno, zbierało się na burzę.

*...Największa tajemnica tego świata: nienawiść między mężczyznami i kobietami. Ponieważ nasz świat jest odwróceniem porządku światów wyższych, można śmiało domniemywać, że taki układ stosunków jest chory gdzie indziej. Dla nas jest porządkiem zastanym, więc godzimy się na wieczną wojnę i na nienawiść, nie zdając sobie sprawy, że w świecie prawdziwym ludzie żyją we wzajemnym poszanowaniu, odczuwając potrzebę bliskości. Nie ma tam bagien prokreacyjnych, nie ma obrzędów zapłodnienia, gdyż ludzie obcuja ze sobą, łącząc się w pary. To, co ma miejsce pod Czarnym Słońcem, jest zakłóceniem porządku płciowego...*

Czarne Słońce wyjrzało zza chmur, błyszcząca plama omiotła otoczenie. Harlan podniósł wzrok i ujrzał Iris wpatrującą się w blask noża. Czytał dalej:

*...Zapewne pamiętacie trzy fundamenty naszej religii, trzy podstawy świata. Kapłani powiadają, że Czarne Słońce jest grzęzawiskiem, kłamstwem oraz śmiercią. Taka jest nasza kraina, w której życie jest przykrą koniecznością, niepotrzebnym przebłyskiem między „nicością przed” i „nicością po” Droga, jaką przemierzamy podczas naszego istnienia, to zaprawdę grzęzawisko. Kłamstwo jest zaś szkieletem wszystkiego: obyczajów, religii, wojen, prokreacji, osadnictwa. Jest ono tak nawarstwione, że nie potrafimy odnaleźć włókien prawdy w chorej tkance... Godzimy się na powtarzanie świętej triady: „niewiara, zwątpienie, nienawiść”, nie dostrzegając kłamstwa ukrytego w jej treści. Bierzymy to wyznanie za oczywiste, gdyż Czarne Słońce zniewala nas rozpaczą i zatrzuwa serca fałszem. Jak straszne to słowa, jak pogrążają nas w rezygnacji, niech świadczą święte słowa z wyższego świata, które ukazują prawdę wiodącą ku wyzwoleniu...*

Pierwsze krople deszczu zaszemrały na skałach. Harlan rozkazał Iris

wciągnąć plecaki do groty, sam zaś dokończył ustęp:

*...Bo w wyższym świecie prawda nie zniewala, lecz czyni ludzi wolnymi...*

Nad płaskowyżem przetaczały się gromy. Harlan przeczytał na głos: - *I tak trwają obok siebie: wiara, nadzieja i miłość; te trzy - z nich zaś największa jest miłość.*

- Co takiego? - spytała Iris.

Zbył ją milczeniem. Deszcz siekł po skosie, od wschodu, gdzie nie było ściany. Strop przeciekał, woda spływała pęknięciami i szczelinami.

- Do środka! - zakomenderował.

Grota, w której się schronili, miała kształt muszli. Po gładkich ścianach spływały krople czerwonej substancji, budując nad ich głowami fosforyzującą czaszę. Substancja tworzyła symetryczne rozgałęzienia, przypominające rozczesane na ścianach czerwone warkocze. Kryształy lśniły w mroku intensywnym szkarłatem. Z zadartymi głowami podziwiali świetlne zjawisko.

Rozłożyli koce na skalnym klepisku. W milczeniu spożyli resztki prowiantu. W grocie było parno. Pot na ich twarzach przybierał barwę mineralnej substancji.

Zdjęli kaftany.

Leżeli nadzy, wpatrując się w swoje ciała. Harlan miał wzwód, jak przed obrzędem zapładniania bagna. Iris czuła przyjemne ciepło w brzuchu. Żadne słowa nie mogły im przejść przez gardło, gdyż nie znali słów opisujących to, co się z nimi działo.

Zbliżyli się ustami i zaraz odskoczyli jak dwa spłoszone ptaki. Oczy połączone niewidzialną struną, światło tańczące na koniuszkach rzęs. Dotykali się z coraz większą śmiałością. Ich oddechy dublowały się w gorączce westchnień.

- Kim ty jesteś? - pytała szeptem.

Objął ją mocniej.

- Skąd ty się wzięłaś?

Położył się tak, by jej nie przygnieść. Dotknęła ustami jego warg. Zamglone oczy, szkliste jak w gorączce. Trans pieszczot. Uczestniczyli w czymś niepojętym, kierowani wewnętrznym nakazem, który zdawał się płynąć z samego sedna ich potrzeb.

Nagle Harlan poczuł, po prostu poczuł, że za wszelką cenę musi w niej być. Iris naprowadziła go, i nie pojmując swego gestu, skaleczyła ciszę szeptem: - Wejź we mnie...

Wszedł.

Krew i róże.

# GŁUPI SEN

## NOC WSPOMNIENÍ

Stos żarzących polan zapadł się; iskry i popiół buchnęły jasnym snopem. Pies podniósł łeb i zaczął węszyć. Po chwili położył się u stóp siedzącego przy ogniu mężczyzny.

Była to kolejna noc, którą Harlan spędzał pod gołym niebem. Zatracił się w wędrówce, przestał liczyć dni. Każdy ranek i wieczór były jak dwie krople deszczu. Szare i bezowocne. Jak jego życie. Najtrudniej było wciąż pamiętać o celu, trwać w przekonaniu, że tułacza wędrówka ma sens.

Dołożył drew i wzruszył ognisko patykiem. Zatańczyły języki ognia. Łuna padała teraz na psa, dobywając z ciemności jego pysk.

Prawe oko odbijało taniec płomieni. W miejscu lewego widniał pusty oczodół. Jednooki kundel przypętał się, gdy Harlan zrywał żółte maliny na skraju leśnej drogi. Harlan głodował, pożywienie, jakie udawało mu się zdobyć, zjadał w całości, nie zostawiając resztek. Mimo to pies włókł się za nim jak cień. Obojętny stosunek Harlana do zwierzęcia zmienił się, gdy kundel upolował leśnego ptaka i przyniósł zdobycz w zębach. Wieczorem zjedli pieczeń - Harlan mięso, pies kości, chrząstki i wnętrzności. Od tamtej pory wędrowali razem. Harlan nazywał psa Nożem, choć nie obchodziło go, czy reaguje na to imię. Kundel przydawał się jako łowca. Był też dobrym słuchaczem. Harlan nie musiał już mówić do siebie.

Ognisko dogasało. Harlan dmuchnął, aż płomyki zatańczyły na szczapach, i dołożył drew. Przykryte chrustem ognisko zadymiło, spowijając mężczyznę i psa całunem dymu, a strzelanie gałązek zagłuszyło żabi rechot. Pies zaskomlał, bo iskra przypaliła mu skórę. Harlan poklepał go po masywnym karku.



Zainstalował nad ogniskiem prymitywny rożen, złożony z dwóch drewnianych tyczek i zastruganego kija, na który nadział trzy tłuste ropuchy. Ogień zaskwierczał, liżąc żabią skórę. Rozniósł się zapach pieczonego mięsa.

Z nieba spadały płatki czarnego śniegu. Mężczyzna siadł blisko paleniska i grzebiąc patykiem w żarze, mówił do psa: - Gdybyś wiedział, skąd się wzięło twoje imię, głupi kundlu... Gdybyś ją znał, czuł to samo, co ja wtedy... Co zresztą gadam! Tego i człowiek nie pojmie - cóż dopiero pies...

Zaczął odpływać myślami w krainę wspomnień. Krainę bólu i zadziwienia. Zapatrzony w ciemność opowiadał: - Przez dwa dni nie odzywaliśmy się do siebie... Spojrzenia, uśmiechy, gesty - rozmawialiśmy bez słów, za pomocą dotyku, a każdy dotyk... Nie zrozumiesz... Każdy dotyk był jak ukłucie, przeszywał, obezwładniał... Później robiliśmy to, co w grocie; pod gołym niebem, na brzegu strumienia, na skale - dopóki nie poczuliśmy spełnienia. Jakże ona wtulała się we mnie... Nie przypuszczałem, że oddech Femilanki może mnie napawać taką słodyczą. Czasami nie wytrzymałem i całowałem jej śpiące wargi, aż budziła się i zarzucała mi ręce na kark...

Czarne płatki osiadały na psiej sierści, zostawiając smugi sadzy. Ognisko syczało atakowane przez czarną zamieć.

- Czas zatrzymał się dla nas, tak to przynajmniej odczuwałem. Byliśmy tylko my. Wszystko inne straciło znaczenie. Iris powiedziała później, że zabiliśmy wszystkich ludzi. Tak, kundlu, tak właśnie się czuliśmy...

Płatki czarnego śniegu przysypywały ognisko. Zgarbiona postać Harlana stapiała się z mrokiem. Pies spał twardo, nie zważając na wilgoć. Harlan zamilkł, rozpamiętując dalsze wypadki.



Postanowili się rozstać, by móc wrócić do osad i przygotować się do ucieczki. Zaopatrzeni w sprzęt i zapasy chcieli podążyć na północ, gdzie poza granicą bagien rozciągały się równiny. Bezludność była ich atutem.

Odkąd się poznali, ich myśli biegły jednym torem, a pragnienia wstąpiły na wspólną ścieżkę. Poznali smak życia nie naznaczonego potęgą śmierci. Wszystkie cele, jakie do tej pory mieli, pospadały z drabiny ważności, dając miejsce celowi nadrzędnemu. Miłość zrodziła się pomiędzy nimi jak kwiat na gnojowisku. Zachłysnęli się sobą. Zmierzając ku granicy (gdzie mieli się rozejść), czuli nieopisane podekscytowanie.

Nie potrafili ocenić swojego stanu, nie umieli nawet dziwić się uczuciom. Nie pojmowali wielu spraw, a już na pewno nie wiedzieli - nikt nie wiedział - że doświadczyli pierwszego zakochania w świecie Czarnego Słońca. Złamana została reguła - miłość rozlała się po krainie śmierci, plamiąc jednolity porządek ściegu. Tylko Zarządca, który szukał ich śladów, przeczuwał nieszczęście. W chwili ich pocałunku doznał wylewu krwi do mózgu i przeleżał na kobiercu z mchów kilka dni w stanie połowicznej śmierci. Dzięki troskliwej opiece żab, które obsiadły jego ciało, doszedł do siebie. Zrozumiał, że należy definitywnie rozwiązać sprawę „ciała obcego”. Tymczasem nóż emanował niewidzialną mocą która zamieniała Malenistę i Femilankę w mężczyznę i kobietę.

Później wszystko potoczyło się jak lawina - kolejne zdarzenia były kamieniami nadającymi bieg katastrofie. Nieświadomi, Harlan i Iris poddali się gradowi zdarzeń. Gdy dopadł ich groźny łoskot - było za późno.

Wędrując w przebraniu włóczęgi, Harlan nieraz odtwarzał w pamięci tamte wypadki. Dopóki szedł, miał cel: odnalezienie noża. Lecz pod koniec dnia magia szlaku zniknęła - w mózgu wiły się ścierwniki pamięci. Harlan poddawał się pokusie rozpamiętywania. Analizował błędy, zastanawiał się, czy mogło się udać. Bo przecież to, że postanowił zabić Iris, a później siebie, było koniecznością. Sytuacja, w jakiej się znaleźli,

nie dawała wyboru. Jeśli nie chcieli wpaść w łapy malenijskiej straży - musieli umrzeć. Harlan wierzył, że śmierć to tylko brama. Całkowicie zaufał doktrynie nożowników.

Sen nie nadchodził. Pies zerwał się, wyraźnie czymś spłoszony. Niedaleko ogniska rozległo się plaśnięcie, jakie wydaje czarna ropucha.

- Spokój, Nóż!

Kundel wciąż warczał. Ropucha podskoczyła. Plask. Plask.

- Zostaw! - Harlan zdzielił psa uschniętą gałęzią. - Siad!

Nóż usiadł. Ropucha oddaliła się w mrok.

Bezsenność. Bał się takich nocy. Wspomnienia atakowały, a otępiały umysł nie umiał ich odeprzeć. Nawet nie próbował się kłaść. Siadał przy ogniu i usiłował okiełznać myśli. Brał w tym celu patyk i robił na nim tyle nacięć, ile wydarzeń oddzielało chwilę pożegnania z Iris od śmierci, którą poniosła z jego ręki. Kontemplował te wypadki, dopóki nie rozpląnęły się w mroku, spłoszone jego samoudręczeniem. Wtedy łamał patyk na wysokości nacięcia i wrzucał kawałek do ognia.

Tak jak teraz.

Pierwsza karba - scena pożegnania. Są przy pasie granicznym. Patrole jeszcze daleko, mają czas. Zatrzymali się po stronie Malenistów. Znają kierunek, bez trudu trafią do osad. Pofałdowane równiny szumią ciszą. Wiatr wygwizduje melodię rozstania. To już.

Milczą. Znają plan, nie muszą rozmawiać. Trzeba się odwrócić i rozejść. Po prostu.

Dłonie Harlana zaciskają się na patyku, o mało nie łamiąc go na wysokości karby.

Jeszcze nie!, strofuje się w myślach. Jeszcze...

Pocałunek.

Patyk pęka z suchym trzaskiem i pierwsze wspomnienie ląduje w żarze.

Druga karba.

Nie odwracaj się!, krzyczą unisono myśli kochanków. Czas rozciąga się jak płynne żelazo. Każdy krok zdaje się długą wędrówką. Osady, do których zmierzają przestały być ich domem. Wiedzą o tym. Harlan mieszka w Iris, Iris mieszka w nim. Traktują się jak powietrze - nie mogą bez siebie oddychać.

Teraz najgorsze.

Tętent koni. Patrol. Na szczęście uszedł spory kawałek. Nie zwalnia kroku, nie odwraca się. Tętent coraz bliżej. Harlan ma zniszczony uniform, lecz mimo błota, zadrapań i pęknięć widać emblematy tajnych służb. Nóż i kusza przydają prestiżu.

- Prrr!

Czarne konie zajeżdżają drogę. Nie unosi głowy, lecz zatrzymuje się, jak nakazuje prawo. Trzy wierzchowce tańczą na zadnich nogach, przednimi kopytami tną powietrze.

- Coś ty za jeden i czego szukasz w obszarze granicznym? - pyta strażnik regulaminowo.

Harlan unosi głowę i kątem oka spostrzega coś, czego nie powinien ujrzeć. Strażników jest trzech, lecz na koniach znajdują się cztery osoby.

- Ja...

Przerzucona przez siodło wisi związana Iris.

- No, mówże!

- Jestem wojownikiem jak i wy - pokazuje na tatuaż z emblematem Czarnego Słońca i znakiem służb.

- Co tutaj robisz?

- Wracam z misji, utajnionej wyprawy w okolicę Góry Snu. Zapytaj o mnie w IV Osadzie, figuruję w księdze walecznych.

- Imię!

Iris jest zakneblowana i nieprzytomna. Na skroni ma zakrzepłą krew.

- Harlan, pseudonim Kardos - odpowiada pobladłymi ustami.

- Słyszałem to imię, choć nie jestem z twojej osady. - Strażnik

popatrzył na Harlana bardziej przychylnie. - Wierzę ci. Widzę, żeś wycieńczony. Masz tu bukłak z wodą, napij się, długa droga przed tobą. Mantes - polecił jednemu z podwładnych - odkrój mu trochę suszonego mięsa!

- Nie trzeba... - szepcze Harlan, i wie, że są to ostatnie słowa, jakie usłyszą od niego strażnicy.

Błyskawicznym ruchem wyciąga nóż. Chwyta dowódcę za rękę i wbija mu ostrze pod pachę. Woda z bukłaka i krew wylewają się jednocześnie. Z naciągniętej kuszy, którą odrywa od końskiego siodła, strzela do drugiego strażnika. Bełt przechodzi przez szyję, strażnik pada na piach. Trzeci celuje do Harlana z kuszy, lecz trafia w koński bok. Harlan rzuca nożem i trafia prosto w serce. Malenista koziółkuje w powietrzu i spada karkiem na ziemię. Spłoszone konie uciekają, Iris spada.

Patyk trzeszczy w dłoniach Harlana. Wspomnienie parzy jak gorące żelazo.

- Nic mi nie jest, ukochany - szepcze Iris. - Jak?...

- Przejeżdżał patrol. Zabiłem strażników.

- Ach...

- Kiedy cię złapali?

- Tuż na granicy. Nie miałam szans.

- Te ich przeklęte szkapy są wyuczone, by wracać do fortu. Zaalarmują załogę. Ruszy pościg.

- Dokąd uciekniemy?

- W góry. Musimy się ukryć i przeczekać pogoń.

- To cały dzień drogi...

- Nie mamy wyjścia.

- Przytul mnie...

- Nie mamy czasu.

- Przytul.

- Iris...

- Już wstaję.

Patyk pęka w palcach Harlana. Ogień pochłania kolejny kawałek drewna. Pies warczy przez sen i porusza niespokojnie łapą.

Trzecia karba.

Pod koniec dnia znaleźli miejsce na spoczynek. Kobierzec z mchów pod skałą, tuż u podnóża gór. Jutro zaszyją się w wyższych partiach, wśród skał i dzikiej roślinności. Teraz muszą odpocząć. Nie mają po co wracać do osad. Może Iris, choć jeszcze nie teraz. W pasie granicznym zostałyby ujęta przez malenijską straż. Zasnęli, przykryci stosem liści, wsłuchani w szum drzew. Właśnie wtedy Harlan uwierzył w moc noża. Pamiętał twarze zabitych strażników. Dwaj, których uśmiercił nożem, mieli takie same oblicza, jak wyznawcy Starca, których znalazł w grocie. Ten, którego zastrzelił z kuszy, miał zwykły, przedśmiertny grymas. *„Wbicie noża w serce otwiera drzwi do lepszego świata, w którym jesteśmy prawdziwymi ludźmi, a nie jedynie kukłami ulepionymi z cienia.”* Ten fragment utkwiał mu w pamięci jak zadra. Cały czas miał ze sobą zwoje, i choć dawno do nich nie zaglądał, wciąż rozpamiętywał przeczytane ustępy. *„Prawdziwymi ludźmi...”* Wszystko się zgadzało. To, co narodziło się między nim a Iris, było przykładem uczucia, o którym pisał Starzec. Jedynie świat się nie zmieniał.

Rano, podczas wspinaczki, powiedział o wszystkim Iris. Nie uwierzyła. Przekonywał z zapalem neofity, lecz ona czuła strach. Bała się, że Harlan popada w obłąd.

- Jeśli umrzesz, ja także umrę - powiedziała. - Ale nie z twojej ręki. Nie od noża.

Szli w milczeniu łożyskiem wyschniętego potoku. W każdej chwili mogli zostać wytropieni.

Harlan złamał patyk. Wypadki toczyły się coraz szybciej. Byli naiwni sądząc, że uciekną grupie pościgowej. Kawałek drewna przepadł w ogniu. Pod palcami Harlan poczuł czwarte nacięcie.



- Widzisz ich?
- Gdzie?
- Tam, u stóp źródła. Zatrzymali konie. Znaleźli ślady i będą się wspinać naszym tropem.
- Uciekniemy. Zanim tu dotrą, będziemy daleko.
- Jesteśmy wycieńczeni, Iris. Nie jedliśmy od dwóch dni. A oni są wypoczęci, uzbrojeni...
- Przestań! To góry - pełno tu krętych szlaków, grot, skalnych kryjówek. Ukryjemy się i przeczekamy.
- Przepraszam. Źle się czuję.
- Co ci jest?... Masz szkliste oczy...
- Chyba gorączka.
- Musimy iść. Przykro mi.
- Chodźmy zatem.
- Chodźmy.



- Są coraz bliżej. Spójrz: co najmniej trzech.
- Przeklęte góry! Ani jednej groty...
- Nie zdołamy uciec...
- Będziemy walczyć.
- Czym? Został jeden bełt. I nóż. A oni są uzbrojeni po zęby.
- Skrećmy. Zostawiamy za dużo śladów.
- Zaczekaj.
- Podaj rękę. Och, jest rozpalona...

- To nic...
- Twoje czoło...
- Dam radę.
- Pójdziemy korytem wyschniętego strumienia. Na kamieniach nie będzie znać śladów.
- Dobrze.



...Właśnie wtedy powinienem zabić ją i siebie - bez przekonywania, tłumaczenia i tych wszystkich podchodów. Mądry człek po szkodzie, prawdę gada stare przysłowie... Może gdyby nie ta gorączka...



- Harlan. Harlan! No, nie patrz tak...
- Nóż.
- Co ci jest?
- Nóż - nasz jedyny ratunek.
- Zabraniam ci tak mówić.
- Słyszysz nawoływania? Są coraz bliżej.
- Co z tego?
- Widzieli nas.
- Lepiej zginąć w walce...
- Mnie zabiją, a ciebie wezmą do osady. Będziesz konała w mękach.
- Zamilcz!
- Będziesz zdychała z głodu, zamknięta w klatce... Nie, Iris, na to nie



pozwolę...

- Razem stawimy im czoła.
- Mam gorączkę, lecz wiem, co mówię: nie damy rady!
- Nie patrz tak... Co robisz?
- Popatrz. To jest święty nóż, nasza jedyna szansa. Przeniesie nas do

lepszego świata...

- Jesteś chory...
- Iris...
- Chodź, nie gadaj głupstw.
- Iris, posłuchaj...
- Zwariowałeś na punkcie tego noża. Myśl lepiej, jak zgubić pościg!
- Mówię po dobroci.
- Grozisz mi? Z tobą naprawdę jest źle.
- Proszę, to jedyna...
- Daj rękę, musimy się wspiąć...
- Proszę, zaczekaj...
- Uważaj na kamienie.
- Wybacz, ukochana.
- Har!...

- Wybacz, że cię uderzyłem. Wybacz, że więzę cię jak wroga. To dla naszego dobra... Tak, daj rękę... Potem zasztyletuję sam siebie... Obudzimy się w lepszym świecie. Wstań, ukochana, musimy wejść na wzgórze... Wstań!...

Zaciągnął ją prawie na szczyt wzniesienia. Wtedy się ocknęła.

- Harlan, jak mogłeś?!

Pierwsze słowa ugodziły go jak strzała. Aby nie okazać słabości, zignorował skargę i zaklął pod nosem: - A niech to, są tuż za nami...



Pies zaskomlał żałośnie, budząc się ze snu. Harlan nawet nie drgnął. Pochylony nad ogniem wpatrywał się w płomienie. Przed chwilą zginął w nich przedostatni kawałek patyka. Został mu w rękach ostatni fragment, złamany na linii piątego nacięcia. Ostatni epizod ciągu wspomnień. Ostatnia porażka.

Zdołał zabić Iris, lecz nie zdążył zabić siebie. Nie z winy straży, lecz za sprawą górskich zbójów, którzy rozbili pościg. Trzyosobowy oddział Malenistów zginął przeszyty strzałami. Później grasanci podążyli śladem zwierzyny tropionej przez straż. Musieli liczyć na cenne łupy. I rozczarować się srogo, obszukując Harlana. Herszt bandy, Milrun, pocieszał się, że zdobyli zrabowaną strażnikom broń.

Harlan, choć zbójce darowali mu życie, czuł się jak martwy. Iris nie żyła, na dodatek stracił nóż. Nie miał po co wracać do osady. Poczucie rezygnacji ogarnęło go bez reszty.

Tak rozpoczął swój tułaczy żywot wojownik Harlan, zwany niegdyś Harlanem z Północnych Bagien.

## Wtedy i teraz

Milrun, herszt górskich bandytów, cierpiał katusze. Kolebał się na końskim grzbiecie, czkając i pojękując. Wczoraj, po rozbiciu obozu, opróżnili cały zapas gorzałki. Milrun wypił najwięcej i teraz miał za swoje. Każdy krok konia zdawał mu się trzęsieniem ziemi, każde parsknięcie rykiem górskiej lawiny. Ale trzeba było ruszać, zanim przyjdą deszcze. Jechali stępą wzdłuż rzeczki Tras, która na tym odcinku była raczej strumieniem. Muliste dno ustąpiło miejsca kamienistemu. Wlana do bukłaków woda gasiła pragnienie. Pogoda była taka, że chciało się pić. Powietrze parne, duszne, zanosilo się na burzę.

Przygnębiony Milrun podsumował wyprawę na mokradła. Dwóch obrabowanych kupców, trzech malenijskich strażników i jeszcze jakiś szaleniec, który nie miał przy sobie żadnych precjozów, a jedynie dziwny sztylet, którym skacowany Milrun bawił się podczas jazdy. Broń nie wyglądała solidnie, w zbójckim fachu nie byłaby użyteczna. Ale jakże misternie wykonana, istne cacko! Dziwnie połyskliwy, jasny metal, jakiego Milrun w życiu nie widział. Jak tylko dotrą do którejś z osad, trzeba będzie sprzedać handlarzowi...

Milrun snuł te rozważania przysypiając. Przez ścianę kaca przedostawały się dźwięki otoczenia. Rzeczka szumiała. Kopyta koni stukały. Ktoś rzygał prosto z siodła.

Banda wlokła się powoli w stronę drewnianego mostu.

Złowieszczy świst - pierwszy, drugi, trzeci...

Milrun ocknął się, słysząc dziwny koncert. Skojarzył fakty: taki świst wydają lotki strzał. Otworzył oczy.

To był oddział femilańskiej straży. Wojowniczkę celowały z łuków już tylko do Milruna. Reszta zbójów leżała na moście albo zwieszała się z koni. Brzechwy strzał wyrastały z ich piersi i karków.

Milrun zrozumiał, że to koniec. Nie zdoła wyciągnąć kuszy. Może się najwyżej zemścić - zabić dowódczynię.

Błyskawicznym ruchem rzucił nóż w stronę wojowniczkę. Niemal w tej samej chwili przeszły go strzały. Sztylet przeleciał obok dowódczyni i wpadł do rzeki. Cichy plusk zawtórował przedśmiertnej skardze Milruna. Herszt zwał się na deski mostu.

Nóż opadł na dno strumienia. Ostrze z jasnego metalu utkwiało między kamieniami.



Nazywał takie rozmowy „dysputami trojga”. Przed snem osiągał niespodziewaną jasność myśli. Każda przybierała kształt dyskutanta. W ciemnościach umysłu zapalały się trzy świece - dwóch filozofów i poeta. Nim zdmuchnął je wiatr snu, płonęły ogniem pytań i odpowiedzi. Harlan miał wrażenie, że dysputy odbywają się bez jego udziału - jakby udostępniał swą głowę obcym głosom. Przyłapywał się na tym, że roni łzy przy takich rozmowach. Nie pojmował. Nie tylko umysł ale i oczy odmawiały mu posłuszeństwa.

Filozof I: - Może jesteśmy jedynie alegorią?... Może jest tak, że każdy człowiek nosi w sobie świat - zrolowany w psychice, który po rozwinięciu staje się obrazem relacji międzyludzkich. Tak jak z nasienia rozwija się kwiat, tak z natury człowieka można wydestylować świat - rzut psychiki na ontologiczne tło...

- Raczej odzwierciedlenie ogólnego stanu świadomości tamtych ludzi - dodał Filozof II.

- Nadludzi - poprawił I.

- W każdym razie stanu ducha epoki, w której przyszło im żyć - spuentował II. - My tylko odgrywamy teatr; ich mentalność, to, co siedzi

im głęboko w duszach, u nas przyobleka się w konkret. Personifikujemy ich stosunki społeczne.

- Jesteśmy jak brud za paznokciem - mruknął Poeta. - Jeżeli symbolizujemy duszę człowieka, to jest to dusza samobójcy! Pełna sprzeczności, mroczna, chora... Jeśli zaś społeczeństwo - jest to kultura dotknięta kryzysem, zmierzająca ku upadkowi...

- Wkraczasz na nasz teren! - fuknęli unisono Filozofowie.

- W kategoriach literackich - poprawił się Poeta - uosabiamy mroczną groteskę: nasze cechy są karykaturalnym wyostrzeniem cech tamtych ludzi.

- Odbiciem w krzywym zwierciadle - dodał Filozof I.

- Odbiciem zwielokrotnionym, rozszczepionym na miliony istnień - dokończył Filozof II.

Harlan przysypiał. Głosy zamierały, ognisko syczało gaszone przez deszcz. Krople spływały po jego włosach strużkami pytań - nawet łzy nie znały na nie odpowiedzi.



Wydmy porośnięte skrzyploczem flankowały rybacką wioskę wciśniętą w zakole rzeki. Na brzegu leżały odwrócone łódki, suszyły się sieci, furkotały wiecierze. Dalej stało pięć chałup o ścianach z poczerniałych desek krytych słomą. Wiatr niósł mulisty zapach wody. Na brzegu wylegiwały się raki.

Chłopiec siedział na mostku i moczył wędkę. Co jakiś czas szarpał kijem, a z fal wyskakiwała ryba. Chował ją wtedy do wiadra, zakładał przynętę i ponownie zarzucał haczyk...

Było południe. Chłopiec siedział na mostku od rana. Odłożył wędkę, wyraźnie znudzony. Naczelnik pojechał ze starszymi chłopakami

wymienić ryby na ubrania i narzędzia. Ori został, by pilnować obejścia, choć w razie ewentualnego ataku nie działałby dużo. Miał zaalarmować sąsiednią wioskę. Tamtejsi rybacy mieli przyjść z odsieczą choć Ori nie wierzył, by ryzykowali życie dla ochrony nie swojego dobytku.

Położył się na mostku i zamknął oczy. Był koniec lata, ostatnia okazja, by trochę popływać. Kąpiel w zakolu odpadała ze względu na muł - chłopiec zapadał się w nim po pas. Musiałby pójść koło mostu. Nurt był tam wartki, dno kamieniste - niestety, zbyt daleko od wioski. Z drugiej strony - zdążyłby przed powrotem naczelnika. Słońce wyjrzało zza chmur, ogrzało nogi chłopca. Zdecydował, że pójdzie.

Ścieżka wiodła przez las. Plaża przy moście cieszyła się złą sławą. Przed dwoma laty rybacy znaleźli tam dziewięć trupów. Byli to okoliczni grasanci, którzy zginęli w porachunkach między zbójckimi bandami. Mówiono też, że masakry dokonały Femilanki - most znajdował się niedaleko południowej granicy, pół dnia drogi od mokradeł. Chłopiec pamiętał opuchnięte ciało pływające środkiem rzeki - pomagał wtedy przy naprawie łodzi. Jeden ze starszych zawołał naczelnika i pojechali na miejsce kaźni. Woda była czerwona od krwi. Wytaszczyli ciała na brzeg i przeszukali zbójów. Przed nocą wrócili do wioski. Opowiadali o tym zdarzeniu w zimowe wieczory.

Teraz, w letnim słońcu, most wyglądał niegroźnie. Chłopiec zdjął ubranie i krzyżąc wbiegł do wody. Płynął tuż nad dnem, niemal szorując brzuchem o kamienie. Gdy spodobała mu się jakaś muszla, wyjmował ją i zanosił na brzeg. Później siedział na słońcu i przeglądał znaleźiska. Zostawił sobie kilka skorup i kamieni, resztę wyrzucił. Po krótkim odpoczynku ponownie zanurkował.

Do wioski wracał przed zmierzchem. Bał się, że naczelnik z chłopakami mógł już wrócić i dostanie w skórę. W zawiniętej koszuli ścisnął zdobycz, która sprawiła, że zapomniał o kamieniach i muszlach. Gdyby nie skaleczenie w piętę, zapewne nigdy nie odnalazłby noża.

# Taniec śmierci

Kiedyś, po zjedzeniu białych jagód, Harlan dostał ostrego zatrucia. Przez kilka dni Nóż był towarzyszem jego niedoli. Zanim wystąpiły bóle brzucha, biegunka i wymioty, Harlan miał wizję. Białe jagody w małych ilościach wywoływały halucynacje.

W pamięć wrył mu się każdy szczegół. Pies przepoczwarzył się w starego człowieka - jednooki, pomarszczony dziad w łachmanach perorował z uniesionym palcem: - Nie zastanawiałeś się nigdy, czemu filozofia jest zakazana? To proste. Jakakolwiek refleksja ontologiczna podważa sens tego świata. A inne nauki? Psychologia chociażby - zwróć uwagę, że...

- Psychologia? - zdumiał się Harlan.

- Nauka o tym, co dzieje się w naszych sercach - wyjaśnił staruch. - O reakcjach, bodźcach, motywach naszych działań.

- Uhm...

- Jesteśmy niewiarygodni psychologicznie. Ludzie z krainy Czarnego Słońca są pełni sprzecznych uwarunkowań. A jednak istnieją, istnieje ich świat...

Harlan milczał.

- Podobnie nasza cywilizacja. Stanowimy zlepek instytucji, obyczajów, wynalazków z różnych epok. Mieszkamy w osadach, a znamy pismo. Walczymy ze sobą mimo jednej religii. I tak dalej...

Starzec począł z powrotem zamieniać się w psa. Jego twarz formowała się w pysk, słowa przypominały skowyt: - Jesteśmy cywilizacją śmierci, a jednak trwamy...

Później Harlan widział tylko psią mordę na tle fioletowych drzew. Halucynacja pozostała w pamięci niczym głupi sen. Bóle, biegunka i wymioty męczyły Harlana przez dwa dni.



Nóż leżał na sękatym pieńku, wśród wtartych w słoje srebrzystych łusek i strużek rybiej krwi.

- Trzynaście okruchów - rzekł rybak.

Handlarz spuścił wzrok i zacisnął zęby.

- Niech będzie.

Nie cierpiał ustępować. Pomyślał, że sprzedając cacko na jarmarku, w przeddzień święta Nekrosol, zarobi niewiele. Gdyby targował się z kimś innym, osiągnąłby zysk dwukrotnie większy.

Sięgnął po sztylet i w milczeniu wręczył kruszec rybakowi.

- To jesteśmy kwita.

Naczelnik skinął brodatym łbem. Handlarz schował nabytek do podróżnego kufra i podreptał w stronę konia, którego przywiązał do drzewa na skraju lasu. Siwek parsknął, ryjąc kopytem ziemię. Gdy kupiec odwiązywał lejce, ujrzał chłopca w płóciennej koszuli, stojącego przy głazie porośniętym mchem. Smarkacz wlepił załzawiony wzrok prosto w kufer. Handlarz miał dość. Dosiadł konia, szarpnął wodze i pogalopował leśną ścieżką. Dziwna wioska, dziwni ludzie. Odwrócił się; chłopiec wciąż tam był - jakby odprowadzał go wzrokiem. Przeklęty bachor! Handlarz nie wiedział, czemu ogarnęło go takie rozdrażnienie. Gdy skręcił, poczuł ulgę. Mały obszarpaniec nie mógł go już widzieć.

Był wieczór. Ori siedział na mostku, wystawiając twarz na wiatr. Wiejąca znad jeziora bryza osuszała łzy bezsilnej złości.

Ukryty za drzewem widział, jak naczelnik frymarczy jego skarbem. Jak nóż ląduje w kufrze i opuszcza wioskę. Gdy koń handlarza zniknął na skraju drogi, Ori zacisnął szczęki i starał się nie płakać. Nie dało rady.

Był wściekły. Gdyby lepiej ukrył nóż, naczelnik nigdy by się nie



dowiedział. Gdyby...

Chłopiec nienawidził ich - naczelnika i handlarza. Nienawidził też łez, od których szczypały go oczy.

Od wody ciągnęło chłodem. Wkrótce miała przyjść jesień.



Drewniana tabliczka oznajmiała: TARG NEKROSOL. Harlan siedział na zboczu traktu, obserwując wozy załadowane tobołami, zdążające w kierunku zarośniętego trawą placu. Pojutrze ziemia zostanie zdeptana tysiącami butów - ludzie przybędą, dokonają wymiany i rozjadą się, by w ciszy i skupieniu przeżywać święto śmierci. W każdej osadzie grupa samobójców-ochotników utonie w bagnie - w ten sposób przyśpieszą chwilę połączenia z niebytem. Zostaną wpisani do księgi świętych - kolejna samoofiara dla Czarnego Słońca. Jak co roku.

Harlan odprowadzał wzrokiem handlarzy. Spod płacht na wozach widać było narzędzia, precjoza, sprzęty i ubiory - kupiecki miszmasz, który przyciągnie tłumy Malenistów. Ozdoby, amulety, broń, leki - tego też nie zabraknie. No i oczywiście starocie - wygrzebane nie wiadomo skąd. Jak co roku.

Obładowane workami konie i wozy wypełniły plac. Wraz ze zmrokiem równina rozbłysła setkami ognisk i pochodni. Namioty i stragany - dwudniowe miasteczko jarmarczne Nekrosol. Jak co roku.

Kupujący nadjadą jutro z rana. Harlan postanowił przejść się wśród kramów. Nóż nie towarzyszył mu tym razem. Zachorował. Pozostawiony wśród traw, przy popiołach ogniska, przykryty kawałkiem koca - czekał na powrót swego pana. Być może umierał... Rano Harlan nie mógł dobudzić psa. Starość albo zatrucie, zawyrokował, próbując postawić go na czterech łapach. Możliwe, że jedno i drugie... Nóż nie był w stanie

wstać samodzielnie. Harlan przypomniał sobie o tym, słysząc ujadanie psów. Kupcy pili, gawędząc przy ogniskach, kundle pilnowały dobytku. Nieufne spojrzenia odprowadzały Harlana, gdy przechadzał się między stoiskami. Handlarze spluwali na jego widok.

Wokół krążyło kilku żebraków. Dopraszali się resztek jedzenia. Pytali o zbędne przedmioty.

Sztylet w rękach jednego z kupców.

Dziwnie znajomy. Mieniący się błękitem. Harlan zamarł. Coś ścisnęło mu gardło. Niemożliwe. To niem...

Ponowny błysk. Kupiec wbił ostrze w ziemię. Odszedł za stragan i zaczął sikać.

Harlan działał jak w transie. Padł na ziemię i podczołgał się do ognia. Handlarz sikał.

Nóż był na wyciągnięcie ręki. Teraz. Palce zamknęły się na rękojeści. Uciekać...

Pod kołami wozów, między kępami traw, w cieniu straganów - Harlan pełzł, szedł na czworakach, biegł. Niemożliwe... szeptał. Niemożliwe...

Handlarz wysikał wypite piwo i wrócił do ognia.

- Ty! - wrzasnął, widząc żebraka napraszającego się sąsiedniej grupie kupców. - Ty! - wycelował w niego palcem - Oddawaj!...

Harlan był już daleko.



Wykradł się przez okno, gdy wioskę tulił jeszcze sen. Wczoraj spakował tobolek. Przedwczoraj podjął decyzję: odchodzi. Czuł chłopcę ciekawość świata, lecz nie to było najważniejsze. Kilka dni temu pojął, że nie chce zostać z rybakami - stać się jednym z nich, żyć rutyną połowów i starzeć się w wiosce o rozmiarach klatki, nad sennym jeziorem, w

smrodzie patroszonych ryb. Zrozumiał to nagle - jak oczywisty fakt, który wcześniej do niego nie docierał. Coś pękło w Orim, gdy stracił nóż - jakby z kawałkiem metalu odeszła mu chęć do życia.

Zeskoczył na piach. Okiennica zaskrzypiała, pchnięta przez wiatr. Otrzepał się, zapiął kapotę. Zbliżała się jesień, doskwierał chłód. Pora na mnie, pomyślał. Ostatnie spojrzenie na pogrążoną we śnie wioskę. Nie czuł żalu. Nie spotkało go tutaj nic dobrego. Za to dużo złego, zwłaszcza od ponurego brodatego naczelnika, który łoił mu skórę pod byle pretekstem.

Wioska spała.

Choć Ori nie życzył rybakom śmierci, trzy dni później kostucha zgarnęła krwawe żniwo. Tajemnicza zaraza spadła na osadę jak jastrząb na polną mysz.

Nie przeżył nikt.



Czuł zmęczenie. Odzwyczajone od biegu mięśnie piekły jak rozjątrzone rany. Rogatki targu, luźno rozstawione baraki, wozy i rozebrane stragany, zostawił za sobą razem z gorączką ucieczki. Gwiazdy rozcierały czerń nieba niemrawym migotaniem. Wokół rozciągały się równiny. Łany traw falowały pod wpływem wiatru. Był schyłek nocy, ocieżała szarość wypierała mrok. Step wydawał się niezmierny. Harlan stracił orientację. Serce kołatało nie tylko ze zmęczenia. Doświadczał gonitwy myśli. Jego umysł był jak tygiel, w którym wspomnienia wymieszane z nadzieją buzowały na ogniu niedawnych zdarzeń. Pod kurtką ścisnął spowity w płótno nóż. Miał pewność, że to ten sam, którym zabił Iris. Blask metalu. Znaki. Rzeźbiona rękojeść. To nie był falsyfikat. Czuł moc pulsującą przy sercu - koronny dowód. Jakby ostrze

emanowało wyczuwalną energią.

Rzeźkie powietrze niosło nadzieję. Wędrowała do płuc z każdym oddechem. Marsz przez równinę nie męczył. Nogi same niosły w niewiadomym kierunku. Harlan delectował się myślą, że w każdej chwili może dokonać samobójstwa. Przystanął. Odwinął nóż, ucałował błękitne ostrze. Przesunął palcem po zboczcu, którym kiedyś spłynęła krew Iris...To ostrze było w jej sercu. Niedługo zagości w moim.

Brzask. Widoczność zdawała się wzrastać z każdym krokiem. Gwiazdy wtopiły się w szarość, ustępując jutrzence. Czarne Słońce wschodzi po raz ostatni, pomyślał Harlan.

Mylił się.

Pragnął ujrzeć i poczuć blask nowego słońca, gwiazdy świata, do którego zdążał.

Przystanął, widząc popiół ogniska. Obok, przykryty niedbale kawałkiem derki, leżał Nóż. Pies wciąż żył, lecz jego pysk nie poruszył się, gdy Harlan stanął nad nim. Ciche skomlenie... Musiał cierpieć. Biedaku, pomyślał dobywając noża, to jedyny sposób, bym ulżył ci w cierpieniu. Odchylił bezwładną łapę i przebił psie serce. Nóż wyprężył się i znieruchomiał. Z rany i z pyska pociekła krew. Harlan miał pewność, że kundel zdechł. Przykrył truchło kocem, którego brzegi przydusił kamieniami, i ruszył w dalszą drogę.

Wyobraźnia wyświetlała obrazy przeszłości. Przed oczami miał Iris. Jej ciało było niczym pryzmat, przez który spoglądał na równinę: wysokie trawy przenikały łono Iris, wzniesienia nakładały się na brzuch, a pierś stapała z niebem. Ona jest tu - pomyślał, zamykając oczy. Ona żyje.

Zatrzymał się, słysząc krzyk ptaka. Podniósł powieki i ujrzał uschnięty krzak. Na gałęzi siedział biały ptak i trzymał w dziobie zieloną gałązkę. Biel piór była zdumiewająca - przypominała skórkę leśnych jagód.

Łopot skrzydeł. Ptak zerwał się do lotu, pofrunął wysoko. Po chwili

zmałał do wielkości kropki i zniknął w chmurach.

Zapłonął suchy krzak.

Głos rozległ się zewsząd i znikąd. Harlan słyszał go przed sobą i za plecami, spod ziemi i spod chmur, jakby powietrze drżało echem gromu. Głos zewsząd. Głos, który wtłaczał słowa prosto do mózgu. Głos znikąd. Harlan padł na kolana.

- Błogosławiona niech będzie nadzieja, albowiem jest jak źdźbło trawy kruszące kamienną płytę. Pochwalone niech będą marzenia, albowiem kierują nasze serca ku światłu. Niech święty pozostanie wyjątek, który przełamuje grzeszną regułę. Bądź pozdrowiony, synu cienia.

Czuł, że paraliż ogarnia nie tylko jego ciało, lecz i myśli.

- Podnieś wzrok, albowiem zostałeś wybrany.

Krzew płonął w ciszy.

- Naznaczyłem cię sakramentem życia w chwili twych narodzin. Jesteś zbawicielem tego świata, choć jeszcze o tym nie wiesz. Przez wiele lat błądziłeś, gdyż świat zrodzony z cienia musiał otrzymać niedoskonałego zbawcę.

Czuł, jakby płomienie sięgały jego serca.

- Uratujesz świat Czarnego Słońca. Ja ci w tym dopomogę. Po raz pierwszy odnalazłeś nóż, gdy skierowałem cię na misję. Po raz drugi, gdy moja wola poprowadziła cię na targ Nekrosol. Śmierć twej oblubienicy to również część planu. Przetrzymałeś próby i jesteś gotów. Kiedy skończę przemawiać, pójdziesz zbawiać ten świat.

Zapadła cisza, krzak płonął.

- W świecie Czarnego Słońca żyje jedenastu sprawiedliwych. Musisz ich odnaleźć. Wbijesz im nóż w serca. Reszta ludzi jest potępiona. Wkrótce rozplyną się w cieniu, z którego powstał, nie zaznawszy radości przejścia do wyższego świata.

Znów cisza.

- Sam nie mogłem zstąpić, więc wybrałem ciebie. Swoją moc zawarłem

w świętym przedmiocie, w który po części się wcieliłem. Poznałeś jego potęgę jednocząc się z Femilanką. Nóż łączy to co rozbite, zespała to co podzielone. Albowiem jest Miłością w świecie, którego ty zostaniesz zbawicielem. Co zaś tyczy się twojej ostatniej misji - odnajdziesz sprawiedliwych na granicy północnych równin, gdzie zbiorą się po tym, jak w ciągu doby zostaną jedynymi ludźmi na świecie. Reszta wymrze. Ptak, którego widziałeś, krąży teraz nad ziemią i roznosi śmiertelną chorobę. Zagłada Malenistów i Femilanek potrwa do jutrzejszego świtu.

Choć słowa te wydały mu się zbyt odważne, Harlan wyszeptał: - Kim... jesteś?

A głos odrzekł: - Drogą, prawdą i życiem w świecie, który jest grzęzawiskiem, kłamstwem oraz śmiercią. Wiarą, nadzieją i miłością w świecie, którym rządzą zwątpienie, rezygnacja i nienawiść.

Harlan czuł, że traci przytomność.

- Panie...

- Teraz zaśniesz, a gdy się obudzisz, będzie po wszystkim. Zostaniesz sam ze swoją misją. Wykonaj ją.

Płomienie falowały. Powieki ciążyły jak nagrobne płyty. Pograżony w tańcu ognia - Harlan zasnął.



Ori szedł już ósmy dzień. Nocował zawinięty w koc, na skraju lasów i polnych dróg. Nad ranem trząsał się z zimna. Prowiantu ubywało z każdym posiłkiem. Resztki wędzonych ryb i suchego chleba trzeba było popijać wodą ze strumieni lub kałuż. Ciepły kąpiel w chacie nad jeziorem, własna miska i dach nad głową - wydawały się Oriemu luksusem. Gdy budził się obolały i zziębnięty - żałował swej decyzji. Grzejąc się przy ognisku odzyskiwał wigor. Życie na szlaku miało dobre strony. Przede

wszystkim: swoboda, choćby kosztem głodu i wyrzeczeń. Po drugie: kontakt z ludźmi. Wędrowni handlarze. Wagabundzi. Kupieckie karawany zdążające na targ Nekrosol. Ori szedł tym samym traktem, mijając go dziennie kilkanaście zaprzęgów. Któregoś razu za wskazanie drogi (której sam nie był za bardzo pewien) kupcy podwieźli go aż do północno-wschodnich rozstajów. Sami podążyli ku polu targowemu. Ori - choć nęcił go słynny jarmark - postanowił iść na północ. Nie potrafił powiedzieć, czemu. Legendarna niedostępność północnych równin podsyciła ciekawość, lecz nie tłumaczyła wyboru kierunku. Jeszcze w wiosce Ori nasłuchiwał się niesamowitych opowieści o niezmiernych stepach, zwanych Rubieżą Świata. Teraz miał szansę skonfrontować ich treść z rzeczywistością.

Pewnej nocy, gdy od granicy równin dzieliło go półtora dnia drogi, Oriemu przyśnił się koszmar. Rybacka wioska, wieczór. Jedenaście kamieni ułożonych na mostku. Ori siedzi obok i łowi ryby. Nagle dziesięć kamieni spada z pluskiem do wody. Ostatni, balansując na brzegu mostka, zwraca uwagę Oriego. Chłopiec odrzuca wędkę, próbuje go chwycić. Za późno. Brunatny otoczek wpada do wody. Ori wyciąga rękę, lecz przechyla się zbyt mocno i traci równowagę. Wpada do ciemnej wody, krzycząc z przerażenia...

Ocknął się pod wpływem zimna. Lało jak z cebra. Koc i odzienie przesiąkły. Czym prędzej przeniósł się pod najbliższe drzewo. Siedząc pod rozłożystą koroną i gapiąc się w deszcz, Ori zdał sobie sprawę, że od wczoraj nie napotkał żywej duszy. Pomyślał, że równiny muszą być blisko. Deszcz powoli ustępował. Chłopiec spakował tobołek i gotów do drogi czekał, aż rozejdzie się mgła.

Nie wiedział, że ostatniej nocy zginęli wszyscy mieszkańcy świata Czarnego Słońca. Wszyscy prócz Oriego i jedenastu przybyszów z innej przestrzeni. Dziesięciu zmierzało na północ - tam, gdzie Ori. Jedenasty czekał wewnątrz wieży.



Harlan, ukryty w zarośniętej zielskiem rozpadlinie, obserwował, jak sprawiedliwi gromadzą się pod skalną ścianą.

Dziesięciu. Nadgraniczna skała stała się miejscem ich zebrań w czasach eksperymentu. Po zawieszeniu programu zrozumieli, że pozostaną na poligonie doświadczalnym. Obrali ten punkt jako przylądek ostatniej szansy. Mieli tu przybyć w razie zaistnienia nadzwyczajnych okoliczności.

Przez te wszystkie lata zdążyli zrzucić starą skórę - mężczyźni wcielili się w role Malenistów, kobiety w role Femilanek; jedynie w ten sposób mogli przetrwać. Stracili łączność z bazą. Projekt „No Man’s Land” upadł w fazie realizacji. Byli skazani na asymilację. Zatracenie tożsamości było ceną przetrwania.

Sytuacja uległa zmianie, gdy w ciągu jednej nocy śmierć zabrała wszystkich mieszkańców planety. W osadach, w których żyli eksprogresorzy, pomór przybrał rozmiary epidemii. Nie przeżył nikt.

Stosy trupów w osadach i na szlakach. Stosy trupów w lasach i nad jeziorami. Stosy trupów po obydwu stronach - malenijskiej i femilańskiej. Zrozumieli, że wybiła godzina szansy; że przybywa ocalenie.

Teraz obradowali, patrząc na siebie z troską i niechęcią. Nie przypominali dawnych antyprogresorów.

- ...Nie mam pojęcia, Gessler - gestykulował wysoki blondyn z końską szczęką. - Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć. Interwencja z zewnątrz to jedyne racjonalne...

- Chrzanisz, Olsen. - Przedwcześnie posiwiła kobieta wbiła wzrok w horyzont. - Tam nic nie ma. Pomór można wytłumaczyć inaczej.

- Bagna są wylegarnią chorób - zauważył grubawy łysol.

- Może i są ale nie na taką skalę - uciął Olsen.



- Co zatem powiecie o centrum magnetycznym planety? Pamiętajcie, jakie mieliśmy problemy z określeniem parametrów...

- Góra Snu - parsknął ironicznie Olsen. - Kurwa, zapomniałem już tych fachowych określeń...

- Przekleństw nie zapomniłeś - zwróciła mu uwagę Gessler. - Chociaż dziwek, ani żeńskich, ani męskich, tutaj nie uświadczysz.

- Dajcie spokój, dajcie spokój - zainteresowała wysoki chudzielec z brodą. - Proponuję, byśmy udali się do wieży.

- To strasznie daleko. Bieże dwa dni marszu.

- To nasza jedyna szansa.

- A zatem?

Zapadło milczenie. Ukryty za skałą Harlan wstrzymał oddech. O czym oni mówią?.. Kim są?... Sprawiedliwych miało być jedenastu...

- Co z Rechmanem? - spytała niska brunetka z kuszą na plecach.

- Nie ma go. Musiał zginąć.

- Albo zwariować...

Co łączy tych ludzi? Skąd się znają? Nie rozumiał. Słyszał, jak przekrzykują się, debatują kłóć. W końcu ustalili: nocują pod skałą a jutro wyruszą ku wieży. Nic z tego, pomyślał Harlan. Nie przeżyjecie nocy. Dostajecie wyzwolenia, lecz z mojej ręki.

Wycofał się.

Miał nadzieję, że nie będą trzymać straży.



Ori zgubił się wśród równin. Zboczył ze szlaku, nim dotarł do jego końca - teraz gorzko żałował. Droga na skróty okazała się drogą na manowce. Noc zaskoczyła go w szczerym stepie. Stracił orientację. Gwiazdy świeciły jasno, lecz cóż z tego, skoro nie umiał czytać kierunku.

Był bliski płaczu. Szedł intuicyjnie, chyba w stronę traktu. W półmroku ujrzał zarys wielkiej skały. Kamień wyznaczający granicę równin?... Podążył w tamtą stronę.



Harlan stoi na skale umazany błotem. Czeką. Pod skałą, wokół tłącego się ogniska, leżą sprawiedliwi. Dziesięciu. Nie szkodzi. Zabije ich teraz i poczeka na ostatniego. Przypomina sobie słowa, które usłyszał podczas objawienia: „Jesteś moim następcą w krainie cienia. Sam nie mogłem zstąpić, więc wybrałem ciebie...”. Jest gotów zabić dla tych słów. Co głos mówił o nożu...? „Swoją moc zawarłem w świętym przedmiocie, w który po części się wcieliłem. Nóż łączy to co rozbite, zespała to co podzielone...”. Obracając w myślach te słowa, Harlan staje na krawędzi.

Z każdym krokiem Ori widzi wyraźniej skałę. Gdy jest na tyle blisko, że dostrzega gęstwiny roślin pnących się po kamieniu, wyteżę wzrok. Zauważa ruch. Błękitne światło migocze trzykrotnie. Ori wstrzymuje oddech - światło spada.

Harlan skacze. Wilgotna ziemia tłumi odgłos upadku. Wysokie trawy, porastające podnóże skały, maskują postać Malenisty. Z nożem w spoconej dłoni skrada się do obozu.

Ori stoi pod skałą, zadziera głowę. Szczyt nie wydaje się być wysoko. Zaciekawiony, wspina się na pierwszą grań. Spiętrzenia układają się jak schody, wspinaczka nie jest trudna. Po jakimś czasie dociera na szczyt. Spogląda w dół. Widzi żar ogniska i śpiących ludzi. I jeszcze coś - pochylona postać skrada się wśród traw...

Na skraju obozu leży brodaty mężczyzna. Harlan zakrywa mu usta, dusząc krzyk, i zatapia ostrze w sercu. Później giną trzy kobiety, śpiące przy omszałym kamieniu. Tempo mordu wzrasta. Kolejny atak - Harlan

topi nóż w sercach trzech mężczyzn i znika wśród traw. Siwowłosa Gessler ginie, słysząc szelest, łysy grubas zostaje zakłuty wkrótce potem... Czarnowłosa kobieta budzi się, maca ręką kuszę. Harlan wynurza się z mroku, chwytając ją za gardło i wraża ostrze w pierś.

Wokół leży dziesięć trupów.

Ori potyka się, kamienie lecą z łoskotem. Postać przy ognisku odwraca się...

W blasku gwiazd widać drobną postać. Jedenasty! Harlan nie namyśla się.

Rzuca nożem.

Ori uśmiecha się z niedowierzaniem, w zdumieniu patrząc na znajomą rękojeść. Czuje ciepłą wilgoć. Z ostrzem wbitym w serce spada ze skały.

Plaża o wschodzie słońca i trzy postacie: kobieta, mężczyzna i chłopiec. Między nogami płacze się pies, ujadając i płosząc ptaki. Ori spogląda na wszystko z wysokości, jakby sam był ptakiem, i ze zdumieniem rozpoznaje... siebie. Długowłosa kobieta i barczysty mężczyzna trzymają go za ręce, śmiejąc się głośno, jakby chcieli zagłuszyć skwir białych ptaków. Ori wnika w sobowtóra i czuje bezbrzeżne ciepło. Słyszy słowo, którego nie rozumie, a które skierowane jest do mężczyzny: - Tato...?

Wizja rozplywa się jak miraż. Pęd powietrza, noc, skały. Tuż przed zderzeniem z ziemią - Ori umiera.



Zastyga taniec śmierci. Ostatni sprawiedliwy, myśli Harlan, wyjmując nóż z piersi chłopca. Panie, złożyłem ofiarę. Pozwól mi odejść...

Widzi gwiazdę spadającą w stronę północnego horyzontu. Bóg milczy.

...Czy mam tam iść?

Wstaje i ze spuszczoną głową podąża na północ.

Nad ranem, gdy bliski omdlenia wlecze się przez równinę, dostrzega kołujące stada ptactwa. Kruki zataczają kręgi, po chwili zawracają na północ. Gdy przybywają ponownie, Harlan leży nieprzytomny wśród traw. Ptaki unoszą jego ciało w stronę miedzianorudej baszty. Lot trwa długo. W końcu kruki składają Harlana u stóp wieży i siadają na krenelazach. Wewnątrz stary mężczyzna wpatruje się w przyrządy pomiarowe. Naciska czarny przycisk.

# Prawda i fałsz

Dźwięk docierał z daleka. Poszczególne słowa, wypowiedane wysokim, skrzeczącym głosem, wwierały się w świadomość Harlana. Gdy otworzył oczy, ujrzał szczyt wieży. Chmury pędziły po niebie gnane wiatrem. Harlan przechylił głowę i ujrzał kościstego mężczyznę w płaszczu.

- Widzę, że się ocknąłeś - zauważył Zarządca. - Więc słuchaj. Wszechświat dzieli się na gromady światów złożone z ontologicznej triady: świat podstawowy, jego nadświat i jego podświat. Taka potrójna konstelacja hierarchiczna, jeżeli wiesz o czym mówię...

Nie wiem, przemknęło przez myśl Harlanowi. Nie pojmował sytuacji. Sprawiedliwi zginęli z jego ręki - kim był ten człowiek?

- Starzec błędnie przyjmował, że istnieje cały szereg światów - kontynuował Zarządca. - Kapłani klepali bzdury, twierdząc, że na drabinie doskonałości świat Czarnego Słońca stoi najwyżej. Kluczem do zrozumienia tej zagadki jest liczba trzy, tutaj akurat stary miał przeczucie. Wyobraź sobie zaostrzony kij, który ma nacięcia na obu końcach i pośrodku. Trzy stany ontologiczne powiązane kierunkiem biegu światła. Rozumiesz, nadążasz?...

...Nie wiem, nie nadążam... Harlan czuł, że za chwilę zwariuje od tych słów. Zarządcę wydawało się to nie obchodzić. Zaczepnąwszy powietrza, mówił dalej: - Kiedyś wierzyłem, że świat Czarnego Słońca jest złym snem boga, koszmarem, który przypadł nam w udziale. Z czasem odrzuciłem koncepcję bożej śpiączki. Myślałem, że nasz świat powstał w procesie prób i błędów, jako pierwsza, wadliwa wersja świata podstawowego. Nie wiedziałem czy jesteśmy jedyni, czy może stworzenie optymalnej krainy było poprzedzone kreacją wielu kalekich światów, które zostały zepchnięte w inny wymiar czasoprzestrzenny.

Była to przekonująca wizja - świat Czarnego Słońca jako twór nieudanego eksperymentu boga.

Harlan dźwignął się na kolana. Tępy ból rozsadzał czaszkę. Coś ukłuło go w biodro - nóż. Poczował ulgę.

- W końcu jednak doszedłem do wniosku - Zarządca był całkowicie pochłonięty swoim monologiem - że trójontologia najlepiej tłumaczy naturę wszechrzeczy. Zdałem sobie sprawę, że odpowiedź tkwi w mistycznej teorii światła. Byt doskonały nie potrzebuje blasku, gdyż sam go wytwarza - emituje światło świecące, obywając się bez światła oświetlającego, które jest niezbędne innym bytom. Z kolei brak światła oznacza, że byt będzie ułomny, chory; nie będąc w stanie wytworzyć światła, nie może go również absorbować, nie ma bowiem ani zdolności emisji, ani źródła, z którego czerpałby blask. Między tymi bytami egzystuje twór pośredni - świat, który świeci światłem odbitym, emitowanym przez doskonałą wersję, idealną formę, sublimację bytu, jaką jest ów świat-matryca, świat-szablon, świat-sztanca. Absorbując światło, świat podstawowy rzuca cień, i to właśnie ów cień pada na krainę Czarnego Słońca. Tak rodzi się skażona forma, świat-półprodukt, świat-śmietnik. Przyszło nam żyć w takim właśnie świetle...

Harlan wstał. Z trudem łapał równowagę. Dłoń instynktownie spoczęła na rękojeści noża.

- Gdy pojąłem prawdę, stanąłem przed wyborem: stać się namiestnikiem tego porządku albo zginąć. Nie mogłem żyć jak przedtem. Musiałem wybierać...

Harlan wpatrywał się w twarz Zarządcy... Kim jesteś?

- Teraz powiem ci o wektorach wpływu, które działają w odwrotnym kierunku niż siła przyciągania...

Harlan wrzasnął; czuł, że te słowa i ten tembr doprowadzą go do obłądu. Wiatr poniósł krzyk daleko w równinę. Zarządca zamilkł. Po chwili podjął szeptem: - Wysłuchaj mnie do końca. Jeśli nie zrozumiałeś,

wyjaśnię ci jak najprościej. Musisz poznać prawdę, zanim zaproponuję ci układ.

Zarządca uniósł rękę na wysokość głowy.

- Wyobraź sobie trzy kule zawieszony w przestrzeni, na tej samej wysokości i w jednej linii. Kula środkowa to świat podstawowy. Przyjmuje ona blask, który wytwarza kula prawa, będąca czystym światłem. Jednocześnie, przyjmując światło, kula środkowa stanowi przeszkodę dla jego strumienia. Światło jest wchłaniane i zatrzymywane, nie przepływa dalej po prostej, na której są zawieszony kule. Przyjmując blask, kula środkowa rzuca cień. Ten cień jest skierowany na kulę trzecią lewą która zawsze pozostanie w ciemności, gdyż między nią a kulą światła istnieje kula symbolizująca świat podstawowy. Teraz skup się. Te kule są sprzęgnięte, krążą zawsze w identycznej relacji względem siebie - ruch odbywa się wokół osi wyznaczonej przez kulę środkową. Kula środkowa wiruje przy tym ruchem obrotowym.

Zarządca wyjął patyk ponacinany w trzech miejscach: przy końcach i pośrodku.

- Wracając do przykładu z kijem. Jakkolwiek byś nim obracał, nacięcia zawsze pozostaną w identycznym stosunku. Są scalone przez drewno, czyli przez odcinek, na którym rozmieszczone są symboliczne kule. Ośią obrotu odcinka jest nacięcie środkowe - obrotu w pionie i w poziomie, w aspekcie wertykalnym, horyzontalnym i diagonalnym, choć ogrom przestrzeni sprawia, że takie pojęcia tracą znaczenie. Wszelako obserwując ruch odcinka wobec jakiegoś punktu odniesienia, albo samemu będąc w tym punkcie, można wyróżnić ruch pionowy, poziomy i skośny. Nie w tym jednak rzecz.

Zarządca złamał kij w dłoniach i rzucił na trawę.

- Chodzi o to, byś zrozumiał, z czego składają się poszczególne światy. Otóż nadświat jest czystym światłem, świat podstawowy jest materią natomiast podświat to cień - iluzja, pozór, złudzenie. W religiach świata

podstawowego...

Harlan drgnął. Postać Zarządcy zaczęła migotać i falować, rozpadając się na poziome, półprzezroczyste paski. Głos zaczął trzeszczeć i załamywać się, kontury traciły ostrość, falowały, jakby wiatr targał materię na strzępy. Po chwili rozplynęły się w powietrzu.



## Prawda i fałsz (II)

- Koniec spektaklu. Czas spojrzeć prawdzie w oczy.

Głos od strony wieży; ten sam głos. Harlan patrzy osłupiały. W drzwiach stoi mężczyzna; ten sam mężczyzna.

- Fantom niepotrzebnie namącił ci w głowie - rzekł Zarządca, zbliżając się do niego. Podniósł z ziemi niewielkie metalowe pudełko i schował do kieszeni. - Trzymałem to nagranie na wypadek konfrontacji z kimś z zewnątrz. Ty jesteś Malenistą... Połowa rzeczy, które usłyszałeś, to brednie, zapomnij o nich.

To obłąd, myślał Harlan, ściskając rękojeść noża. Pragnął zatopić ostrze w sercu, by uwolnić się z tego snu. A jednak wzrok Zarządcy paraliżował - była w nim obietnica poznania prawdy. Harlan milczał, czekając na kolejne słowa.

Zarządca nie wiedział, że dziesięciu antyprogresorów zginęło z ręki Harlana. Nie wiedział nawet, że nie żyją. Wiedział jedynie, że Harlan jest ostatnim człowiekiem na świecie (przyrządy pomiarowe nie kłamały), nie licząc Ziemi...

- Nie wiem, co się stało; ty przypuszczalnie także nie wiesz... - Obrzucił Harlana cierpkim spojrzeniem. - Zrób mi przyjemność i wysłuchaj mojej historii. Postąpię wbrew regułom i wyznam ci prawdę...

Dość, pomyślał Harlan, pragnę umrzeć. Wyjął nóż i przytknął do piersi.

Z dłoni Zarządcy wystrzelił fioletowy strumień. Harlan zgiął się w pasie, upuścił nóż. Gdy się wyprostował, odczuwał ból przy każdym ruchu.

- Skończysz ze sobą gdy mnie wysłuchasz. Teraz podnieś nóż i schowaj do pochwy. Nie radzę atakować...

Zarządca rozpoczął monolog. Harlan słuchał zrezygnowany. Słowa,

które burzyły porządek świata, podważały wiarę w moc noża. Zaczekaj na mnie, Iris, myślał na przekór tym wywodom. Jeszcze trochę, proszę...

Zarządca nieubłagane kontynuował opowieść: - Tak więc straciliśmy kontakt z nadzorem. Wyobrażasz sobie? Perspektywa zamknięcia w klatce, w potrzasku - koszmar. Utrata łączności, zablokowanie komunikacji. Musieliśmy spojrzeć prawdzie w oczy. Zostaliśmy z eksperymentem, który mieliśmy nadzorować - początkowo utrzymywaliśmy łączność, później się urwała. Musieliśmy uważać. Zdekonspirowani - zapłacilibyśmy śmiercią.

...Iris, Iris, Iris... Harlan starał się zagłuszyć monolog niemą inkantacją.

- Kryzys przebiegał stopniowo - kontynuował Zarządca. - Najpierw nawalała łączność, później w ogóle przestały dochodzić sygnały. Zostaliśmy sami ze swoim sprzętem, wyposażeni w broń, której mogliśmy użyć w razie potrzeby. Lecz nie mogliśmy się bronić przed najgorszym - odcięciem od świata, dożywotnią męką, na jaką byliśmy skazani. Wydani na pastwę Czarnego Słońca, powoli stawaliśmy się mutantami.

Zarządca pochylił się i ukrył twarz w dłoniach, jakby wspomnienie przygniotło go wielkim ciężarem.

- Stąd nie ma ucieczki - wychrypiał. - Początkowo walczyliśmy z tą świadomością, ale fakty były nieubłagane. Musieliśmy pozostać na tym poligonie i czekać... Czekać, nie wiadomo na co...

Harlan pomyślał, że mógłby teraz uśmiercić Zarządcę jednym pchnięciem noża; gdyby mógł się ruszyć.

- Regularnie zbieraliśmy się na naradzie w tej wieży. - Zarządca wskazał budowlę. - A oni milczeli. Nie wiem, co się stało, lecz przyczyna musiała być poważna. Coś pochłonęło uwagę korporacji finansujących projekt. Może zniszczona została łączność? Nie wiem...

Zarządca zamilkł. Jego ptasi wzrok świdrował przestrzeń nad głową Harlana. Wokół wieży gromadziły się żaby.

- Nie rozumiesz. A jednak posłuchaj. Początkowo trzymaliśmy się razem, wciąż pełniliśmy swoje obowiązki, choć nie miało to sensu. Żyliśmy jak w schizofrenii: podwójne role, które przyszło nam grać, sprawiły, że zatracaliśmy tożsamość. W końcu pojęliśmy, że nasza misja jest bezcelowa: nie było komu przekazywać meldunków, program badawczy uległ zawieszeniu, nie otrzymywaliśmy nowych wytycznych. Byliśmy wydani na pastwę Czarnego Słońca, które przekształcało nas wedle swego algorytmu. Kapsułki neutralizujące, które łykaliśmy co wieczór, kończyły się. Nie mogliśmy odlecieć, lądowisko za wieżą zarosło trawą. Wciąż próbowaliśmy odzyskać łączność. Jedynie to nam zostało. Na próżno. Gromada myszek doświadczalnych... A Czarne Słońce modelowało nasze systemy nerwowe, przekształcało układy psychosomatyczne, by upodobnić nas do autochtonów - tych genetycznych kalek, które poddaliśmy eksperymentowi...

Żaby nadciągały ze wszystkich stron, równina wyglądała niczym falująca, zielonobrunatny dywan.

- Chyba pora, bym wyjawiał ci tajemnicę Czarnego Słońca. - Zarządca wstał i spojrzał Harlanowi w oczy. - Nazwa pochodzi od nas. Niewiele z tego pojmiesz, ale słuchaj: Czarne Słońce to sztuczny twór, generator mocy bioaktywnej, katalizator entropii, moderator kierunkowy spowalniający postęp - maszyna nadająca ewolucji wsteczny bieg... Nie, te słowa nic ci nie powiedzą... Spróbujmy inaczej: dzięki mocy, jaką emanuje ta sztuczna gwiazda, planeta jest inkubatorem... Nie, tak też nie... Cholera, nie umiem ci wyjaśnić. W każdym razie: w tym świecie panuje sztucznie utrzymywany zastój, a zmiany, które zachodzą, mają charakter odchyłeń korekcyjnych. Takie było założenie eksperymentu - poddać ludzi oddziaływaniu negatywnemu, utrudnić im rozwój. Tak właśnie działa generator: prowadzi do regresu, zwiększa stopień entropii, czyni świat jego własną karykaturą. Postęp, tak techniczny jak etyczny, jest duszony w zarodku. A bateria jest długowieczna - wytrzyma

jeszcze wiele pokoleń...

Żaby otoczyły Harlana i Zarządcę zielonobrunatnym wieńcem. Coraz głośniejszy rechot zagłuszał słowa.

- Tak, jesteśmy długowieczni, choć na Ziemi nie żylibyśmy od dawna. To jakiś nieznan, uboczny skutek działania generatora. Kto wie - może staliśmy się nieśmiertelni?... Ta świadomość prowadzi do szaleństwa. Czterech z nas zaszyło się gdzieś, po tym jak skończyły się zapasy i amunicja. Zostaliśmy ja i Erwin - tak chyba miał na imię - cały czas wierząc, że ktoś sobie o nas przypomni. Na próżno. Ulegaliśmy zmianom. Pojawiły się łagodne formy psychozy - może była to reakcja obronna?... Nie wiem... Erwin zwariował i zamieszkał w lesie, ja postanowiłem zostać namiestnikiem tego świata... To forma przetrwania - wyrzec się samego siebie, wejść w nową rolę. Barwy ochronne...

Żaby niezmordowanie parły naprzód.

- Trudno być bogiem, Harlanie. - Zarządca spojrział Maleniście prosto w oczy. - Czarne Słońce pomogło mi oszaleć. Zamieszkałem w wieży, obsługuję urządzenia, za pomocą ptaków kontroluję sytuację w osadach. Stałem się Zarządcą.

Harlan spostrzegł, że żaby podpełzły do ich stóp. Zaczął je strącać z butów i odgarniać nogami.

- Zostaw! - usłyszał. - Przyszły po mnie.

Rzeczywiście, żabia magma omijała Harlana, płynąc w stronę Zarządcy.

- W świecie, z którego pochodzę, ropucha była kiedyś symbolem złego ducha. Tutaj żaby stały się moimi sługami. To jedyna rzecz, której nie rozumiem...

Za plecami Harlan słyszał rechot, pluskanie i bulgotanie. Odwrócił się. Miliony, miliardy żab, aż po horyzont.

- Będziesz świadkiem pogrzebu.

Zarządca tonął po kolana. Dłoń Malenisty odruchowo spoczęła na

rękojeści noża.

- Nie musisz mnie zabijać. Pragnę śmierci.

- Wyrządę ci... łaskę. - Były to pierwsze słowa Harlana, odkąd Zarządca rozpoczął monolog.

- Nie zrozumiałeś, co mówiłem! - Zarządca załamał ręce. - Nie ma ucieczki z tego świata! Ani za życia, ani po śmierci! Czarne Słońce jest tworem ludzkich rąk. Nóż to kawałek metalu...

- Okłamałeś mnie - zripostował Harlan. - Skąd mam wiedzieć, że znowu tego nie robisz?

Zarządca machnął ręką w geście rezygnacji.

- To i tak bez znaczenia.

Żabi kopiec sięgał mu do pasa.

- Nie wejdą do wieży. Schroń się tam i przeczekaaj do rana.

- Co jest prawdą? - spytał Harlan.

- Masz kilka wersji. Sam wybierz...

Rozdeptując warstwy żab, Harlan wszedł do środka. Oparty o portal obserwował przygotowania do dziwnej ceremonii.

Zarządca zamknął oczy. Żaby utworzyły wokół niego dwa kręgi. Zdawało się, że ich marsz dobiegł końca. Ropuchy oblepiały mu szyję i twarz, forsowały kark i głowę. Wkrótce ostatni skrawek Zarządcy zniknął pod żabią zbroją.

Harlan nie miał pojęcia, co nastąpi, więc gdy błysnęło, odruchowo zasłonił oczy.

Płomienie. Misterium ognia. Zapłonął wewnętrzny krąg, zatańczyły czerwone języki. Smród palonej skóry wymieszał się z wiatrem. Czarny welon dymu wzniósł się ku niebu. Ten, który nazywał siebie Zarządcą płonął jak znicz. Zewsząd dobiegało kumkanie. Żaby śpiewały elegię na odejście swego pana.

# Koniec świata

Żaby odeszły nad ranem, pozostawiając lśniąca od śluzu trawę. Harlan wyszedł przed wieżę. Tam, gdzie spłonął Zarządca, nie pozostała nawet garść popiołu.

Może to złudzenie? Wieża, wypalona trawa i skrząca się równina przeczyły takiemu przypuszczeniu.

Wiatr zelżał. Było bardzo cicho.

Czuł głęboki spokój. Oparł się plecami o mur i wy dobył nóż. Pomyślał, że czekał na ten moment od śmierci Iris.

Gdy brał zamach, nawet nie drgnęła mu powieka. Czuł, że uwolniony od koszmaru budzi się do życia.

Zdecydowanym ruchem zatopił nóż w sercu.

Mróz i żar wypełniły go jednocześnie. Ogień trawił wnętrzności, mróz kruszył oczy. Poprzez krew ujrzał zamglony obraz. Trzy postacie - kobieta, mężczyzna i chłopiec - szły, trzymając się za ręce, a obok płątał się pies. Tłem był morski pejzaż, łuski fal lśniąca w blasku wschodzącej gwiazdy przelewały się z cichym szemraniem. Nogi ugięły się pod Harlanem. Czuł, jak życie wycieka z niego każdym porą skóry. Trzy sylwetki zbliżyły się. W rubinowej poświacie rozpoznał Iris w białej sukience, siebie samego w rozpiętej koszuli i... tak, był pewien, choć trudno mu było uwierzyć - tego chłopca, którego uśmiercił nożem na skale. Malec szedł między nimi i śmiejąc się uciekał przed morską falą. W górze kołowały białe ptaki oszczekiwane przez kundla, niegdysiejszego towarzysza tułaczki...

Padł na kolana. Nie wiedział, skąd wzięły mu się słowa: - Panie, w ręce Twoje oddaję ducha mego...

Świat opuścił Harlana.

# Martwa natura

Zostały tylko przedmioty. Nieprzebrane ilości narzędzi, sprzętów i ubiorów - zabawki na placu zabaw porzuconym na wieczność. Zbędne przybory w świecie bez ludzi - kości tej krainy. Martwa natura. Bursztynowa gwiazda obracała się w czerń, z której została zrodzona, a świat pogrązał się coraz bardziej w mrokach bezistnienia. Trwał jednak. Po ciemnej stronie księżyca, będącej słońcem dla ludzi skazanych na udawanie życia - ten świat istniał.

Istniał?

# Epilog:

## PIEŚŃ POD PIEŚNIAMI

*Kiedy cię spotkam, co Ci powiem że byłaś światłem moim Bogiem, że szmat już drogi przemierzyłem i byłaś wszędzie tam gdzie byłem odległą gwiazdą w sztolni nocy zachodem słońca, snem proroczym przestrzenią serca, której strzegłem jak oka w głowie, dla tej jednej, mądrej i pięknej ludzkim prawem ave.*

Mirosław Czyżykiewicz „Ave (inspira)”



# Sebastian Uznański

## ZAGUBIONA DUSZA

Znowu miała ten sen.

Stała pośrodku ogromnej doliny wyściełanej czerwonobrazowym pyłem. Wśród piasku i żwiru połyskiwały większe grudy. Kamienie. Lśniące odłamki skał, mniejsze i większe, które osaczały ją zewsząd, aż po kres horyzontu.

A każdy z okruchów krzyczał, wrzeszczał tak okrutnie, że musiała przycisnąć obie dłonie do uszu, a i tak słyszała pod czaszką przeraźliwy wibrujący dźwięk. Każdy z kamieni dygotał i drgał, wysyłając fale powietrza, których nie mogła wytrzymać. Chciała uciec, lecz nie było dokąd.

Zewsząd otaczały ją krzyczące kamienie.

Elayne zbudziła się zлана zimnym potem, siadając gwałtownie na łożu. Minęła dłuższa chwila, nim zorientowała się, gdzie jest. Głupia, nie powinnam usnąć, skarciła samą siebie. Było już późno, miesiąc srebrzystym snopem wpadał do izdebki przez niewielkie okienko.

Powinnam czuwać, licząc uderzenia swego serca, nie zaś, ledwie przyłożywszy głowę do poduszki, odejść w krainę snu. Tak myślała. Musiała jednak przyznać, że Worum tego dnia nałożył na nią mnóstwo obowiązków. Miała prawo być znużona.

Zerknęła na leżącego obok męża. Worum oddychał równo i spokojnie. Szczęściem, jej gwałtowne wybudzenie nie przerwało snu małżonka.

Bardzo ostrożnie skrzyżowawszy nogi rozsiadła się wygodnie na łożu, przodem do śpiącego. Jej wargi zaczęły nucić coś cichutko, ręce zamigotały nad leżącym w szybkich tajemnych gestach. Wnet za ruchami

smukłych palców zaczęły rozsnuwać się w powietrzu lśniące smugi.

- Śpij, mój mężu, śpij... - szeptała słowa zaklęcia. - Niechaj nic nie zakłóci twego odpoczynku. Ani nocna zmora, ani złe słowo, ani wilk polujący po nocy...

Nad Worumem wisiała już gotowa świetlista siatka, utkana przez prędkie ruchy jej dłoni. Elayne przymknęła oczy i wolno wypuszczając powietrze z płuc, skierowała obie dłonie w dół. Wraz z ich postępującym ruchem opadała też lśniaca sieć, aż przykryła całą postać mężczyzny.

- ...Ani żona zdążająca na tajemną schadzkę - dokończyła zaklęcie.



Księżyc rozświetlał jej drogę pośród chaszczy okalających wioskę, aż wreszcie bosa stopy zanurzyły się w chłodnym piasku, którym usłane były brzegi Czarciemu Nurta, rzeki dostarczającej osadzie wody.

Wilgotna bryza rozwiewała jej długie czarne włosy, sprawiała, że suknia ciaśniej obejmowała ciało, podkreślając wszystkie krągłości sylwetki. Niebo było ciemne jak inkaust, zaś drobiny gwiazd wyglądały niczym srebrny pył.

Elayne rozejrzała się wokół. Woda szemrała cicho, wiatr śpiewał w koronach drzew. Lecz na próżno jej oczy przeszukiwały oba brzegi porośnięte sitowiem, na próżno wyteżęła słuch, by wyłowić kroki mężczyzny. Ani śladu jej wybranka.

...Przecież się spóźniłam. Powinien już tu być, myślała z niepokojem. A może wcale nie przyjdzie? Może już nie kocha? Spotkał inną? Albo nas odkryto, jego pojmano, zaś ze mnie drwią skryci w chaszczach. Z mojego niepokoju i tęsknoty.

Serce młodej kobiety szarpało się w domysłach, a każda mijająca chwila potęgowała jej trwogę.

...A może już tu był, zobaczył, że nie stawiałam się o umówionej porze, i poszedł sobie. Powodowany zranioną dumą, poczuł się wzgardzony i nie zechce się więcej spotkać. Może powinnam iść za nim, przeprosić?

Nagle czyjeś silne dłonie objęły jej smukłą kibić; zmartwiła, zdusiła w sobie krzyk. Siepacze jej męża?

Wraz ze stanowczym uściskiem doszedł do niej znajomy zapach.

- Dornir... - wyszeptła miękko, z lubością opierając głowę o jego nagą pierś. Obrócił ją gwałtownie ku sobie, pocałował namiętnie, natarczywie. Oddawała łapczywie jego pocałunki, aż niemal tchu w piersiach jej brakło. Wówczas Dornir niecierpliwym ruchem ściągnął jej przez głowę sukienkę. Stała przed nim naga w świetle płonącego miesiąca, a sutki stwardniały jej od zimna. A on zbliżył do nich swe wargi i zaczął całować niespiesznie, na zmianę, zaś ręka pieściła drugą pierś. Jęknęła cichutko, gdy jego zęby lekko ją ugryzły. Elayne zatopiła palce w gąszczu włosów kochanka, odchyliła do tyłu swoją piękną głowę.

- Och... Tak, mój ukochany... Niech ta noc nigdy się nie skończy.

Ułożył ją na pościeli z trawy i liści. Znalazł się nad nią i delikatnie rozsunął jej uda.

- Bogowie! - krzyknęła, przygryzając dolną wargę.

Kołysał się nad nią prowadząc do coraz intensywniejszego doznania, do rozkoszy, w której można się było zatopić, a ona czuła się tak dobrze, tak słodko, tak bezpiecznie. Tak ważne było, że ktoś jej pragnął, wielbił, kochał. Tak ważne, że ona mogła kochać, wielbić, chcieć kogoś. I, bogowie, ta słodycz coraz większa i większa, nie tylko tam, na dole, ale już wszędzie, wszędzieeee...

Niebo, gwiazdy, korony rozłożystych dębów... Wszystko to wirowało nad nimi.



Leżała z głową wspartą na silnym ramieniu, wodząc palcem po odsłoniętej piersi kochanka. Błogie uczucie rozleniwienia wypełniło jej ciało, krew płynęła wolno, zaś mięśnie były ciepłe i rozluźnione. Z policzków zniknął rumieniec. Nie pamiętała już, kiedy była taka szczęśliwa.

Elayne nie pochodziła z osady Poszarpanych Gwiazd. Gdy miała czternaście lat, jako jedyna przeżyła napaść na rodzinną wioskę. Tal Worum, wódz wielkiego plemienia a jej obecny mąż, stanął na wzgórzu wraz ze swymi wojownikami, pod osłoną nocy i potężnej magii. Wyobrażała sobie, jak jego żylaste ręce kreślą w powietrzu jarzące się znaki, zaś z całej postaci bije czarodziejska łuna. Wreszcie zaklęcie paraliżujące było gotowe. Wojownicy mogli zejść do niczego nie spodziewającego się osiedla. Najpierw zabito mężczyzn. Zarówno tych zdolnych nosić broń, jak i zniedołężniałych starców. Część z nich miała świadomość tego, co się z nimi stanie. Jednak zaklęcie trzymało ich członki w lodowych okowach i nie mogli nawet drgnąć. Umierali bez najmniejszego jęku, tylko ich oczy błagały morderców o litość.

Potem zajęto się kobietami. Starsze zabito bez litości. Młodsze zostały zgwałcone. Podobnie jak ich mężowie i ojcowie, zduszone czarem nie mogły ni gestem, ni słowem stawić oporu.

Można powiedzieć, że Elayne miała szczęście. Mężczyzną, który ją wybrał, był sam Tal Worum, władca plemienia Poszarpanych Gwiazd. Spodobała mu się tak bardzo, że gdy z nią skończył, nie tylko uchronił od zbiorowego gwałtu, ale i uratował życie, zabierając ze sobą do osady, gdzie uczynił ją swoją żoną.

Elayne niewiele pamiętała ze swego dawnego życia. Po części dlatego, że było to dawno, bardzo dawno temu, a także skutkiem działania mlecznego naparu zapomnienia, który dał jej do wypicia wioskowy Czarowic, gdy przyjmowano ją do Poszarpanych Gwiazd. Jednak mikstura nie podziałała do końca skutecznie. Noc, w którą poznała

swego przyszłego męża, przez cały czas stawała jej przed oczyma.

Zanim podszedł do łoża Elayne, zabił jej ojca i brata, następnie upewnił się, że już nie oddychają. Potem podszedł do barłogu jej matki. Odsunął koce i uważnie przyglądał się ciału, jakby dokonując w głowie jakiejś oceny. Wreszcie zdecydował się i poderżnął jej gardło. Wówczas dziewczyna poczuła, że stanął nad nią. Odgarnął jej przykrycie, a chłód nocy wywołał na jej ciele gęsią skórkę. Wyciągnął zza pasa zakrzywiony nóż. Elayne wstrzymała oddech. Ale napastnik tylko rozciął lnianą nocną koszulę od szyi aż po kolana. Wreszcie rozrzucił obie połacie materiału na boki, obnażając całą jej nagość. Pragnęła wstydliwym ruchem zasłonić maleńkie, jeszcze dziewczęce piersi, zewrzeć nogi, jednak zakłęcie było mocne i trzymało ją w swych okowach. Tylko rumieniec wykwitł na jej policzki, a brodawki stężały z zimna.

Dotąd oceniał ją tylko w milczeniu, zaś serce dziewczyny trzepotało w piersi...Czy pozwoli mi żyć? Jednak jej sterczące piersi spodobały się widocznie mężczyźnie, bo schował nóż. Elayne, nieświadoma swego losu, odetchnęła z ulgą.

Szkoda, że mleczny napar nie był skuteczniejszy.

- Worum, obleśny staruchu, zabiję cię kiedyś - wysyczała przez zaciśnięte zęby. I przestraszyła się zaraz. Nie chciała powiedzieć tego głośno.

- Nie, najdroższa - usłyszała nad sobą zapalczywy głos Dornira. - To ja go kiedyś zabiję. Bo nie mogę już wytrzymać tego, że spotykamy się po kryjomu. Tego, że ten obleśny starzec co noc dotyka cię, moja ukochana. Wyzwę go na pojedynek i zabiję.

- Nie! - wzbroniła mu ślicznilica. - Nie na pojedynek. Nie miałbyś szans. Mimo jego dziewięćdziesięciu lat chroni go jeszcze potężna magia. Jego żyłaste ręce bez trudu gną żelazne sztaby, zdusiłby cię w uścisku.

- Najpierw musiałyby ścisnąć klingę mego miecza! - zagroził. W żyłach dwudziestolatka wrzała gorąca krew.

Elayne obawiała się, by impulsywność mężczyzny nie zgubiła ich obojga.

- To na nic, mój ukochany. Tal Worum zawsze nosi przy sobie woreczek z ziołami. Gdy tylko wyciągniesz przeciw niemu oręż, on natychmiast użyje trawy, której śpiew kruszy żelazo. Twój brzeszczot popęka na tysiąc kawałków.

- Więc obję go pięściami i rozszarpie go pazurami.

- Nie słuchałeś, gdy ostrzegałam cię, jaki jest silny.

- Dodaje mi siły twoja miłość. Czy jest większa magia?

- Nawet gdybyś go pokonał... Czarowic pozbiera jego członki i wrzuci do magicznego kotła. A rankiem mój mąż będzie znów zdrowy i w pełni sił kroczył po tym świecie. Na nic to wszystko! Jego nie pobijesz, a siebie zgubisz. A wraz z sobą moje serce.

- Jednak nie mogę ścierpieć, jak każdej nocy wracasz do niego! Pójdę choćby zaraz i dobiję śpiącego. - Zaczął wstawać; Elayne czym prędzej pochwyciła jego nogi, objęła, przytuliła twarz.

- Przepadniesz, głupcze! Poczekaj trochę. Zaufaj mi. Coś zrobię... Coś wymyślę... Daj mi czas - błagała.

- Czas, czas, ciągle tak mówisz, kobieto, a ten oblech wciąż chodzi po świecie...

- Zaufaj mi. To już niedługo.

- Więc dobrze. Dziś jeszcze go nie zabiję - zgodził się mężczyzna łaskawie - lecz pamiętaj, nie rękę za jutro.

- Dzięki ci, dzięki. - Całowała jego stopy. - Zobaczysz, nie pożałujesz. Najdalej za parę dni będę twoja i tylko twoja.

- Obiecujesz? - Ujął ją dłonią pod brodę, popatrzył głęboko w oczy.

- Obiecuję - powiedziała poważnie.

Wstała i weszła do rzeki, obmywając się pospiesznie. Zmywała ze swych ud pot i nasienie, bacząc, by najmniejszy ślad nie zdradził jej przed bystrym wzrokiem Worumy.

- Co ty tam robisz, u licha? - denerwował się Dornir na brzegu.

- Kto wie, może Worum zapragnie mnie jeszcze tej nocy? Użyje magii i mikstur, by podnieść swój pomarszczony członek i będzie chciał mnie wziąć. Muszę być czysta.

- Idę już. Moja rodzina będzie się niepokoić.

- Tak szybko...? - W głosie kobiety zabrzmiał bezbrzeżny żal. - Myślałam, że będziemy spacerować w świetle księżyca. Rozmawiać...

- Będziemy, gdy Worum będzie gryzł ziemię. Obiecuję. A teraz bywaj.

- Kocham cię, Dornir!

- Jesteś piękna, Elayne - odparł i zniknął w mroku. Długowłosa nagle zdała sobie sprawę, że woda jest przeraźliwie zimna. Szybko dokończyła kąpieli. Wyszła na brzeg i pospiesznie narzuciła na powrót sukienkę. Gdy przedzierała się do domu przez nadrzeczne chaszczce, wargi miała zacięte w brzydki grymas, zaś spojrzenie zimne. Ale jakby na przekór temu w kącikach oczu szklily się łzy.

Gdy dochodziła do chaty, przez chwilę miała irracjonalną obawę, że zakłęcie nie podziałało, że Worum się zbudził i domyśliwszy się prawdy, czeka na nią rozjuszony. Ale delikatna łuna, bijąca przez okna od świetlistej pajęczyny oplatającej starca, rozwiąła te strachy.

Prędko uniosła przykrycie i wślizgnęła się bezszelestnie na miejsce obok męża. Kilkoma chaotycznymi ruchami rąk zburzyła zakłęcie. Rozpadło się na tysiące świetlnych cętek, które bez śladu wniknęły w pościel.

Elayne była znużona po całym dniu ciężkiej pracy i intensywnych przeżyciach miłosnych. Ale nie mogła jeszcze zasnąć.

Była żoną Worumy, głowy klanu Banre, od pięciu lat. Przez ten czas z młodej dziewczyny stała się dorosłą kobietą. Kiedy pierwszy raz go zobaczyła, zdawał się jej wielki i straszny, niby demon czy zły bóg. Dzisiaj potrafiła zobaczyć jego postać razem ze wszystkimi zaletami i wadami. Potrafiła spróbować przynajmniej ocenić czy te pięć lat było dobre, czy

złe. Czy było coś w nich wartościowego. Jednak próbując sobie odpowiedzieć na to pytanie niejednokrotnie wzruszała tylko ramionami. Nie miała żadnego porównania, nie wiedziała jak mógłby wyglądać inny związek, Worum porwał ją młodziutką dzieckiem jeszcze. Pytanie należało zadać inaczej. Czy była aż tak nieszczęśliwa, że gotowa zabić swego męża?

Ileż to nocy nie przespała, bijąc się z myślami, całym wysiłkiem rozumu próbując dać sercu prostą odpowiedź na to równie proste pytanie. Nie było prostej odpowiedzi. A przynajmniej ona nie umiała takiej znaleźć.

Gdyby można było po prostu odejść... Ale klan Banre nie wybacza podobnej zniewagi. Worum za włosy dociągnąłby ją z powrotem do swego domostwa. I strach pomyśleć, jak straszliwie by się potem zemścił.

Gdyby nie spotkała Dornira, zapewne by tak cierpiała, w dzień pochylając głowę, by nikt nie zobaczył jej łez, zaś w nocy przygryzając wargę, by nie wydobył się z niej żaden jęk. Ale gdy poznała Dornira, jej życie odmieniło się całkowicie. Czy człowiek nie zasługuje na szczęście? Czy gdy widzi, że jest ono na wyciągnięcie ręki... Czy nie powinien o nie walczyć?

Teraz ogarnął ją jeszcze inny lęk, dotąd kryjący się na skraju świadomości. Wzbudziły go dzisiejsze słowa Dornira. Czy nie zwleka zbyt długo, gubiąc się w wątpliwościach? Jeszcze dzień, dwa namysłu, a jej szczęście może bezpowrotnie przepaść! Wszak luby wyzwie w końcu na pojedynek Worum i zginie z jego ręki. Albo chytry staruch wreszcie dostrzeże, że własna żona kpi z niego, co noc skradając się w świetle miesiąca do kochanka.

W swych rękach miała nie tylko szczęście, ale i życie ich obojga.

Ręka kobiety opadła z posłania, palce powędrowały pod łóżko. Wreszcie zacisnęła na czymś dłoń. Powoli wyjęła niewielki przedmiot i zbliżyła go do głowy śpiącego. Błysnęła na moment klinga noża, odbijając



światło księżyca.

Cięła jednym zdecydowanym ruchem.

Następnie tak samo bezszelestnie schowała nóż na powrót pod łóżko.  
Wraz z odciętą kępką włosów.

...Co ja robię? Bogowie, pomóżcie mi, co ja robię, myślała gorączkowo.  
W gardle nagle jej zaschło, a na ciało wystąpiły krople potu.

Worum obrócił się niespokojnie przez sen i przywarł do niej wielkim  
starczym ciałem, przywalając jej piersi ciężką ręką.



Ranek wstał ciepły, więc na ulicach osady było tłoczno i gwarno. Kto żyw opuszczał ciemne zakamarki domostw i wynosił pracę na zewnątrz. Kobiety tkwały kilimy i gobeliny na wystawionych przed próg krosnach, mężczyźni oporządzali ryby i patroszyli zwierzynę. Tłum ludzi przechodził w tę i z powrotem w sobie tylko wiadomym celu. Elayne szła pośród tej ciżby; rzemienne pasy przytroczonego do pleców kosza boleśnie uciskały jej ramiona. Starła się nie zwracać na siebie uwagi, opuściła głowę, wybrała szlak przy ocienionej ścianie budynków. Tak dotarła do krańca wioski i niczym zjawa wemknęła się za kotarę grodzącą wejście do jednej z osobno stojących chatek.

U progu przywitał ją zapach szałwi i tymianku, a także innych ziół, których nie mogła rozpoznać. U powały wisiały, powiązane zgrabnie lnianymi nićmi, całe bukiety ususzonych roślin. Rozejrzała się po mrocznym wnętrzu.

- Ten na zgagę, ten na podagrę, a ten, by zdechły krowy sąsiada. Bardzo rozchwytywany ten ostatni... Witaj, Elayne - usłyszała dobiegający z ciemności starczy głos.

- Chwalebna Sjewo... - dygnęła młoda kobieta - wybacz mi wtargnięcie

w twe szlachetne progi i pozwól niegodnej cię powitać.

- Próg gnije i się obłuzowała deska, więc nijak mu do szlachetności, ale przyjmuję twe pozdrowienia. Jak się masz, moje dziecko?

Wzrok Elayne przyzwyczaił się już do ciemności. Wyłowiła z mroku sylwetkę starszej, korpulentnej kobieciny siedzącej na bujanym fotelu z plecionki.

- Nie tak dobrze, jak sobie marzyłam, Chwalebna. Nie tak źle, jak wieszczły me koszmary - odparła.

- Dużo ryzykujesz przychodząc tutaj... Gdyby klan Banre się dowiedział... Miałabyś poważne kłopoty.

- Mój mąż nic nie podejrzewa. Sądzi, że poszłam na targ sprzedać ceramiczne naczynia, które ozdabiam.

Wyjęła z koszyka dużą wazę pokrytą białą emalią. Na brzuścu wymalowane były sylwetki ludzkie czarne niczym cienie.

- Pokaż ją bliżej, moje dziecko. Me oczy nie widzą już za dobrze. Elayne z głębokim ukłonem podała staruszce naczynie. Chwalebna przez chwilę obracała je w pomarszczonych dłoniach.

- Widzę mężczyznę i kobietę spacerujących w świetle księżyca. Pięknie wykonane - wyszeptła Sjewa. - Czy są szczęśliwi?

- Bardzo... - odparła żona Worum, ciszej niżeli tchnienie wiatru. - Przez krótką chwilę, ale bardzo.

- A tu mężczyzna i kobieta trzymają się za ręce. Na tle zachodzącego słońca. Dalej widzę kobietę karmiącą piersią niemowlę. Obok z dziećmi bawi się mężczyzna. Ładne. - Chwalebna popatrzyła na nią przenikliwie.

- Nie dałaś Worumowi dzieci, prawda? - zapytała nagle.

Elayne spuściła głowę.

- Worum mówi, że to moja wina. Że jak mnie brał, to byłam felerna.

- Ale...?

- Ale pytałam mądrych kobiet. I mówią, że Worum jest stary, bardzo stary, a ciało wyniszczone ma miksturami, które zażywał całe życie. Ich

magia dawno uleciała, zaś pozostały trucizny odkładające się ślad do śladu przez lata. Nie dziwota, że nasienie ma martwe jak drobiny piasku. Więc nie wiem, czy jestem winna, Chwalebna.

- A ty chciałaś mu dać dziecko, Elayne?

- Nie wiem... - mówiła z trudem. - Ja... nienawidzę go. Całe życie. Chyba nie chciałam. Ale czy to moja wina?

- Czasem życzenia mogą zmieniać rzeczywistość - powiedziała z bladym uśmiechem Sjewa. - Ale czasem... nie. Nigdy nie wiadomo. Nie umiem ci odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania.

Powróciła do oglądania wazy.

- Ładne to. Bardzo. Masz talent. - Popatrzyła na nią jeszcze raz, z dziwną przenikliwością jakby jej spojrzenie miało się wwiercić do samego dna duszy. - Masz talent - powtórzyła raz jeszcze. A Elayne miała wrażenie, że słowa staruszki odnoszą się do czegoś innego, zgoła niebywałego.

- Jednak dzisiaj nie przyszedłaś tylko po to, by mi to pokazać - kontynuowała jakby nigdy nic Sjewa. - Po coś jeszcze. Po co?

Zamiast odpowiedzi dziewczyna wyciągnęła przed siebie zaciśniętą garść. Rozwarła ją. Pokazała kosmyk włosów.

- Więc jednak się zdecydowałaś - powiedziała staruszka.

- Tak, zdecydowałam - odparła hardo dziewczyna. - I wiem, co robię. Pytanie, czy ty też się zdecydujesz. Kiedyś obiecałaś, że mi pomożesz.

- Miałam nadzieję, że zażadasz... czegoś innego. Prostsze. W moralnym sensie.

- Ale potrafisz to zrobić?

- Tak. Chyba tak. Nie jestem pewna do końca swojej mocy, ale myślę, że dam radę pokonać Tal Woruma. Pytanie, czy powinnam? Czy chcę?

- Zrobisz jak zechcesz, Chwalebna. Twoja pokorna służebnica oddaje się twojej woli - powiedziała nieobecny tonem.

- Nie mów do mnie jak do swojego męża. Nie zasłużyłam na to! -

wykrzyknęła z nagłą złością staruszka.

Elayne popatrzyła na nią...Czyżby?, mówiły jej ciemne źrenice. Ale potem oczy spokorniały. Młoda kobieta mówiła cicho, z bólem: - Myślisz, Chwalebna, że sama nie mam nawet teraz wątpliwości. Worum mnie bije, dręczy i maltretuje, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota. To moich rodziców i brata wymordował, a mnie gwałci co noc. Nawet kilka razy, bo chociaż stary, to te jego mikstury podnoszą członek zgodnie z jego wolą. Ale nawet ja mam wątpliwości. Wiec czemuż byś ty ich nie miała mieć?

Sjewa milczała.

- Nawet sny nie są ukojeniem. Bo wciąż, wciąż śni mi się to samo.

- Co? - zapytała z napięciem w głosie stara. Nagłaco. Jej ciemne niczym węgielki źrenice niecierpliwie czekały na odpowiedź. - Co takiego ci się śni, moje dziecko?

- Że jestem otoczona polem kamieni. Dużych i małych. A one krzyczą. Chyba na mnie. Umiesz czytać sny, Chwalebna? Co oznacza mój?

- Pomogę ci... - usłyszała przepełniony współczuciem, rozedrgany głos Sjewy. - Przyjdź jutro. Najważniejszy składnik już dostarczyłaś. Ale muszę zebrać pozostałe ingrediencje do splecenia zaklęcia. Przyjdź jutro.



Tollena szła przez wioskę, kołysząc swoim pulchnym tyłkiem. Mam za duży kuper, myślała wściekle. Naprawdę za duży. Miała nadzieję, że kupiony za horrendalne pieniądze urok miłosny maskuje tę drobną wadę figury. Ubrana była w błękitną cienką spódnicę i tego samego koloru bluzkę związaną z przodu tak, by odsłaniała pępek. Imponującej wielkości biust wypinała dumnie do przodu. W daleko wyciętym dekolcie ginęły nanizane na srebrne łańcuszki amulety i inaktywatory.

Długie blond włosy spadały miękkimi falami na opalone ramiona. Cały ranek spędziła na starannym rozczesywaniu ich, by teraz wyglądały olśniewająco.

Zapukała w dębowe drzwi okazałego budynku.

- Wejść! - usłyszała.

W środku, na rzeźbionym krześle, siedział stary mężczyzna. Twarz miał pomarszczoną a oczy podkrążone. Przez czoło biegła biała opaska ze złożonym ornamentem, infuła, symbol naczelnika plemienia. Odziany był w czarną togę z grubego płótna. Wzrok dziewczyny wychwycił przedmiot dumy starca, wspaniale wyhodowany paznokieć u małego palca.

- Czcigodny Tal Worumie, twa sługa błaga o łaskę posłuchania. - Padła na deski podłogi i ucałowała kurz u jego stóp, jak to było w zwyczaju.

- Powstań, kobieto. Jak ci na imię i z czym przychodzisz?

- Jestem Tollena, Wasza Dostojność.

- Tollena... - zamyślił się starzec, marszcząc czoło. - Zdaje się, pamiętam cię, jak byłaś taka malutka...

- Teraz już dorosłam, Wasza Dostojność - rzekła blondynka, odruchowo wypinając biust do przodu. Ale był to błąd. Taki stary wyga jak Worum odkąd weszła podejrzewał, że wokół niego krystalizuje się czar. Dotąd nie był tylko pewien, czy źródłem jest dziewczyna.

- Cóż to? - zapytał. - Widzę pawie oko wpięte między twoje amulety. Rzucasz na mnie urok miłosny, kobieto?

Tollena padła na kolana.

- Racz wybaczyć, Wasza Dostojność! Która kobieta oparłaby się takiemu mężczyźnie?

- Ależ oczywiście, że wybaczam, drogie dziecko. - Z wyraźnym zadowoleniem starzec wyszczerzył z rzadka osadzone, pożółkłe zęby. - Naturalne jest dla mnie, że kobiety próbują zdobyć moje względy. Gdybym gniewał się na każdą, która próbowała zjednać sobie moją

łaskawość, ta wioska dawno by się wyludniła. Nie dziw się też, że przejrzałem twój urok. Jesteś kobietą i zwykłą rzeczą jest, że pewne rzeczy robisz nieudolnie.

Tollena skłoniła głowę w niemej podzięce.

- Skoro tyle kobiet walczy o wasze względy, Wasza Dostojność, czemu przygarnąłeś Przybłądę? - odważyła się zapytać. - Czemu nie którąś miejscową? Czemu nie na przykład Tollenę?

Starzec z namysłem podrapał się pazurem po rzadko porośniętej głowie.

- Nie jest moim zwyczajem zdawać sprawę z moich wyborów kobietom - rzekł wreszcie.

- Powinieneś jednak wiedzieć, panie, że twoja wybranka planuje wyprawić cię z tego świata - wyszeptała, zginając się w ukłonie i spuszczając wzrok blondynka.

- Co mówisz, kobieto?

- Słyszałam wszystko. Magiczny artefakt pozwala mi znać treść rozmów prowadzonych wiele domów dalej, jakby się toczyły przy moim stole. Elayne i Chwalebna Sjewa jutro rano rzucą na ciebie czar śmierci. Mają już kosmyk włosów.

- Skąd wiedziałaś, których rozmów słuchać. Wmówisz mi, żeś się wywiedziała tego przez przypadek...?

Teraz Tollena miała powiedzieć najważniejsze. Cieszyła się, że pochylona głowa kryje jej uśmiech.

- Od paru miesięcy twa żona, panie, regularnie chadza nocą na schadzki, spotykając się z Dornirem z rodu Ororo. Ludzie już o tym gadają. Z troski o Waszą Czcigodność podjęłam się sprawdzić rzecz, oczywiście by łeb hydrze plotki ukreścić. Niestety, wszystko okazało się być prawdą - dodała ze starannie wystudiowaną troską w głosie.

- Co!?! - W starego Woruma jakby piorun trafił. - Moja młódka zdradza mnie z jakimś parchem?! I to z Drugiego Rodu we wsi?! Oż, to kurwa! O,

żeby ją... - Tu stary bluzgnął strumieniem tak okropnych i soczystych przekleństw, że Tollena aż się cofnęła, po trosze bo uszy wiodły, po trosze by uniknąć plwociny. Tak jak sądziła, wiadomość o zdradzie stokroć bardziej ruszyła Woruma niżeli groźba zamachu na jego życie.

- I powiadasz, że ludzie o tym już gadają? - zapytał z nagłym niepokojem, gdy chwilowo wyczerpał mu się repertuar inwektyw. Szczera troska, jaką miał wymalowaną na twarzy, wyrzeźbiła w duszy Tolleny szeroki uśmiech.

- Tak jak to ludzie bajają... To i owo mówią... - bagatelizowała znaczenie plotek, wiedząc, że jej słowa teraz tylko dolewają oliwy do ognia. - Ja, twa skromna służebnica, proszę o pozwolenie na odejście.

Wycofała się zręcznie, nie czekając, aż Banre poszuka sobie kogoś, na kim mógłby wyładować swą wściekłość.

Stary głupiec, pomyślała, wydymając z pogardą swe pełne wargi. Gdybym chciała zrobić urok miłosny, i tak byś go nie dostrzegł, spreparowałabym po prostu lepiej czar. Mężczyznami jest tak łatwo czasem manipulować.



- Wiesz, co myślę, Westul?

- Tak?

Dornir wraz ze swym przyjacielem siedzieli na progu domostwa przy głównym placu osady. Zabawiali się wrzucaniem kamieni do studni. Na razie w trafieniach zdecydowanie przodował Dornir.

- Że moja matka zbyt dużą ufność kładzie w możliwości tej dziewczyny.

- To znaczy?

- Myślę, że ona nie da rady zabić swego męża. Jest na to za słaba. Za

słaba, by się zdecydować. A jak nawet się zdecyduje, zbyt słaba, by tego dokonać.

- A widzisz inne rozwiązanie? Ona jest najprostszym sposobem pozbycia się Tal Woruma. I to tak, by nikt nas nie mógł oskarżyć.

- Wszyscy trzęsiecie portkami przed oskarżeniem, które jeszcze nie padło. A taka jest prawda, że pogromca głowy rodu Banre nie będzie się lękał niczego. Bo kto ośmieli się wystąpić przeciwko takiemu wojownikowi.

- Najpierw jednak ten wojownik musi pokonać Woruma. Nie jest to łatwe zadanie.

- Jest, jeżeli ten wojownik będzie miał oddanych przyjaciół. Pomożesz mi?

Westul zastanowił się przez chwilę. Następnie zamachnął się i wcelował kamieniem dokładnie w środek ciemnego otworu studni.

- Rozumie się. Ale nadal jest nas mało. A obcym nie można ufać.

- Wezmę jeszcze mego młodszego brata, Kurnira. Czas już, by został mężczyzną.

- Kiedy chcesz to zrobić?

- Nie ma na co dłużej czekać. Jutro.

- Dobrze. Przygotuję miecze...

- Nie, czekaj! Pamiętaj, żadnej stali. Przygotuj łuki, ale strzały mają mieć groty krzemienne.

- W porządku. Broń będzie gotowa. Ale co z magią? Worum to potężny czarodziej.

- A czy ja jestem gorszy? - napuszył się Dornir. Z krótkiego wymachu rzucił kamykiem. Jednak ten nie wpadł do studni, lecz pomknął prosto i strącił ptaka w locie.

- Wzywa cię Pani Matka, Dornirze - usłyszał za sobą. To Kurnir podszedł cicho jak duch i stanął za nim.





Cragaina z rodu Ororo była bystrą kobietą, która mimo swego wieku rządziła rodziną twardą ręką. Jej przenikliwemu spojrzeniu niewiele mogło umknąć. Nic tedy dziwnego, że Dornir, stojąc przed nią, zmieszał się i nie wiedział, gdzie podziać oczy.

- Martwię się Dornirze - przemówiła do syna. - Martwię się bardzo. Właśnie doniesiono mi, że Tal Worum był u Czarowica. Podobno pracował z nim nad czarem zwierciadła. Nie wiesz, czemu Worum chciałby odbijać magię? Czy może coś podejrzewać?

- To mało prawdopodobne, Pani Matko. Działamy w wielkiej tajemnicy...

- Działacie... - powtórzyła Cragaina, jakby smakując to słowo. - Mam nadzieję, że to ona działa, nie zaś ty. Jeżeli wyda się, że ród Ororo zamieszany był w zabójstwo przywódcy Pierwszego Klanu, możemy być narażeni na zemstę Banre. Pamiętasz o tym, prawda?

- Cały czas, Pani Matko. - Mężczyzna schylił pokornie głowę.

- Mam nadzieję. Nie chcę żadnych pochopnych ruchów. - Wzniosła głos o ton wyżej. - Żadnych głupstw! - Po czym spokojniej dodała: - Jesteś pewien, że Przybłęda da radę zabić Worumą?

- Pracuję nad tym od miesięcy...

- Da czy nie da? Proszę o krótką odpowiedź.

- Mam już na nią wystarczający wpływ, by chociaż podjęła próbę. Ale czy jej się uda...? Worum jest silny.

- A ona jest jego żoną. Musi znać jego słabe punkty. Zresztą - dodała, wstając z miejsca i podchodząc do dębowej komody - nie musi go zabić. Wystarczy, by go poważnie zraniła.

- Nie rozumiem, Pani Matko.

- Pracowaliśmy od dawna nad pozbyciem się głowy Pierwszego Rodu.

Zamówiliśmy u zamorskiego czarodzieja tę oto figurkę przedstawiającą Woruma. Wystarczy ją zniszczyć, a on umrze.

- Czemu więc tego nie zrobimy?

- Nie można tego zrobić, gdy jest w pełni sił, bo może rozpoznać czar i zdławić w zarodku. Jednak ranny, pozbawiony części swej mocy... Będzie łatwym łupem. A wówczas twój ojciec będzie rządził wioską, a my będziemy wreszcie Pierwszym Rodem. I nikt, powtarzam, nikt nie będzie podejrzewał Ororo o to, że maczali palce w tej zbrodni.

Schowała na powrót figurkę. Odwrócona plecami nie widziała, jak Dornir łowi spojrzeniem miejsce złożenia ludzika.



Tej nocy nie udało jej się wymknąć na schadzkę. Mąż pracował do późna, a gdy wreszcie udał się na spoczynek, zapragnął ją wziąć. Tym razem spólkował z nią wyjątkowo brutalnie, jak zwierzę, a gdy czasem udało jej się odwrócić głowę, widziała w jego oczach niepojętą mściwość i dziwny gniew. Trwało to i trwało, aż wreszcie Worum zostawił ją obolałą i upokorzoną, i zasnął, trzymając cały czas w stalowym uścisku. Nie było mowy, by wyszła gdzieś w takiej sytuacji, nawet gdyby po tym wszystkim miała na to siły. Jednak to, co dziś uczynił, ostatecznie utwardziło jej serce i zerwało wszystkie tamy, jakie powstrzymywały nienawiść. Nie było już w niej miejsca na współczucie. Nie zmrużyła tej nocy oka, miotając się niby w gorączce, czując się brudna i zła, zarówno będąc z mężem, jak i próbując się go pozbyć.

Gdy wreszcie przed samym świtem złożyła na moment głowę na poduszkach i przymknęła oczy, pojawił się koszmar. Dolina brunatnego pyłu, a wokół, wszędzie, krzyczące kamienie.

...Czy one coś próbują mi przekazać?

Ranek powitała z ulgą. Odczekała, aż mąż sobie pójdzie, i pędem udała się nad rzekę. Zanurkowała w chłodną wodę, skrzącą się karmazynowymi refleksami wschodzącego słońca. Następnie wynurzyła się i wróciła na plażę. I zrobiła to, na co miała ochotę od wieczora - z wymiotowała w krzakach. Potem, na powrót zmoczyła stopy w bystrym nurcie. Nabrała na dłoń garść piasku i poczęła szorować skórę, aż ta stała się czerwona. Chciała zmyć z ciała każdą kroplę jego potu, każdą cząstkę jego obecności.

Słońce odzyskało złoty kolor i było już wysoko, gdy wreszcie skończyła. Nie wracała do domu. Udała się od razu do chatki Sjewy. Nie dbała tym razem o dyskrecję. Po co, skoro już tylko chwile dzieliły ją od ostatecznego wyzwolenia. Już wkrótce Worum będzie złym snem, bezsilnym wspomnieniem. Nic jej nigdy więcej nie zrobi.

A Dornir jak się ucieszy, gdy się dowie. Żałowała, iż nie mogła się z nim wczoraj spotkać, by mu o tym powiedzieć. Lecz niespodziewana radość bywa czasem nawet większa od oczekiwanej.

Droga do siedziby Chwalebnej wydawała się jej wiecznością. Cały czas spodziewała się, że zza rogu wynurzy się jej mąż i z triumfalnym uśmiechem na brzydkiej twarzy wysyczy: „Mam cię!”. Było to oczywiście niemożliwe. Worum nie mógł o niczym wiedzieć. Co za tym idzie, nie mógł niczemu zapobiec. Elayne zdawała sobie niejasno sprawę, że to tylko jej lęk i wyrzuty sumienia powodują krystalizację takich myśli. Szansa, by teraz cokolwiek się nie udało, była znikoma.

Jednak wiedziała, że Worum jest potężny. Tacy ludzie nie umierają łatwo. Nawet Sjewy miała chwile zwątpienia, czy jej moc jest wystarczająca, by go zniszczyć.

Z ulgą zanurzyła się w ciemnym wejściu chatki Chwalebnej. Jednak naprawdę uspokoił ją widok staruszki, pewnymi rękami rozkładającej na stole zioła i mikstury. Obok, nad paleniskiem, wisiał miedziany kociołek. Ze wszystkich stron lizały go języki płomieni, ogień huczał i strzelał na

wszystkie strony migotliwymi iskrami.

- Jesteś nareszcie. No, ja też jestem prawie gotowa - przywitała ją Sjewą. - Nie zmieniałaś zdania? Dobrze. Więc siedź w kącie i postaraj się nie odzywać.

Zrobiła jak jej kazano. Ale jeszcze odważyła się zadać jedno pytanie: - Czy po tych czarach...? Czy mój mąż na pewno?...

- Może od razu, może po kilku godzinach. To zależy od wielu rzeczy. Ale tak. Niechybnie i nieodwracalnie. Teraz bądź już cicho.

Sjewą poczęła coś mamrotać pod nosem. Jej kościste palce urywały po listku lub dwóch ze zgromadzonych roślin i wrzucały do kotła. Para wodna zabarwiła się na różowo. Jednak Elayne niewiele z tego dostrzegała. Owszem, patrzyła na Chwalebny ale nie widziała jej ruchów, nie słyszała szeptanych zaklęć. Jej umysł pochłaniała bez reszty jedna myśl: Czy dobrze zrobiłam? Wiedziała, że tak naprawdę było już za późno na zmianę decyzji. Sjewą pouczyła ją wcześniej, że zakłócenie magicznego rytuału może być śmiertelnie niebezpieczne i nieść nieobliczalne konsekwencje. A jednak miała ochotę wstać i zakrzyknąć: Dość tego! Poniechaj... Właściwie Worum nie był taki zły. Opiekował się nią po swojemu. I cokolwiek by mówić, uratował jej życie tej nocy, gdy wyrżnięto jej pobratymców. Pojął za żonę, dał chleb i dach nad głową. A że był szorstki, czasem okrutny i nie okazywał nigdy ciepłych uczuć... Za to się nie morduje.

Ale Dornir?! Przystojny, posągowo piękny, umięśniony jak młody bóg Dornir. Gdy go tylko widziała, gdy czasem przechodziła przez wioskę, a jej spojrzenie zahaczało o jego pałające źrenice, nogi jej miękły, zaś serce trzepotało jak pochwycony ptak. I nie mogli się zdradzić ze swoją miłością mimo że prawie mdlała, gdy tylko przechodził obok...Robię to dla ciebie. Robię to dla nas. Mamy prawo do szczęścia. I nie zniósłabym, gdyby Worum się o tobie dowiedział. Bo wiem, że zabiłby jak psa, bez litości. A przestać się z tobą spotykać nie mogę. Tak jak nie mogę żyć bez

powietrza. Worum, musisz zginąć.

Mamrotanie Sjewy robiło się coraz głośniejsze. Nagle wyrzuciła do góry obie ręce i wyskrzeczwała: - Aweye! Zel Trat! Dokonało się!

Elayne poczuła straszliwą ulgę. Dziwne, nie czuła wcale żalu za popełniony grzech. Raczej rodzaj pustki, jak po usunięciu wyjątkowo bolącego zęba. Nie czuła nic. Tylko pustkę. I ulgę.

Nagle wydało jej się, że cisza jest nienaturalnie długa.

- Co się dzieje? - zapytała z nagłym niepokojem. Poczowała, jak zaczynają jej drżeć kolana, a zimny rząd mrówek spaceruje po kręgosłupie.

Sjewa zwróciła nagle ku niej twarz zastygłą w grymasie niezwyklej grozy.

- Coś jest nie tak... Coś poszło inaczej, niż powinno...

Bogowie, wiedziała, że tak będzie, wiedziała... Ale nie traciła jeszcze nadziei, że Chwalebna coś uczyni. Choćby powtórzy jutro zaklęcie.

- Ale czemu? Był przygotowany... Uprzedzony... To jedyne wytłumaczenie... - szeptała staruszka. Po czym wypluła na klepisko dwa obłuzowane nagle zęby.

Elayne patrzyła na to wszystko rozszerzonymi ze strachu oczami. Włosy z głowy Sjewy wypadały całymi garściami, otaczając jej sylwetkę niby śmiertelny całun.

- Chwalebna, nie!

- Ktoś mu pomógł odbić czar... - Popatrzyła w dym i przez moment ukazała się w nim złośliwie wykrzywiona twarz Patorunusa, Czarowica. Po czym znikła.

- Chwalebna, co z tobą?... Chwalebna...

Sjewa podniosła do twarzy swe dłonie. Paznokcie odpadły, zastukały o ziemię. Skóra wrzodziła i rozsypywała się w pył. Gdzieś tam prześwitywały fragmenty żółtych kości.

- Chwalebna, wybacz mi...

Kolana nie wytrzymały, pękły z suchym trzaskiem. Gwałtownie

postarzała kobieta zapadła się nagle, jak dom pozbawiony fundamentów. Elayne przymknęła oczy. Gdy je otworzyła, na podłodze pozostała tylko kupka prochu.

- Wybacz...



Polana pod kotłem dawno się wypaliły, woda ostygła, zaś w izdebce niepodzielnie panowała cisza i mrok. Samotna sylwetka klęczała na podłodze, z wzrokiem wbitym nieruchomo w przestrzeń.

To moja wina, myślała Elayne. Moja i tylko moja. Zgubiłam jedyną osobę, której na mnie zależało. Przez to że byłam pyszna. Że chciałam wciąż więcej i więcej od losu. Że śmiałam podnieść rękę na mojego pana, choć wiedziałam, że raz splecione nasze losy mogą rozwiązać tylko bogowie lub mąż, gdyby był ze mnie niezadowolony. O, ja naiwna, głupia, pyszna. Słuszna spotkała mnie kara. Wybacz, Chwalebna Sjewo. Ofiarowałaś mi swą przyjaźń i oddałaś dla mnie niegodnej życie.

...Wybacz, mój mężu. Podniosłam rękę na twą świętą osobę. Przyjdź i ukarż mnie, jak na to zasługuję. Niech stanie się wola twoja. Ja marna służebnica twoja, niegodna całować ziemię, po której stąpasz. Zgubiły mnie płóche myśli i żądza, której nie mogłam się oprzeć.

Zanurzyła dłonie w popiele pod kotłem i pomazała sobie skronie. Następnie nabrała garść i sypnęła na swe czarne włosy.

Słusznie bogowie ją ukarali. Powinna pamiętać, kim jest. Własnością męża, niczym więcej. Za jej winy jedyna osoba, której na niej zależało...

Nie jedyna.

Dornir.

...O, Bogowie! Co z nim? Chwalebna mówiła, że ktoś nas zdradził, że wszystko wiedzą... Dornir!

W zmętniałych oczach kobiety pojawiły się skry. Elayne wiedziała, że Worum nie podaruje jej kochankowi. Ale co robić?... Jak go ratować? Jedyna osoba, która mogła czegoś dokonać, została starta w proch przez moc jej męża.

Tak jak też zginie jej kochanek. Jeżeli mu nie pomoże.

...To Worum jest wszystkiemu winien. Nie ja, ale Worum. To on odpowiada za śmierć Sjewy, to on kazał ją zabić. Nie ja. Nie ja ją zabiłam, ani nie mnie karzą bogowie za złe czyny. To Worum, po trzykroć przeklęty Worum. Który wymordował niegdyś wszystkich moich bliskich. A teraz próbuje to uczynić po raz drugi. Przeklęty. Przeklęty. Przeklęty. Nie dopuszczę, byś po raz kolejny zniszczył tych, których kocham. Nie dopuszczę!

Ale co zrobić? Co robić?

Jej wzrok prześlizgnął się po przysposobionych do rytuału ziołach, po czarodziejskiej księdze. Większość składników do rzucenia śmiertelnego uroku nadal znajdowała się w izdebce. Chwalebna uszczknęła ledwie po liściu lub płatku. Owszem, Sjewy zużyła cały kosmyk włosów, ale przecież można załatwić drugi. Worum nie był jeszcze całkiem łysy. Zaś w księdze była cała potrzebna wiedza i zaklęcia.

Elayne żałowała, że nie uważała zbytnio, gdy Chwalebna rzucała swój czar. Teraz rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie cokolwiek. Wreszcie zrezygnowała i zagłębiła się w lekturze księgi.

Jakaś część jej jestestwa krzyczała: Co robisz, głupia? Sjewy była stokroć potężniejsza i bardziej doświadczona od ciebie, i umarła straszną śmiercią. To szaleństwo, nie może ci się udać.

Dornir umrze, jeżeli nie spróbujesz, odpowiadała lapidarnie druga.

...A ja przepadnę, gdy jego serce przestanie bić. Przepadnę na wieki.

I czytała, strona po stronie, aż niezrozumiałe stawało się zrozumiałe, a wiedza wypełniała jej umysł kropla po kropli.



Worum siedział na wielkim drewnianym tronie, spowity w swą mroczną togę. Na jego czole lśniła złocistym zygzakiem infuła. Na widok kobiecej sylwetki, która przystanęła w półcieniu przy wejściu do izdebki, jego twarz przybrała wyraz marsowy i wyniosły, wargi zacisnęły się w wąską linię, zaś z oczu biła pogarda przemieszana z okrucieństwem.

- Możesz wejść - wychrypiał.

Sylwetka poruszyła się.

- Tollena... - stwierdził rozczarowany.

- Jeżeli Wasza Dostojność spodziewała się kogoś innego, twa pokorna służebnica odejdzie i poczeka na moment, gdy jej pan zechce ją przyjąć.

- Nie, zostań... - Machnął ręką. - Równie dobrze mogę wysłuchać cię teraz. - Kara dla Elayne może jeszcze trochę poczekać. Co się odwlecze, to nie uciecze, jak mawiają mądrzy ludzie.

- Dzięki ci za łaskę, o Czcigodny - rzekła Tollena, w uroczystym przywitaniu padając mu do nóg. Wiedziona impulsem ucałowała jego stopy.

- Wybacz zuchwałość, Dostojny Panie - mówiła dalej, jakby nagle wystraszona i znieruchomiła w oczekiwaniu na uderzenie.

Lecz Worum ją pochwalił: - Jesteś obecnie moją ulubienicą Tolleno, i wolno ci ważyć się na więcej, niż może nawet bym pozwolił własnej żonie. Bardzo mi się przysłużyłaś ostatnio. Jak tak dalej pójdzie, może pozwolę ci ucałować coś więcej niż stopy.

- Wasza Wysokość jest zbyt łaskawy. - Tollena uniosła się nieco i uklękła przed nim.

- Tolleno, jesteś dobrze ułożona i wiesz, jak powinna się zachowywać kobieta w obecności mężczyzny. Nie pozostanie to bez nagrody.

Blondynka pokraśniała z zadowolenia.



- Teraz jednak mów, co cię do mnie tym razem sprowadza.

Dziewczyna spuściła powieki na swe błękitne oczy.

- Wybacz, panie, niegodnej, że musi wypowiedzieć słowa, które przyniosą smutek do Twego serca...

- Mówże prędzej!

- Elayne... Twoja żona... Ona nie zrezygnowała.

- Co może uczynić ta głupia bez pomocy Sjewy... - machnął lekceważąco ręką Banre.

- Studiuje pozostawione przez Chwalebłą księgi. I próbuje na powrót związać zabójczy czar.



Cragaina, wedle niektórych nieformalna głowa rodu Ororo, była bardzo zatroskana. I na powiernika swych trosk wybrała pierworodnego syna Dornira.

- Doniesiono mi, że Przybłęda zawiodła. Że Sjewa nie żyje. A Worum o wszystkim wie - mówiła kobieta beznamiętnym tonem.

Zaś Dornir dałby wszystko, by znaleźć się w tej chwili gdzie indziej. Rozumiał znakomicie, że każde zdanie wypowiedane przez Panią Matkę jest w istocie oskarżeniem skierowanym do niego.

- Widocznie Worum okazał się być silniejszy, niż myśleliśmy... - bronił się słabo. Albo Elayne słabsza, niż ją ocenialiśmy, pomyślał.

Cragaina udała, że go nie usłyszała. Podjęła zupełnie inny wątek, jak gdyby nigdy nic: - Poprzedniej żony starego nawet mi nie żal... Nigdy nie była jedną z nas.

- Poprzedniej żony?

- Ach, prawda, nie było cię jeszcze wtedy na świecie, gdy Worum już ją oddalił. Sjewa była niegdyś jego żoną. I też pochodziła spoza wioski. Ten

Banre zawsze był dziwakiem. Dobierał sobie żony z podbitych plemion, miast jednoczyć małżeństwem najważniejsze klany osady... - Głos matki zmienił się, jakby wspomnienia sprawiły, że dobiegał z odległej przeszłości. Czuło się w nim nutkę rozmarzenia, nie pasującego do obecnej Cragainy. - Tłumaczył mi kiedyś, że to jest jego misja życiowa. Że tamte kobiety nie są tak pracowite jak nasze i jego rolą jest nauczyć je, jak być lepszymi.

- Oddalił Sjewę, bo pojęła już wszystkie jego nauki, czy odwrotnie, bo była krnąbrna? - zapytał, wiedziony ciekawością.

- Gdzie tam. Miała wtenczas dwadzieścia cztery lata i uznał, że jest już dla niego za stara. Wypowiedzieliśmy kolejną wojnę i wnet miał u swego boku nową żonę. Takie głupie dziecko, dość szybko umarła. Ale to stare dzieje. Nie interesuje nas Sjewka, tylko ta twoja Przybłęda... - Matka przerwała, by zaczerpnąć tchu.

Wygłosiła gwałtowną tyradę: - Co ona sobie teraz myśli? Że jest Chwalebna? Pewnie wiesz, że kobieta, którą przez ostatnie miesiące wyścielałaś sobie łożę, próbuje użyć Wysokiej Magii? Studiuje księgi... - prychnęła z pogardą. - Czy to coś dla nas oznacza?

- Nie wiem, Pani Matko...

- Pewnie, że nic nie wiesz, boś głupi jak stary sandał! - wybuchnęła niespodziewanie Cragaina. Dornir aż się skulił. - Wstydzę się, że jesteś moim synem. Kto mnie przekonywał, że ma nad wszystkim baczenie?

- Bo tak było... Tylko...

- A wiesz... Dziwna rzecz... - Cragaina już się uspokoiła, gwałtowny napad przeszedł równie niespodziewanie, jak się pojawił. Znów jakby go nie słuchała, kontynuowała sobie znany ciąg myśli. - ...Worum znowu był u Czarowica.

- Znów kazał mu przygotować czar odbicia - domyślił się Dornir. Miał nadzieję, że tą błyskotliwą uwagą odzyska przychyłność matki.

- To by nie było dziwne, głupcze! - zgromiła go kobieta. - Dziwne jest,

że Banre zakazał Czarowicowi robić cokolwiek w sprawie magii Przybłądy. Bardzo dziwne. Co knuje ten stary osioł?

- Może nie wierzy, że Elayne jest w stanie zbudować w miarę zwarte zaklęcie i pozwolił po prostu Czarowicowi odpocząć? Może chce, by zachował siły na coś innego? Na inne zaklęcie? Być może ofensywne? - zapędzał się coraz bardziej Dornir, widząc, że matka słucha go z pewnym zainteresowaniem.

- Nikt rozsądny nie wierzy, że Przybłąda zmontuje działający czar, to jasne jak słońce. Tylko że taki stary wyga jak Worum zwykł zabezpieczać się przed nawet niemożliwą ewentualnością. Ale rzeczywiście możesz mieć trochę racji... - dodała łaskawie. - Może oszczędza moc Patorunusa na później. By użyć jej przeciwko nam? Albo może tobie? Czy powinnam poświęcić ciebie, by uniknąć konfrontacji między klanami? Strata syna nieudacznika to niewielki koszt...

Cragaina zastanawiała się tak przez chwilę, a Dornir posłusznie milczał, trawiając to, co usłyszał. Wreszcie kobieta podjęła kolejny wątek: - Pojawił się też nowy gracz, którego nie przewidzieliśmy. Martwię się, że tak niewiele wiem o tej Tollenie. A jeszcze bardziej się martwię, że najwyraźniej zyskuje ona coraz większy wpływ na Worum. Czyżby Piąty Ród pragnął dla siebie dominacji nad osadą? Ambicje niższych rodów zawsze spędzały mi sen z powiek. Teraz, gdy nasz czas jest tak niepewny, Piąty Ród nie może sprzymierzyć się z Banre. Wszystko idzie źle, mój synu. Może powinniśmy pomyśleć o tym, by się honorowo wycofać?

- Kto się cofa, ten ginie. Kto atakuje, ten zwycięża! - Dornir wyrecytował w odpowiedzi maksymę rodu Ororo.

- Zapamiętaj dobrze swe słowa, synu. Może są dla ciebie jedyną drogą ocalenia.

- Tak, Pani Matko. - Skłonił w podziękowanie głowę.

- Mamy dostojnego gościa, czeka w sieni.

- Któż to?

- Jego Szlachetność Tal Worum, głowa Pierwszego Rodu Banre i władca osady Poszarpanych Gwiazd.



Mimo podeszłego wieku przybyły wkroczył do izdebki sprężystym krokiem. Cragaina ruchem ręki chciała odprawić synów, jednak Worum powiedział: - Niech zostaną. Kto, jak nie nasze dzieci są przyszłością naszego plemienia? Trzeba, by od najmłodszych lat zbierali mądrość kapiącą z rozmów mędrców.

Synowie popatrzyli na matkę. Cragaina skinęła głową, aby zostali.

- Ważne słowa jak zwykle padły z twych ust, Dostojny. Mój skromny dom rad jest cię powitać i ofiarowuje ci wszystko, czego tylko sobie zapragniesz. Pozwolisz, że służba wniesie owoce i napoje, a także... - Podnosiła już dłonie do kłaśnięcia.

- Zbytńio łaskawy jest dla mnie ród Ororo. Tymczasem zajrzałem tylko na chwilę, by podzielić się moją troską i usłyszeć słowa mądrości od Matki Drugiego Rodu.

- Nasze uszy są zawsze otwarte. Jednak nie ma innej mądrości niż ta pochodząca z klanu Banre - odparła Cragaina, jak tego wymagała uprzejmość.

- Mam jednak nadzieję usłyszeć choć słowo otuchy, trapi mnie bowiem przyszłość plemienia. Złe nadeszły czasy dla nas. Niektóre rody nie są zadowolone ze swej pozycji. Burzą się przeciw światłemu przewodnictwu Banre.

- Znaczy to, że ciemność zalała ich dusze, zaś w mózgach zaległy się wielkie jak pięść czerwie - odrzekła kobieta, hamując gniew w swej duszy. Worum mówił właśnie, że doskonale zdaje sobie sprawę z jej roli w owej niefortunnej próbie zabójstwa. Czy to oznacza wypowiedzenie

wojny? Czego chce ten staruch? Co za myśli kłębią się w tej pomarszczonej głowie?

- Cieszę się, że tak sądzisz, o Czciogodna. Rad bym jednak usłyszeć także zdanie nadziei rodu Ororo. - Worum stanął za plecami Dornira. Przez moment zrobił ruch, jakby chciał poczochnąć go dobrotliwie po czuprynie. Lecz zmienił zdanie, tylko jego pazur zalśnił w świetle świec.

Tymczasem młodzieniec aż kipiał od złości. Nie mógł ścierpieć ugrzeczionych rozmów starszyny. Nie rozumiał, czemu nie rzucą się wszyscy na tego starego dziada i nie zaduszą go, rozszarpiają, zmiżdżą. Miast tego matka płaszczy się przed tym uzurpatorem i w milczeniu znosi jego skrywane drwiny! Wszyscy na niego patrzyli. Musiał coś powiedzieć. Cragaina uniosła brew ostrzegawczo.

- Wszelka wiedza i mądrość pochodzi od starszych. Powinnością moją jest słuchać mej matki i służyć naczelnikowi plemienia - usłyszał swój własny głos.

- Dzięki za dobre słowa. Podniosły mnie one na duchu i uczyniły moje brzemię lżejszym - odrzekł Worum. - Udam się do mego domu szczęśliwy.

- Miło było nam cię gościć. Ty odchodzisz, jednak światłość, jaką roztoczyłeś, pozostaje - pożegnała go Cragaina.

Gdy starzec wyszedł z domu Ororo, ruszył rzeczywiście ku swemu domowi. Twarz przekreślał mu grymas radości, zaś w zaciśniętej pięści coś kurczowo trzymał, jakby wielki skarb. I tak strasznie mu się śmiały oczy.

Cragaina, nim wyszedł, widziała tę radość. I spowiła ona jej duszę niby nieprzenikniony całun ciemności.



Potężne magiczne znaki błyszcząły na drodze ułożone jak cztery wierzchołki rombu. Obecnie Westul z Kurnirem pracowicie przykrywali je liśćmi i trawą bacząc, by rysunek zasłonić, ale go nie zburzyć. Dornir przypatrywał się tej robocie z zadowoleniem.

Stary będzie dziś wieczór wracał od Tolleny, to rzecz pewna myślał. Jeżeli mu dobrze wygodzi, będzie szedł rozluźniony i mniej czujny niż zwykle. Oby tylko wszedł między te znaki.

Błyszczące symbole, jakby słysząc go, zamigotały w odpowiedzi. Wiele wysiłku zajęło im sporządzenie tej pułapki. Zatrzyma ona Woruma w miejscu i, dajcie bogowie, obniży moc chroniących go zaklęć.

Dornir, cały czas mamrocząc stosowne inkantacje, wyrył na krzemiennym grocie strzały niewielką runę. Gdy była gotowa, zapłonęła na czerwono. Da ona jego broni zabójczą siłę, zdolną pokonać czar chroniący Woruma.

Westul ozdobił swoją strzałę runą pałającą szafirowo. Ta z kolei sprawiała, że pocisk mknął niezawodnie za ofiarą i dosięgał jej nawet, gdy ona kluczyła. Więcej magicznej amunicji nie preparowali. Obaj wiedzieli, że gdy pierwszy atak zawiedzie, nie będzie okazji przeprowadzić kolejnego. Poza tym znaki i tak zużyły większość ich mocy. Kurnir wdrapał się zgrabnie na drzewo i usadowił między gałęziami. Dornir miał nadzieję, że brat sprosta zadaniu. By pokonać Banre każdy element planu musi być przeprowadzony bezbłędnie.

A gdy to się stanie, on, Dornir, pogromca Woruma, zostanie naczelnikiem wsi. On, nie zaś jego słabowity ojciec, ani starsi kuzyni, nieudacznicy. I nawet jego dumna matka będzie musiała padać przed nim na twarz.

- Tak, moja Pani Matko. Docenisz jeszcze swego syna. Docenisz, gdy poznasz smak kurzu u jego stóp.



Elayne zakradała się do swego domu od strony rzeki, przedzierając się przez gęsty leszczynowy zagajnik. Myśl, że może spotkać wewnątrz swego męża, napełniała ją panicznym lękiem. Ale nie było wyjścia. Musiała jakoś zdobyć kolejny kosmyk włosów, bo poprzedni został zniszczony podczas czarów Sjewy. Dziewczyna miała nadzieję, że rankiem nie pozbierała wszystkich włosów obciętych Worumowi w nocy. Gdyby zostało choć kilka pasm... Powinno wystarczyć... Jeżeli nie, zawsze była szansa, że odnajdzie coś w pościeli, na poduszce.

W przeciwnym wypadku marny jej los. Nie była pewna, czy jej mąż wie, że miała swój udział w rzuceniu przez Chwalebną uroku, ale podejrzewała, że raczej tak. Skóra jej cierpła na myśl, jakie okrucieństwa już z pewnością dla niej przygotował. Worum był mściwym i perfidnym człowiekiem. Nie zadowalał się tak po prostu pozbawieniem kogoś życia.

W każdym razie na pewno nie wytrzyma więcej takich nocy jak poprzednia! Na myśl, że ten staruch miałby się do niej jeszcze raz zbliżyć, robiło jej się niedobrze. Rodziło to w niej niepowstrzymane fale mdłości i obrzydzenia.

Dom wydawał się być cichy i pusty. Oczywiście to jeszcze nie znaczyło, że mogła się czuć bezpiecznie. Wręcz przeciwnie, właśnie to równie dobrze mogło oznaczać pułapkę. Wyobraźnia igrała z nią, podsuwając wizje Woruma skrytego w cieniu i uśmiechającego się złośliwie. Gdy tylko wiarołomna znajdzie się w środku, starzec zatrzaśnie drzwi i wyciągnie ku niej swe odrażające łapy.

Potrząsnęła głową, chcąc rozproszyć w ten sposób obawy. Niczego nie rozwiąże stojąc tak i dywagując. Wręcz odwrotnie, zwiększała się szansa, że kręcąc się tak długo w pobliżu domu, natknie się w końcu na Woruma.

Co było robić? Polecając swoją duszę bogom, Elayne opuściła swą

kryjówkę w leszczynie i chyłkiem przebiegła w stronę wejścia. Rozglądając się trwożnie na wszystkie strony, przestąpiła próg. Wstrzymała oddech. Nic się nie działo. Ostrożnie zajrzała za drzwi. Nikogo tam nie było. I nic nie wskazywało, by miały się nagle zatrzęsnać.

Poczuła się odrobinę bezpieczniej. Zdała sobie ponadto sprawę, iż powinna sama zamknąć drzwi, by nie wzbudzić podejrzeń przypadkowych przechodniów. Uczyniła to z najwyższą niechęcią. Jednak choć we własnym domu, nadal czuła się nieswojo, obco, jak w pułapce.

To nigdy nie był tak naprawdę mój dom, uświadomiła sobie. Zawsze należał do Worum. On był tu panem i władcą. Ona tylko służącą i ciałem przeznaczonym do zaspokajania jego nieokiełznanej chuci. Swój dom straciła tamtej nocy, gdy Worum przyszedł i wymordował jej bliskich.

...A teraz znów zagraża mnie i mojemu szczęściu. Ta myśl skłoniła ją do niezwłocznego działania. Rzuciła się na kolana obok łóżka, zajrzała pod spód. Nic. Powierzchnia desek lśniła czystością, niby przed chwilą odkurzana. Ani drobiny pyłu. Przeklęty mój los!

Dygoczącymi rękoma zaczęła przeszukiwać pościel. Jest! Nie, to ciemna nitka. A ten? Zbyt długi. Pewnie mój. Szukaj, dziewczyno, szukaj!

I prawie by je przeoczyła w tym zdenerwowaniu. W ostatniej chwili zobaczyła mały kosmyk zsuwający się z jasnego tła prześcieradła, by upaść na podłogę barwy ołowiu i pozostać tam niewidocznym.

Pochwyciła je czym prędzej, wznosząc w duchu dziękczynne modły do wszystkich bogów.

Zdawało jej się, że usłyszała na zewnątrz czyjeś kroki. Uśmiech zastygł na jej wargach, twarz zamieniła się w przerażoną maskę. Skuliła się, jakby w oczekiwaniu, że na plecy i uda spadnie bat.

Nic. Cisza. Może jej się tylko wydawało?

A jednak nie mogła się pozbyć wrażenia, że tam na zewnątrz, za drzwiami, ktoś stoi. Mogła prawie słyszeć jego oddech. A może to jej



własny?

Elayne wiedziała, że za nic na świecie, za nic nie pociągnie za klamkę. Zostanie tu, aż...

Okno! Otworzyła je jednym uderzeniem, zgrabnie przerzuciła nogi przez parapet, znalazła się po drugiej stronie budynku. I nie oglądając się za siebie, ręczno niczym łania pomknęła w las.



Zrozumieć księgę. Zrozumieć tajemnicze inskrypcje spisane w zapomnianym języku. Wydawało się to być niemożliwością. A jednak Elayne, mimo iż pierwszy raz samodzielnie przewracała stronicę, nie zaczynała tak zupełnie bez podstaw. Przez te kilka lat małżeństwa z Worumem wiele razy zachodziła do chatki Sjewy. Nieraz wiedzona ciekawością odważyła się zapytać o to i owo. Chwalebna zawsze z niezmaconą cierpliwością wszystko dokładnie wyjaśniała. Ba! Nieraz sama prosiła dziewczynę o pomoc w zbieraniu składników do zaklęć lub nawet do asysty w przypadku wyjątkowo skomplikowanych czarów.

Tak jakby przygotowywała ją na tę chwilę...

Poza tym miała dziwne wrażenie, że odkrywa w zakamarkach swego umysłu fragmenty dawnej wiedzy, jeszcze ze starego życia, której nie zdołał usunąć podany jej mleczny napar. Nie, nie wiedziała o tym, że wie, nie potrafiła przywołać żadnej informacji... Ale gdy zaczynała coś robić, jej ciało jakby wiedziało, w jaki sposób zrobić rzecz poprawnie.

Przynajmniej miała taką nadzieję. Siedziała przed kotłem. Pod nim wesoło buzował ogień, nad nim pryskały gorące krople wrzątku. Po prawej miała księgę na podpórce. Raczej dla dodania otuchy. Gdy zacznie pleść czar, nie starczy czasu na przewracanie stronic i sprawdzanie, czy się aby na pewno dobrze wszystko zapamiętało. Ot, gdy się pomyli, może

nic się nie stanie. A może straci życie. Albo gorzej. Nigdy nie wiadomo.

Po lewej, na aksamitnej płachcie, leżały zioła przysposobione jeszcze przez Sjewę. I najważniejszy składnik z nich wszystkich, niewielki kosmyk włosów. Przedmiot, który wytyczał magii drogę do ofiary, bo bez tego była ślepa i nie ukierunkowana.

Elayne siedziała i milczała. Nie miała odwagi zacząć. Nigdy nie zabiła jeszcze człowieka. A na pewno nie w taki sposób. Za pierwszym razem wyręczała ją Sjewa. Tak było łatwiej... Teraz wszystko musiała uczynić sama.

No i oczywiście pomna była losu, jaki dosięgnął Chwalebłą. Z całą jasnością zdawała sobie sprawę, iż niemal na pewno ten sam wypadek spotka ją. Sjewa nie mogła się raczej pomylić, było to niemal wykluczone. Albo więc ktoś potężny zakłócił jej czary, więc tym łatwiej teraz zburzy zaklęcie splecione przez niedoświadczoną terminatorkę. Albo był jakiś błąd w samej formule zaklęcia. Jakiś znak można było zinterpretować na dwa sposoby... i koniec.

Elayne powtórzy te same rytuały co jej poprzedniczka, ku własnej zgubie.

Jednak nie mogła się teraz wycofać. Worum może by jej w końcu i przebaczył. Jej tak. Ale na pewno nie Dornirowi.

- Kocham cię, Dornir - wyszeptała. I jej dłonie zatańczyły w powietrzu, usta ułożyły się do zaklęcia.

Niewiele pamiętała z następnych minut. Jej uwaga była maksymalnie skoncentrowana na formule czaru. Wizualizowała go przed sobą w kłębach pary znad kotła, i dodając to owoc dzikiego głogu, to liść szałwii do wrzącej wody, porządkowała i układała jego strukturę, aż uznała, że jest odpowiednia. Wówczas nastąpił moment kulminacyjny. Spaliła wiecheć włosów, a gdy powstały dym zmieszał się z kłębiącym się zaklęciem, poczuła, jak coś się w niej otwiera, jakieś okowy, coś się wyzwala, potężnego i nieokiełznanego. To coś opanowało ją na chwilę,

następnie wydobyło się poza nią, do izdebki. I zerwało jej więź z czarem.

Wtedy otworzyła oczy. I zdała sobie sprawę, że krzyczy: - Aweye! Zel Trat! Dokonało się!

I było już naprawdę po wszystkim.

Wyczerpana Elayne zwała się na ziemię niczym ścięta kłoda. Walczyła o każdy oddech. Przypominało to uczucie, jakiego doznaje się we śnie, przydusiwszy bokiem rękę. Tylko że teraz miała wrażenie, jakby całe ciało ścierpło. Bogowie!

- Wody... - zdołała wyszeptać. Ale przecież nikt nie mógł jej usłyszeć. Ja umieram, uświadomiła sobie. Coś poszło nie tak, tak, jak się obawiała. I teraz kona, podobnie jak wcześniej umierała Sjewa.

Poczuła nagle żal. Nie, nie ze względu na swój los. Ten już dawno zaakceptowała i nie miała siły go opłakiwać. Jej życie nie znaczyło dla niej więcej niżeli liść opadły z drzewa. Ale myśl, że nie zobaczy już więcej Dornira, była nie do zniesienia. Nie do wytrzymania.

- Dlaczego?... Bogowie, dlaczego?...

Jednak czas mijał, a ona nadal żyła. Z obawą i niedowierzaniem podniosła dłonie do oczu. Czy rozsypią się w pył pod wpływem jej spojrzenia? Czy są chociaż pomarszczone, pokryte gęstą siecią zmarszczek?

Skóra była nadal młoda i gładka niczym jedwab.

Przypomniła sobie, że wykonanie potężnych zaklęć kosztuje rzucającego nieco siły. Że musi zapłacić za czar własną energią. Że to dlatego uczy się adeptów magii najpierw najprostszych sztuczek. Zyskują w ten sposób odporność na straszliwy wysiłek, jakiego wymagają uroki.

A ona, niedoświadczona, rozpoczęła od jednego z najtrudniejszych czarów. Nic zatem dziwnego, że leży teraz na ziemi rozpląszczona niczym meduza. Cud, że w ogóle przeżyła.

Bo wyglądało na to, że ostatecznie wyjdzie z tego. Paskudne uczucie ścierpienia całego ciała powoli ustępowało. Pojawiło się za to

dokuczliwe drżenie rąk. Ale mogła już się poruszyć. Nawet spróbować powstać, od biedy.

Przeżyje. Będzie żyć długo i szczęśliwie z Dornirem. I wreszcie pozbyła się znieprawionego męża.

Czy aby na pewno? Może czar się nie udał? Nie miała zdolności ani umiejętności Sjewy. Jeżeli by coś poszło inaczej, nawet by o tym nie wiedziała.

Z drugiej strony czar mógł zadziałać od razu, mógł po paru godzinach. Tak stało w księdze. Najrozsądniej było się teraz zaszyć gdzieś w bezpiecznym miejscu i czekać cierpliwie. Możliwe, że Worum wie już, że zawisł nad nim nieodwołalny wyrok, i choć zmienić go już nie może... Zawsze pozostało mu dość czasu na pomstę.

A jeżeli czar go nie dosięgnął? Jeżeli jakimś cudem zdołał się znów wybronić. Elayne nagle poczuła, że musi koniecznie sprawdzić, co z mężem.

Powstała, przed oczami zatańczyły jej ciemne plamy. Niewiele widziała. Nie odzyskała też jeszcze pełnej władzy w nogach.

Najrozsądniej będzie położyć się i odczekać.

Elayne ruszyła prawie po omacku do wyjścia.



Wieczór ściemnił niebo, zabarwił głębokim granatem. Żółtą wstęgą ścieżki maszerował dziarsko Worum. Rozpierała go energia. To był dobry dzień. Wracał właśnie od Tolleny, gdzie pozwolił sobie pochwalić zalety jej figury. To dobra dziewczyna, pomyślał, mając w pamięci jej trochę zbyt duży tyłek, ale to nic. Miała za to prężne, przyjemne w dotyku piersi, tak duże, że nie mógł ich nijak przykryć obiema dłońmi. I była biegła w arkanach sztuki miłości, co też się liczyło. Tak, to był dobry

dzień, myślał Worum.

Nad jego głową przefurkotały w szaleńczej gonitwie dwa gacki.

- Stój, Worum! - zażądał jakiś cień, wyłoniwszy się z krzaków. Młody człowiek uzbrojony w długi łuk. Obok niego na drogę wyskoczył drugi, niewiele mniejszy. Staruch przystanął.

- Dornir i... Nie pomnę, Festun, Testul?

- Westul - odpowiedział usłużnie jeden z tych, którzy zastąpili mu drogę.

- I czegoż chcecie ode mnie o tak późnej porze?

Miast odpowiedzi młodzieńcy napięli cięciwy.

- Twej śmierci, stary capie... - wysyczał Dornir.

- Sami zdechniecie, głupcy, i to nim wszędzie księżyc. Ty, Dornir, jesteś już zgubiony. Twój mniejszy przyjaciel ma szansę, jeżeli od razu weźmie nogi za pas. Wasza broń nie robi na mnie wrażenia. Mam przy sobie ziele, którego śpiew kruszy żelazo. Wasze groty popękają jak zapałki.

- A co powiesz, gdy ci oznajmię, że zrobiłem je z krzemienia? - zapytał z triumfującym uśmiechem Dornir i zwolnił cięciwę. Zaraz potem posłał swoją strzałę Westul. Runy na grotach płonęły jaskrawo, każda swoim kolorem. Worum nie mógł tego nie dostrzec.

Pierwszym odruchem naczelnika było zejść z toru lotu śmiertelnych pocisków. Jednak nie mógł zrobić kroku ni na przód, ni w bok. Teraz dopiero zauważył, że stoi w polu wyznaczonym przez cztery magiczne znaki.

Nie było czasu, pierwsza strzała, czerwona, już niemal go dosięgała. Gwałtownie wyrzucił do przodu rękę, kantem dłoni uderzył o drzewce, posłał ją gdzieś w krzaki. Wbiła się w pomarszczoną korę wiekowego drzewa, eksplodowała z hukiem i feerią barw, pozostawiając jeno poszarpany pniak. Zaś Worum trzymał w obu rękach drugą strzałę, z szafirowym grotem. Złamał ją o kolano. Bijący z niej błękitny żar osłabł i przygasł.

- I co teraz, dzieciaki? Rozniosę te wasze marne glify na tysiąc części! - powiedział Worum. Nagle przez jego ciało przeszło szarpnięcie, coś pchnęło go do przodu i przygwoździło z impetem do niewidzialnej ściany, którą tworzyły znaki. Z ust popłynęła krew. A z piersi wystawały krzemienne kolce.

- Dobra robota, Kurnir. Możesz już zleźć z drzewa - zakomenderował Dornir. Jego brat przed momentem rzucił z gałęzi zawieszoną na linie, najeżoną kamiennymi szpikulcami olbrzymią belkę. Młodzieniec popatrzył na swego wroga. Banre, mimo bólu, próbował uwolnić swoje ciało z kolców. Dornir nie zamierzał dać mu tyle czasu. Miał świadomość, że dzięki potężnej magii, która płynęła w żyłach starca, rany, dla kogoś innego śmiertelne, zagoiłyby się w moment.

- I czyje jest na wierzchu, zwyrodniały staruchu? - Dornir przybliżył swą uśmiechniętą twarz do głowy Banre. - Czyje? Rypałem twoją żonkę, a teraz wyprułem ci flaki. I wiesz co? Nie wiem, co bardziej mi się podobało.

Tal Worum rzucił się wściekle. Bluzgnął krwią.

- Zdechniesz! Myślisz że po co przyszedłem do waszego domu... - Zachłusnął się, na zwiędłe wargi wydobyła się różowa piana. - Wystarczył jeden kosmyk... Głupcze... Jesteś martwy!

- Niestety, nie... - pokręcił głową Dornir. - Ty natomiast tak. Wiesz, co się stanie, jak podpalę tę figurkę? - Wyjął zza pazuchy ludzika uszykowanego przez zamorskiego maga. Starzec wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. - Nie? Ja też nie. Więc sprawdźmy to.

Buchnął z jego ręki ogień, w sekundę zapalił figurkę, a w tej samej chwili pożoga ogarnęła Tal Worum. Zaczął się miotać i ryczeć z bólu.

- Płoń, płoń starcze! - śmiał się jak szalony Dornir. Naczelnik był już żywą pochodnią, wciąż uwięzioną w rombie utworzonym przez glify. Uwolnił się od nabijanej krzemieniami kłody, ale nie potrafił przestąpić zaczarowanej bariery. Odbijał się od jednej niewidzialnej ściany do

drugiej i wrzeszczał, strasznie wrzeszczał. Westul cofnął się o krok. Słodkawy zapach spalonej skóry przyprawiał o mdłości.

Dornir przepełniony był poczuciem triumfu. Wreszcie świat dowiedział się, co to znaczy zadrzeć z Ororo. Supremacja Banre się skończyła, a dokonał tego nie kto inny jak on, Dornir Ororo. Właściwie Tal Dornir. Nie widział żadnego powodu, by teraz naczelnikiem plemienia miał zostać jego ojciec. Czegóż dokonał ten nieudacznik? Czy zabił Woruma?

- Dornir! - usłyszał kobiecy krzyk. Ku niemu, zataczając się jak upojona sfermentowanym wywarem z kukurydzy, szła Elayne. - Ty jesteś cały! Tak się martwiłam, kochany... Tak się martwiłam...

Rzuciła przelotne spojrzenie na dogasające szczątki jej męża.

- Pokonaliśmy go, wreszcie... Możemy być razem.

Pragnęła schronić się w jego ramionach, przytulić. Odsunął się.

- Kurnir, idź do domu. Sprawieś się dzisiaj jak prawdziwy mężczyzna. Westul, ty także. Zostawcie nas. Możecie układać po drodze pieśni o moim zwycięstwie.

Młodzieńcy skłonili głowy i odeszli.

Kurnir, inaczej niż Westul, który z radości wyśpiewywał na całe gardło jakiś sklecony naprędce kuplet, wracał milczący. Pewnego pięknego dnia poślizgnie ci się noga, braciszku, rozmyślał. Nasza Pani Matka skarże cię za pychę. Lub dosięgnie cię pomsta pozostałych Banre. A wtedy ja ludziom przypomnę, kto zadał decydujący cios naczelnikowi. Kto jest godzien nosić togę i infułę. Kogo należy zwać Tal Kurnir.

Tymczasem Dornir popatrzył z niesmakiem na tę dziwną kobietę, która czegoś od niego chciała.

- Co to znaczy „my”, głupia babo? Sam pokonałem Woruma w ciężkiej walce. Wcześniej, owszem, traciłem z tobą czas w nadziei, że zbierzesz w sobie dość siły, by zwrócić się przeciwko swemu mężowi. Ale ty tylko umiałaś jojczyć. Żałuję, że od początku nie zachowałem się jak przystało

na wojownika i nie zarzniętem tego starucha. Wielki mi kacyk, ten Worum. Śmiertelny jak my wszyscy. I spójrz, nie jestem nawet draśnięty. A ty mówiłaś, że Worum jest niezwycięzony, niepokonany.

- Czas spędzony ze mną... nie był... nie mógł być stracony. Nie wierzę, że tak myślisz... - Podeszła do niego, próbowała sięgnąć dłonią policzka. - To nie ty... Zawsze mówiłaś, że jestem twoją gwiazdą... W mroku...

- Co za głupia kobieta. Spotykałem się z tobą, by dopaść twego męża, nie rozumiesz? Teraz precz ode mnie! - Chlasnął ją otwartą dłonią w twarz, aż zatoczyła się kilka kroków do tyłu, upadła w pył drogi.

- Nie!!!

- Jesteś stara krowa. Masz już dziewiętnaście lat. Kto cię zechce? Na pewno nie Tal Dornir, który może teraz mieć każdą.

Słowa. Słowa, które bolały bardziej niż najcięższe razy, jakie zadawał jej Worum. Każde z nich spadało na nią niczym głaz i przygniatało niżej do ziemi. Policzki miała oklejone żwirem zmieszany z łzami. Łzy kapały na drogę, moczyły ziemię.

- Bogowie, dlaczego?!!! - zawyła, zwracając twarz w puste niebo. - Dlaczego?!!!

- Bo bogowie kochają Tal Dornira, a nie mają litości dla głupiej suki - powiedział z wyraźną satysfakcją Dornir, kopiąc ją od niechcienia w żebra, aż jęknęła. Po czym odszedł.

- Bądź przeklęty, Dornirze. Bądź przeklęty, słyszyysz?!!! - krzyczała bezsilnie do jego pleców.

Na to mężczyzna zaśmiał się tylko straszliwie, tak okrutnie głośno, pełną piersią. I śmiech ten dotarł aż pod gwiazdy. Elayne pozostało tylko milczące łkanie.

A Dornir śmiał się i śmiał, aż wreszcie przestał, bo zakrztusił się nieco. Zdziwiony wypluł coś na zwiniętą dłoń. Popatrzył, nie dawał wiary. Na ręce leżał jego własny ząb.

- Koszty rzucania tyłu czarów... - mruknął do siebie. - Musiał się



obluzować.

Ale zwolnił kroku. Zmęczone serce nie nadążało pompować tyle krwi. Poczł jak lodowatą ręką ścisła go za gardło niewysłowiony lęk.

- Jestem młody, piękny i silny. Jestem Tal Dornir. Wódz nad wodze - powiedział do siebie głośno, by się uspokoić. Jednak głos dygotał niczym u starca.

- Nie rzuciłem aż tylu czarów... by wywołać taki efekt. To niemożliwe... Co się dzieje...?!

Nagle lęk przekroczył możliwe do wyobrażenia granice.

- Pomooooocy!!! - Zawył jak zwierzę. Ale z jego osłabłych płuc wydobyło się ledwie rżenie.

I zaczął iść przed siebie i krzyczeć, zaś za sobą zostawiał skórę, włosy i paznokcie. I tak szedł, szedł, aż zniknął Elayne z oczu.



Księżyc wzeszedł na głęboko czarne niebo, rozjarzyły się punkciki gwiazd. Powiał zimny wiatr. Elayne nadal leżała nieruchomo w kurzu drogi, w srebrze miesiąca. Jej ciało było niczym martwe, ból, który toczył jej duszę, zmienił się w tępe poczucie beznadziei.

Minęła chyba wieczność, gdy usłyszała zbliżające się głosy. Wiele głosów.

Przyszli po mnie, pomyślała. Zabiorą mnie do domu, do ciepła. Napoją gorącą zupą, okryją. Zaopiekują się. Jak dobrze.

Gwar był coraz głośniejszy. Dawało się już rozpoznać w nim i gniewne pomruki, i przekleństwa.

Długowłosa uniosła głowę, spróbowała coś zobaczyć przez mgłę przesłaniającą jej oczy. W głowie jednak szumiało, poczuła mdłości. Widziała tylko rozmazane plamy, ludzi z pochodniami.

- Jestem tutaj... - próbowała wykrzyknąć, lecz ledwie zdołała wyszeptać.

Jednak ktoś ją usłyszał.

- Jest ta dziwka!

- Doprowadziła do zguby swego męża, który ją żywił i bronił.

- Miał mu dziękować, chodziła nocami na schadzki, rzucać uroki na młodzieńców.

- Swego kochanka też wykończyła.

- Przybłąda! Myśmy jej dali dach nad głową i strawę.

- A o Chwalebnej Sjewie słyszeliście? Często u niej bywała ta wiedźma... A teraz z Chwalebnej ino popiół pozostał!

Niektóre twarze przestawały być plamami, ale powiększały się karykaturalnie, pozwalając rozpoznać. W kręgu ludzi, który ją otoczył, był i Czarowic Patorunus, i była Wielka Matka Ororo, Cragaina. Pojawiały się i znikwały oblicza jej przybranych krewnych z rodu Banre.

- Nie, to wszystko nie tak... - broniła się słabo, wśród łez. - Ja chciałam tylko...

W zgiełku nikt jej nawet nie słyszał.

- Ukamienować jawnogrzesznicę!

- Niechaj szczeźnie...

I nagle powróciła jej całkowicie ostrość widzenia. Zobaczyła, iż każdy z zebranych wyjmując z pazuchy kamień. Zdało jej się, że brali go z lewej strony, co wyglądało jakby wyjmowali własne serca, zamienione w głązy.

Następnie Czarowic zanucił pieśń, a wszystkie kamienie uniosły się ku górze i ustawiły tak, iż Elayne znalazła się we wnętrzu sfery. Powietrze przesycone było skondensowaną mocą dziesiątków ludzi. Każdy odłamek skały drgał i wibrował.

...Kamienie. Krzyczące kamienie. Zupełnie jak w moim śnie.

- Wiedźma! Dziwka! Jawnogrzesznica! Nie chcemy cię tu! Nigdy nie

chcieliśmy! Nie jesteś jedną z nas!

Zdawało się jej, że wreszcie po raz pierwszy zrozumiała, co kamienie próbują jej przekazać, rozumiała ich mowę.

Choć przecież wiedziała to od dawna. Czuła to, widziała w spojrzeniach, jakimi ją obrzucali. Miast apatii pojawiło się rozżalenie.

...Dlaczego? Dlaczego pozbawiliście mnie domu? Moich bliskich, wszystkich, którzy mnie kochali? Skoro nie potrafiliście mi dać nic w zamian? To wy jesteście źli. Nie ja. Wy, słyszycie?

Przestrzeń wkoło niej niemal gotowała się od skondensowanej energii. I wreszcie Czarowic opuścił rękę. I wszystkie kamienie pomknęły ku centrum sfery.

...Wy!

Kamienie zatrzymały się w locie, zadrgały w powietrzu, jakby niepewne, co robić dalej. Aż nagle ruszyły z niesamowitą prędkością w przeciwnym kierunku, jakby niesione falą straszliwej eksplozji.

Te, które stanowiły dolną część sfery, uderzyły w zebrany tłum. Dziesiątkowały go i kładły na ziemię, niczym lodowe kule gradu wybijające zboże. Zaś w miejscu, gdzie znajdowało się matematyczne centrum eksplozji, stała kobieta. Stała z ogniem w oczach, z rozpuszczonymi włosami, na wyprostowanych, szeroko rozstawionych nogach. Jej ręce uniesione były wysoko ku niebu.

Czarowic dostrzegł ją, próbował spleść naprędce jakiś czar, ale nie zdążył. Jeden z przelatujących głazów po prostu urwał mu głowę. Korpus stał jeszcze przez chwilę, ręce wykonywały starożytne rytualne gesty, jednak pozbawione siły.

Ludzie ginęli lub padali ranni. Ziemia, pył i żwir nasączyły się krwią na brzydki brunatnoczerwony kolor. Ci, co zdołali umknąć, dziękowali w duchu swym bogom.

Górna część skalnej sfery pomknęła ku gwiazdom. Aż straciła swój impet i spadła wokół jako śmiertelny, kamienny deszcz.



Minęły lata. Niegdyś Elayne wychodziła na schadzki pod księżycem, by spotkać swego ukochanego. Teraz pozostał jej tylko księżyc. Niemy świadek wszystkiego, co się wydarzyło. Często z nim rozmawiała.

...Los zadrwił ze mnie, dając mi wszystko to, o czym marzyli inni. Zaś odmawiając mi tylko jednego, wypełnienia moich skromnych pragnień.

Więc tak! Jestem Arcymądrą, Najwyższą Chwalebnią, Czarodziejką ze Wzgórza... Czy jak oni tam mnie nazywają. Taki talent musiał być czymś wrodzonym. Ciekawe, kim był mój ojciec, moja matka. Czym tak naprawdę zajmowało się moje plemię? Tak żałuję, że nic nie pamiętam. Chociaż z drugiej strony... Może to i dobrze? Czasami chciałabym zapomnieć... O pewnym młodzieńcu.

Sjewa wiedziała, że mam dar. Powiedziała mi to wprost: „Masz talent.” Ja głupia, nic nie rozumiałam. Ma moc jest teraz przeogromna. Mogłabym jednym gestem znieść całą osadę z powierzchni ziemi.

Oczywiście nie potrzebuję tego robić. Po tamtej nocy ocaleli ludzie przybyli, by złożyć mi pokłon. Pokonałam ich naczelnika plemienia, Czarowica, oraz syna Drugiego Rodu. A także wielu innych, którzy wówczas zginęli. Oddali mi nad sobą władzę i zapowiedzieli, że dostanę wszystko, czego zapagnę.

Jakbym ja kiedykolwiek chciała władzy... Chciał tego Worum, chciał także... ktoś, czyjego imienia wolę nie wypowiadać.

Ja tego nie chciałam nigdy.

Nie pragnęłam też mocy. Ale dostałam ją. W chatce Sjewy było wiele ksiąg. A ja miałam dość czasu, by je wszystkie przeczytać. Moje umiejętności rosły, raz rozbudzone rozwijały się w niesamowitym tempie.

Cóż z tego?

Mam wszystko.

Jestem Potężna, Wielka i Mądra. Cieszę się szacunkiem i poważaniem,  
daleko poza granicami tej osady.

Znam wszystkie czary, całą magię tego świata...

Oprócz najważniejszej.

Miłości.

# COŚ SIĘ SKOŃCZYŁO... ZACZYNA SIĘ COŚ LEPSZEGO

PATRONAT MEDIALNY:



## SCIENCE FICTION

Cena 27,99 zł  
ISBN: 83-918410-4-9



[www.science-fiction.pl](http://www.science-fiction.pl)



Sześciu pisarzy, których znać z łamów największych czasopism fantastycznych, autorów należących do nowej generacji, zajmującej właśnie miejsce tych, którzy tworzyli podwaliny polskiej fantastyki w minionym już stuleciu.

Sześć znakomitych nowel, prezentujących różne style i punkty widzenia na najpopularniejszy w ostatnich latach gatunek fantastyki.

Znajdziecie w naszej antologii pastisz oraz poważne przemyślenia, znajdziecie wspaniałą przygodę i doskonałą zabawę, bohaterów dawno minionych wojen, potężnych magów, smoki, demony, krainy zrodzone w najgłębszych zakamarkach wyobraźni, i takie, które istnieją naprawdę.

Oto sześć znakomitych nowel, które należy przeczytać. Sześć nazwisk wartych zapamiętania.

*Młode wilki polskiej fantastyki* dzisiaj są adeptami trudnej sztuki pisania, jutro magia ich słowa może olśnić miliony.

Jeszcze w tym roku w *Żółtej Serii* pojawią się zbiory opowiadań: "Między otchłanią a morzem" Agnieszki Hałas zawierający pełen cykl o Krzyżącym w Ciemności, oraz niesamowita "Krwawa baśń" Macieja Guzka, mroczna saga o Czernokreinie, której urywki prezentowaliśmy już na łamach *Science Fiction* ("Brzask", "Proste rachunki"). Rafał Dębski właśnie rozpoczyna pracę nad obszerną powieścią, która będzie swoistym rozwinięciem tematu zaprezentowanego w *Łzach Nemesis*. Również dla *Żółtej Serii*.